

TOMASZ PACYŃSKI



Sherwood

Pacyński Tomasz

Sherwood

Runa

Wydanie II

Warszawa 2003

Copyright © by Tomasz Pacyński, Warszawa 2003

Copyright © for the cover illustration by Stephanie Pui – Mun Law

Copyright © 2003 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2003

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Tomek Laisar Fruń

Redakcja: Lucyna Łuczyńska

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Tomek Laisar Fruń

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie II

Warszawa 2003

ISBN: 83-917904-5-2

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

ul. Grzybowska 77 lok. 434

00-844 Warszawa

tel./fax: (0-22) 4570385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

Zapraszamy na naszą stronę internetową: [www.runa.pl](http://www.runa.pl)

Konwersja: [NetPress Digital sp. z o.o.](http://NetPress Digital sp. z o.o.)

# CZEŚĆ PIERWSZA OSZUST I RZEŹNIK

*Lythe and listin, gentilmen,  
That be of frebore blode;  
I shall you tel of a gode yeman,  
His name was Robyn Hode.*

A Gest of Robyn Hode

Bosą stopą uderzył w ostry, wystający korzeń. Pomimo odrętwienia dochodzącego już do kolana ból był tak silny, że nagi mężczyzna upadł i zwinął się w kłębek. Leżąc na boku, odgarnął z twarzy długie, zlepione mokrym śniegiem włosy. Spojrzał na stopę. Choć niedawno pomyślał, że gorzej być już nie może, okazało się, iż mylił się po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch dni. Palce sterczały pod dziwnym kątem, krew plamiła nasiąknięte wodą i pokryte topniejącym śniegiem liście.

Diabli, powinno przecież bardziej boleć, błysnęło w zamroczonym umyśle, prawie urwane...

Zaczęło go ogarniać obezwładniające ciepło. Nie czuł już smagania zacinającej mokrej śnieżycy. Dobrze jest tak leżeć bez ruchu, chociaż chwilę, zasnąć...

W zakamarkach umysłu znów zamajaczyła myśl o wilkach, niedźwiedziach, lisach, wampirach, wilkołakach i innym paskudztwie zamieszkującym ten przeklęty las. Nie chciał umierać rozdzierany żywcem przez jakąś głodną bestię. Nieobce mu było pojęcie śmierci, przez całe życie ocierał się o nią często, lecz zawsze sądził, że przyjdzie do niego w inny, nie tak straszny sposób. Bał się śmierci z ręki kata, gdy wśród drwiących okrzyków podekscytowanej gawiedzi będzie stał z pętlą na szyi. Zawsze jednak sądził, że to najgorsze, co może go spotkać. Okazało się, że jeszcze gorsza może być cuchnąca paszcza pełna pożółkłych, ostrych zębów... Ta świadomość gnała go przez mroczny, lodowaty las, pomimo iż zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się nigdzie dobiec. I nieistotne było to, że wcale nie wiedział, w którym kierunku uciekać.

Jak się ostatnimi czasy często zdarzało, obawiał się nie tego, czego powinien. W ten paskudny jesienny dzień każdy szanujący swe zdrowie wilkołak siedział w suchym, przytulnym barłogu. Nie mówiąc już o wilkach i niedźwiedziach.



Prawdziwy zabójca był przy nim od dawna. Nie miał najeżonej kłami paszczy i cuchnącego oddechu. Nie można było umknąć przed nim, biegnąc na oślep przez las, to tylko odsuwało chwilę nieuchronnego dopadnięcia ofiary, która wycieńczona ucieczką stawiała się łatwiejszym łupem. Tym zabójcą było zimno, atakujące nagie ciało mężczyzny mokrym, zacinającym śniegiem i porywami lodowatego wiatru. Przed nim można się najwyżej ukryć. Znaleźć zaciszny wykrot, osłonięty sięgającymi do ziemi łapami wiekowego świerku, zagrzebać się w pokładach suchych igieł, nie tracić ciepła i sił wysysanych bezlitośnie przez wiatr i śnieg. Zwinąć się jak najciaśniej, ogrzewając własnym oddechem. Wielu doświadczonych puszczańskich myśliwych, osaczonych przez mróz po niespodziewanej kąpieli w oparzelisku, potrafiło w ten sposób ująć śmierci.

Nagi mężczyzna nie był puszczańskim myśliwym.

Ostatnim zrywem energii usiłował dźwignąć się na nogi. Prawie się udało, podobnie jak wszystko w ciągu ostatnich dwóch dni. Co śmieszniejsze, zawiodła druga noga. W tej zranionej po uderzeniu odzyskał czucie, lecz druga, zdrętwiała z zimna i zmęczenia, okazała się giętka niczym zasady moralne królewskiego poborcy podatków. Nie poczuł, jak kolano ugina się pod ciężarem zażywnego ciała. Ziemia nagle stanęła pionowo i walnęła go w twarz. Ujrzał pojedyncze igiełki sosnowe, czerwony błysk, po czym zapadł w ciemność.

Zimno nie zabija szybko i bezboleśnie, okrutnie bawi się z ofiarą. Nagły poryw wiatru chlasnął mokrym śniegiem po nagim ciele. Człowiek drgnął, palce wczepiły się w mokre igliwie. Tylko na tyle stać było wychłodzone, okradzione z energii ciało. W wypełnionym szarą mgłą umyśle poczęły krążyć ospałe, urywane myśli. Już się nie bał, nie walczył. Patrzył jakby z zewnątrz, jakby dotyczyło to kogoś innego.

Powiadają, że wielu wśród umierających, oczywiście jeżeli dany im jest na to czas, widzi przed oczyma całe swoje życie. Dzieciństwo, uśmiech matki, pierwsze zwycięstwa i pierwsze pocałunki... Wszystko, co w życiu było ważne, wszystko, co było drogie, co warto zobaczyć w tej ostatniej godzinie. Jeżeli to prawda, mężczyzna do końca miał pecha. Przed jego oczyma przewijały się bez przerwy obrazki z ostatnich dwóch dni. A nie były to najlepsze dni. Prawdę mówiąc, zważywszy na finał, były to najgorsze dni w jego życiu.

\*\*\*

Jason pchnął krzywe drzwi, z braku zawiasów zawieszono na przybitych do futryny starych skórkach od słoniny. W poczerwieniałą od wiatru twarz uderzył go niemal materialny smród kiszzonej kapusty, skwaśniałego piwa i brudnych onuc. Zaduch był wręcz gęsty, zabarwiony na szaro dymem ze źle ciągnącego komina. Nie, nie z komina – karczma nie znała takich luksusów. Dym miał uchodzić przez dwa otwory w szczytach dachu, zatkałe teraz prawie w całości z powodu wichury. Wichurze to nie przeszkadzało, co chwilę silniejsze podmuchy wpadały przez szczeliny, spychając siną chmurę dymu do samej polepy. Bywalcom karczmy najwidoczniej nie przeszkadzało również.

Wszedł na środek izby i stanął w kręgu światła. Łuczywo kopciło, dodając szczerze gęstego dymu do ogólnej puli. Było niezbędne, gdyż maleńkie, zasmolone błony w jedynym oknie przepuszczały niewiele światła jesienno, i tak mrocznego dnia. Rozejrzał się, gładząc po wydatnym brzuchu opiętym barwnym kubrakiem. Karczma nie wyglądała na taką, która posiadałaby loszek z beczkami wina. W ogóle nie wyglądała na karczmę. Trudno, trzeba poprzestać na piwie.

Karczmarz, mały, przypominający zezowatego szczura człowieczek wylazł niechętnie ze swego kąta. Wprawnym rzutem oka ocenił nowego klienta i jego twarz rozjaśniła się w nieszczerym uśmiechu, okraszonym imponującymi siekaczami. Prawy był nadłamany.

– Powitać, powitać! – zahuczał, zgięty w przymilnym ukłonie. – Dokąd to droga prowadzi?

Głos miał niespodziewanie niski i głęboki. Jason zafascynowany wpatrywał się w poźółkłe zębiska. To nie szczur, przemknęło mu przez głowę, to co najmniej stary bóbr-weteran.

Zdziwiony przedłużającą się ciszą karczmarz zgiął się jeszcze głębiej, zerkając niespokojnie na boki. Przyszło mu to spodziewanie łatwo, zważywszy na rozbieżnego zeza.

Jason ocknął się.

– A prowadzi, prowadzi! – rzekł jowialnie. – A na razie, mój dobry

człowieku, zagrzejcie no onych szczyń, które tu nazywacie piwem.

– Ależ, panie – oburzył się karczmarz – sam warzę one szczyń, to jest, chciałem rzec, piwo... – Tu przerwał. Urażona ambicja toczyła walkę z chęcią jak najlepszego wydojenia zamożnego klienta. Tacy nie zjawiali się zbyt często w jego karczmie. Walka była zacięta, lecz krótka. Ambicja przegrała. – Co prawda, to prawda, panie. Szczyń to są w rzeczy samej... Ale dla takich gości jak wy, panie, znajdzie się antałek wina, albo i dwa.

Jason ożywił się. Cóż, może nie jest tak źle. Nawet najgorszy sikacz będzie lepszy od tego, jak ów człowiek mówił, piwa. Sam je warzy, no, no. Nie najlepsza rekomendacja.

Karczmarz wyraźnie się rozkręcał. Jego błyszczące oczka biegały po okazałej postaci przybysza, usiłując dostrzec, gdzie nosi on sakiewkę, i chociaż z grubsza ocenić jej ciężar. Jason był przyzwyczajony do takiej reakcji, wiedział, że sprawia wrażenie solidnego i zamożnego. Sakiewka także z kształtów przypominała właściciela – gruba i okrągła, niedbale zawieszona przy pasie. Postronni nie wiedzieli jednak, że zawiera trochę miedziaków oraz, dla nadania odpowiedniego ciężaru, sporą garść hufnali. Prawdziwe pieniądze nosił w specjalnym pasie, skrytym pod kubrakiem. Jason skrzywił się mimowolnie. Wzrok karczmarza, bezwstydnie wlepiony w sakiewkę, przypominał mu, że pas pod kubrakiem jest ostatnio bardzo lekki. Z prostej przyczyny, sama skóra waży niewiele.

– ...tej hołocie nie daję! – Bóbr-weteran postanowił iść na całość. – Tylko dla szlachetnych gości! Panów kupców!

– Dobry człowieku... – Jason, spragniony już obiecanego wina, usiłował przerwać potok wymowy. Bezskutecznie.

– Dla strażników pana hrabiego! Sam pan hrabia, jak jedzie na łowy, to u mnie... – Karczmarz zająknął się, lecz bezczelne kłamstwo nie wywołało rumieńca na zapadniętych policzkach. Prawdopodobnie po prostu zabrakło mu oddechu.

Jason wykorzystał chwilę przerwy.

– Tak, tak, dobry człowieku – powiedział łagodnie. – Lepiej idźcie już i zagrzejcie tego wina.

– Już, już, szlachetny panie. Tymczasem spoczniście, spoczniście. Ot tu, na ławie.



Cofając się tyłem, wciąż zgięty w pół, karczmarz okrągłym gestem wskazywał miejsce przy palenisku. Jason zawahał się. Zawsze starał się siadać, mając za plecami solidną ścianę, zwłaszcza w miejscach takich jak to. Znał zbyt wielu ludzi, którzy siedząc plecami do izby, znęcani ciepłem paleniska i widokiem tańczących płomieni nie mieli nawet czasu, aby zdziwić się po raz ostatni. To miejsce zaś wyglądało na takie, w którym nie należy w ogóle siadać.

Karczmarz opacznie zrozumiał wahanie Jasona. Podbiegł do ławy i zaczął ją wycierać sztywnym od tłuszczu fartuchem. Starania te nie odniosły skutku, ale w każdym razie ława nie wydawała się bardziej brudna niż przed wytarciem. Jason obserwował sceptycznie krzątanicę karczmarza, zastanawiając się, czy później zdoła się odlepić bez odcinania tyłka nożem.

Rozejrzał się. Pozostali goście porozwalani na ławach poza kręgiem światła nie wyglądali na zabijaków. Na rzezimieszków, owszem, ale nawet zawodowy zabójca miałby w tym stanie problem z dobytciem sztyletu. I dobrze, bo mógłby się fatalnie pokaleczyć. Trzech jeszcze siedziało, pociągając z kufli, ale sądząc po ilości piwa ściekającego po brodach, nie posiedzą już długo. Pozostali leżeli w rozmaitych pozach na ogromnym kulawym stole, ławach i polepie. Jeden, z czerwoną i zaślinioną twarzą, obmacywał dwie chichoczące dziewczki. Biorąc pod uwagę jego zapał oraz urodę dziewczek, musiał już wypić bardzo dużo.

Jason z westchnieniem pokręcił głową, odpiął pas z kordem i usiadł na ławie. Mimo widocznego braku zagrożenia siadł bokiem, niewygodnie, by nie tracić z oczu pozostałych. Kord położył w poprzek kolan. Za towarzystwo miał trzy i pół pary suszących się przy palenisku długich butów. Stąd onuce, pomyślał z rezygnacją. Diabli nadali. Wycierać się po takich miejscach. W dodatku bez żadnej szansy na zarobek. Solidny kupiec sam w takim miejscu. Dobroduszny, brzuchaty, na pierwszy rzut oka zasobny. Sam prosi się o nieszczęście. To tak, jakby owieczka przyszła do stada wilków i poprosiła o garść trawy i nocleg. Te myśli sprawiły, że poweselał. Istotnie, prawdziwego kupca szlag by tu trafił, prędzej czy później. Raczej prędzej. Ale Jason był tak prawdziwym kupcem, jak jego sakiewka. Był graczem.

Rumiana gęba, starannie wyhodowane brzuszysko, dostatnie odzienie, kord przy pasie. Wszystko było inwestycją i budziło zaufanie,

tłumiło podejrzenia. Z takim człowiekiem ludzie nie obawiają się grać w kości. Bardziej dociekliwym wyjawiał, że należy do cechu kupców wełnianych, co było o tyle wygodne, że jarmarki wełniane odbywały się raz w roku, po strzyży owiec. Nie musiał więc dla zwiększenia wiarygodności ciągnąć ze sobą wozów z towarem. A na jarmarkach wełnianych nigdy nie pracował.

Także imię sam sobie wybrał. Tak jakoś pasowało – gracz powinien nazywać się Jason. Bo przecież nikt nie zagra w kości z kimś o imieniu Clever. Cóż, mamusia nie mogła przewidzieć...

Za to kord przy pasie nie był tylko dekoracją. Jason potrafił się nim posługiwać, jak do tej pory skutecznie. Co śmieszniejsze, większość problemów stanowiły właśnie takie dotyczące zazwyczaj kupców, a nie wynikające z jego rzeczywistego zajęcia. O wiele częściej zdarzali się chętni do rabunku niż gracze, którzy starali się odwrócić złą passę przy użyciu niekonwencjonalnych metod. Ci drudzy byli zresztą bardziej przewidywalni, a dobry gracz wie, że zawsze lepiej się wycofać i ponieść niewielką stratę, przegrywając, niż niepotrzebnie zwracać na siebie uwagę.

Z rzezimieszkami nie było wyboru. Atakowali zawsze, gdy mieli okazję. Ponieważ sprawianie pozorów bogactwa było niezbędne w grze, próbowali często.

Karczmarz wychynął z mroku z dymiącym dzbanem i glinianym kubkiem. Postawił wino na stole.

– Znakomity trunek, z miodem i korzeniami – powiedział radośnie, nalewając wina do kubka i znów wyszczerzył siekacze w uśmiechu.

Jasne, z korzeniami, chyba chrzanu, pomyślał Jason sceptycznie. Wyjął z sakwy chleb i małą gomółkę sera, zadowolony, że nie musiał prosić o miskę polewki. Sądząc z tego, jak starannie wałęsające się po izbie psy omijały postawiony na polepie kociołek, nie była zbyt smaczna. Wyjął zza cholewy nóż i odkroił plaster sera. Spojrzał na karczmarza.

– Coś jeszcze, mój dobry człowieku? – zapytał, nadając głosowi ton lekkiego zniecierpliwienia.

– Nie, szlachetny panie... – zająknął się karczmarz, miotając oczkami na lewo i prawo. – Właściwie tak, szlachetny panie. Czy szlachetny pan stanie u nas na noc? Na stryszku w stajni...

Chciałbyś, pomyślał Jason. Ale ja nie lubię budzić się z poderżniętym gardłem.

– Nie, odpocznę trochę i jadę dalej. Do Nottingham daleka droga, a dni krótkie – odpowiedział.

Na twarzy szczurowatego odbiło się wyraźne rozczarowanie. Rozbiegane oczka świadczyły o wielkim wysiłku umysłowym, zapewne owocnym, bo po chwili zwęziły się złośliwie.

– A szlachetny pan tak bez czeladzi, sam? – spytał powoli. – Okolica tu paskudna, panie..

Tu cię mam, pomyślał Jason bez zdziwienia. Kombinujesz, czy tych trzech, którzy jeszcze nie padli, wystarczy.

Wstał niespiesznie, trzymając w pół pochwę korda okręconą pasem. Stał przed chuderlawym człowieczkiem, górując na nim potężnym brzuszyskiem.

Karczmarz zadarł głowę i popatrzył Jasonowi w oczy. Nie spodobało mu się widać to, co zobaczył, spuścił bowiem wzrok i stał się jakby jeszcze mniejszy. Zerknął na swych pijanych kompanów, porównując ich ze zwalistą postacią gościa, po czym zgarbił się jeszcze bardziej. Najwidoczniej kalkulacja nie wypadła po jego myśli.

Jason roześmiał się głośno i wolną ręką klepnął mocno karczmarza w ramię. Człowieczkiem zatrzęśło, zatoczył się.

– A sam! – powiedział głośno, wciąż się śmiejąc. Klepnął karczmarza jeszcze raz i usiadł.

Mały człowieczek był już najwyraźniej przekonany. Cóż, zawsze pozostaje nadzieja na normalny zarobek.

– Czeladź została ze dwie mile, z wozami – krzyknął Jason w kierunku pleców karczmarza. – Przyjadą tu, albo spotkam się z nimi na rozstajach.

Mam nadzieję, że są w okolicy jakieś rozstaje, pomyślał. Powinno wystarczyć. Zwykle wystarcza, a zresztą do Nottingham naprawdę daleko, a dzień krótki. Trzeba wypić to wino i ruszać. Sięgnął po kubek i zbliżył do ust. W nozdrza uderzył intensywny zapach imbiru i goździków. Jason z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy i pociągnął łyk. Znakomite wino. Ani chybi przejeżdżał tu kiedyś kupiec winny. I pewnie nie odjechał daleko.

Nalewając drugi kubek, Jason powoli odprężył się i poweselał. Całkiem nieźle, pomyślał. W Nottingham jest targ, kilka dużych karczem pełnych kupców, rzemieślników i żołnierzy. Nie byłem tam jeszcze, więc mnie nie znają. Można będzie wiele grać. I wiele wygrywać.

Jason był nie tylko graczem – był także oszustem.

Nie chodziło o żadne obciążane czy szlifowane kości, nic tak pospolitego. Obstawiając rzut, zawsze wiedział, czy wyrzuci więcej niż przeciwnik. No, prawie zawsze. Wiedział, kiedy dobra passa się zaczyna i kiedy kończy. Przy długiej grze to wystarczało. Owe wrodzone zdolności rozwijały się w nim w miarę doświadczeń i po latach mógł na nich polegać. Po tych wszystkich latach...

Usiadł wygodniej i pociągnął z kubka. Zapatrzył się w płomyki pełgające nad wpół zwęglonymi głowniami w palenisku.

\*\*\*

Gdy miał dziesięć lat, ojciec zabrał go na jarmark. Rzadko się to zdarzało. Ojciec był płatnerzem, najlepszym w okolicy, jak zwykł z upodobaniem mawiać. Nie kłamał, ponieważ był jedynym. Ziemie należały do zubożałego rycerza, sir Briana, który władał zamkiem o popękanych murach, zamulonej fosie i na stałe opuszczonym zwodzonym moście. Nikt nie widział sensu w podejmowaniu napraw, gdyż żaden z sąsiadów nie pałał chęcią oblegania zamku w celu zdobycia paru włók bagien i wyjałowionych pól. Rycerz dobiegał pięćdziesiątki, był wciąż kawalerem i szukał szczęścia na turniejach, z których nieodmiennie wracał w pogiętej uderzeniami zbroi. Zdarzało się, że przywożono go na wozie. Lecz gdy tylko wracał do zdrowia, rozglądał się za następną okazją, całe dochody ze swych mizernych dóbr przeznaczając na odtwarzanie zdolności bojowej, co bardzo cieszyło najlepszego płatnerza w okolicy.

Dochody z dóbr rycerza były marne, więc i nabywane przezeń usługi były podobne. Ojciec Jasona kochał szczerze swe rzemiosło, lecz namiętność tę dzielił z równie szczerym umiłowaniem piwa. Problem polegał na tym, że rzemiosłu miał okazję oddawać się rzadko. Zamkowi zbrojni w liczbie pięciu – rycerz zawsze twierdził, że to i tak za dużo, ale

nie mógł na turnieje udawać się samopas – sami ostrzyli swoje miecze i topory. Prawdę mówiąc, kiepsko, ale i tak nigdy nie mieli okazji sprawdzić jakości swej roboty. Pozostawało tylko nieskończone wyklepywanie oraz dopasowywanie zbroi, przecieranie octem do połysku starego, tandetnego miecza i dorabianie drzewc kopii, łamanych przez sir Briana w olbrzymich ilościach. Rycerz starzał się wyraźnie, więc coraz więcej czasu zajmowało mu dojście do siebie po kolejnych starciach. Czasami aż pół roku. A zima była martwym sezonem. Dopiero na wiosnę mógł ruszać w poszukiwaniu wyzwań i sławy. Dla zamkowego płatnerza pozostawało osadzanie na styliskach wieśniaczych siekier, przekuwanie motyk, rydli i prostowanie wideł. Pozostawało też wiele czasu na drugą namiętność, a piwo było tanie.

Tym razem nic się nie zmieniło. Gdy sir Brian wylizał się z obrażeń odniesionych na ostatnim turnieju ("przebóg, koń się potknął w ostatniej chwili, ale trzeba było widzieć tego drugiego! Jeszcze jedno złożenie i przepadłby zupełnie!"), zajechał przed kuźnię na swym wychudłym koniu bojowym. Koń wyglądał na ozdowieńca po długiej i ciężkiej chorobie, co zresztą zgadzało się z prawdą. Turnieje były dla koni tak samo niebezpieczne, jak dla ludzi.

Dobry bojowy wierzchowiec stanowił najcenniejszą rzecz dla rycerza. Tego sir Brian kupił przed laty, wydając na niego większość schedy po zmarłym ojcu. Był to dobry zakup. Koń przewyższał znacznie umiejętnościami bojowymi swego pana, wiele razy wynosił go cało z opresji. Zestarzał się jednak i coraz częściej sir Brian w przebłyskach trzeźwiejszego osądu widział, że zwierzę długo już nie pociągnie. Cały zaś obecny majątek rycerza starczyłby może na zakup jednej końskiej nogi, oczywiście bez podkowy.

Płatnerz wyszedł przed kuźnię, osłaniając dłońią oczy przed ostrym blaskiem. Słońce w rzeczywistości nie stało wcale tak nisko, lecz wypił wczoraj tyle piwa, że niechętnie wychodził na światło dzienne i poruszał się raczej ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów.

Patrzył ospale, jak pacholkiwie zrzucają z chrzęstem stertę pogiętych blach. Coraz gorzej, pomyślał. Niedługo nie będzie jak tego wyprostować.

Rycerz podjechał do kuźni, nie zsiadając rozpoczął swą zwykłą przemowę.

Otóż ojciec po raz ostatni już będzie musiał doprowadzić do



porządku niemiłosiernie potrzaskaną zbroję. Na następnym turnieju bowiem rycerz wyzwie i oczywiście pokona samego sir Osberta, który właśnie sprawił sobie piękną, lśniącą jak samo słońce zbroję turniejową. Po szczęśliwym i nieuniknionym zwycięstwie ojciec będzie miał pełne ręce roboty – trzeba przecież dopasować zdobycz do postury sir Briana. Otrzyma za to królewskie wynagrodzenie z okupu, które rodzina jęczącego w lochu sir Osberta wpłaci za jego uwolnienie, potem zaś powinien się zająć przygotowaniem uzbrojenia dla całego zastępu zbrojnych, których trzeba będzie, nie mieszkając, natychmiast zaciągnąć. Dobrych zbrojnych, najlepiej weteranów, nie takich jak ci, zapijaczone ciury w wieku, delikatnie mówiąc, średnim.

Płatnerz słuchał uprzejmie, kiwając głową. Miał niejaką wprawę, ponieważ od lat przemowa była taka sama, zmieniały się jedynie imiona rycerzy prawie pokonanych przez sir Briana. Nieodmiennie za to rosła wysokość spodziewanego okupu. Dawniej sir Brian wtrącał też wzmianki o pięknych dziewczicach na wydaniu, rzucających płomienne spojrzenia z trybun, powiewających chusteczkami. Od kilku lat przestał jakoś o tym wspominać...

\*\*\*

Odgłosy szamotania połączone z piskiem wyrwały Jasona ze wspomnień. Obrzucił szybkim spojrzeniem izbę, myśląc, że to pijanemu zalotnikowi udało się wreszcie dobrać do jednej z dziewczek. Nie dostrzegł ich jednak na ławie, gdzie przedtem siedzieli. Gdy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, ujrzał całą trójkę zgodnie chrapiącą w zmierzwionej słomie pod ścianą. Piski wydawał dorodny szczur, szarpiąc się w uchwycie szczęk jednego z małych, wyliniałych kundli, wałęsających się po izbie. Jason przyjrzał się walce bez większego zainteresowania. Na pierwszy rzut oka szanse były równe.

Westchnął i zajął się swym kubkiem nie całkiem jeszcze wystygłego wina. Co mnie dziś naszło, pomyślał. Wspomnienia. Eh, chyba się starzeję... Sam na takim zadupiu, to przecież proszenie się o kłopoty. Diabli wiedzą, kto tu jeszcze może zawitać. Te nieszczęsne pijaki mają pewnie jakichś przyjaciół. Trzeba odlepić dupsko od ławy i się ruszyć.

Zamiast tego sięgnął po dzban i dolał do kubka resztę wina, z ustalym na dnie cynamonem, imbirem i paroma goździkami. Pociągnął łyk.

– Hej, karczmarzu! – zawołał. – Daj no... Tfu! – Splunął z niesmakiem rozmiękłym goździkiem.

Karczmarz zmaterializował się w jednej chwili, stawiając na stole parujący dzban. Małe oczka świeciły radośnie. Jason chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Ostatecznie nie jest jeszcze tak późno, zdąży dojechać przed zmrokiem. A jeśli nawet, gościniec szeroki. Sięgnął po dzban i dolał do kubka. Cholera, jakie dobre... Cholera i czarna śmierć...

\*\*\*

Dziesięcioletni chłopiec patrzył z cienia pod nisko zwieszającym się okapem kuźni. Widział chudego, nikczemnej postury rycerza na równie wychudłym koniu i w kolczudze tak sztywnej od rdzy, że można by ją bez trudu postawić w kącie. Poczerniałą od paleniska, pobrużdżoną twarz ojca. Stertę pogiętej blachy leżącej w kurzu podwórka. Patrzył bez zainteresowania, odkąd pamiętał, podobne sceny powtarzały się nieustannie. Wiedział, że rycerz będzie mówił coraz głośniej i szybciej, pod koniec przemowy zapluwając się i połykając końcówki wyrazów. Potem zamilknie, a po chwili zawróci i odjedzie bez słowa, sztywno wyprostowany na swym wierzchowcu, równie sztywno i ostrożnie stawiającym nogi. Ojciec zaś zaklnie pod nosem i ciężko człapiąc do kuźni, krzyknie w przelocie do syna, by zebrał blachy z podwórka.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze zdziwienia. Rycerz w połowie przemowy uniósł coś w dłoni, prezentując dumnie wszystkim obecnym. W pierwszej chwili chłopiec wziął dziwny przedmiot za świeżo zdartą wiewiórczą skórkę, tak samo bowiem powiewał w dłoni sir Briana. Mylił się, była to sakiewka, równie chuda i zabiedzona, jak jej dumny właściciel. Zaciekawiony chłopiec wsłuchał się uważniej w monolog rycerza.

– ...jarmark w Kynigestun! – wykrzykiwał sir Brian z podnieceniem. – Z Ziemi Świętej! Wrócili! Głównie... tego... damasceńskie!

Jak zwykle pod koniec przemowa rycerza nie grzeszyła nadmierną

spójnością.

– Artur... miecz z tego tam, kamienia... Takim mieczem ja... zastawę i przeciwnika... Sława! Sława!

Sir Brian ścisnął chudą sakiewkę niczym rękojeść Excalibura. Zapadnięte oczy pałały dziwnym płomieniem.

– ...jarmark.. płatnerze... Przywieźli! – Rycerz czerwieniał coraz bardziej. – Wszystko, co mam! Wszystko!

Zamilkł nagle. Chłopiec pomyślał, że to już koniec, że za chwilę szarpnie wodze, zawróci konia i odjedzie, jak zwykle. Nagle stało się coś niezwykłego.

Rycerz przerzucił nogę przez łęk siodła i ciężko zeskoczył na ziemię. Stał przed ojcem Jasona i, rzecz niebywała, położył rękę na jego ramieniu. Zaczął coś tłumaczyć.

Chłopiec przysunął się bliżej.

– ...wszystko, co mam. – Sir Brian mówił teraz cichym, równym i spokojnym głosem. – Wszystko, co pozostało.

Wytrząsnął na dłoń monety z sakiewki. Nie było tego wiele.

– Następny turniej będzie ostatni, wiem – kontynuował rycerz. – Gonitwy konne... To już nie dla mnie... Nie dla nas – poprawił, klepiąc konia po chudej szyi. – Pojedziesz ze mną do Kynigestun, na jarmark. Stańli tam kupcy, mają damasceńskie głownie. Ty wybierzesz, i oprawisz dla mnie. Nie przerywaj, wiem, kim jesteś... kim byłeś. Zawsze wiedziałem. Potrafisz.

Płatnerz próbował coś powiedzieć. Sir Brian mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu.

– Zawsze chciałem... – podjął rycerz. – Zawsze wierzyłem... Nieważne. Wiem, że teraz się uda. Ten ostatni raz. W walce pieszej, na ostre...

Zamilkł. Chwilę stał w milczeniu, po czym wsypał monety do sakiewki. Odwrócił się i wskoczył na konia, bez strzemion, prosto z ziemi. Zdarł wodze, zawrócił konia i odjechał, sztywno wyprostowany na sztywno stawiającym nogi koniu. Wtem odwrócił się i z uśmiechem rzucił przez ramię:

– Jutro wyruszamy!

Zostali sami nad kupą pogiętego żelastwa. Chłopiec ze zdziwieniem spojrział na ojca. Zniknęło gdzieś pijackie otępienie. Oczy płatnerza lśniły takim samym dziwnym blaskiem jak wcześniej oczy sir Briana.

– Damasceńska głownia! – wymamrotał gniewnie. – Starczy mu tego najwyżej na rożen!

Przesadzał. Za resztkę majątku rycerza dałoby się kupić dobry miecz, nie tylko półfabrykat, jakim była głownia. Dobry, nowy normański miecz. Według cen, które pamiętał, na damasceńską głownię trochę brakowało, mniej więcej dwóch trzecich.

Ale wiedział też, że pojedzie do Kynigestun, weźmie do rąk chłodne ostrza, oceniając ich wartość po delikatnym rysunku ciemniejszych i jaśniejszych fal na powierzchni metalu, że znów mimowolnie zdziwi się ich lekkością i pozorną kruchością. Będzie uderzał jedną o drugą, słuchając niepowtarzalnego dźwięku. Tak jak kiedyś, dawno temu...

\*\*\*

Na podwórzu karczmy koń zarżał i szarpnął się u koniowiązu. Jason przez chwilę patrzył nieprzytomnie w przestrzeń. Koń uspokoił się. Niech to szlag, dawne czasy, pomyślał Jason. Wtedy jeszcze nic nie rozumiałem. Dopiero później... Szkoda... Właściwie, dlaczego szkoda? Potrząsnął gniewnie głową. Co mi się dzisiaj pieprzy w tym głupim łbie?

Nie chciał spędzić życia w mrocznej, oświetlonej tylko kowalskim paleniskiem kuźni, walić młotem w pogięte blachy. Od najmłodszych lat szukał czegoś innego. Czego konkretnie, tego długo nie wiedział. Aż do jarmarku w Kynigestun...

\*\*\*

Ojciec z sir Brianem zniknęli w namiocie handlarzy. Chłopiec został, rozglądając się niepewnie, bardziej wystraszony niż zaciekawiony. Po raz pierwszy w życiu zobaczył miasto. Już sama jazda skrzypiącym wozem zaprzężonym w woły dostarczyła nadspodziewanych wrażeń. Czterej zbrojni sir Briana, jadący na myszowatych koniach wydawali mu się

wspaniałym poczem rycerskim. Sam rycerz jechał jak zwykle sztywno, tym razem nie na swym bojowym koniu, ale na zwykłej szkapie, takiej samej, jak jego zbrojni.

Chłopiec był oszołomiony, widząc wysokie mury miejskie, strażników o marsowych minach, wrzeszczących przekupniów, brukowane uliczki, na których śmiesznie dzwoniły podkowy i turkotały koła wozu. Kupieckie stragany i namioty oferowały rozmaite towary, których nie potrafił nawet rozpoznać. Mijali kramy rymarzy, rozsiewające ostrą woń świeżo wyprawionych skór, obwieszone girlandami pasów i upręży; jatkę, przed którą na wielkim, zatłuszczonym pniu rozebrany do pasa, spocony czeladnik dzielił właśnie ćwiartkę tuszy, nie zwracając uwagi na kłębiące się dokoła, brzęczące głośno muchy; kramy z tkaninami, gdzie kupcy łokciem odmierzali sztuki sukna; duży namiot, przed którym rozchełstane dziewczki zaczepiały przechodniów, śmiejąc się piskliwie. Nie wiedział, co oferowały, niemniej powodzenie miały duże.

Gdy został sam przed namiotem płatnerzy, marzył tylko, by jak najszybciej znaleźć się obok ojca. Jego nieobecność przedłużała się. W końcu nuda zaczęła brać górę nad lękiem. Chłopiec ostrożnie ruszył przed siebie.

Za rogiem namiotu siedziało na ziemi, nad rozłożonym płaszczem dwóch ludzi. Ich broń leżała rzucona niedbale obok. Starszy, który wyglądał na żołnierza, ale w oczach chłopca był wspaniałym wojownikiem, potrząsnął z grzechotem trzymanym w rękach kubkiem. Patrzył wyczekująco na drugiego mężczyznę. Młodszy począł ściągać z palca gruby złoty pierścień. Szło mu niesporo. W połowie zawahał się, zacisnął palce. Starszy wciąż czekał, grzechocząc kubkiem. Twarz młodszego drgnęła, zerwał pierścień i rzucił na płaszcz. Starszy skinął głową z aprobatą.

Szybki ruch nadgarstka i kości potoczyły się po leżącym na ziemi płaszczu. Gdy znieruchomiały, żołnierz uśmiechnął się.

Chłopiec dostrzegł, że twarz młodszego z mężczyzn ściągnęła się ze złości. Wstał gwałtownie, zaciskając pięści.

Starszy nie wstał. Patrząc drugiemu w oczy spokojnym, nieruchomym wzrokiem, na oślep zgarnął z koca garść srebrnych monet. Młodszy przez chwilę stał, wciąż z zacisniętymi pięściami i poczerwieniały na twarzy. Gdy wystraszony chłopiec oczekiwał, że rzuci



się na siedzącego, mężczyzna odwrócił się, podniósł pas z kordem i bez słowa odszedł.

Na leżącym na ziemi płaszczu pozostał złoty pierścień.

– Nie wziął... – wyjąkał chłopiec po dłuższej chwili.

Siedzący wolno obrócił głowę, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność, spojrzął chłopcu w twarz. Bez uśmiechu.

– Pierścienia? – spytał spokojnie. – To jest teraz mój pierścień. Na tym polega gra.

\*\*\*

To było jak olśnienie, przypomniał sobie Jason, pociągając kolejny łyk wina. Od tego się zaczęło.

Gdy ojciec uczył go rzemiosła, wkładał w naukę wszystko, co pozostało jeszcze z jego własnej pasji i umiejętności. Opowiadał jednemu synowi o słynnych mieczach, noszących legendarne imiona, o cudownych przemianach rdzawego kęsa żelaza w lśniąca klingę, o dostatku, pięknym domu na podgrodzium, murowanym, z drewnianą podłogą, o warsztacie wypełnionym tłumem posłusznych czeladników, o srebrnych monetach, które rycerze wytrząsają z sakiewek w zapłacie za sztukę płatnerza.

Tak, za sztukę, nie za rzemiosło. Chłopiec słuchał i widział mroczną kuźnię z zapadniętym dachem, brudną chatę w cieniu rozsypujących się murów zamkowych, pogiętą zbroję sir Briana, ojca otępiełego od śmierdzącego piwskiego, jedynego produktu, na jaki starczało zapłaty za dorywcze prace. Czuł ból słabych, chłopięcych mięśni przy kręceniu koła szlifierskiego czy poruszaniu miechów. Słuchał ojca i rozmyślał o skarbie zakopanym na krańcu tęczycy, o garnku złotych monet, który niechybnie odkopie. Jeżeli nie dziś, to na pewno jutro.

Właśnie na jarmarku w Kynigestun Jason po raz pierwszy przekonał się, że można coś dostać od szczęścia, oczywiście, jeśli się je ma. Tego dnia ostatecznie uwierzył, że sam będzie je miał i że można mieć szczęście nie tylko wtedy, gdy urodziło się szlachcicem. Zrozumiał, że niekoniecznie trzeba pracować od świtu do nocy za miskę polewki i kufel

piwa od święta, bo przyszłość płatnerza, nieskończenie lepsza przecież od losu zwykłego chłopca, nie jest niczym nadzwyczajnym. Możesz mieć wszystko, jeżeli tylko spróbujesz. Oto jasna i prosta droga na resztę życia. Potrzebny jedynie łut szczęścia na początek. Potem też, ale przecież szczęście towarzyszy tym, którzy w nie wierzą i trochę mu pomagają. On nie uwierzył. Po prostu wiedział. Jason już wtedy miał szczęście.

Gdy sir Brian wyszedł przed namiot, wyglądał, jakby ubyło mu z dziesięć lat. Idący za nim ojciec chłopca niósł długi pakunek zawinięty w czyste, natłuszczone płótno. Okazało się, że wyjazd po damasceńską głównię nie był zupełną mrzonką – zdziwaczały rycerz miał niezłe informacje. Wyprawy krzyżowe spowodowały znaczny wzrost podaży wschodniej broni, a co za tym idzie spadek cen. To, co sir Brian posiadał, wystarczyło, nawet trochę zostało.

Rozjaśniony radością wzrok rycerza zatrzymał się na chłopcu. Sir Brian patrzył przez chwilę ciepłym, wilgotnym spojrzeniem, jakby nie poznając, kim jest stojący przed nim zalekniony smarkacz. Schylił się, chwycił dłoń chłopca swym kościstym, stwardniałym od wodzy i kopii łapskiem. Chłopczyk szarpnął się. Rycerz włożył coś w jego dłoń, zacisnął mu palce, po czym puścił gwałtownie. Wyprostował się.

– Na, masz... – powiedział. Odwrócił się sztywno i odszedł podrygującym krokiem.

Chłopiec stał i patrzył na zaciśniętą piąstkę. Po chwili odważył się rozprostować palce. Na dłoni matowo błysnęła srebrna moneta.

\*\*\*

To było właśnie szczęście, na które tak czekałem, myślał sennie Jason w obskurnej karczmie nad kubkiem z resztką wina. Od tego się wszystko zaczęło. Prawie trzydzieści lat, psiakrew... Ta moneta stała się kluczem do innego świata. Trzeba było zrobić pierwszy krok, dopomóc szczęściu.

\*\*\*

Starszy mężczyzna wciąż siedział za namiotem przed rozłożonym na

ziemi płaszczem. Bawił się kośćmi, wyrzucając je raz po raz.

– Czego tu szukasz, smarkaczu? – spytał bez specjalnego gniewu w głosie.

Chłopiec zebrał całą swą odwagę.

– Chcę... eee... – Wyschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Mały spróbował jeszcze raz.

– Chcę... chcę... – Znowu nic.

Mężczyzna zniecierpliwił się.

– Jeżeli chcesz kopa w dupę, to przyszedłeś we właściwe miejsce – rzucił znudzony. – No, zbieraj się stąd, szczyłu!

– Chcę zagrać! – wypalił chłopiec.

Starszy człowiek roześmiał się serdecznie. Przypatrując się purpurowiejącemu na twarzy chłopcu, śmiał się, aż łzy pociekły mu po twarzy.

– Zagrasz ze mną czy nie?! – wrzasnął dzieciak, tupiąc nogami. – Zagraj ze mną, ty... ty...

Uśmiech znikł z twarzy mężczyzny. Przerażonemu własną bezczelnością chłopcu głos uwiązł w gardle. O mało się nie posikał.

– Zagrać chce szlachetny pan... – powiedział wolno mężczyzna. – A czy szlachetny pan ma o co zagrać?

Chłopiec bez słowa podsunął mu przed oczy rozwartą dłoń ze srebrną monetą. Mężczyzna spojrział.

– O tak, to duża stawka – ocenił z drwiącym uśmiechem, choć oczy pozostały poważne. – A wiesz, synku, jak w to się gra?

Chłopczyk pokręcił głową.

– Siadaj więc, zanim zaczniemy grać, nauczę cię. Będziemy mieli równe szanse.

Gdy wyjaśniał zasady gry, uczył trzymać i rzucać kości, uśmiechał się nadal. Przestał, gdy po jedynej grze na serio, grze o jedyną monetę chłopca, ten zabrał z płaszcza obie monety – swoją i jego.

Długo milczał, patrząc na dzieciaka spod oka. Wreszcie powiedział:

– Synu, to była twoja jedyna moneta. Wiele warta. Czy naprawdę nie

bałeś się jej postawić?

– Nie.

– Dlaczego?

– Wiedziałem, że wygram – odparł spokojnie chłopiec.

– Jak to wiedziałeś? Nie mogłeś wiedzieć! – rzucił ze złością mężczyzna.

Małemu łązy stanęły w oczach.

– Wiedziałem... – upierał się.

Mężczyzna potrząsnął niecierpliwie głową.

– Nie mogłeś! – powtórzył. – To jest, cholera, zupełnie niemożliwe...

Chłopczyk spuścił głowę. Milczenie przedłużało się. Po chwili mężczyzna sięgnął do sakiewki, wyjął z niej garść miedziaków i wysypał na płaszc przed chłopcem. Ten spojrzał pytająco. Mężczyzna odwrócił wzrok.

– Kurwa, co ja robię... – wymamrotał do siebie. – Przecież to niemożliwe, taki szczył...

– Dobrze – podjął po chwili, zwracając się już bezpośrednio do chłopca: – Zagramy jeszcze, o mniejsze stawki. Zobaczymy.

Mały pokręcił głową.

– Co, nie chcesz? Trudno, to spadaj stąd.

Przerwał i patrzył ze zdziwieniem, jak chłopiec wysupłał jedną ze swych srebrnych monet i położył obok kupki miedziaków.

– Chcesz grać za swoje? W porządku, tak będzie ciekawiej...

Wziął monetę dzieciaka, sięgnął do sakiewki i dołożył mu miedziaków.

– To mniej więcej tyle samo – powiedział. – A zresztą, nie wyglądasz na takiego, co umie liczyć. Musisz mi uwierzyć na słowo.

Skrzywił się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Zaczynamy! Szlachetny pan pierwszy!

Kupka pieniędzy przed chłopcem to rosła, to malała. Powoli chwycił reguły, odgadywał, kiedy przychodzi nieuchwytna passa, kiedy zaś odchodzi. Odczuwał to podniecające mrowienie, gdy grzechotał kośćmi

przed rzutem. Miał już pewność. I z wolna kupka pieniędzy przed nim zaczęła się powiększać.

Po godzinie jego przeciwnik, śmiertelnie już poważny, zdjął z palca grubego złoty pierścień.

– No dobrze, mały. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Ostatni rzut!

Rzeczywiście, łatwo poszło. Mężczyzna przestał już kręcić z niedowierzaniem głową, teraz miał w oczach czyste osłupienie.

– Coś ty zrobił, szczeniaku! – powtarzał gniewnie. – Coś ty, kurwa, zrobił!

Chłopiec skulił się zalekniiony. Mężczyzna złapał go za rękę, a mały rozszlochał się z przerażenia.

– Oddam, panie, oddam wszystko... – wyjąkał. – Oddam, tylko nie bijcie, panie...

Mężczyzna zeszywniał. Chwycił go za zmierzwiowane płowe włosy, drugą ręką trzasnął w zalaną łzami buzię. Mocno, na zimno i z wyrachowaniem. Chłopiec przestał szlochać. Wbił oczy w przeciwnika i w tych oczach, poprzez łzy, błysnęło coś takiego, że mężczyzna puścił go.

– Tak już lepiej – sapnął. – A teraz posłuchaj, szczyłu. Gdy siadasz do gry, to ponosisz wszelkie tego konsekwencje. Możesz przegrać, możesz wygrać. Możesz wygrać, a pomimo to przegrasz, bo stracisz zdrowie, a nawet życie. Ale gdy już zaczniesz grać, to nie możesz tego cofnąć, nie możesz oddać wygranej i stwierdzić, że nic się nie stało. Musisz wiedzieć, z kim siadasz do gry. I pamiętaj, czasem trzeba przegrać. Czasem trzeba wygrać mniej, niż mógłbyś i chciałbyś. Takie jest życie, i taka jest gra!

Przez chwilę dyszał zdenerwowany. Wysmarkał się w palce z widoczną irytacją.

– Musisz patrzeć, z kim siadasz do gry, powtarzam ci, bo to chyba najważniejsze – podjął po chwili, wycierając zasmarkane palce połą kubraka. – Do licha, zirytowałeś mnie, gdzie się podziały moje dworne maniere! Ale do rzeczy, nigdy nie graj z kimś, przed kim się nie obronisz lub, w ostateczności, nie zdołasz uciec. I pamiętaj, nigdy, ale to nigdy nie ogrywaj nikogo do końca. Bo ostateczna przegrana rodzi desperację. A desperaci zabijają.

Chłopczyk stał bez ruchu, słuchając. Mężczyzna wreszcie uśmiechnął



się.

– Jak to zrobiłeś, smarkaczu? – Znów pokręcił głową. – Popatrz.

Szarpnął lewy rękaw. Na płaszcz wypadł drugi komplet kości, z pozoru identyczny z tymi, które już tam leżały. Chłopiec podniósł je i zbliżył do oczu.

– Przyjrzyj się dobrze – usłyszał. – To są szlify. To znaczy, te kości są specjalnie przygotowane, szlifowane. No, sfalszowane, żeby już nazwać rzecz po imieniu. Gdy nimi rzucam, na ogół padają tak, jak chcę. Mówię, na ogół, ale to wystarcza. Ja z tego żyję, smarkaczu. Wystarcza, żebym wygrał z każdym. Tylko nie z tobą...

– Wiem, kiedy wygram – powiedział cicho chłopczyk.

– Dobrze już, dobrze... Powiedzmy, że ci wierzę. Dobrze, synku, zbieraj wygraną i znikaj.

Chłopiec zaczął niezgrabnie zgarniać miedziaki w połę koszuli. Szło mu niesporo.

Mężczyzna obserwował go z rozbawieniem.

– Zaczekaj – powiedział. Przesypał monety ze swego mieszka do skórzanej sakwy, leżącej przy pasie z kordem. Rzucił sakiewkę małemu.

– Bierz! – Uśmiechnął się. – Taki bogacz bez sakiewki...

Gdy chłopiec zbierał się do odejścia, mężczyzna wstał i ujął go pod brodę.

– Nie jest tak, jak myślisz, synku, nie tak... – rzekł łagodnie. – To nie jest życie usłane różami, to, które sobie w tej chwili wybrałeś. Lepiej wracaj do tatusia i mamusi. A jeśli już koniecznie chcesz, to pamiętaj, nie graj na razie z dorosłymi. Graj z chłopakami o miedziaki, masz jeszcze czas. Wiesz, ja jestem zawodowcem, jestem... byłem najlepszy. Do dziś. Ale jestem zawodowcem i nie połamię dzieciakowi rąk, za to, że ze mną wygrał. Nie ja... I wybacz, że cię uderzyłem. Głupio zabrzmiało, ale to dla twojego dobra...

Chłopczyk spojrzał mu prosto w oczy.

– Dziękuję, panie.

\*\*\*

Wino już wystygło. Tak, pomyślał Jason leniwie, tego dnia w pół godziny zarobiłem więcej niż mój ojciec przez pięć lat klepania zbroi sir Briana. Ale nie pieniądze były najważniejsze. Jason posłuchał swego nieznanego przeciwnika i czekał na swoje dni. Owszem, grywał z rówieśnikami, głównie dla wprawy. Po stronie aktywów miał wkrótce garść miedziaków, złamany, ale całkiem jeszcze dobry nóż, kilka kocich skórek, a przede wszystkim doświadczenie. Po stronie pasywów wybity ząb i wielokrotnie podbijane oczy. W miarę upływu czasu i zdobywania doświadczenia coraz rzadziej.

Ojciec wykonał zlecenie sir Briana. Oprawił damasceńską głownię na sposób wschodni, którego nauczył się w młodości. Rycerz pojechał na swój ostatni turniej i wrócił, o dziwo, siedząc o własnych siłach na młodym bojowym rumaku. Stary, niedowidzący już Smok stąpał dumnie, prowadzony za uzdę. Na pierwszym wozie – co też stanowiło ewenement, bo zazwyczaj w taborze rycerza był tylko pierwszy i jedyny wóz – leżała na słomie piękna, lśniąca zbroja, nieco tylko pogięta i zakrwawiona. Zawiodły jedynie nadzieje sir Briana na okup. Puste lochy zamku nie doczekały się innych lokatorów niż szczury. Gdy ojciec Jasona oglądał rozchlastany jak pergaminowa karta naramiennik nowej zbroi, uznał, że sir Briana po długim okresie niepowodzeń poniósł entuzjazm. Ale i tak rycerz nie miał na co narzekać. W turnieju był klasycznym fuksem, wszyscy nauczeni wieloletnim doświadczeniem stawiali przeciw niemu. I teraz, na kilku wozach wiózł małą fortunę.

Ojciec dopasował nową zbroję, lecz sir Brian nie pojechał już więcej na turniej. Dokupił ziemi i osiadł na swym zamku. Nie naprawił jednak murów i nie kazał założyć nowych łańcuchów do zwodzonego mostu.

Gdy piętnastoletni Jason klęczał na podwórzu przed dymiącymi zgliszczami kuźni, podtrzymując zakrwawioną głowę zabitego ojca, pomyślał, że losy rycerza i jego ojca były w dziwny sposób związane. Damasceński miecz przyniósł obu wielkie chwile radości, i obu przywiódł w końcu do zguby.

Jeden z sąsiadów sir Briana, normański szlachcic o posturze przerośniętego niedźwiedzia, nomen omen Hugo de Malvoisin, też zapragnął mieć nową zbroję. A i reszta by się też przydała. Po spaleniu okolicznych zabudowań i wycięciu wszystkich, których udało się

dogonić, poczet Hugona stanął pod zamkiem sir Briana. Z braku łańcuchów przy zwodzonym moście prowadzenie oblężenia okazało się bezprzedmiotowe i rycerze starli się od razu pieszo na dziedzińcu zamkowym. Jak wiadomo, sir Brian nigdy nie był orłem w walce, nawet pieszej, a wobec zwierzęcej wściekłości Hugona, przewagi wzrostu, siły i szybkości nie pomógł wiele piękny, damasceński miecz. Ostatni obrońca zamku mógł się tylko cofać. Niebawem w sieni zamkowej pod potężnym ciosem morgensterna Hugona pękł jak garnek lśniący, pieczołowicie polerowany przez najlepszego płatnerza w okolicy hełm. Mózg sir Briana ozdobił malowniczo ściany i powałę sieni.

Drugiej swej myśli – wreszcie jestem wolny – Jason wstydził się długo.

Tego dnia ostatecznie zniknął gdzieś Clever, syn płatnerza. Narodził się Jason.

\*\*\*

Dość tego! Jason otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości. Teraz trzeba podnieść dupsko z ławy i ruszać w drogę, ale najpierw przyjdzie zawołać karczmarza i zapłacić, chociaż wredny sukinsyn. Dopił resztę wina, odstawił kubek. Wstał, przeciągnął się aż zatrzeszczało w stawach i sięgnął do sakiewki. Szlag by to trafił, wychodzić na dwór w taką pogodę, ale trudno. Pocieszył się myślą, że w Nottingham, odległym tylko o dwanaście mil, znajdzie lepszą karcznię, a choćby i stryszek w jakiejś stajni.

Przez wycie wiatru na zewnątrz przebił się tętent koni, co najmniej kilku, i zachrypłe nawoływania. Jason zeszywniał. Kurwa, doczekałem się, pomyślał w nagłym przeczuciu kłopotów, i ciężko opadł z powrotem na ławę.

## - II -

Kopnięte drzwi z rozmachem uderzyły o wewnętrzną stronę ściany, wpuszczając do izby wirujący tuman śniegu. Skórki od słoniny wytrzymały. Wraz ze śniegiem do środka wtoczyła się zwałista postać, ocierając czoło i oczy z przyklejonych, topniejących płatków. Przybysz rozejrzał się po izbie i wrzasnął:

- Hej, karczmarzu! No rusz się, suczy pomioście!

Żaden z zamroczonych pijaków nawet nie drgnął. W otwartych drzwiach stanął drugi mężczyzna, młodszy i szczuplejszy. Szczurowaty karczmarz już biegł w ich stronę, z mieszaniną zachwytu i lęku na twarzy.

- Prędeż! - warknął ten zwałisty. Wydawało się to niemożliwe, ale karczmarz pomknął jeszcze szybciej. Szczuplejszy zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę światła, otrząsając śnieg z odzienia. Jason przyjrzał mu się spod oka. Nie ucieszył się tym, co zobaczył. Chłopak - bo był to młodzieniec najwyżej osiemnastoletni - miał na bladej twarzy wypisaną butę i arogancję. I był wyraźnie wściekły. Zwałisty zaczął coś mówić. Jason nadstawił ucha.

- Słuchaj, chamie, jakie niecodzienne szczęście cię spotkało. - Zwałisty mówił głośniej, niż potrzeba. - Zawitał do ciebie najstarszy syn twojego miłościwego hrabiego, Gilbert. Ze swoim gierkiem, znaczy się, ze mną.

Niech to szlag, niewesoło pomyślał Jason, rzeczywiście niespotykane szczęście. Obłowi się chłopina, oczywiście jeżeli zdoła przetrzymać pańskie humory. Ten smarkacz wygląda na nieobliczalnego.

- Wina, piwa, sera i polewki, jeżeli masz takową - wykrzykiwał dalej giermek. - I to szybko, bo inaczej...

Twarz karczmarza wyrażała mocno mieszane uczucia. Trzęsły mu się w widoczny sposób nogi.

– ...inaczej, wisząc na gałęzi, zobaczysz jeszcze, jak się pali ta twoja buda!

Reakcja karczmarza poważnie zaniepokoiła Jasona. Widać młody Gilbert, najstarszy syn miłościwego hrabiego, musiał mieć w okolicy ustaloną reputację.

Karczmarz pomknął do komory, po drodze budząc celnymi kopniakami śpiące dziewczki. Pierwsza usiadła z rozdziawionymi ustami, poczęła wyczesywać palcami źdźbła słomy z rozczochranych włosów. Mrużąc oczy przed światłem, nieprzytomnym wzrokiem wodziła po izbie. Gdy jej spojrzenie zatrzymało się na młodym Gilbercie, zeszywniała. Poczęła szturchać drugą, wolniej wracającą do przytomności. Obie pospiesznie wstały i chwiejnie wycofały się w cień.

Młody Gilbert spojrzał zimno w twarz Jasona. Ten po krótkiej chwili spuścił wzrok. Nie miał najmniejszej ochoty pojedynkować się na spojrzenia. Nie teraz. Nie z tym przeciwnikiem.

Z komory wybiegł karczmarz i stanął przed Gilbertem.

– Prosimy, panie, prosimy! Wino już się grzeje, siadajcie, panie, przy ogniu.

Panicz Gilbert obdarzył cherlawego człowieczka spojrzeniem zarezerwowanym zazwyczaj dla psiego gówna, leżącego w słomie na posadzce zamkowej komnaty. Odwrócił się bez słowa.

Giermek podskoczył do karczmarza i z rozmachu trzasnął go otwartą dłońią w tył głowy. Huknęło głośno, ale szczerowaty ustał na nogach. Na szczęście napastnik zdążył uprzednio zdjąć kolcze rękawice.

– Uważaj, do kogo się odzywasz, śmieciu! – ryknął. – Szlachetny panicz nie ma ochoty cię słuchać! I dawaj szybciej to wino, bo jak nie...

Karczmarz nie przejawiał zainteresowania tym, co się stanie, jeżeli szlachetni panowie nie dostaną na czas swojego wina, być może dobrze wiedział. W każdym razie zniknął w mgnieniu oka.

Korzystając z zamieszania, Jason spróbował nieznacznie usunąć się w cień. Z opuszczoną głową przesunął owinięty pasem kord po ławie i zamierzał właśnie przemieścić jego śladem swój ciężki tyłek. Zamarł w bezruchu na dźwięk cichego, kulturalnego głosu. Podniósł głowę i spojrzał na Gilberta.

– Nie trudźcie się, wam starszym przy ogniu wygodniej – powiedział uprzejmie panicz. – Siądźcie, powiadam. Zaraz wina dadzą, napijecie się. Ziąb taki, a na stare kości grzane wino najlepsze. My spoczniemy przy stole. Kiciak, zrób no trochę miejsca, posprzątaj.

Jason z udawanym stęknieniem usiłował powstać z ławy.

– Siadajcie – powtórzył z naciskiem rozmówca. – Napijcie się. Kiedy ja proszę, to trzeba usiąść. Wypić. I podziękować.

Cóż było robić. Jason z ponownym stęknieniem posadził tyłek na ławie.

– Dziękuję, panie – powiedział cicho, nie podnosząc wzroku. Gilbert nieoczekiwanie uprzejmie skinął głową.

Źle, psiakrew, nie da się spokojnie wyjść, pomyślał Jason. No cóż, trzeba przeczekać, może później będzie lepsza okazja.

Przez szum wiatru i zacinającego mokrego śniegu znów dały się słyszeć kroki, z pewnością kilku ludzi. Jason drgnął, spodziewając się następnego kopa w drzwi.

Tym razem, o dziwo, otwarto je nie kopniakiem, lecz całkiem normalnie. Wraz z kolejnym podmuchem zawiei w izbie znalazło się trzech zbrojnych. Dwóch gołowąsów i jeden starszy już człowiek. Zatrzymali się tuż za progiem i rozpoczęli zwykły rytuał otrząsania się ze śniegu. Najstarszy przetarł wierzchem dłoni długie, zwisające wąsy i zbliżył się do giermka.

– Konie w stajni – zameldował. – Znaleźliśmy obrok, to i zadaliśmy.

– Wytarte? – spytał Kiciak.

– Jakżeby nie? – oburzył się stary – Toć przecież zawsze...

– Dobrze już, dobrze... – niechętnie przyznał giermek. – Wiem. Ale sprawdzić zawsze warto.

– Sprawdzajcie – fuknął gniewnie stary.

– Kiciak – wtrącił łagodnie panicz Gilbert – trochę zaufania. Przynajmniej do pierwszego razu. Bo przecież drugiego razu by nie było, prawda, Kiciak?

Ten zarechotał oblesnie. Stary zbrojny stał sztywno, wpatrzony w punkt gdzieś za plecami giermka.



Młody panicz ze swym wiernym i niewątpliwie pasującym do niego giermkim zasiedli przy koślawym stole. Pojawił się karczmarz z dzbanami wina i kubkami. Rozbudzone już całkiem dziewczki uwijały się, przynosząc skądś bochenki chleba, gomółki sera i dymiące miski gorącej polewki. Jason z ulgą zauważył, że polewka nie pochodziła ze stojącego na polepie usmolonego kociołka. Być może reakcja Gilberta po skosztowaniu nie będzie zbyt gwałtowna.

Panicz szepnął coś giermkowi do ucha. Kiciak szarpnął karczmarza za połę kubraka i wskazał na Jasona. Szczurowaty kiwnął głową i zniknął. Po chwili z nowym dzbanem wina zmierzał w kierunku Jasona. Stawiając dzban na ławie, karczmarz usilnie starał się pochwycić jego spojrzenie. Nie było to łatwe, straszliwy zez powodował, że Jason musiał się domyślać, którym okiem właściwie patrzy mu w twarz. Ale gdy wreszcie się im udało, dostrzegł w małych oczkach szczurowatego śmiertelnie poważne ostrzeżenie. I coś na kształt współczucia.

Ostrożności nigdy za wiele, pomyślał Jason. Napęłnił kubek, wstał, skłonił się i z uśmiechem przepił do Gilberta. Ten kiwnął łaskawie głową, ale bez uśmiechu. Gdy Jason, siadając, spojrzał na karczmarza, zauważył na jego twarzy ślad rozczarowania i dezaprobaty. Szczurowaty ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami, po czym odwrócił się i odszedł, nie poświęcając gościom więcej uwagi. Niech to diabli. Jason zorientował się, że popełnił błąd. Tylko jaki? Przymknął oczy. Trzeba się poważnie zastanowić, jak wykaraskać się z tej sytuacji. Wyjść teraz nie pozwolą, nie po tym ujmującym zaproszeniu. Trzeba zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie. Może się upiją i przestaną zwracać uwagę. Poczekamy.

Zbrojni odpinali właśnie swe pasy z krótkimi mieczami. Stary ze zwisającymi wąsami podszedł do Jasona.

– Pozwolicie, panie? – zapytał. – Czas paskudny, warto się zagrzać przy ogniu. Nie wiadomo, kiedy każą znowu ruszać.

– Oczywiście. – Jason uśmiechnął się. Rzucił okiem w kierunku Gilberta i giermka. Wydawali się całkowicie pochłonięci jedzeniem i piciem. Kiciak podszczypywał właśnie jedną z dziewczek, tę mniej paskudną.

– Oczywiście, siadajcie – powtórzył zaproszenie Jason. – Nie wydaje się jednak, abyście wkrótce ruszali. Wasz pan dopiero co zaczął posiłek.

Stary żołnierz usiadł na ławie. Pokręcił głową.

– Z naszym paniczem nigdy nie wiadomo. Ot, dobrze byłoby chociaż piwo wypić. Nigdy nie wiadomo. – Wciąż kręcił głową.

– Zwłaszcza dzisiaj – dokończył, i zwracając się do pozostałych zbrojnych, przestępujących z nogi na nogę pod ścianą, zawołał:

– A chodźcie, nie stójcie, jak... ten... Łaskawy pan pozwolili!

Dziewka przyniosła dzban z grzanym piwem i gliniane kubki. Zbrojni skwapliwie zabrali się do picia. Stary dostojnie umoczył obwisłe wąsiska w kubku, trzymanym dla rozgrzewki w splecionych dłoniach. Młodszy ciągnęli, jakby ich kto poganiał. Jason, nie odwracając się, krzyknął:

– Hej, dziewczko... tego... jeszcze piwa!

Młodziakom zabłyśły oczy, stary kiwnął głową z aprobatą. Jason pociągnął z kubka małego łyka, uznawszy, że dość już wina na dziś.

Zanim w pierwszym dzbanie pokazało się dno, zjawił się osobiście sam szczyrowaty, niosąc w obu rękach parujące dzbany.

– To żeby dwa razy nie chodzić – wyjaśnił niepytany, stawiając ostrożnie piwo.

Jason nieprzerwanie myślał, w jaki sposób się z tego wszystkiego wykreść. Dobrze byłoby się dowiedzieć, jak panicz Gilbert zwykł spędzać czas. Czy będzie pił, aż zwali się pod stół, czy też zacznie wcześniej rozrabiać. Czy dla dobrej zabawy wystarczy mu podszcypywanie dziewczek, czy też musi kogoś pochłastać gwoli rozrywki. Trzeba by trochę rozruszać zbrojnych, może co powiedzą.

Prawdę mówiąc, nie liczył na to specjalnie. Zwykle pytani o obyczaje pana słudzy nabierali wody w usta. Należało jednak spróbować. Stuknął swym kubkiem o kubek starego.

– No, ale służbę macie niczego – zaczął nieobowiązująco. Stary nie zareagował. Uniósł wprawdzie swój kubek, wypił, ale nie podchwytował tematu.

– Ludzki ten wasz pan, inny to by kazał w stajni, przy koniach, a ten do izby... – ciągnął Jason niezrażony.

Jeden z gołowąsów już otwierał usta, aby odpowiedzieć, ale stary spojrzał na niego. Młodziak zamarł. Stary pociągnął piwa.

– My, panie, z pocztu samego pana hrabiego – odezwał się wreszcie niechętnie. – Tylko dzisiaj pojechali my z młodym paniczem...

– I na wino grzane zaprosi, chociaż on szlachcic, a ja cóż, zwykły kupiec. Widać włos siwy uszanować potrafi.

Obwisłe wąsiska zanurzyły się w kubku. Młodziaki siedziały ze wzrokiem wbitym w swe naczynia.

– Nieczęsto się to zdarza, oj, nieczęsto – paplał Jason radośnie. – Dzieciskom ja opowiem, jak z drogi wrócę, jak to z jaśnie panem...

Stary odstawił kubek i skrzywił się, jakby znalazł w nim co najmniej zdechłą mysz. Spojrzał na Jasona, ale nic nie powiedział. Ten również zamilkł.

Gównu, to tyle, jeżeli chodzi o zdobywanie informacji, pomyślał ze złością. Stary zajął się swoim piwem, młodzi poszli za jego przykładem.

W pewnej chwili Jason spostrzegł, że bezwiednie obraca w dłoni kości do gry. Nieraz przyłapywał się na tym, idiotycznym jak uważał, nawyku. W momentach napięcia często wyjmował kości i obracał je w dłoni z cichym, ledwie słyszalnym grzechotem. Próbował usilnie zwalczyć to przyzwyczajenie, ale jak dotąd bez skutku. Prawdopodobnie dlatego, że naprawdę go to uspokajało. Tak jak teraz. Kości grzechotały cicho, a Jason myślał intensywnie. Nie podobały mu się szybkie spojrzenia, rzucające co jakiś czas w jego stronę przez Gilberta, coraz częstsze. Doszedł do smutnego wniosku, że dany mu czas zaczyna się kurczyć. Ten miły i cichy głos był tylko pozorem, pod maską spokoju Gilbert gotował się z wściekłości.

Kości w dłoni grzechotały coraz prędzej. A gdyby tak wyjść za potrzebą, do stajni, na konia i w las? Już ciemno, może nie dogonią...

Powoli wstał, przeciągnął się. Wtedy uświadomił sobie istotną wadę swego pomysłu. Nie zostawi przecież korda ani sakwy, a trudno będzie w razie czego wyjaśnić, po co je ze sobą zabiera. No, jeszcze kord ewentualnie do oganiania się od wilków, ale sakwa? Postanowił jednak spróbować, może nie zauważą. Wolno skierował się w stronę drzwi. Wydawało mu się, że Gilbert patrzy w inną stronę.

Zrobił kilka kroków, trzymając sakwę przed sobą, jeszcze kawałek...

Spokojny głos osadził go na miejscu.

– A dokąd to, panie kupiec? – spytał panicz Gilbert. Jego twarz nie była już beznamiętną maską, wykrzywił ją złośliwy uśmiech. – Dokąd to? – powtórzył.

Jason stał, przeklinając w myśli w bardzo plugawy sposób.

– No, odlać się – odparł wreszcie. – Wino pędzi.

– A lejcie w ką, panie kupiec, nie czyńcie subiekcji – zezwolił panicz łaskawie. – Ziąb taki na dworze, jeszcze sobie co przeziębicie, nie daj Boże. Lejcie w ką, my zwyczajni.

Kiciak i obie dziewczki zarechotali radośnie.

– Albo i co sobie utniecie, nie daj Bóg – kontynuował Gilbert. – Ot, na przykład tym kordem, co go tak przed sobą chowacie.

Stojąc w kącie tyłem do izby i obserwując pryskające mu spod nóg mokre, oburzone myszy, Jason stwierdził, że już teraz wszystko jasne. Teraz to naprawdę ma przechlapanie.

Skończył, schował, po czym wrócił na ławę przy palenisku. Stary zbrojny podsunął mu pełny kubek. Jason pokręcił głową. Stary spojrzał mu w twarz i przysunął kubek ponownie.

– Napijcie się – powiedział.

– Dzięki, mam już dosyć – odparł Jason dość opryskliwie.

– Napijcie się – powtórzył z naciskiem zbrojny. – Napijcie. Mniej będzie boleć.

– Nie rozumiem – odparł Jason ostro. W istocie rozumiał już doskonale.

Zbrojny nie odpowiedział.

– Żywiej tam, żywiej z tym piwem – rzucił w kierunku młodych. – Zara do stajni trza, zobaczyć, paszy zadać.

– Ale po co, przecież... – zaprotestował jeden nieśmiało.

– Żywiej, mówię, mać wasza smutna! – warknął stary. Wystarczyło. Zbrojni ruszyli do wyjścia, dopinając po drodze pasy i poganiając się wzajemnie.

Dyscyplina, zauważył Jason mimochodem.

Gdy za młodymi zamknęły się drzwi i ustały na moment straszliwe przeciągi, stary milczał jeszcze dłuższą chwilę.

– Widzicie, nasz panicz nie miał dziś dobrego dnia... – zaczął wreszcie, po czym przerwał i pokręcił głową. – Oj, nie miał ci on dobrego dnia – podjął po chwili. – Do panny pojechał, co to się żenić z nią ma. Chociaż teraz, to już po prawdzie nie wiadomo. Całą drogę mówił, że do ślubu nie strzyma. Jeszcześmy koni rozpoprężyć nie zdążyli, jak panicz z sieni wypadł, a na gębie pięć palców równo miał odciśnięte. I taki cichy był, spokojny... A to u niego najgorzej. I jeszcze ojciec panienki, rycerz prawy, na cały kasztel ryczał, cobyśmy wyp... wynosili się z jego domu natychmiast, bo właśnie kusze napinają. Tak co było robić – tak my i wyjechali. A panicz przez całą drogę się uśmiechał i głosu nie podniósł. Tak najgorzej...

Staremu zaschło w gardle. Spłukał je piwem i gadał dalej:

– Nasz panicz dzieciuch to jeszcze... Wszystko sobie do serca bierze, każde głupstwo. Jak nikt mu nie krzyw, to do rany przyłożyć. Bywa, że i przez tydzień nikogo nie pobije, żadnego chłopca w łeb nie zdzieli czy dziewczki nie wyonacy, ba, nawet kota żadnego nie rozedrze. Ale jak mu co za skórę zalezie, to robi się taki grzeczny i spokojny. I nie przejdzie mu, dopóki kogo nie skatuje. Bywa, że i na śmierć...

Jason spojrzał mimo woli na panicza Gilberta, który przestał rzucać w jego stronę szybkie spojrzenia, za to teraz wpatrywał się ciężkim, nieruchomym wzrokiem. Jason poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Jaki to ma związek ze mną? – spytał spokojnie.

Zbrojny uniósł ze zdziwieniem krzaczaste brwi.

– Nie wiecie? Nie udawajcie, na bystrego wyglądacie. W tej karczmie jesteście do wyboru – wy albo ten kurdupel karczmarz. Jak myślicie, z kim panicz będzie miał więcej zabawy?

Jason z niechęcią kiwnął głową. Nie mógł zaprzeczyć oczywistym faktom.

– I ja myślę, że na was popadło – zgodził się stary z przekonaniem. – Dlatego mówię, napijcie się. Ten kubek i następny. A potem jeszcze jeden. Aż padniecie pod stół. Bo wtedy mniej boli. A i panicz szybciej się znudzi, zgrzeje... Wykpicie się może połamanymi żebrami. Dobrze wam radzę... A jeśli wam się wydaje, coście duży, silny, a panicz chuchro, że strzymacie... Co więcej mówić, popatrzcie na Kiciaka. Panicz nie wozi go ze sobą dla ozdoby.

Rady były zapewne dobre, ale Jason zaczął właśnie odczuwać zalewającą go zimną złość. Zgoda, sam się w to wpakował, przez swoje lenistwo i nieostrożność, ale nie będzie dostarczał rozrywki zdegenerowanemu gówniarzowi i jego kompanii. Własne żebra bardzo sobie cenił i nie chciał wydobywać się z opresji ich kosztem. Poza tym, bywało gorzej. Spotykał się już z ludźmi typu Gilberta. W porządku, rozegra to po swojemu. Plan powinien się udać, a jeżeli nie, to jest jeszcze drugi. Poczł przyptływ optymizmu.

Śmiało zaczął brnąć w swój największy bład.

Był pewien, że Gilbert stale go obserwuje. To była część zabawy, widzieć narastający lęk, gdy ofiara miota się i usiłuje znaleźć wyjście. Poczekać na nieuniknioną rezygnację. No dobrze, przyjacielu, patrz, patrz zachłannym wzrokiem, tak, żeby niczego nie uronić. Patrz, bo za chwilę się zdziwisz. Czas na przedstawienie.

Uniósł kubek i przepił w stronę Gilberta. Nie miał najmniejszych trudności z uchwyceniem jego wzroku, panicz już nie jadł, nie pił, nie zwracał uwagi na Kiciaka kotłującego się z dziewczkami na słomie tuż obok. Wpatrywał się nieruchomo w Jasona. Ten wychylił kubek i uśmiechnął się serdecznie. Sięgnął po dzban i dolał piwa. Zbrojny patrzył na niego jak na kogoś, kto właśnie przewiesił pętlę przez gałąź i zakłada ją sobie na szyję. Splunął pod stół.

Niezrażony Jason znów przepił do Gilberta, ciągle z tym samym serdecznym uśmiechem. W twarzy panicza coś drgnęło. Najwyraźniej nie wiedział, co począć w obliczu takiej bezczelności czy błogiej nieświadomości. Spojrzał bezradnie w stronę, gdzie powinien znajdować się giermek, lecz w ciemności na słomie błyskał tylko podskakujący goły tyłek. Znikąd wsparcia.

Jason uśmiechał się nadal, z naprawdę szczerym zadowoleniem. Punkt dla niego. Udało się zakłócić pozorny spokój Gilberta, wybić go z transu. Teraz panicz zacznie się zastanawiać, dlaczego nie jest tak, jak zwykle. Oby tak dalej.

Wyrzucił trzymane w ręce kości na stół. Potoczyły się z grzechotem. Raz, drugi, trzeci... Stary zbrojny i dwóch gołowąsów, którzy wrócili tymczasem ze stajni, odstawiło kubki. Patrzyli zaintrygowani jak na mysz, która, zamiast uciekać, delektuje się serem tuż przed kocim nosem. Jason ciągle uśmiechał się beztrosko.



– Zagramy? – zaproponował wesoło.

Młodziakom opadły szczęki. Starego zatkało.

– Gdzież nam, chudopachołkom... – wyjąkał po chwili. – Toż i postawić co nie mamy, chyba żołąd za następny miesiąc, bo z tego tośmy już przepili.. Ale też wam się chce grać, teraz... Alboście durni, albo... – Pokręcił głową. – Tak, jednak durniście... – zdecydował.

– Może jednak? – uprzejmie ponowił propozycję Jason.

– A może ze mną? – Głos zza pleców nie był już tak spokojny, lecz ostry i gniewny.

Jason schylił głowę, aby ukryć uśmiech. Chwyciło.

Wstał z ławy. Starając się nie patrzeć na Gilberta z góry, co nie było łatwe, zaczął przymilnie:

– Zaszczyt to wielki, panie, naprawdę. Ale jakże mi, niskiego stanu człekowi, grać z samym paniczem? Nie ośmie...

– Ośmielisz się, ośmielisz – przerwał Gilbert, nie starając się już ukrywać złości. – A jak nie, to my cię ośmielimy.

– Jakże to, jam niegodny ze szlachetnym panem.

Gilbert poczerwieniał i sapał coraz głośniej. Nie przeciągaj struny, upomniał się Jason w myśli. Panicz przetarł twarz dłonią i powiedział spokojniej:

– O tym, czyś godny grać ze mną, to ja decyduję! Zrobisz, co ja chcę! A nie, to każę Kiciakowi, a on to lubi, rozedrzyć cię jak... jak... – Uśmiechnął się nagle. – Jak kota.

Ryknął na całe gardło:

– Kiciak, skończ to pieprzenie i cho no!

Giermek wypadł z kąta, dopinając w biegu spodnie.

– Rozedrzyć? – spytał zdyszany.

– Głupiś. Panu kupcowi spieszno do gry, mnie takież. Może później... A ty siadaj z nami. Popatrzysz, czegoś się nauczysz.

Zaprosił Jasona do stołu okrągłym gestem.

Jason zwykle unikał gry ze szlachtą. Tacy dobrze urodzeni byli zbyt ambitni, zbyt nieobliczalni. Nieźle znał się na ludziach, lecz ta znajomość

obejmowała głównie jego zwykłą zwierzynę łowną – kupców, rzemieślników, żołnierzy. W ich wypadku pierwszy rzut oka wystarczał mu zwykle, aby ocenić, czy siadać do gry. Ocena szlachcica była trudniejsza. Pamiętał chrobrego rycerza, który po naprawdę niewielkiej przegranej, ot, paru sztuk srebra, rozpląkał się jak dziecko. Inny znów, po pierwszym przegranym rzucie obiecywał Jasonowi rozsiekanie na plasterki i wtrącenie do lochu, bez sensu zresztą, przynajmniej w tej kolejności. Szlachta miała jeszcze jedną paskudną przywarę – nawet beznadziejnie splukani nie potrafili odejść od stołu, bo honor nie pozwalał. Tak, zwykle gra ze szlachcicem była stratą czasu, w dodatku niebezpieczną.

Jason liczył na młodość i niedoświadczenie Gilberta. Z jego zachowania i słów starego zbrojnego wnioskował, że młodzieniec wrażliwy jest na niepowodzenia i łatwo wpada w złość. Zamierzał więc na koniec niepomyślnego dnia poprawić mu nastrój, pozwalając wygrać, nie za łatwo, aby docenił wygraną. Martwiło go jedynie to, że niewiele pozostało mu do przegrania. Czy to, co ma, będzie wystarczającą rekompensatą? Na szczęście miał do postawienia jeszcze konia. Szlachetnie urodzeni byli osobliwie przywiązani do swych zwierzątek. Strata konia, oprócz materialnej, miała dla nich wymiar moralny, niemal hańby. Bo jak to, szlachcic na piechotę? To gorzej niż bez gaci. Wygranie konia mogło sprawić Gilbertowi dużą satysfakcję, pogłębiając ostatecznie przeciwnika. Co do Jasona, to nie przejawiał on żadnego przywiązania do swego konia, wrednego i narowistego bydlaka, wygranego zresztą przed niespełna dwoma tygodniami. Im szybciej się go pozbędzie, tym lepiej, do Nottingham dojdzie spokojnie piechotą, trudno. Plan, aczkolwiek niesprawdzony, trzymał się kupy. Może się uda.

Drugi plan opierał się na ryzykownym nieco założeniu. Zakładał ogranie Gilberta, nie za bardzo, ale zawsze. Cóż bowiem znaczy skatować nieznanego człowieka bez powodu? Taki kaprys po prostu. Co innego zasieć człowieka, z którym przegrało się właśnie w kości, w dodatku człowieka niskiego stanu. Wstyd, zwłaszcza jeżeli się rozniesie. Plan również był niezły, ale zawsze istniała możliwość, że w decydującej chwili złość weźmie górę nad wstydem. Jason postanowił najpierw realizować plan numer jeden.

Gilbert zasiadł za stołem, wskazał miejsce po przeciwnej stronie.

Ponaglany przez giermka karczmarz mocował właśnie nowe łuczywo w żelaznej kunie przybitej do belki nad samym stołem. Jason usiadł, rozejrzał się. Szczury z oświetlonych teraz kątów chowały się w dalsze, nadal mroczne. Na belce, niemal nad głową panicza Gilberta, nieco w lewo, siedział wielki, nastroszony, szaro-biały kocur. Zdawał się spać, czemu przeczyły ledwie widoczne drgnięcia nastawionych, ponadrywanych w niezliczonych bojach uszu. Wielki, mordziasty bydlak, pomyślał Jason z sympatią. Lubił koty, wbrew rozpowszechnionym poglądom nie uważał ich za sługi diabła. Dobrze ci tu, draniu, uśmiechnął się. Ciepło, pełno żarcia, możesz spać ile chcesz. Pewnie nawet myszy nie łapiesz, przyznaj się.

Mylił się. Wielki, mordziasty bydlak polował na myszy. Głównie dla rozrywki.

Gilbert zaczynał się niecierpliwić. Dobrze, oby tak dalej. Jason z namysłem grzebał w sakiewce. Nie mógł przecież rzucić na stół garści hufnali, nie była to stawka, jakiej po nim oczekiwano. Starannie wyławiał nieliczne monety.

Jego przewagą w każdej grze było coś, czego nie potrafił do końca określić i nazwać. Gdy brał do ręki kości, coś głęboko w umyśle, coś nieuchwytnego, mówiło mu, czy rzut będzie dla niego korzystny, czy nie. Nie było to wyraźne przewidywanie najbliższej przyszłości, nie wiedział, jak potoczą się kości ani ile oczek wyrzuci. Przeczuwał tylko, czy wygra, czy nie. Wrażenie było ledwo, ledwo uchwytnie i łatwo było je przegapić. Nie sprawdzało się też zawsze – Jason nie wiedział, czy to przeczucie było fałszywe, czy też sam nie wsłuchiwał się wystarczająco. Było tak, jakby to ktoś za plecami, a raczej głęboko w głowie, mówił najcichszym z szeptów – teraz obstawiaj wysoko!

Już dawno zauważył, że ten nieuchwytny ktoś odzywa się tylko wtedy, kiedy Jasonowi zależy na wyniku gry, kiedy gra o coś ważnego i jest maksymalnie skoncentrowany. Gdy odpuszczał sobie grę, tajemniczy głos milkł lub stawał się tak cichy, że nie mógł go dosłyszeć.

Wsłuchując się w podszepty niewidzialnego współnika, Jason budował strategię swych gier. Z biegiem czasu dokonał kolejnych odkryć. Wygrane rzuty układały się w serie, na których granicy nawet owo ciche przeczucie traciło swą pewność. Następowało kilka rzutów, przy których przewidywanie mogło się nie sprawdzić. Potem przychodziło

nieuchronne odwrócenie losu. Jason próbował kiedyś przełamać wyroki przeczucia. Grał wysoko wtedy, gdy miał przegrać, i odwrotnie. Przekonał się, że jest to możliwe tylko na początku i na końcu passy, kiedy indziej wewnętrzny głos był w zasadzie nieomylny. Owszem, zdarzały się wyjątki, lecz jak to bywa przy dłuższej grze, nieistotne. Świadczyło to jednak o tym, że pierwsza w życiu gra o jedyną posiadaną sztukę srebra była wielkim ryzykiem.

Już po kilkunastu rzutach doszedł do wniosku, że realizacja pierwszego planu będzie niemożliwa – panicz Gilbert grał jak idiota. Przekonany nie wiedzieć czemu o swej przewadze stawiał wysoko, za każdym razem, nie bacząc na rezultaty. Stos monet przed Jasonem rósł nieustannie, jego przeciwnik zaś dawno utracił swój wystudiowany, zimny spokój. Kości ze stołu chwycił tak zachłannym, drapieżnym ruchem, aż dziw, że nie zostawiał na deskach głębokich bruzd od paznokci. Każdy przegrany rzut – a jak dotąd wszystkie takie były – kwitował wściekłym waleniem pięścią w stół. Gdy passa zaczęła się odwracać, wpadł w drugą skrajność – zaczął obstawiać ostrożnie, rzucając miedziaka czy dwa. Niskie wygrane zdawały się denerwować go jeszcze bardziej od przegranych.

Jason westchnął. Gilbert był hazardzistą. Świadczyło o tym wiele oznak, obgryzanie paznokci, rozbiegane spojrzenie. Raz po raz panicz nerwowo przeliczał leżące przed nim monety.

Pierwszy plan zawiódł na całej linii. Jason nie mógł dać wygrać Gilbertowi tak, by ten się nie zorientował. Poza tym są pewni ludzie, którzy po prostu nie mogą wygrać, zawsze znajdą sposób, aby obstawić nie tak, zawsze uczciwie zapracują na swoją całkowitą klęskę.

Pozostawała jedna, jedyna, jakże nikła szansa – ograć przeciwnika tak, aby go upokorzyć i złamać psychicznie. Gilbert przekroczył już cienką czerwoną linię pomiędzy rozważą i szaleństwem. Jego świat rzucił się dziś na niego i ugryzł boleśnie w zadek. Najpierw ta wredna dziwka, co to nie chciała dać i narobiła wrzasku, teraz ten tłusty sukinsyn, względem którego miał przecież całkiem inne plany. To wszystko miało być zupełnie inaczej!

Jason spod oka obserwował chłopaka. Spostrzegł paznokcie obgryzione do krwi. Trzeba wygrywać, powiedział sobie, przeciągać grę, wbijając od czasu do czasu szpilę, wygrywać konsekwentnie i bezlitośnie,

nie dając Gilbertowi czasu na opamiętanie. Skoncentrować się i nie odpuszczać ani jednego rzutu.

Odetchnął powoli, głęboko. Po chwili przestał słyszeć tubalny głos podchmielonego giermka, który, choć nikt go nie słuchał, opowiadał kolejną historię o swych pijackich, wojennych czy dziwkarskich przewagach. Pozostał tylko Jason i jego przeciwnik, pozostały kości toczące się po stole i szaro-biały kot na belce, który zwyczajem kotów nie wadził nikomu, choć, sądząc z wieku i aparycji, miał równie bogaty życiorys jak przechwalający się głośno giermek. Kot, gdy musi, staje do walki, ale w przeciwieństwie do ludzi nie uważa za stosowne zanudzać kogokolwiek opowiadaniem o niej – po prostu kwestia smaku.

Zbliżał się najbardziej niebezpieczny moment gry. Całe srebro z sakiewki Gilberta leżało już przed Jasonem. Panicz, któremu ręce trzęsły się coraz bardziej, stawiał teraz monety wyjmowane po jednej z mieszka, który niechętnie, dopiero po dwukrotnym powtórzeniu rozkazu, wyciągnął z zanadru Kiciak. Giermek po tej operacji stracił humor, przestał mleć ozorem i tylko postukiwał w stół trzymany w brudnej garści obgryzionym gnatem. Spoglądał z urazą na swego pana. Widać młody panicz nie jest zbyt skrupulatny w oddawaniu długów, skonstatował Jason.

Postanowił przykręcić śrubę. Po każdym wygranym rzucie Jason rzucał Gilbertowi złośliwe uśmieszki. Ten skończył obgryzać paznokcie, zabrał się do palców. Jason pozwolił sobie na przerwę i rozejrzał się. Dostrzegł, że giermek bezwiednie się uśmiecha, paskudnym, złośliwym uśmiechem. Widać żal po stracie pieniędzy stłumił nieco wpojona lojalność.

Spostrzegł to także Gilbert. Zatkaną go na moment.

– Kiciak, kurwa... – wrzasnął. Głos załamał się. – Kiciak, przestań walić w ten stół, ja tu próbuję grać!

Giermek zastygł z przyklepionym do twarzy uśmieszkiem. Chwilę trwał w bezruchu, po czym cisnął gnatem w siedzącego na belce kota, chybiając o dwa, trzy cale. Wielki bydlak nie raczył nawet drgnąć. Zdenerwowało to giermka, który schylił się i zaczął gwałtownie macać w brudnej słomie. Widać z powodzeniem, bo wnet wychylił się spod stołu, wściekle potrząsając kością, która, sądząc z rozmiarów, pochodziła z udźca niezłe wyrosniętego smoka. Zamachnął się. Potworny gnatek

zawirował w gęstym powietrzu, z hałasem poszybował w kierunku kocura. Ten ocenił spod przymkniętych powiek tor pocisku, błyskawicznie zamienił się w długą futrzastą sprężynę, która w mgnieniu oka zniknęła z belki. Gnat przeleciał nad wygrzonym miejscem i walnął w przeciwległą ścianę z hukiem, od którego zatrzęsała się cała karczma. Na siedzących przy stole posypały się śmieci.

– Kurwa... – powiedział z żalem giermek i usiadł. Już bez złośliwego uśmiechu.

Gilbert uparcie grzebał w sakiewce. Nie dogrzebał się niczego, i na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się płaczliwy grymas. Spróbował jeszcze wyrzucić sakiewkę na drugą stronę, co nie przyniosło pozytywnych rezultatów. Chłopak zacisnął bezradnie pięści.

Chwila prawdy, pomyślał Jason. Teraz albo wyciągnie miecz, albo postawi konie. Najpierw konia giermka. Jason prawą ręką masował sobie powoli kark.

Nie był to wbrew pozorom nerwowy gest ani próba przywrócenia krążenia w zdrętwiałej szyi. Raczej ostatnie ubezpieczenie, ostatnia linia obrony. Na karku Jasona, pod kołnierzem, przymocowana była skórzana pochwa, kryjąca pięć niewielkich noży. Właściwie nawet nie noży, ale samych ostrzy w kształcie wydłużonego liścia lub grotu włóczni, zakończonych krótkim żelaznym trzonkiem dla uchwytu. Krawędzie były tępe, by nie pokaleczyć trzymającej nożyk dłoni, ale czubki ostre jak igły. Szczelina w połowie ostrza zalana ołowiem służyła lepszemu wyważeniu. Chwycone za trzonek i rzucone wprawną ręką ostrze z trzech, czterech łokci przebijało półcalową deskę. To wystarczało – stoły do gry w kości rzadko bywają szersze niż trzy, cztery łokcie. Pozornie uniesione w bezradnym geście ręce mogły w jednej chwili porazić przeciwnika.

Już na początku swej kariery szulera Jason odczuł potrzebę posiadania dodatkowego, a raczej ostatecznego argumentu. Gdy jego koleżka Bill, chuderlawy chłopczyna zwany Wypierdkiem wykonał ostatni w grze rzut, używając nie kości, lecz kamienia, który akurat nawinął mu się pod rękę, Jason nie zdążył się uchylić. Za jednym zamachem stracił wygraną – poważną, zdechły kot, całkiem świeży, to nie w kij dmuchał, sama skórka warta pensa! – kawałek zęba i przyjaciela. Z tej lekcji wypływał nieodparty wniosek, że nawet



najbardziej niepozorny i godny lekceważenia przeciwnik może w przypiływie desperacji zmienić reguły gry. Przez pewien czas Jason nie siadał do gry bez sękatej pały na podorędziu. Nie było to jednak optymalne rozwiązanie, widok pały sprawiał, że miał coraz większe trudności w doborze partnerów. Potrzebował czegoś mniej rzucającego się w oczy, a o porównywalnej lub większej sile rażenia. Był przewidujący, w sporach z rówieśnikami wystarczyło zgłuszyć przeciwnika, ale przecież jego ambicje nie kończyły się na rozgrywkach o zdechłe koty, choćby całkiem świeże.

Rozwiązanie problemu przyszło z całkiem niespodziewanej strony. Ojciec, gdy był trochę niedopity, lubił snuć opowieści o dalekich krajach, w których jakoby w młodości bywał, i dziwach, które tam zobaczył. Jason nie dałby złamanego pensa za ich prawdziwość, zwłaszcza że ojciec nie miał dobrej pamięci i rzadko opowiadał tę samą historię dwa razy tak samo. W miarę zaś pochłanianego piwa szybko tracił wątek i nigdy nie kończył swego bajania. A opowieści pozbawione puenty nie miały żadnego wzięcia.

Gdy pewnego razu stary, kiwając się na zydlu, zaczął wyjątkowo niewiarygodną i kretyńską opowieść o wojownikach nocy, ukrywających swe długie miecze w podróżnych kosturach i zabijających przeciwników niechybnie ciskanymi ostrymi metalowymi gwiazdami, Jason nawet nie udawał, że słucha. Porąbało się staremu do końca, pomyślał z rozbawieniem, zaraz powie, że w nocy byli niewidzialni i gołymi rękami rozbijali mury. Opowiedziałby raz coś wiarygodnego, na przykład o błędnych rycerzach zabijających smoki, po co zaraz tak zmyślać. I tak już wszyscy się śmieją z tych bzdur. Jednak gdy stary wdał się w szczegóły, zaczął go słuchać uważniej. Tak, małe nożyki do rzucania, ukryte pod odzieniem! To było to, czego Jason szukał. Cierpliwie czekał na dokładniejszy opis, ale ojciec właśnie kończył o ten jeden kufel za dużo. Ostatnią bełkotliwą kwestią, jaką wygłosił, było zdanie o Maggie, co ma cyce jak donice... Dalszy monolog przerwała dość gwałtownie matka, przy użyciu mokrej ścierki. Maggie, żona wójta z sąsiedniej wsi, miała ustaloną reputację. I rzeczywiście imponujące cycki.

Nazajutrz Jason usiłował podpytać ojca o tajemniczych wojowników. Stary jednak, jak zawsze po przepiciu zgaszony i przemykający się ukradkiem, bąknął niechętnie, że słyszał coś od kupców jedwabnych,

powracających z kraju za wielkim murem, gdzie żółci ludzie mają skośne oczy, a psy dupą szczekają... I tylko tyle. Zniechęcony Jason uznał, że wszystko było ewidentnym wymysłem starego pijaczyny. W te psy mógł jeszcze od biedy uwierzyć, ale mur otaczający cały kraj? Żółci ludzie? Czarni, zgoda, widział kiedyś takiego cudaka z trupą wędrownych kuglarzy w mieście, ale żółci?

Żółci czy nie, opowieść może bzdurna, lecz sam pomysł całkiem niezły, uznał jednak Jason po zastanowieniu. Obeznany nieco z płatnerskim rzemiosłem poświęcił następne miesiące na próby. Rezultatem była pochwa z pięcioma ostrzami o kształcie i rozmiarach będących wynikiem długich doświadczeń. Przez następne lata sztuka szybkiego, niepostrzeżonego dobywania i rzucania nożyków stała się jedyną, której doskonalenia nigdy nie zaniedbywał, pomimo wrodzonego lenistwa.

Po latach musiał oddać sprawiedliwość zapijaczonemu blagierowi, swemu ojcu. Po raz pierwszy, gdy splukany do samych gaci najemny żołdak osuwał się powoli z ławy, śmiesznie zezując na tkwiący pomiędzy oczami trzonek ostrza, a z martwiejących palców wysuwał mu się paskudny sztylet. Po raz drugi, gdy w porcie Smyrna zobaczył małego, niepozornego człowieczka o skośnych oczach, który zabawiał gawieź łamaniem calowych desek i rozbijaniem cegieł gołą ręką. I tylko wszystkie psy, jakie w życiu napotkał, szczekały właściwym końcem.

...Jeszcze nie tym razem. Gilbert na razie nie zerwał się z ławy, zaciśnięte pięści rozluźniły się. Jason odetchnął ze szczerą ulgą. Ciężko by było. Najgorszy ten giermek, siedzący z boku, niewygodnie. Trzej zbrojni. Pięciu ludzi, pięć ostrzy. Szanse niewielkie. A nawet, jeżeli jakimś cudem udałoby się powalić wszystkich, to przecież syn hrabiego nie jest jakimś włóczęgą, o którego się nikt nie upomni.

Cisza przedłużała się. Gilbert patrzył tępych wzrokiem na przenicowaną sakiewkę. Jeszcze nie jest gotów, pomyślał Jason, jeszcze się waha, a rozbicie mojego łba wydaje mu się równie dobrym rozwiązaniem jak próba postawienia wszystkiego na ostatni rzut i nadzieja odegrania się. Trzeba mu pomóc...

– Czyżby znudziła cię nasza niewinna rozrywka, panie? – zapytał z wystudiowaną, nieszczerą troską.

Panicz podniósł głowę i wpatrywał się szklistym wzrokiem w Jasona,

jakby nie docierało do niego to, co słyszał. Ten przycisnął mocniej:

– Fortuna ci nie sprzyja, panie. – Zarechotał z udanym współczuciem.  
– Cóż, ja nie mam powodu, by narzekać. Raz się wygra, a raz...

Zaczął zgarniać srebro ze stołu. Gilbert rzucił się i przycisnął jego rękę do desek.

– Jeszcze nie skończyliśmy... – zasyczał cicho. – Jeszcze nie...

Przybliżył się do Jasona i dysząc mu w twarz kwaśnym odorem wypitego wina, wyszeptał:

– Stawiam mojego konia. Przeciwno wszystkiemu. Ostatni rzut.

Jason rzucał pierwszy. Ledwie toczące się po deskach kości znieruchomiały, panicz z zastygła w dzikim grymasie twarzą zgarnął je ze stołu. Potrząsnął, raz, drugi. Już, już miał je wyrzucić z dłoni, gdy zamarł. Gestem nieszczęsnego dyletanta uniósł zaciśniętą pięść do ust i chuchnął. Szybkim ruchem nadgarstka rzucił kości na stół.

Przegrał.

Zerwał się, przewracając ławę. Dłoń bezradnie macała przy boku, szukając rękojeści miecza, który wprzód odpiął wraz z pasem i rzucił na ławę. To ostatecznie przeważało. Chłopak zapadł się w siebie, ramiona opadły mu bezwładnie. Rozpłakał się.

Ciepła fala ulgi spłynęła na Jasona. Gilbert nie tylko nie umiał grać, nie potrafił też przegrać w dobrym stylu. Jason opuścił wzniesione nad karkiem ręce. Teraz trzeba gówniarza ugłaskać, pocieszyć i spróbować przegrać do niego tego pieprzonego konia. I może trochę pieniędzy. Poczuł, że trzęsą mu się nogi. W czasie rozgrywki nie zdawał sobie sprawy ze straszliwego napięcia, ale wreszcie przyszła reakcja. W końcu stawka była wysoka, chyba jak nigdy dotąd. Coś trzeba wymyślić, ale to za chwilę, najpierw przydałoby się przepłukać gardło... Zbrojni wpatrywali się w palenisko, udając, że dostrzegają w nim coś niezmiernie interesującego. Giermek... Gdzie podział się ten...

Zanim Jason z rozmachem uderzył twarzą w nieheblowane deski stołu, w gasnącym czerwonym rozbłysku zrozumiał, gdzie podział się giermek. Pokłady smoczycy gnatów pod stołem były widać niewyczerpane i Kiciak nie miał trudności ze znalezieniem odpowiedniego.

\*\*\*

Powrót do przytomności był procesem trudnym i bolesnym. Wszystko wirowało w mętnej, szarej mgłę. Rozpaczliwie czepiał się tych przebłysków, usiłując wydobyć z mroku, nie wiedząc kim ani gdzie jest. Powoli wracała doń świadomość własnego ciała, napływała bólem ściskającym skronie, ukłuciami w boku. Cierpienie pomagało chwytać strzępiące się myśli. Spróbował poruszyć się, ale paląca fala przetoczyła się przez całe ciało. Zwiotczał gwałtownie, jednak po chwili usiłował zrobić coś łatwiejszego – otworzyć oczy. Nie mógł. Panika wyzwoliła następny przyływ bólu. Znieruchomiał.

Poczuł zimny dotyk i wilgoć na policzkach. Ktoś przemywał mu twarz. Starając się ignorować ból, powoli uniósł rękę. Z trudem przesunął po czole, oczodołach. Namacał twardą, zeschniętą skorupę. Nie jestem ślepy, pomyślał, nie mając nawet siły na ulgę. To tylko krew zlepiła powieki.

Niezbyt delikatne zabiegi przy twarzy zaczynały przynosić rezultaty. Mógł już rozchylić powieki jednego oka, co niezwłocznie uczynił, ale zaraz je zamknął. Światło wbiło się w czaszkę jak sztylet i eksplodowało jaskrawo.

– Spokojnie – usłyszał. – Nie spiesz się tak, człowiecze.

Nie poruszył się, czując, jak mokra szmata zdziera rozmiękłe strupy z twarzy. Zapieкло rozcięte głęboko czoło. Ten drobny ból dodany do ogólnej sumy dolegliwości nie zrobił na nim większego wrażenia.

– No, gotowe – powiedział znajomy, niski głos. – Możesz otworzyć oczy, tylko ostrożnie.

Jason usłuchał, próbował przypomnieć sobie, gdzie jest i co tu tak naprawdę robi. Nie było to łatwe, bo myśli rwały się jak zetlane płótno. Karczma... szczirowaty kurdupel... kocur na belce... Powoli, z wielkim trudem składał wszystko do kupy. Gilbert... zwalisty giermek... ostatni rzut o wszystko... Wiedział już i nagły poryw lęku zmusił go do dźwignięcia głowy. Z takim samym skutkiem, jak poprzednio. Poprzez huczące w głowie dzwony dosłyszał:

– Mówiłem, otworzyć oczy, a nie siadać, dupku.

No proszę, awansowałem na dupka, pomyślał Jason niewesoło. Poniekąd słusznie.

W głowie zahuczało, ale po chwili ujrzał przed sobą trzech karczmarzy. Mozolnie wyteęzał wzrok, aż karczmarze poczęli nakładać się na siebie i pozostał tylko jeden. Ten środkowy.

– Jak... – chciał zapytać, lecz z gardła wydobyło się jedynie niezrozumiałe skrzeczenie. Zakaszłał. W żebrach znów zakłuło.

Karczmarz podtrzymał mu głowę i podsunął do ust gliniany kubek. Jason usiłował pić, krztusząc się raz po raz. Miał problemy z oddychaniem. Gdy karczmarz odsunął kubek, uniósł rękę i z niedowierzaniem dotknął czegoś w rodzaju dorodnej rzepy, wyrastającej ze środka twarzy. Tam, gdzie u innych ludzi, a i przedtem u niego zwykł znajdować się nos.

– Jak długo... – spytał zgrzytliwie, lecz zrozumiale.

– Długo. Już dzień. Całą noc bez ducha przeleżałeś.

Jason ponownie pomacał dorodną rzepę.

– A tak – powiedział szczerowaty, szczerząc się złośliwie. – Też złamany.

Coś mi w tym uśmiechu nie pasuje, mętnie skonstatował Jason, ale chwili już wiedział: szczerowatemu pozostał tylko jeden siekacz, ten nadłamany. Karczmarz pochwycił jego spojrzenie. Chuda twarz ściągnęła się.

– Tak, kurwa – wycedził wolno – przez ciebie. Nie tylko to...

Zamilkł. Potem odezwał się cicho i jakoś bezradnie:

– Jak dostałeś w łeb, panicz zaraz przestał płakać. Wściekł się. Myślał, że nie żyjesz, zresztą, wyglądało zrazu, że się nie myli. Tyle juchy wypłynęło z twojego nocha. Panicz dał giermkowi w pysk, krzyczał, że to on powinien ci urwać łeb przy samej dupie... Giermek próbował tłumaczyć, ale panicz wściekł się jeszcze bardziej. Biegał po izbie. Nie zdążyłem odskoczyć, walnął w pysk... Cóż, zwyczajny jestem, wywinąłem się, i w kąt. Zęba po drodze wyplułem. Nie gonił mnie, niestety... Odwrócił się i wpadł prosto na Mary...

Głos załamał mu się. Na chudej twarzy malował się ból.

– Wpadł prosto na Mary. Głupia dziewczka, nie uciekła zawczasu... Tak bez niczego, bez racji uderzył ją w twarz. Rękojeścią. Ładna nigdy nie była, a teraz... Córuś moja...

Zgarbionymi plecami wstrząsnął szloch. Po chwili karczmarz przetarł oczy i mówił dalej:

– Na szczęście zaczęłaś się ruszać. Wtedy zajęli się tobą. Skopali cię obaj, z giermkim. Kiedy chcieli cię dobić, stary James, wiesz, ten zbrojny, krzyknął, że nie uchodzi. To, że jeszcze żyjesz, to tylko jego zasługa. Panicz sklął go, rzucił się z mieczem, ale James nie uląkł się. Po prawdzie, on hrabiowski, nie panicza. A mir u hrabiego ma duży, trzydzieści lat będzie, jak w służbie... Posłuchanie u hrabiego ma. Panicz wie, że gdyby hrabia dowiedział się, że zno wu do kości zasiadł, że wszystko przegrał, a ciebie potem usiekł, to... Pewnie nogi by mu z dupy powyrywał i psom do zabawy rzucił. Bo łośńskiego roku konia zacnego, bojowego panicz w kości na jarmarku przegrał do szlachcica pewnego. A jak próbował siłą go odbierać, to tylko ludzi wytracił. I honor, jak powiadał pan hrabia. A dla takich panów ludzie to furda, honor to grunt...

Wysmarkał się hałaśliwie, krzywiąc się.

– Otrzeźwiło to panicza. Giermek radził wprawdzie, coby wszystkich wyrznąć i karczmę spalić, to i wstydu nijakiego nie będzie, bo się nie rozniesie, ale panicz już nie słuchał. Gotowało się w nim dalej, ale poniechał cię. Miotał się jeno po izbie i kłął, tak że aż mi straszno było. Pochowali my się wszyscy, tylko kot, jak krew poczuł, zawściekł się okrutnie. Biegał po izbie, ba, żeby to po izbie. Po ścianach i powale biegał, nie uwierzycie, jako po polepie. Syczał, parskął, z pazurami się rzucał. Próbowali go zarąbać, ale gdzie tam, na kota z mieczem... Z kuszy jeno, a i to trudno. Wywijał się. Raz giermek w kąć go zapędził, chwycił, a rękawice kolcze miał... Tyle tego było, że kocur pysk mu zorał, szkoda, że ślepiów nie wydrapał. Wyrwał się zaraz i tyle go widzieli. Jemu jednemu się udało.

Szczurowaty zamilkł na chwilę. Spojrzał Jasonowi prosto w oczy.

– Czy możesz podać mi powód? – zapytał już spokojnie. – Choć jeden powód, dla którego nie miałbym urznąć ci łba i zawieźć paniczowi w prezencie? Tylko jeden, więcej nie oczekuję.

Jason nie spuścił wzroku. Było mu wszystko jedno.



– Nie mogę – mruknął po prostu.

– Nie możesz – powtórzył powoli karczmarz. – Nie możesz... Skoro tak, to ja ci podam. Bo widzisz, szlachetny panie kupiec, z ciebie jest taki sam kupiec, jak ze mnie królewski szeryf. Bo jesteś taki sam oszust, złodziej i skurwysyn, jak ja. Nie obrażaj się, widziałem jak grasz. Widziałem twoją sakiewkę, równie prawdziwą jak ty. Widziałem, co masz za kołnierzem...

– Nie obrażam się... – powiedział Jason z trudem. Palił go wstyd. Nie dlatego, że karczmarz go przejrzał, ale z powodu tego, co ściągnął szczurowatemu na głowę.

– Nie obrażasz się... To dobrze, bo gdyby było inaczej, może jednak urznąłbym twój głupi łeb. A jeśli nie urznę, to wiesz dlaczego? Nie, nie przez jakąś pieprzoną solidarność, niech ci się nie wydaje. Takie sukinsyny jak my nie mają żadnych zasad. Nie urznę ci łba jedynie dlatego, że nie mam w tym żadnego interesu. Bo twoje pieniądze i tak zabrał Kiciak. A ja nie zabijam dla zabawy, tym się różnię od miłościwego panicza.

Zamilkł i tylko fukał gniewnie.

– Teraz spróbuj się pozbierać i wynoś się stąd. Panicz ochłonie i wróci tu niebawem, na pewno. Kto wie, co zrobi, może zabije tylko ciebie, a może nas wszystkich, i karczmę spali. Wynoś się czym prędzej. Dość już narobiłeś złego...

Jason spróbował wstać. Z trudem, ale o dziwo udało się, choć z lekka go zamroczyło.

Chwiejnie, trzymając się ściany, ruszył do drzwi. Po trzech krokach nogi się pod nim ugięły, opadł na kolana i zwymiotował. Nie bardzo miał czym, więc uporczywe skurcze niemalże wyrzuciły mu żołądek przez gardło.

– Zaczekaj! – zawołał za nim karczmarz. – Nie tak ostro. Usiądź na ławie, oprzytomniej trochę. Inaczej na koniu nie usiedzisz, a teraz całą izbę mi zarzygasz.

Obrzucił wzrokiem zagrożone pomieszczenie.

– Po prawdzie, niewiele to zaszkodzi – dodał nieoczekiwanie.

\*\*\*

Zrywał się wiatr, z niskich chmur zaczynał sypać rzadki, mokry śnieg. Jason podszedł powoli do swego konia, którego karczmarz trzymał za uzdę. Bez słowa, przeklinając z bólu w myślach, wgramolił się na siodło. Karczmarz podał mu kord i sakwę. Z tyłu, w otwartych drzwiach dostrzegł dziewczynę z twarzą obwiązaną brudną, zakrwawioną szmatą. Zakłuło go ze wstydu. Nie wiedział, co zrobić. W końcu nie zrobił nic.

– Jeszcze jedno – dobiegł go głos szczurowatego. – Na twoim miejscu nie jechałbym gościńcem. Panicz może tam na ciebie czekać. Wprawdzie w taki ziab... – Wstrząsnął się. – Ale panicz zajadły. Jedź przez las, droga wprawdzie dalsza, a las, mówią, przeklęty, upiory tam podobno krążą, zwierza okrutnego dużo... Dla ciebie jednak i upiór lepszy od panicza.

Jason zastanowił się nad propozycją. Bał się wprawdzie lasu, bał się zabłądzić, ale w obecnej sytuacji... Nawet upiory mniej straszne. Kiwnął głową.

– Masz rację – powiedział. – I... dziękuję.

– Za co? – wybuchnął oszust, złodziej i skurwysyn. – Za co?! Za to, że ci gębę otarłem? Za to, że ci drogę wskazałem? Zwyczajna to rzecz.

– Nie za to. Za to, żeś nie uznał konia, korda i sakwy za wartych mojego łba. Bo tylko interes się liczy, zasad przecie żadnych nie ma między nami skurwysynami...

Karczmarz długo milczał. Bo i cóż było mówić.

– Jedź już – rzekł wreszcie cicho. Odwrócił się i nie oglądając się, zamknął za sobą koślawe drzwi, zawieszane z braku zawiasów na skórkach od słoniny.

Jason popędził konia.

Na belce pod okapem siedział biało-szary kocur, śledząc go nieruchomym spojrzeniem żółtych ślepiów. Uśmiechał się wewnętrznie, jak to koty mają we zwyczaju – z wyjątkiem słynnych kotów z Cheshire, które jak wiadomo śmieją się pełną gębą – wspominając krew tryskającą z poranej pazurami twarzy paskudnego giermka. Kota bowiem skrzywdzić łatwo, wystarczy przerwać mu spokojną drzemkę czy też polać wodą. Brrr... Wzdrygnął się na samą myśl o tak niecnym czynie.

Tak, kota skrzywdzić łatwo... Ale kot pamięta. Długo pamięta.

### - III -

Jason gnał wąskim leśnym traktem. Połamane żebra dokuczały przy każdym wstrząsie. Po kilku próbach zmuszenia konia do galopu zrezygnował i poprzestał na wolniejszym, lecz powodującym dużo mniej bolesnych podskoków kłusie. Zimny wiatr i zacinający mokry śnieg przemieszany z deszczem otrzeźwiły go nieco. Mógł już jaśniej myśleć. Wiatr i śnieg chłodziły też porozbijaną twarz, tłumiąc tępy ból promieniujący od zatok i złamanego nosa, ściskający mózg jak orzech w imadle. Tylko te żebra, przypominające o sobie z denerwującą regularnością przy każdym podskoku.

Przestały go już nękać ataki podwójnego widzenia, powodujące zawroty głowy i trudności z utrzymaniem się w siodle, zaczęły zaś docierać szczegóły otoczenia; widok wąskiego traktu biegnącego ponurym, podmokłym grądem. Rzecz jasna Jason nie wiedział, że jest to akurat grąd. Jego naturalnym środowiskiem były zadymione karczmy i gwarne jarmarki, zamkowe dziedzińce i, rzadziej wprawdzie, zamkowe komnaty. Na zaplutych, śmierdzących uliczkach, z rynsztokami pełnymi wylewanych z okien nieczystości, czuł się jak w domu. Kochał gwar i jazgot miast, niestraszne były mu cienie rabusiów i rzezimieszków przemykających się po zmroku w zakazanych zaułkach. W podróży wybierał trakty wiodące przez pola i poprzecinane kamiennymi murkami pastwiska, nakrapiane gdzieniegdzie jasnymi plamami pasących się owiec, unikał, gdy tylko mógł, traktów przez lasy. A wtedy, gdy musiał, starał się wybierać możliwie szerokie i uczęszczane gościńce, przedkładając ewentualne spotkanie z bandą grasantów nad watahę wilków.

Wstawał późny dzień, będący krótką przerwą marnego światła przed długim mrokiem. Zacinający śnieg zalepiał oczy, powodując, że każdy jałowiec w polu widzenia jawił się jako przyczajony zwierz. Gdzieniegdzie wiekowe świerki wyciągały obwisłe, czarne łapy nad

ścieżkę, jak mroczne olbrzymy, pragnące schwytać i konia, i jeźdźca. Jason zapomniał, wiele mil miało być tą leśną drogą do Nottingham. Nie wiedział, ile czasu zajmie podróż przez przeklętą przez Boga i ludzi puszcę Sherwood, która, jak mówiono, pełna była prócz dzikiego zwierza także nieludzkich i niezwierzęcych potworów, niespotykanych już gdzie indziej, poza dzikimi i niezbadanymi krańcami wyspy; przez puszcę, w której po osławionej, krwawej rebelii łatwiej ponoć spotkać upiora spoglądającego pustymi oczodołami spod okapu zardzewiałego hełmu niż swojskiego borsuka czy wiewiórkę. Gdzie w tajemniczych wykrotach leśnej głuszy czaiły się wampiry i sysuny, wyruszające nocą do okolicznych wiosek na swe koszmarnie łowy, a ścieżkę przed podróżnym przebiegały niekształtne postaci gnomów i koboldów. Jason słyszał też o myśliwych, którzy wyruszali na polowanie w upalne lata i nie wracali już nigdy, a czasem tylko znajdowano ich wiszące na drzewach, wprawnie oskórowane i oprawione zwłoki.

Przeklinał w myślach wszystkie te chwile, gdy słuchał bająn wiejskich dziadów i wędrownych minstrelów. Wydawały się zabawne, nawet ciekawe, gdy siedział w bezpiecznej karczmie czy komnacie, otoczony ludźmi. Tu i teraz, na wąskiej, ciemnej ścieżce pomiędzy bezlistnymi drzewami, pikantne szczegóły gwałtownie straciły cały swój urok. Jason usiłował myśleć o czymś przyjemnym, mozolnie przywołując wspomnienia uczt, wesołych jarmarków, widok i dotyk obfitych biustów, smak pocałunków... Daremnie. Przed oczyma stawały wciąż wyciągnięte gdzieś z pokładów podświadomości strzępy straszliwych historii. Jego żywa wyobraźnia była w tym momencie największym wrogiem, ubierając dawno zasłyszane słowa w wyraziste obrazy. Próbował pomyśleć o tym, jak już niebawem, po szczęśliwym przybyciu do miasta wejdzie do ciepłej, wypełnionej swojskim tłumem oberży, wyciągnie się na sianie na stajennym stryszku... Też na nic.

Drogę przebiegł oszroniony dzik, nie zwrócił uwagi na jeźdźca, podążając w sobie tylko wiadomym celu. Jason z przerażenia zdarł wodze. O mało nie przeleciał przez końską szyję. Łomoczące serce skoczyło mu do gardła. Brutalnie wstrzymany koń tańczył po ścieżce, uderzając wystraszonym, obolałym jeźdźcem o nisko zwisające gałęzie wiązów.

Dopiero po dłuższej chwili udało się uspokoić spłoszone zwierzę. Gdy

serce zdecydowało się powrócić z gardła na zwykle zajmowane miejsce, do Jasona dotarło, że dzik poszedł spokojnie swoją drogą i nie rzucił się na niego ze skowytami, czy jakiś tam dźwięk wydają szarżujące odyńce. W tym momencie uświadomił sobie, że jeśli nie zapanuje nad sobą, to prędzej rozwali sobie łeb o pierwszy z brzegu pień, niż dojedzie szczęśliwie do miasta.

Uderzył konia piętami i, wciąż jeszcze rozdygotany, ruszył wolno dalej. O mało nie opuścił w gacie, przyznał w duchu. Ponaglił konia.

Z podmokłych grądów wjechał w wyższe partie, porośnięte głównie ciemnymi, prostymi świerkami. Ścieżka pomroczyła jeszcze bardziej. Na dodatek śnieg z deszczem wyraźnie zgęstniał. Patrząc w otchłanie pod nawisami gałęzi, Jason nie był wcale zachwycony tą odmianą, znów zaczęły napływać fale paniki. Zdawało mu się, że spod zwieszonych gałęzi śledzą go łakome, błyszczące oczy. Miał wrażenie, że przez szum drzew słyszy odgłos tętentu czy też ciężkich, łamiących poszycie kroków... z tyłu... z boków... Kark drętwiał od ciągłego spoglądania przez jedno czy drugie ramię. Bez sensu, bo na tych kilkudziesięciu krokach wąskiej ścieżki, które widział, zanim gęstniejąca kurtyna wirujących płatków i mroku przesłaniała resztę, nic, ale to nic nie było. Nic się nie skradało, nie otaczały go hordy widmowych postaci. No tak, ale dalej, w mroku...

Zupełnie nie w porę Jason przypomniał sobie, że niektóre z krwiożerczych stworów miały ponoć niemiły zwyczaj siadywania na drzewach i rzucania się stamtąd prosto na karki zaskoczonych podróżnych. Wprawdzie nie pamiętał ani nazwy, ani innych zwyczajów owych stworów – co robią, gdy już spadną na kark? Od razu przegryzają? Czy może tylko zasłaniają oczy zimnymi, kościstymi dłońmi i chichoczą złośliwie? – ale natychmiast, w przerwach pomiędzy oglądaniem się, zaczął zadzierać głowę. Tyle skorzystał, że nasypało mu się śniegu do oczu. Oślepiony, puścił wodze, a koń, poczuwszy luz, zwolnił tempo.

Las przerzedził się, droga pojaśniała. W dalekiej perspektywie, zmaconej padającym wciąż śniegiem Jason niewyraźnie dostrzegł coś, co mogło być polaną, porębą lub może nawet puszczańską wioską. Puszczańska wioska! Wreszcie jacyś ludzie, chociażby i śmierdzące chłopstwo. Uderzył konia piętami.

W głębi duszy Jason wierzył w większość opowiadań o dziwnych

potworach i ich zwyczajach. Im bardziej potwornych, tym lepiej. Wnosiło to nieco dreszczyku w szarą rzeczywistość, w której zagrożeniem byli na ogół całkiem zwyczajni ludzie. Sceptycznie podchodził tylko do opowieści o słynnych przeklętych polach, na których z powodu nieznanego a strasznej klątwy wyginęło wszystko – drzewa, trawy, zboże, zwierza wszelaki i robale w ziemi. Ptak, gdy nieopatrznie się tam zapuścił, spadał na ziemię martwy. Wszystko, co rosło czy żyło, w jednej chwili zostało unicestwione, po wsze czasy. Co w tym straszego, myślał kiedyś, w splachetku wyjąłowanej ziemi?

Śnieg przestał na chwilę padać, gdy wreszcie wyjechał na otwartą przestrzeń. Rozejrzał się w poszukiwaniu wioskowych zabudowań. Potem mógł już tylko ścisnąć wodze zdrętwiałymi nagle dłońmi. I patrzeć.

Droga wiodła skrajem takiego właśnie pola.

Trudno byłoby nazwać je splachetkiem. Pod niskimi, granatowymi chmurami, brzemiennymi mokrym śniegiem rozciągała się ogromna, pusta przestrzeń. Wiało od niej szczególnym zimnem. I opuszczeniem. Pusta? Jason po chwili zaczął dostrzegać szczegóły. Szkielety drzew, rosnące rzędami wzdłuż czegoś, co kiedyś zapewne było miedzami. Zetłałe wspomnienia grusz, z których wiatry poprzednich jesieni zdarły już i uniosły w dal gałązki i konary. Stały więc nagie, powykręcane pnie, nieporuszone w podmuchach wichury. Chałupy, z których pozostały jedynie rozwalające się zręby ścian pod zapadniętymi resztkami strzech. Szczerbate, kamienne ocembrowanie studni. I ziemia, szara, niepokryta topniejącym śniegiem, z której dawno zniknął martwy humus, pozostawiając jałowy piach, przetykany splątanymi korzeniami umarłych roślin. Walające się gdzieniegdzie zwierzęce kości, pożółkłe i kruche. Wszystko dokoła szare, bez barw, powleczone jakby warstwą popiołu.

Jason już nie odczuwał lęku, jego umysł wyłączył się. Mógł tylko patrzeć i rejestrować koszmarnie widoki, machinalnie uspokajając chrapiącego, rzucającego głową konia. Las, który stykał się z przeklętym polem, też nie wyglądał zbyt pięknie. Jason mijał jałowce wielkości potężnych dębów. Kątem oka dostrzegał pnie drzew, powykręcane, jakby w straszliwych męczarniach. Krwawe, wilgotne nacieki na korze, spuchnięte i pączkujące jak potworne grzyby. Minął truchło dorodnego jelenia, nienaruszone z zewnątrz przez drapieżniki, ale zapadłe w sobie,

płaskie, jakby zwierzę pożarte zostało od środka.

Nie pamiętał, jak długo trwała ta przerażająca jazda. Ocknął się dopiero w zwyczajnym, ciemnym i ponurym lesie, z radością witając jego groźną normalność. Nie oglądając się już, zmusił zmęczonego konia do kłusa.

\*\*\*

Pomylili się obaj, on i karczmarz. Nie docenili panicza Gilberta. Gdy Jason, ujechawszy następną milę, prawie uwierzył w szczęśliwe zakończenie niemiłej przygody, pod wierzchowcem załamały się przednie nogi. Zwykle tak bywa, gdy biegnący koń napotka na swej drodze nadlatujący z przeciwka bełt.

Usiłował wyszarpnąć stopy ze strzemion, ale udało mu się tylko jedną. Pociągnięty za drugą przez padające w pędzie zwierzę zatoczył szeroki łuk i grzmotnął z rozmachem o ziemię.

Ocknął się z uczuciem, że coś przyciska mu pierś, powodując nieznośny ból połamanych żeber. Oddychał z trudnością, coś zimnego i ostrego stykało się z gardłem, a po rozgrzanym ucieczką ciele spływały lodowate, aż parzące krople.

Leżał na wznak, a młody panicz Gilbert stał nad nim, całym ciężarem opierając się na nodze wpartej w jego pierś. Z nic niewyrażającą bladą twarzą gmerał z namysłem sztychem miecza przy gardle leżącego.

Na Jasona spłynęło ciepło ostatecznej rezygnacji. Już po wszystkim... Zrobiło mu się dziwnie lekko; jakby patrzył na wszystko z zewnątrz, spoza własnego ciała, obojętnie, jakby to nie on był głównym zainteresowanym.

Dokonało się, pomyślał z niezamierzonym patosem, koniec. Zaraz przyszpili mnie tym mieczem do ziemi jak karalucha do polepy. Ciekawe, jak to będzie... Swoją drogą sprytny gówniarz. Przewidział, któredy pojedę. Nie zawahał się zagłębić w tę przeklętą puszcę... No dalej, smarkaczu, kończ już... Taki jestem zmęczony...

Panicz ani myślał kończyć. Nie zależało mu na szybkiej egzekucji. Wpatrywał się uparcie w oczy Jasona, chcąc się upewnić, czy jest



dostatecznie przytomny, czy rozumie...

– A tak! – powiedział cicho, ledwie słyszalnym przez szum wiatru w nagich gałęziach głosem. – Myślałeś, żeś lepszy od Gilberta, że możesz drwić z niego, ograć go bezkarnie.

Przycisnął mocniej miecz.

– Myślałeś, że wyjedziesz, ot tak, bez pożegnania – chełpił się dalej. – A tymczasem Gilbert cierpliwy. Począł. A teraz cię troszkę naznaczy. Niedużo, na początek...

Odjął sztych miecza od gardła Jasona, przyłożył do policzka, powoli pociągnął.

– ...troszkę naznaczy. Powoli, mamy czas... – dodał, wiercąc sztychem tuż pod kością jarzmową. Jason szarpnął się, z bólu pociemniało mu w oczach.

– Panie... – zaczął giermek, zwijając zdartą z Jasona odzież w zgrabny tobołek. – Zmierzchać się wkrótce będzie, do kasztelu droga daleka.

– Spokojnie, Kiciak, zdążymy. Rzuć te łachy i chodź no tu na chwilę. Przytrzymaj.

Kiciak wzruszył ramionami, cisnął węzełek i stanął w rozkroku na nadgarstkach rozrzuconych rąk leżącego. Jason mimo bólu dostrzegł pochyloną twarz, naznaczoną zaognionymi już, głębokimi szramami. Tak, po kocie długo się paskudzi. Tobie się przynajmniej udało, przyjacielu, wspomniał szaro-białego kocura.

Panicz powoli przeciągnął sztychem po drugim policzku. Jason zadrgał, ale zdusił krzyk w gardle. Niedoczekanie, sukinsynu...

– A pokrzycz sobie, pokrzycz – powiedział Gilbert, zgadując jego myśli. – Pokrzycz sobie, lżej będzie. Tu nikt nie usłyszy... Co, nie chcesz? – zdziwił się po długiej dla Jasona, wypełnionej bólem chwili. – Nie chcesz? Pomożemy.

Odjął miecz, obrócił się nieco i przytknął sztych do krocza. Jason wrzasnął mimo woli.

– Tak lepiej, kochaneczku, tak lepiej. – Usatysfakcjonowany panicz zdjął nogę z piersi wijącego się bezradnie człowieka. Odstąpił krok. Uniósł z namysłem miecz, trzymany dotąd ostrzem do dołu.

Dobij, pomyślał Jason.

– Dobij wreszcie! – krzyknął już głośno.

Gilbert wzniósł miecz, szukając najwyraźniej właściwego miejsca do uderzenia. Giermek odskoczył, nie chcąc stracić przypadkiem jakiejś istotnej części ciała. Jason przymknął oczy i czekał...

Nic się nie stało. Po raz ostatni pomylił się w ocenie panicza. Ten był większym sukinsynem, niż mu się z początku wydawało. A nawet większym, niż okazał się przed chwilą. Gdy Jason otworzył oczy, Gilbert siedział już na koniu, a jego miecz spokojnie tkwił w pochwie u boku. Z wysokości kulbaki powiedział z ujmującym uśmiechem:

– Daruję cię zdrowiem. Zgrzałeś się, to i ostygniesz trochę. Ochłoniesz... A i czas będziesz miał, zastanowisz się nad sobą, nad tym, jaki z ciebie skurwysyn. Kiciak, zbieraj te łachy, ruszamy!

Spiął konia i odjechali, nie zaszczycając leżącego już żadnym spojrzeniem. A gdy padający śnieg z deszczem stłumił w oddali odgłos kopyt, Jason mimo bólu i niemocy wstał chwiejnie. I zaczął biec. Nie wiedząc dokąd, przed siebie...

## - IV -

*I padł na kolana Bł. Piotr, usłyszawszy iako człek ów nieszczęsny poznaie rzeczy skryte a prorokuie iako Saul od czarta porwany, a ięzykiem przemawia o rzeczach wysokich. A odbieżali wszyscy, widząc, iż permittente Deo demon wstąpił w nieszczęsne ciało, ingres mając przez usta alboli per secessum.*

*Bł. Piotr nie uląkł się, ni opętanego nie poniechał, jeno remediów, od Kościoła Bożego wykoncypowanych imać się iął, duszę swą nieulekłą Bogu polecając. Tako też siedem dni i siedem nocy z mocą y perfidyą dyabelską się zmagał. I choć zwykle Mocy na to potrzeba starszych, alias Biskupa, to Energumenus, iako też od innych Daemoniacus zwany pocił się y zgrzytał, pomieszanie wielkie pokazując. Dowodzi to snadnie, iak wielką Łaską Pańską Bł. Piotr był obdarzon, tak w leciech niedoyrzały Exorcyzmy mocarne odprawując. Za co Bóg dobry zaszczytami go obsypał y śmiercią męczeńską na Swą chwałę żywota zbyć dozwolił.*

*Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln*

Mały leśny klasztorzek zdawał się drzemać pod roziskrzoną zimowym słońcem pierzyną śniegu. W przejrzystym powietrzu nad przysypanymi strzechami zabudowań unosiły się prosto w niebo sine smugi dymu. Zabudowania były drewniane, na kształt prostych chłopskich chat i stodół, jednak okolica musiała być zasobna w drewno, gdyż budynki miały ściany z grubych bali, nie zaś z plecionki obrzuconej gliną.

Jedyną kamienną budowlą była kaplica. Niska i przysadzista, wzniesiona została nie z polnego kamienia, jak można by się spodziewać, lecz z ciętych wapiennych bloków, zwiezionych niegdyś z niemałym trudem do puszczy. Ale i ona wyglądała ubogo, jak reszta zabudowań; w wąskich oknach nie było nawet błon, chroniących przed chłodem i

deszczem.

Nic nie zakłócało ciszy i spokoju ciągnących się daleko pól, otoczonych zewsząd ścianami wysokiego boru. Mróz trzymał srogi, jak to w styczniu zwyczajnie, nadmiar wolnego czasu o tej porze roku pozwalał mnichom bardziej przyłożyć się do modlitwy i medytacji, zaniechanym nieco podczas wyteżonych prac w polu. Pogoda nie sprzyjała nawet zwykłemu zimowemu zajęciu, czyli wycince lasu i wypalaniu karczwy, w zbożnym trudzie powiększania pól ku pożytkowi klasztoru i Bożej chwale. W taki mróz kruszyły się ostrza siekier, a i podcięte wpół drzewo potrafiło zniecka pęknąć wzdłuż z donośnym trzaskiem, raniąc drwali, gdy nie zdążyli na czas odskoczyć. Nawet młody przeor, niechętny zazwyczaj lenistwu, uważając je za źródło wszelkich grzechów z grzechem nieczystości i sodomii włącznie, nie zezwolił dziś mnichom na wyruszenie do lasu. Senny był ten dzień w zasypanym śniegiem klasztoru, stanowiącym zaledwie leśną, samodzielną komórkę wielkiego klasztoru w odległym o trzydzieści mil mieście.

Gdy prócz modlitw i codziennych zajęć, zajmujących wprawdzie niewielu spośród zamieszkujących klasztor mnichów, nie było innych prac dla wypełnienia krótkiego dnia i dłuższego znacznie, wczesnego wieczoru, pozostawały jeszcze kozy. Oczywiście chodziło o oporządzenie i karmienie liczego stada tych zwierząt, hodowanych w klasztoru, który słynął na całą okolicę ze znakomitych kozich serów.

Gdy mnich próżnuje, łatwy dostęp ma do niego diabeł. Młody przeor wierzył niezłomnie w tę zasadę i starał się jak mógł, by nie ułatwiać szatanowi roboty. Nie miał prostego zadania. Jeszcze parę lat temu leśny erem był zwyczajowym miejscem zsyłki wszelkich niepokornych i niezdiscyplinowanych z macierzystego klasztoru. Młodzi, którzy zasypiali przy jutrzni i szeptali pomiędzy sobą podczas prymy, i najmłodszy, wbrew woli oddani do klasztoru, po przybyciu tutaj dziwnie prędko zaczęli chwalić sobie owo miejsce odosobnienia. Dawny przeor bowiem, człek stary i schorowany, zupełnie nie potrafił poradzić sobie ze zgają wyrzutków. Wbrew regule, mnisi odżywiali się głównie mięsem skłusowanych w królewskiej puszczy saren i jeleni, popijając warzonym na miejscu piwem, na które przeznaczano lwią część mizernych zbiorów jęczmienia. Leżące odłogiem pola, w pocie czoła wyrwane puszczy przez poprzedników, porastały coraz wyższe brzoźki i olszyny – drzewa

postępujące zwykle w forpoczcie lasu odzyskującego swe tereny. O nabożeństwach nawet nie warto wspominać, dobry Bóg niewielki miał z nich pożytek. Nie mówiąc o samych mnichach.

Słodkie życie skończyło się po śmierci starego, schorowanego przeora, który do ostatnich dni uważał klasztor za niezasłużoną krzywdę i dopust Boży. Jego następcąznaczono brata Piotra z Blyton, młodego wówczas, zaledwie dwudziestoletniego człowieka, który nie traktował swego stanowiska jako zesłania. Dla niego był to pierwszy stopień zakonnej kariery. Uśmiech fortuny niespodziewanie dotknął przygarniętego ongiś przez zakonników biednego, ale ambitnego sierotę, który jasno widział swe cele w doczesnym życiu.

Przeor Piotr zrobił wszystko, aby na pierwszym stanowisku pokazać, ile jest wart. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, sam pracował ciężko i wytrwale, licząc, że wzorową postawą natchnie innych. Dobry przykład, a zapewne i inne, dosyć radykalne metody sprawiły, że mały leśny klasztor stał się perłą wśród pozostałych. Pierwszą decyzją przeora była odmowa przyjmowania jakichkolwiek dostaw żywności z klasztoru i okolicznych puszczańskich wiosek. W zaledwie trzy lata po tej decyzji klasztor otaczały wciąż powiększające się pola uprawne, coraz większe stado kóz pomekiwało na pastwiskach, a braciszki dzielnie trudzili się wyrębem i karczowaniem lasu, podbieraniem miodu z leśnych barci, produkcją kozich serów. Ostatni, najwytrwalszy z oponentów już od roku poświęcał się służbie mnicha jałmużnika, obchodząc z drewnianą miską bliższe i dalsze miejscowości, wciąż klnąc w duchu swój niewyparzony jęzor i błąd w ocenie przełożonego. Nabożeństwa wyczekiwane były z utęsknieniem, jako okazja do wymarzonego odpoczynku, nawet w zimie, gdy w nieopalanej kaplicy hulał wiatr. Klasztor rozkwitał ku chwale Bożej, a notowania przeora Piotra rosły, rzecz nie bez znaczenia. Tak, mnich bez zajęcia to mnich zgubiony.

\*\*\*

Młody braciszek daleki był od zguby. Czekają go właśnie długie rąbanie pieńków pod kuchenne palenisko. Szedł szybko do drewnutni, pocieszając się, że przy tym zajęciu zaraz się rozgrzeje. Mogło mu przecie

przypaść w udziale noszenie wody ze strumienia. Ceber był ciężki, strumień daleko, a brzegi śliskie i oblodzone, jak sam przekonał się o tym niedawno. W dodatku, gdy powrócił wtedy w sztywniejącej od mrozu, przemoczonej odzieży, wysłano go natychmiast z powrotem, gdyż z trudem wygramoliwszy się na brzeg, z tego wszystkiego zapomniał cebra. Tak, rąbanie drew to zajęcie w sam raz na taki mroźny dzień.

Postawił pierwszy pieńek na wrośniętym w zlodowaciałą ziemię wielkim pniu. Podniósł siekiere, zamachnął się ostro...

Powietrze przeszył rozpaczliwy krzyk.

Siekiera odbiła się od pieńka, z rozmachem wbiła o cal od stopy. Braciszek puścił stylisko i przeżegnał się szeroko. Wrzask rozległ się ponownie.

To już ponad miesiąc, jak słyszał te krzyki. Codziennie i co noc. Miały w sobie tyle rozpaczy, bólu i strachu, że nie sposób było się przyzwyczaić. Wciąż wywoływały lodowaty dreszcz, spływający po krzyżu. Popatrzył na niepozorną chatę, noszącą dumne miano sypialni przeora. Właśnie stamtąd dochodziły krzyki. To tam przeor Piotr siedział przy łożu, zajęтым teraz przez wychudłego mężczyznę o ledwie zagojonych ranach na twarzy. Minęły już najgorsze dni, spadła trawiąca ciało gorączka. Ranny był jednak wciąż słaby, przez większość dnia i nocy spał. Śnił. I krzyczał.

Braciszek przeżegnał się znów i z trudem wyrwał siekiere ze zlodowaciałej ziemi. Z pasją uderzał w pieńki, pękające za każdym razem na dwoje, w nadziei, że stukot narzędzia zagłuszy potępieńcze wołania. Bez skutku, wrzaski wciąż brzmiały w uszach. Zaprawdę, wielka jest moc szatana, co potrafi tak wnijść w ludzką duszę, myślał mnich z trwogą. A wpierw śniegi z dróg zejda, błota po roztopach wyschną, nim egzorcystę zawezwać zdołają.

W klasztoru nie było stanowiska brata furtiana – z braku furty. Toteż wtedy, przed ponad miesiącem, w mroczną, wilgotną noc listopadową zakołatano od razu do wrót kaplicy. W migotliwym świetle nielicznych świec – przeor był także oszczędny i mawiał, że Wszechwiedzący i w ciemnościach widzi, kto się do modlitwy nie przykłada, a i on sam, nawet jeśli nie widzi, to się domyśla – mnisi ujrzeli niewyraźną postać stojącą we wrotach. Był to ów tajemniczy człek, który za zgodą przeora od roku mieszkał w chacie na skraju klasztornych pól.

Widywali go rzadko, na całe dni znikał w lesie, napotkany odzywał się półsłówkami, kryjąc brodatą twarz w cieniu noszonego zwykle na głowie kaptura. Czasem tylko rozmawiał z przeorem.

Teraz stał na progu kaplicy, oddychając ciężko, w mokrym skórzanym kubraku bez rękawów. Przed nim na glinianej polepie leżało coś nieokreślonego kształtu, owinięte w jego długi płaszcz. Z płaszcza wystawały bosa, poranione stopy.

Pierwszy otrząsnął się brat Will, starszy już, bywały w świecie człowiek. Powiadali, że przed wstąpieniem do klasztoru nie mało różnego życia zakosztował. Istotnie, postawę miał raczej starego żołnierza niż pokornego członka zakonu świętego Benedykta. Najważniejsze jednak, że znał się na leczeniu różnych przypadłości, przytrafiających się braciszkom od czasu do czasu, ze szczególnym uwzględnieniem ran ciętych i tłuczonych, które przy zwykłej w klasztorze ciężkiej pracy zdarzały się wcale często.

Przypadł do leżącej postaci, odwinął płaszcz. To, co zobaczył, nie zachwyciło go wyraźnie, dotknął jednak szyi tuż pod uchem. Wyprostował się gwałtownie i zaczął wydawać rozkazy. O dziwo, przeor nie zareagował na tak niebywałe naruszenie obyczajów. Ujął pod ramię stojącego wciąż w drzwiach mężczyznę i obaj zniknęli w mroku za drzwiami.

– W kuchni rozpalać, wody grzać, cały sagan! – wykrzykiwał tymczasem brat Will. – Jak się zagrzeje, to drugi. Płótno na szarpie drzeć! Żywo, żywo!

Rozejrzał się.

– Wy tam, wy czterej! Za rogi płaszcza złapać i nieść do... A, cholera, do przeora!

Jeden z braciszków, który zdążył już chwycić za przypadający mu róg, wypuścił go z wrażenia.

– Dokąd? – Wybałuszył oczy ze zdziwieniem. Nie zwrócił uwagi na przekleństwo, choć przeorowi dawno udało się wypłenić plugawe wyrazy i bluźnierstwa, nie mówiąc już o wzywaniu imienia Bożego nadaremno.

– Tak, do mnie – powiedział dziwnie spokojnie przeor Piotr, stając znów w otwartych wrotach. Braciszek zamarł z rozwartą gębą.

- Do mnie – powtórzył przeor bezbarwnie. – W kominie też napalić! Will z aprobatą skinął głową.
- A ostrożnie nieście, uważajcie! Wstrząs może go zabić. Po prawdzie, i tak pewnie zabije – dodał już sam do siebie.

\*\*\*

Ogień buzował w kominie, pożerając z trzaskiem smolne szczapy. Młody braciszek raz po raz dorzucał drewna, ocierając pot z wygolonej tonsury. Dawno nie było tu tak ciepło i tak jasno, zauważył siedzący na twardym zydłu przeor, spoglądając na palące się woskowe świece. Nie przykładął dużej wagi do doczesnych wygod. Odkąd pamiętał, sypiał we wspólnych dormitoriach. Gdy został przeorem, długo wahał się, czy korzystać z odosobnionej izby. Przeważył argument o konieczności zachowania autorytetu. Nie po to, broń Boże, aby się wywyższać czy korzystać z przywilejów. Jednak ktoś, z kim przebywa się dzień i noc, po pewnym czasie powszednieje, a nic nie przeszkadza bardziej w utrzymaniu posłuchu, jak okazanie przez zwierzchnika, że jest takim samym człowiekiem, jak inni. Że tak samo chrapie i puszcza wiatry pod przykryciem ze skór, i tak samo trudno mu wstać na dźwięk dzwonu na jutrznię.

Izba prócz murowanego komina posiadała jeszcze inne niesłychane wygody, jak podłoga z heblowanych desek i wielkie łoże z baldachimem, wprawdzie bez zasłon, zarzucone miękko wyprawionymi niedźwiedzimi skórąmi, z lekka już gdzieniegdzie wyliniałymi. Dawny przeor dbał o siebie, łoże sprowadzono z wielkim trudem z pobliskiego miasta. Wystroju izby dopełniały dwa niezgrabne zydle i wiszący na ścianie krucyfiks, z którego Chrystus wyrzezany w lipowym drewnie przez zapoznanego artystę spoglądał wyjątkowo frasobliwie.

Przywileje nie przewróciły w głowie Piotrowi. Rzadko palił we wspaniałym kominie. Uważał za niegodną rozrzutność używanie pozyskiwanego ciężką pracą braciszków drewna dla dogadzania swej grzesznej, ziemskiej powłóce. Wolał zagrzebać się w łysiejące skóry i powoli rozgrzewając się, doczekać świtu. Izbę oświetlał łojowym kagankiem, krótko zresztą, gdyż nie miał zwyczaju trwonić czasu na



samotne rozmyślenia. Uważał, że aby wymagać od innych, trzeba być surowym przede wszystkim dla siebie. Nie wróżyło to dobrze jego dalszej zakonnej karierze w tych naznaczonych ogólnym zepsuciem i rozpustą czasach, ale cóż, wszystko idzie ku gorszemu i cały świat schodzi na psy. Przeor nie miał nic przeciwko temu, by jego naprawę rozpocząć od siebie i najbliższego otoczenia. Na razie się to udawało.

Piotr obserwował krzątanię brata Willa i mimowolnie podziwiał oszczędną celowość jego ruchów, nieomylną pewność wydawanych braciom rozkazów. Will pochylał się nad rannym, ułożonym na imponującym łożu. Maczał szmaty w parującym saganie i tymi kompresami okładał wychłodzone ciało. Ranny oddychał nieregularnie, oddech stawał się coraz płytszy. Will przyłożył palce do wyprężonej szyi. Trzymał chwilę.

– Więcej tych szmat, na rany Chrystusa! – wrzasnął do braciszków. – Jeśli go nie ogrzejemy, to go stracimy!

Młodzi braciszkwowie spojrzeli po sobie niepewnie. Wydało im się to bluźnierstwem, nie samo wezwanie imienia Zbawcy nadaremno, choć wiedzieli, że przeor winowajców przyłapanych na tym potrafi ukarać bardzo dotkliwie. Jakże to, toć przecie Bóg wyraźnie powołał już tego nieszczęśnika, by odpowiedział przed Jego surowym sądem za swe ziemskie postęпки. Jakże sprzeciwiać się Jego woli? Popatrzyli niepewnie na przeora.

– Słuchajcie Willa – powiedział z naciskiem Piotr. Mimo że sprawiał wrażenie oschłego i surowego zwierzchnika, dla którego najważniejsze są praca i ściśle przestrzeganie reguły, był człowiekiem głębokiej i prawdziwej wiary. Kościół w jego osobie spełnił już swe obowiązki, udzielając rannemu absencji. Co złego jest w próbach uratowania człowieka, który ciągle oddycha, ciągle bije w nim serce? Może nie jest jeszcze gotów stanąć przed Stwórcą? Może Bóg w swych nieodgadnionych zamiarach przeznaczył mu jeszcze jakieś zadania na tej ziemi?

Przecież to Bóg kieruje w tej chwili uczynkami Willa. Ostatecznie sam Chrystus wskrzeszał kiedyś zmarłych. Nawet Łazarza, jak można było się dowiedzieć, czytając uważnie Pismo, po pobycie w grobie, nieco już nadpsutego. A ten tutaj wciąż żyje, wciąż oddycha.

Tak, braciszkwowie niechybnie popełnili grzech pychy, próbując

odgadnąć Jego zamiary. Trzeba zapamiętać, którzy to...

Oddech rannego stał się urywany, chrapliwy. Ciało wyprężyło się i zaraz zwiotczało. Will pochylił się i przyłożył ucho do nieruchomej piersi. Nasłuchiwał chwilę. Gwałtownie uniósł głowę i zwiniętą w kułak pięścią uderzył w mostek rannego, aż ugięły się żebra. Raz, drugi. Obecni zmartwieli ze zgrozy. Zrobił to jeszcze raz, aż zatrzeszczało stoczone przez korniki łoże. Ranny zacharczał, znowu zaczął niepewnie oddychać. Will znów nasłuchiwał bicia serca. Uniósł głowę i otarł pot, który obficie wystąpił mu na czoło.

– Więcej tych szmat, mówię – rzucił już spokojniej. – I nowy sagan wody.

Przyłożył rękę do brzucha rannego.

– Wciąż za zimny, za zimny...

Piotr sam podał nowy kompres.

– Okryć ciepło – rozkazał Will. – Kory wierzbowej naparzyć, na wszelki wypadek, jakby kasłać zaczął i gorączka go trawić počęła. Uff, nie na stare moje kości taka robota.

Piotr położył mu dłoń na ramieniu.

– Odpocznij, bracie – powiedział. – Zrobiłeś swoje.

– Zrobiłem – zgodził się stary. – A reszta w Jego rękach.

Spojrzał w stronę wiszącego na krzyżu, wyjątkowo frasobliwego Zbawiciela.

\*\*\*

Stary mnich był bystrym obserwatorem. Ten dawny wojskowy cyrulik, głęboko rozczarowany daremnością ratowania kruchego ludzkiego życia i śmiertelnie znużony nieskończoną liczbą kończyn, które przypadło mu odciąć, postanowił odgrodzić się od świata klasztornym murem, ale wcześniej wiele w życiu zobaczył, jakkolwiek trywialnie by to brzmiało, i wiele się nauczył. Za murem – symbolicznym teraz, bo jego obecny klasztor nie mógł się pochwalić nawet zwykłym płotem – zamknął się w sobie, uznając, że dusza jest bardziej odporna od

ludzkiego ciała, które choćby najprzemysłniej pozszywane i poskładane, zawsze dąży do nieubłaganego, wcześniejszego czy późniejszego końca, a w przypadku rannych, nawet pozszywanych, zazwyczaj do wcześniejszego. Z radością podporządkował się regule, znajdując w niej upragniony spokój po pełnym zamętu świeckim życiu. Zawsze jednak bacznie obserwował wszystko, co się wokół działo. I czasami, jak teraz, dawał się porwać dawnej pasji. Pasji niepoddawania się, póki był jeszcze cień nadziei.

W gorączkowej krzątaninie nie zauważył jednak bladości przeora, jego drżących rąk, lęku w oczach. Gdyby to dostrzegł, zastanowiłby się zapewne, co mogło tak wstrząsnąć tym młodym, zbrojnym siłą swej wiary mężczyzną. Pozbawionym, jak często myślał z niejakim poczuciem żalu i wstydu, wyobraźni i większej wrażliwości. Dziś ręce Piotra nie trzęsły się już, ale w oczach wciąż czał się lęk. I gdyby nie piekące z niewyspania, łzawiące oczy, Will zauważyłby go niezawodnie.

Twoje szczęście, bracie, myślał tymczasem przeor Piotr, klęcząc sam w pustej i zimnej kaplicy, twoje szczęście, że nic nie wiesz. Że niczego się nie domyślasz.

Nie mógł skupić się na modlitwie, co go zdziwiło, gdyż zawsze koncentrował się z łatwością. Kiedyś, w młodości, oczekiwał, że dozna objawienia, że w odpowiedzi na jego modły kiedyś sam Bóg przemówi do niego. Jak dotąd, tak się nie stało, ale zawsze tłumaczył to sobie, że nie jest jeszcze godzien. Tymczasem sam akt modlitwy, wolna sekwencja wciąż powtarzanych, dobrze znanych fraz, stał się azylem i ukojeniem, solidną opoką, na której w trudnych chwilach mógł się oprzeć.

Dziś to zawiodło, mimo iż próbował wyjątkowo żarliwie. Zza dobrze znanych słów ciągle wychylały się inne słowa, których nie mógł wymazać z pamięci. I, jak sam wiedział, na dobrą sprawę nie powinien. Właściwie nie wolno mu było.

– Nie może! – Znów usłyszał chrapliwy głos człowieka w skórzanym kubraku. Znów widział mokre, lśniące w mętnym świetle sączącym się przez otwarte wrota kaplicy ramiona. Widział ostro, tak jak wczoraj, jakby cały czas przeżywał to samo.

– On nie może umrzeć!

– Wszystko w ręku Boga – odpowiedział wytartą i jak się zaraz

okazało niestosowną w tej chwili formułą.

Człowiek w kubraku chwycił go za barki. Mocno i boleśnie.

– Wiesz o wszystkim. Wiesz o mnie – wydyszał mu prosto w twarz, zacisnął mocniej palce. – Wiesz o wszystkim, a teraz nadszedł czas, kiedy powinieneś zacząć się bać.

Potrząsnął mnichem.

– Czy ty rozumiesz, co mówię? – krzyknął. – Rozumiesz? To wróciło...

Głos zawiódł Piotra. Zdołał tylko skinąć głową, sztywno, jak drewniana lalka.

O mało nie upadł, gdy człowiek puścił go nagle. Przed chwilą przysięgłby, że uścisk pogruchotał mu kości, ale, o dziwo, mógł poruszać rękami. Nawet nie czuł bólu. O tak, zaczynał się bać. Chryste, nigdy w życiu tak się nie bał!

– To wróciło... – powtórzył mężczyzna. – A on... On wie. Jak go znalazłem, powiedział...

Urwał. Pochylił się do ucha przeora, i jakby obawiając się mówić na głos, zaczął szeptać. Gdy skończył, przeor ze zdziwieniem spostrzegł, że może bać się jeszcze bardziej niż przed chwilą.

– Tak, przeorze. – Mężczyzna w skórzanym kubraku mówił teraz na głos, lecz jak gdyby do siebie. – Trzeba zacząć się bać, bo to właśnie znów nadchodzi. Znów skoczy nam wszystkim do gardeł. Jeżeli on umrze... to nie dowiemy się, kiedy trzeba będzie zacząć oglądać się za siebie. Kiedy trzeba będzie patrzeć, co wypęłza z ciemnego kąta. A, być może, kiedy trzeba będzie wyjść i stanąć temu naprzeciw. Jeśli on umrze... Wtedy nie dowiemy się niczego... Tak, klecho, diabły i demony, o których nie wyczytałeś w waszych spleśniałych księgach, zło, jakiego nie widziałeś w najbardziej koszmarnych ze swoich snów... I żeby z nim wygrać, trzeba stać się jeszcze bardziej złym. W tym starciu cała twoja wiara na nic się nie przyda...

Człowiek w kubraku przerwał. Dotarło do niego, że wylewa na przeora swój własny strach i wściekłość. Dostrzegł przerażenie mnicha i jego głos złagodniał. Nie złagodniał jednak sens tego, co mówił.

– W tej chwili podjęto za ciebie decyzję. Zostałeś postawiony po jednej ze stron, nie wiem, czy po tej, która ma szansę na zwycięstwo. Nie

wiem, jak wiele będziesz musiał uczynić. Mam nadzieję, że niewiele, choć na twoim miejscu specjalnie bym na to nie liczył. Ale nie możesz się już cofnąć, uznać tego, co się właśnie wydarzyło, za niebyłe. Jeśli cię to pocieszy, ja też kiedyś nie miałem wyboru. Może wystarczy tylko, byś stał z boku i był świadkiem tego, co ma się stać. Może nie... Niemniej, gdy wszystko się już skończy, obojętne jak, nie będziesz już sobą. Kim się staniesz, możesz się tylko domyślać.

Mężczyzna uśmiechnął się. Biegnąca od skroni do podbródka blizna sprawiła, że w słabym świetle ten uśmiech wydał się przeorowi uśmiechem samego diabła. W prezbiterium katedry w Newport znajdowały się kunsztowne witraże, przedstawiające sceny z Pisma ku zbudowaniu wiernych. Na jednym wyobrażony był szatan, kłujący widłami w słabiznę nagie, kłębiące się w piekielnym ogniu postaci grzeszników. Piotr przyglądał mu się często, czując dziwną, choć przemieszaną z odrazą fascynację. Przyglądał się znacznie częściej niż sielankowym scenom z raju, pełnym fruujących aniołów i dobrotliwych świętych z udatnie oddanym na wizerunkach wyrazem szczerego zachwytu. Szatan z widłami uśmiechał się tak samo, jak człowiek z blizną.

– Przecież tak naprawdę wybrałeś już kiedyś, wtedy, gdy dowiedziałeś się wszystkiego o mnie, a mimo to pozwoliłeś mi tu zostać. Cóż, jeżeli wtedy nie przewidziałeś konsekwencji, to teraz masz problem. Poważny problem. Po prawdzie, to siedzisz w gównie po same uszy, nie czując dna pod nogami.

Piotr nie mógł dłużej znieść spojrzenia oczu, w których pełgał ledwie widoczny płomyk szaleństwa.

– Niełatwą drogę wybrałeś, nędzny klecho – zadrwił bez złości człowiek z blizną. – Na mnie czas, trzeba się przespać. A ty pamiętaj, on nie może umrzeć! Na razie to twój kłopot.

Roześmiał się zgrzytliwie i odszedł w ciemność.

– Wrócę niebawem – doszedł przeora cichnący głos.

\*\*\*

Tak, siedzę w gównie po same uszy, pomyślał Piotr ze złością, nie bacząc na powagę świętego miejsca. Kiedy zgodził się przyjąć na swej ziemi nieznanego włóczęgę, nie przypuszczał, że z tego wszystkiego będą takie kłopoty. Włóczęga miał znakomite rekomendacje od samego szeryfa hrabstwa Nottingham, przeor nie zawahał się więc nawet wtedy, gdy poznał całe brzemie krwi i krzywdy, ciężące na nieznanym, który opowiedział mu swą przerażającą historię, ani wówczas, gdy szeryf ze swej strony dorzucił więcej szczegółów. Owszem, bał się. Ale z młodzieńczym optymizmem uznał, że wszystkie te przerażające historie miały miejsce dawno, gdy on sam był jeszcze małym chłopcem. Trawa porosła mogiły, a krzywdy i łzy zatarły się w ludzkiej pamięci; potwory zginęły lub powróciły już dawno do otchłani, które je na ten świat wypuły. Ten, kto był mimowolnym sprawcą tego wszystkiego, powinien w spokoju zaznać reszty swych dni. A szeryf... szeryf może w odpowiedniej chwili szepnąć odpowiednie słówko do odpowiedniego ucha. Piotr nie miał zamiaru kierować do końca życia hodowlą kóz na tym puszczańskim zadupiu, nawet tą powszechnie uważaną za znakomitą. Zło lęka się przecież dźwięku kościelnych dzwonów.

W swym zadufaniu młody przeor myślał, że oto Bóg daje mu szansę poprowadzenia drogą pokuty zatwardziałego, słynnego na całą okolicę grzesznika. I to nie byle jakiego grzesznika, ale człowieka mającego niejasne związki z plugawym, przeciwnym prawdziwej wierze kultem, którego resztki tliły się jeszcze gdzieś w zakątkach wyspy, tam, gdzie nie dotarło Słowo Boże.

Nie spełniły się nadzieje Piotra. Zatwardziały grzesznik nie przejawiał najmniejszej chęci czynienia wyznań, o odprawianiu pokuty nie wspominając. Na wszelkie propozycje odżegnania się od swych występków odpowiadał uprzejmie, lecz wymijająco. Gdy przeor próbował naciskać, po prostu odchodził i zniknął na jakiś czas.

Owszem, pomagał przy wielu pracach. Widać nie chciał być ciężarem. Zaopatrywał klasztor w dziczyznę, nie obawiał się takich zajęć, jak karczowanie lasu czy zwózka drewna. Na tym się jednak kończyło, zawsze wracał po pracy do chatki, którą zbudował na krańcu klasztornych pól, pod samym lasem. Nie brał nawet udziału w nabożeństwach.

Piotr po pewnym czasie zrezygnował ze swych prób, widząc, że nie

przynoszą żadnego rezultatu. Wyrzucał sobie, że sam zgrzeszył pychą, sądząc, że za zasługi spotkają go zaszczyty. Czasem tylko nieufnie spoglądał na milkliwego człowieka, wspominając jego przeszłość. Coraz rzadziej wprawdzie, bo choć była przerażająca, nie obawiał się. Wiedział, że zło lęka się prawdziwej wiary. Teraz jednak okazało się, że istnieje zło mało lękliwe, które nie zawahało się zakołatać nawet do wrót kaplicy.

Ktoś, kto zobaczyłby klęczącego, kornie zgiętego do ziemi mnicha, pomyślałby, że świątobliwy człowiek czyni jakieś ważne a tajemne śluby, lub gdy łamiącym się głosem recytuje łacińskie słowa, połykając łzy spływające po ściągniętej twarzy, to prosi Boga o rzeczy wielkie i ostateczne – o pokój na ziemi, czy też łaskę i wybaczenie dla wszystkich, którzy zgrzeszyli, grzeszą i będą znów grzeszyć.

Ale nikt nie widział tego mnicha, prócz jego Boga i myszy ogryzających łojowe ogarki. Myszom było to obojętne, ale Bóg zapewne z uwagą słuchał słów przeora, gdyż modlił się on prawdziwie szczerze i żarliwie, jak nigdy dotąd. Modlił się o ocalenie własnego tyłka.

\*\*\*

Przewidywania Willa sprawdziły się, zmiażdżone palce stopy objęła zgorzel. Will nie miał innego wyjścia, sprawnie odjął je kuchennym nożem, przy pomocy coraz to mdlejącego braciszka, trzymającego stopę. Zważywszy, że delikwent był nieprzytomny, a kończyny do amputacji najmniejsze z możliwych, było to fraszką w porównaniu na przykład z odcinaniem w warunkach polowych nogi w podudziu wrzeszczącemu, wyrywającemu się, nabuzowanemu narkotykiem walki knechcie. Poszło sprawnie i bez problemu. Stary oczyścił i zeszył starannie kikuty, opatrzył ranę.

Pozostałe rany goiły się dobrze. Na niezliczonych zadrapaniach stopniowo zmniejszał się czerwony obrzęk, zeszyta rana na czole poczęła wypełniać się ziarninującą blizną. Tego ranka Will mógł po raz pierwszy przyznać, że staruch z kosą oddalił się chwilowo. To, że kiedyś wróci, było pewne, ale jeszcze nie tym razem.

Will był zbyt zmęczony, by odczuwać z tego powodu większą satysfakcję. Podrzemywał tylko skulony na zydlu, czujny jak zajęc w

bruździe. W nagłych chwilach przebudzenia rzucał szybkie spojrzenia na chorego. I znów zapadał w krótki, niespokojny sen.

Za którymś razem spostrzegł otwarte oczy. Chory już wcześniej uchylał powieki, lecz wzrok wciąż był szklisty i nieobecny. Teraz patrzył przytomnie, wargi poruszyły się.

Will położył mu delikatnie rękę na czole.

– Jak się nazywasz? – spytał.

Wargi drgnęły silniej. Will nachylił się, zbliżył ucho do popękanych, spieczonych ust.

– Ja... son... – usłyszał. Wysiłek wyczerpał chorego, powieki opadły. Will słuchał przez chwilę oddechu. Tak, teraz to już sen, nie maligna i gorączka, lecz przywracający zdrowie sen. Mnich z ulgą poprawił się na zydlu, oparł o ścianę z grubych bali, uszczelnianych mchem.

– Będzie żył? – odezwał się nieśmiało po dłuższej ciszy jeden z braciszków-pomocników.

Nie otrzymał odpowiedzi. Will spał.

\*\*\*

Braciszek z pasją płatał pieńki. Krzyki ucichły, lecz wciąż wibrowały w głębi umysłu. Szczęście, że to stary Will i przeor zajmują się tym, jak mu tam, Jasonem. Normalny człowiek by tego nie wytrzymał. Co innego przeor, człek młody wprawdzie, ale wielkiego rozumu i wielkiej wiary. Stary Will też niejedno w życiu widział, przyzwyczał się. Ale tak siedzieć dzień i noc, słuchać potępieńczych krzyków... Walka z szatanem to niełatwa rzecz, zadumał się braciszek, opuszczając siekiere.

Mnisi dziwili się, iż pewnego dnia przeor zakazał im wszelkiej pomocy przy ozdowieńcu, zwłaszcza że ci, którzy przed samym wydaniem kategorycznego zakazu pomagali Willowi, opowiadali, że Jason we śnie rzuca się na łożu, aż trudno go utrzymać, gryzie własny język i wykrzykuje słowa bez związku. Czasem zawodzi jak śmiertelnie ranne zwierzę.

Z początku myśleli, że dla przeora to forma umartwienia, ofiarowania Bogu niełatwej posługi. Lecz gdy któregoś dnia z nieznaną dotąd pasją



Piotr sklął i przegnał przechodzącego mimo okna izby mnicha, zaczęły się plotki i domysły. Powiadano, że to szatan niezawodnie opętał chorego, a przeor usiłuje wypędzić go i oswobodzić duszę, lecz nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego uparty jest, trzyma w swych szponach nieszczęśnika i wyje tylko, smagany palącymi słowami modlitw i zaklęć. Dlatego najpierw budziło to podziw i uwielbienie dla przełożonego.

Upływały długie zimowe noce, wypełniane krzykiem, co mroził krew w żyłach i nie dawał zmrużyć oka. Mnisi poczynali sarkać, że przeor przeliczył się z siłami. Trafił widać na wyjątkowo zajadłego i złośliwego przedstawiciela szatańskiego rodu. Owszem, wielkiej wiary mnichem jest przeor, ale młody jeszcze, niedoświadczony... Trzeba tu widać starego, zahartowanego w bojach egzorcysty, który niejednego diabła wypędził i niejedną wiedźmę przywiódł na stos. Kogoś, kto zna wszelkie sztuczki, jakich ima się zły na ludzką zgubę.

Braciszek kręcił głową, w pełni się z tym zgadzając. Nie wydoli nasz przeor, nie wydoli... Co gorsza, sam może wpaść w szpony złego. Tak, sam może wpaść, a my wszyscy zaraz potem... Mnich wzdrygnął się na samą myśl.

– *Apage!* – powiedział szybko i przegnał się. Jak na urągowisko odpowiedział mu przeciągły krzyk. Cisnął więc siekierę i desperackim gestem zatkał uszy.

Tak, egzorcysty tu trza, i to jak najprędzej. Aby mrozy tylko zelżały. Przegnał się jeszcze raz w obronie przed swym lękiem, nieświadom prawdziwych zagrożeń.

\*\*\*

Przeor podniósł głowę na skrzypnięcie drzwi. W progu stał brat Will z wyrazem wzburzenia na twarzy,

– Chodź prędko – rzucił nerwowo bez żadnych wstępów.

Zaczęło się, przemknęło Piotrowi przez myśl. A tak się przecież modliłem... Starał unieść się z ławy, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

– Co z tobą? – Stary był wyraźnie wstrząśnięty. Piotr nie widział go

jeszcze w takim stanie. – Prędzej, musisz posłuchać!

Posłuchać... Jason zaczął mówić, to pewne. Coś tak straszego, że wstrząsnęło nawet starym weteranem. Po rozmowie z człowiekiem z blizną przeor nie miał złudzeń, co mógł usłyszeć brat Will. A tak się modliłem, wspomniał znów z dziecinnym wręcz rozżaleniem. Znowu mnie, Boże, nie wysłuchałeś...

– Bracie – powiedział, wkładając w głos całe opanowanie, na jakie było go stać. – Od dziś nikt nie ma do niego wstępu, nikt, prócz ciebie i mnie. Od dziś tylko my się nim zajmujemy, tylko ty i ja...

– Ale powinienes pójść, zobaczyć... – Will nie dawał za wygraną.

– Zamilknij wreszcie! – huknął ze złością przeor. – Powtarzam, żaden z braci nie może mieć dostępu do tego człowieka!

Stary mrugał oczyma z niedowierzaniem. Piotr był zażenowany swoim wybuchem, bo właściwie cóż on winien, ten stary dureń.

– Bracie, zaufaj mi – rzekł łagodnie. – Ja już wiem, co mogę zobaczyć, usłyszeć. Wiem, że nie jest to przyjemne. Powiedz, przytomny jest? Jak do ciebie mówił? Nie co, ale jak?

Will memtał przez chwilę cisnące się na wargi wyrazy. Początkowy strach przesłoniła złość spowodowana słowami przeora.

– Dotąd sypiał spokojnie, ojciec – powiedział z trudem. – Dopiero wczoraj zaczął mówić przez sen. Z początku nie słuchałem, ot, takie mamrotanie, pojedyncze słowa. Jak się obudził, to normalnie, wypił rosół, nic nie powiedział, jak to u niego we zwyczaju. Gdy zasnął, rzucił się chwilę, po czym oczy zaczęły mu latać pod powiekami, o tak!

Stary pokazał, jak. Przeor nie roześmiał się. Nie w takim momencie.

– Za chwilę zaczął mówić, coraz głośniej, całe zdania. Nie bój się, nie jestem takim zidiociałym staruchem, na jakiego może wyglądam. Jak tylko zrozumiałem, co mówi, wyrzuciłem nowicjusza z izby na zbity łeb...

Piotrowi mimo zdenerwowania zrobiło się przykro. Szanował szczerze tego starego mnicha, cenił jak ojca, którego nigdy nie miał.

– Przepraszam – szepnął cicho, nie patrząc.

– A, co tam – sapnął stary. – Mówił...

– Zamilcz! – przerwał przeor, zrywając się z ławy. – Zamilcz, i wyrzuć

to z pamięci! Proś Boga, by pozwolił ci zapomnieć!

– Ale... – Will zaskoczony usiłował mówić dalej.

– Zamilcz! To mój krzyż i ja dźwigać go będę!

Zaciskał pięści, tocząc wściekle wzrokiem dokoła. Brat Will zamilkł wreszcie, nie wiedząc, co czynić. Pogubił się zupełnie. Widział zaciśnięte pięści Piotra i pot na jego twarzy.

– Tylko ja będę czuwał przy nim podczas snu. Tylko ja. Ty będziesz go obrządzał, karmił, jak dawniej. Przykro mi, ale musisz poradzić sobie sam, bez pomocy. Już i tak niedobrze się stało... bardzo niedobrze...

Trzasnął z rozmachem pięścią w blat stołu. Mocno, aż zajęczały grube deski. Will dostrzegł krew na knykciach. Położył dłoń na zaciśniętej wciąż pięści przeora.

– Co się dzieje, synu? – zapytał ze szczerą troską. – O co w tym wszystkim chodzi? Kim on jest?

Piotr utkwiał w nim smutne spojrzenie. Wyraz jego oczu przeraził starego mnicha. Z młodej twarzy spoglądały wypalone oczy starca.

– Wybacz, bracie – przeor mówił z trudem. – Wybacz, ty wcale nie chcesz wiedzieć. Wierz mi, naprawdę nie chcesz...

Stary mnich nic już nie odpowiedział. Siedział z dłonią na zaciśniętej, zakrwawionej pięści Piotra, widział jego zmartwiałą twarz i opuszczone gestem rezygnacji ramiona. Nie chciał już wiedzieć.

## - V -

*Tak rozpoczął Bł. Piotr Exorcyzmy co czarta wypędzając, mocą słów świętych y strasznych z Pisma Św. wybranych, żywą wiarę y życie dobre za sobą mając. Postem y modlitwą się na to czas iaki gotował, iako Apostołom podał Pan Chrystus ten sposób u Marka Św. 9;28. A człek nieszczęsny, przez Demony udręczon y nawiedzon, bestyi głosy naśladował, zębami zgrzytał y iako pies wściekły zapieniał się. Nie było w iego mocy milczyć albo mówić co chce, bo zatłumiony był y niby śpiący, a czart iego władał organami.*

*A nie ulękł się Bł. Piotr, modlitwami swemi y Wodą Święconą Złemu dyzgusta czyniąc, a do podania imienia iego wzywając.*

### *Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln*

Braciszkanie, wysłani do macierzystego klasztoru, by prosić o przysłanie egzorcysty, uwinęli się nadspodziewanie szybko. Ledwo tydzień temu wyjeżdżali na wozie wymoszczonym słomą, mając dla asysty przydanych dwóch uzbrojonych w rohatyny kmieci z pobliskiej wioski, którzy co prawda nie wyglądali zbyt groźnie, ale wszystkim wiadomo było, że są to wytrawni kłusownicy, potrafiący bez trudu nadziać na ostrze szarżującego odyńca. Teraz radośnie smarkali w palce, podnieceni perspektywą wycieczki do miasta. Trzymał lekki mróz, bezśnieżny, jazda po zamarzniętych błotnistych drogach powinna być lekka.

Przeor, znając kościelną, niespieszną procedurę – jak może spieszyć się instytucja mająca ponad tysiąc lat doświadczeń – nie liczył na ich powrót wcześniej niż na początku kwietnia. Ostatecznie trudno było przypuszczać, że poważny specjalista rzuci od razu wszystko na wezwanie jakiegoś nic nieznaczącego przeora z leśnej głuszy. Piotr spisał wprawdzie jak potrafił całą historię na czystym kawałku płótna – coś

takiego jak pergamin nie figurowało w klasztorным inwentarzu – ale nie spodziewał się, że zbytnio przyspieszy to sprawę.

I zdziwił się szczerze, gdy po tygodniu zaledwie wóz zaturkotał na drodze wiodącej z lasu. Nic z tego, pomyślał, odesłali ich. Gdy jednak wyszedł na spotkanie, zobaczył, że za wozem z braciszkami, podróżującymi w towarzystwie dwóch, najwyraźniej pijanych w dym kmiotków, jedzie konno samotny człowiek.

Przeor zmarszczył brwi. Spodziewał się liczniejszego orszaku. Wyświęconego księdza w asyście mnichów i zbrojnych dla ochrony. Nie jednego człowieka.

Obcy zeskoczył z konia, zbliżył się. Odrzucony na plecy kaptur burego habitu odsłaniał jego włosy, nieco przerzedzone na skroniach i bez tonsury, co wskazywało na świeckiego brata. Na biodrach nosił pas obciążony kordem.

– Witaj, ojciec – powiedział spokojnym głosem. – Przybyłem pomóc w twych kłopotach.

Z bliska nie wyglądał tak młodo jak wtedy, gdy siedział na koniu. Można było dać mu pięćdziesiątkę. Miał twarz nieruchomą jak maska, szczupłą, naznaczoną głębokimi bruzdami; wysokie czoło, wąskie wargi, które chyba nigdy się nie uśmiechały, i zaskakująco błękitne, bystre oczy. Ta twarz budziła niepokój. Było w niej coś tragicznego.

– A czy ty jesteś w stanie pomóc? – rzucił ze złością Piotr. – Spodziewałem się kogoś innego. Nie takiego...

Świecki brat milczał. Jego niepokojąca maska nie wyrażała nic. Nawet urazy.

– Spodziewałem się księdza – kontynuował zbity nieco z tropu przeor. – Kogoś, kto by potrafił...

Przybysz przerwał mu, nie zmieniając w niczym wyrazu twarzy.

– Stary przeor z twojego klasztoru chciał przegnać posłańców – powiedział cicho. – Wykrzykiwał, aż wstyd powtarzać, że niedługo każdy cięższy przypadek sraczkki będziecie uważać za opętanie. Twojego pisma nawet nie przeczytał, powtarzał tylko, że niektórym smarkaczom przewraca się dziś w głowie.

– Skąd więc ty się wzięłeś? – Złość nie mijała Piotrowi. – Co tu robisz?

– Pewnych ludzi zainteresował ten przypadek. Widzisz, przeor nie przeczytał twego pisma, rzucił w kąt. Ktoś zobaczył, podniósł. Przysyła mnie biskup. Jestem, można to tak nazwać, jego doradcą w pewnych sprawach.

– Jakich sprawach? – spytał Piotr.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Chodź, siądźmy gdzieś, opowiesz mi wszystko – powiedział po chwili doradca biskupa w pewnych sprawach. Odwrócił się i nie czekając na zaproszenie, ruszył w kierunku zabudowań.

Młodym mnichem aż zatrzęsło.

– Zaraz, do diabła! – krzyknął, nie licząc się specjalnie ze słowami. – Kim ty jesteś? Za kogo ty się uważasz?

Idący nawet nie zwolnił.

– Powiedz przynajmniej swoje imię!

Przybysz stanął. Odwrócił się wolno.

– Nazywaj mnie Lance – rzekł.

Poczynania Lance'a mocno rozczarowały przeora i pozostałych. Wysłuchał wprawdzie uważnie opowieści Piotra, lecz nie wyraził ochoty na bezpośrednie spotkanie z obiektem domniemanego opętania. Poprosił, by pokazano mu miejsce, gdzie po raz pierwszy ujrzeli Jasona.

Przeor zaprowadził go do kaplicy, wskazał, gdzie niegdyś złożono owinięte płaszczem ciało. Lance przyklęknął. Dłonią dotknął posadzki. Jakiś czas się nie poruszał. Potem jego nieruchoma twarz drgnęła, niebieskie oczy rozszerzyły się gwałtownie. Wpatrywał się gdzieś w przestrzeń, po chwili wstał i nic swoim zwyczajem nie mówiąc, odszedł.

Do wieczery snuł się po całym klasztorze, zachodząc tu i tam. Niekiedy zadawał pozornie bezsensowne, niezwiązane ze sprawą pytania. Twarz miał wciąż bez wyrazu.

Przy wieczery nie zdradzał szczególnego apetytu, ale nie krzywił się też na nieśmiertelne jagły, stanowiące zwykły klasztorny pokarm na przednówku. Uprzejmie odmówił udziału w wieczornych modłach, jak też noclegu w dormitorium. Wyciągnął się w stodole na sianie, przykrył burką i spokojnie zasnął, pozostawiając Piotra w lekkim osłupieniu.

Rano zniknął gdzieś na godzinę czy dwie. Gdy wrócił, poprosił, by osiodłano jego konia. Zapytał o przeora.

Znalazł go w kaplicy, klęczącego przed ołtarzem. Zaczekał, aż ten skończy modlitwę, po czym, gdy już wyszli na dwór, powiedział bez żadnych wstępów:

– To nie jest opętanie.

– To nie jest... – powtórzył Piotr, nie rozumiejąc. – Zaraz! Jak to nie jest, skąd wiesz? Przecież ty go nawet nie widziałeś!

Lance nie odpowiedział. Jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć.

– Powiedz! – nalegał przeor. – Dlaczego, na jakiej podstawie...

– To nie jest opętanie. – Bezbarwny głos Lance'a nie zmienił się ani o pół tonu. – Uwierz mi, ja nie kłamię. Zazwyczaj wolę przynosić lepsze wiadomości.

Piotr poczuł znajomy ucisk w gardle. To na nic.

– Wyjeżdżam wkrótce – usłyszał jak przez mgłę. – Bywaj.

Nie wiedział, że Lance nie wyjawiał wszystkiego.

\*\*\*

Jason siedział na krawędzi łoża, wpatrując się bezmyślnie w swe wychudłe nogi. Zniknęło gdzieś imponujące brzuszysko. Przeciągnął bezmyślnie ręką po krótko, prawie przy skórze obciętych siwiejących włosach. Brat Adalbert pełniący obowiązki klasztorного balwierza znał tylko jedną fryzurę – na łyso. Dłoń natrafiła na gruby szew blizny na czole. Dobrze, że nie ma tu zwierciadeł, pomyślał bez specjalnej emocji. Był już nieco silniejszy, zaczynał chodzić samodzielnie, choć zaraz po przebudzeniu czuł się zwykle jak zbity pies. Silny organizm brał górę nad chorobą, ale w środku był jak wypalony. Miał wrażenie, że zewsząd otacza go chłód, jakby śmierć, o którą się otarł, pozostawiła w umyśle nieuleczalne rany.

Nie cieszyło go szybkie odzyskiwanie sił, gdy po raz pierwszy usiadł, wstał, później przeszedł samodzielnie parę kroków. Nie zwrócił uwagi,

gdy ustał tępy ból w czaszce, który ścisnął ją przez wiele dni. Nie zarejestrował również, kiedy zrosły się połamane żebra i każdy oddech przestał być okupowany kłującym bólem.

Pomimo braku zainteresowania otoczeniem Jason dostrzegł, że traktowany jest jak zapowietrzony. Opiekował się nim tylko jeden stary mnich, który, gdy wydało mu się, że Jason nie widzi, popatrywał na niego z lękiem pomieszanym z ciekawością. Gdy wyruszał na krótkie z początku, potem coraz dłuższe przechadzki, wszyscy napotkani zakonnicy schodzili mu z drogi i nigdy, ale to nigdy się do niego nie odzywali. Gdy zaś zrazu próbował zagadywać, odwracali w milczeniu twarze, czyniąc dłońmi ukradkowe gesty od uroku. Nie miał więc żadnej motywacji, by domyślać się przyczyn.

Trzeba iść do kuchni, może znajdzie się skopek mleka, pomyślał sobie, chociaż nie miał na nie specjalnej ochoty. Resztki wpojonych kiedyś nawyków zmuszały go jednak do przestrzegania rzucanych półgębkiem zaleceń starego zakonnika. Zawsze dbał o kondycję fizyczną, o własne zdrowie. Jeszcze nie całkiem zapomniane, owe zwyczaje tkwiły gdzieś na dnie świadomości dawnego Jasona.

Ubrany w długi, ciepły samodziałowy habit, wspierając się na sękatym kosturze, wolno ruszył w stronę zimowej kuchni, którą zbudowano w pewnym oddaleniu od reszty zabudowań w obawie przed pożarem. Miało to jedną wadę – potrawy zawsze donoszono wystygłe. Po drodze nie spotkał nikogo, z czego był raczej rad.

Gdy wszedł do pomieszczenia, zatrzymał się zaskoczony. Nad cebrzykiem w kącie stał nieznajomy mężczyzna, obnażony do pasa. Wodą z cebrzyka ochlapał się pod pachami.

Jason stanął jak wryty. Iskierka zainteresowania zapaliła się w jego wyjąłowionym umyśle. Widok był niebywały, mnisi w swej odrazie do wody prawie dorównywali kotom.

Na nagich plecach mężczyzny dostrzegł dziwny krąg. Przyjrzał się uważniej. Tatuaż. Zwinięty w krąg wąż, połykający własny ogon.

Wąż Uroboros. Symbol nieskończoności. Symbol czasu niemającego początku ani końca. Myśli i obrazy wybiegają nie wiadomo skąd.

Skąd ten wąż? Skąd ja to wszystko wiem? W życiu nie słyszałem o żadnym...



Błędne koło, niemające początku ani końca.

Resztki dawnej świadomości tłuką się rozpaczliwie, ulatują. Znajomy ból ściska skronie.

Mężczyzna odwraca się. Ma szczupłą twarz jak tragiczna maska i bladobłękitne, przenikliwe oczy.

Błysk. Trzask jak bliskiego pioruna. Znajomy ból ściska skronie coraz bardziej.

Zaraz pęknie czaszka.

*Twarz znika. Krąg ludzi siedzących w mrocznym lesie. Migoczą płomyczki trzymany w rękach świec. Kaptury osłaniają twarze.*

*Biel. Mgła. Z bieli wyłania się wolno nieruchoma twarz. Wąskie wargi rozchylają się w niespiesznym uśmiechu, wyglądającym jak cięcie mieczem. Bardziej tragicznym w wyrazie niż jego brak.*

*Błysk. Trzask. Lśnienie noża w mroku lasu. Strumień bełkoce na kamieniach, krystalicznie czysta woda fosforyzuje w świetle księżyca. Krew ścieka z rozciętej dłoni, powoli, bardzo powoli...*

Oto kim jesteśmy.

\*\*\*

Ocknął się, zwinięty w pozycji embrionalnej na brudnej polepie zimowej kuchni. Zaciśnięte pięści przyciskał do skroni. Nie wiedział, jak długo tak leżał. Przeciąg łomotał niedomkniętymi drzwiami. W wyziębłym pomieszczeniu nie było nikogo więcej.

\*\*\*

To Jason pierwszy przyszedł do przeora. Stał przed nim, wysoki, chudy, wciąż wsparty na sękatym kosturze. Piotr zmusił się do spojrzenia na zapewne przystojną niegdyś twarz. Szybko spuścił oczy.

Nie mógł przywyknąć do tego, oglądanego przecież codziennie widoku. Symetryczne, świecące jeszcze różowo młodą tkanką blizny na policzkach ściągały twarz, nadając jej diaboliczny wyraz. Brzydko

zagojone rozcięcie na czole, zachodzące od brwi za linię włosów, z obu stron obramowane wypukłymi, zda się, punkcikami po szwach. Krzywo zrosnięty nos. Wrażenie potęgowała chudość, która wyostrzała rysy i uwydatniała kości policzkowe.

– Nazywam się Jason, ojcie. Chciałem... – Głos był głęboki i w dziwny sposób miły dla ucha, kontrastujący z pokierszowaną twarzą.

Przeor nie pozwolił dokończyć.

– Nie wiem, kim jesteś, i nie chcę wcale wiedzieć – przemówił gwałtownie – jaka otchłań piekielna cię wyrzuciła. Wypełniłem swą powinność. Przeżyłeś. Bóg nie pozwolił ci szczeznąć, choć blisko do tego było, bardzo blisko... Ale to wszystko, co mogłem dla ciebie zrobić. Więcej nie jestem w stanie. I wątpię, czy ktokolwiek jest.

Piotr wyrzucał z siebie całą gorycz nagromadzoną przez długie dni i noce; cały lęk, wszystkie nocne zmory, wszystkie obawy. Ciężkie słowa padały jak kamienie.

Jason słuchał bez słowa, bez zmiany wyrazu oszpeconej twarzy. Gdy Piotr uspokoił się wreszcie nieco i zamilkł, wyczerpany wykrzyczanym jednym tchem potokiem słów, ozdrowieniec powiedział cicho:

– Chciałem podziękować. Za wszystko.

Przeor milczał. Mełł pod nosem niezrozumiałe wyrazy, może modlitwy, może klątwy.

– Podziękować, powiadasz – wymamrotał po chwili, jakby do siebie. – Podziękować... Wiesz, co ci odrzeknę? – kontynuował po chwili. – A nie ma za co! Zwykły to, chrześcijański uczynek, rannego w dom przyjąć, zdechnąć nie pozwolić! Nawet jeżeli diabelskim miałyby się okazać posłańcem! Bo zło dobrem zwyciężać trza, dopiero gdy za wysoko łeb podniesie, trzeba mu ten łeb odciąć. W imię Boże! Pychę pokora zwalczyć jeno zdoła, a ten, kto się wywyższa, będzie poniżony!

Targany emocjami, zaczynał gonić w piętę, brnąc coraz głębiej w mistycyzm.

– Sprowadziłeś niepokój na to miejsce, zatrueś je jadem, który się w tobie zagnieździł. Przyniosłeś tu strach i zwątpienie, odebrałeś mi to, w co wierzyłem. Jaki bowiem może być świat, który zniesie to, o czym krzyczałeś we śnie? Gdzie jest ten Bóg, który na to pozwala? Odpowiedz,

jeśli potrafisz. Może nie potrafisz, może jesteś tylko narzędziem w ręku tego, co realizuje swój przewrotny plan...

Nic dodać, nic ująć, pomyślał Jason. Nie przerywał. Nie bardzo wiedział, co i jak mógłby powiedzieć. Piotr uspokoił się trochę. Nie wykrzykiwał już, nie wymachiwał rękami. Ale w tym, co mówił, nie było spokoju.

– Wiem, Bóg sprowadza czasem takich jak ty, by doświadczać swe sługi. Życie człowieka krótkim jest czasem próby, której musimy sprostać, aby godnymi być Jego królestwa. Ty mi nie wyglądasz jednak na Bożego wysłannika. Jeśli zatem nie przysłał cię też szatan, to muszę podejrzewać, że twoje sny mówią prawdę, że ta ziemia znowu spłynie krwią i łzami, z czeluści wyjdą niepojęte ludzkim umysłem zjawy i stwory, a zło znów zatriumfuje. Tak, jak już było przed laty. I dobro będzie bezsilne, bo tylko zło potrafi pokonać inne zło. Może ktoś, nie śmiem nawet zgadywać kto, przeznaczył ci udział w tym wszystkim...

Potrząsnął głową i umilkł, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Ja odegrałem już swą rolę w tym niepojętym planie – odezwał się wreszcie cichym, zgaszonym głosem. – Nie mogę zrobić nic więcej, i nie chcę. Odegrałem swą rolę i zapłaciłem, wszystkim, co miałem. Kiedy odejdziesz, będę mógł tylko czekać. Modlić się i żywić nadzieję, że to, o czym się dowiedziałem, nie nadejdzie, że odzyskam swą wiarę w Boski porządek.

Przedłużającą się, ciężką, aż namacalną ciszę przerwał Jason.

– Wkrótce odejdę – rzekł. Wiele słów cisnęło mu się na usta, ale czuł, że nie byłyby one właściwe. Żadne nie będą zadośćuczynieniem, nie przyniosą pociechy ani otuchy. Pozostało jeszcze jedno, coś, przed czym po wysłuchaniu Piotra miał wielkie opory. Ten człowiek, który w uratowaniu mu życia miał wielki udział, zasługiwał, by zaznać wreszcie spokoju. Jason wiedział, jak trudne było dla przeora to, co przeszedł. Nie było jednak innego sposobu.

– Wkrótce odejdę – powtórzył w końcu. – Ale najpierw... – dodał z niechęcią.

Młody przeor wiedział, co usłyszy. Obawiał się tego od początku.

– Chcesz, bym opowiedział ci o twoich snach. – Słowa z trudem wydobyły się z gardła.

Jason poważnie skinął głową.

– Muszę zrozumieć... – powiedział cicho.

Piotr w duchu przyznał mu rację. Ale nic nie stało się przez to łatwiejsze.

## - VI -

*Stało się tak, iż czart, Słowem Świętym smagany niemiłosiernie, ciało nieszczęsne opuścił, a biorąc na siebie ciało z powietrza y Waporów grubych ziemskich, Błogosławionemu w swej postaci obrzydłej a sprośney ukazał się. A że przez wieki na zgubę ludzką na ziemi przebywając experyencyi nabył wielkiej, przeto samego Błogosławionego iął kusić a do złego namawiać, plugawe wizye ukazując.*

*Widząc, iż słabnie dyabelska moc, iż Daemona flagra & tormenta upragniony skutek daia, Bł. Piotr Złemu nie folgował, jeno Słowa Święte wymawiał, Wody Święconej nie załuiąc, od czego Dyabeł ból wielki y przykrość znosił. Tak mocy Błogosławionego strzymać dłużej nie mogąc, iako spectrum w chwili iedney zniknął, smród po sobie plugawy ino zostawując.*

*Padł tedy człek od czartowskiej mocy oswobodzon przed Błogosławionym, stopy Iego całuiąc, za wybawienie dzięki zanosząc. I podniósł go z prochu Błogosławiony ramieniem własnem, Bogu Jedynemu podziękowania zanosić każąc, nie zaś niegodnym sługom Jego. A człowiek wstał y ruszył drogą swoją, świadectwo zwycięstwa cnoty y wiary nad złym wszędy zanosząc.*

*Powiadaią, że człek ów Zbójem i Oszustem drzewiey bywał, niegodnym chrześcijanina miana, nie dziwota przeto, iż czart iego właśnie na instrumentum swoje wybrał. Powiadaią takóż, że łaską Boską i przykładem Błogosławionego oświecony, pustelnikiem na resztę życia pozostał, umartwieniem i modlitwą swe grzechy okupując. Lecz tyle byłoby o nim, bo nie przystoi dla Zbója, nawet oświeconego, inkaustu i kart owej Xięgi żywotowi Błogosławionego Męża poświęconey marnować.*

*Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln*

Jason siedział na koślawej ławeczce, wystawiając twarz na promienie

marcowego słońka. Z długich opowieści przeora, który z trudem wyjawiał mu koszmarne szczegóły jego snów, odniósł jedną niezaprzeczną korzyść. Nie to, żeby wiele zrozumiał. Wizje były zbyt fragmentaryczne, by poskładać je w sensowną całość, a ich słuchacz zbyt poruszony, żeby wszystko spamiętać i powtórzyć.

Korzyść była jedna – skończyły się strachy dręczące Jasona. Nie obawiał się już wyjścia między ludzi. Urwały się majaki, w których czuł zimne ostrze tnące twarz. Zniknął uraz, każący nieufnie spoglądać na każdego napotkanego człowieka w poczuciu zagrożenia. Minęła obojętność, będąca w rzeczywistości skorupą, w jakiej zamknął się przed całym światem, który skrzywdził go tak dotkliwie.

W chłodnym, bystrym umyśle zaczęły budzić się iskielki ciekawości. Jednak dawny, jowialny i beztroski Jason odszedł bezpowrotnie. Zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie będzie taki jak przedtem. Lecz ponura tajemnica, która czaiła się w jego snach, bardziej go intrygowała, niż przejmowała lękiem. Tak jak kiedyś.

Wizje, jakich zaznał w obecności człowieka z tatuażem, nie powróciły. Jason przypuszczał, że nic teraz nie stymulowało ich pojawienia się. Pamiętał dokładnie treść owych przekazów, lecz obecnie, mimo uporczywego szperania w zakamarkach pamięci, nie znajdował w niej nic, czego by tam nie było wcześniej. Żadnej wiedzy pochodzącej nie wiadomo skąd. Żadnych prawd objawionych.

Wizji nie było. Sny nie dawały się łatwo zinterpretować. Pozostało jedynie niejasne przeświadczenie, że coś się niedługo wydarzy. Więc podświadomie czekał.

Westchnął, przeciągając się na ławeczce.

Zastanawiał się przedtem, co zrobi ze sobą, gdy już opuści klasztor. Twarz, którą zobaczył, gdy zajrzał nieopatrznie do cebrzyka z wodą, niezbitnie świadczyła o tym, że jego dotychczasowe zajęcie skończyło się bezpowrotnie. Nikt nie zasiądzie do gry z właścicielem takiej gęby. Nie wzbudzała sympatii ani zaufania. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, dlaczego wałęsające się po podwórzu kundle nie wyją na jego widok, albo nie uciekają, podkuliwszy ogony. Tak, nie zagramy już więcej, pomyślał bez specjalnego żalu. Nie był pewien, czy byłby jeszcze w stanie wytrzymać napięcie gry.

W dobrych czasach odłożył trochę. Pomimo iż specjalnie nie liczył się z pieniędzmi, dogadzając sobie przy każdej okazji, myślał jednak o przyszłości, o tym, co będzie robił, zaniechawszy wreszcie swego zajęcia. U żydowskich lichwiarzy czekała więc wcale okrągła sumka, którą zamierzał kiedyś przeznaczyć na urządzenie sobie innego życia. Stale jednak odkładał ten moment, jak się okazało, o jeden raz za dużo. Nie z zachłanności, lecz po prostu dlatego, że lubił takie życie, jakie prowadził, a nie czuł się jeszcze stary i zmęczony.

Tak, trzeba było wcześniej, dumał melancholijnie, zacisnąć pasa i żyć oszczędnie ze zgromadzonego kapitału. Przesadzał, jak zwykle. Sumka odłożona u lichwiarzy starczyłaby na dwie, a nawet trzy przyzwoite wsie.

Przez mgnienie oka dostrzegł wysokiego mężczyznę, zmierzającego w jego kierunku. Tylko przez mgnienie, bo zaraz nastąpił znajomy już błysk. W oczach pociemniało...

*...Wysoki mężczyzna stojący w kręgu megalitów, pod ciemnymi chmurami pędzonymi wiatrem. Mokre włosy oblepiają twarz. Trzymany ostrzem do ziemi miecz lśni lepką czerwienią... Biała mgła przesłania obraz...*

...Z mgły wyłonił się mężczyzna, stojący przed Jasonem, z uśmiechem zeszpeconym blizną biegnącą od policzka do oczodołu. Jason zachwiał się na ławeczce, człowiek wyciągnął rękę, by go podtrzymać. Zacisnął palce na ramieniu...

*...Ta sama twarz przecięta blizną, widziana z dziwnej perspektywy, jakby pochylona nad leżącym. W oczach gniew i coś jeszcze, głęboki, szczery ból. Ze skroni ścieka wolno strużka krwi. Twarz zdaje się oddalać, odpływać. Coraz mniejsza, otoczona rosnącą zewsząd strefą mroku. Nic. Zupełnie nic...*

– Dobrze się czujesz? – usłyszał Jason. – Powiedz, słyszysz mnie?

Spojrzał nieprzytomnie.

– Match... – powiedział cicho, zastanawiając się, skąd zna to imię.

Mężczyzna spoważniał.

– Tak, Match – rzekł po chwili. – Obecnie szerzej znany jako Wieprz. Wieprz z Nottingham. Pozwolisz?

Match, znany szerzej jako Wieprz, nie czekając na odpowiedź, usiadł obok na koślawej ławeczce. Jason wprawdzie nie zdążył pozwolić, ale posunął się, robiąc mu miejsce. Ławeczka była nie tylko koślawa, była też krótka.

Jason milczał. Match przyglądał mu się z ukosa.

– Z dalekiej drogi wróciłeś, przyjacielu – zaczął wreszcie. – A teraz wszystko wskazuje, że będziemy musieli poznać się lepiej. Mamy sobie dużo do opowiedzenia. Nie, żeby to było specjalnie przyjemne, ale tak trzeba. Zgodzisz się chyba, przyjacielu. To może być początek ciekawej znajomości...

Jason powstrzymał cisnące się na usta pytania. Słuchał dalej.

– Na razie posiedzimy, powspominamy... – Match uśmiechnął się beztrudnie. – Ty, zdaje się, znasz moje wspomnienia. Przeor mi opowiadał...

Match roześmiał się krótko. Nie był to nieprzyjemny śmiech.

– Wiesz – ciągnął mężczyzna – przeraziłeś śmiertelnie tego biednego prostaczka. Jego pech. Zazwyczaj tak bywa, robimy sobie plany, człowiekowi wydaje się, że wie, co będzie robić jutro, pojutrze, za rok... Aż tu pojawia się na drodze zbój z wielką pałą, i okazuje się naraz, że nie będzie żadnego jutra. Nie mówiąc już o pojutrze. Albo nadchodzi mór. Albo ty... Zaczynam filozofować. To jedna z moich licznych wad, ale wiesz, jak człowiek tak łązi sam po lesie, to jak już ma okazję, lubi sobie pogadać... Wracając do rzeczy, znasz moje wspomnienia, i nie tylko wspomnienia, jak sądzę...

Urwał. Braciszek, niosący miskę z wetkniętą drewnianą łyżką, na jego widok zatrzymał się jak wryty. Zawartość naczynia omal nie znalazła się na ziemi. Nie byłoby specjalnie czego żałować, pomyślał Jason mimochodem. Braciszek opanował się, kryjąc twarz w cieniu kaptura, postawił miskę na ławie. Uciekł, jakby go kto gonił.

Match zerknął na posiłek, skrzywił się.

– Oczywiście, cóż by innego! Nie wychodzą ci jeszcze te jagły nosem? Tobie mięska trzeba, sarenkę jaką by tu, albo koziołka... Zajaczek też byłby niezły. Prawda, przecież post – zafrasował się, stuknąwszy w czoło. – Jason, a rybkę byś zjadł, no, dobrą rybkę, pstrąga?



Niech mnie, przemknęło przez myśl Jasonowi, teraz o rybkach. Jakby nie było o czym...

– Mamy czas. – Match przerwał jego zadumę niezwykle trafnie. – Jeszcze się nagadamy o rzeczach ostatecznych, jeszcze będziesz miał tego szczerze dosyć. Na razie pójdę jutro... nie, do diabła, pój dziemy na pstrągi. Przyniosę ci coś z odzienia, ten habit zupełnie do ciebie nie pasuje. Wyglądasz w nim jak... No, mniejsza z tym, jak kto lub co wyglądasz, ale nie pasuje, uwierz na słowo. A i niewygodnie by w nim było nad strumieniem.

– Ale...

Match nie zwrócił uwagi. Uśmiechnięty perorował dalej:

– Zobaczysz, jakie to ciekawe. Założę się, że jeszcze nigdy...

– Match! – wrzasnął Jason, wyprowadzony z równowagi. – Zamknij się wreszcie. I posłuchaj!

Match zamknął się wreszcie, lecz nie przestał się uśmiechać.

– Powiedz mi tylko jedno. Na razie, jak sam twierdzisz, mamy czas. Ale wytłumacz mi chociaż, co powoduje ten twój znakomity nastrój. Rozmawiałeś z przeorem, więc teraz wyjaśnij, dlaczego zamiast uciekać jak najdalej czy chociaż zapytać, co to wszystko znaczy, pieprzysz głupoty!

Człowiek szerzej znany jako Wieprz spoważniał na chwilę. Ale tylko na chwilę, bo zaraz znów uśmiechnął się szeroko. Jednak w oczach zgasły wesołe iskierki.

– Widzisz, uciekałem już w życiu nieraz – rzekł. – W końcu przekonałem się, że są rzeczy, przed którymi nie ucieknę. Mogę jedynie poddać się lub wyjść naprzeciw. Poddawać się nie lubię, choć i to się zdarzało. Jednak zawsze wiedziałem, że przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie zapłacić rachunek... Rozumiesz. A jeśli jeszcze nie rozumiesz, to zrozumiesz już niebawem...

Urwał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A poza tym... – podjął – poza tym każdy z nas wie, że kiedyś umrze, że całe życie jest tylko odwlekaniem tego, co nieuchronne. Banalne to, co mówię, ale tak jest. Ta pewność bywa czasem ciężka, zwłaszcza że nie znamy dnia ani godziny. Tym cięższa, im człowiek starszy, im bliżej. Otóż

widzisz, ja już teraz wiem kiedy i jak umrę, ile dokładnie czasu mi pozostało. To czym jeszcze, twoim zdaniem, mam się zamartwiać?

Jasonowi zabrakło odpowiedzi. W rzeczy samej, pomyślał.

– Tak, wiem już kiedy. Sam mi to przecież powiedziałeś – dokończył Match z uśmiechem, który nagle zaczął przypominać trupie wyszczerzenie zębów.

\*\*\*

Jason opuścił już chatę przeora, nie chciał sprawiać nadmiernych kłopotów. Noce nie były mroźne, sypiał więc w stodole, zagrzebany w sianie, przykryty ofiarowanym przez Matcha ciepłym wełnianym pledem. Całkiem odzyskał siły, zaczął nawet się cieszyć z ich powrotu.

W klasztoru życie powoli wracało do normy. Ponieważ nic strasznego na razie się nie wydarzyło, przeor nabierał przekonania, że tym razem jeszcze nie nadszedł dla niego czas ostatecznej próby. Nie sypiał już w ogólnym dormitorium, co mnisi przyjęli z niekłamanym zadowoleniem, powracając, nieśmiało zrazu, do nagannego acz nagminnego praktykowania grzechu nieczystości.

Match kilkakrotnie zabierał Jasona na polowanie. Jak powiedział, dostarczanie dziczyzny stanowiło jego główne zajęcie, świadczone na rzecz zakonników. Pryncypialny zwykle przeor przymykał oko na ewidentne kłusownictwo, klasztor bowiem nie miał lasów w okolicy, otaczająca go puszcza była dziedziną królewską.

Któregoś dnia, już w kwietniu, odbili się od klasztoru zbyt daleko, aby powrócić przed nocą. Match poprowadził do starego szałas, w którym, jak mówił, spędził już wiele nocy podczas swych leśnych wędrówek.

Rozpalili ognisko, nacięli świeżych świerkowych łapek na legowiska. Na zaimprovizowanym rożnie piekli nad żarem ustrzelonego tłustego królika. Jason spod oka obserwował swego towarzysza.

Słyszał nieraz o osławionym Wieprzu z Nottingham, zdrajcy, słuźalcu szeryfa, kacie męża i niewiasty. Ponoć na czele najemnych żołdaków wycinał w pień wioski, które były mu niegdyś schronieniem. Mówiono również, że przyczynił się do śmierci Robina w Kapturze, prawego obrońcy uciśnionych i pogromcy ciemężycieli. Nie dość – podobno

zdradził swego wodza i za judaszowskie srebrniki przystał do ciemieńców, a potem wysługiwał się im, jak tylko umiał, aż poniósł wreszcie zasłużoną karę, ginąc niby pies z ręki niewiernych.

Ostatnie przynajmniej było ewidentną nieprawdą. Match wydawał się cieszyć dobrym zdrowiem, co Jason stwierdził, przyglądając się, jak osławiony Wieprz ogryza z apetytem królicze kostki. Lecz ludzkie gadanie, zwykle przejaskrawione i wyolbrzymione, zawsze zawierało jakieś ziarno prawdy. A nawet więcej niż ziarno. Tylko jakiej prawdy?

Dziwnie nie pasował mu do tego obrazu człowiek, który wysysał teraz kostki po przeciwnej stronie ogniska. Owszem, jego twarz znamionowała surowość, a może i okrucieństwo, nawet jeżeli nie sugerować się paskudną blizną. Oczy spoglądały na ogół twardo, opuszczone kąciki ust wskazywały, że od lat nie miał wielu powodów do radości.

Jeszcze jedno, przypomniał sobie Jason, dlaczego przeor – człowiek wprawdzie dość ograniczony, jak zdążył się przekonać, ale niewątpliwie surowych zasad – zgodził się przyjąć do siebie kogoś, na kim ciążyła przelana niewinnie krew? Match był zagadką, tragiczną i tajemniczą.

Tajemnicza i tragiczna zagadka beknęła głośno.

– Uff, dobry był króliczek – zagadał Match. – Ale mały...

Jason zdecydował się. Nie da się już zbywać.

– Match – zaczął. – Nie ma co tego przedłużać.

Przerwał, spojrzał mu prosto w oczy.

– Los zetknął nas – podjął. – Nie wiemy jeszcze po co, przynajmniej ja nie wiem. Do tej pory zawsze wydawało mi się, że sam kieruję swoimi postępkami, swym, jakby to nazwać, przeznaczeniem. Teraz mam wrażenie, że niesie mnie jakaś fala, nie wiem dokąd, nie wiem po co. Nie podoba mi się to, bardzo nie podoba... Czuję, że nie mogę się temu przeciwstawić, ale przynajmniej chcę zrozumieć... Może nawet uwierzyć, że jest w tym jakiś cel. Nie bój się, wytrzymam tę wiedzę, jakakolwiek ona będzie. Wytrzymam, bo nie mam innego wyjścia, może jeszcze tylko szaleństwo lub śmierć.

Match słuchał, wpatrzony w dogasające ognisko. Dorzucił drew, aż prysnął w górę snop iskier.

- Dobrze, Jason – odezwał się po chwili. – Może masz rację. Nie będzie lepszej pory. – Uśmiechnął się. – Przy ognisku, przy ognisku – zadrwił. – Tak siedzimy sobie blisko...

Spoważniał, zniknął uśmiech.

- Dobrze, Jason – powtórzył innym już głosem, cichym i matowym, którego Jason jeszcze nie znał. – Posiedzimy, pogawędzimy. Usłyszysz o Wieprzu z Nottingham, zdrajcy i służalcu. Posłuchasz o jego niemiłosiernych uczynkach. Przyjrzyś się im z bliska. Tak, przyjrzyś, bo wiem, że potrafisz... To dlatego los nas zetknął, dlatego że otrzymałeś od niego ten straszliwy dar, którego najchętniej byś się pozbył, który być może odebrał ci już przyszłość, wszelkie nadzieje i zamiary. Z którego ja zamierzam skorzystać, po to, aby też zrozumieć... Mnie także unosiły wydarzenia, których nie pojmowałem do końca i nadal nie pojmuję. Nie, nie zrozum mnie źle. Ja nie chcę tłumaczyć się z moich postępów, szukać usprawiedliwień. Ja tylko wiem, że zbliża się czas zapłaty. Bo jest czas siewu i zbiorów, czas narodzin i śmierci, czas uczynków i czas płacenia za nie.

Oczy lśniły w blasku migocących płomieni. Lśniły twardo i nieładnie.

Mężczyzna zamilkł, znów szturchnął węgle patykiem. Iskry strzeliły w niebo, wypalona od spodu głównia odwróciła się i zajęła większym płomieniem. Po chwili Match podjął:

- Dowiedziałem się nieco o tobie. Gdy jeszcze leżałeś, mało przytomny, pojechałem twoim śladem, do karczmy. Karczmarz opowiedział mi, co zaszło, kim naprawdę jesteś. Wiesz, Jason, przykro mi to mówić... Kiedy po raz drugi przejeżdżałem tamtędy, zastałem tylko zgliszcza. Nikt nie przeżył, nawet kot leżał przebity strzałą na podwórzu. Przykro mi to mówić, ale powinieneś wiedzieć. Za tobą, tak jak za mną idzie śmierć.

Jason bezwiednie zacisnął pięści, nic nie powiedział. Bo i nie było co.

- Dobrze więc, opowiem ci historię Matcha, syna młynarza, zasmarkanego wiejskiego głupka, którego przygarnął Robin i jego wesoła czeredka. Historię chłopaka, którego do siedemnastego roku życia bito i wyśmiewano, bo jąkał się i ślinił, nie potrafiąc sklecić całego zdania; którym pomiatał, kto tylko miał ochotę. Dla niego Robin i jego ludzie stali się niedościgłym, zdawałoby się, wzorem, patrzył w nich jak

w tęczę. Bo to oni byli pierwszymi, którzy potraktowali go jak człowieka. Pokazali mu świat, nauczyli walczyć o siebie i innych. Usłyszysz o człowieku, który w zamian za to wszystko, co Robin dla niego uczynił, zaczął pożądać Marion, rojąc marzenia, jak to wtedy, gdy tamten zginie, jemu przypadnie w udziale jej miłość. Nie, nie zdradziłem wtedy, nie wydałem Robina na śmierć, jak wieść gminna niesie... Nie zdradziłem, jeszcze nie wtedy...

Jason chciał coś wtrącić, nie zdążył. Znajomy błysk.

*...Jeszcze nie zamknął się pierścień okrążenia. Jeszcze pozostała droga, którą można się wymknąć. Człowiek z odrzuconym na plecy kapturem trzyma dłoń na ramieniu chłopaka, po którego twarzy spływają łzy.*

*– Uciekaj, Match – mówi. – Uciekaj, póki jeszcze czas.*

*Chłopak nie rusza się. Pierścień zwiera się coraz bardziej. Chłopak wie, że powinien także zostać. Zostać do końca. Tylko on zobaczył w nim człowieka. Tylko on traktował go jak innych. Ale chłopiec nie chce umierać. Chce żyć. I chce także, by on zginął. Wtedy...*

*– A ty? – pyta, przełykając łzy.*

*– Ja zostanę – odpowiada Robin, spokojnie, smutno. – Uciekaj, za chwilę nie zdążysz.*

*Mężczyzna dostrzega dziwny wyraz oczu chłopca. Wydaje mu się, że to ulga. Został sam, żołnierze u stóp wzgórza widzą jego wysoką sylwetkę na tle pochmurnego nieba. Widzą, jak chwyta ostatnią pozostałą strzałę, wbija w ziemię u stóp. Spokojnie naciąga łuk, mierzy. Każdemu z żołnierzy wydaje się, że to właśnie w niego.*

*W ostatniej chwili unosi łuk, wypuszcza strzałę prosto w niebo. Wysoko. Śledzi jej lot spokojnym spojrzeniem.*

*Szczękają zwolnione cięciwy kusz...*

Z białej mgły wyłania się las, ognisko, cienie tańczące na mrocznej ścianie drzew. Jasona dobiega cichy, równy, beznamiętny głos:

*– Nie tak, jak myślisz. Ale w tej chwili, gdy szczerze płakałem na myśl o śmierci Robina, gdy chciałem z nim zostać aż do końca, gdzieś w głębi czułem tę paskudną radość, że Marion nie będzie już jego. Jeszcze nie moja, ale kiedyś... Wiedziałem już, że zajmę jego miejsce. Nie tylko jako przywódca banitów. Cały czas wydaje mi się, że on to wtedy dostrzegł...*

Że zginął, mając świadomość moich marzeń...

Nie dostrzegł, pomyślał Jason, to zostało mu oszczędzone. On w tobie widział do końca przerażonego chłopca.

– I tak ja, wiejski głupek, który wszakże bardzo się wyrobił, jak zwykł powtarzać Will Scarlett, zostałem wkrótce przywódcą banitów, kontynuatorem walki Robin Hooda. Nie od razu, jednak mój zapał pozwolił z czasem na zebranie z powrotem do kupy całej bandy. W końcu wykazałem się na tyle, że uznali mnie za przywódcę... A Marion...

Wizja przyszła łagodnie, bez ostrzeżeń i błysków. Twarz Matcha rozplynęła się...

\*\*\*

*...Marion. Kasztanowowłosa lady Marion. Gdy uciekali, uwolnieni ze stodołki, gdzie wzięli ich zbrojni szeryfa, na jej pobladłej twarzy nie widać było bólu i rozpacz. Dumnie niosła miecz, który oddał jej Robin. Miecz o sławnym imieniu, o historii sięgającej legend o Okrągłym Stole i prawych rycerzach, będący symbolem sprawiedliwej walki, niesplamiony krwią niewinnych, dobywany w słusznej sprawie i niechowany bez honoru. Drobną, kasztanowowłosa Marion o zielonych oczach była twarda.*

*To ona zaprowadziła porządek, nie pozwoliła, by odwrót stał się bezładną ucieczką. Ona, trzymając miecz, jawiła się przywódcą, pobitym, lecz niepokonanym. W zielonych oczach nie było łez.*

*Dopiero w nocy, skulona na świerkowym pościeliu szataś w leśnej kryjówce, zaczęła płakać jak skrzywdzona, bezbronna dziewczynka. Jak dziecko przytuliła się do Matcha, szukając pocieszenia. Nie przypadkiem, gdyż zawsze wydawał się jej równie bezbronny i zagubiony, jak ona teraz. Tuliła się, kryjąc twarz w jego piersi, chlipiąc bezradnie, spragniona ciepła i bezpieczeństwa. On sztywno gładził jej włosy, nie śmiąc dotknąć ciała. Pragnął przytulić ją z całej siły, ukołysać w ramionach. Nie śmiał... Leżeli tak długo, on patrząc szeroko otwartymi oczyma w ciemność, ona płacząc coraz ciszej. Gdy wreszcie usnęła, objął ją niezgrabnie. Nie zasnął do rana, czując jej oddech i ciepło... Jej upragnioną bliskość. Przez całą, długą noc...*

Jason wzdrygnął się, policzki paliły. Czuł się jak jakiś pieprzony

podglądacz. Wbrew sobie poddał się znowu wizji.

*...Match przemawiał z pasją do otaczających go ludzi. Słuchali, dziwiąc się zapewne, skąd ten mało elokwentny dotąd chłopak, mruk niezbyt przecież bystry, potrafi tak mówić. Ich początkowa niechęć i sceptycyzm przeradzały się z wolna w wyteżoną uwagę.*

*Match mówił o powinnościach, jakie wzięli na siebie, o konieczności kontynuowania dzieła zmarłego przywódcy, o wieśniakach, dla których byli i powinni nadal być obroną przed uciskiem, przed samowolą panów i baronów. O tym, że to sam Hern Myśliwy będzie ich prowadził, jak czynił to dotąd, i o długu, jaki mają wszyscy do spłacenia wobec tego, który zginął samotnie na wzgórzu. Wobec siebie.*

*Słuchali uważnie, bo przecież chcieli to wszystko usłyszeć. Być może chcieli sami to powiedzieć, ale on był pierwszy. I chyba w tej właśnie chwili dostrzegli w nim kogoś więcej niż zahukanego, niepozornego chłopaka. Po raz pierwszy ujrzeni przebłąsli tych zdolności, które niebawem pozwolą poprowadzić banitów do dalszej walki.*

*Nawet Will Scarlett, człowiek, co niejedno w życiu widział i przeżył, przestał krzywić się niechętnie.*

*Słuchali, czując, że z każdym słowem stają się silniejsi. We wspomnieniach zacierał się obraz zasmarkanego chłopaka, którego pamiętali zaledwie sprzed paru miesięcy. Zobaczyli nagle pewnego siebie, pełnego wiary w swe racje mężczyznę, który pierwszy miał odwagę wypowiedzieć na głos to, co wszyscy czuli gdzieś głęboko. Nie mogli znać prawdziwej motywacji...*

*Bo pod wypowiedzianymi z przekonaniem i pasją słowami o powinnościach krył się lęk, że wszystko może się nagle skończyć. Że rozejdą się, każdy w swoją stronę. Że nigdy już nie zobaczy Marion, tak teraz bliskiej, bliższej niż kiedykolwiek... On zaś wróci do młyna i stanie się znów zasmarkanym wiejskim głupkiem. Tak, dalsza walka była środkiem, nie celem, lecz o tym nie wiedzieli.*

*Przewrotny los sprawił, że to właśnie Marion pierwsza podjęła decyzję. Ujęła oburącz trzymany na kolanach miecz, wstała i, wyciągając ręce, podała go Matchowi. W zielonych oczach mężczyzna zobaczył wdzięczność. I wydawało mu się przez chwilę, że coś jeszcze...*

*Decyzję przypieczętował Nazir. Ten hasz-szaszi, niegdyś członek*

*bractwa asasynów, precyzyjnie uformowana od wczesnej młodości maszyna do zabijania, wyczuwał wokół chłopaka coś nieuchwytnego. Jakieś niejasne przeznaczenie, wielkie zwycięstwa i równie wielkie porażki, co przyjmował z właściwym sobie fatalizmem. Tak, przed tym chłopakiem była przyszłość, wielka, a zarazem mroczna i krwawa. Jak to zresztą zwykle bywa. Nazir pojął, że jeżeli mają jeszcze walczyć i zwyciężać, to tylko Match może ich prowadzić. A co może być piękniejsze dla asasyna od walki i krwi?*

*Położył rękę na ramieniu chłopaka.*

*– Co rozkażesz, Match? – zapytał spokojnie.*

*Decyzja została powzięta.*

\*\*\*

Ognisko dogasało. Jason poczuł na plecach chłód, nie wiedząc, czy ciągnie tak od niedawno rozmarzłej ziemi, czy jest to zapowiedź czegoś, co jeszcze usłyszy i zobaczy.

– Ja nie byłem Robinem z Locksley, romantycznym i w gruncie rzeczy naiwnym szlachcicem, który tak naprawdę walczył wyłącznie przeciwko normańskim najeźdźcom, uosabianym przez szeryfa i jego świtę. Robin był Sasem, czy też, jak wolisz, Saksonem, potomkiem Celtów, Brytów, także tych, którzy przybyli tu wcześniej, Jutów, może nawet Rzymian. Dla tego saksońskiego panicza Normanowie wciąż byli najeźdźcami. On walczył o swe dziedzictwo, tożsamość. Ja nie miałem dziedzictwa. Zacząłem wojnę, ale potyczki rychło przestały przypominać romantyczne przygody, w których kilku śmiazków z wdziękiem przechytrza tępe żołdactwo i okrutnego szeryfa, ludzie nie giną niepotrzebnie, a okrucieństwo jest tylko po stronie przeciwnika. Zacząłem wojnę, w której nie wystarczało obrabować bogatych i rozdać biednym. Ja wiedziałem, że obdarowani biedni zaczną uciskać tych jeszcze nieobdarowanych, wyrosną ponad nich i staną się bardziej okrutni od tych, którzy ich samych przedtem uciskali. Wszystko, co do tamtej pory widziałem, dowodziło, że tak właśnie będzie. Roilo mi się jednak co innego, że biedny puszczański lud, wyzwolony od danin i ciężarów będzie żył szczęśliwie, pracował tylko dla siebie, wolny od



panów i wyzyskiwaczy. Będzie miał znów swego Herna Myśliwego, swe święte dęby, nienarzuconych z zewnątrz bogów. A ja będę ich tarczą, ich obroną, a gdy mnie kiedyś zabraknie, ktoś z nich przejmie moje dzieło. To wydawało się takie proste, wystarczało tylko wypowiedzieć wojnę totalną, wojnę zniszczenia wszystkiemu, co wrogie i obce. Poczynając rzecz jasna od szeryfa i jego poborców, od baronów i hrabiów. A uciskani staną wraz ze mną w tej sprawiedliwej walce...

Match mówił teraz z pasją, wypluwał słowa z wyczuwalną pogardą. Twarz ściągnęła się ze złości.

- Dopiero później, gdy wszystko zaczęło wymykać mi się z rąk, stawać przeciwko mnie... Z początku nie wiedziałem, że moja walka, mój bunt jest tylko kroplą w morzu besilności. Wolność, której pragnąłem, nie nadejdzie chyba nigdy, a przynajmniej jeszcze nie przez bardzo, bardzo długi czas... Na razie jednak zacząłem prowadzić wojnę tak, jak potrafiłem. Nie jak szlachetny Robin Hood. Gdzieś głęboko we mnie siedział ten zasmarkany, pomiatany chłopak, który wreszcie mógł odegrać się za wszystko. Za kopniaki i drwiny, za pogardliwe spojrzenia, za kij, którym ojczym łoił mi skórę. Trzeba zresztą przyznać, że był osobliwie sprawiedliwy, bił mnie nie częściej niż inne dzieci, co nie oznacza, że rzadko. Teraz ten chłopak miał w ręku miecz, który sam w sobie był legendą. Miał ludzi, którzy go słuchali, szli za nim w ogień, na dobre i złe. Za nim przemawiała też legenda Robina, legenda, bez której, jak sam nawet wtedy przyznawał, byłby nikim... Dołączali nowi ludzie, przyciągnięci tą legendą, ale także już jego własną sławą. Rósł w siłę, straty, jakie ponosili przeciwnicy, były poważne, znacznie poważniejsze niż te, które kiedykolwiek spowodował Robin, nawet w najlepszych swych czasach. Skończyło się wypuszczanie w samych gaciach pokonanych zbrojnych, na pośmiewisko gawiedzi. Nie było kogo wypuszczać... W przeciwieństwie do naiwnego i szlachetnego Robina wiedziałem, że ośmieszony żołnierz wyfasuje nową odzież i ekwipunek, po czym wróci, tym groźniejszy, że wściekły i dyszący żądzą zemsty. Nie pozwalałem na to... Odnosiłem sukcesy. Zaczynano mnie postrzegać z lękiem i podziwem. A Marion... Wydawało mi się, że coraz częściej spogląda na mnie z czymś więcej niż podziw. Nie myliłem się chyba... Wszystko układało się pomyślnie. I chyba od tego zaczęło przewracać mi się we łbie.

Match przerwał swój cichy monolog. Popatrzył na Jasona skulonego nad wygasłym prawie ogniskiem.

– Skończymy na dzisiaj – powiedział. – Jeszcze wiele przed nami, dopiero zaczęliśmy.

Wrzucił w dogasające ognisko grube jesionowe kłody, które przywlekli przedtem z lasu.

– Będą się tlić całą noc, będzie ciepło...

\*\*\*

Kolumna zbrojnych wolno posuwała się puszczańskim traktem, zmarznięta ziemia dźwięczała pod podkowami wierzchowców. Dzień był słoneczny; jeden z pierwszych, mroźnych, lecz jeszcze bezśnieżnych dni późnej jesieni. Konie poparskiwały, wypuszczając wraz z oddechem kłęby pary.

Zbrojnych było wielu, kolumna rozciągnęła się znacznie. Przodem jechali konni żołnierze, dobre dwie setki chłopów. Czujnie rozglądali się wokoło, bo dobrze pamiętali to, co przytrafiło się ich poprzednikom. Jednak wciąż było spokojnie, widzieli tylko bezlistne już drzewa i nieliczne w tej części puszczy dęby, które swymi suchymi, pozwijanymi liśćmi potrafiły szeleścić aż do wiosny. Ten brak liści i rzadkie poszycie dodawały otuchy, utrudniały ukrycie się łucznikom. Tak, pora roku zdecydowanie sprzyjała zadaniu.

Guy Gisbourne, zaufany szeryfa, dowódca i organizator wyprawy, która w zamierzeniach była karną ekspedycją, mającą położyć kres rebelii, jechał za zbrojnymi, za towarzystwo mając kilku szlachty z okolicznych dworów i kaszteli.

Kolumnę zamykały wozy. Jako że wyprawa planowana była na kilka dni, wieziono na nich spore zapasy jada i wszelakich napitków. Wprawdzie żołnierzy wysyłano nawet na dłużej bez żadnego zaopatrzenia, licząc na to, że przeżyją tym, co przezornie zabiorą ze sobą w sakwach lub ukradną po drodze, ale panowie szlachta i sam Gisbourne nie mieli zamiaru przecież żywić się suchym chlebem i łapać kur po obejściach.

Hrabia zdusił w sobie obawy, dręczące go od chwili, gdy las zasłonił za nimi pola i wioski. Przebyli już ładnych parę mil, a nic się nie stało. Zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem banici nie postanowili przezimować i nie wychylać nosa aż do wiosny, zapadłszy w niedostępnych uroczyskach.

Jadący obok baronet William, najstarszy syn barona z sąsiedztwa, młodzieniec chudy i krostowaty, z wystającymi spod misiurki sztywnymi, konopiastymi blond włosami, podsunął się bliżej.

– Coś nie widać tych waszych banitów, panie hrabio – powiedział, cedząc pogardliwie słowa. – Obyśmy tylko nie na darmo dupska na kulbakach wytrząsali, w dodatku w taki chłód.

Gisbourne nie odpowiedział. Też ci się spieszy, pomyślał z niechęcią. Zobaczmy, jak ci strzała nad uchem świśnie...

– Oj, słusznie prawicie, słusznie – dodał inny, z drugiej strony, przypominający jako żywo z tuszy i aparycji dorodnego wieprzka, w białego w kolczugę. Gisbourne nie pamiętał, czyim ten był synem. – Widzi mi się, że wy i ten wasz szeryf zajęcem kapoty macie podszyte – ciągnął ubrany w kolczugę wieprzek niewiadomego pochodzenia. – Toć my sami tu byśmy wystarczyli, nie trza tego całego wojska, coście go tu, panie hrabio, zgromadzili, he, he, he... – zarechotał.

Gisbourne zmełł w ustach przekleństwo. Ale ostatecznie, kto płaci, ten ma prawo narzekać. To okoliczna szlachta finansowała wyprawę. Poprzednie klęski mocno uszczupliły szeregi zbrojnych szeryfa. Stan szkatuły także.

– I to za nasze pieniądze – zauważył krostowaty, jakby zgadując jego myśli.

Pozostali synowie, bracia i inni krewni zachowywali na razie taktowne milczenie. Rozglądali się tylko ponuro, najwyraźniej przyrównując zainwestowane środki do osiągniętych rezultatów.

– Toć mówiliście, panie hrabio, że do tego lasu w ogóle wjechać nie można. – Krostowaty nie zrażał się brakiem odpowiedzi. – Że od pierwszych stajań nie przymierzając mieczami drogę wyrąbywać będziemy. A tu co, pusto, głucho, psa z kulawą nogą nie widać...

Splunął, o mało nie trafiając własnego konia między uszy.

– Mówię, zającem podszyty ten nasz szeryf – podjął ochoczo temat wieprzek. – Rebelią straszył, pod wasze zamki i dwory, powiadał, podejda... W zarodku zdusić trza...

– Terror zaprowadzają, prawił – dodał krostowaty. – A wiecie co, panie hrabio? A nam się widzi, że nasz szeryf, jak by to rzec, niezguła jest. I to wasze wojsko diabła warte... Mówicie, że z pierwszego podjazdu ni świadek nie wrócił? Że następne hołota poszczerbiła? A ja wam rzeknę, że takie wojsko możecie sobie wsadzić w rzyć!

Synowie, bracia i krewni zgodnie zarechotali. Zadowolony z efektu krostowaty ciągnął dalej:

– Takie wojsko, co go hołota pobiła! Kmioty z lasu! Paru rzezimieszków, po traktach zebranych! Powiem wam, panie hrabio, takie wojsko jak wasze, to i moi stajenni widłami by rozpędzili... Nie trza byłoby tych walijskich odmieńców.

Tu cię boli, zauważył Gisbourne z mimowolnym rozbawieniem. Walijscy łucznicy, ukryci pomiędzy zbrojnymi, byli jego tajną bronią, mającą odegrać kluczową rolę w spodziewanej potyczce. Ponoć niezrównani w strzelaniu z długiego łuku. Jeśli sądzić po cenie, jakiej zażądali, rzeczywiście musieli się za takich uważać.

– Tak – zawołał wieprzek. – Słusznie prawi! Nas trzeba było od razu poprosić, nie wstydzić się! Już dawno hołota by na stryczkach tańczyła!

Ach, pocałuj mnie, pomyślał hrabia. Gdyby nie sakiewka twojego tatusia, nikt by sobie tobą dupy nie zawracał.

– Wybaczcie, szlachetni panowie, obowiązki wzywają! – powiedział zimno i ruszył w skok. Ścigał go donośny rechot.

Wciąż nic się nie działo. Próżno ukryci wśród maszerujących zbrojnych Walijszczyki czujnie rozglądali się wokoło. Las jak był pusty, tak pozostał. Zapadał wczesny jesienny zmierzch.

W miejscu, gdzie gościniec przecinał dużą polanę, rozłożyli nocny obóz. Stary, doświadczony wojak nadaremnie tłumaczył hrabiemu, żeby nie palić ognia i czuwać do rana. Gisbourne przychyliłby się do tej, rozsądnej jak sam przyznał propozycji, mimo iż z niechęcią myślał, że mógłby spędzić mroźną noc, mając za jedyną ochronę przed chłodem podbity futrem płaszcz. Panowie szlachta zaprotestowali jednak zgodnie.

Wkrótce zapłonęło wesoło wielkie ognisko, podsycane z zapalem przez koniuchów przynaglanych rozkazami zgłodniałych i spragnionych szlachciców. Na widok wypakowywanych z wozów bukłaków i połci mięsa, szlachetnym panom wrócił humor, którego nie dostawało im podczas jazdy. Zasiedli kręgiem przy ogniu, gadając i śmiejąc się głośno, aż echo niosło się po ciemnym lesie. Na sąsiednich ogniskach piekły się całe ćwiartki baraniny. Zapach dotarł do żołnierzy, którzy z braku czegoś lepszego wyciągali ze swych juków połcie wędzonki. Wkrótce, pomimo niechętnych spojrzeń starszyny, zaczęli rozpalać własne ogniska.

Hrabia machnął na wszystko ręką. Usiadł w kręgu szlachty, z przyjemnością wyciągając zziębnięte dłonie w stronę ognia. Był wdzięczny, kiedy podano mu pełen kubek.

W miarę wypijanego wina wesołość stawała się coraz głośniejsza.

– A mnie się widzi – perorował młodzik z haczykowatym nosem, jak przypomniał sobie Gisbourne brat krostowatego – że dopiero w wiosce ich zdybiemy, jak piwo żłopiać i niczego się nie spodziewają. Taki kmiot jest przecie durny, ot, kupców złupić, to w sam raz na jego rozum. Ale kiedy złupi, pomyśli sobie, że jak w las odskoczy, to nikt go nie znajdzie...

– Głupiś – zgromił go brat. – Starszych lepiej słuchaj! Nie z głupoty kmiot tak robi, tylko że taka jego natura, bydłęca, w samej rzeczy! On poza własnym gnojem świata prosto nie widzi, to i dokąd ma pójść?

Gisbourne nie brał udziału w dyskusji. Nie bawiła go jakoś.

– A wy, panie hrabio, coście taki milkliwy? – spytał ktoś z przekąsem.  
– Co, nie w smak wam nasza kompania?

– Dajcie spokój, panie! – zarechotał wieprzek. – Pan hrabia martwi się, że banici tyły podali. Bo jakby nie, to dopiero by nam pokazał, odwagą zadziwił... Chrobry przecie pan, nie to co jego wojaki.

Wokół ogniska podniósł się drwiący rechot. Gisbourne poczuł, jak czerwienieją mu policzki. Następnym razem niech sobie szeryf sam jedzie, pomyślał ze złością. Powiem mu to, jak tylko wrócę, klnę się na wszystko, że powiem.

– Paszcie, jah to na gembie pan hhabia pokhaśniał. – Krostowaty wskazywał na Gisbourne'a trzymanym w ręce baranim gnatem. Mówił trochę niewyraźnie, przeżuwając odgryziony kęs. – Fidać skhomność u niego hówna otwadze...

Śmiał się, aż łzy pociekły mu z oczu. Wtem zacharczał głośno, jakby zakrztusił się wielkim kawałem mięsa. Oczy wyszły mu na wierzch.

– Wina mu dać, niech popije – krzyknął ktoś.

– A walnij go tam który w plecy, prędzej, bo się zatchnie! – ponaglał drugi.

Wybałuszone oczy krostowatego wywróciły się do tyłu, źrenice uciekły w głąb czaszki. Powoli zwałił się twarzą na ziemię.

Pomysł, by potraktować go po plecach, okazał się spóźniony. Ktoś to zrobił wcześniej – w okolicy łopatki, pod dziwnym kątem tkwiła wbita niemal po brzechwy strzała.

Uderzyła prawie pionowo z góry, z daleka strzelają, przemknęło hrabiemu przez głowę, gdy zrywał się z ziemi. Nie było wcale słyhać, nie dziwota, w takim hałasie...

Strzały sypały się zewsząd, jak grad. Jedne ze stukotem wcinały się w twardą, zmarzniętą ziemię. Inne nie. Gisbourne zauważył, jak któryś z biegających bezładnie ludzi zwija się z jękiem i pada, za chwilę drugi. Zraniony koń przeraźliwie zakwiczał.

– Gasić ognie, gasić ognie! – wrzeszczał ktoś przytomnie. Ta rozsądna rada nie zdała się na nic. Nie było czym.

Żołnierze, którzy zdołali napiąć kusze, strzelali na oślep w las. Pozostali, zamiast kryć się w cieniu, biegali jak szaleni, jak ćmy niemogące wydostać się z kręgu światła.

Gisbourne dał nura pod najbliższy wóz.

Pod nim leżało już pięciu walijskich łuczników. Niechętnie się posunęli, robiąc wolne miejsce. Hrabia szarpnął najbliższego za ramię.

– Co wy tu robicie? – ryknął wściekle. – Wyłazić mi stąd i strzelać!

Walijczyk spojrział na niego z ukosa.

– Chętnie, panie – odpowiedział spokojnie po chwili. – Jak tylko powiecie do czego...

O wóz stuknęła strzała. Za chwilę druga, trzecia. Następna przebiła półcalowe deski, jej grot zatrzymał się tuż nad głową hrabiego. Gisbourne przypadł do ziemi.

– Długa strzała, dalekiego zasięgu – ocenił beznamiętnie łucznik. –

Trzydzieści cali, jak nic. Są ze trzysta kroków stąd.

Drugi grot przebił deski.

– Łuk co najmniej stufuntowy – dodał z uznaniem Walińczyk. – Ten sam strzelec, dobry. Będą jeszcze dwa.

– Skąd wiesz? Widziałeś go? – parsknął nerwowo hrabia.

– Po co widzieć? Wystarczy zobaczyć to – łucznik wskazał na wystające z desek groty. – Jak wyjmujesz strzały z kołczanu, to chwytasz je między palce, o tak – pokazał. – Po to, żeby nie pogiąć brzechw. Wbijasz je potem w ziemię, przed sobą, żeby nie tracić czasu. A łuk... Przy mniejszym naciągu strzała nie poleciałaby tak wysoko, żeby spadając przebić...

Trzask. Następny grot wystrzelił przez deski. Posypały się drzazgi.

– Żeby przebić te deski – przecierając zaprószone oko, dokończył łucznik. – Teraz będzie ostatni. I koniec.

Ostatniego nie widzieli. Widocznie łucznik zmienił punkt celowania.

Zgodnie z przewidywaniami Walińczyka grad strzał ustał, tak samo nagle, jak się rozpoczął. Bieganina znacznie osłabła, widać wielu ludzi znalazło już schronienie, chowając się w mrok na skraju lasu. Jęki rannych świadczyły, że nie wszyscy zdołali się ukryć na czas.

Ogniska, które udało się rozrzucić, przygasły.

– No, na razie koniec – stwierdził łucznik, gramoląc się spod wozu. Gisbourne złapał go za nogę.

– Zaczekaj, skąd wiesz, zaraz mogą znowu... Albo uderzą...

– Posłuchajcie, panie – zaczął uprzejmie, acz z lekkim już zniecierpliwieniem łucznik. – Nie wiem, jak to u was, ale... Tamci nie będą dalej strzelać, bo wasi ludzie pochowali się już w zarośla, a szyć z łuków w gąszcz po ciemku to marnować strzały. Co innego, kiedy zbrojni siedzieli jak barany przy ogniu... Dlatego wam banici napsuli ludzi. Ale nie uderzą, bo po co walczyć wręcz z kimś, kogo można z daleka ustrzelić, nie dziś, to jutro. My u siebie zawsze tak robimy. Nie wyjdziecie z tego lasu, nie wyjdziecie... – Pokręcił głową.

– Jeżeli my nie, to i ty też! – krzyknął ze złością hrabia.

– A to nie jest tak zupełnie pewne – uśmiechnął się łucznik w

odpowiedzi.

\*\*\*

Gdy wstał poranek po ciągnącej się bez końca nocy, spędzonej bez snu i bez ognia, Gisbourne obszedł polanę. Stracili blisko jedną czwartą ludzi. Większość rannych nie doczekała wschodu słońca. Padła połowa koni.

Ruszył w kierunku stojącej w zwartej grupie szlachty. Brakowało jedynie krostowatego. Reszta miała szczęście. Rozmawiali półgłosem, ale gdy podszedł, zamilkli jak na komendę.

– Wracamy – powiedział bez żadnych wstępów.

– Jak to, wracamy? – spytał jeden po dłuższej chwili. Gisbourne zdziwił się, sądził, że jest to dla wszystkich oczywiste. Straty były duże, a taktyka, którą zastosował przeciwnik, nie dawała żadnych szans na obronę. Miał nadzieję, że w dzień banici nie zaatakują. Żeby tylko zdążyć przed zmierzchem opuścić las, pomyślał, ale trudno będzie, koni mało. Najwyżej wozy przyjdzie zostawić, tak, to najlepsze wyjście, tylko opóźniałyby marsz. Niektóre konie będą musiały ponieść po dwóch jeźdźców, inaczej przed zmrokiem nie uda się wydostać z lasu. Następnej zaś nocy w Sherwood nie przetrzymają, tego Gisbourne był pewien.

– Popatrzcie wokół, jeśli jeszcze nie rozumiecie. – Hrabia poparł swe słowa wymownym gestem. – Straciliśmy połowę koni, wielu ludzi. Nawet nie widzieliśmy, kto do nas strzela, a...

– Prawdę o was mówili, panie hrabio – przerwał bezceremonialnie ten z haczykowanym nosem, brat zabitego strzałą w plecy krostowatego. – Prawdę mówili. Tchórzem podszyci jesteście, w gębie jeno mocni... Chcecie, to zawracajcie, nie zatrzymujem... – Popatrzył po towarzyszach.

Zgodnie pokiwali głowami.

– Nie zatrzymujem! – potwierdził któryś. – Zawracajcie, a bystro, takich lękliwych to nam nie trzeba! Tfu! – Splunął hrabiemu prosto pod nogi.

Gisbourne rzeczywiście nie był zbyt odważny, niemniej wielce wrażliwy i mający duże wyobrażenie na temat własnej osoby. Poczuł, jak



zalewa go złość, od której pociemniało mu w oczach. Zmacał rękojeść miecza.

– Niech no pan hrabia zabierze z powrotem tę rękę, i wsadzi ją sobie w rzyć, dla przykładu – wycodził ten z haczykowatym nosem. – Bezpieczniej dla hrabiego będzie. Bo tak, stracić ją przypadkiem może... Patrzcie go, banitów się wystraszył, wracać chce, a tu obraził się, broń podnosi... I to na kogo, pytam się, na kogo?

Do Gisbourne'a dotarła nagle liczba przeciwników. Ochłonął w mgnieniu oka. Spróbował z innej beczki, może uda się przemówić do rozsądku.

– Nie ze strachu ja powrót proponuję. – Zaszło mu naraz w gardle, odchrząknął. – Nie ze strachu – podjął po chwili, postanawiając nie zwracać uwagi na pogardliwe śmiechy. – Tylko dlatego, że straty duże nam zadano. Koni braknie...

Najstarszy obecnie syn barona postąpił krok, stanął tuż przed hrabią. Ujął się pod boki.

– Tedy posłuchaj, panie hrabio – wysyczał, zionąc mu prosto w twarz. – Posłuchaj. Sram na twoje straty, twoje konie. Nie będzie żaden pasowany rycerz przed hołotą z lasu uciekał. W nocy nas zdradliwie napadli, jak to zbóje i rzezimieszki, bez zasad i honoru. Jednak w dzień, w polu nam nie strzymają. Na kopytach ich rozniesiemy. Bo ty może o tym nie pamiętasz, ale honor nam droższy. I powiadam jeszcze raz, zakarbuj to sobie dobrze, panie hrabio! Szlachcic przed chamem nie ucieka! Bo jak ucieka, to nie szlachcic on już, nie hrabia, ale chmyz zwykły i jako chmyza traktować go trzeba!

Gisbourne cofnął się i odwrócił głowę. Nie ze strachu tym razem, jak pomyśleli zapewne mający o nim już wyrobione zdanie pasowani rycerze. Syn barona miał wyjątkowo smrodliwy oddech.

Gdy hrabiemu udało się zaczerpnąć świeżego powietrza, usiłował spokojnie rozważyć zaistniałą sytuację. Próba przemówienia do rozsądku zawiodła. Nie miał zresztą wielkiej nadziei – pasowany rycerz, gdy tylko przypomniał sobie o honorze, stawał się ślepy i głuchy jak tokujący głuszc. Z wyjątkiem nielicznych realistów, do których zaliczał się hrabia. Mimo to spróbował jeszcze raz.

– Ale zważcie, szlachetni panowie, że jak sami mówicie, zasad ani

honoru chamy te nie znają. Nie staną oni nam w polu, tylko znów zdradliwie następnej nocy z łuków ostrzelają. Nie chcę bez pożytku zbrojnych wygubić. Mnie to szeryf dowódcą tej wyprawy nazaczył, na mnie tedy odpowiedzialność spoczywa. Zastanówcie się...

Zbyt wiele wymagał. Baronet znów postąpił krok do przodu. Był już zupełnie wściekły.

– Gównu mnie obchodzą wasi zbrojni! – wrzasnął, pryskając śliną. – Jak dupa jest do srania, tak zbrojny po to jest, by za swego pana zginąć! Ochoczo! I z pożytkiem, w miarę możliwości! Mienicie się dowódcą, panie hrabio? To mówię wam, wskakujcie na kulbakę i zacznijcie dowodzić!

– I dobrze wam radzimy, bystro, żebyśmy nie musieli was sztychem na koń podsadzać! – dodał niezidentyfikowany głos.

Gdy ruszyli dalej, las po obu stronach traktu wydawał się pusty, tak jak wczoraj. Hrabia nie dostrzegał nikogo, lecz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że stale śledzą ich jakieś niewidzialne oczy.

Marsz był powolny, pozostałe konie, obciążone, szły noga za nogą. Zmierzchało już, gdy drogę przegrodziły zwałone pnie. Kolumna zatrzymała się w pewnej odległości od przeszkody.

Zbrojny, wysłany do bliższego jej zbadania, wrócił dziwnie szybko.

– Nie da się objechać – zameldował. – Las po bokach gęsty, wozy nie przejadą. Ściągnąć na bok się nie da, za duże pnie, rosochate, w siebie wczepione. Rąbać by trzeba, ale to na cały dzień roboty... – Machnął ręką ze zniechęceniem.

Gisbourne podjechał do baroneta.

– Teraz to już zawracajmy, panie – powiedział.

Nie doczekał się reakcji.

– Wracajmy, to na nic – powtórzył.

Do baroneta nic nie docierało. Wpatrywał się w zaporę pustym wzrokiem.

– Do siekier! – wrzasnął, nie zwracając uwagi na hrabiego. – Rąbać tam, a żywo!

Żołnierze z ociąganiem zsiadali z koni, spoglądając po sobie

ukradkiem. Nie mieli ochoty leżać jak barany w ewidentną zasadzkę. Niektórzy patrzyli na baroneta naprawdę złym wzrokiem.

– Rąbać, bo obwiesić każe! – Zbrojni jednak wcale nie ruszali się szybciej, spojrzenia rzucające baronetowi stawały się coraz bardziej wymowne.

Ten głupiec nic nie rozumie, przemknęło hrabiemu przez głowę.

– Rozejrzyj się, durniu! – wrzasnął równie głośno. O dziwo, poskutkowało. Baronet toczył przez chwilę wściekłym wzrokiem, ale puścił rękojeść miecza. Dostrzegł zbrojnych, stojących zwartym murem, wpatrzonych w niego ponuro. Dwóch czy trzech zamiast siekier trzymało kusze. Napięte.

Z baroneta uszło całe powietrze. Nie protestował, gdy hrabia, trzymając za wodze jego konia, odciągnął go na bok.

– Jeśli już uparteś się ciągnąć tych ludzi na śmierć, to częściej oglądaj się za siebie – Gisbourne mówił spokojnie, mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże trzęsących się rąk. – Zmierzcha się już, za chwilę będzie ciemno, banici wystrzelaliby ich przy tej zaporze jak kaczki. Pomyśl trochę, to naprawdę nie takie trudne. Jak sądzisz, dlaczego chcieli nas zatrzymać akurat tutaj? Jak sądzisz, jakie mamy szanse na przeżycie tu kolejnej nocy? Zresztą, do diabła, gównu mnie obchodzi, czy ty w ogóle myślisz! Zejdź mi tylko z drogi.

Zawrócił konia.

– Wsiadać tam, szybko! – krzyknął do żołnierzy. – Zawracamy.

Odwrót przebiegał szybciej niż marsz w przeciwną stronę. Wszyscy chcieli przed zapadnięciem zupełnego mroku przejechać jak najwięcej. Mieli nadzieję, że banici poruszają się pieszo, że uda się zwiększyć dystans.

Nie zatrzymali się, gdy nastał wczesny jesienny zmierzch. Księżyc wprawdzie był w drugiej kwadrze, lecz przesłaniały go niskie chmury. Mimo to Gisbourne nie zmienił rozkazu. Jechali nadal, wolno wprawdzie, ale bez przerwy.

Dopiero gdy ponad miarę obciążone konie zaczęły się potykać zbyt często, hrabia niechętnie zdecydował o postoju do rana.

Nie musiał przypominać, by nie rozpalać żadnych ognii. Nawet

panowie szlachta tym razem nie nalegali. Jazda po ciemku dała im zresztą w kość tak samo, jak wszystkim, wyleczyła ze zwykłej kłótności i warcholstwa. Milcząc, zsiadli z koni, skulili się, owinąwszy w burki i opończe.

Wymęczeni żołnierze kładli się gdzie popadło, grzejąc się jeden od drugiego. Najlepiej mieli wozacy, układający się na słomie moszczącej wozy, z których ukradkiem wyrzucali po drodze zapasy, by ulżyć koniom. Pozostali popatrywali na nich z zazdrością.

Hrabia, tak jak wszyscy, padał z nóg, wyczerpany nieprzespaną nocą, ciągłym napięciem i długą jazdą w ciemnościach, gdy wciąż musiał podrywać potykającego się konia. Jednak rozglądał się, usiłując przebić wzrokiem gęstą ciemność. Wreszcie dostrzegł to, czego szukał. Sześciu walijskich łuczników nie ułożyło się gdzie bądź, jak inni. Gisbourne znalazł ich na skraju zarośli, oddalonych od całej reszty. Nie sprawiali wrażenia, że szykują się do snu czy odpoczynku. Siedzieli okutani w wełniane pledy, jednak długie łuki trzymali na podorędziu. Spod kapturów błyskały czujne oczy.

Hrabia po krótkim wahaniu ruszył ich w stronę.

Gdy stanął przed nimi, żaden nie raczył nawet się poruszyć. Nie mając innego wyjścia, Gisbourne także usiadł.

– A co wy tak, na uboczu, nie ze wszystkimi? – spytał, nie oczekując odpowiedzi, po to tylko, by przerwać milczenie.

– Widzicie, panie – odparł po dłuższej chwili łucznik. – Głupio czegoś tak w kupie, na samym środku gościńca siedzieć, kiedy tylko patrzeć, jak strzały spadną. – Pokręcił z dezaprobatą głową. – Bardzo głupio. My zaś nie lubimy karku bez potrzeby nadstawiać...

– Nie sądzę, żeby tej nocy nas dopadli – rzekł Gisbourne. W głosie można było wyczuć bardziej nadzieję niż powątpiewanie. – Oni czekali na nas przy zaporze, tam byli przygotowani. Odskoczyliśmy daleko...

– Nie liczyłbym na to zbyt, panie hrabio, nie liczyłbym. – Łucznik machnął ręką. – Oni puszczyć znają, gościniec kręci, na skrót mogli, przez las. Nie ciągną ze sobą wozów, lekko idą. Po mojemu, to już czekają. Czekają, aż pośniemy.

– A tak w ogóle, trzeba było powiedzieć, żeby w kupie nie siadać, jak żeście tacy mądrzy – rzucił ze złością Gisbourne.

Łuczniczka znów milczała przez dłuższą chwilę. Ktoś inny złośliwie zachichotał. Łuczniczka spojrzała groźnie i śmiech umilkł.

– Bo widzicie, panie – zaczął z namysłem. – Aby zwierzchności głowę zawracać, najpierw trzeba wiedzieć, kto owa zwierzchność. A tu już nijak nie można rozeznać, kto dowodzi, wy, panie hrabio, czy ów gołowąs, w samej rzeczy dupek, co tak głośno wrzeszczy, który jak wam rankiem kazał, to wskoczyliście na kulbakę tak szybko, jakby się wam w rzydzi zagotowało.

Gisbourne nie zareagował na jawny brak szacunku dla wyższych stanów. Nie była na to pora. Walijszczyk ze złośliwym uśmieszkiem ciągnął dalej swe wywody:

– Sądząc z tego, panie hrabio, to jednak on. A dupek, choć pasowany, zawsze dupkiem pozostanie. Nijak pójść do takiego z dobrą radą, bo zamiast wysłuchać, gotów po łbie przeciągnąć... Niech mu więc tyłek grotami naszpikują. Wtedy też pewnie nie zmądrzeje...

Zamilkł. Owinął się szczelniej płaszczem i pozornie przestał zwracać uwagę na hrabiego. Gisbourne również postanowił nie odzywać się na razie, lecz po jakimś czasie nie wytrzymał.

– Mówisz, że tylko czekać, jak zaatakują, a jednak nie wydajesz się specjalnie przejęty.

Walijszczyk zmierzył go uważnym spojrzeniem. Dostrzegł rozbiegane spojrzenie i drżące ręce.

– A bo, panie, widziało się różne rzeczy – odparł. – W różnych opałach bywało. Coś mi się zdaje, że jeżeli ktoś głowę stąd całą uniesie, to...

Inny ostro wpadł mu w słowo, mówiąc coś, czego hrabia nie zrozumiał. Łuczniczka odpowiedziała w tym samym języku. Uśmiechnął się i po chwili kontynuował:

– ...chyba tylko my. Bo w lesie wychowani, więc i ten nam niestraszny, zresztą, las jak las. Wiemy, co tamci zrobią, my u siebie też tak robimy, jak przyjdzie zdybać takich jak wy. Nas trafić niełatwo, a drogę z powrotem też potrafimy znaleźć. Nie to co wy, panie. Wyście wszyscy w tym lesie bezradni, wy tylko po traktach wojować umiecie.

Łatwo ci mówić, ty walijski dzikusie, niechętnie pomyślał Gisbourne. Sam z lasu, to i leśnych rozumiesz, taka sama swołocz. Eh, gdyby nie

okoliczności, to ja bym ci pokazał, gdzie twoje miejsce, hołoto.

– Ja, panie, to najpierw bym dwa razy pomyślał, zanim bym tu z wojskiem pociągnął. Jeślibym zaś już pociągnął, to nie robiłbym takich głupstw, jak wy. Z rana już trzeba było wracać, już byśmy z lasu wychodzili, na pola. Tam, gdzie nas gonić by się nie ośmielili. Bo wasze wojsko tylko w polu dobre, w lesie, to jak byście barany na rzeź przywiedli. A wy nie, w las głębiej iść, na zatracenie... Wiesz, panie, że jeśli miałiby kusze, to już przy onej zaporze by was wystrzelali, bezpiecznie, z daleka. Nawet byście nie widzieli, skąd. Kusz widać nie mają, a że ostrożni, to za dnia nie podeszli. Wiedzą o nas, wiedzą, że choć ich więcej, to wielu z nich by padło. Nie są głupi, po co straty bez sensu ponosić. Wolą poczekać... Nigdzie już nie uciekniecie.

Dobrze, postanowił hrabia, do konkretów.

– Wy, jak widzę, zamierzacie jednak uciec – zaczął ostrożnie. – To może i ja...

Walijczycy zarechotali. Gisbourne urwał, spłoszony. Za wcześnie, kurwa, za wcześnie, zganił się w myśli. Trzeba bardziej grunt przygotować, nagrodę jaką obiecać, nie tak prosto z mostu...

Łucznik spoważniał.

– Mylicie cię, panie hrabio – powiedział dobitnie. – Nie zamierzamy uciekać. Najęliśmy nas i mimo że uważacie nas za hołotę, to też mamy swoje zasady. Nie damy jednak łatwo się zabić i nie miejcie pretensji, panie hrabio, że to my, jak się pewnie okaże, zostaniemy z całego waszego wojska. Bo tamci pod waszym dowództwem raczej przyszłości nie mają. Dobrze, wysłuchaliście nas, panie hrabio, a teraz zejście z drogi i pozwólcie zapracować na to, coście nam zapłacili. Coś mi się widzi, że niedługo się zacznie.

Walijczyk wstał i zaczął wydawać półgłosem rozkazy. Czterech ludzi zniknęło w mroku, on sam i jeszcze jeden zostali na miejscu, poczęli wbijać w ziemię przed sobą strzały dobywane z kołczanu.

– Zejście no, panie hrabio, z linii celowania – rzekł. – Nie utrudniajcie.

Nie minęło wiele czasu, gdy Gisbourne'owi wydało się, że dostrzega w ciemnej głębi lasu pełgające światółko, jakby chwiejny płomyk. Wytrzeszczył oczy. Obok płomyka pojawił się drugi, trzeci, piąty...

Gisbourne już otwierał usta, by ostrzec łucznika, że coś się dzieje, gdy spostrzegł, że ten wypuszcza właśnie pierwszy pocisk. Natychmiast sięga po następną strzałę, tkwiącą w ziemi i posyła ją w ślad za pierwszą.

Płomienie pomknęły w ich stronę.

Owinięte nasmołowanymi pakułami, płonące strzały trafiały w wozy, które zaraz zajęły się huczącym ogniem. W jego świetle jak na dłoni widać było zaskoczonych ludzi, których zwałały z nóg precyzyjnie mierzone strzały. Nadlatywały znacznie bardziej płaskim torem niż wczoraj, strzelcy widać byli bliżej, jakieś sto, sto pięćdziesiąt kroków. Gisbourne wyteżył wzrok, lecz oślepiiony buchającym ogniem widział tylko czern.

Strzały trafiały niechybnie, słyszał coraz więcej krzyków i jęków. Wszystko to jednak zagłuszyły przeraźliwe wrzaski tarzających się po ziemi w płonących odzieniach wozaków, których atak zaskoczył, gdy spali wygodnie na słomie wyścielającej wozy. Niektórzy mieli szczęście, zginęli od razu, trafieni zapalającymi strzałami. Inni tego szczęścia nie mieli. Teraz nikt im już nie zazdrościł ciepłego pośłania.

Poprzez tumult i wrzaski dobiegł szcęk kusz. Kuszownicy strzelali w las na oślep, nie mogąc zobaczyć celu.

Gisbourne spostrzegł, że wciąż siedzi jak osłupiały, doskonale widoczny na tle płomieni, gdy tymczasem łucznik, po wystrzeleniu wszystkich strzał jeszcze w czasie, gdy pierwsze pociski przeciwnika były w drodze do celu, rzucił się płasko na ziemię i poczołgał w kierunku rozłożystego jałowca. Hrabia czym prędzej poszedł w jego ślady.

Inaczej niż wczoraj, ostrzał nie ustawał. Coraz więcej ludzi spoczywało bez śladu życia lub miało się w drgawkach. Wozacy znieruchomieli, umilkły potępieńcze krzyki.

Pierwsi nie wytrzymali panowie szlachta. Obok wciskającego się ze wszystkich sił w ziemię Gisbourne'a przemknął w panice młody baronet. Nie ubiegł daleko. Padł z rozmachem ze sterzącym spomiędzy łopatek, wbitym głęboko bełtem. Bełtem, nie strzałą z łuku, spostrzegł hrabia bez specjalnego zdziwienia. Mimo okoliczności, któryś z kuszników okazał się pamiętliwy.

Panika pasowanego dupka udzieliła się pozostałym. Zaczęli zrywać się i biec przed siebie, w ciemny, wrogi las, aby tylko ująć z oświetlonego

płonącymi wozami kręgu, gdzie śmiertelne trafienie było jedynie kwestią czasu. Biegli na oślep, byle dalej, i wkrótce las rozbrzmiał ze wszystkich stron krzykami mordowanych. Paru zdołało dopaść ocalałych jeszcze koni. Pomknęli gościńcem.

Hrabia podczołgał się do łucznika. Ten spojrzął na niego bez zdziwienia.

– Jesteście, panie hrabio, mniej głupi, niż myślałem. A teraz leżcie tu spokojnie i bez ruchu.

– Co zrobimy – wyszeptał Gisbourne. Łucznik dosłyszał go pomimo panującego wciąż hałasu.

– Na razie nic. Po prostu leżcie i starajcie się nie ruszać.

Ognie dogasały. Cichły przerażone krzyki i jęki w lesie. Gisbourne poczuł, jak łucznik szturcha go pod zebro.

– Teraz za mną – usłyszał. – Tylko cicho, powoli i ostrożnie. Rób to co ja, gdy padnę na ziemię, to nie zastanawiaj się, rób to samo. I cicho, inaczej sam cię nożem pchnę... Nie zgub się, bo zginiesz. Naprzód!

Walijczyk poderwał się i nisko pochylony pobiegł w las.

Hrabia nie pamiętał, jak długo trwał ten przerywany przypadaniem do ziemi bieg. Raz przysiągłby, że zobaczył niewyraźne, przebiegające w mroku sylwetki o kilkanaście łokci od siebie. Za drugim razem potknął się i padł prosto na mokre od ciepłej, lepkiej krwi ciało. Chciał poderwać się z odrazą, lecz silne ramię przygięło go z powrotem.

– Leż, bo za chwilę zostanieie tu pospołu – syknął mu prosto w ucho cichy głos.

Udało się prześlizgnąć przez rzadkie linie przeciwnika. Po pewnym, nie wiedzieć jak długim czasie, Walijczyk wyprostował się, mimo iż pozostał czujny i przystawał na każdy szelest.

Szli przez całą resztę nocy, Gisbourne sam dziwił się, że zdołał wykrzesać z siebie tyle siły. Gdy mrok zaczął szarzeć, spotkali dwóch innych Walijczyków.

Wybawca hrabiego rzucił jakieś pytanie. Padła niechętna odpowiedź. Łucznik pochylił głowę.

Ten, który udzielał odpowiedzi, spojrzął na hrabiego i powiedział coś, czego Gisbourne nie mógł zrozumieć. Zrozumiał za to wymowny gest, z



jakim tamten przeciągnął dłonią po gardle. Rozejrzał się półprzytomnie i padł na kolana.

– Ja wynagrodzę... Po królewsku wynagrodzę... – zajęczał. – Tylko nie zabijajcie, tylko wyprowadźcie mnie stąd!

Złowił jedynie zimne spojrzenia. Zamknął oczy i zasłonił głowę rękoma. Usłyszał wymianę zdań w niezrozumiałym języku, ostatecznie zabrzmiało twardo, jak decyzja. Skulił się jeszcze bardziej w oczekiwaniu na cios. Zamiast tego usłyszał:

– On mówił, żeby zabić was, panie hrabio. Bo od zbrojnych słyszał, że z was kłamca, tchórz i wredny sukinsyn. Nic dobrego dla nas nie będzie, jak cię stąd wyprowadzimy, teraz obiecujesz nagrodę, a potem obwiesić każesz, bośmy banitów nie pobili... Pono już tak bywało...

Gisbourne chlipał bezradnie, kręcąc głową.

– Ale nie godzi się tak... Po prostu nie godzi. Swoją nagrodę zaś możesz wsadzić psu pod ogon... Jeszcześmy nie w Nottingham, panie hrabio.

Gdy Gisbourne odważył się wstać, odeszli już kawałek. Hrabia, ocierając zasmarkany nos, niezdarnie pobiegł za nimi.

\*\*\*

W ognisku strzelił głośno smolny sęk, wyrrywając Jasona z zamyślenia. Zdrętwiały od długiego bezruchu wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczało w stawach. Match nie obudził się jeszcze, a przynajmniej nie zwlekł się z posłania. Jasonowi było to na rękę. Potrzebował czasu, by poukładać w głowie te wszystkie wizje i opowiadania. A zwłaszcza ten nieprawdopodobny sen.

Wczorajsze doznania zaskoczyły go przede wszystkim tym, że nie towarzyszyły im, tak jak pierwszym, ból i uczucie zagubienia, zatracenia własnej jaźni. Owszem, widział, przeżywał wszystko bardzo wyraźnie, lecz cały czas gdzieś świadomie pamiętał, kim i gdzie jest. Zaczynało to coraz bardziej przypominać, wyjąwszy oczywiście intensywność wrażeń, dawne przecucia podczas gry w kości. Coś znajomego, coś, co tak naprawdę, jak zaczął sobie uświadamiać, tkwiło w nim od zawsze.

Spostrzegł też, że przywołanie wizji wymaga pewnego skupienia, ukierunkowania uwagi na słyszane słowa lub widziane obrazy. Niejasne zadowolenie wzbudzał w Jasonie fakt, że nie zawsze wizje przychodziły wtedy, kiedy się spodziewał. Podczas opowieści Matcha kilkakrotnie chciał ujrzeć coś, o czym akurat słyszał, coś, co go zaintrygowało. Udawało się, ale nie zawsze.

Bardziej niepokoił go sen. Przekonanie, że był prawdziwy i pokazywał coś, co rzeczywiście gdzieś i kiedyś się stało, tkwiło w Jasonie głęboko i zaakceptował je od razu. Jednak dziwiło go, że sen może tak dokładnie i szczegółowo odtwarzać wydarzenia, w których przecież nie uczestniczył. Wniosek nasuwał się sam: sen był taką samą wizją, jak wszystkie inne. Jason poczuł pewien niepokój, gdy przypomniał sobie opowieści przeora o tym, co wykrzykiwał podczas innych snów, których po przebudzeniu nie pamiętał.

Zduszone przekleństwa Matcha, który właśnie wygramolił się przed szafas, wyrwały go z zadumy.

Wciąż klnąc pod nosem, Match powlókł się do ogniska, wyciągnął ręce do żaru. Siedział tak chwilę, aż przestał poszczykiwać zębami i mrużyć kłątwy.

– Szlag by trafił, wiosna, a zimno jak... jak... – zabrakło mu porównania.

Wstał szybko i jęknął.

– Eh, stare kości, w kolanach trzeszczy, w krzyżu boli...

– Poruszaj się trochę, to ci przejdzie. – Jason bez współczucia przerwał te narzekania. – Ja nie śpię już od świtu, tak było zimno, że nie dałem rady...

– ...a i wszystkie mięśnie się zastały, ot co – dokończył Match niezrażony. Przeciągnął się z głośnym jękiem.

Jason zniecierpliwiał się wreszcie.

– Posłuchaj, mam tyle samo lat co ty – powiedział oschle. – Jeżeli sobie przypominasz, to całkiem niedawno nie byłem w stanie wysikać się bez pomocy, nie mówiąc już o wstawaniu czy samodzielnym chodzeniu. Jeśli któryś z nas dwóch ma podstawy do narzekania, to tylko ja.

– Co, ponarzekać już nie można... – Match nie był całkiem przekonany.

– Można, można, byle z sensem. Przestałbyś się kręcić. Siadaj. Muszę ci coś powiedzieć.

Match jak zwykle się ociągał.

– Mamy czas, ranek dopiero – zaczął po dłuższym milczeniu. – Po co...

Jason miał dosyć.

– Zaraz powiem ci, po co i dlaczego. – Głos aż zatrzęsł mu się ze złości.

– Otóż wyobraź sobie, że ja się tu nie prosiłem, żebyś pokazywał mi swoje długie i smutne życie. Nie miałem zamiaru głosić przepowiedni, które wszystkim wokoło wydają się ważkie i doniosłe, a dla mnie są niepojętym bełkotem. I wcale nie jestem przekonany, czy mam ochotę je zrozumieć. Czy mam ochotę słuchać tych twoich wyznań i tajemnic...

Jason zamilkł w końcu. Match też się nie odzywał, całkowicie pochłonięty struganiem nadpalonego patyka, który wyciągnął z ogniska. Masz ci los, teraz go zatkało, pomyślał Jason z rezygnacją. Jego towarzysz znęcał się nad kijem, spod szerokiego ostrza noża pryskały grube strużyny. Jason przypatrywał się, jak patyk robi się coraz cieńszy.

– Posłuchaj, jestem ci wdzięczny za to, że wyniosłeś mnie z tego przeklętego lasu. Wiem, że zawdzięczam ci życie – Jason przerwał przedłużające się milczenie. – Gdyby nie ty, lisy rozwłóczyłyby dawno moje kości. W zamian za to, zamiast podziękować, przepowiedziałem ci ponoć rychłą i nieuchronną śmierć. Mówię ponoć, bo sam tego nie pamiętam. Nie pamiętam też snów, które według przeora wieszczły ni mniej ni więcej, tylko apokalipsę. I to na dobry początek, bo dalej ma być jeszcze straszniej. Tego, kurwa, również nie pamiętam. Jednak skłonny jestem uwierzyć, że wpadłem po same uszy w coś, co nie będzie miłe, a skończy się prawdopodobnie również nie najlepiej. Nie zamierzam uciekać, nie wiem zresztą, czy można w ogóle przed tym uciec... Nie bój się, wytrzymam. Może nie wyglądam na silnego, ale wytrzymam, wierz mi.

Match wrzucił ostrugany patyk w ogień. Rozglądał się chwilę za następnym, ale na szczęście żaden inny nie nawinął mu się pod rękę. Wbił nóż w niedopaloną głównię, leżącą obok ogniska.

– Jest inaczej, niż myślisz, Jason – zaczął wreszcie. – Owszem, masz rację, siedzisz w tym wszystkim po uszy. A ja... Przez całe życie zrobiłem wiele złego, świadomie i nieświadomie, co zresztą mnie nie

usprawiedliwia. Nie to jednak jest straszne, straszne są rzeczy, o których dopiero się dowiesz. I mam poważne podstawy, by przypuszczać, że to, o czym usłyszysz, co już się wydarzyło, nie jest jeszcze tym najgorszym, co może się stać.

– Match, posłuchaj... – próbował wtrącić się Jason.

– Poczekaj, zaraz skończę. Chciałeś, to mówię. Widzisz, nie uważam się naprawdę za pępek świata, ale wiem, że w dużym stopniu jestem odpowiedzialny za to, co może się wydarzyć. Co pewnie się stanie. Koło musi się zamknąć. I mimo wszystko, bez względu na to, co na początku naszej nieoczekiwanej znajomości powiedziałeś, wyjdę temu naprzeciw. Nazwałem to przeznaczeniem, cóż, słowo tak samo dobre jak każde inne. Tak jak twoim przeznaczeniem, zamiast śmierci w lesie, było spotkać mnie. Chociaż może to pierwsze byłoby dla ciebie lepsze.

– Na litość boską, nie to...

Match uśmiechnął się krzywo.

– Wydawało mi się, że to, co przeżywasz w swych wizjach, nie spływa po tobie, jak woda po gęsi. Nie chciałbym stracić twego wsparcia, naciskając cię zbyt. Cały czas obawiam się, że możesz sobie z tym wszystkim nie poradzić.

Odwrócił głowę. Nie patrząc na Jasona, dodał cicho, bardzo cicho:

– A w ogóle, to nie jest łatwo tak opowiadać. Do tej pory z nikim w ten sposób nie rozmawiałem... Naprawdę, z nikim.

Match podniósł głowę, spojrzał poważnie Jasonowi prosto w twarz.

– Musisz mi zaufać – powiedział już swym normalnym, zdecydowanym głosem. – Zaufać, i wysłuchać cierpliwie tego, co mam do powiedzenia. Tak, żebyś mógł zobaczyć wszystkie następstwa. Może wtedy dostrzeżesz coś, czego ja nie jestem w stanie dostrzec.

Jason roześmiał się głośno. Match spojrzał na niego, nie wiadomo, bardziej zdziwiony czy urażony.

– Ja nie z tego, co mówiłeś – wyjaśnił Jason, wciąż się śmiejąc. – Ale jeżeli to, co mówiłeś o przeznaczeniu, jest prawdą, to i tak niepotrzebnie tylko strzępimy ozory. Jak to mówią, wyżej dupy nie podskoczysz, a przed przeznaczeniem nie uciekniesz. Przynajmniej to pierwsze zawsze się sprawdza, więc być może i z drugim jest tak samo.

Match również zaczął się śmiać.

– Masz rację – przyznał. – Głupio jakoś wyszło. Dobrze, nie będziemy zwlekać, załatwimy to najszybciej, jak się tylko da. Co nie znaczy że szybko, bo dopiero zaczęliśmy.

Spowaźniał znów i kontynuował:

– Tylko widzisz, ja sam do końca nie wiem, gdzie leży sedno wszystkiego. Liczę na to, że ty zobaczysz więcej. Dlatego nie chcę tego, co mi się wydaje, powiedzieć ci od razu, w tej chwili... Może właśnie ty uzupełnisz luki, korzystając ze swego daru, którego zresztą naprawdę zupełnie ci nie zazdroszczę.

\*\*\*

Jason opowiedział swój sen. Match słuchał uważnie, nie przerywając. Potem powiedział:

– Więc tak to wyglądało z drugiej strony... Ciekawe...

Tylko tyle, pomyślał Jason ze wzburzeniem. Ciekawe, i nic więcej. Żadnych wyjaśnień, pytań.

– Match, do cholery – wybuchnął. – Ciebie to, kurwa, nie zastanawia?

Ten spojrział na niego ze spokojem.

– Prawda – powiedział. – Skąd ty możesz wiedzieć... Z tego, co mówisz, sędzę, że to była ich trzecia wyprawa do puszczy. Trzecia karna ekspedycja po śmierci Robina.

Uśmiechnął się krzywo.

– Trzecia poważna – dodał. – Wcześniej były małe potyczki, ot, poborca do lasu pojechał, sam jak palec, dziesięciny ściągać, chłopów do porządku przywołać. Oczywiście słuch po nim ginął. Ale zaraz pojawiał się następny, nawet w asyście zbrojnych. Niczego nie potrafili się nauczyć, tak byli pewni, że gdy zabili Robina, to skończyły się kłopoty. Zanim nabrali obycia... A, co tam się nad tym rozwodzić, trochę ich teraz leży, zakopanych po opłotkach. Wiesz, my na początku to tylko chcieliśmy ich przykładnie obić, wypędzić z puszczy, przykazać, żeby więcej nie wracali. Ale chłopci się rozzuchwalili. Jak widzieli poborcę, to

od razu za widły chwyтали. Sami, we własnym zakresie. Niektórzy nawet doły zawczasu mieli wykopane.

Match przerwał, zamyślił się. Jason chciał się wtrącić, otworzył już nawet usta. Nie zdążył.

– Wtedy jeszcze byliśmy słabi, nie było nas wielu, w zasadzie tylko ci, którzy ocaleli z dawnej bandy Robina. Mały John, Will Scarlett, Nazir, brat Tuck i ja. I oczywiście Marion. Wtedy zamierzałem działać tak, jak przedtem Robin. Na nic innego nie mogliśmy sobie pozwolić, a i prawdę mówiąc, nie potrafiłem wyobrazić sobie nic innego. Ot, jakiś patrol, kilku zbrojnych poszarpać, przegonić ich z puszczy, bogatego szlachcica na trakcie zdybać, ograbić, potem wszystko rozdać biednym. Tak to wtedy widziałem.

Zaśmiał się sardonicznie, pokręcił głową.

– Potem trochę zmądrzeli. Wysłali większy podjazd, tak ze dwudziestu ludzi. I poborcę, a jakże. Mieli zamiar daniny siłą brać. Gdy przybyliśmy pod wioskę, kilka chałup się paliło, leżały ciała. Na majdanie stało przywiązanych do wozu kilkunastu tych, których chcieli zabrać ze sobą, dla przykładowego ukarania. Byli czujni, wystawili strażę, żadnej pijatyki, żadnego ganiaania kur po opłotkach. Dobry żołnierz.

Jason już nie przerywał, słuchał. Tym razem właśnie chciał posłuchać, chciał mieć relację z pierwszej ręki, nie mętne, wieloznaczne obrazy. Spostrzegł ze zdziwieniem, że udało się odepchnąć nadchodzącą wizję, nie dopuścić jej do świadomości. Zaczynam nad tym panować, pomyślał.

– Z początku chciałem uderzyć na wioskę. Bez zastanowienia, bez przygotowania, na silniejszego i gotowego do walki przeciwnika. Jak kiedyś, za dawnych czasów, licząc, że gdy coś pójdzie nie tak, to zawsze zdążymy się wycofać. Bo na ogół się udawało, i choć często nic się nie dało przez taki atak osiągnąć, to przecież tak trzeba było, bez wahania, bez strachu... Jednak coś mnie powstrzymywało. Leżeliśmy więc w wysokiej trawie, patrząc, jak zbrojni tłuką jakąś oporną babę. W końcu upadła, cała pokrwawiona, nawet z daleka było widać, a my dalej leżeliśmy. Will zaczął kłąć, rwać się do wioski, ale Nazir go uspokoił. Popatrzył na mnie, jakby oczekiwał rozkazów. A mnie nic nie przychodziło do głowy.

Znaleźli nas w tej trawie chłopi. Ci sprytniejsi, którzy zdołali ujść do lasu. Przeważnie młode chłopaki, takie zasmarkańce jak kiedyś ja sam. Uciekli, każdy z tym, co miał akurat pod ręką, z widłami, kijami. Kilku miało łuki. Wtedy pomyślałem, że można przechwycić zbrojnych, kiedy już opuszczą wioskę. Na leśnym trakcie będą bezbronni, nie zobaczą nas, kiedy zaczniemy do nich strzelać. Nie to, co na otwartym polu.

Match przerwał, przetarł twarz dłonią. Jason czekał na dalszy ciąg. W końcu spytał:

– Co było później?

– No cóż, udało się. Mieliśmy co prawda tylko siedem łuków, z tego trzy należące do wiejskich chłopaków. Trochę się obawiałem, czy dadzą sobie radę. Niepotrzebnie, poradzili sobie znakomicie. Zaskoczyliśmy zbrojnych na zakręcie traktu, w podmokłym lesie, gdzie nie mogli zjechać z drogi. Jechali zresztą zupełnie bez sensu, zbici w gromadę, przed wozem wiozącym powiązanych jak barany chłopów. Śmiali się głośno, rozmawiali. Pierwszych strzał nawet nie mogli usłyszeć. Potem kłębili się na drodze beładnie, krzyczeli. Udało się, wszystkich zwaliliśmy z koni, wielu zginęło natychmiast. A tych, którzy nie zginęli od razu...

Match podniósł głowę, popatrzył Jasonowi prosto w oczy.

– Tych, którzy nie zginęli od razu, kazałem dobić. Nikt nie zaprotestował, nawet Tuck. Nawet Marion. Wszyscy pamiętali Robina, tę wioskę, kobietę okładaną płazami mieczy. A ja... Ja chciałem w ten sposób dać przeciwnikowi coś do zrozumienia. Że zmieniły się reguły. Że nie jestem szlachetnym Robinem... Uwolnieni z więzów chłopi podeszli do sprawy ze zrozumieniem i wielkim entuzjazmem. Mało się nie pobili. Co tu gadać, ci, którzy ocaleli z naszego ostrzału, żalowali, że nie zginęli od razu... Wywieźliśmy ich potem, zwaliliśmy na skraju puszczy. Obracaliśmy dwa razy, sporo ich było. To też miał być znak...

Jason nic nie powiedział. Match nie kwapił się do kontynuowania wynurzeń. Milczenie przedłużało się.

– Match, ja nie o tym chciałem... – zaczął w końcu Jason. – Źle mnie rozumiałeś. To jest, owszem, to też chciałem wiedzieć. Ale teraz przede wszystkim zastanawiam się na tym swoim snem. Słuchaj, ja nigdy...

Spojrzał bezradnie. Szukał właściwych słów. Match nie pomógł mu, patrzył gdzieś w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

– Posłuchaj – podjął Jason. – Ja rozumiem już chyba te wizje. No, trochę rozumiem. Wydaje mi się, że właśnie twoje słowa coś we mnie wyzwalają, że obrazy pochodzą... Nie wiem... Może z twojego umysłu... Sceny widziane kiedyś twoimi oczyma. Przynajmniej te, które dotyczą tego, co już było, co sam przeżyłeś. Nie wiem... Te, które dotyczą przyszłości, są mętne, niejasne. Trudno je z czymkolwiek powiązać. Może to obraz twojego pieprzonego przeznaczenia, o którym tak lubisz gadać. Może...

Match wstał.

– Sny odpowiadają na pytania, których nawet nie potrafimy zadać – powiedział cicho.

Jason ochłonął trochę. W końcu co on może o tym wiedzieć. To ja sam powinienem dojść do tego, to ja mam dar, który chętnie bym zwrócił, gdybym tylko znał ofiarodawcę, pomyślał.

– Ładnie powiedziane – rzekł po chwili, bez złośliwości. – Chociaż niewiele wyjaśnia... Ciekawe, sam na to wpadłeś?

– Nie – odparł Match. – Usłyszałem kiedyś. Dawno temu...

Usiadł znów, oparł się o pień. Odchylił głowę, popatrzył w niebo.

– Kiedyś też miałem sny. Też ich nie rozumiałem. Teraz chyba zaczynam pojmować.

Jason odchrząknął. Dajmy temu spokój, przeszło mu przez głowę. Teraz niech lepiej opowiada dalej, jak już zaczął. Zanim znowu zamknie się w sobie i nim coś się z niego wyciągnie, uraczy mnie kolejnymi rozważaniami o przeznaczeniu. Match odgadł jego myśli.

– Dobrze, Jason – powiedział. – Skoro już omówiliśmy sprawę snu i skoro twierdzisz, że potrafisz zapanować nad wizjami, to słuchaj dalej. Uprzedzam tylko, że będzie jeszcze paskudniej. To dopiero początek...

Popatrzył na Jasona uważnie. Ten odwzajemnił spojrzenie.

– Dobrze, ale... – zaczął, wciąż patrząc mu w oczy.

– Możemy z tym poczekać – wpadł mu w słowo Match.

– Nie o to chodzi. Widzisz, jak by ci to powiedzieć...

– Najlepiej po prostu – usłyszał zimną odpowiedź Matcha.

Jason nie spieszył się, nie opuścił wzroku.



– Dobrze, skoro chcesz... Match, ty nie powiedziałeś prawdy. A w każdym razie nie całą prawdę. Wtedy, gdy mówiłeś o swoich motywacjach, na wstępie... No wiesz, kiedy...

Urwał, oczekując wybuchu złości. Może zaprzeczeń. Sam nie wiedział.

– Prawda, zapomniałem, że ty to wszystko widzisz... – głos był głuchy, lecz spokojny. – Zapomniałem, że ty jesteś nieledwie mną... Tak, masz rację, to nie była cała prawda. Przecież wiesz... Tylko że ty chcesz, żebym ja sam to powiedział. Dobrze, posłuchaj więc. Gównu mnie obchodzili ci wszyscy poniewierani i krzywdzeni chłopci. Pewnie wiesz, co ja mówię, wiesz na pewno, że w głębi duszy pogardzałem nimi, tak, brzydziłem się śmierdzącego chłopstwa, brzydziłem się swojej przeszłości. I gównu dla mnie znaczyły wzniosłe ideały Robina, sprawiedliwość, karanie winnych, obrona dawnej wiary, tradycyjnych wartości i inne bzdury. Roilem sobie, że zdobędę sławę, bogactwo, że ta puszca to tylko początek. Chciałem stać się silny, zdobyć może nawet czyjś zamek, potem oddać usługi koronie, aby król me zdobycze potwierdził własnym nadaniem. Chciałem, by Marion była panią tego zamku. Chciałem w końcu sam ściągać daniny od kmieci. A oni, ci biedni kmiotkowie z wiosek, które niby chronilem, moi towarzysze, którzy za mną poszli... Oni wszyscy mieli być tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu.

# CZEŚĆ DRUGA

## SHERWOOD

*Came upon an ancient forest  
A guiding power had led me there  
Walking through the mystic forest  
The legend, tale of times gone by.*

*Once its whisper in the black night  
Reflection deep in wooded lands  
A floating mist that circles shadows  
A legend, tale of times gone by.*

*Giant trees are falling night and day  
For many years and ages past  
Will they ever share the answer  
Of legend, tales, and times gone by?*

*Walking through the mystic forest...  
I'm walking through the mystic forest...*

*Clannad, Ancient Forest*

*Obsessed with fantasy, possessed with my schemes  
I mixed reality with pseudogod dreams  
The ghost of violence was something I seen  
I sold my soul to be the human obscene*

*How could it poison me?  
The dream of my soul  
How did my fantasies take complete control, yeah?  
Why don't you just get out of my life, yeah?  
Why don't you just get out of my life now?  
Why doesn't everybody leave me alone now?  
Why doesn't everybody leave me alone, yeah?  
Well I feel something's taken me I don't know where  
It's like a trip inside a separate mind  
The ghost of tomorrow from my favorite dream  
Is telling me to leave it all behind*

*Black Sabbath, Megalomania*

- I -

*W czarnej urnie moich wszystkich czarnych lat  
Czarna błyskawica spala czarny kwiat  
Czarne słońca gasną, wschodzi czarny nów  
Śpieszmy się nim czarny dzień powróci znów  
Twoje ciało złote zwija się jak dym  
Drga i złotym potem płynie, a ja w nim  
W czerni tonąc piję złoto z twoich ust  
Tak jak tamtej wiosny sok z rozdartych brzoź*

Stanisław Staszewski, [W czarnej urnie]

Match obserwował siwe dymy, leniwie snujące się z ognisk. Był ciepły, bezwietrzny, wiosenny wieczór, lecz wszystko zwiastowało zmianę pogody. Dym z ognisk nie wznosił się wysoko, lecz płożył szarą warstwą, poniżej koron drzew okalających polanę.

Pierwsza większa potyczka okazała się przełomowa. Już nie byli tylko garstką. Z początku przystali do nich chłopcy, biorący udział w walce. Zakosztowali zwycięstwa, nie mieli zamiaru wracać do swej wioski, do beznadziejnej, ciężkiej pracy. Chcieli dalej walczyć i zwyciężać, stać się kimś, nie musieć zginać grzbietu od rana do wieczora, jak każdy kmiot. Match przyjął ich bez namysłu, wszystkich pięciu, którzy wyrazili ochotę. Nie zwracał uwagi na sarkanie swych towarzyszy, którzy uważali się, mimo wszystko, za lepszych od tych nieokrzesanych wieśniaków.

Okrucieństwo i bezwzględność w rozprawieniu się ze zbrojnymi odniosły skutek. Nie ten zamierzony, na reakcję przeciwnika trzeba było jeszcze poczekać. Bezpośrednim rezultatem postępu drużyny był

napływ ochotników z leśnych osad.

Match rozumiał, że ośmielili się przyjść tylko dlatego, że okazał się taki sam, jak oni. Brutalny i okrutny, rozumiejący doskonale, że nie wystarczy wroga pobić i ośmieszyć. Wiedział to, czego nie dostrzegał Robin, prowadzący swą walkę nie tyle z całym systemem, włączając w to zbrojnych, ile z wielmożami, których potrafił zrozumieć i przewidzieć ich reakcje.

Był jeszcze drugi powód. Match zdawał sobie sprawę, że ci wszyscy zasmarkani chłopcy, którzy stawali przed nim, niosąc swe cisowe łuki, uważają, że jest taki sam, jak oni. Nie był obcym. Szlachcicem, który miał akurat kaprys stanąć po ich stronie, ale zawsze przecież obcym. Słusznie domyślali się, że Robin tak naprawdę walczył dla siebie, że to tylko w samej rzeczy waśń pomiędzy panami, a oni przypadkiem są jedną ze stron. Match natomiast był jednym z nich.

Grot z trzaskiem przebił blaszany napierśnik. Match, wyrwany z zamyślenia, uniósł głowę, popatrzył. Ludzie wprawiali się w strzelaniu do słomianej kukły, przystrojonej w pancerz zdarty ze zbrojnego, dla którego wyprawa do puszczy stała się ostatnią. Strzelali z pięćdziesięciu kroków. Rezultaty były niezłe, w balach tworzących ścianę za słomianą kukłą tkwiło zaledwie kilka strzał, sam cel zaś przypominał jeża.

Match uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak Will Scarlett odwodził go od przyjmowania wiejskich łuczniczków, twierdząc, że wiele czasu minie, zanim nauczą się trafiać w stodołę. Bardzo się mylił. Wiejscy chłopcy od maleńkiego strzelali do wszystkiego, co się w puszczy poruszało, od wiewiórek poczynając. Z czasem stawali się bardziej wybredni, polując przede wszystkim na zwierzynę, którą można było zjeść, co tłumaczyło niewielkie obecnie pogłowie królewskich jeleni.

Dawni towarzysze, zrazu niechętnie podchodzący do wszelkich zmian i zaskoczeni bezwzględnością Matcha w traktowaniu przeciwnika, zaakceptowali sytuację. Przyszło im to, prawdę mówiąc, bez trudu. Will Scarlett, dawny żołnierz, był twardy i okrutny. Początkowo, po pierwszym napływie ochotników obawiał się o swoją pozycję, lecz wkrótce przekonał się, że nie jest spychany na dalszy plan. Match często powierzał mu dowództwo, a Will z ochotą szkolił nowych ludzi w posługiwaniu się zdobycznymi mieczami i toporami. Broni nie brakowało, wystarczyło ją pozbierać.

Mały John nie miał wątpliwości. Prosty, nieco ociężały umysłowo, potężny, kudłaty brodacz miał jasne zasady. Match był przywódcą, należało go słuchać. Jeżeli kazał dobijać pokonanych, to trzeba dobijać. John słuchał rozkazów, nie odczuwając specjalnych emocji. Bo niby dlaczego okazywać pokonanym jakiegokolwiek względy?

Być może tylko brata Tucka i Marion dręczyły wątpliwości. Tylko oni, tak naprawdę, byli do nich zdolni. Nic jednak po sobie nie okazywali. Dla obojga śmierć Robina była głębokim przeżyciem. Tuck stał się cieniem dawnego, jowialnego i wesołego mnicha-rzezimieszka. Coś się w nim wypaliło, zgasła radość życia. Został, bo sądził, że tak trzeba. Zrzucił nawet habit, zaczął nosić się po świecku, jak wszyscy inni. Match widział kiedyś jego twarz, gdy napinał łuk i celował w leżącego na trawie rannego, a ten, sikając krwią z przebitej tętnicy, usiłował odczołgać się i ukryć. Twarz Tucka nie wyrażała nic, jakby właśnie mierzył do tarczy, nie do bezbronno człowieka, który i tak za chwilę by się wykrwawił. Spokojnie wypuścił strzałę i uważnie śledził jej lot, aż trafienie rzuciło wijącym się z bólu i strachu człowiekiem o zlepiony krwią piasek traktu. Jeżeli Tuck miał jeszcze wątpliwości, to nie przeszkadzały mu zabijać.

Marion pierwsze miesiące przeżyła w napięciu i euforii, która kazała jej pchać się na pierwszą linię. Match starał się hamować te zapędy, bezskutecznie. Dla Marion najważniejsze było to, że może działać, może się mścić. Najgorzej znosiła chwile beczynności; wówczas miotała się jak zwierzę w klatce, lub przeciwnie, zamykała się w sobie, siedząc bez ruchu i nie reagując na nic dokoła.

Match otrząsnął się z rozmyślań, słysząc znajomy głos.

– Przyprawdzili jakichś ludzi, mówią, że do ciebie – powiedział Nazir.

Nazir. Ten nie miał żadnych problemów. Urodzony i wyszkolony zabójca, czuł się teraz jak ryba w wodzie. Match podejrzewał, że lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

– Kto przyprawdził? – spytał krótko.

– Wartownicy, ci z wylotu traktu – wyjaśnił Maur. – Nic nie mów, już ich opieprzyłem – uprzedził spodziewane wymówki, widząc, jak Match krzywi się niechętnie.

Wartownicy mieli za zadanie informować o zbliżającym się

zagrożeniu i zniechęcać wszystkich, nawet pojedynczych, nieszkodliwie wyglądających wędrowców do zagłębiania się w las. Zniechęcanie polegało na strzelaniu prosto pod nogi. Jeżeli ktoś nie rozumiał wymowy wbijającej się przed nim w drogę strzały, strzelano drugi raz, i jeszcze trzeci. Jeżeli nadal nie pojmował, to sam był sobie winien. Tacy uparci zdarzali się jednak rzadko i jak dotąd nie mieli okazji do powtórzenia błędu.

Wszyscy zmierzający do puszczańskich wiosek musieli wcześniej uzgadniać, kiedy i którędy chcą pojechać. Nie robiono wyjątków. Tej wiosny ruch był niewielki, wymiana handlowa z miastem prawie ustała. Chłopi nie ośmielali się wozić swych produktów na targ, wioski miały jeszcze wystarczające zapasy. Match zakładał, że latem sytuacja się zmieni, gdy przeniosą walkę na teren przeciwnika, gdy umocnią swe wpływy w siołach poza puszczą.

Przybysze nie nosili broni, widać zabrano im ją wcześniej. Obaj mieli około trzydziestki, ubiór i postawa wskazywały na byłych żołnierzy lub członków cechowej milicji. Rozglądali się niepewnie, starając się trzymać hardo i robić jak najlepsze wrażenie. Nie bardzo im to wychodziło.

Match poczuł złość. Podstawową zasadą miało być utrzymanie w tajemnicy lokalizacji obozu na polanie. Te bezmyślne matoly zaś prowadziły dwóch nieznanymi ludźmi, nie pomyślawszy nawet, by zawiązać im chociaż oczy. A najlepiej, żeby w ogóle ich nie przyprowadzali, były wydane odpowiednie, wyraźne rozkazy. Cholera, przepędzę jak psy, pomyślał Match.

Nazir zrozumiał od razu.

– Match, oni nie mogą stąd wyjść. – Spojrzał znacząco. – Mogą zostać, ale wyjść nie mogą.

– Wiem, Nazir, wiem. – Skrzywił się Match. – Mam nadzieję, że nie wpadli tylko po to, żeby, dajmy na to, zapytać o drogę.

– Z wartownikami to ja jeszcze pogadam – dodał Maur. – A ty lepiej porozmawiaj z Marion. Długo jesteśmy beczynni...

\*\*\*

Młodziutka zielonooka lady Marion nie chciała poślubić tego, którego przeznaczyci jej opiekunowie. Nie zamierzała też zamknąć się w klasztorze. Taki jej dano wybór, niechciany i naprawdę wstrętny mąż, lub zamknięcie się za klasztorną furta.

Dziewczyna, zda się słaba i bezwolna, dokonała w odpowiedzi własnego wyboru, czego nikt się po niej nie spodziewał. Wybrała miłość do romantycznego banity, którego pokochała, jakkolwiek głupio i trywialnie może to zabrzmieć, od pierwszego wejrzenia. Bez żalu pożegnała życie szlachcianki, przyszłość rycerskiej żony, spokój i dostatek. Wolała niepewne jutro z nim, Robinem z Locksley.

Była mu towarzyszem, stającym w walce u jego ramienia. Była kochanką, dzielącą z nim chwile w leśnych szałasach i wiejskich chatach. Była żoną, wierną i dbającą o niego, jakby została naprawdę zaślubiona... Była...

Jason otworzył oczy. Zniknęła kasztanowowłosa, roześmiana dziewczyna.

Była... zabawką?

Robin, książę złodziei, władca puszczy Sherwood. Drwiący z wielmożów i z prawa, śmiały. Buńczuczny siłą swej młodości, legendy, która zaczynała go otaczać. Dufny w swą szczęśliwą gwiazdę, pewien stojących za nim racji. Dla niego wszystko było zabawą, nawet walka o utracone dziedzictwo.

Miał szacunek i posłuch wśród towarzyszy. Podziw i uwielbienie tych, których brał w obronę. Strach i nienawiść przeciwników. Wszystko zasłużone. Należało mu się, leśnemu hersztowi, straszemu dla wrogów, kochanemu przez przyjaciół, podziwianemu przez maluczkich. Miał też ją. Ona też się należała, jak wszystko inne.

Nie wiedziałeś o tym, myślał Jason, spoglądając na ukrytą w mroku twarz Matcha. Nawet się nie domyślałeś. Nie dostrzegłeś chwil, kiedy popłakiwała w samotności.

Nie domyślałeś się, jak mało dla niego naprawdę znaczyła. Nie domyślałeś się, dlaczego...

\*\*\*



Match szedł powoli przez obozowisko. Coś było nie tak, coś się psuło. Zupełnie nie wiedział, co.

Marion traktowała go dziwnie. On sam, przez cały czas, podchodził do niej jak pies do jeża, ostrożnie. Starał się trzymać blisko, lecz obawiał się narzucać. Cieszył się z każdego pretekstu, który dawał okazję do rozmowy, czy choćby popatrzenia na nią z bliska. Tak jak teraz.

– Wchodź – usłyszał.

Płachta zawieszona u wejścia do szałasów uniosła się, zachodzące słońce rozświetliło wnętrze. Marion zmrużyła oczy. Siedziała na przykrytym skórą posłaniu. Match zawahał się chwilę, ale wszedł. W szałasie było tylko posłanie, nie zdecydował się usiąść obok niej. W końcu przykucnął na ziemi, zarzuconej naciętymi świerkowymi gałązkami.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Rozglądał się w milczeniu.

Marion pierwsza przerwała ciężką ciszę. Ze sztucznym ożywieniem wypytywała o plany na najbliższe dni. Odpowiadał jak umiał, mając nadzieję, że to, co mówi, trzyma się kupy.

Owszem, słuchała, nawet wtrącała komentarze. Ale wzrok miała trochę nieobecny, a czasem spoglądała spod oka, jakby dziwiąc się, po co tego słucha. Match, złowiwszy raz i drugi błysk jej spojrzenia, zająknął się, urwał, lecz po chwili znów podjął nerwowo.

Nie na długo starczyło. Rozmowa, o ile przerywany rzadkimi potakivaniami monolog można nazwać rozmową, rwała się coraz bardziej. Wreszcie zapadło milczenie. W chatce pociemniało, Match ledwie widział owal twarzy Marion. Siedział i patrzył.

– Match, chcesz mi coś powiedzieć. – To nie było pytanie, to było stwierdzenie. Ciche i łagodne.

Bez sensu próbował podjąć monolog, nie potrafiąc odpowiedzieć wprost. Usiłował sobie przypomnieć, o czym właściwie wcześniej mówił.

– Match... – przerwała Marion. – Daj spokój... Już od dłuższego czasu chcesz mi coś powiedzieć.

Owszem, chciał. Ale nie potrafił. Zamilkł i spoglądał w ciemność. Zdobył się tylko na to, żeby lekko skinąć głową.

Nie poruszyła się. Nie odpowiedziała.

– Pomóż mi – szepnął po chwili.

Przeczący ruch głowy, prawie niedostrzegalny. Tylko szybkie spojrzenie spod opadających na pochyloną twarz włosów.

Sam nie wiedząc, jak się na to zdobył, wyciągnął rękę. Jej dłoń była ciepła i szorstka od gryfu łuku.

Nie cofnęła się, gdy przygarnął ją do siebie, gdy zanurzył twarz w pachnące ziołami włosy. Wsunął dłoń pod miękkie pukle, gładził po karku, czując gładkość skóry. Przycisnęła się mocniej.

Gdy opuścił dłoń niżej, pod koszulę, głaszcząc po plecach, zadrżała. Nie odsunęła się, lecz wyraźnie zeszytywniała. Zaczęła mówić, cichym, urywanym głosem:

– Nie, Match, proszę... To... to za wcześnie... za wcześnie...

Spróbował przytulić mocniej.

– Proszę, Match...

Delikatnie wyswobodził ją z objęć. Nie odsunęła się, to on musiał się cofnąć. Opuściła głowę, kryjąc twarz pod włosami.

Mrok, milczenie i jej bliskość. Zapach ciała, wciąż odczuwany dotyk gładkiej skóry. Ból niespełnienia.

– Marion, wyrzuć mnie stąd... – odezwał się wreszcie ochryple. – Wyrzuć mnie, bo sam nie wyjdę...

Długa cisza. Nadzieja, że powie "zostań".

– Idź już, Match. Tak będzie lepiej...

Nawet nie uniosła głowy.

\*\*\*

Chata, zapadający mrok, rozświetlony jedynie żarzącymi się na palenisku węglami. Twarz ledwo widoczna w ciemności, jasny owal na ciemnym pościaniu ze świerkowych łąpek.

Nawet nie rozmawiali. Nie było o czym, nie było po co.

Gdy tego wieczora stanął przed chatą, długo nie mógł postanowić, czy

wejść do środka. Przez cały dzień zamienili kilka zdawkowych, obojętnych zdań. Spoglądali tylko na siebie, ale dziwnym trafem cały czas trzymali się blisko, choć nie za blisko. Match spostrzegł jedynie kilka uważnych spojrzeń. Nie był jednak najlepszy w odczytywaniu sygnałów.

Zdecydował się w końcu, odchylił ciężką płachtę zastępującą drzwi do chatki. Zatrzymał się.

– Wejdz – usłyszał. Jak zwykle.

Dziś nie zaczął już bezsensownej, prowadzonej ze sztucznym ożywieniem rozmowy. Było to zupełnie niepotrzebne. Więcej, byłoby śmieszne, o czym wiedzieli oboje. Usiadł tylko na posłaniu. Nie potrzebował słów.

Bawił się kosmykiem kasztanowatych włosów. Gdy przypadkiem dotknął szyi, Marion westchnęła. Delikatnie, samymi opuszkami przesunął po gładkiej skórze. Zadrżała lekko. Gładził jedwabistą skórę, czując drżenie, słuchając coraz głośniejszych westchnień. Mógłby tak siedzieć bez końca...

Ktoś krzyknął na skraju polany. Zanim Match uświadomił sobie, że to straż nawołuje się na krańcach obozu, drgnął i odsunął się od Marion. Sam nie wiedział dlaczego.

Marion zeszywniała. Gdy chciał znów ją pogłodzić, odsunęła się.

– Nie znasz się na kobietach, Match. – W głosie nie było złości, nawet rozczarowania. Po prostu stwierdzenie faktu.

– Nie znasz się – podjęła. – Gdybyś się znał, wiedziałbyś, że teraz... Że jeszcze przed chwilą... Mogłeś... Mogliśmy...

Mówiła, nie odwracając się, gdzieś w przestrzeń przed sobą. Nie znosił tego. Ale teraz nie zwrócił uwagi, słysząc ledwie dostrzegalną nutę zawodu.

– Mogłaś chociaż tego nie mówić – mruknął, bardziej zawstydzony niż rozzłoszczony. – Mogłaś nie mówić...

Nie wiedział, co dalej zrobić. Niejasno zdawał sobie sprawę, że powinien po prostu wstać i wyjść. Przeprosiwszy wprzód. Nie mógł się jednak na to zdobyć. W głowie miał tylko pustkę, czuł się jak... Sam nie wiedział jak.

Marion też nie zrobiła nic. Siedziała, objąwszy kolana, wpatrzona w

mrok. Match, nie wiedząc kiedy, przygarnął ją.

Poczuł przy swoim policzku ciepło jej policzka. Oddech delikatnie łaskotał go w ucho. Coraz bardziej przyspieszony. Gdy musnął wargami policzek, przytuliła się mocniej. Zwróciła twarz, szukając jego warg. Po chwili znalazła.

Match czuł pod palcami nabrzmiewający sutek, czuł wyraźnie przez szorstki materiał. Objął dłonią pierś. Marion westchnęła głośniej. Namacał rozcięcie koszuli, wsunął dłoń. Marion wygięła się do tyłu, oddychała coraz szybciej.

Gdy dotarł do zapięcia płóciennych spodni, odsunęła go na chwilę. W mroku przed sobą widział błyszczące oczy.

– Musisz postawić na swoim? – spytała. Bez kpiny w głosie. Bez niechęci.

Nagle stał się bardzo konsekwentny. Zniknęły gdzieś początkowe obawy.

– Muszę – wyszeptał, uparcie pracując nad opornym zapięciem. Udało się w końcu. Zaśmiała się, tchnąc mu w twarz. Wsunął dłoń, jęknęła i przywarła do niego z całych sił. Gdy dotarł do gorącej wilgoci, ścisnęła jeszcze mocniej...

\*\*\*

– Match, odpowiedz na jedno pytanie.

Leżeli obok siebie, trzymając się za ręce, jakby bojąc się utracić wzajemny kontakt. Match pocałował nagie ramię, słone od potu.

– Odpowiedz mi...

To spytaj, pomyślał Match. Na pewno odpowiem, na każde pytanie. Zawsze ci odpowiem. Zawsze.

Czuł ciepło drobnych palców w swej dłoni. Czuł ciepło rozgrzanego ciała obok siebie. Czuł ciepło w sobie. Głęboko.

– Match, powiedz mi, co to dla ciebie właściwie znaczy. – Znów odwracała głowę, nie patrzyła w oczy. – Powiedz, jak to było... jak to jest...

Nie rozumiał.

– Jak co?... – spytał głupio. Poczuł, jak drobne palce zaciskają się na jego dłoni. Teraz spojrzała mu prosto w twarz.

– Czy po prostu zaliczyłeś, i już? Czy może...

– Marion... – aż się zająknął. Nie z gniewu, z zaskoczenia. Nie spodziewał się tego. – Marion, ja...

– Czy może chcesz, jeszcze kiedyś, kiedy zdarzy się okazja... – przerwała mu bezlitośnie. – Niewiele ich będzie. – Pokręciła głową. – Ale będą... – Była poważna. Nic nie zostało z uśmiechów, z uniesienia.

– Marion, ja... – chciał powiedzieć więcej, co czuje, jak bardzo... Przerwał, widząc przeczący ruch głowy.

– Marion... – spróbował jeszcze raz.

– Nie.

Usiadła, objąwszy kolana, kryjąc twarz w rozsypanych włosach. Niezdarnie objął ją, odwrócił jej głowę. Spojrzał w poważne, nieruchome zielone oczy.

Gdy całował, poczuł słony smak. Smak potu. Albo łez.

Tak zostało. Bez słów. Bez deklaracji. Bez uśmiechu. To musiało wystarczyć.

Przecież będzie jeszcze okazja...

## - II -

*Wciąż ciaśniejszy wokół poplątany krąg  
Coraz częściej straszy zimno naszych rąk*

Stanisław Staszewski, [W czarnej urnie]

Maur od początku stał się nieformalnym zastępcą Matcha. Jakoś tak samo wyszło, nikt go oficjalnie nie mianował, natomiast wszyscy od razu to uznali. Nawet Will Scarlett, który niechętnie widział nad sobą jakąkolwiek zwierzchność. Nazir nigdy o to nie zabiegał, ale sam fakt zaakceptował. Teraz miał tylko problemy.

Match miewał już trudności z odsyłaniem różnych zabijaków. Nie chciał kłopotów, a tacy ludzie zawsze je zapowiadali, zbyt niezdyscyplinowani, skłonni do okrucieństw, popełnianych głównie w celu nabicia sobie kabzy. Gorszi zresztą byli wariaci i nawiedzeni – rzezimieszek zwykle pojmował sytuację i odchodził, rzuciwszy najwyżej grubym słowem. Z wariatami szło gorzej, bardzo trudno było się ich pozbyć.

Najemnicy, jak ich w myśli, zgodnie zresztą z prawdą nazywał, spełnili jak na razie pokładane w nich oczekiwania. W kilku potyczkach, jakie do tej pory stoczyli, odnosili imponujące zwycięstwa, przy bardzo małych stratach własnych. Łupy, które przy okazji zdobyli, jak na razie wydawały się ich zadowalać. Mieli prócz tego nadzieję, że prawdziwe żniwa przyjdą wtedy, gdy zdobędą wreszcie jakąś szlachecką siedzibę, czy też uda się wypad do miasta. Stratami się nie przejmowali, jedynym, na co zdobywali się po śmierci kogoś ze swoich, była zwykle kłótnia o pozostawione przez niego dobra.

Jednak mimo bezsprzecznych korzyści, z których największą była

możliwość przeniesienia wojny na teren wroga, zaczęły się też kłopoty. Najemnicy nie grzeszyli subordynacją, a do tego z wyższością i pogardą odnosili się do wiejskich ochotników, którzy stanowili dotąd trzon sił banitów. Mimo iż trzymali się osobno, w obozie wynikały raz po raz sprzeczki i bójki, w których zazwyczaj poszkodowani bywali wiejscy chłopcy, często nie ze swej winy. Ot, nie zeszli w porę z drogi dzielnemu wojakowi lub nie dość chętnie zabierali się do oporządzania koni. Wreszcie doszło do tego, że ochotnicy z leśnych osad, jak to mieli we zwyczaju, kupą zasadzili się na najbardziej znienawidzonego najemnika. Mieli dość szykan, jakie spotykały ich z jego strony przy każdej okazji. Skorzystali ze sposobności i chłopską metodą skoczyli w kilkunastu, wyczekawszy, gdy nieopatrznie odszedł z kręgu ogniska bez broni.

Skończyło się ponuro. Problemem nie były wybite zęby, to rzecz zwyczajna. Ale jeden z chłopaków zmarł następnego dnia, nie odzyskawszy przytomności.

Po nieszczęsnej bójce atmosfera w obozie pogorszyła się znacznie. Utworzyły się dwie, wzajemnie izolowane grupy, patrzące na siebie z nieufnością. Ze strony wiejskich chłopaków coraz częściej zza tej nieufności wyzierała nienawiść i zawiść wobec tych, którzy przybyli nie wiadomo skąd, a cieszyli się zaufaniem przywódców. Tych, którzy spijali całą śmietankę. Bo też łucznicy rzadko mieli teraz możliwość obszukania poległych przeciwników. Zazwyczaj nie zdążali, a ściąganie zabitym butów im nie wystarczało. Najemnicy zaś, pamiętając o tym, co spotkało jednego z nich, traktowali ich jeszcze gorzej.

Najemnicy potrzebowali twardego dowódcy, który trzymałby ich mocno za twarz, nie pozwalając na wybryki. A teraz, co tu dużo mówić, Match nie stawał na wysokości zadania.

Nazir splunął. Nie ma czasu, pomyślał ze złością, zbyt ostatnio zajęty... Zwalił wszystko na mnie...

Sprawy zakończonej śmiercią napaści nie dało się załatwić tak, by zadowolić obie strony. Napadnięty, ponury drab zwany nie wiedzieć czemu Pieszczoskiem, był zdeklarowanym łobuzem i sukinsynem. To właśnie on dawał się wszystkim najbardziej we znaki i, prawdę mówiąc, po stokroć zasłużył na to, co chciano mu zrobić. Z drugiej jednak strony... Z drugiej strony był bezbronny i nawet nie zdążył się do końca wysikać, gdy pierwszy kij z trzaskiem pękł mu na plecach. Mógł się zdenerwować,

zważywszy na przewagę atakujących. I tak też się stało, trudno więc mieć do niego pretensje. Pomimo iż niepotrzebnie skopał jednego z napastników, gdy ten leżał już na ziemi, Pieszczoszek tłumaczył się potem, że nie czuł do chłopaka jakiejś specjalnej złości, ot, po prostu leżał najbliżej, a zbyt bolała go trafiona kijem noga, by mógł chodzić i sprawiedliwie obdarzać wszystkich kopniakami. Wyładował więc swój gniew na tym jednym. Dodał nawet, że jest mu przykro...

Przeprosiny, choćby szczere, nie załatwiły niczego. Wróżyło to problemy.

Maur, aczkolwiek nieformalny zastępca, nie miał posłuchu takiego, jak Match.

To wszystko z jej powodu, myślał Nazir niechętnie. To przez nią tak zgłupiał. I przez nią do oddziału zaczynało wkradać się rozprzężenie. Zwłaszcza teraz, kiedy najwyraźniej nie układało się najlepiej.

Zresztą, nie wiadomo, kiedy było gorzej. Czy wtedy, kiedy było dobrze i Match chodził cały szczęśliwy, z głową w obłokach, nie przejmując się zbytnio tym, co działo się dokoła, czy teraz, gdy najwyraźniej coś go gryzło.

Nazir zupełnie nie mógł tego zrozumieć. W jego kulturze miejsce kobiety było nader jasno określone. Miała dawać wojownikowi odpoczynek i wytchnienie. A tu wyglądało, że jest wręcz przeciwnie.

Leśny oddział rozrastał się. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebny był zdecydowany dowódca, bowiem jeszcze trochę, a ludzie zaczną w jawny sposób łamać dyscyplinę, działać na własną rękę. Do tej pory udało się zapobiec samowolnym wyprawom. Jednak już parę razy najemnicy zrywali się, by potem odłączyć od reszty przy najbliższej sposobności. Co gorsza, więcej chłopcy próbowali robić to samo.

Tylko patrzeć, jak przy okazji szukania szczęścia i łupu zaczną się gwałty i rozboje. A to prowadzi prostą drogą do przegranej.

Maur zatrzymał się niezdecydowany. Matcha nie było nigdzie widać. Nazir zgadywał wprawdzie, gdzie go może znaleźć, ale nie odważył się go tam szukać. Cóż, jeszcze jest czas, ostatecznie porozmawiać można jutro. Może Match się opamięta. A teraz trzeba się zająć ważniejszymi sprawami. Ktoś tu, kurwa, musi wszystkiego dopilnować.

Nazir zawrócił na pięcie i klnąc pod nosem, zawrócił do obozu.



### - III -

*Najprostsza i zarazem najskuteczniejsza metoda walki z partyzantami polega na biciu ich takimi środkami i sposobami, jakimi oni sami walczą. Oznacza to, że trzeba żyć i walczyć tak, jak partyzanci, rozpoznawać ich w sposób niezwracający uwagi, śledzić bez ustanku, zmuszać do walki i likwidować.*

Pułkownik Eike Middeldorf, *Taktyka w kampanii rosyjskiej*

Szeryf przechadzał się po słonecznej komnacie, kroki stukały po posadzce, zarzuconej z rzadka dawno niezmienianym, zeschniętym sitowiem. Nie dbał o wpadające przez oprawne w ołów szybki promienie wiosennego słońca.

Szybki były świadectwem zasobności i bogactwa, niewielu mogło sobie na nie pozwolić. Jednak w tej chwili przywozili na myśl jedynie to, że i on sam, teraz, nie mógłby się zdobyć na ich wprawienie zamiast zwykłych, natłuszczonych pęcherzy. Finanse szeryfa były na wyczerpaniu.

Wojna kosztowała, utrzymanie nadmiernej ilości zbrojnych wydawało się workiem bez dna. Co gorsza, nie dawało żadnych widocznych rezultatów.

Najbardziej martwiło go, że banici przejmowali inicjatywę. Z lasu przenieśli wojnę na tereny przeciwnika. Już nie tylko trakty puszczańskie gwarantowały kupcom utratę towaru, wozów, a często życia. Napady zdarzały się wszędzie, na terenie całego hrabstwa, a nawet, jak to ostatnio, poza jego granicami. Jego ludzie nie mogli nic poradzić przeciwko szybkim, lekko uzbrojonym oddziałkom, które zjawiały się nie wiadomo skąd w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, zadawały błyskawiczne uderzenie, po czym odskakiwały i rozplywały się nie

wiedzieć gdzie.

Celem ataków byli zazwyczaj kupcy lub oddziały wysyłane, by ściągać należne daniny. Tak, oddziały, bo dawno minęły czasy, gdy wystarczał poborca w asyście dwóch, trzech żołnierzy. Teraz każdy potrzebował poważnej eskorty, a i to nie zawsze wystarczało. O tych, którzy próbowali wyruszyć po staremu, samotrzeć lub samowtór, słuch zaginął.

Zresztą eskorta też nie dawała gwarancji powodzenia. Ataki były częste, zgodnie z ulubioną taktyką banitów poprzedzone zazwyczaj morderczym ostrzałem. Później pozostawało tylko dobić nielicznych, których strzały nie dosięgły. Naprawdę byli to nieliczni, gdyż banici strzelali bardzo precyzyjnie. Ostatnio zaczęli stosować kusze, których większy zasięg pozwalał na urządzenie zasadzek w pozornie niezbyt nadającym się do tego terenie. Teraz każda kępa drzew, każdy zagajnik, nawet o trzysta czy więcej kroków odległy od traktu mógł okazać się miejscem, skąd nagle posypią się bełty.

Banici nigdy nie popełnili błędu, który polegałby na bezpośrednim uderzeniu na żołnierzy. Atak zawsze poprzedzało przygotowanie. Jeżeli ostrzał nie przynosił oczekiwanych rezultatów, po prostu wycofywali się. Szeryf nie miał żadnej możliwości, by odpowiedzieć w ten sam sposób. Po idiotycznym pomysle Gisbourne'a okazało się, że walijscy łucznicy nie przejawiają najmniejszej chęci do wstąpienia na służbę w barwach szeryfa Nottingham. Na miejscowych nie można było liczyć, ci lepsi od dawna przeszli na drugą stronę.

Taktyka szarpania przeciwnika przynosiła banitom wymierne rezultaty. Dochody z targu miejskiego spadły prawie do zera, odkąd coraz trudniej było znaleźć kupców, którzy zaryzykowałiby przyjazd z towarem. Doszło do tego, że sąsiednie miasta, nieposiadające przywilejów targowych, organizowały wręcz ostentacyjnie swoje własne jarmarki. I nie było na to rady. Co, może udać się ze skargą? Pięknie by to wyglądało, ktoś, kto nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa aż do całkowitego upadku handlu, zgłasza się z pretensjami o naruszanie swych praw. Można przewidywać jedynie to, że przywilej targowy otrzyma jeden z nielegalnych jarmarków, nielegalny, lecz przynoszący koronie wymierne dochody.

Cechy szemrały, nie mając gdzie zbyć towarów. Blokada była coraz bardziej skuteczna.

Zdarzały się napady na młyny; zapasy, których rabusie nie mogli unieść ze sobą, były tam po prostu niszczone. Zaczęły chodzić słuchy, że nie wszystkie przypadki zaginięć poborców były dziełem banitów, że to rozzuchwaleni chłopci brali sprawy w swoje ręce, a raczej na zęby wideł.

Niewesołe myśli szeryfa miały jedną konkluzję. Przegrywał. Nie, żeby sądził, iż na koniec cała ta leśna banda przyciągnie pod miejskie mury i rozpocznie końcowe oblężenie. Nie, tego się jeszcze nie obawiał, chociaż były już przypadki ostrzelania szlacheckich dworów zapalającymi strzałami. Nawet skuteczne, gdyż rzadko który dwór mógł pochwalić się kamiennymi murami. Zwykle drewniane zabudowania otaczał również drewniany częstokół.

Szeryf zaciskał pięści w bezsilnej złości. Nie miał tylu zbrojnych, by strzec wszystkich zagrożonych traktów czy też innych obiektów, mogących stać się celem ataku. Został zepchnięty do głębokiej defensywy, a czas grał na korzyść przeciwnika. Czas, którego było coraz mniej.

Jeszcze tylko tego brakuje, żeby królowi zachciało się zapolować w królewskich lasach, pomyślał. Ładnie będę wyglądał, kiedy przyjdzie powiedzieć, że to chwilowo niemożliwe... Do diabła, tyle w tym kraju lasów, a ten wciąż uważa miejscowe jelenie za najbardziej godne jego strzał. Nie zdaje sobie nawet sprawy, że odkąd wypędzono z puszczy ostatniego borowego, połamawszy mu wprzód na plecach jego własny łuk, królewskie jelenie stały się wielką rzadkością. Bez nadzoru byle chmyz stawał się kolekcjonerem poroży.

Szeryf uśmiechnął się mimo woli, gdy przypomniał sobie królewskiego borowego, który stanął przed nim, aby wnieść skargę. Stanął to zbyt dużo powiedziane. Szeryf spoglądał na zgiętego wpół draba, który z tej niewygodnej pozycji usiłował zadrzeć głowę, by z szacunkiem spojrzeć na zwierzchność. Można było dostrzec fioletowe obwódki wokół oczu i spuchnięty, już ze swej natury fioletowy i żyłkowy nochal. Tak, banici nie mieli lekkiej ręki, zauważył szeryf z dużą satysfakcją. Pamiętał świetnie tego butnego sukinsyna, który kiedyś ośmielił się przepatrywać mu wozy, gdy wracał z polowania na dziki. Szukał, uważacie, skłusowanych w królewskiej puszczy jeleni. I to gdzie, w taborze szeryfa hrabstwa! Dobrze, że tego dnia żaden królewski jeleni nie zaplątał się pod strzały. Inaczej trzeba byłoby chyba tego sukinsyna

ubić, zanim doniesie. Z tego zaś same kłopoty, za dużo ludzi, ktoś zawsze chlapnie ozorem. Leśnicy wiedzieli o tym doskonale, dlatego pozwalali sobie na taką bezczelność. Łapówki od szlachty spragnionej królewskiego trofeum stanowiły pokaźną część ich dochodów, hardzi więc byli ponad wszelką miarę. Nosili się dumnie, przypominając nieco zbrojnych z utrzymywanej przez cechy milicji, której członkowie uważali się za równych niemalże koronnemu zaciężnemu wojsku. Tak samo z góry traktowali wszystkich innych, pozwalając sobie nawet na bezczelność wobec wyżej urodzonych. Mówiąc prawdę, musieli być twardzi. Śmiertelność w tym zawodzie była wysoka, nie zdarzył się rok, by jakiś leśniczy nie utonął w bagnie, przypadkiem, rzecz jasna. Niektórzy wiązali to z dziwną niechęcią do królewskich borowych, która w niezwykły sposób jednoczyła puszczańskich chłopów i szlachetnie urodzonych wielmożów.

Patrząc na zanoszący swe jęklive skargi, kornie zgięty przed nim wrak dawnego twardziela, dufnego niegdyś w swe królewskie pełnomocnictwa, szeryf przypomniał sobie pewne ludowe porzekadło. Jak to mówią, milicjant i leśnik to fiut nie rzemieślnik...

Wspomnienia rozjaśniły na chwilę twarz szeryfa, jednak zaraz wróciły natrętne problemy.

Czym ja się martwię, przemknęło mu przez myśl, przecież dziś już może się okazać, że jest po wszystkim, że oto ten właśnie obleśny baron zakomunikuje mi wkrótce królewską decyzję, po której zapoznam się bliżej ze szcurami w swych lochach. Po kiego diabła przyjmowałem tego nowego kata... Dawny wprawdzie już nieco niedomagał, a tego przedstawiono jako znakomitego specjalistę. I te jego dobre referencje... Żebyśmy tylko nie musiał przekonać się na własnej skórze, jak dobre...

Szeryf miał poważne powody do zmartwienia. Obleśny baron Godfrey, który przybył wczoraj do zamku, rzekomo przysłany przez króla tylko po to, aby pomóc rozprawić się z rebelią, wzrok miał wyjątkowo nieszczerzy. Być może to było wrodzone, lecz szeryf wolał spodziewać się najgorszego, widząc rozbiegane spojrzenie tonących w tłuszczu małych oczek.

Baron wprawdzie jowialnie zapewniał, że to jedynie sąsiedzka pomoc, że gdy na dworze dowiedział się o kłopotach szeryfa, to z przyjemnością pospieszył, by przejechać się chamstwu po karkach, jak to

ujął. Ładna sąsiedzka pomoc, myślał szeryf, wiedząc, że rodowe dobra barona dzieli od Nottingham wiele mil. Prawdę mówiąc, nigdy przedtem o nim nie słyszał. To, że baron przywiódł ze sobą w sumie więcej zbrojnych i czeladzi niż wszystko, czym szeryf kiedykolwiek dysponował, pogłębiło tylko podejrzenia.

Podczas gdy zbrojni, na łaskawe zezwolenie barona, zajmowali się pijatyką po karczmach i wyjadaniem ostatnich szynek, które w Nottingham stały się wielką rzadkością, sam baron ucztował w towarzystwie szeryfa, Gisbourne'a i paru innych z okolicznej szlachty. Baron rozkazał wytoczyć kilka beczek, które przywiózł w swych taborach. W normalnych czasach szeryf poczułby się zapewne urażony, ale teraz tylko machnął ręką. Czasy nie były normalne, przy obecnych kłopotach z zaopatrzeniem... Szeryf niejednokrotnie oczyma wyobraźni widział banitów, wesoło popijających na jakiejś zakazanej leśnej polanie jego burgunda. Dziwnym bowiem trafem, podczas gdy przechwycone przez banitów wozy ze zbożem zazwyczaj płonęły, nigdy nie spotykało to wozów z beczkami wina. Te znikwały w całości.

Siedząc przy wysokim stole, szeryf usiłował wybadać, po co tak naprawdę przybył baron. Czy przypadkiem nie po to, aby po rozeznaniu się w sytuacji – a nie było to specjalnie trudne – zakomunikować królewską decyzję o pozbawieniu urzędu. Po czym nastąpiłoby niezwłoczne doprowadzenie do lochów prosto w ręce kata, wybitnego specjalisty.

Mimo wszelkich podejmowanych prób i wysiłków szeryfa baron wciąż głądził tylko o swej bojowej chwale i o tym, jak to już nazajutrz popędzą kota hołocie. Gestykulował przy tym puginałem, którym raz po raz odkrawał wielkie kawały mięsa z upieczonego w całości dzika. Apetyt barona sprawiał, że coraz wyraźniej z pieczystego prześwitywała klatka nagich żeber. Widok posilającego się barona dziwnie odbierał szeryfowi chęć do jedzenia. Baron Godfrey miał zwyczaj, nader niemiły, jak szeryf był zmuszony zauważyć, mówienia zaraz po odgryzieniu potężnego kęsa. Zwracał się przy tym serdecznie do rozmówcy.

Jako sąsiada z drugiej strony baron miał hrabiego Gisbourne'a, który jednak nie dbał o nic, nadrabiając ze wszystkich sił uprzednie braki w spożyciu wina.

Szeryf zrezygnował wkrótce z prób skierowania rozmowy w

interesującym go kierunku, poprzestając jedynie na udawaniu, że uważnie słucha tego, co baron Godfrey uznał za wartę opowiedzenia. Na szczęście nie był on wymagającym rozmówcą i szeryf mógł się ograniczać do wtrącania od czasu do czasu słów "w rzeczy samej" lub "to naprawdę niebywałe". W zupełności wystarczało to do podtrzymania konwersacji.

– I tak, na koniec, nie uwierzycie, panie – huczał baron, żując jednocześnie i pryskając na wszystkie strony chrząstkami i tłuszczem. – Krwi było, nie przymierzając, po kostki!

Szeryf uprzejmie potakiwał. Żeby cię, tak przy jedzeniu, myślał jednocześnie.

– Bo też, żadna to przyjemność dla rycerza hołotę tak tłuc. – Baron zasępił się trochę. – To i trzeba sobie nieco pofolgować, he, he!

– Słusznie prawicie, panie – wtrącił szeryf dla odmiany. – W rzeczy samej – dodał wypróbowany już wcześniej przerywnik.

Siedząca przy niskim stole szlachta wpatrywała się w barona z podziwem, nie wiedząc czy z powodu jego budujących opowieści, czy też w uznaniu dla niewątpliwych osiągnięć w obżarstwie. Sami nie bardzo mogli mu sprostać, gdyż chudy zwierz na ich stole nie dorównywał w żaden sposób temu, z którym dzielnie rozprawiał się baron. Tak, nie było obecnie łatwo o dzika w Nottingham. Na szczęście ta zwierzyna wychodziła na podlesne pola, gdzie można było ją ustrzelić bez nadmiernego ryzyka bycia ustrzelonym wcześniej. Inaczej za całą dziczyznę musiałyby starczyć króliki.

Baron począł rozwlekle i głośno opowiadać, jak to kiedyś w jego rodowych lasach zagnieździła się banda wyjętych spod prawa i jak to on sam, w mgnieniu oka niemalże, rozprawił się z nimi. Rzeczywiście, o samej rozprawie opowiadał w miarę krótko, lecz o tym, jak następnie karał wioski, które udzielały banitom schronienia, mówił już bardziej szczegółowo.

– Nie uwierzysz, panie – rozwodził się z lubością. – Szubienice stały na każdym rozstajach, a wisielców nie pozwalałem zdejmować. Osobliwie dobrze działało na kmiotów, jak szkielety klekotały na wietrze, jak już całkiem ptactwo z mięsa je obrało...

Baron zarechotał z zadowoleniem, przypomniawszy sobie ten

budujący widok. Ukroił kolejny płat pieczeni.

– A i śmierdziało tak, że jak wiał dobry wiatr, to i na dwa stajania czuć było, że wioska blisko. – Ze smakiem odgryzł potężny kawał mięsa. – Czasem nawet na trzy... Ale co wy, panie? Nic nie mówicie...

– W rzeczy samej, panie baronie – wtrącił pospiesznie szeryf.

– Właśnie, w rzeczy samej – rozpromienił się baron, oczka skryte w fałdach tłuszczu zalśniły radośnie. – Słusznie mówicie, panie. Tak, ciężkie czasy teraz. Trudno dla prawego rycerza o godnego przeciwnika. I sąsiedzi czegoś przycichli, a zresztą nie bardzo jest ich po co oblegać... Marne te ich dobra... Cóż pozostaje, hołotę jeno karać, przykładnie. Jedyna to radość dla rycerskiego serca, jedyna... – zatroskał się. – Ot, co jeszcze pozostaje, to na wyprawę w obronie wiary prawdziwej ruszyć, Saracenów ogniem i mieczem pokarać. Tylko wiecie, panie, Bóg łaski poskąpił... Chciałbym ruszać choć zaraz, ale co zrobić, nie dla mnie zamorskie podróże. Bo wiecie panie, wstyd przyznać, ale na korabiu rzygam jak kot.

Baron poczerwieniał i zaniósł się głośnym kaszlem, małe oczka wyszły na wierzch. Szeryf przez chwilę obawiał się, że za moment gość zademonstruje, jak zgubne skutki ma dla niego morska podróż. Na szczęście nie. Godfrey wypluł na dłoń kawałek kości, który utkwiał mu w gardle. Wpatrywał się weń z uwagą.

– Ot, świństwo – mruczał, przecierając załzawione oczy. – Patrzcie no, takie gówno, a zadławić człeka może. No popatrzcie tylko... – Podsunął szeryfowi rękę pod nos. Ten pomyślał, że jeszcze trochę, a sam poczuje się jak na mocno kiwającej łodzi. Udało mu się wytrzymać. Baron rzucił kostkę pod stół, przez chwilę przyglądał się, jak dwa psy, warcząc, biją się o nią, zupełnie bez sensu, bo obok leżało dużo większych, niepozbowionych jeszcze całkiem mięsa gnatów, które przed chwilą niespiesznie ogryzały. Osobliwy gust mają te zwierzęta, pomyślał szeryf.

Godfrey wytarł ręce o rozłożystą brodę, gęsto przetykaną kawałkami tłuszczu. Powrócił do tematu.

– O czym to ja... – zaczął. – A, o kmiotach, co to ich uczyliśmy posłuszeństwa. Wiecie, nie obrażcie się, panie, ale mi się widzi, że wy jesteście za dobrzy. Tak, za dobrzy. Bo wy tylko tych banitów, co to po lasach... A tu trzeba inaczej. Jak banici do wioski przychodzą, to należy

potem paru kmiotów obwiesić. Usiec też można, ale lepiej obwiesić. Bo jak oni będą już wisieć, na wietrzyku wesoło się kręcić, to reszta się dwa razy zastanowi, zanim banicie schronienie da. A jak jeszcze paru obwiesić, to prędzej takiego widłami zakłują, niż w wiosce przyjmą.

Szeryf zaczął słuchać z nagłym zainteresowaniem. Uczta trwała dalej.

\*\*\*

Z zamyślenia wyrwały szeryfa skradające się jak zwykle kroki Gisbourne'a. Spojrzał na niego niechętnie. Twarz hrabiego nosiła jawne ślady wczorajszego nadrabiania winnych zaległości.

– Czas ruszać, panie – powiedział bez zapału hrabia, mrużąc zapuchnięte oczy. Światło raziło go w widoczny sposób. – Pana barona właśnie wsadzają na konia...

– Co ty powiesz? – zainteresował się szeryf. – Warto to zobaczyć, wczoraj cały czas zastanawiałem się, jak on właściwie to robi...

Zamiarem barona, jak to wyjawiał wczoraj szeryfowi, było wyruszyć na skraj puszczy, tam, gdzie trakt opuszczał pola i zagłębiał się w lesie. Usłyszał już, że wylotu leśnej drogi pilnuje zazwyczaj kilku banitów, którzy nieopatrznie zbliżających się do nich witają strzałami, bez żadnych wstępnych rozmów. Baron chciał, jak to zawile tłumaczył, pokazać się przeciwnikowi w całej swej potędze, by wzbudzić grozę w obliczu niechybnej klęski. Banici, tłumaczył, gdy spostrzegą, z kim mają do czynienia, zapadną głęboko w las. Tam też ich się w swoim czasie wygniecie. W jaki sposób, tego nie precyzował i szeryf dość sceptycznie, biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, podchodził do tych zamierzeń. Tymczasem jednak, jak dowodził baron ze swadą, przerażeni banici będą siedzieć w lesie jak mysz pod miotłą, skończą się wypadki i rozboje poza puszczą. Jeśli zaś tylko wychylą z niej nosa, tym gorzej dla nich.

Poczet barona na zamkowym podwórcu prezentował się bardzo okazale. Znakomicie wyekwipowani zbrojni, razem około czterdziestu ludzi, kilku genueńskich kuszników, o których mistrzostwie szeryf wiele słyszał, grupa czeladzi, dwóch giermków.



Zdążyli na moment, w którym czterech roślących pachółków rozpoczęło trudne przedsięwzięcie umieszczenia barona ubranego w płytową, pełną zbroję na ogromnym bojowym koniu, opancerzonym niemalże tak samo. Niesamowite musiało być to zwierzę, by prócz swego pana unieść jeszcze własny pancerz.

Baron już od dawna nie potrafił sam dosiąść konia. Zapewne to było główną przyczyną, że nie ryzykował starcia z innymi, równymi sobie stanem i wyposażeniem, poprzestając na gromieniu przeróżnej, nieopancerzonej przeważnie hołoty. Szeryf zaczął powątpiewać zresztą, czy nawet to czynił osobiście. Nie mylił się, baron zwykle poprzestawał na mordowaniu *per procura*, zadowolając się obserwowaniem z lubością skutków tegoż.

Godfrey z chrzęstem blach usadowił się wreszcie na swym monstrialnej wielkości rumaku. W asyście obu giermków ruszył w kierunku bramy. Gdy przejeżdżał przez zwodzony most, szeryf mógłby przysiąc, że grube belki wyraźnie się ugięły.

Wraz z Gisbourne'em ruszył w ślad za baronem.

Orszak posuwał się wolno, dostosowując prędkość przemarszu do dostojnie kroczącego baronowego konia. Otoczony zbrojnymi jeźdźciami sterczał spomiędzy nich jak hulajgród wśród popychającej go do szturmowania mury piechoty. Wiosenne słońce odbijało się w błękitno szmelcowanej zbroi, rzucając ostre odbłyśki.

Szeryf rozmyślnie wstrzymywał konia, chcąc pozostać z Gisbourne'em w tyle. Zamierzał porozmawiać z nim bez świadków, mając nadzieję, że ten, mimo wczorajszego opilstwa, zdołał wyłowić coś istotnego z gadaniny barona przy stole. Coś, co może dać wskazówki, jak dalej potoczą się wydarzenia. Mimo wielu swych wad hrabia miał bystry umysł, a wrodzone krętaćstwo i skłonność do odruchowego kłamania pozwalały mu dostrzec takie same objawy u innych. Wobec szeryfa zaś hrabia był wciąż lojalny, przynajmniej na razie.

Hrabia nie wyglądał jeszcze na zdanego do sensownej rozmowy. Błady, o drżących dłoniach pociągał co chwila łyk rozcieńczonego wódki z podróznego bukłaczka. Wszelkie nagabywania zbywał półsłówkami. Trzeba więc było poczekać, aż wiaterek go przewieje, może będzie bardziej rozmowny.

Oczekiwania szeryfa sprawdziły się. Po przejechaniu następnej mili Gisbourne wyprostował się w siodle, mętne dotąd oczy patrzyły przytomniej. Właśnie wtedy do hrabiego podjechał starszy giermek ze świty barona.

– Piękny dzionek mamy, panie hrabio – oznajmił, radośnie błyskając oczyma spod okapu płaskiego hełmu. – Zaprawdę, piękna pora na przejażdżkę, szlachetny szeryfie!

Gisbourne wstrząsnął się. Spojrzał na starszego giermka z wyrzutem.

– A idźcie wy sobie w cholere, mój dobry człowieku – odpowiedział po chwili uprzejmie.

Starszy giermek nie obraził się. Był widać z natury człowiekiem rozmownym i towarzyskim.

– Prawda to, wino naszego pana barona mocne – zwrócił się tym razem do szeryfa. – Jak kto do picia nie nawykł, młodzieniaszek jaki albo insze co, to będzie go cały dzień trzymać... – Giermek wskazał na hrabiego. Ten spurpurowiał gwałtownie i próbował coś powiedzieć, ale z wyschniętego gardła dobył jedynie skrzek, cichy i żalony. Giermek zaśmiał się wesoło.

– Tak, do samego wieczora – uściślił. – Takie wino to tylko dla wprawnych, dla dojrzałych mężów. Ja sam, nie uwierzycie, panie, ale garniec albo i dwa...

– Wierzę, wierzę! – zapewnił szeryf pospiesznie, spoglądając na rumianą gębę i solidną posturę giermka. – I zgaduję, że nawet i trzy.

– Skąd wiecie, panie? – zdziwił się giermek. – Ano zdarza się, zdarza... Sami wiecie, panie, mocne wino, to trzeba chłopca, jak ja i pan baron. I oczywiście wy, szlachetny panie... A takie chuchro... – Spojrzał wymownie na hrabiego.

Gisbourne znów zwiotczał w siodle. Widać nie był zainteresowany polemiką, w której fakty świadczyły wymownie na jego niekorzyść. Lub zastanawiał się nad perspektywą dotrwania do wieczora. Zwolnił, chcąc zostać w tyle. Giermek pokiwał głową.

– Sami widzicie, panie. Na moje wychodzi. A my z panem baronem...

Szeryf począł rozważać kilka możliwości. Nie miał specjalnej ochoty wysłuchiwać o przewagach rozmownego ochlapusa, nawet jeżeli

dokonywane były pospołu z samym panem baronem. Na temat pojemności tego ostatniego zdążył już wyrobić sobie właściwą opinię. On sam, choć podczas uczty starannie kontrolował ilość wypijanego wina, odczuwał pewną ociężałość i, lekkie co prawda, łupanie w skroniach. Baron należał bowiem do tego rodzaju biesiadników, którzy szczerze nienawidzą pić sami. Po prostu w głowie im się to nie mieści i ociąganie się ze spełnieniem kolejnego pucharu kwitują zdziwionymi i wrogimi pomrukami. Szeryf, mając do wyboru wypicie następnej kolejki lub perspektywę sklepania michy, jak dwornie wyrażał się baron, wolał to pierwsze. Nie chciał zwady, swą alternatywę Godfrey przedstawiał zaś ze szczerym uśmiechem i swoistym wdziękiem, lecz w małych oczkach dostrzec można było żelazną konsekwencję. Na szczęście był już tak radośnie i serdecznie narąbany, że nie dostrzegął, jak wino z kubka szeryfa ścieka bardziej po brodzie i piersi, niż trafia do ust. Ale widząc, iż współbiesiadnik bawi się równie dobrze jak on sam, wykrzykiwał radośnie kolejną bzdurę w rodzaju "zdrowie wasze w gardło nasze" i z entuzjazmem dopełniał naczynia.

Gdy uczta dobiegała końca, z pieczonych dzików pozostały tylko szkielety, a większość biesiadników zsunęła się pod stoły, by dołączyć do leżących tam, obżartych i puszczających okrutne bąki psów, szeryf przekonał się, że baron należy do gatunku pijaków figlarnych. Dwóch służących, odprowadzających go na spoczynek, miało wiele uciechy. Z początku dał się prowadzić, co już samo w sobie, zważywszy na jego tuszę, nie należało do spraw łatwych. Służący jednak byli odpowiedniej postury i radzili sobie, nawet wlokąc za sobą bezwładne, nieoczekiwanie cienkie w stosunku do reszty ciała nogi Godfrey'a. W samych odrzwiach jednak baron sprężył się, strząsnął z ramion ich ręce, po czym zaczął obiecywać lekko tylko podpiłemu kapitanowi zamkowej straży rozliczne rozkosze, jakich ten zazna z nim tej nocy w łożu. Ponieważ oblicze srogiego wojaka nie było zbyt powabne, należało przypuszczać, że zmacony wzrok wielmoży zawiódł go, pozwalając sądzić, że ma przed sobą nadobną dziewczkę. Przez chwilę obaj służący mieli pełne ręce roboty, usiłując powstrzymać niezbyt zachwyconego propozycją zbrojnego, który nie bacząc na różnicę stanu, rwał się z pięściami do zaślinionego, uśmiechającego się z rozmarzeniem barona. Z pomocą szeryfa udało się zażegnać skutki nieporozumienia, jednak w tym czasie baron zdążył zniknąć. Znaleźli go dopiero po dłuższych poszukiwaniach,

siedzącego na zimnej posadzce pod samym wychodkiem, zaśmiewającego się do łez z udanego dowcipu. Zanim doprowadzono go do komnaty, uciekał jeszcze dwa razy.

A teraz wstał z rana i siedzi na tym swoim bydlęciu jak gdyby nigdy nic, pomyślał szeryf. Jak przyśrubowany. Nawet wody nie popija, z samego rana wychłał tylko garniec pozostałego po uczcie wina, i zdrów.

– Na przepicie, panie, to najlepiej z rana poprawić – giermek kontynuował swe wynurzenia, ciesząc się zapewne z uważnego słuchacza. – Wtedy ręce się nie trzęsą, w głowie nie łupie... Człek jak nowo narodzony.

Szeryf starał się nie słuchać, lecz mimo wszystko słowa giermka zapadały w umysł, przywodząc natrętnie na myśl dolegliwości, o których usilnie starał się zapomnieć. Na sam pomysł zastosowania się do sprawdzonej recepty giermka robiło mu się słabo. Zaczynał mieć dosyć.

Najprościej ruszyć szybciej i zostawić sukinsyna, niech sobie gada, rozważał. Ale to na nic, dogoni i będzie pieprzył dalej. Popędzić nie można, szeryf wiedział, że giermek to szlachcic, rycerski syn, drażliwy pewnie jak cała reszta. Było mu wprawdzie już pod trzydziestkę i wciąż nie doczekał się pasowania, ale jak widać wcale mu to nie przeszkadzało, nie wyglądał na szczególnie nieszczęśliwego z tego powodu. Odpowiadało mu widocznie życie, jakie prowadził u boku barona. Jednakże to szlachcic. Cóż pozostaje, chyba obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę, pomyślał szeryf z rozpaczą.

Jednak to mało realne. Giermek nie wyglądał na takiego, co to od jednego ciosu zwali się na ziemię. A poza tym, nieładnie jakoś...

– Słyszycie, panie? – Natarczywy głos przedarł się przez niewesołe myśli. Szeryf otrząsnął się.

– Tak? – spytał. – Wybacz, nie dosłyszałem, zamyśliłem się. Tak ciekawie prawicie...

– No, czyście radzi, panie. – Giermek daleki był od przypuszczeń, że jest lekceważony. – Pytałem, czyście radzi, że ja z panem baronem z sąsiedzką pomocą przybyliśmy. Bo krucho już z wami było, jako to słuchy niosą...

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął szeryf. Tak, rad jestem jak cholera, dodał już nie na głos. Tak rad, że trudno bardziej.

– Bo wiecie, szeryfie, słuchy niosą, żeście zupełnie tym bandytom pofolgowali. Czekaście, to już dwie niedziele będzie, jak na dworze mówili...

Szeryf uważniej spojrzął na mówiącego. Może od niego czegoś się dowiem, blisko jest z baronem, jak sam gada.

– A, mniejsza z tym, co mówili. Powtarzać nieprzystojnie. Co takie... tego... wybaczone panie, tacy rycerze, chciałem rzec, mogą wiedzieć o banitach i innej swołoczy. Toż oni tylko między sobą się wadzą, na turniejach znoszą, oblegają, jak nuda przyciśnie. Ani się spodziewają, ile to kłopotu cham zwykły przysporzyć może, zwłaszcza jak rozzuchwalony. A rozzuchwała się on łatwo, oj, łatwo! Wystarczy trochę but z karku zdjąć...

Urwał, przetarł spocone czoło. Gorąco mu pod tym watowanym kubrakiem i kolczugą, pomyślał szeryf. A i tak na nic się to nie zda, jakby co, grot przejdzie jak przez koszulę. Jak chcesz wyglądać groźnie, to cierp. Sam, nauczony doświadczeniem, nie miał najmniejszego zamiaru w ten ciepły wiosenny dzień pocić się pod pancerzem czy kolczugą. Nie widział najmniejszych szans na bezpośrednie starcie, gdzie pancerz mógł się przydać. Ciekawe, jak tam pan baron, zastanowił się przelotnie. Pod tym pancerzem już mu się musi w dupsku gotować.

– Nie wiedzą, panie, możecie mi wierzyć – kontynuował po chwili giermek, pokrępiwszy się łykiem wina. Uprzejmie wyciągnął go w stronę szeryfa, który przecząco pokręcił głową.

– Nie, to nie – skwitował tamten i pociągnął po chwili kolejny łyk. – Ale na mój rozum, to głupstwo robicie, szlachetny panie. Bo jak to już mówiłem, na przepicie nie ma to jak...

– Mówiliście, co tam na dworze opowiadają. – Szeryf spróbował przywrócić rozmowie właściwy kierunek. Giermek wyglądał na lekko urażonego.

– Nie słuchacie dobrych rad, to nie – odrzekł w końcu filozoficznie. – A ja ze szczerego serca, i z doświadczenia... Wiercie, panie, wieloletniego...

Szeryf wierzył. Było to widoczne na pierwszy rzut oka.

– Dobre rady są za darmo, szlachetny panie – dodał giermek z godnością.

Święte słowa, pomyślał szeryf. I tyle samo są warte.

– O czym to ja... – rozmówca niechętnie podjął przerwany wątek. – A, już wiem. Jak by to powiedzieć, panowie szlachta głównie się na hultajstwie znają. Co innego my, ja i pan baron. Nam los zrządził, że od lat już hultajstwo znosim. Zaraz, ile to lat będzie?

Zsunął płaski hełm, usiłował podrapać się po głowie. Przeszkadzała kolcza misiurka. Zniechęcony nasunął z powrotem hełm i ciągnął:

– No, będzie z piętnaście... To było wtedy, jak pan baron po raz ostatni na turniej pojechał. Nie poszczeniło się, prawdę mówiąc. Jak w gonitwach konnych z konia go zwalili, to nie uwierzycie, dziurę w udeptanej ziemi wybił na dwa cale. Słusznej postury był już wtedy. Huknęło tak, że aż się konie pozrywały. Jak go podnieśliśmy i kowal go ze zbroicy wydłubał, a wierzcie, panie, niełatwo szło, bo srodze była pogięta, myśleliśmy już, że ducha oddał. No, ale tylko słabował przez rok bez mała, z izby nie wychodził. Szczęściem apetyt mu wrócił szybciej. Jak wreszcie z łoża wstał, to już się w zbroję nie zmieścił, nową musiał płatnerz robić. Dziwował się przy tym srodze, dwie z tej blachy by wyszły, albo i trzy, prawil ciągle. Narzekał, że i zapłata powinna być potrójna, bo zajęcia tyle. Aż skarcić go trzeba było... No, ale jak w dybach dwa dni postął, to robota w rękach mu się palić poczęła, nie uwierzycie, panie... Konia nowego też pan baron kupić musiał, bo poprzedniemu, jak pierwszy raz go dosiadł, cosik w krzyżu trzasło. Nijak z niego więcej pożytku nie miał, a szkoda, zacne zwierzę, drogie. Młode jeszcze. Trzeba było nowego, a ile się przyszło odpowiedniego naszukać! Dopiero zza morza pan baron sprowadził, i cena jaka...

Do rzeczy, do rzeczy, niecierpliwił się szeryf. Skończ już wreszcie z tym koniem. Owszem, ciekawie byłoby się dowiedzieć, skąd biorą się takie monstrualne bydłeta, ale może nie teraz.

– No więc, jak mówiłem, pan baron słabował rok bez mała. Nie najeżdżał nikogo, na daniny, jak to dawniej, nie nalegał. Drużyna, jak to drużyna, chłała przez cały czas. Młody baronet zaś szczył był jeszcze, dziesięć lat smarkowi było. To tylko jak dziecko się bawił, do psów z kuszy strzelał, kota od czasu do czasu rozdarł. Jak dziecko, powiadam. Pamiętam, tę kuszę to trzeba mu było napinać, sam rady nie dawał jeszcze. To my wszyscy chętnie napinali, dzieciak powinien się wprawiać w wojennym rzemiośle.

Roześmiał się wesoło, coś widać zabawnego mu się przypomniało.

– Raz ręka mu się na spuście omskła, psa chybił, a komorzemu to z rzyci jeno brzechwy sterczały. Dzieciak śmiał się do łez, komorzy tak ucieszenie podskakiwał, zanim cała jucha z niego spłynęła. – Na samo wspomnienie giermkowi aż łzy z oczy popłynęły. Zaiste, zabawna musiała być scena. Zaraz jednak spoważniał.

– Tak wiecie, panie, nie było komu dopilnować. Wtedy w lasach pana barona załagł się niejaki Robert, szlachcic zresztą, syn rycerza z sąsiedztwa, Panie świeć nad jego duszą. Zawzięty był to smarkacz, urazę do pana barona ponad miarę chował. Bo trzeba wam wiedzieć, panie, że ten jego zamek to my najechaliśmy parę lat wcześniej. Król na wojnę wtedy ciągnął, a my dobrą setkę zbrojnych posłaliśmy, poczet zacny. To i król jegomość rad był panu baronowi. A u sąsiada ziemie orne i lasy. Nie polowali tam zanadto, to i zwierzyny dużo się uchowało. Nie to co u nas, gdzie i o borsuka było już trudno. Pan baron lubi polować... Więc najechaliśmy sąsiada, zamek bez oblężenia zdobyliśmy, mostu nie zdążyli podnieść ani brony spuścić. Później król swym nadaniem potwierdził prawo barona do zamku, ziemi, lasów... Tylko poprzedni właściciel słaby się okazał. Jak przy dobywaniu zamku wziął po łbie buzdyganem, nie za mocno nawet, to już do przytomności nie doszedł. Słaby był, nie nadawał się.

– A jego syn, młody Robert, zamiast, jak na szlachcica przystało, giermkiem u jakiegoś zacnego rycerza zostać, pasowania czekać, dobra w walce z niewiernymi, na ten przykład, zdobyć... Eh, co tu gadać, nie zachował się szczeniak. Wprzód do króla pojechał, ze skargą, sądu się domagał. Nawet go przed najjaśniejsze oblicze nie dopuścili, i dobrze, bo jakże tak... No to potem do banitów, co po lasach się kryli, przystał, hersztem ich się ogłosił, Robertem z Lasu. Zemstę nam obiecywał, mnie i panu baronowi, że nas ogniem i mieczem karać będzie, z zamków wyżenie.

Giermkowi od długiej przemowy zaschło w gardle. Pokrzepił się kolejnym łykiem.

– Panoszył się ten skurwiel coraz bardziej. Na zły czas po prawdzie trafił, baron niemocą złożon, drużyna w rozsypce, dyscypliny nijakiej. I tak zaczęło się, daniny przestały spływać, poborców pobito, na kupców napadać poczęto. Tak jak i u was, panie. Onże Robert obrońcą się począł

mienić, tych, których to niby z panem baronem uciskamy. A kmiot, jak to kmiot, głupi wprawdzie ze swej natury, ale zawzięty. Chciwy. Już nie tylko banici do tej bandy przystawali, kmioty widły brali i łuki... Po wsiach ich w biały dzień żywili, noclegi i schronienie dawali. To i rozzuchwaliło się hultajstwo. Doszło do tego, że podjazdy nasze znosić zaczęli, tak jak nie przymierzając u was... Wędrowni minstrelle ballady poczęli o nim śpiewać, jaki to on obrońca i rycerz prawy. Wstyd nam jeno przynosząc i sromotę.

Głos giermka stwardniał. Widać wspomnienia owych dni nie były specjalnie miłe.

– No, ale pan baron podniósł się z łoża szczęśliwie. Na koń zaczął potem siadać, znaczy się, na tego nowego, bo stary... Mniejsza z tym. Jak posiadłości zaczęliśmy objeżdżać, poczem dużym, dla pewności, to banici nieco przycichli. Nie całkiem, bo wkrótce znów podnieśli plugawy łeb. Pan baron zrazu nie wierzył, co się dzieje, ale niedługo zobaczył na własne oczy. Sklął nas okrutnie, żeśmy do tego dopuścili. A co nam, biednym, było robić? No, powiedzcie sami, panie?

Zamiast chłać, trzeba było pilnować spraw swego suwerena, chciał powiedzieć szeryf. Zrezygnował jednak. Takie były brutalne realia, na lojalność mógł liczyć tylko silny pan, a nie leżący w łożu, chory. I tak mógł się cieszyć, że pozwolono mu ozdrowieć. Drużyna mogła przecież postawić na młodego baroneta.

– W każdym razie, pan baron wkrótce zobaczył na własne oczy – nie doczekawszy się odpowiedzi, giermek podjął przerwany wątek. – Otóż w karczmie, gdzie zajechaliśmy pokrzepić się co nieco, siedział jeden z tych przybłędów, minstrel z lutnią. Z daleka widać, bo nie poznał, kto zacz do karczmy zjechał. I nie przestał śpiewać, tak się w tym zapamiętał, że nawet nie zauważył, jak jego publika dziwnie zamilkła i zaczęła się wymykać ukradkiem. Pan baron jak usłyszał, co ów wierszokleta śpiewa, to tak szcerwieniał, że już myśleliśmy, że się zatchnie... Bo też świństwa to były niebywałe i zuchwałe...

Szeryf nadstawił ucha z zaciekawieniem. Giermek zauważył to.

– Ciekawi was, jakie? – spytał. – Ano, aż strach powtarzać, co się tej hołocie roi we łbach. Nie pamiętam już dobrze, jak to szło, ale było coś o tym, żeby zerwać kajdany i połamać bat. I coś o rwaniu zębów... Nie, już wiem! Nie zębów, lecz krat, z murów. Takie tam brednie, ale wiecie,



panie, niebezpieczne brednie, podburzające! Taki przybłąda, wierszokleta pieprzony, a judzi, podżega, śpiewa o tym, ilu to ich, jak to poczuja siłę i czas...

Zsunął znów hełm z czoła, otarł pot. Roześmiał się nagle.

– I wiecie, panie, coś w tym jest, co ludzie bajają, że w balladach prawda sama najszczęśliwsza. Bo bat pan baron zaraz na grzbiecie mu sam połamał, jak tylko żeśmy go z karczmy wywlekli. A przyznać trzeba, niełatwo było, jako ten kot wszystkiego się czepiał, ław, stołów, za nogi łapał, pluł i drapać próbował. No, ale jak dwa razy w łeb wziął, to zaraz spokojny się zrobił. A pan baron aż się spocił, jak mu grzbiet łoił. Nie na jego lata taki wysiłek. I przecież po chorobie, ozdrowieniec... A ten bydlak, jakeśmy go koniem po dziedzińcu włóczyli, to krzyczał jeszcze, że pieśń ujdzie cało... Taki bezczelny, i głupi. Bo przecież nie uszła. Jak się rozniosło, to był ostatni minstrel, który zawitał w nasze strony, na długie lata. A i teraz, jak się pojawia, to śpiewają tylko o panienkach, miłości, nimfach przy ruczaju... Pilnie się rozglądając, czy kto nie krzyw. A tu u was, jak widzę, panie, nawet na waszym zamku, przy uczcie usłyszałem coś o Robinie. Za pozwoleniem, mości szeryfie, do dupy taka robota. Toż szacunek dla was przez to upada... Widzę, panie, że nie wierzycie...

– Wierzę, wierzę – odparł pospiesznie szeryf, starając się zmienić wyraz twarzy. Nie podzielał bowiem optymistycznych poglądów rozmówcy, dotyczących wpływu włóczenia końmi na poezję. Miał po temu powody. Owszem, może i we włościach barona ballada nie była zbyt popularna, lecz sam słyszał ją wielokrotnie. Dlatego nie uważał za sensowne walczyć z czymś takim, wiedząc, że im bardziej się walczy, tym częściej będą ją śpiewać. Jak zakazesz śpiewać, to zaczną gwizdać. Zupełnie jak w tej balladzie – i sama melodia bez słów... Nie zaprzeczył jednak, uprzejmie się uśmiechając.

Niezupełnie przekonany giermek kręcił głową.

– Za dobrzy jesteście, panie, za dobrzy. U nas, to już ten pierwszy wystarczył, cośmy go na koniec, po dokładnym przewłóczeniu, końmi rozerwali. A i to pan baron szubieniczkę kazał nową wyrzyczyć, rozgłosić, że to specjalnie dla bardów, minstrelów. Szkoda, zmarnowała się, spróchniała, stryczek zetlał. Bo już drugi się taki minstrel nie trafił.

Przerwał, rozejrzał się. Pola na horyzoncie zamykała ciemna ściana puszczy. Dojeżdżali na miejsce.

– No, las już widać. Teraz tylko banitów wygłądać, wkrótce pod samą puszcza staniemy...

Tak pod samą, to nie radzę, przemknęło przez myśl szeryfowi. W każdym razie, ja bliżej niż na strzelenie z kuszy nie podjadę.

– Dokończę, panie, czasu wystarczy – podjął giermek. – Potem trzeba z panem baronem, obowiązki, tego, wzywają... No więc, pokrótce, co wam chciałem rzec, mości szeryfie. Jak mówiłem, radzi winniście być, że ja z panem baronem na pomoc wam przyszliśmy, sąsiadką, znaczy. Nikt tak jak my na gromieniu tej hołoty się nie zna. Zobaczysz, panie, już dziś, jak nas z poczem ujrzą, to ogon pod siebie wezmą. Idę o zakład, że w dwie, trzy niedziele po wszystkim będzie. Ze dwie wsie spalić trzeba, katu roboty trochę przysporzyć... Cieszcie się, panie, że sam pan baron w gościnę na ten czas zawita. Wy tylko spyżę dla zbrojnych musicie zapewnić, o nic więcej się nie kłopotcie. My sami to załatwimy, krótko, po naszymu. Porządek zaprowadzimy, jako to na dworze od nas oczekują.

Wszystko było jasne. Ciekawe, czy król już przystawił swą pieczęć na nowym nadaniu. Cholera, Jerozolima podobno piękna o tej porze roku. Lepszy już Saraceni od królewskiej niełaski. Żeby się na niełascie skończyło...

Zaufany, aczkolwiek nadmiernie gadatliwy giermek pana barona ciągnął dalej, już bez jowialnego uśmiechu:

– Bo wy, panie, miękki jesteście, nie poradzicie sobie. Ot, ten wasz Robin Hood. Ubiliście go w końcu, chwali się to wam, ale co później? Nawet głowy nie urznęliście, żeby na drągu zatknąć, ku przestrodze i przypomnieniu. Niedobitkom pozwoliliście w las ujść. I macie teraz. A u nas...

Przerwał, uśmiechając się z rozmarzeniem. Po chwili znów się rozgadał:

– U nas, panie, krótko było. Jak już go mieliśmy w swoich rękach, tego Roberta, znaczy się, to zaraz szafot stawiać poczęliśmy. Gadali ludzie, że u niego ta... jak to mówią, charyzma jest, że dla pospólstwa on jak wódz, że nawet wzór dla niektórej szlachty. Tfu, pies z taką szlachtą tańcował... I wiecie, nie musieliśmy wcale w las wjeżdżać, żeby go złapać, wystarczyło parę osad spalić, nikogo nie żywić. Wójtów paru na paliki

nasadzić, wiecie, szubienica dla nich za dobra, za łagodna... Szybko okazało się, że sami przyszli, powiedzieli, w której wsi nocuje. Skwapliwie, z dokładnością do chałupy i baby, na której leżał. Mimo tej, jak jej tam, charyzmy... Wiedzieli, że jak nie powiedzą, to niedługo na palikach będą podrygiwać.

Giermek splunął. Czas jakiś jechali w milczeniu.

– I to już zaraz koniec będzie – odezwał się giermek po chwili. – Widzicie, panie, na rusztowaniu, jak mistrz pokazał mu cęgi, dobrze już rozpalone, to aż ze strachu pod siebie popuścił. I krzyczał, błagał o litość, aby go zwyczajnie powiesić. Wył, nie przymierzając, jak pies. A hołota stała, i nijakiej już charyzmy w nim nie widziała, ino te obesrane nogi... Silny był, wytrzymał do ćwiartowania... Ale teraz już nikt o nim nie wspomina. A jak wspomni, to nie o charyzmie pomyśli... No, las już blisko, na mnie czas.

Smagnął konia rękawicą. Ruszył, nie oglądając się.

– Dzięki za pouczającą rozmowę – mruknął do siebie szeryf.

O dwa strzelenia z łuku od ściany lasu orszak zatrzymał się. Las był gęsto posyty, rosnące na skraju rozłożyste jałowce mogły dać schronienie całej armii. Ludzie z poczty barona nieufnie popatrywali w stronę puszczy.

Godfrey tubalnym głosem zaczął wydawać rozkazy. Głos dudnił niewyraźnie z wnętrza garnkowego hełmu. Jeden z giermków podał tarczę, na której jaskrawymi farbami wymalowane były jakiś zwierzęta w pozie ataku, w przednich łapach trzymające topory. Szeryf podjechał bliżej, zatrzymał się obok rozmownego giermka.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz pan baron zbliży się sam do tchórzliwych banitów, po czym pocznie ich lżyć i przepowiadać im marną i krótką przyszłość. Gdy hołota usłyszy, z jakim to rycerzem przyjdzie im mieć do czynienia...

– Zaraz – przerwał dość niegrzecznie szeryf. – Z doświadczenia wiem, że oni mają kusze.

– Pan baron zawsze lży z właściwej odległości – odparł godnie giermek, mierząc go nieprzyjaznym spojrzeniem. – Chrześcijański rycerz bez trwogi staje naprzeciw takiej swołoczy, a gdy bełty odbiją się od

zbroi, duch w hołocie upadnie. Bo prócz pancerza rycerza chroni cnota jego rycerska i...

Giermek zaplątał się. Pancerza rycerza cnota rycerska, pomyślał szeryf, wszystko się zgadza.

– Poza tym pancerz z przodu dubeltowy – zachichotał nerwowo z tyłu drugi, młodszy giermek. – Dlatego naszego pana na koń podsadzać trzeba, sam nie uradzi.

Rozmówca szeryfa rzucił mu miażdżące spojrzenie.

– Zawrzyj jadaczkę, Morholt, żebym ja sam nie musiał ci jej zamknąć. Albo panu baronowi powtórzyć...

Morholt usłuchał. Zbladł nawet.

– Dubeltowy, nie dubeltowy, pan baron i bez niego na koń nie... – Rozmowny giermek poczerwieniał i ugryzł się w język. Szeryf uśmiechnął się. Poza nim nikt.

Giermek splunął, odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Zbrojni ustawili się w szereg. Rzeczywiście, widok był imponujący.

Do szeryfa przywłókł się Gisbourne. Wyglądał, jakby go już przewiało.

– Co teraz? – spytał. Szeryf powtórzył, co przed chwilą usłyszał. Hrabia pokiwał tylko głową.

– Usuńmy się lepiej – powiedział.

– Daj spokój, tu nie doniesie. To ze czterysta kroków. Musi podjechać bliżej.

Stali na skrzydle rozwiniętego w szereg pocztu, patrząc, jak olbrzymi koń barona stąpa dostojnie po rozmiękłym polu. Szeryf przyjrzał się bliżej zwierzętom wymalowanym na tarczy. Prawdopodobnie lwy, stwierdził po zastanowieniu. Baron w prawej ręce dzierżył długą kopię, z powiewającym tuż pod ostrzem proporcem, na którym wyszyty był kunsztownie złotą nicią jakiś długi zwierz. Nawet nie próbowali zgadywać, co to takiego. Na pierwszy rzut oka wychudzona kuna, ale kto wie...

Siedząc jak przyśrubowany do siodła, prawy chrześcijański rycerz oddalał się powoli. Wreszcie zatrzymał się, dokładnie na krańcu zasięgu typowej kuszy. Nawet z tyłu wyglądał imponująco.

Wyprostował się w siodle z chrzęstem blach i począł lżyć. Głos miał jak trąba jerychońska, odpowiedni do postury, lecz do hrabiego i szeryfa dobiegały jedynie strzępy słów, tłumionych pełnym, garnkowym hełmem i porywanych przez wiejący wietrzyk.

– Co on mówi? – zainteresował się hrabia. Szeryf wsłuchał się uważniej w dudniący, blaszany głos. Bez rezultatu.

– Przecież w tym lesie wcale go nie słychać – zdziwił się po chwili Gisbourne. – Po co sobie gardło zdzierać? Tak w ogóle, to jak długo jeszcze zamierza? Zimno tu, na tym polu, trząść mnie zaczyna...

Skulił się w siodle. Trzeba było tyle nie chlać, bez współczucia pomyślał szeryf.

Szereg zbrojnych stał nieporuszony, przywykli widać do takich scen. Gdy blaszany głos barona podniósł się o oktawę, na znak jednego z giermków zaczęli rytmicznie uderzać bronią o tarcze. Miarowy łoskot niósł się daleko, dalej niż dudniące okrzyki barona. Może nawet docierał do puszczy.

Rzeczywiście, imponujące, zauważył szeryf. Sam bym się przestraszył. Tylko jak widać, banici nie bardzo lękliwi.

– Nic nie rozumiem – rzekł Gisbourne z rezygnacją. Marzył o powrocie do zamku.

– Przecież to nieistotne, co on mówi – wyjaśnił szeryf. – On ma przestraszyć samym sobą, że się tak wyrażę.

Hrabia wzruszył ramionami. Nie był specjalnie przekonany co do powodzenia całej imprezy. Ich tam chyba po prostu nie ma...

Rzeczywiście, z lasu nie padł dotąd ani jeden strzał. Żaden bełt nie odbił się nieszkodliwie od szmelcowanej zbroi. Poczet nie miał okazji do wydawania szyderczych okrzyków. Głos barona, aczkolwiek wciąż niezrozumiały, wyraźnie tracił na pewności. Godfrey zająknął się nawet raz i drugi, lecz uparcie podejmował swe wyzwiska.

Sytuacja stawała się głupia. Szeryf z zainteresowaniem przyglądał się widocznej konsternacji wśród pocztu barona. Zbrojni popatrywali po sobie, przestali miarowo uderzać w tarcze, półgłosem wymieniali różne uwagi.

Baron jakby zorientował się wreszcie, że coś jest nie tak. Uniósł z

wysiłkiem ręce, potrząsnął trzymaną kopią. Długi zwierz na proporcu załopotał na wietrze.

Trzask był głośny, dał się słyszeć ostro i wyraźnie. Brzmiał dźwiękliwie, jakby ktoś trafił kamieniem w blaszany szyld. Baron zamilkł nagle, urwając w pół niezrozumiałego zresztą słowa.

Nie drgnął nawet w siodle, nie zachwiał się. Tylko kopia wypuszczona z ręki opadła tęnym końcem na ziemię, po czym wolno, bardzo wolno przechyliła się. Długi zwierz na proporcu padł w błoto pod kopytami konia. Ten, spłoszony, zatańczył w miejscu, obracając się. Baron wciąż sztywno siedział w siodle, wyniosły jak wieża. Lecz gdy koń obrócił się, wszyscy ujrzeli jaskrawą czerwień spływającą po błękitno szmelcowanym pancerzu.

Trzymana wciąż w odsuniętej od ciała ręce tarcza przeważała i zakuty w ciężką stal rycerz zaczął zsuwać się w jej stronę. Szereg zbrojnych patrzył w bezruchu, jak skamieniały. Pękły strzemiona, nie wytrzymując potężnego ciężaru. Baron zwałił się z ciężkim chrzęstem blach. Wysoko trysnęła rozmiękła ziemia.

Szereg wciąż stał. Pierwszy ocknął się szeryf. Przerzucił nogę przez łąk, zeskoczył z konia i ruszył w stronę białej w miękkim gruncie postaci, która już teraz nie wyglądała tak imponująco ani potężnie. Może dlatego, że zbyt się zagłębiła przy upadku.

Gisbourne spiął konia, zajechał mu drogę.

– Panie, dokąd? – krzyknął. – Ustrzelą!

Szeryf spostrzegł szczerzy niepokój na jego twarzy. Zdziwił się pomimo wzburzenia.

– Spieprzaj, Gisbourne, zejź mi z drogi. – Klepnął z rozmachem hrabiowskiego wierzchowca po zadzie. Koń zerwał się i poniósł prosto w stronę lasu. Gisbourne rozpaczliwie ściągał wodze, usiłując go powstrzymać. Udało się po dłuższej chwili, z ulgą zawrócił.

– Nie będą więcej strzelać – powiedział szeryf, bardziej do siebie niż do zbliżającego się znów hrabiego. Był tego dziwnie pewien.

Mimo tej pewności przejście kilkudziesięciu kroków dzielących go od nieruchomej postaci wspominał potem jak najdłuższą w życiu drogę. Cały czas podświadomie oczekiwał uderzenia nadlatującego bełtu. Starął

się jednak iść wyprostowany, walcząc z chęcią pochylenia się i pobiegnięcia zygzakiem. Miał nadzieję, że go nie trafią, bo nawet na granicy zasięgu bełt nie odbiłby się raczej od skórzanego kubraka.

Doszedł do barona, uniknąwszy dodatkowych otworów w ciele. Zanim przyjrzał się leżącemu, długą chwilę patrzył w stronę puszczy, stojąc wyprostowany, jakby chciał rzucić wyzwanie niewidzialnemu przeciwnikowi. Czuł, jak pomimo chłodnego wiatru pot spływa po plecach. Wiedział jednak, że zbrojni obserwują go uważnie i zapamiętają taki, niecodzienny przecież, przykład odwagi. Był przewidujący, a co do pocztu barona miał swoje plany. Godfrey nie będzie już ich wszak potrzebował. Tylko tych giermków trzeba przegonić, pomyślał szeryf.

Nie musiał się spieszyć. Z lasu nie padł żaden strzał, dla barona zaś na jakąkolwiek pomoc było już za późno. Jeśli nawet żył, zanim spadł z konia, w co szeryf prawdę mówiąc wątpił, upadek musiał go zabić.

Przyklęknął obok zakutego w blachy ciała, nie bacząc na błoto. Tak, tym razem to więcej niż dwa cale, przypomniał sobie słowa giermka. No tak, ale to nie udeptana ziemia, lecz miękkie pole. A i baron przytył pewnie od tamtych czasów. Nie mówiąc już o dubeltowym pancerzu, szeryf uśmiechnął się do siebie.

Ręką w jeździeckiej rękawicy starł krew z napierśnika. Przyjrzał się uważniej i zmarszczył brwi. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Bezwiednie przetarł czoło, rozmazując po nim smugi baronowej krwi. Ordynarnie czerwonej, wcale nie błękitnej.

W szmelcowanym napierśniku, w samym środku widniała mała dziurka. Trzykrotnie mniejsza od tych, które zostawiają strzały, nie mówiąc już o bełtach. Odchodziły od niej zygzaki pęknięć, przecinające we wszystkich kierunkach hartowany napierśnik, widoczne jak na dłoni z powodu wtartej w nie krwi. Nie było żadnego drzewca, sterczących brzechw. Tylko mała dziurka.

\*\*\*

Gisbourne zmierzał w kierunku szeryfa, stojącego przy tarczy na końcu toru łuczniczego. Klął w myślach, wezwanie zaskoczyło go przy posiłku. Kurwa, spokoju nie da, mamrotał pod nosem.

Szeryf przynaglił go niecierpliwym machnięciem ręki. Hrabia spostrzegł, że do tarczy przymocowany był napierśnik płytowej zbroi. Podszedł bliżej. Szeryf, nic nie mówiąc, wskazał na napierśnik.

– I co? – spytał po chwili, nie doczekawszy się reakcji, poza prawie niezauważalnym wzruszeniem ramion.

– No, nic... – odparł Gisbourne niepewnie. – A co ma być?

– Powiedz, co widzisz – poprosił szeryf z podejrzaną łagodnością w głosie. – Skup się.

– No, napierśnik, od płytowej zbroi, chyba turniejowej... No dobrze, tylko po co...

– Gisbourne, przetrzyj te zapuchnięte oczy i przyjrzyj się łaskawie! – zirytował się szeryf. – Z bliska, jeśli łaska!

Hrabia posłusznie zbliżył się do napierśnika. Wytrzeszczył oczy.

– I co widzisz? Mów! – przynaglił szeryf.

– No, szmelcowany, mniej więcej wasz rozmiar, panie.

Szeryf podniósł oczy do nieba.

– Chryste, znaczy, cierpliwości... – powiedział z rozpaczą.

– W samym środku dziurka... O, kurwa... – hrabia załapał wreszcie.

– No właśnie. – Westchnienie ulgi. – A wiesz, Gisbourne, skąd się wzięła? Jak nie wiesz, to chodź, zaraz ci pokażę.

Przeszli cały tor, weszli na plac targowy, tego dnia opustoszały. Dwaj kusznicy, stojący pośród pustych kramów wydawali się zupełnie nie na miejscu. Na znak szeryfa jeden z genuieńczyków, odziedziczonych po baronie Godfreyu, uniósł kuszę.

Hrabia ocenił wzrokiem odległość.

– To dobrze ponad trzysta kroków, nie doniesie – zauważył sceptycznie. – A nawet, to odbije się od tej zbroi, jeżeli trafi, oczywiście.

Kusznik obrzucił go zimnym spojrzeniem, pod którym Gisbourne mimowolnie spuścił wzrok. Mierzył starannie. Świsnął bełt, po chwili usłyszeli dźwięczące uderzenie.

– No, człowieku małej wiary – złośliwie roześmiał się szeryf. – Idź tam teraz, a jak wrócisz, to powiedz, co zobaczyłeś.



Hrabia spojrział niepewnie, pojął, że szeryf nie żartuje. Gdy po dłuższej chwili wrócił zdyszany, nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

– Jak on to zrobił? – zapytał. – Wprost niewiarygodne...

– Najpierw powiedz, co zobaczyłeś.

– No, drugą dziurę, taką samą, jak pierwsza, trochę z boku. Cholera, jak to możliwe, nigdzie ani śladu bełtu...

Szeryf odszedł w stronę tarczy, niedaleko, kilkanaście kroków. Rozglądał się moment, schylił, podniósł z ziemi jakiś przedmiot, po czym podsunął hrabiemu przed oczy coś jak dwie połówki pocisku, bez grotu.

– Już rozumiesz? – spytał. Gisbourne nadal nic nie rozumiał, patrząc tępo na kawałki drewna zaopatrzone w brzechwy.

– Wszystko wam trzeba, panie hrabio, jak na tacy... – mruknął szeryf. Rzucił drewnianka na ziemię. Wyciągnął rękę do kusznika, a ten podał mu bełt, dziwny, pozbawiony grotu, w miejscu którego, na czubku, było głębokie wyżłobienie.

– Nadstaw rękę – zwrócił się do hrabiego i nożem lekko podważył drzewce w miejscu ledwo widocznego spojenia. Na podstawioną dłoń wypadł cienki żelazny pręt długości około czterech cali. Zaostrzony z jednej strony, z drugiej starannie rozklepany w podwójne brzechwy. Gisbourne zważył go w dłoni.

– Ciężki – powiedział.

– Zgadza się – potwierdził szeryf. – A teraz spróbuj go zgiąć.

Gisbourne popatrzył. Pręt nie był grubszy od gwoźdźcia, powinno się udać. Ujął go oburącz, nateżył się. Zamiast się wygiąć, pręt pękł z trzaskiem.

– Hartowany, i to dobrze, tak jak na przykład miecz. – Szeryf pokiwał głową. – Zaraz po strzale bełt rozpada się, jest słabo sklejony, chyba żywicą. Dalej leci już tylko ten pręt, cienki, stawia mały opór. Jest ciężki, więc leci daleko. Blachę przebija z łatwością, jak widziałeś. Przebija cały, na zewnątrz nic nie zostaje. Kusza też ma wzmocniony naciąg, żeby ją napiąć, nawet korbą, trzeba dwóch ludzi... Ciekawe, co, Gisbourne?

– Z czegoś takiego ustrzelili barona. – Hrabia klepnął się z rozmachem w czoło. – A ja myślałem...

– Myślałeś, że to czary? Czarna magia? Zemsta druidów? O ty naiwny,

więcej wiary w ludzi! W ludzką pomysłowość! Człowiek zawsze znajdzie nowe sposoby uśmiercania bliźnich.

– E, tam – hrabia wyraźnie wracał do równowagi. – To przecież proste, wielkie mi co...

– Zupełnie jak koło, co, Gisbourne? – spytał szeryf złośliwie. – Popatrz, też proste, a jak się przyjęło. Pewnie też, jak je pierwszy raz zobaczyłeś, to dziwiłeś się, czemu sam na to nie wpadłeś?

Hrabia puścił docinki mimo uszu. Wyniosłym gestem kazał podać sobie napiętą kuszę. Kuszniak podał ją, założywszy wcześniej bełt na cięciwę.

Gisbourne uniósł bron, wycelował. Kuszniak powiedział coś, czego hrabia nie zrozumiał. Opuścił kuszę, spojrzał pytająco.

– On mówi, niżej celuje – łamaną angielszczyzną powiedział drugi kusznik. – Leci bardzo płasko.

– Co wy mi tu będziecie... – zachnął się Gisbourne, unosząc broń. – Uczyć mnie będzie...

Nacisnął spust. Broń kopnęła potężnie. Hrabia usiadł z rozmachem na ziemi.

Tym razem nie było słyhać uderzenia pocisku. Dopiero po dłuższej chwili usłyszeli zza muru, z podgrodzia bolesny koński kwik.

– On mówi, kusza bardzo kopie – udzielił nieco spóźnionych wyjaśnień genueńczyk, nieznacznie się uśmiechając.

Hrabia podniósł się, rozcierając ukradkiem stłuczone miejsce. Kopnął ze złością kuszę, którą wypuścił z ręki.

– Jesteście komuś winni konia, panie hrabio – stwierdził sucho szeryf. – Mam nadzieję, że tylko konia.

– To trzeba zniszczyć, to diabelski wynalazek – rozdarł się Gisbourne. – Toż przecież byle łyk może szlachcica w zbroi na trzysta kroków ustrzelić! Do czego, to, kurwa, podobne, żeby rycerza...

– Uspokójcie się, panie hrabio. – Szeryf spojrzał z dezaprobatą. – Pomyślcie trochę. Nic nie będziemy niszczyć. Może kiedyś wejdziemy w zatarg z którymś z naszych opancerzonych przyjaciół? Nic nie będziemy niszczyć, wszystko może się jeszcze przydać.

## - IV -

Jasonowi zaczynała doskwierać bezczynność. Przez całe dotychczasowe życie nie zwykł zatrzymywać się tak długo w jednym miejscu. Jego profesja wymagała stałego przemieszczania się, szukania nowych, jeszcze niewyeksplorowanych terenów. Nie mógł przecież osiąść na stałe; liczba naiwnych, którzy siadali do gry, była ograniczona. Zazwyczaj zresztą, oprócz nielicznych nałogowców, których nic nie nauczy, nie robili tego ponownie.

Dla Jasona wiosna oznaczała porę, kiedy trzeba ruszać. Kojarzyła się z traktem, podróżą, nowymi wrażeniami. Teraz coś mu mówiło, że powinien już iść, że zbyt długo zwleka. Miał oczywiście świadomość, że dotychczasowa kariera jest nieodwołalnie zakończona, lecz nie sposób było pozbyć się od razu wieloletnich nawyków.

Bezczynność męczyła. Brakowało treningów, do których przyzwyczał się przez lata. Swe ostrza do rzucania stracił wraz ze wszystkim. Rozpoczął nowy rozdział w życiu dosłownie nagi i bosi, nie posiadając zupełnie nic. Nosił odzienie podarowane przez Matcha, trochę rzeczy osobistych otrzymał od mnichów. Zastanawiał się czasem, skąd u braciszków znalazł się na przykład morderczy sztylet, którego używał teraz do krojenia mięsa i chleba.

Bez swej broni ostatniej szansy czuł się jak obnażony. Nie spodziewał się wprawdzie, że przyda się ona w klasztorze lub w lesie, na polowaniach, w których brał udział z dużą przyjemnością, acz i z pewnym niepokojem. Nie było tu nikogo, kto rzuciłby się na niego nagle z morderczymi zamiarami.

Polowali głównie na sarny i koziołki. Raz wybrali się na dziki, Jason wprawdzie uważał, że Match bardzo ryzykuje; on osobiście wolałby strzelać do dzika z kuszy, z możliwie dalekiego i ukrytego stanowiska, najlepiej na wysokim, grubym drzewie. Jednak i w tym wypadku jego ostrza nie pomogłyby wiele. Nie widział szans na zatrzymanie

szarżującego dzika, nawet przy celnym trafieniu między oczy.

Tym większą niechęcią przejął go sposób polowania na dziki, który stosował Match. Polegał on na wypłoszeniu odyńca z matecznika, sprowokowaniu do szarży i oczekiwaniu na niego z nastawioną rohatyną. Rohatyna, rodzaj długiej dzidy, posiadała poprzeczkę, mającą uniemożliwić, a przynajmniej utrudnić nadzianemu na nią dzikowi kontynuowanie szarży wzdłuż drzewca. Widok Matcha, trzymającego rohatynę z dorodnym, ważącym co najmniej dwa razy więcej od niego odyńcem na drugim końcu, miotanego po krzakach i zaroślach, zniechęcił Jasona całkowicie do takich polowań. Tym bardziej że Match, nie dysponując psami, jego właśnie zachęcał do wypłaszania dzików z bagienek i podmokłych polanek, gdzie zwykły spędzać dzień.

Jasona nie przekonało twierdzenie, że spłoszony dzik raczej skieruje się w stronę, gdzie Match będzie go oczekiwał z rohatyną. Stanowczo odmówił odgrywania roli sfory psów – dzikarzy. Na natrętne pytania o przyczynę odmowy odpowiedział, że chodzi właśnie o to "raczej".

Przydatne czy nie, myślał Jason, dobrze byłoby mieć znów czym porzucać, chociażby dla wprawy. Ostatecznie robił to prawie codziennie przez... Ile to już? Tak, dwadzieścia pięć lat...

Dlatego ucieszył się, gdy kiedyś myszkując z nudów po przyklasztornym obejściu, zaszedł do walącej się szopy, zwanej przez zakonników kuźnią.

W klasztorze nie było wiele pracy dla kowala. Kozy, jak wiadomo, rzadko wymagają podkuwania, prócz nich zaś mnisi mieli tylko dwa konie. Kuźnia służyła więc głównie do napraw narzędzi rolniczych.

Funkcję kowala spełniali przygodni braciszki, wyznaczeni do tej pracy przez przeora. Wystarczyło, by potrafili trafić młotem niekoniecznie we własne palce.

Jason obejrzał uważnie wyposażenie, poruszył miechem z popękanej skóry. Ku swej radości znalazł zapas węgla drzewnego, młoty o nie całkiem spróchniałych i potrzaskanych trzonkach, a co najważniejsze, kilka sztab surowego żelaza.

Gdy postukiwał jednym kęsem o drugi, przekonał się, że żelazo jest zupełnie dobrej jakości. Nie nadawało się wprawdzie do wyrobu broni, miał jednak nadzieję, że po nawęgleniu da się zahartować.

Kuźnia posiadała nawet koło szlifierskie, mało wyszczerbione, osadzone na topornym stojaku i poruszane wielką, skrzypiącą korbą.

Jason z radością zabrał się do pracy. Najpierw namoczył w korycie, służącym najwyraźniej za wannę hartowniczą, wszystkie młoty, które znalazł. Luźne trzonki powinny spęcznieć na tyle, by główce młotów nie spadały przy pierwszym uderzeniu. Miał nadzieję, że to wystarczy, w ostateczności zamierzał dorobić nowe, jesionowe uchwyty.

Uważnie przebierał kęsy żelaza, nasłuchiwał dźwięku, wydawanego przy uderzeniu. Rozpalił w kotlinie kowalskiej, nagrzewał pręty, przyglądając się, jakiej barwy nabierają, gdy się rozżarzą. Oczyszczył upaprane kurzem gnojem kowadło, próbował plastyczności materiału. Wybrał w końcu dwa kęsy, które wydały mu się najlepsze.

Potrzebował pomocnika, żeby rozpocząć właściwą pracę. Przeor wprawdzie zgodził się na wykorzystanie kuźni, Jason nie chciał jednak prosić go o wyznaczenie któregoś z braciszków do pomocy. Zbyt dużo kłopotów sprawił temu człowiekowi. Zwrócił się więc do Matcha, który zgodził się natychmiast, nie zadając żadnych pytań.

Jason najpierw podzielił jeden z kęsów na odcinki, z których każdy powinien wystarczyć na jedno ostrze. Kawałki były znacznie krótsze niż spodziewany wyrób docelowy, kształt miał zostać nadany przez dokładne przekucie. Średnica surowego kęsa wyglądała na odpowiednią, Jason nie musiał zaprzętać sobie głowy skuwaniem kilku ze sobą. Był zadowolony, gdyż w ten sposób odpadało dużo żmudnej pracy.

Kęs podzielił, używając specjalnego narzędzia, młota mającego ostrą, przypominającą nieco siekiere głowicę. Przytrzymał rozgrzany pręt cęgami na kowadle, przystawiając przecinak we właściwym miejscu. Match uderzał od góry ciężkim młotem.

Poszło nieźle, choć za pierwszym razem Match uderzył zbyt pod kątem. Przecinak zamiast zagłębić się w żelazo odskoczył w bok, o mało nie wyrywając Jasonowi ręki ze stawu. Match nie miał wprawy, lecz siły mu nie brakowało.

Potem Jason zajął się bardziej precyzyjną robotą. Wykuwał kształt każdego ostrza, używając już mniejszego młotka. Match poruszał miechem, żelazo trzeba było często rozgrzewać. Była to ciężka praca, miech z wyschniętej i spękanej skóry wypuszczał znacznie więcej

powietrza przez szczeliny niż w palenisko.

Pracowali w milczeniu, stukot młota, skrzypienie miecha nie sprzyjały rozmowom. Obaj znajdowali jakieś dziwne upodobanie w tym prostym zajęciu. Jason wspominał lata spędzone w ojcowskim warsztacie. Ze zdumieniem spostrzegł, że wraca do nich z przyjemnością i z rozrzewnieniem.

Po trzech dniach wszystkie ostrza zostały wstępnie wykute. Najtrudniejsze okazało się wykonanie szczelin, które później zalane będą ołowiem. Jason nie mógł znaleźć odpowiedniego narzędzia. Do naprawy wideł i rydli nie potrzeba takiej precyzji. Poświęcił w końcu jeden z małych młotków, obrabiając go odpowiednio na szlifierskim kole.

Match zafascynowany patrzył, jak pod uderzeniami młota świecący, sypiący iskrami kawałek żelaza nabiera kształtu. Potem z podziwem obracał w dłoni wystygłe już ostrze. Przemiana twardego, zardzewiałego żelaza w gotowy wyrób wydawała mu się cudem.

– Cholera, że też tak potrafisz – mruknął.

Jason zerknął podejrzliwie, ale nie dopatrzył się ironii.

– Nic wielkiego – roześmiał się w końcu. – Zresztą, mój świętej pamięci tatko za taką robotę dałby mi po uszach.

Match spojrział z niedowierzaniem. Przyjrzał się czarnemu od żaru ostrzu, pokrytego drobnymi wgłębieniami po uderzeniach młotka.

– Przecież to jest... – zawahał się. – Przecież to jest prawie gotowe...

– Nie znasz się – zgasił go Jason. – Wyszedłem z wprawy, zresztą nigdy nie byłem w tym za dobry. Nie potrafię, jak widzisz, samym kuciem nadać ostatecznego kształtu, osiągnąć gładkiej powierzchni. Trzeba będzie dużo szlifować, a to długie i żmudne zajęcie. Strata czasu, jak mawiał tata. Zawsze powtarzał, że płatnerz, który nie potrafi dobrze wykuć ostrza za pierwszym razem, powinien raczej kury macać...

Match nie wyglądał na przekonanego i spoglądał z podziwem.

– Nie gap się tak – burknął Jason, niby niechętnie, lecz mimo wszystkich krytycznych uwag, jakie wygłosił pod swym adresem, był bardzo zadowolony. Okazało się, że jeszcze potrafi, że nie zapomniał nauk z dzieciństwa, choć się tego obawiał.

– Dobrze, Match, teraz będzie trochę wytchnienia. Musimy te ostrza

nawęglić.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie rozpoczął wyjaśnienia. Sam nie wiedział dlaczego, ale rozmowa na ten temat sprawiała mu przyjemność. Sypiąc węgiel drzewny do wygasłej kotliny, opowiadał, co będą robić.

– Żelazo jest marne. Nie da się zahartować tak, żeby było twarde, dlatego trzeba je utwardzić. To nic trudnego. Rozpalimy ogień, zagrzebiemy ostrza w węglu. Na długo. Po czymś takim powierzchnia metalu po zahartowaniu będzie twarda.

Wyprostował się, otarł pot z czoła, rozmazując sadzę po twarzy. Roześmiał się na widok miny Matcha.

– Tak, po tym właśnie można poznać kowala i płatnerza. Węgiel, sadza wżerają się w twarz, nigdy nie zmyjesz. Profesja, że tak powiem, wypisana na gębie... Kiedyś strasznie się bałem, że będę w końcu tak wyglądał.

Pokręcił głową, uśmiechając się do wspomnień.

– Wracając do rzeczy... – kontynuował, otrząsnąwszy się po chwili – nawęglanie powoduje, że powierzchnia żelaza, nawet takiego marnego, staje się podatna na hartowanie, utwardza się. Tym głębiej, im dłużej trwa nawęglanie. Tak robi się klingi mieczy, tych pośledniejszych, dla zbrojnych... Miękki, plastyczny rdzeń i twarda powierzchnia, twarde ostrza. Bo inne... Nie, to opowiem ci później, będziemy mieli sporo czasu.

Match nie bardzo rozumiał, lecz powstrzymał się od pytań. Nie chciał wyjść na głupka.

– Mam dla ciebie złą nowinę – wyjaśnił Jason, nie doczekawszy się pytania. – Trzeba sporo zeszlifować, w związku z tym nawęglac będziemy długo, może nawet cały dzień.

Rozpalił ogień w palenisku. Starannie zagrzebał ostrza w węglu.

– Teraz musisz dmuchać – powiedział w końcu. Match skinął głową i zabrał się do miecha. Jason rozsiadł się wygodnie.

– Już nie tak mocno, jak wtedy przy kuciu – pouczył pomocnika. Match nieznacznie odetchnął z ulgą.

Zapadła cisza, przerywana jedynie skrzypieniem popękanego miecha i sykiem powietrza.

– Wiesz – odezwał się Jason – mój tatko potrafił godzinami

opowiadać o mieczach, sposobie wykuwania kling, ostrzeniu... Znał się na tym. A ja wtedy widziałem w nim tylko pijacznę, który spieprzył całe swoje życie. I moje przy okazji... Słuchałem tego i myślałem sobie...

Match nie przerywał, ale oczy błyszczące w świetle paleniska, w półmroku kuźni, świadczyły, że słucha uważnie. Miarowo poruszał miechem. Nie ponaglał, gdy Jason robił długie przerwy w opowiadaniu, zamyślał się.

– ...myślałem sobie, co ten żałosny pijaczyna wie o tym wszystkim. Opowiada o damasceńskich głowniach, przekuwając pogięte widły. Nie wiedziałem... Nie wiedziałem, że kiedyś ojciec był uczniem jednego z najlepszych w całym kraju płatnerzy i pracował na książęcym zamku. Że jego mistrzem był Saracen, Abu ibn jakiśtam, zapomniałem zresztą... Że był jednym z najlepszych czeladników... I że zaprzepścił to wszystko w imię mrzonki, myśląc zresztą o mojej przyszłości.

Match spostrzegł dziwny wyraz twarzy towarzysza. Odwrócił wzrok. Jason przetarł oczy, wmawiając sobie, że łzawią od żaru paleniska.

– Został zwykłym złodziejem – podjął po chwili, mając nadzieję, że nie zawiedzie go głos. – Nie, może nie zwykłym, ale zawsze złodziejem. Okradł swego mistrza, musiał uciekać. Przed, w najlepszym wypadku, napiętnowaniem i osadzeniem w lochu. Już nigdy... Już nigdy nie wydobył się z gnoju... Dowiedziałem się o tym późno, zbyt późno... Przekonasz się zresztą, jakim był płatnerzem...

Jason podjął właśnie pewną decyzję. Przerwał, wysmarkał się z hałasem.

– A, co tam, dawne dzieje... – Głos brzmiał już raźniej. – Wiesz, powiem ci o czymś innym, o tym, jak robi się miecze... Nasłuchałem się wiele, to naprawdę ciekawe.

Zaczął opowiadać o normańskich mieczach, skuwanych z trzech kęsów żelaza, gdzie miękki, niepodatny na hartowanie rdzeń okuwany jest twardymi, tworzącymi ostrza, co daje klingę odporną na pęknięcie przy uderzeniach. O uproszczonej metodzie, polegającej na nawęglaniu tandetnego żelaza, gdzie środek tworzył miękki, nienawęglony rdzeń. Krzywił się przy tym z niesmakiem, twierdząc, że metoda ta dobra jest przy wyrobie seryjnym mieczy dla milicji cechowej lub innych łachudrów. Mówił o metodach produkcji damastu skuwanego, zwanego



również dziwerem, który służy do wykonania kling składających się z niezliczonych warstewek twardego i miękkiego materiału, kling o niebywalej odporności i sprężystości, dających naostrzyć się tak, że kolczugę cięły jak lnianą koszulę.

Nic jednak nie dorównywało niezwykłemu, magicznemu wręcz materiałowi, bryłom żelaza, które, jak mawiano, pochodziło z nieba. Miecz z ostrzem wykonanym z takiego metalu nie miał sobie równych. O jego magicznych właściwościach świadczył fakt, że klingi zawsze pozostawały czyste, nigdy nie pokrywały się rdzawym nalotem. Sprężystość zaś, odporność, możliwość wyostrenia były jak... Jak...

Jasonowi zabrakło słów. Dodał tylko, że podobne miecze dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Jak uściślił z niejaką przesadą, nawet na palcach jednej ręki zasłużonego, długoletniego pracownika tartaku. Przesadzał, takich mieczy było z pewnością więcej niż trzy.

Potem opowiadał o rodzajach mieczy, kształtach kling i typach oprawy, a także o zboczach, wykuwanych wzdłuż ostrzy, które, jak sądzili naiwni, służyły do ułatwienia spływania krwi; w rzeczywistości zbocza służyły do czegoś zgoła innego, pozwalały zmniejszyć wagę klingi przy zachowaniu wytrzymałości.

W końcu zaschło mu w gardle. Pociągnął łyk wody z glinianego dzbanka.

– Ale się rozgadałem – zreflektował się. – Poczekaj, zmienię cię, pewnie masz już dosyć.

Zajął miejsce Matcha przy miechu. Match usiadł, nic nie mówiąc.

– Chyba cię zanudziłem na śmierć – odezwał się Jason między jednym a drugim naciśnięciem miecha. – Ty przecież tylko machałeś mieczem, na cholerę ci znajomość tych wszystkich szczegółów?

Match zaprzeczył. To było ciekawe, słuchał ze szczerym zainteresowaniem.

Jason rozgadał się wyraźnie. Praca dobrze na niego wpływała.

– Wiesz, Match – powiedział po chwili – nawet wśród szlachty, wśród rycerzy rzadko się spotyka przyzwoitą broń. Noszą takie różny, mówiąc, że to po przodkach. Zgoda, po przodkach, ale przecież świat nie stoi w miejscu. Wszystko idzie do przodu, sztuka płatnerska też. A taki nosi

szacowne żelastwo, nie zastanowi się nawet, że może trafić na przeciwnika, dla którego jego czcigodny miecz będzie równie groźny, jak dajmy na to, marchewka...

Ze złością nacisnął silnie miech, który zapiszczał niczym dudy.

– Dla nich najważniejsza tradycja – ciągnął swój wywód. – Zawsze unikałem szlachetnie urodzonych, niczym zarazy, i miałem zresztą rację, jak mogłem się ostatnio przekonać. Cały ten ich kodeks... Mają go pełną gębę, a przecież oszukują, jak wszyscy diabli, gdy tylko mogą. Widziałem wiele turniejów, wiele pojedynków. Na palcach mógłbym policzyć tych, którzy, jak przyszło co do czego, wstrzymali się od zadania ciosu z tyłu, gdy tylko nadarzyła się okazja. Czy, na przykład, nie sypnęli piaskiem w oczy... Widziałem takich, którzy dzielnie we trzech siekli mieczami bezbronnego, no prawie bezbronnego... Chociaż też był to szlachcic... Uważasz, cnota rycerska rzadsza w tych czasach niż dziewica w zamtuzie... A ty, Match, spotkałeś kiedyś takiego, cnót dochowującego? Który by słowa niezłomnie dotrzymywał, a nie był przy tym nadętym zarozumialcem?...

Uważał pytanie za czysto retoryczne, toteż zdziwił się, gdy ten zdecydowanie potwierdził. Aż przestał ze zdumienia poruszać miechem.

– Tak, Jason, kiedyś spotkałem – zaczął Match w odpowiedzi na wyczekujące milczenie.

\*\*\*

Ruiny starego klasztoru były jeszcze w całkiem niezłym stanie. Mury kaplicy i refektarza, zbudowane z solidnego, wapiennego kamienia, wypełniane gdzieniegdzie prawdziwą, wypalaną cegłą, starczały wprawdzie mocno wyszczerbione, lecz w zabudowaniach gospodarskich ostały się jeszcze belki stropu. Ruiny znajdowały się na uboczu, z dala od głównych traktów. Od lat służyły wprawdzie okolicznym mieszkańcom za źródło budulca, lecz niedogodne położenie i wynikające stąd trudności z transportem sprawiły, że dewastacja wciąż nie była zbyt posunięta.

Ponadto cieszyły się złą sławą. Opowiadano, że były siedliskiem mnichów-rabusiów, którzy więcej czasu poświęcali łupieniu kupców na traktach niż modlitwom. Nie mylono się; za swe nieczne postęпки zostali

ekskomunikowani, co nie przeszkodziło im w kontynuowaniu owego procederu, aż do dnia, gdy zabudowania stanęły w ogniu. Klasztor spłonął, mnisi rozproszyli się po świecie. Powiadano, że dosięgła ich klątwa, że to piorun z jasnego nieba poraził plugawców, że w szalejącym żywiole, którego nikt nie mógł ugasić, Pan dał im szansę oczyszczenia grzesznych dusz. Prawdziwa przyczyna, jak zwykle przy takich wypadkach, była bardziej prozaiczna – pożar zaczął się od woskowej świecy, pozostawionej przez nieuwagę po mszy w kaplicy. Braciszkanie bowiem solennie odprawiali nabożeństwa, gdy tylko pozwalały im na to codzienne zajęcia.

Mimo iż miejsce było powszechnie uważane za przeklęte, przez długi czas wielu ludzi przeszukiwało zgliszcza w nadziei odnalezienia skarbów, które pono nagromadzili mnisi. Rozkopywano podwórze, kuto ściany, a odważniejsi zapuszczali się do przywalonych zwęglonymi belkami loszków, ale nikt nic nie znalazł.

Braciszkanie albo byli rozrzutni, albo, co bardziej prawdopodobne, zdołali zabrać wszystko ze sobą. Albo też rozbój na drogach był owymi czasy znacznie mniej zyskowny niż teraz, pomyślał Match.

Wyglądał przez małe okienko nieźle zachowanego budynekczku, prawdopodobnie obory, o czym świadczyło kamienne, poobtłukiwane koryto pod ścianą. Widok roztaczający się z okienka nie nastrajał go bynajmniej pogodnie.

Zarośnięty chwastami podwórzec roił się od zbrojnych. Beztrasko stali na widoku, nie próbując się ukryć. Dobrze wiedzieli, że Match i jego ludzie nie mają z czego strzelać.

Okienko w przeciwniejszej ścianie zasłaniały wprawdzie wybujale, gęste krzaki dzikiego bzu, ale Match zdawał sobie sprawę, że żołnierze tam też na pewno są, że tamta droga ucieczki została także zablokowana.

Byli w pułapce.

Uderzył pięścią w pokruszoną kamienną krawędź okna, z którego ktoś już dawno wyjął drewnianą ramę. Od początku tej całej wyprawy miał złe przeczucia. Sprawdziły się, niestety.

Pojechali do karczmy, samotnej, stojącej na rozstajach dróg, z dala od najbliższej wioski, w szczerym polu. Matcha ogarnęły wątpliwości, gdy szpiedzy donieśli, że zatrzymał się w niej bogaty kupiec, jadący z

niewielką tylko grupką zbrojnej czeladzi. Kupiec, samotny, w tych okolicach? Nie brzmiało to zbyt prawdopodobnie. Kupcy wiedzieli już, że szanse dowiezienia towaru na miejsce przeznaczenia są niewielkie. A ten, jakby nigdy nic, ładuje wozy, jedzie sobie beztrąsko. Jeszcze popasa w karczmach, zamiast spieszyć się na złamanie karku. Czeka tam, jakby sam prosił się o rabunek. Coś tu śmierdziało z daleka.

Z drugiej strony miejsce na ewentualną zasadzkę wydawało się co najmniej dziwne. Można było ukryć żołnierzy w karczmie, ale przeciwnik nie wiedział, z jaką siłą nadciągną banici. Karczma stała wprawdzie w szczyrim polu, lecz niedaleko od lasu. Z racji tego położenia karczmarz był zaufanym człowiekiem. Nie miał zresztą wyjścia, praktycznie jedyną jego klientelę stanowili obecnie ludzie Matcha.

Match zastanowił się. Może rzeczywiście zjawił się jakiś desperat, liczący na to, że akurat jemu jednemu uda się dotrzeć z towarem do Nottingham, może znęciły go wysokie ceny, jakie spowodowała blokada, i trudności w zaopatrzeniu, dlatego postanowił zaryzykować, zakładając, że jednym wozem i z małą grupką chroniącej go czeladzi zdoła przemknąć się niepostrzeżenie.

Jeżeli tak, to należało przywołać go do porządku.

Nazir podzielał wątpliwości. Radził dać spokój całej sprawie, twierdząc, że jest co najmniej podejrzana. Jeden wóz, powiedział, cóż to zmienia.

Pozostawało jednak coś jeszcze. Jeżeli rzeczywiście przygotowano pułapkę, to oznaczało, że wśród informatorów znalazł się zdrajca. A to było bardzo niepokojące. Dotychczas nie zdarzały się takie przypadki, owszem, bywały informacje błędne lub wręcz fałszywe, ale nigdy dotąd nie próbowano wciągnąć ich w zasadzkę.

Match był poważnie zatroskany. Całe ich działanie zależało w dużej mierze od sieci informatorów. Dzięki niej znali wszelkie przemieszczenia wojska, trasy kupców, poczynania szeryfa w samym Nottingham. Gdyby zostali pozbawieni tego źródła informacji, ich siła dramatycznie by zmalała, jeszcze gorzej zaś byłoby wtedy, gdyby świadomie wprowadzano ich w błąd.

To należało koniecznie wyjaśnić. Gdyby podejrzenia potwierdziły się, trzeba zdusić sprawę w zarodku, dać odstraszący przykład innym,

którym zapachniałyby łaski szeryfa.

Postanowił pojechać tylko z Nazirem i wybranymi przez niego kilkoma ludźmi. Rozkazał wybrać najlepsze wierzchowce, na wypadek gdyby zaszła potrzeba szybkiego odwrotu, i zostawić kusze, by ich nadmiernie nie obciążać.

Nazir kręcił nieco nosem, gdy usłyszał polecenia, ale w końcu nic nie powiedział, starannie wybrał konie i wyznaczył ludzi. Potem długo układał idące na krzyż przez pierś pasy, utrzymujące na plecach pochwy z dwoma krzywymi mieczami. Kilkakrotnie sprawdził, czy broń dobrze się wysuwa, czy jelce o nic nie zawadzą. Pieczołowicie poprawił popręgi przy siodłach, dopasował strzemiona.

Match przyglądał się tym zabiegom, które starczyły za całą odpowiedź. Nazir był przekonany, że pakują się prosto w zasadzkę.

Należało go posłuchać, pomyślał Match ze złością. Zdrajcę znaleźlibyśmy prędzej czy później, po prostu przez jakiś czas musielibyśmy zachowywać większą ostrożność.

Spod ściany obórki dobiegł go kaszel. Jeden z ludzi, Match nie pamiętał nawet jego imienia, rozpryskiwał wraz z kaszlem jasną krew. Aż dziwne, że zdołał tu dojechać. Oberwał zaraz na początku, prosto w pierś. Dobrze, że strzałą, nie bełtem, bełt wysadziłby go z siodła. Zresztą, co za różnica, i tak płuco przebite...

Drugi ranny, David z Wickham, jak przypomniał sobie Match, wyciągał przed siebie sztywno nogę. Nie jęczał już, pobladł tylko i trzęsły nim dreszcze. W samym środku plamy krwi na udzie tkwiło ułamane drzewce strzały. On już też na nic się nie przyda. Zostało nas czterech, czterech przeciwko... Popatrzył przez okienko. Tylko w polu widzenia mógł bez trudu naliczyć dwudziestu.

To Nazir miał rację. Gdy zbliżali się do karczmy, jadąc odkrytym zewsząd traktem, już wydawało się, że coś jest nie tak.

Niby wszystko jak zwykle. Niska, rozłożysta budowla z poczerniałych bali, pokryta zapadniętą strzechą. Stajnie i stodoła, przekrzywione ze starości, osiadłe na popróchniałych zrębach. Wóz, przykryty rozpiętą na pałakach oponczą. Spokój.

Ale wozu nie pilnował, jak to zwykle bywa, ani jeden pacholek. Nikt nie chodził po obejściu. Dziwne, gdy do karczmy zawitał taki gość? Mimo

pięknego letniego popołudnia czeladź nie siedziała przed karczmą z garnkami piwa. Coś jest bardzo nie tak...

Zwolnili kroku. Jechali od strony pól, nie od lasu. Match sądził, że jeżeli to zasadzka, to będą ich oczekiwać właśnie przy puszczy, tym bardziej że tamtędy do karczmy prowadziła całkiem wygodna ścieżka. Wybrał więc drogę z przeciwka, licząc, że jak przyjdzie co do czego, pokrzyżuje to nieprzyjacielowi szyki.

Maur podjechał bliżej. Trącił Matcha w ramię, coś pokazując.

Ten zaklął. O tym nie pomyślał. Na polach dokoła kołysał się w lekkim wietrze dorodny, niezżęty jeszcze owies, wysiany wraz z żytem. W zbożu można było ukryć całą armię. Match ściągnął wodze, przystanęli. Nieufnie spoglądali na falujące pola.

Nic się nie wydarzyło. Match podniósł rękę, chciał dać znak, by ruszać dalej. Nie zdążył. Kilkanaście kroków przed nimi, wzbijając wysoko kurz z gościńca, wbił się prawie po brzechwy bełt.

Szarpnęli konie. Match nie musiał wydawać rozkazu do odwrotu. Dostrzegł powstające ze zboża sylwetki kuszników. Na szczęście dość odległe.

Za wcześnie wystrzelił, przemknęło mu przez myśl. Jeszcze trochę, i byłoby po nas. Dobrze, jesteśmy daleko, może nas nie trafią. Drugi raz nie zdążą załadować, zanim odskoczymy.

Bełty zaświstały wokół nich i nie tylko bełty. Bliżej musiało być ukrytych co najmniej kilku łuczników. Pędzący przed Matchem banita wyprostował się w siodle, wyrzucił ręce w górę. Wolno pochylał się do tyłu, wciąż wznosząc wysoko rozkrzyżowane ręce. W końcu przewalił się przez łęk, koń skręcił w zboże, ciągnąc go za sobą za nogę uwięzioną w strzemieniu. Jadący z drugiej strony stęknął nagle, co Match usłyszał nawet przez tętent koni, zgarbił się. Utrzymał się jednak w siodle.

Strzały padały rzadziej, wyjeżdżali już z zasięgu. Match obejrzał się i zaklął.

Za przysadzistej karczmy wysypywali się konni. Wielu. To nie była zasadzka, to była obława.

Nazir podjechał w galopie.

– Dogonią nas – wrzasnął głośno. – Konie mają wypoczęte!

Match wiedział, że Maur ma rację. Wbił wzrok w majaczące daleko wzgórze, porośnięte gęsto zaroślami.

– Nazir! – krzyknął. Maur odwrócił się do niego. – Tam, na wzgórze... Te ruiny, pamiętasz? Tam możemy się bronić!

Nazir skinął tylko głową, pognął konie.

Mila, najwyżej półtorej. Nie powinni nas dojść. Match spojrział przez ramię, wciąż mieli sporą przewagę, szybko jednak malejącą. Może będzie dość czasu, by znaleźć dogodne miejsce do obrony, najlepiej takie, skąd łatwo by się wymknąć. Wieczór niedaleko. Jeżeli dopadną nas w polu, to koniec. W zabudowaniach nie wezmą nas tak łatwo, będą obawiali się odsieczy. Byle dotrzeć do zmroku, może przed nocą odstąpią.

Gdy przejeżdżali przez bramę w zwalonym murze, pogoń była kilkadziesiąt kroków za nimi. Zdążyli tylko wpaść do pierwszego z brzegu budyneczku, właśnie tej obórki. Obórki bez tylnego wyjścia. Match zaklął po raz kolejny.

Na podwórku dostrzegł hrabiego Gisbourne'a. Zdziwił się. Czyżby hrabia odważył się zapuścić tak daleko? Zresztą, przy takiej przewadze...

Zbrojni zachowywali się spokojnie, wiedzieli, że mają czas, zdobyc im nie ucieknie. Nikt zaś nie kwapił się na ochotnika szturmować budynku, wiedząc, że w ciemności, nawet bez łuków czy kusz, obrońcy będą wykorzystywać swą lepszą pozycję. Zgoda, oczywiście ulegną przewadze liczebnej, ale nikt nie chciał być tym pierwszym, który wejdzie w ciemny otwór po dawno wyłamanych wrotach.

Nie musieli się spieszyć, wystarczyło poczekać.

Match spostrzegł, że zbrojni nie noszą barw szeryfa. Wyjaśniło się to zaraz, gdy w pole widzenia wszedł nieznajomy mężczyzna, ubrany w skórzany kubrak z wyciśniętymi śladami od pancerza. Na głowie miał misiurkę. Szlachcic. I to nie byle szlachciura. Z oszczędnych ruchów emanowała spokojna pewność siebie, jaką mają tylko doświadczeni w szrankach rycerze.

W dłoni niedbale trzymał pochwę z mieczem, okręconą pasem. Widać przed chwilą odtoczył ją od siodła. Wysoki, barczysty, o przystojnej męskiej twarzy, nawet pieszo, bez pancerza budził respekt. Jeden z tych, którzy są rzadkimi gośćmi na swych włościach, cały czas spędzają w rozjazdach, na wojnach i turniejach, a na wyprawę krzyżową wyruszają

nie dla zbawienia duszy, lecz ot tak, dla przygody i wprawy.

Spokojnie przeszedł parę kroków, stanął tak, by być dobrze widoczny z okienka obórki. Popatrzył prosto w ciemny otwór.

– No, mości rozbójniku – rzekł beznamiętnie – wychodźcie, oszczędźcie trudu. Sami widzicie, że nie macie szans. Wychodźcie po dobroci...

Match nie odpowiedział. Rzeczywiście, szanse przedstawiały się mizernie. Jednak, mimo iż były małe, zamierzał je wykorzystać, do końca. Nie odpowiedział.

– Posłuchajcie rady, panie rozbójniku – ponowił propozycję rycerz. – Przecież wiecie, że i tak was w końcu wyciągniemy, nawet jeżeli tego bardzo nie chcecie... Popatrz, was garstka tylko, a nas ćma...

– A ilu was gardła tu położy? – odkrzyknął Match. – Zanim nas, jak to mówicie, panie, wyciągniecie? Bo rację macie, bardzo nie chcemy.

– A wyłaź, zbójku jeden! – wrzasnął z tyłu Gisbourne, dobrze ukryty za zbrojnymi. – Wyłaź, bo cię jak jaźwca z nory wykurzymy! Ty łajdaku pierdolony, ty... Wyłaź, już tam kat na ciebie czeka, narzędzia opatruje, żelazka rozpala!

Rycerz skrzywił się z niesmakiem. Postąpił jeszcze parę kroków, jakby chciał okazać swój dystans w stosunku do tych słów, godnych bardziej przekupki na targu niż szlachcica. Wyraźnie nie w smak mu było takie okazywanie emocji.

– Zlitujcie się, panie hrabio. – Match roześmiał się drwiąco. – Chcecie, żebym wyszedł, to zaproponujcie co miłszego! Choćby szubienicę!

– Słyszeliście panie, jaki łotr bezczelny – oburzył się hrabia. – Spalić go tam trzeba, razem z tą budą, nie przemawiać do niego!

Rada była niewykonalna. To, co w obórce mogło się spalić, spaliło się już dawno, pozostały nagie kamienne mury i sklepienie.

– Pan hrabia ma w zasadzie rację, chociaż przedstawia ją w sposób... – Rycerz uśmiechnął się kwaśno. – Mniejsza z tym... Wyciągniemy cię, panie rozbójniku, prędzej czy później. Nie będziesz chciał po dobroci, to trudno, poczekamy...

Gisbourne wychylił się zza pleców żołnierzy.

– Po co gadać po próżnicy, niech szturmują zaraz – wykrzyknął



gniewnie. – Co tam, paru najwyżej ubiją, ale skurwysyna w końcu wywłoką.

Zbrojni popatrzyli po sobie, potem na hrabiego. Bardzo wymownie. Ten zbladł, zająknął się.

– Ja tak tylko... – wycofał się natychmiast.

– Ja, panie hrabio, nie zwykłem ludzi bez potrzeby na śmierć posyłać – powiedział spokojnie rycerz, nie uznając za stosowne odwrócić się. – No, mości rozbójniku, do honoru twego się odwołam. Wiesz przecie, że już przegrałeś. Po co jeszcze bez potrzeby zabijać? Poddaj się, sprawiedliwy sąd ci obiecuję, tobie, i twoim towarzyszom.

– Bardzoś pewien swego, panie rycerzu – zawołał Match w odpowiedzi. – A popatrz tylko, zmierzcha się, nie wiesz, czy moi ludzie już nie podchodzą, wzgórze niebawem nie otoczą. Jeszcze nie wiadomo, kto przegrał..

Nie miał wielkiej nadziei, że rycerz weźmie sobie do serca tę groźbę. Nie wyglądał na lękliwego. Nazir, przysłuchujący się rozmowie, pokręcił tylko głową. Beznadziejne.

Tym bardziej że w odsiecz Match sam nie wierzył. Jego ludzie wiedzieli wprawdzie, dokąd pojechał, ale nieprzerwane pasmo sukcesów przytłumiło ich czujność. Najprędzej nazajutrz rano zaczną się zastanawiać, co się stało.

Rycerz rzeczywiście nie wziął groźby do serca. Stał nieporuszony. Match zobaczył jednak, że hrabia przyskoczył do niego i coś mu szepce do ucha. Ten pokręcił głową. Hrabia podniósł głos.

– ...nie łże, skurwysyn jeden – Matcha dobiegł jego nerwowy, podniecony szept. – Może już na nas czekają, zawsze tak robili, wierzcie mi, panie. Trzeba nam szybko kończyć i zabierać się stąd. Wydajcie rozkazy do szturm, panie, bo jak nie...

Rycerz skrzywił się znów, przerwał hrabiemu niedbałym gestem ręki. Gisbourne urwał w pół zdania.

Chwilę trwało ciężkie milczenie. W końcu rycerz wyciągnął miecz z pochwy, odrzucił ją na bok, machnął ostro mieczem przed sobą. Zasyczało powietrze rozcinane klingą, załśniło krwawo odbite w polerowanej powierzchni zachodzące słońce.

– Jest jeszcze jedno rozwiązanie, panie rozbójniku – Match usłyszał spokojny głos. Rycerz wbił miecz przed sobą. – Wyjdź sam i stań tu, na tej ziemi. Pokonasz mnie, to wolny odjedziesz, ty i twoi towarzysze... Przysięgam na mą cześć i na ten miecz. – Położył dłoń na rękojeści z krzyżowym jelcem. – Jeśli zaś nie staniesz, to rzeczywiście za uszy cię stamtąd wyciągniemy. Wybieraj...

Match spojrział z niedowierzaniem, przeniósł wzrok na Nazira. Maur tylko pokręcił głową.

– Posieka cię na kawałki – mruknął. – Widziałeś, jak dobył tego miecza? Widziałeś, co to za miecz? Widziałeś, jak się złożył? A ty przecież nie masz pojęcia...

– A mamy jakieś inne wyjście? – spytał sucho. Wiadomo było, że nie mieli. Wyjrzał przez okienko. Zobaczył Gisbourne'a, jak podbiega do rycerza.

– Nie może to być! – wrzasnął hrabia. – Nie może być! Jego zasiec bez sądu należy, katu oddać! Tego zbója, tego...

– Może być i będzie – wycedził rycerz, nie zaszczycając Gisbourne'a spojrzeniem. – A jeśli wam się nie podoba, to idźcie, hrabio, po niego, dajcie katu. Wasza wola!

Gisbourne zamilkł. Najwidoczniej był odosobniony w swych poglądach, sądząc po minach uśmiechających się pogardliwie żołnierzy.

Miecz znów z sykiem przeciął powietrze.

– Wybieraj – powtórzył rycerz.

Match wydobył broń, podał pochwę Nazirowi. Ich oczy na chwilę się spotkały.

– Match – zaczął Nazir, doskonale zdając sobie sprawę, że i tak już jest za późno. – Uważaj na jego ręce, nie patrz na miecz. Patrz, jak się porusza. Nie będzie łatwo, wystarczy na niego spojrzeć. Zobaczyć, co trzyma w ręce. Nie taki ciężki drąg, jak wszyscy inni.

Maur skrzywił się pogardliwie.

– Ten miecz wygląda na bardzo lekki, chyba wschodnia robota. Przynajmniej głównia. Nie będzie rąbał na oślep, jak większość z nich. Wygląda na takiego, co umie nim obracać. Musisz...

– Widzę – westchnął Match. – Dziękuję, Nazir, ale nie ma czasu. Nie

mogę pozwolić szlachetnemu panu czekać... – Klepnął Maura w ramię i wyszedł na dziedziniec, mrużąc oczy oślepione niskim, czerwonym słońcem.

Przesunął się nieco w bok, by nie mieć słońca prosto przed twarzą. Rycerz przyjrzał mu się, oceniając najwidoczniej. Jego wzrok zatrzymał się na obnażonym mieczu, który Match trzymał przed sobą, tak jak i on. Oczy rozszerzyły mu się na chwilę, gdy zobaczył znaki trawione na klindze. Lekko, jakby wbrew sobie skłonił głowę.

– Jestem Bertrand de Folville – oznajmił. Zawiesił głos, najwidoczniej przyzwyczajony do wrażenia, jakie robiło jego imię. Match stwierdził, że i jemu nie jest obce. Sława sir Bertranda dotarła nawet do takiej głuszy, jaką była puszcza Sherwood. Nie miał złudzeń, że dotrzyma pola temu wsławionemu na wojnach, turniejach i niezliczonych pojedynkach rycerzowi, stawianemu w dodatku za wzór wszelkich cnót rycerskich, którym, jak wieść niosła, nigdy nie uchybił. Cóż, przynajmniej śmierć będę miał godną opiewania w balladach, pomyślał Match z rezygnacją.

– Jestem Match – powiedział, by nie okazać się zupełnym prostakiem.

Rycerz uprzejmie skłonił głowę. Zmierzył Matcha uważnym spojrzeniem, po czym zdjął z głowy kolczą misiurkę, chroniącą głowę i ramiona. Odrzucił ją na bok. Jasne włosy rozsypały się na czole. Zbrojni zaszemrali z podziwem. Match nie miał misiurki, a jedną z niewzruszonych zasad sir Bertranda było dawanie równych szans przeciwnikowi. Przynajmniej wtedy, gdy wyglądał na jako tako godnego.

– Świadom swych danych mi od Boga i korony przywilejów – przemówił rycerz dźwięcznym, silnym głosem – uznaję was za godnych stawienia mi czoła, wynosząc do swego stanu.

Matchowi było w zasadzie obojętne, czy rycerz zaszlachtuje go jako prostaka, czy też równego sobie, powstrzymał się jednak od wzruszenia ramionami. Skłonił tylko głowę. Kątem oka dostrzegł Gisbourne'a, który słysząc te słowa, poczerwieniał ze złości jak burak.

– Boga i wszystkich tu obecnych biorę za świadków, że jeśli mój przeciwnik mnie pokona, odjedzie wolny i nikt wstrętów nie będzie mu czynił, jako też nie będzie winien krwi, która na tę ziemię zostanie rozlana.

Wyjął zza pasa długie do łokcia, nabijane ćwiekami rękawice. Nałożył

je starannie.

– Gotowi jesteście, panie? – zapytał spokojnie. – Na śmierć, nie na niewolę?

Match skinął tylko głową. Choćby chciał, nie mógł być bardziej gotowy.

– Tedy zaczynajmy!

Klingi skrzyżowane po raz pierwszy zadźwięczały głośno.

Rycerz nie natarł, jego ostrze poruszało się oszczędnymi zakolami, wychwytyjąc jednak bez trudu cięcia Matcha, który swą jedyną szansę widział w szybkim ataku, licząc na łut szczęścia. Wiedział, że w tym pojedynku czas gra na jego niekorzyść.

Sir Bertrand cofał się powoli, nie zadawał żadnego cięcia. Ale każdy atak Matcha zatrzymywany był nieodmiennie krótkimi, niepochwytnymi ruchami. Match napierał zaciekle, spróbował pchnięć z wypadu, jednak żadne nie odniosło skutku. Miecz zawsze trafiał na klingę przeciwnika. Spostrzegł spokojny wzrok rycerza, jego równy oddech. Sam oddychał ciężko, usiłując przebić się przez osłonę przeciwnika. Na próżno.

Chciał go zmylić ruchem ciała, zrobił wykrok w prawo, zamarkował pchnięcie. Próbował przedostać się pod osłoną, zaatakować z dołu. Ostrze miecza przecięło tylko powietrze, rycerz znów poprzestał na uniku.

Obserwując sztych miecza, Match zapomniał o radzie Nazira. W ostatniej chwili wyrzucił rozpaczliwie rękę do góry, cudem przyjmując w połowie klingi niespodziewany cios sir Bertranda. Rycerz rozpoczął atak.

Uderzał wyraźnie sygnalizowanymi ciosami, budząc zdziwienie Matcha. Jednak gdy po raz kolejny zadzwoniły klingi, gdy po raz kolejny zatrzymał uderzenie, Match poczuł, jak drętwieje mu ręka. Ciosy zadawane niby mimochodem, lekko, bez rozmachu, miały straszliwą siłę.

Teraz Match zaczął się cofać. De Folville spychał go powoli, wciąż nie siląc się na przełamanie obrony. Uderzenia były łatwe do parowania, choć każde, gdyby nie zostało przechwycone, pewnie zakończyłoby walkę. Match nie mógł już atakować, mógł się tylko osłaniać.

Kolejny cios przechwycił samą nasadą głowni, tuż przy krzyżowym jelcu. Poczuł, jak siła uderzenia przenosi się przez kości, jak porażona

ręka opada bezwładnie, wiedział, że przed następnym ciosem nie zdoła się osłonić, nie zdąży unieść broni. Choć był już zmęczony, nogi miał nadal sprawne. Odwinął się w bok, zszedł z linii, po raz pierwszy zaskakując pana de Folville. Jego pchnięcie, niskie, zadane z półprzysiadu przeszło powietrze. Rycerz poszedł za pchnięciem. Gdyby nie ocieężała, porażona potężnym uderzeniem ręka, Match wreszcie mógłby zadać niebezpieczne uderzenie – przez chwilę miał przeciwnika w bardzo niedogodnej dla niego pozycji. Nie zdołał, rycerz bez trudu odbił wolne, spóźnione cięcie i zwiększył dystans.

Oczy pana de Folville zwęziły się. Pomyślał, że nie docenił przeciwnika. Wprawdzie Match wymachiwał mieczem jak pierwszy lepszy żołdak, nie miał pojęcia o zwodach, nie znał żadnych szermierczych sztuczek, ale jego instynktowne uniki były bardzo szybkie. Na szczęście tylko uniki, atakować zupełnie nie umiał. Trzeba kończyć, pomyślał rycerz.

Zamarkował lekki wypad, myląc przeciwnika ruchem tułowia. Jednocześnie ruszył w drugą stronę, minął osłonę Matcha i zadał potężne, płaskie cięcie, wzmocnione skrętem w biodrach. Match jak zwykle patrzył na miecz, nie na nogi Bertranda, co mogłoby go ostrzec. Zawyło rozcinane lekką klingą powietrze. Rycerz zrobił krok, odwracając się jednocześnie z powrotem do przeciwnika, lecz cięcie, które miało rozplatać brzuch aż do kręgosłupa, przecięło jedynie kaftan, zostawiając na skórze płytką, krwawą kresę. Match jakimś cudem zdążył zgiąć się tak, że dosięgnął go sam koniec klingi.

Sir Bertrand był zaskoczony. Po takim ciosie przeciwnik, zanim upadł, przyglądał się najczęściej zdumionym wzrokiem swym przelewającym się przez palce wnętrzościom. Po czym, jeśli cięcie było porządne, załamywał się w sobie, składał wpół i padał. Ten zaś, rozwścieczony widąc bólem, skoczył do ataku.

Zrobił to wprawdzie zupełnie bez pojęcia, machając mieczem jak cepem, ale zaskoczony rycerz z najwyższym trudem przyjął pierwsze zadane z rozmachem, od ucha ciosy. Teraz on poczuł odrętwienie w dłoni, w której trzymał wibrujący pod uderzeniami oręż. Nie mógł kontratakować, nie mógł polegać na precyzji zdrętwiałej ręki. Szybkim zwodem zmylił Matcha, odskoczył, wybił go z rytmu ataku. Furia zadawanych niemal na oślep ciosów opadła, pan de Folville znów mógł

powrócić do stosowanej na początku oszczędnej obrony.

Spostrzegł, że Match, nie wiadomo, rozwścieczony zranieniem czy też upojony chwilowym powodzeniem stał się mniej ostrożny. W widoczny sposób szukał okazji, by przedrzeć się przez obronę. Rycerz nie zatrzymywał już uderzeń, pomny ich siły, lecz zręcznie powodował, że ześlizgiwały się wzdłuż ostrza. Wytrącało to przeciwnika z równowagi, zadawał ciosy coraz potężniej, nie bacząc na własną obronę, odstawiając się coraz bardziej.

W najmniej spodziewanym momencie rycerz uderzył lekko w sam środek klingi miecza trzymanego w zbyt wygiętej w nadgarstku ręce. Zaraz po tym, jak stal zderzyła się ze zgrzytem, wykonał nieznaczny z pozorów ruch. Palce Matcha rozgięły się jakby mimo woli, miecz z furkotem wyleciał w powietrze i wbił się w trawę, chybotając lekko. Match zatrzymał się w ostatniej chwili, ze sztychem pod brodą. Nad błyszczącą klingą widział wpatrzony w siebie zimne oczy. Z rezygnacją czekał na pchnięcie.

– Podnieś! – usłyszał zamiast tego. Nie zrozumiał.

– Podnieś! – powtórzył rycerz z naciskiem. – Jeszcze nie koniec!

Opuścił miecz. Match szarpnął rękonoż, wyrwał wbitą głęboko broń. Ciężko dysząc, uniósł ją, skoczył do przodu.

Do tej pory wszystko odbywało się w ciszy, przerywanej jedynie szczękami broni i oddechami przeciwników. Teraz otaczający kręgiem walczących zbrojni zaczęli wydawać radosne okrzyki. Znali swego pana, wiedzieli, że walka długo nie potrwa.

Rzeczywiście, Match wciąż atakował, ale jakby bez przekonania, jakby ostatecznie zwątpił w swe powodzenie. Pan de Folville nie miał już żadnych trudności w parowaniu zadawanych uderzeń. Jego pierwszy wypad, wysoki, mierzący w szyję przeciwnika, Match odbił z najwyższą trudnością, właściwie przypadkiem. Kontratakował wprawdzie, lecz rycerz z łatwością zatrzymał sygnalizowany cios, przyjął tuż przy gardzie. Przez chwilę napierali na siebie, wyszczerzając zęby i dysząc prosto w twarz. Match był ciężki i silny, lecz sir Bertrand bez trudu odepchnął go w tył, podbijając jednocześnie rękę z bronią do góry. Match o mało się nie potknął, z trudem utrzymał równowagę, z wyrzuconymi wysoko w górę rękoma. W tym samym momencie rycerz skurczył się i

runął do przodu.

Zamierzał ciąć tak samo jak przedtem, nisko, w brzuch, samym środkiem klingi. Tak, by pociągnąć oburącz, w chwili gdy będzie mijał przeciwnika, rozcinając go na dwoje.

Pierwszy krok, na lewą nogę, mocne stąpięcie, ręka wychyla się do tyłu, nabierając rozmachu. Przeciwnik szarpie wzniesione ramię, usiłuje ściągnąć ciężkie, bezwładne ostrze w dół, osłonić się. Nie zdąży...

Za chwilę prawa stopa mocno wesprze się w ziemię. But trafia na ukryty w trawie kamień, ślizga się przez chwilę, zanim znajdzie pewne oparcie. Rozpęd pcha do przodu, cięcie spóźnia się o mgnienie oka.

To mgnienie oka pozwoliło Matchowi na opuszczenie miecza na tyle, że zdołał pochwycić straszliwe cięcie, nie zatrzymać, lecz tylko nieco zmienić jego kierunek. Ostrze, które miało rozciąć go na pół, poszło za wysoko, znacząc jedynie kolejną krwawą szramę, tym razem przez pierś.

Rozpęd przeniósł rycerza obok niego. Klinga nie napotkała oporu, który pozwoliłby na obrót, zwrot do przeciwnika. Jej bezwładność szarpnęła w drugą stronę, wybiła z rytmu.

Rycerz padł płasko na twarz, starając się uniknąć w ten sposób nieuchronnego ciosu z tyłu.

Przecenił przeciwnika. Match nie zdołał zadać uderzenia, które nieodwołalnie zakończyłoby pojedynek, miał zbyt mało doświadczenia. Przegapił najlepszy moment. Zamiast tego skoczył na Bertranda, gdy ten już odwracał się na plecy, by powrócić do walki.

Tym razem Match zdążył. Gdy sir de Folville spręzał się, chcąc stanąć na nogi, Match już przystawił sztych do jego gardła. Rycerz zamarł na moment, po czym opadł z powrotem na trawę z rozrzuconymi ramionami. Otworzył zaciśnięte na rękojęści palce.

Panowała cisza, zmacona jedynie ciężkimi oddechami.

Sir Bertrand przymknął na chwilę powieki. Ostrze przy gardle drżało lekko. Otworzył oczy, spojrzał wzdłuż klingi, na dłoń trzymającą miecz, zakrwawiony kubrak, twarz zwycięzcy, z której nie wyczytał triumfu.

Rycerz uśmiechnął się. Nie był to ładny uśmiech.

– Dobij – powiedział ze spokojem.

Match chwilę stał bez ruchu, patrząc w oczy pokonanego. Wszyscy

wkoło zamarli w oczekiwaniu tego, co za chwilę się stanie. Wstrzymali oddech.

Sztych miecza odsunął się od gardła rycerza. Match ujął broń oburącz, z rozmachem wbił w ziemię. Odstąpił do tyłu.

– Brać go! – rozdarł się Gisbourne. – Brać skurwysyna, zanim...

– Stać! – huknął sir Bertrand, wypluwając żwir. – Stać!

Niepotrzebnie. Żaden ze zbrojnych nawet się nie poruszył. Hrabiemu głos uwiązał w gardle.

Match zbliżył się do leżącego, wyciągnął rękę. Pan de Folville bez wahania przyjął podaną dłoń, ze stęknieniem uniósł się z ziemi.

– Zaiste, czynek to szlachetny i cnót niespotykanych w tych plugawych czasach dowodzący – powiedział głośno. – Ja też, jako ten szlachetny pan, czci swej nie uchybię, lecz udam się z nim, dokąd zażąda, póki okupu sprawiedliwego nie dostanie. Lub też stawię się, gdziekolwiek i kiedykolwiek zechce, wedle woli...

Match pokręcił ze znużeniem głową.

– Nie jesteście nic winni, panie – odparł cicho.

– Jakże to? – spytał zimno rycerz. – Pokonałeś mnie, niewielu może to o sobie powiedzieć. Oszczędziłeś, mimo że na śmierć mieliśmy iść, nie na niewolę. Nie wiem, możeś śluby jakoweś poczynił, nie moja to rzecz dociekać... Ja bym cię nie oszczędził, sam wiesz. Tak więc według praw rycerskich dług swój muszę spłacić.

– Już spłaciliście swój dług – przerwał Match. – Zaraz na początku, rozumiecie przecież. Kto jak kto, panie, ale wy na pewno rozumiecie...

Bertrand de Folville zadumał się. Znów źle go oceniłem, pomyślał. Popatrzył Matchowi prosto w oczy.

– Rozumiem – odrzekł po chwili. – Rozumiem i decyzję twą uszanuję, choć ciężkie brzemię na me barki wkładasz, panie. Cóż, może kiedyś jeszcze się spotkamy...

– Może – odparł Match obojętnie.

Rycerz odwrócił się do zbrojnych.

– Przyprowadzić konie szlachetnego pana – krzyknął. – Żywo. I niech nikt wstrętów czynić nie śmie! – dodał, patrząc znacząco na hrabiego.



Ten stał blady, zaciskając pięści. To, co za chwilę zrobił, nie było najrozsądniejsze.

– Jak to, p... puszczasz go? – wykrzyknął, aż jękał się ze złości. – T... tego bandytę? Tego skurwysyna? Na szafocie jego miejsce, w lochu, na szubienicy! Jak się szeryf dowie, że mieliśmy go w ręku...

Pan de Folville podszedł niespiesznie i chwycił go za kołnierz.

– Ot, co mi twój szeryf! – zgrzytnął zębami. – Ot, twoje lochy!

Pchnął hrabiego z całej siły. Ten zatoczył się, z trudem ustał na nogach. Ręce trzymał daleko od boków, starając się, by były jak najlepiej widoczne. Rozsądek nie opuścił go na tyle, by choć zbliżyć dłoń do rękojeści miecza. Sir Bertrand nie miał broni, lecz za sobą Gisbourne usłyszał chrzęst dobywanych kling. Zresztą, wyciąganie miecza na Folville'a, nawet bezbronnego, było naprawdę szalonym pomysłem.

– Jak wiesz, dałem słowo, iż jeśli mnie pokona, będą wolni, on i jego towarzysze – kontynuował rycerz cichym, spokojnym, lecz strasznym przez to głosem. – Rycerskie słowo to jak ślub. Nie ubliżajcie przeto, panie hrabio, nie strzępcie ozora nadaremnie. Bo wiecie, że kurwim synem go zowiąc, nie tylko jego cześć plugawicie.

Gisbourne zbladł, był już biały jak mąka.

– Gościem na waszych ziemiach jestem, panie hrabio – dodał pan de Folville poważnie. – Przeto niewdzięcznym się nie okażę i flaków wam od razu nie wypuszczę... Baczcie jednak, panie hrabio, bym ślubu jakowego nie poczynił, was mając na myśli...

Odwrócił się i odszedł. Zbrojni odsuwali się od hrabiego, jak od zapowietrzonego, jak od kogoś, kto zapadł właśnie na straszliwą i nieuleczalną chorobę, prowadzącą do rychłego zgonu. W rzeczy samej tak było, ci, przeciwko którym Bertrand de Folville poczynił śluby, nie żyli zbyt długo.

A to się wpier..., pomyślał Gisbourne żałośnie. Jak jeszcze szeryf się dowie, żeśmy go wypuścili, to kto będzie winien? Ja, oczywiście. Nie ten, rycerz bez skazy. Jeszcze mi tylko brakuje, żeby mnie wyzwał...

Pocieszał się trochę, że sir Bertrand nie poczynił na razie ślubów, poprzestając na pogróżkach.

Zmierzchało już. Z ruin obórki wyszedł Nazir, wzbudzając swą

postacią ogólny podziw zbrojnych. Zwłaszcza sterczące nad ramionami rękojeści krzywych mieczy budziły zainteresowanie. Match podszedł do niego.

– Więcej szczęścia niż... – skwitował Maur, kręcąc głową. – Gdyby się nie potknął...

– Nie musisz mówić, wiem o tym – odparł Match. – On zresztą też... – Wskazał głową w kierunku rycerza.

– Sam de Folville. – Nazir wciąż kręcił głową. – Bawił się z początku, zlekceważył cię. Do diabła, szybki jesteś, myślałem, że dostanie cię tym pierwszym ciosem. Ja chyba bym nie zdążył uskoczyć. Szybki jesteś, nigdy nie widziałem...

Popatrzył na niego jakby z namysłem. W spojrzeniu Maura było coś dziwnego. Match nie zwrócił na to uwagi.

Zbrojni przyprowadzili konie. Wyniesiono rannego, do końca pojedynku dotrwał tylko jeden, ten ranny w nogę. Usadzono go na kulbace, licząc, że da radę jechać. Chłopak zaciskał zęby, spod prowizorycznego opatrunku wciąż sączyła się krew. Ciało drugiego banity przewieszono przez kulbakę.

Match był śmiertelnie znużony. Rozejrzał się dokoła. Wszystko gotowe było do odjazdu. Zbrojni pana de Folville przypatrywali się, ich spojrzenia wyrażały uznanie, a może nawet sympatię.

Czego nie dało się powiedzieć, widząc wzrok Gisbourne'a. Gdy Match przejeżdżał obok niego, ten wysyczał z wściekłością:

– Jeszcze się spotkamy...

Match wstrzymał konia. Zaczynał mieć tego dosyć.

– Kiedy tylko zechcesz – wycedził, patrząc z góry na hrabiego. – Nawet zaraz.

Gisbourne szarpnął się.

– Teraz to jesteś odważny, ty... ty...

– ...szlachetny panie – poddał Match, uśmiechając się złośliwie. Spoglądał ponad ramieniem hrabiego. Ten obejrzał się, dostrzegł sir Bertranda stojącego za nim. De Folville skinął poważnie głową.

– Szlachetny panie... – wykrztusił hrabia z trudem.

\*\*\*

– Bertrand de Folville – zadumał się Jason. – Tak, ten stary zabijaka. Przecież on ma teraz grubo ponad pięćdziesiątkę.

Match policzył szybko, zgadza się, spotkali się przed dwudziestu laty.

– Widziałem go, zaraz, ze dwa lata temu. – Jason zmarszczył czoło z zastanowieniem. – Tak, to już będzie ze dwa lata, na turnieju, na zamku pana... Cholera, nie pamiętam już, jak się ten stary opój nazywał. Jakiś diuk, w każdym razie. Nieważne. Ale jak zobaczyłem Folville'a, powiem ci, żaden człowiek nie potrafi tak mieczem obracać...

Match nie zaprzeczył. Dochodziły go później wieści o dalszych dokonaniach sir Bertranda. Wszystkie imponujące.

– Turniej to zresztą nic wielkiego. Położył parę, nawet nie bardzo kalecząc. Kręć wolniej!

Match posłusznie zwolnił obroty skrzypiącej korby, napędzającej koło szlifierskie. Piaskowiec był w dobrym gatunku, drobny. Nie zostawiał głębokich rys. Jason nie miał pumeksu, używanego do ostatecznego wygładzania metalu, ale stwierdził, że rezultat po szlifowaniu jest zupełnie zadowalający. W końcu nie robił paradnego miecza. Ze skupieniem dociskał zahartowane już ostrze do kamienia, mrużąc oczy przed strumieniem tryskających iskier. Starał się nie dociskać zbyt mocno, by nie rozgrzać nadmiernie szlifowanego żelaza, nie przypalić go, jak mawiali płatnerze. Przypalenie powodowało mięknięcie już utwardzonego przez hartowanie metalu. Jason zapobiegał temu przez częste zanurzanie ostrzonego nożyka w wodzie. Rozgrzane ostrze posykiwało cicho, po wyjęciu z wody unosiła się znad niego smużka pary.

Nie musiał ostrzyć krawędzi, wystarczył sam czubek. Wreszcie odłożył ostrze na bok.

– No, jeszcze tylko cztery, Match. Możesz już przestać kręcić, odpoczniemy trochę, nie pali się.

Usiedli na ławie pod ścianą kuchni.

– Jak mówiłem, turniej to jeszcze nic – podjął Jason po chwili

milczenia. – Po turnieju wyzwiał dwóch takich, rycerzy, psia ich... Nie, nikt jemu osobiście nie podskoczył, zbyt się wszyscy bali. Obrazili jakąś damę innego rycerza, mieli pecha, że de Folville usłyszał. Zawsze był czuły na takie chamstwo. Powiem ci, zanim rycerz, ten od obrażonej damy, zareagował, nie spieszył się zresztą, tamci dwaj to znani zabijacy... Co dużo gadać, sir Bertrand wychlastał ich po pyskach rękawicą, a jak wiesz, nosi ciężkie, nabijane...

Jason pociągnął wody z dzbana, podał Matchowi. Ten odmówił, nie chciało mu się pić. Jason odstawił dzban i dalej snuł opowieść:

– Jak tylko otarli się z krwi, to spytali, jak zamierza się z nimi potykać, po kolei, czy jak. Wściekli się, złość wzięła górę nad strachem, jaki budził. Folville odpowiedział, że jak chcą, po kolei albo razem, jak wola... Jemu za jedno...

Urwał na chwilę, jakby starał się jak najlepiej przypomnieć sobie szczegóły. Przymknął oczy, odtwarzając całą scenę w pamięci.

– Skoczyli zaraz, z obu stron. On tylko w kubraku, z gołą głową, tak jak z uczty wyszedł. Oni w kolczugach. Gównu im to pomogło... Jednego dostał zaraz w pierwszym złożeniu... Co ja mówię, nawet bez złożenia, nawet nie skrzyżowali ostrzy... Blisko stałem, widziałem dokładnie. Wyminął jakoś jego sztych, bo ten z wypadu chciał pchnąć, od razu... Chlasnął go tak od dołu, oburącz, mówię ci, rozciął go od samych jaj do gardła, z kolczugą i żebrami, a tak silnie, że rzuciło drabem aż o mur. Jak tak leciał, to gubił po drodze różne rzeczy, wypadały z niego...

Skrzywił się mimowolnie, gdy stanął mu przed oczyma ten widok. Niezbyt to musiało być przyjemne, pomyślał Match, patrząc na minę Jasona.

– Drugi chciał go trafić z tyłu. Folville się tylko odwinął, tak że tamten trafił w próżnię. Myślę, że odeszła mu ochota do walki, ale de Folville nie pozwolił mu nawet się cofnąć. Zaledwie kilka ciosów odbił, za którymś razem sir Bertrand wytrącił mu miecz... I wiesz co? Nie pozwolił mu podnieść, jak tobie. Od razu pchnął, tak że sztych plecami wyszedł. Potem wyciągnął, odwrócił się i odszedł. Nie poczekał, aż tamten upadnie... Tak, Match, skrzyżować miecz z Folville'em, nie na turnieju, ale w pojedynku... I móc później o tym opowiadać... Niewielu jest takich...

– Przypadek, jak wiesz – Match mówił całkiem obojętnie. – Potknął

się, miałem po prostu szczęście.

Jason nie był przekonany. W większości swych pojedynków Bertrandowi de Folville nie starczało czasu, by się potknąć. Zwykle zabijał przeciwnika szybciej. Zgoda, potknął się, ale wcześniej... Nic jednak nie powiedział. Widział, że Match nie ma specjalnej ochoty do kontynuowania rozmowy na ten temat.

Klepnął go po ramieniu.

– No, to do roboty – powiedział. – Jak już oszlifujemy, to tylko trzeba będzie zalać te szczeliny. Nie ma ołowiu, ale widziałem w kuchni pękniętą cynową misę. Trzeba zwędzić, może nie zauważą. Cyna jest wprawdzie lżejsza, ale zrobiłem większe otwory...

\*\*\*

Jason ważył ostrze w ręce. Może być, cyna, choć lżejsza od ołowiu, spełniła swoje zadanie. Nożyk wyraźnie ciążył ku ostrzu. Jason przymknął oczy, starając się ocenić ciężar.

Nie potrafił wyczuć różnicy pomiędzy ostrzami, którymi posługiwał się całe życie, a tym nowym, jeszcze niepociemniałym, błyszczącym świeżo obrobioną powierzchnią. Z zadowoleniem stwierdził, że wyszło dobrze, waga była bardzo istotna. Ostatecznie przyzwyczyił się do niej przez wiele lat.

Prawidłowo ocenił różnicę ciężaru ołowiu i cyny. Większa szczelina, jaką pozostawił dla obciążenia, była dobrana w sam raz. Pora zacząć.

Odwrócił się gwałtownie, machnął ręką. Ostrze ze świstem przecięło powietrze. Głuchy stuk, który rozległ się w momencie, gdy do prawie jednej trzeciej długości wbiło się w sosnowy pień, zabrzmiał dla Jasona jak najpiękniejsza muzyka.

Ten dźwięk towarzyszył mu przez większość życia. Kiedy tylko mógł, poświęcał godzinę dziennie na trening w rzucaniu ostrzami. Lubił to, dawało odprężenie, prawdę mówiąc, było jedynym rodzajem aktywności fizycznej, jaki stale praktykował. Choć czasem znalezienie odosobnionego miejsca wymagało wiele zachodu – nie chciał, by ktoś się przyglądał; po co budzić sensację i prowokować pytania – starał się nie

zaniedbywać ćwiczeń. Kilka razy biegłość w posługiwaniu się tajną bronią uratowała mu życie.

Teraz, na dźwięk wcinającego się w drewno ostrza, poczuł prawdziwą radość. Coś wreszcie znowu jest tak jak dawniej.

Gdy podszedł do ustawionego na stercie porąbanych szczap pieńka, radość nieco przygasła. Ostrze utkwiło o dobry cal na prawo od środka. Pokręcił z niezadowoleniem głową, mruknął coś pod nosem. Kiedyś nic takiego się nie zdarzało, z ośmiu kroków... Z ośmiu kroków powinien trafić w środek, sam środek. Zaniedbałeś się, Jason, ile to... już ponad cztery miesiące, pomyślał. Teraz trzeba nadrobić, poświęcić więcej czasu.

Ta myśl była wcale przyjemna. Z chęcią zajmie się ćwiczeniami, nawet po kilka godzin dziennie.

Pocieszyło go nieco, że pomimo iż celność nie okazała się najlepsza, siła rzutu była taka, jak dawniej. Ostrze wbiło się prawie na cal. Gdyby nie był to twardy, sosnowy pieńek, ale ludzka czaszka, spomiędzy oczu wystawałby jedynie walcowaty trzonek.

Z oka, niezdaro, nie spomiędzy oczu, skorygował. Między oczy nie trafiłeś.

Dobrze, skoro tak, to nie ma co filozofować, trzeba zabierać się do roboty. Poszedł do drewnutni, wyszukał jeszcze cztery pieńki. Ustawiał je kolejno na stercie narąbanych szczap. Sterta była trochę za niska, ale zawsze można wyobrazić sobie, że przeciwnicy właśnie siedzą...

Pieńki stały blisko, zbyt blisko – sterta była mała. Teraz, wiosną, nie pozostał już duży zapas drewna do palenisk. Kiedyś Jason, gdy tylko miał po temu warunki, ustawiał sobie znacznie trudniejsze cele, w różnych odległościach i kierunkach. Ostatecznie zawsze może trafić się kilku drabów, którzy zaatakują ze wszystkich stron. Bardzo lubił taką zabawę. Oczywiście, było to możliwe tylko wtedy, gdy znalazł odosobnione miejsce. Na co dzień był szczęśliwy, gdy mógł porzucać we wrota od stodoły lub drzewo w zagajniku.

Teraz jednak sam przyznawał, że takie zadanie pewnie okazałoby się zbyt skomplikowane. Zastanawiał się, czy trafi we wszystkie, choćby i blisko stojące pieńki. I co ważniejsze, w jakim czasie wyrzuci wszystkie ostrza.

Nie miał swojej, mocowanej na karku, skórzanej pochwy. Myślał już

nad tym, jak i z czego wykonać podobną. Rezultaty dotychczasowych poszukiwań dowiodły, że skóra w klasztorze to surowiec praktycznie niedostępny. Zresztą, nawet gdyby znalazł odpowiednią, nie miał złudzeń, że uda mu się samemu wykonać coś, co wyglądało na robotę dla wprawnego rymarza. Trzeba poczekać, aż wreszcie się stąd wyrwie i trafi do jakiegoś miasta. A na razie musi sobie radzić bez pomocy.

Dociągnął klamrę szerokiego pasa, który dostał od Matcha razem z resztą stroju. Pozatykał ostrza za pasem na brzuchu. Nie obawiał się, że się pokaleczy, nożyki nie miały zaostrzonych krawędzi. Trzeba tylko pamiętać, żeby nie przykucnąć, uśmiechnął się do siebie.

Stał w rozkroku, balansując na ugiętych kolanach. Spróbował wyrwać ostrze z za pasa...

Do niczego.

Gdy wyciągał je spod kołnierza, ręka gotowa było do rzutu. Wystarczył silny wymach. Teraz musiał najpierw podnieść rękę, odchylić dla zamachu... Dużo czasu, w sam raz, by poczuć sztylet w brzuchu. To na nic.

Wyjął ostrza z za pasa, przysiadł na pniu służącym do rąbania drzewa. Coś trzeba wymyślić, tak to bez sensu. Spojrzał na pięć nożyków trzymany w dłoni. Z trudem, lecz wszystkie mieściły się w garści. Wstał, przytrzymał cały pęk przy karku, sięgnął drugą ręką. Może się uda.

Wyrzucenie pięciu pocisków zajęło więcej czasu niż kiedyś. Przeszkadzała uniesiona lewa ręka, nie mógł właściwie balansować ciałem. Jednak wszystkie pieńki zostały trafione, choć niezbyt czysto.

Zrezygnował jednak z dalszych prób. Pozycja była niewygodna i nienaturalna, obawiał się nabrać złych nawyków. Trudno, trzeba poćwiczyć pojedyncze rzuty, potrenować celność. Na resztę przyjdzie jeszcze czas.

Postępując, przytargał ciężki, wypatrzony przed drewnianymi pieńkami. Postawił go na sztorc, powbił noże – nie miał ochoty trzymać ich za pasem.

Uniósł jedno ostrze, chowając je za karkiem. Chwilę stał, po czym nagle machnął ręką. Ostrze trafiło w sam środek pieńka. Dobrze, pomyślał, tylko tak dalej.

Gdy szykował się do następnego rzutu, spod sterty szczap wybiegł dorodny szczur, wypłoszony widać odgłosem trafienia. Jason brał już zamach. W ostatniej chwili bezwiednie zmienił cel. Nie lubił szczurów.

Nawet w swej najlepszej formie musiałyby uznać rzut za znakomity. Szczur biegł dosyć szybko, oddalony był już o dobre dziesięć kroków. Nic to nie pomogło, pocisk przybił go do ziemi, niemalże odcinając głowę.

Teraz trzeba będzie wycierać, przebiegła Jasonowi przez myśl, mimo zadowolenia, spóźniona refleksja. Nie tylko nie lubił szczurów, brzydził się nimi również.

Drgnął, gdy usłyszał śmiech gdzieś z tyłu, za sobą. Pochłonięty ćwiczeniami nie spostrzegł, że ma towarzystwo. Odwrócił się.

– No, no, wspaniale. – Match z aprobatą kiwał głową. – Taki mały cel... Więc do tego służą te nożyki... Zastanawiałem się... – Urwał niespodziewanie.

Właśnie, zastanawiałeś się, pomyślał, zastanawiałeś się, zamiast po prostu spytać.

– To i tak na nic – zaczął Jason gwoli podtrzymania rozmowy. Wyjaśnił trudności, jakie sprawiał brak pochwy. Match słuchał, kiwając głową.

– No, tutaj nic nie wymyślisz – powiedział po chwili. – Trzeba by do miasta...

Tyle Jason wiedział sam. Podszedł do przybitego do ziemi szczura. Zaciskając zęby, przydepnął ścierwo butem i wyciągnął ostrze. Rozejrzał się, czym tu wytrzeć. Po chwili znalazł trochę słomy na podłodze drewni.

Match próbował wyciągnąć nożyk wbity w pień. Szło ciężko, dopiero gdy z całej siły poruszał ostrzem na boki, poluzowało się na tyle, że wyszło z drewna. Był zdziwiony głębokością, na jaką się wbiło.

– Musisz mocno rzucać – zauważył.

– To raczej kwestia wagi – sprostował Jason. – Najważniejsze jest nauczyć się rzucać tak, by trafiało ostrzem. Wszystko inne samo przychodzi z czasem...

Match z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Po jakichś pięciu latach – dokończył Jason ze śmiechem. – Chcesz



spróbować?

Oczekiwał, że Match zacznie się wymawiać. Zdziwił się zatem, gdy ten bez słowa wyciągnął rękę.

– Zaraz, zaraz – powiedział Jason zaskoczony. – Najpierw zasady. Rzucałeś kiedyś czymś takim?

– Nożem, owszem. Czymś takim nie.

– To słuchaj. Trzymasz zawsze za trzonek, nieważnie, czy rzucasz na pięć, czy dziesięć kroków. Dalej niż na dziesięć wprawdzie można trafić, ale to się już rzadko udaje. Pamiętaj, za trzonek, nie za ostrze, jak nóż. To sprawa wyważenia. Ostrze musi zrobić dokładnie pół obrotu, zanim trafi w cel. Nie mniej, nie więcej. Właściwy obrót nadajesz ruchem nadgarstka.

Match słuchał uważnie, lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. O nic nie pytał, jak zwykle. Jason zezłościł się. Denerwowała go beznamiętna maska, jaką Match często przybierał. Jeszcze bardziej niż gadanina, w jaką wpadał od czasu do czasu, o rybkach i innych duperelkach...

– Nie myśl, że od razu ci się uda. Musisz zgrać ruch nadgarstka z siłą wymachu. To zależy od odległości, na jaką rzucasz, i jest najtrudniejsze do opanowania. Zajmuje najwięcej czasu. Nie zawracaj sobie głowy celowaniem, i tak nie trafisz w to, co chcesz. Może za parę miesięcy, jeżeli będziesz pilnie ćwiczył... Kwestia wyczucia.

Jason uśmiechnął się złośliwie. Przyszedł czas na rewanż.

– Rzucaj tam, w ścianę drewni. Pięć kroków na początek będzie w sam raz.

Match podrzucił ostrze w dłoń.

– Dlaczego nie w pieńki? – zapytał, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Dlatego, że nie mam zamiaru szukać potem nożyka gdzieś w trawie – odpalił Jason. – Ciężki jest, daleko polecą, a te chwasty, choć zeszłoroczne, są wysokie. Za dużo pracy mnie to kosztowało, żebyś teraz miał zgubić za pierwszym rzutem...

Match tylko wzruszył ramionami, ale posłusznie stanął naprzeciw zbitej z krzywych desek ściany. Zamachnął się silnie.

Huknęło głośno. Ostrze uderzyło płasko o deski. Jason starał się ukryć uśmiech.

– Za silnie, za mały obrót – powiedział. – Jeszcze raz.

Za drugim razem ostrze uderzyło trzonkiem. Huk był taki sam, Match rzucał mocno, bardzo mocno.

– Teraz za silna rotacja – skomentował. – Sam widzisz, że to nie takie proste.

Match podniósł ostrze, odszedł od ściany. Jeszcze raz się zamachnął. Nożyk błysnął w locie.

Utkwił w poczerńniętych deskach, wbity prawie do połowy. Miękkie te deski, spróchniałe, przeleciało Jasonowi przez głowę, zanim jeszcze dotarło do niego, co właśnie zobaczył.

– Przypadek – powiedział, siląc się na spokój. – Mnie też na początku od czasu do czasu się udawało.

Match podszedł do ustawionego na sztorc pieńka, na którym leżały pozostałe ostrza. Podniósł jedno.

– Założę się, że nie uda ci się drugi raz. Nikt nie ma na początku takiego szczęścia. Match, co ty robisz, daj spokój...

Silny wymach ręki, świst pocisku. Ostrze ze stukotem wcięło się w pieńek, który, odrzucony siłą uderzenia, stoczył się ze sterty narąbanych szczap.

Jasona zatkało. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu. Spoglądał to na Matcha, który stał z twarzą bez wyrazu, to na leżący na ziemi pieńek ze sterczącym jak na urągowisko trzonkiem.

– To przypadek? – spytał w końcu cicho. – Powiedz, Match, to przypadek?

W głosie słyhać było błagalne nuty. Match z wolna pokręcił głową.

– Nie, to nie przypadek. – Uśmiechnął się, lecz oczy pozostały poważne. – Jak to sam powiedziałaś, kwestia wyczucia.

– Match, nie pieprz mi tu, po dwóch rzutach? – oburzył się Jason. – Kurwa, ja na to potrzebowałem wiele dni, co ja mówię, tygodni, miesięcy...

Był zdruzgotany. Po raz pierwszy miał nadzieję czymś zaimponować, a tu masz...

– Powiedz, już to kiedyś robiłeś? – spytał w końcu podejrzliwie.

Match zaprzeczył.

– Nie, nie robiłem. Z tym wyczuciem nie żartowałem, przepraszam, jeśli tak to zrozumiałeś. Ja się szybko uczę takich rzeczy, wystarczyło.

Jason nie był przekonany, co zresztą dało się zauważyć.

– Trafienie w pieńek to rzeczywiście przypadek – zaczął Match pojednawczo. – Chodzi o to, że wystarczyło mi, żeby załapać, o co ogólnie w tym chodzi, jak rzucać, żeby trafiać ostrzem. Żeby rzucać tak jak ty, musiałbym sporo ćwiczyć. Sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy z tym pieńkiem, no, ale udało się...

Akurat, pomyślał Jason, "strzeliło do głowy". Chciałeś się popisać, to wszystko. Zauważył już, że z Matcha wyłaził czasami mały chłopak, który musiał być we wszystkim najlepszy. Pewnie w młodości zakładał się, kto dalej nasika. Zawsze musiał być pierwszy. Stąd teraz problemy.

Match również spochmurniał. Przysiadł na stercie drewna.

– W końcu muszę ci o tym powiedzieć, to istotne – zaczął po chwili. – Że się tak wyrażę, należy do całej sprawy. Może już się domyślasz, może widziałeś... Nie, gdybyś widział, to nie zareagowałbyś w ten sposób.

\*\*\*

Idąc przez obozowisko, Nazir spostrzegł wysokiego mężczyznę kryjącego twarz w obszernym kapturze szarego płaszcza. Człowiek zdawał się drzemać, siedząc na skraju polany ze skrzyżowanymi nogami. Na kolanach trzymał jałowcową laskę.

Maur przyspieszył kroku. Jako prawowierny muzułmanin unikał spotkań z druidem, który ostatnio często odwiedzał leśny obóz. Gdzieś w głębi duszy Nazir pogardzał tą religią. Wiedział wprawdzie, że raj i tak jest niedostępny dla wszystkich niewiernych, ale chrześcijanie mieli przynajmniej jednego Boga. Nie tak jak druidzi, oddający pokłony całej plejadzie fałszywych bóstw.

Oni byli gorsi. Nazir widział, co potrafili ci niepozorni ludzie. Skoro ich bóstwa były fałszywe, a zatem nie mogły mieć prawdziwej siły, druidzi pozostawali niewątpliwie na usługach szejtana. Może nawet to ghoła, trup przywrócony do życia mocą demonów. Wiedział, że istnieją, jeden z jego braci asasynów zginął w walce z takim właśnie szatańskim

tworem.

Gdyby to od niego zależało, Nazir pchnąłby druida mieczem przy pierwszej okazji, zdając się na Allacha. Niestety, druid cieszył się wielkim uznaniem Matcha i pozostałych. Maur nie zastanawiał się specjalnie, dlaczego. Wystarczyło mu, że tak jest, podporządkował się bez większych oporów. Starał się tylko unikać druida, czego nikt nie mógł mu zabronić.

Tymczasem sprawa była prosta. Dla banitów, pochodzących z puszczańskich wiosek, potomków Celtów, Brytów, Piktów dawna wiara nie umarła. Mimo kilku wieków, które upłynęły od chrztu, powłoka chrześcijaństwa była bardzo cienka. Wciąż kultywowano pogańskie obrzędy i zwyczaje. Religię chrześcijańską wyznawali panowie, normańscy najeźdźcy. Im dalej od miast, im bardziej niedostępne rejony, tym żywotniejsze były stare wierzenia.

Teraz, podczas rebelii, z wierzeń tych uczyniono symbol. W puszczańskich wioskach, dokąd nie docierali już wysłannicy chrześcijaństwa, dawna wiara rozkwitała jak nigdy od kilku wieków.

Spod kaptura błysnęło uważne spojrzenie. Maur odwrócił głowę. Niechęć najwidoczniej była obopólna.

Nazir minął siedzącego mężczyznę. Znalazł Matcha w szałasie.

– Jeżeli chcesz, to zaczynamy – powiedział bez żadnych wstępów.

Maur był jedynym wśród banitów człowiekiem mogącym uchodzić za mistrza w posługiwaniu się mieczem. A raczej mieczami, nosił bowiem dwa krzywe, arabskie miecze w pochwach skrzyżowanych na plecach. Z pozostałych jedynie Will Scarlett posiadał, jako dawny żołnierz, pewne umiejętności, nawet dość wysokie, jak sam przyznał kiedyś Nazir. Daleko było mu jednak do perfekcji Maura. Pozostali mieli niejakię pojęcie, lecz raczej nie dotrzymaliby pola któremuś z rycerzy, zaprawionemu w walce od najmłodszych lat. O rekrutach z puszczańskich wiosek nie ma co mówić. Ich broń to łuk, widły, kij, sękata pała. W starciu wręcz nie daliby sobie rady nawet ze zwyczajnymi, słabo wyszkolonymi zbrojnymi.

Match po nauczce, jakiej udzielił mu pan de Folville, chciał zabezpieczyć się na przyszłość. Kiedyś, gdy otrzymał z rąk Marion miecz Robina, Will Scarlett oświadczył, że to wstyd, sławny miecz nosić tylko od parady. Przez pewien czas uczył Matcha podstaw, twierdząc, że robi

postępy. Match jednak wkrótce przerwał naukę. Za bardzo wziął sobie do serca pochwałę Willa, uznał, że potrafi już wystarczająco wiele. Dopiero spotkanie z sir Bertrandem sprowadziło go z powrotem na ziemię.

Zaraz po walce Match poprosił Maura o pomoc. Wstydził się zwrócić ponownie do Willa, uważał także, że jego umiejętności nie dorównywały umiejętnościom rycerza. Nie mylił się. Nie wiedział, iż także Nazir doszedł do wniosku, że nawet w jego przypadku wynik starcia byłby wątpliwy. Maur zgodził się jednak od razu, myśląc, że przy okazji znajdzie wytłumaczenie swoich niejasnych odczuć. Coś mu się bardzo w tym wszystkim nie podobało, coś, czego nie potrafił dokładnie określić.

Match podniósł z posłania owiniętą pasem pochwę. Szykował się do wyjścia z szałasu, gdy Nazir zatrzymał go i poprosił o pokazanie miecza. Match zdziwił się, lecz podał go, nie wyjmując z pochwy.

Nazir zważył miecz w ręce. Nic nie mówiąc, wyszedł przed szałas. Obnażył ostrze, odrzucił pochwę niedbale na trawę. Zamachnął się, wykonał szybkie cięcie. Zasycało rozcinane powietrze.

– Za ciężki – stwierdził niechętnie.

Match wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Za ciężki dla mnie? – spytał po chwili. – Jesteś niższy ode mnie, lżejszy. Może ci się wydaje.

– Za ciężki dla każdego – odpowiedział Nazir spokojnie. – Trudno, lepszego nie ma...

– Czy ty wiesz, co mówisz? – oburzył się Match. – To sławny miecz, od niepamiętnych czasów... Ponoć należał kiedyś do rycerza Okrągłego Stołu! Cholera, nie pamiętam którego, Robin mówił kiedyś... No, mniejsza z tym, w każdym razie już nasi sławni przodkowie...

– No właśnie. – Maur skrzywił się. – Już przodkowie... Tymczasem, Match, cała sprawa w tym, że świat idzie naprzód, jeśli to w ogóle zauważyłeś. To, co było dobre dla przodków, niekoniecznie jest dobre dzisiaj. Z wami to naprawdę jest problem, przodkowie, tradycja... Nosicie te ciężkie drągi, nawet rycerze. I tylko dziwicie się, jeżeli ktoś, kto jest mniej przywiązany do tradycji, a bardziej ceni sobie skuteczność, posieka was na kawałki.

Szybkim ruchem sięgnął do ramienia, dobył jeden ze swych krzywych mieczy i podał go Matchowi, razem z jego mieczem.

– Porównaj ciężar – powiedział.

To było widoczne na pierwszy rzut oka. Match skinął niechętnie głową. Maur się roześmiał.

– A teraz przypomnij sobie, jaki miecz miał de Folville, o ile oczywiście zdołałeś się przyjrzeć. Ja się przyjrzałem, mam oko do takich szczegółów.

Nazir miał rację. Match wprowadził podczas walki nie zaprzętał sobie zbyt gwałtownie głowę orężem przeciwnika, ale co nieco zapadło mu w pamięć. To na pewno nie był miecz po przodkach, choćby bardzo słynnych, i na pewno był o wiele lżejszy w porównaniu z tym, którym wymachiwał Match. Nawet biorąc pod uwagę wprawę rycerza, dało się zauważyć łatwość, z jaką mógł kierować lekką klingą. Match spostrzegł jeszcze jedno: miecz wbrew powszechnym obyczajom nie miał żadnych zdobień. Była to broń czysto funkcjonalna.

– Klinga z pewnością naszej roboty, to znaczy wschodnia – Nazir dodał swe obserwacje. – Albo robiona na zamówienie, albo specjalnie dobierana do jego wzrostu, przyzwyczajęń. Prosta, wzór normkański, nie zakrzywiona, jak większość naszych. Rękojeść długa, bastardowa, do jednej lub obu rąk. Na pewno nie używa tarczy, i słusznie.

Matchowi pozostało jedynie robić mądrą minę i potakiwać. Małomówny zwykle Maur rozgadał się, gdy trafił na interesujący go temat.

– Wiesz, de Folville zlekceważył cię z początku. Mógł cię zabić od razu, w pierwszym złożeniu. Chciał jednak trochę przedłużyć zabawę, w której nie miałeś większych szans...

Match zgodził się z tym w duchu. Sam miał podobne wrażenie, domyślał się też, dlaczego rycerz nie zabił go przy pierwszej okazji. Nie można tego nazwać lekceważeniem, sir Bertrand był i tak pewny zwycięstwa. Gdy Match po raz pierwszy spojrzął w oczy rycerza, zobaczył w nich cień uznania, że przyjął wyzwanie, stanął do walki. De Folville przestał w nim widzieć zwykłego zbója, którego należy jak najszybciej unieszkodliwić. Nie chciał, by przypominało to egzekucję...

– Miał pecha, potknął się – ciągnął Nazir. – A ty miałeś szczęście.

Ciężki miecz pomógł ci w ostatniej chwili, ściągnął twoją rękę w dół odrobinę szybciej, tak, że mogłeś odbić ten cios. Ale to przypadek. Przedtem jego waga tylko ci przeszkadzała...

Wyciągnął ręce, odebrał od Matcha obydwa miecze. Swoją, nie patrząc nawet, wsunął z powrotem do pochwy na plecach.

– Jeszcze jedno, Match – dodał. – Twojego miecza nie da się porządnie naostrzyć. Jak na dzisiejsze wymagania ostrze jest miękkie. Co prawda, nie ma to większego znaczenia przy pchnięciach, jednak kolczugę już nie zawsze przetrniesz. Jeżeli przeciwnik będzie miał pod nią gruby, watowany kubrak, to owszem, poczuje uderzenie, ale wielkiej krzywdy mu nie zrobisz. Najwyżej siniaka, może złamiesz kość... Zresztą w ogóle, jak walczysz prostą klingą, to jeśli tniesz, musisz pociągnąć. Albo popchnąć, ale to już trudniejsze. Rozumiesz? Uderzasz środkiem ostrza i pociągasz jednocześnie do siebie. Wtedy masz większe szanse przecięcia kolczugi, zresztą każde cięcie prostą klingą jest wtedy skuteczniejsze.

Maur podał Matchowi miecz, podniósł z trawy pochwę z pasem. Match rozważał to, co właśnie usłyszał. Widział efekty uderzeń Nazira, czysto przecięte kolczugi, rozwalone wraz z misiurkami głowy, odcięte ramiona. Przypomniawszy sobie codziennie odprawiany przez Maura rytuał ostrzenia i przecierania kling obu mieczy, do czego Nazir używał specjalnej skórzanej opaski, którą zwykle nosił na przegubie. Czynność ta pochłaniała go całkowicie, wtedy nie zwracał uwagi na żarty i docinki.

Odeszli kawałek w las. Match nie chciał zbiegowiska, obawiał się śmiechów, na jaką mógł się narazić. Znaleźli kawałek równego terenu. Podłoże było twarde, porośnięte niską trawą. Zatrzymali się.

Nazir postanowił zacząć od zwykłej, pozorowanej walki. Chciał najpierw poznać możliwości Matcha. Na układanie ręki będzie czas, trzeba zobaczyć, do czego jest naprawdę zdolny. Sama obserwacja pojedynku z rycerzem wprawdzie powiedziała Maurowi wiele, ale nic nie mogło zastąpić rzeczywistego skrzyżowania ostrzy.

Na początek użył tylko jednego ze swych mieczy. Metal dźwięczał przy każdym uderzeniu, nie trwało to jednak długo. Wkrótce Match zezował z niedowierzaniem na klingę Maura przystawioną do swojej szyi, tuż pod uchem. Na wszelki wypadek tępą krawędzią, zakrzywione miecze Nazira nie były obosieczne.

Nazir błysnął zębami w uśmiechu, odjął broń od szyi Matcha. Odstąpił o krok.

– Masz lepszy miecz. – Oskarżycielski ton Matcha wywołał jeszcze szerszy uśmiech. – Sam mówiłeś, to dlatego...

Nazir spoważniał. Już się nie uśmiechał.

– Owszem, mam – przytaknął, w głosie nie było wesołości. – Właśnie to usiłuję ci wbić do głowy. Nie ma pojedynku, który jest z założenia uczciwy, mimo tego, co opowiadają ci wasi bardowie i minstrele. Zawsze ktoś ma przewagę, lepszą broń, słońce, dajmy na to, za plecami, zamiast w twarz. Czasem ma dłuższe ręce, albo jest po prostu lepszy. Walka nigdy nie jest sprawiedliwa. Jeśli ci się to nie podoba, to poprzestań na strzelaniu z łuku, najlepiej z ukrycia, wtedy będziesz miał przewagę.

Match poczerwieniał.

– Nazir, posłuchaj, ja nie... – próbował wtrącić.

– Jeśli jednak już staniesz do walki – Nazir nie pozwolił przerwać – to wtedy musisz wykorzystać wszystko, co masz, a nie narzekać, że przeciwnikowi z jakiegoś powodu jest łatwiej.

Match słuchał i potakiwał w milczeniu. Było mu głupio. Ostatecznie miał się czegoś nauczyć.

– Twój miecz jest dłuższy, ty sam jesteś wyższy, masz dłuższe ręce – ciągnął Maur, nie zwracając uwagi na jego zakłopotanie. – Wyciągnij więc wnioski...

Uniósł miecz i skoczył do przodu.

– Tylko szybko! – dokończył, przekrzykując szcęk uderzających o siebie ostrzy.

Match nie wyciągnął wniosków. Odbił wolne, specjalnie sygnalizowane cięcie i, niepomyślnie na pouczenie, skoczył do przodu. Po chwili znów mógł popatrzeć z bliska na ostrze przyłożone do szyi. Trochę niżej, nie do tętnicy pod uchem, ale tym razem ostrą stroną. Nazir uznał, że dosyć żartów, może w ten sposób do niego dotrze.

Match poruszył się ze złością. Maur lekko docisnął broń, na skórze pojawiła się kropelka krwi.

– Co ty... – wykrztusił Match. – Zabieraj to zaraz!



Nazir nie poruszył się, tylko oczy mu się zwęziły.

– Rzuć broń – warknął po chwili.

Match wyprostował palce zastygłej w pół zamachu ręki, broń upadła na trawę. Ostrze naciskające na szyję cofnęło się. Match syknął. Nazir nie odmówił sobie przyjemności przejechania samym czubkiem po skórze.

– Jesteś trupem – skwitował krótko. – Jesteś trupem, bo nie myślisz. Nie chcesz widać niczego się nauczyć...

– Właśnie miałeś mnie uczyć! – wybuchnął Match. Potarł dłonią szyję, z niedowierzaniem przyjrzał się krwi na palcach. – Miałeś pokazać wszystkie sztuczki, jakie sam umiesz! Jak mam z tobą wygrać, skoro ich jeszcze nie znam? Naucz mnie najpierw, a nie zaczynaj od pokazywania, że gównu umiem!

Trząśnięty całym ze złości. Nazir spoglądał z twarzą bez wyrazu.

– Sam wiem, że gównu umiem – dodał w końcu Match z rozgoryczeniem. Usiadł na trawie. Nazir siadł obok niego. Może coś z tego jeszcze będzie, pomyślał.

– Sztuczki nie przydadzą ci się na nic – zaczął po chwili spokojnie. – Na nic, wierz mi. Przynajmniej dopóki nie zrozumiesz podstawowych rzeczy.

Urwał na chwilę. Spojrzał uważnie.

– Wydawało ci się, że to na niby. Że możesz bezkarnie spróbować, co się stanie, jeśli zlekceważysz to, co ci właśnie powiedziałem, że zrobisz po swojemu. Bo przecież co się może stać? Najwyżej wyjdiesz na głupka. Otóż nie. Zawsze może się coś stać, chociażby ręka mi się omsknie, niewiele, tylko trochę. Nie walczymy na patyki, Match, tu nie kończy się na poobijanych palcach. Jakby co, to paluchów będziesz szukał w tej trawie... Rozumiesz już?

Match pokiwał głową.

– Nie, Match, to nie wystarczy – odrzekł twardo Maur. – Zakarbuju sobie dobrze to, co ci teraz powiem. Jeśli jeszcze raz nie posłuchasz, to może cię nie zabiję, ale trochę naznaczę, tak, żebyś poczuł. Może wtedy dotrze do ciebie to, że nie ma walki na niby. A teraz, jeżeli ochota ci nie przeszła, to zaczynamy. Dokładnie tak, jak mówiłem...

Gdy po kilku złożeniach odskoczyli od siebie, Nazir uśmiechnął się

tylko.

– Jak to u was mówią, nauka wypisana na dupsku najlepiej wchodzi do głowy – zażartował. – O to chodziło, zwiększyć dystans, wykorzystać długość miecza i rąk. Nie rzucać się do ataku jak idiota. To ja wtedy muszę iść do przodu...

Match uśmiechnął się również, za chwilę jednak spochmurniał.

– W ten sposób cię nie osiągnę. – W jego głosie zabrzmiało zniechęcenie. – Mogę się tylko bronić.

– Dopiero zaczynamy. Na razie powinno ci wystarczyć, że i mnie byłoby trudniej cię osiągnąć. Twoja broń jest cięższa, potrzebujesz zatem więcej czasu, więcej miejsca... Poza tym, pamiętaj, że nie walczysz tylko mieczem, nie to jest najważniejsze. Nie koncentruj się wyłącznie na broni. Walczysz, że tak powiem, całym sobą. Unik jest równie dobry jak zasłona, czasami nawet lepszy, wybija przeciwnika z rytmu, powoduje utratę równowagi. Pamiętaj o tym.

Znów przyjęli postawę do walki.

– Nie patrz tylko na miecz – dodał Nazir. – Ostrze może zmylić, zresztą właśnie o to chodzi. Obserwuj całe ciało przeciwnika, nogi, tułów... To więcej powie ci o jego zamiarach niż broń, na którą...

W połowie zdania zaatakował, myląc właśnie Matcha szybkim ruchem ciała w prawo. Ten odruchowo osłonił się, zdążyłby, gdyby cięcie przyszło ze spodziewanej strony. Po chwili wstawał, łapiąc się za szczękę, w którą trafiła pięść Maura.

Match splunął. Drugą ręką rozcierał kolano, stłuczone przy upadku.

– Wiem, patrzyłem na miecz – przyznał niechętnie. Nazir kiwał głową, luźno opuściwszy rękę trzymającą broń.

Match, pozornie niezgrabnie zbierając się z ziemi, tuż przed nim wyprostował się nagle. Błyskawicznym ruchem przystawił mu do gardła wyciągnięty z cholewy sztylet. Gest był szybki, bardzo szybki.

– O to ci chodziło? – sapnął triumfalnie, przybliżywszy twarz do twarzy Maura. Zdziwił się, nie widząc w jego oczach zaskoczenia.

– Mniej więcej. – Nazir nie mógł pokiwać głową, uniemożliwiało to sztylet opierający się o grdykę. – Nie ciesz się jednak za bardzo...

Spojrzeniem wskazał w dół. Match poczuł, że stoi mu się trochę

niewygodnie, coś uwierało w kroku. Poszedł za wzrokiem przeciwnika i zobaczył rękę trzymającą miecz. Klinga wystawała spomiędzy rozstawionych nóg, przystawiona do krocza. Tępą stroną. Match wolno, ostrożnie odsunął ostrze od gardła Nazira.

– Owszem, zabiłbyś mnie – przyznał ten spokojnie. – Ale resztę życia spędziłbyś jako dziewczynka, w najlepszym wypadku...

\*\*\*

Match szybko się uczył, aż za szybko. Do Nazira powrócił niejasny niepokój, który udzielił mu się podczas walki z de Folville'em.

Gdy Match, nauczony doświadczeniem, przestał robić głupstwa, Maur spostrzegł, że nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Co więcej, jeśli cokolwiek, cios, unik, zwód ciałem, wyszło mu raz poprawnie, powtarzał to potem idealnie.

Chociażby to. Pokazał mu, jak zatrzymywać silny cios w sposób, by nie drętwiała ręka, która przejmowała całą energię uderzenia. Match świetnie pamiętał, jak sir Bertrand najpierw serią uderzeń doprowadził do tego, a następnie wytrącił broń, której nie mogły utrzymać zmartwiałe palce. Chodziło o to, by zasłonę ustawić pod pewnym kątem, a w samym momencie uderzenia lekko zmienić kierunek ciosu przeciwnika, nie zatrzymać jego ostrza w miejscu, nie przejmować całej energii. Niby proste... Maur przypomniał sobie jednak, ile czasu i bólu ponaciąganych ścięgien i mięśni kosztowało go kiedyś opanowanie tej pozornie prostej sztuczki.

Match długo nie mógł pojąć, o co chodzi. Kiedy jednak zrozumiał, nie udało mu się tylko trzykrotnie. Za czwartym razem wykonał zadanie znakomicie. Nazir złożył to na karb przypadku. Wiedział, że dojście do perfekcji wymaga długich, bolesnych ćwiczeń.

Match nie potrzebował treningu. Od tej chwili powtarzał zasłonę bezbłędnie, mimo wielokrotnie ponawianych przez Nazira prób.

To było niewiarygodne.

Nazir zrozumiał coś, co w czasie walki Matcha z rycerzem wydawało mu się niemożliwe. De Folville nie zlekceważył Matcha. Nie przedłużał

pojedyńku w imię jakichś niejasnych powodów. On naprawdę miał trudności. Niesamowita szybkość reakcji Matcha, jego intuicja, zdolność do niepowtarzania tych samych błędów równoważyły kompletny brak przygotowania.

Do Maura dotarło właśnie, że jeżeli potrafił trafić Matcha, przejść przez zasłonę, to jedynie dlatego, że obciążony wagą swej broni Match czasem z nią nie zdążał. Ale prawie zawsze rozpoczynał ruch, który świadczył o tym, że pojął zamiary przeciwnika. Gdy odoczył się wpatrywania w samo ostrze, Nazirowi coraz trudniej było go pokonać.

To niesamowite, myślał Nazir, wręcz niemożliwe. Żaden człowiek nie może...

Niepostrzeżenie dla samego siebie Nazir zaczął walczyć prawie na serio. Match jeszcze nic nie spostrzegł. Oddychał już ciężko, uwijając się, by wyłapać padające wciąż ciosy. Posłuchał polecenia, nie atakował, bronił się tylko. Mimo zmęczenia uśmiechał się, dobrze mu szło.

Nie zauważył dziwnych błysków w oczach przeciwnika.

Maur zdał sobie sprawę, że ten gówniarz, który jeszcze do niedawna ledwie kojarzył, którą stroną miecza siec przeciwnika, nie da się trafić. Że zdążył przyswoić sobie tyle, ile on sam przez pół roku wyczerpującej nauki. Dla normalnego człowieka to niemożliwe...

Niejasny niepokój przeradzał się powoli w lęk i wściekłość. Z kim zatem walczę teraz w tym obcym, wrogim lesie? Bo to jest walka, chociaż ty jeszcze o tym nie wiesz. Kim ty jesteś, Match?

Błysnęły zęby spod ściągniętych warg. Nie bacząc już, że gdy ten cios dojdzie, rozpląta Matchowi głowę jak dojrzały melon, uderzył.

Miecz zadzwonił o wyrzuconą w bok, trzymaną ostrzem do ziemi klingę. Match zszedł półobrotem, nie próbował unieść miecza. Instynktownie zrobił coś, co było jedynym sposobem uniknięcia śmiertelnego ciosu.

Uśmiechnął się radośnie, oczekując pochwały. Nie doczekał się.

Nazir wyszarpnął z pochwy na plecach drugi miecz. Match spojrzał z zaskoczeniem. Przeciwnik natarł bez pardonu.

Tym razem Match nie zdołał się zasłonić. Tego jeszcze nie przerabiali. Po paru rozpaczliwych unikach stanął, mając na szyi skrzyżowane ostrza

krzywych mieczy Maura. Wiedział, że teraz wystarczy tylko pociągnąć oburącz, a głowa potoczy się po trawie.

Uśmiechnął się, dysząc ciężko.

– Co, nie było tak źle, prawda? – spytał radośnie. – Sam powiedz! Nie było tak źle...

Nacisk ostrzy na gardle wzmógł się. Oczy Nazira były zimne. Match poczuł, jak stal wbija się w skórę.

– Zabieraj je – wykrztusił z trudem. – Nie musisz mi już nic pokazywać, już zrozumiałem...

Maur nie poruszył się, nacisk nie zelżał. Widząc jego spojrzenie, Match poczuł pot spływający po kręgosłupie.

– Odbiło ci?! – wrzasnął już nieźle przestraszony. – Kurwa, odbiło ci?

– Kim ty jesteś? – Ostrza nawet nie drgnęły.

– Nazir, kurwa, o co ci chodzi? – Match zupełnie nie rozumiał. Niewzruszone spojrzenie napawało go lękiem. Zwariował, przeleciało mu przez myśl, zaraz poderżnie mi gardło. O co mu, kurwa, chodzi?

– Mów, kim jesteś – powtórzył Maur.

– O co ci chodzi? – rozdarł się Match. – Może wyjaśnisz, bo ja nic...

Przez chwilę myślał, widząc niebezpieczny błysk w utkwionym w siebie wzroku, że to już teraz, że Nazir pociągnie miecze. Jednak nie.

– Powiedz, kim jesteś – spokojny, równy głos, choć w oczach czało się szaleństwo. – Nie jesteś człowiekiem. Żaden człowiek nie może tak... Co ci zresztą będę mówił, sam wiesz najlepiej...

Match z trudem przełknął ślinę. Wciąż nic nie rozumiał.

– Może jesteś demonem, który nawiedził to ciało. Może złym duchem. Wiem, nie mogę cię zabić – Nazir wyszczerzył zęby w złym uśmiechu – ale zawsze mogę zabić to śmiertelne ciało, w którym teraz przebywasz. Wzywam cię przeto, byś wyjawiał, kim jesteś, po co się tu zjawiłeś...

No, pięknie, mimo całej powagi sytuacji Match o mało histerycznie się nie roześmiał. I co ja mam mu teraz powiedzieć? I to szybko, bo jak nie...

– Odpowiedz więc, wyjaw swe prawdziwe imię. Nie wiem, może będę nadal ci służył. Może nie. Ale muszę wiedzieć...

– Nazir, ja... – spróbował błagalnie Match. – Zastanów się, co ja mogę...

– Wzywam cię po raz ostatni, wyjaw swe imię, swe zamiary. – Mięśnie ramion Maura naprężyły się. – W imię jedyne Boga, mów, kim jesteś!

Match z rezygnacją przymknął oczy. Czekał na ostatnie cięcie.

Zamiast tego dobiegł go obcy głos.

– Jest jednym z nas – usłyszał.

\*\*\*

– Jest jednym z nas, muzułmaninie. – Człowiek w jasnym płaszczu z kapturem pojawił się nie wiadomo skąd na polanie. – Opuść broń, i tak nie jesteś w stanie tego pojąć.

Match uchylił zaciśnięte powieki. Zimny ucisk na gardło osłabł trochę.

Nazir bardzo wolno, jakby wbrew woli odwrócił wzrok od jego twarzy. I wtedy spostrzegł mężczyznę w płaszczu z kapturem. Bładobłękitne oczy wpatrywały się w niego z uwagą.

Poczuł, jak napięte mięśnie ramion rozluźniają się, ręce opadają bezwładnie. Palce stały się sztywne, nie mógł utrzymać rękojeści. Po chwili wypuszczone z rąk miecze brzęknęły, spadając na trawę.

– Tak lepiej – powiedział druid. Przeniósł spojrzenie na Matcha.

Nazir poczuł, że znów może się poruszać. Popatrzył na Matcha, który stał wciąż, pocierając szyję dłońmi. Rozmazywał po niej krew z dwóch cienkich kresek, które zostawiły ostrza. Na twarzy malowało się zaskoczenie i niedowierzanie.

Jest tak samo zdumiony jak ja, zrozumiał Nazir, gdy po krótkim oszołomieniu wróciła zdolność myślenia. On też nie wiedział.

\*\*\*

– Spodziewałem się silniejszej reakcji. – Druid siedział po swojemu, trzymając na kolanach jałowcową laskę, odrzucił tylko kaptur.

Match pokręcił głową. Wciąż do niego nie docierało to, co niedawno

usłyszał. Było zbyt niewiarygodne. Co innego Nazir.

Ten przykucnął ponuro wpatrzony w ziemię. Owszem, to wiele tłumaczyło. W tym obcym, dziwnym kraju widział wiele przykładów tego, co mogą druidzi. Przed chwilą przekonał się na własnej skórze. Wciąż rozcierał ramiona, czując nieprzyjemne mrowienie.

Nie miał przyjaciół. Tacy jak on nigdy nie mieli. Świat dzielił się na wrogów i na tych, wobec których był lojalny, którym służył. Teraz dał o sobie znać tkwiący głęboko w duszy żal. Żal, że ten chłopak, który zaczynał wzbudzać w nim podziw i sympatię, uczucia nigdy dotąd niedoświadczane, okazał się czymś obcym. Czymś, czego nie rozumiał. Czego się obawiał. Do czego czuł odrazę. Właśnie czymś, nie kimś...

– Dobrze, więc ja zacznę – ciszę przerwał druid. – Skoro nie ma żadnych pytań... Są jednak odpowiedzi.

Pytań wciąż nie było. Match wyglądał na oszołomionego. Nazir nie podniósł nawet głowy.

– Dobrze – powtórzył druid. – Zaczniemy od ciebie, będzie szybciej. Do ciebie mówię, morderco.

Maur uniósł powoli twarz, spojrzał na druida. Nie hamował się specjalnie, spojrzenie nie wróżyło nic dobrego. Druid uśmiechnął się.

– Nie uważasz się pewnie za mordercę, wolisz nazywać się zabójcą, zawodowcem. To na jedno wychodzi, tak naprawdę. Boisz się, ale zęby szczerzysz, patrzysz spode łba. Chwali się odwaga, lecz nic ponadto. Nic nie wiesz i nic nie rozumiesz.

Nazir nie odwrócił wzroku.

– Nie lubisz mnie. Gardzisz mną i takimi jak ja, mimo iż się nas obawiasz. Pogardzasz naszą wiarą, nazywasz nas, niech no sobie przypomnę, niewiernymi psami. Nie zaprzeczaj, wystarczy tylko spojrzeć, posłuchać twoich myśli. Tak, właśnie posłuchać, nie wstrząsać się tak. Tyle w nich pogardy i nienawiści, że rozchodzi się daleko...

– Jeden jest Allach, a Mahomet jest jego prorokiem. Tylko ten, kto w niego wierzy, dostąpi raju. – W ochryplym nagle głosie Nazira nie było tłumaczenia. Była niewzruszona pewność.

– O to ci chodzi – mężczyzna zdziwił się obłudnie. – No, no, cóż za szczerą i głęboką wiarą. Dobrze więc, co prawda nic nie muszę ci

wyjaśniać, ale spróbuję. Mówisz, że Bóg jest jeden, jeden prawdziwy, i jest to przypadkiem akurat ten, którego wyznajesz ty i tobie podobni. Pozazdrościć pewności. W związku z tym, wszyscy ci, którzy wybrali sobie innego lub innych, są po prostu niewierni, w najlepszym razie błędzą. Nieważne, że dużo wcześniej od was, zanim ten prorok zstąpił i objawił wam prawdę, co nastąpiło całkiem niedawno, byli już tacy, którzy wpadli na ten sam pomysł. Właśnie taki, że ich Bóg jest jeden, a wszyscy inni to fałszywe bałwany. Nawet nie próbuj!

Wyciągnięty do połowy miecz znów wsunął się do pochwy. Nazir nie spróbował.

– Jak już wiesz, nie wszystko można załatwić, ucinając głowę temu, z kim akurat się nie zgadzasz. Nawet w kwestiach wiary. – Druid nie podniósł głosu. Utkwił tylko w twarzy Maura nieruchome spojrzenie jasnoblękitnych oczu.

– Tak lepiej – dodał, widząc, że dłoń cofnęła się od rękojeści. – Nie mam wprawdzie wielkiej nadziei, że zrozumiesz, niemniej spróbuję ci coś uświadomić. Jesteśmy tu od dawna, od bardzo dawna. Wierzymy, że istnieje sprawcza moc, od której wszystko wzięło początek, która wciąż ma wpływ na nasze uczynki, na cały świat. Na to, co było, jest i będzie. Staramy się ją zrozumieć. I nieważne, że personifikujemy ją przez bóstwa i duchy. Tak jest po prostu łatwiej, jeżeli nie dla nas, to dla innych, tych, którzy nie mają daru widzenia natury rzeczy. Zastanów się więc, czy przypadkiem ty nie wierzysz w to samo, chociaż inaczej to nazywasz.

Zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

– Tak, wiem, że cię nie przekonałem – dodał, widząc brak reakcji Maura. – Nadal uważasz to za gusła, nadymasz się z dumy, że tylko ty widzisz samą prawdę. Nad tobą czuwa Allah, który jest Bogiem jedynym i prawdziwym. My nie mamy żadnej mocy, którą daje tylko jedyna i prawdziwa wiara.

Głos był monotony.

– Nasze zło, które jest złem wcielonym, nic ci przecież nie może uczynić. Nawet jeśli cię pokonamy, to i tak trafisz prosto do rajów. Dlatego nie lękasz się nas, tylko czujesz odrazę...

Nagłym ruchem cisnął jałowcową łaskę wprost przed Maura, upadła na trawę.



Nazir zerwał się i wrzasnął.

Wąż z sykiem skręcił się w trawie. Uniósł się, odchylił głowę w tył.

Miecz utkwiał chyba w pochwie, klinga nie daje się wyciągnąć.

W otwartej paszczy podnoszą się długie zęby. Widać mętny, spływający z nich jad, formujący się na końcach w kropelki. Głowa balansuje na wzniesionym ciecie, odchyła się...

Zaraz uderzy.

Ostrze w końcu wyszło z pochwy, lecz głowa węża już skoczyła do przodu.

Za późno. Klinga przecina cielsko, obie połówki wiją się w trawie. Za późno, na ten jad nie ma lekarstwa... Nazir zacisnął powieki.

Jak przez mgłę dociera do niego rozbawiony głos:

– A taki dobry był kijek... Czy ty wiesz, muzułmaninie, jak trudno znaleźć w lesie taki ładny, prosty jałowcowy pręt? Popatrz, co z nim zrobiłeś! Co on ci zawinił? No, otwórz oczy, popatrz!

Nazir otworzył oczy. Zobaczył połówki jałowcowej laski, przeciętej czystym ciosem.

– Tak, wyznawco jedyne i prawdziwego Boga, są rzeczy na niebie i ziemi... – usłyszał jeszcze. – Przemyśl sobie to, co powiedziałem.

\*\*\*

– No to łatwiejszą część mamy za sobą. – W głosie druida nie było wcześniejszej wesołości. – Teraz kolej na ciebie, Match. Naprawdę, sam nie wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej od początku – odparł Match zimno. Pozbierał się już, mimo zaciekawienia sytuacja go złościła.

– Masz rację, od początku. – Druid spojrzał uważnie. – W takim razie łaskawie staraj się nie przerywać, bo cała historia jest długa. I skomplikowana. Pytać możesz na końcu.

Match nie przerywał. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Nie jest mi łatwo mówić, Match – zaczął wreszcie mężczyzna. –

Może dlatego, że chyba nie byliśmy wobec ciebie w porządku, utrzymując cię tak długo w nieświadomości. My wiedzieliśmy już od pewnego czasu, kim naprawdę jesteś. Mieliśmy powody, by ci tego nie wyjawiać, zrozumiesz je wkrótce. Ale w niczym nie zmienia to mojego poczucia winy wobec ciebie.

Druid zawahał się. Obracał w rękach połówki laski, które podniósł z ziemi. Nie patrzył na Matcha, unikał jego wzroku.

– Jesteś jednym z nas, lecz nie takim samym, jak my. – Słowa, choć ciche, były wyraźne. – Żeby być tym, czym stałem się ja, musiałbyś zdobyć wiele umiejętności, wiedzy. Gdyby wszystko potoczyło się normalnie, właśnie kończyłbyś wstępną naukę. Bo nauka trwa dwadzieścia lat, kosztem wielkiego wysiłku i wyrzeczeń. Nie każdy ją kończy, ale nie dlatego, że jest zbyt ciężko i wielu rezygnuje. Nie kończą, bo nie wytrzymują. I umierają. Zanim po wysłuchaniu do końca potępisz mnie, nas wszystkich, pomyśl też i o tym. Może to właśnie ty nie skończyłbyś szkolenia.

Match słuchał nieporuszony. Druid odrzucił kawałki drewna.

– Jesteś jednym z nas, ale nigdy nie będziesz takim jak my – kontynuował. – Już nie możesz, mimo że jesteś potomkiem tych, którzy byli wybrani spośród innych. Od wieków, od początku dziejów. Nosisz w sobie wszystkie ich doświadczenia, lecz nie będziesz mógł z nich skorzystać. Masz je w sobie, bo my jesteśmy kontynuacją, naszej wiedzy nie ogranicza krótkie życie człowieka. Wiemy wszystko, co wiedzieli ci przed nami. Dokładamy własne doznania do tego, co odziedziczą po nas następni.

Druid uśmiechnął się, a jego spojrzenie zamgliło się, jakby spoglądał na obrazy, które pamiętał, a których nigdy nie widział na własne oczy.

– Pamiętam czasy, gdy w tym lesie oprócz nas żyli ci, których lud nazywa elfami, krasnoludami czy gnomami, a walki toczono przy użyciu maczug i kamiennych toporów. Pamiętam przybywających na te ziemie najeźdźców...

Uśmiechnął się szerzej do własnych wspomnień. Własnych? Nieważne, wspominał wszystko, jakby przy tym był.

– Widzę właśnie jednego z nich. Kulawy, zaśliniony staruch z wykręconą gębą. Nie wyglądał na wielkiego wodza, nie potrafił nawet

mówić, nie jękając się przy tym. A jednak podbił Brytanię...

Rzucił złośliwe spojrzenie Maurowi, siedzącemu w ponurym milczeniu.

– Też wątpił w naszą siłę, jak ty. Miał jednak umysł niezmacony wiarą w jedyne go prawdziwego Boga. Nie musieliśmy go straszyć. Wystarczył drobny pokaz, niemal jarmarczna sztuczka z ziarnkami grochu. Zrozumiał od razu, i w duszy przyrzekł sobie wytepić naszą wiarę w caiej Brytanii. Cóż, dziś z jego imperium nie pozostało wiele... Tak, Match, gdzieś w głębi twego umysłu drzemią te wspomnienia, jednak ty nie możesz ich wydobyć.

Match poruszył się niecierpliwie, otworzył usta. Druid potrząsnął głową.

– Co prawda miałeś nie przerywać, ale masz rację. – Uśmiechnął się. – Wybacz, rozgadałem się, zbaczamy z tematu. Tak więc, Match, kiedyś zostałeś wybrany, właśnie wybrany – powtórzył dobitnie – bo trzeba ci wiedzieć, że nie wszyscy z naszego rodu nadają się do tego, by zostać druidami. Ty rokowałeś wielkie nadzieje. Dlatego zajął się tobą osobiście najznamienitszy z nas; miał towarzyszyć ci przez dwadzieścia długich lat, aż do końcowych prób.

Zaledwie jednak po dwóch latach, ty miałeś wtedy cztery, stało się coś, co pokrzyżowało nasze plany. Podczas któregoś z napadów na leśne wioski, przy okazji ściągania zaległych danin czy czegoś w tym rodzaju, zbrojni natknęli się na was. Twój opiekun zginął, ty zniknąłeś. Sądziiliśmy, że też nie żyjesz...

Teraz Match nie wytrzymał.

– Nie przypominam sobie nic z tego, co mówisz – wybuchnął gniewnie. – To... to nieprawdopodobne, niemożliwe...

– Posłuchaj, przecież ty nic nie pamiętasz z dzieciństwa. Nic a nic, przyznaj sam. To, że nie pamiętasz, nie świadczy więc, że to nieprawda.

Match nie zaprzeczył. Druid miał rację. Pierwsze, mętne wspomnienia pochodziły z późniejszego okresu. Oderwane obrazy, słowa, uśmiech tej, którą uważał za matkę.

– Widzisz, traktowano cię jak głupka – podjął druid. – Jak opóźnionego w rozwoju zasmarkańca, zdatnego jedynie do

wykonywania prostych poleceń, który do późnego wieku młodzieńczego wcale nie umiał mówić. Potem mu się nagle poprawiło, ot, wola boska. Ale za mądry nigdy nie był. Tymczasem to proste, Match. Te pierwsze lata to jeszcze nie była nauka, tylko przygotowanie do niej. Wtedy dostawałeś środki, których składem nie będę cię zanudzał, a które wpływały na twój rozwój, także umysłowy i miały pomóc ci pojąć, przyswoić to wszystko, czego od ciebie oczekiwaliśmy. Te środki... przyspieszały rozwój pewnych funkcji, hamując jednocześnie inne. Inne środki miały później pomóc ci w innych rzeczach. Te, których nigdy nie dostałeś...

Druid znowu spuścił wzrok. Widać nie było łatwo mówić takie rzeczy.

– Bez tych, zgoda, sztucznych i przeciwnych naturze sposobów nie miałbyś żadnych szans przyswoić sobie całej wiedzy. Wierz mi, stosowano je od wieków. Dawały również większe szanse przeżycia prób, które powinny cię czekać. Ale w twoim przypadku... spowodowały, że do piętnastego roku życia zatrzymałeś się na poziomie czterolatka. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi po prostu, w całkiem zwyczajny sposób przykro...

Urwał. Match nadal o nic nie pytał. Rozmyślał ponuro o tym, kto zwróci mu te wszystkie lata. Przypomniawszy sobie razy, które musiał znosić od rówieśników i ojca. Przybranego ojca, uświadomił sobie ze zdziwieniem, przybranej matki, która nigdy mu tego nie okazała. Na koniec pomyślał, co druid może sobie zrobić ze swoją przykrością i współczuciem. No dobrze, powiedziałeś swoje, człowieku czy też czym tam tak naprawdę jesteś, a teraz daj już święty spokój. Było, minęło, co to zmienia. Naprawdę nic...

Mylił się.

– Jesteś wściekły – w głosie druida nie było zdziwienia. – Czujesz się oszukany. Żałujesz straconych lat. Masz trochę racji, lecz tylko trochę. Jak często bywa, jest także jaśniejsza strona twojej sytuacji...

Jasne, teraz powie, że nadal mógłbym być zasmarkanym głupkiem, pomyślał Match ze zniechęceniem, że miałem wielkie szczęście, i powinienem być wdzięczny losowi, że tak łagodnie się ze mną obszedł. Każda porządna wieś musi mieć swojego głupka. Po to, by smarkacze mogli rzucać kamieniami i krzyczeć: "Głupek idzie, patrzcie, ludzie, głupek idzie!". Znow zobaczył wykrzywione szyderczo dziecięce buzie,

poczuł ból, jakby znów trafił go ciśnięty ręką małego łobuziaka kamień. Zobaczył matkę, ocierającą krew z rozciętego czoła. To nic, synku, to tylko głupie, niedobre dzieciaki.

Synku...

Nawet nie była moją matką, przeszło mu przez myśl. Nawet to mi odebrali...

– Miałeś wielkie szczęście, Match – usłyszał jak daleka. – Twój organizm dał sobie radę z naszymi środkami, nie zostałeś opóźnionym w rozwoju dzieciakiem na całe życie. A oprócz tego...

Druid spostrzegł, że Match go nie słucha. Potrząsnął go za ramię. Match spojrzał nieprzytomnie, jak obudzony ze snu.

– Rozczulać się nad sobą możesz później. – Kolejne szarpnięcie, mocniejsze, przywołało Matcha do rzeczywistości. – Teraz raczej posłuchaj. Zwalczyłeś to w sobie, stałeś się normalnym człowiekiem, a nawet czymś więcej. Widzisz, w połączeniu z wrodzonymi, naturalnymi zdolnościami środki dały ci coś, czego jeszcze żaden człowiek przed tobą nie miał. Nie robiono takich prób, a szkoda. Te, które ci podano, miały otworzyć twój umysł, pomóc ci zapamiętywać, zwiększyć ogólną sprawność. I odegrały swoją rolę. Przyjrzyj się sobie...

Tak, przyjrzyj się, a potem jeszcze podziękuj... Matcha stać było tylko na gorzką ironię. Za to Nazir uniósł głowę, spojrzał z uwagą.

– Widzisz, on już zaczyna rozumieć. – Druid spostrzegł poruszenie Maura. – A i wcześniej coś podejrzewał. Spostrzegawczy ten twój przyjaciel, Match. Wprawdzie wyciągnął zupełnie fałszywe wnioski, ale trudno od natury z gruntu prostej i nieskomplikowanej oczekiwać czegoś więcej niż powierzchowne obserwacje i konkluzja, która była jedyna do przyjęcia dla ciasnego, ograniczonego prymitywnym światopoglądem umysłu.

Nazir, natura z gruntu prosta i nieskomplikowana, cicho zgrzytnął zębami. W ciasnym i ograniczonym prymitywnym światopoglądem umyśle zaczęła rodzić się myśl o ustrzeleniu druida przy pierwszej okazji z kuszy. Z daleka, bez żadnych sztuczek z węzami...

Miał to wyraźnie wypisane na twarzy, druid poniechał więc dalszych rozważań światopoglądowych. Match uśmiechnął się mimo woli. Nazir często wywierał takie wrażenie na rozmówcach. Druid powrócił do

rzeczy:

– Jak mówiłem, Match, te środki miały zwiększyć chłonność twego umysłu, na początku, aby przygotować cię do dalszej nauki. Gdy spełniłyby już swą funkcję, przestałyby być potrzebne, ich działanie miało zostać zniwelowane. Tak się nie stało. Zapłaciłeś za to ciężko, ale teraz zbierasz zupełnie nieoczekiwane owoce. Masz olbrzymią zdolność przyswajania wiedzy, rozumujesz sprawniej od innych. Ubocznym skutkiem, którego w ogóle się nie spodziewaliśmy, jest niesamowita sprawność ruchowa i koordynacja. Coś w rodzaju pamięci, ale niezwiązanej z umysłem, raczej z ciałem. Zapamiętujesz bezbłędnie odruchy, nie musisz ich opanowywać żmudnym ćwiczeniem. Jakkolwiek by na to patrzeć, niezależnie od ceny, jaką zapłaciłeś, to wielki dar...

Wstał. Popatrzył na Matcha, wciąż siedzącego bez ruchu.

– Nasz przyjaciel z zasadami ma rację – dodał. – Nie jesteś zwykłym człowiekiem. Daleko ci do demona, o co był łaskaw cię podejrzewać, ale zwykłym człowiekiem też nie jesteś. Nie będziesz nigdy druidem, na to jest za późno, zmiany są za głębokie, straciłeś zbyt wiele czasu. Jednak masz coś, co możesz wykorzystać. Dobrze lub źle, to już twój wybór.

Match wciąż nie mógł się otrząsnąć, zbyt dużo się wydarzyło. Trzeba trochę czasu, by poukładać to wszystko w głowie. Zaakceptować samego siebie.

– Przemyśl to sobie. – Druid spostrzegł jego rozterkę, uśmiechnął się. – Mogę tylko dodać, że i my zbyt późno spostrzegliśmy, kim naprawdę jesteś. No, Match, na mnie już czas...

Odwrócił się i odszedł. Zostali sami.

## - V -

Jason potarł twarz znużonym gestem. Nie spodziewał się tego, co usłyszał. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co mu się ukazało, wyraźnie i dobitnie. Był bardzo zmęczony, wręcz wyczerpany.

Coś nie dawało mu spokoju, jakaś myśl, której nie mógł sobie przypomnieć, jakieś ulotne spostrzeżenie.

Po raz pierwszy opowieść Matcha nie zgadzała się z jego wizją w drobnym szczególe. Za nic nie mógł sobie uświadomić, o co chodzi.

W końcu dał spokój. To przez zmęczenie, pomyślał niechętnie. Zaczyna mi się wszystko pieprzyć, trzeba zrobić przerwę. Muszę powiedzieć Matchowi, zrozumie. On też wygląda na wykończonego.

\*\*\*

Znów wróciły zimne noce. Dotkliwy chłód przebudził Jasona bladym świtem. Skulony, pod grubym pledem i płaszczem, starając się rozgrzać zmarznięte stopy i dłonie, z niechęcią patrzył na skraplający się w powietrzu oddech. Wiedział, że już nie uda się zasnąć.

Nie pamiętał, by cokolwiek śnił tej nocy. Zasnął jak kamień, zmęczony do cna opowieściami Matcha, własnymi wizjami, a także ćwiczeniami, które zaniedbał na tak długo.

Zwłaszcza wizje go wyczerpywały. Z początku tego nie odczuwał, ale teraz dostrzegał, że gdy wraca do rzeczywistości, ma napięty każdy mięsień, jak po olbrzymim wysiłku fizycznym. Bolało go w tej chwili wszystko, ręce, nogi, plecy. Czuł ból nawet tych mięśni, których istnienia nigdy dotąd nie podejrzewał. Jeszcze gorsze od tego było jednak uczucie pustki, wyjałowienia, jakiego doświadczał nazajutrz. Po przebudzeniu długo nie mógł zebrać myśli.

Teraz też leżał skulony i zmarznięty, lecz nie mógł zdecydować się, by wstać z pośłania i trochę się rozruszać. Leżał pomiędzy snem i jawą, sam nie wiedząc, do którego ze światów należy to, co widzi spod przymkniętych powiek. Co prawda, jeżeli to sen, to wyjątkowo nieciekawym, jedynym widokiem był jasny już prostokąt okienka pod samym dachem stodółki.

Przyczyna, która zmusiła go w końcu do zwleczenia się z pośłania, była prozaiczna – zmarzniętemu człowiekowi pełny pęcherz bardzo doskwiera. Nie mogąc powstrzymać szczęknięcia zębami, odrzucił w końcu przykrycie, zszedł po krótkiej drabince, z trudem trafiając w szczeble.

Gdy zrobił już to, po co wyszedł na dwór, postanowił nie wracać do stodoły. Zabrał tylko płaszcz, owinął się szczelnie. Ruszył bez celu przed siebie, mając nadzieję, że ruch go ogrzeje. O tej porze w klasztorze nie można było liczyć na ciepłą strawę lub napój, pod kuchennymi paleniskami rozpalano najwcześniej w południe.

Dawniej zwykle nie budził się o tak nieludzkich porach. Trudno znaleźć partnera do gry przed wschodem słońca. Zdarzało mu się przesiadywać długo w noc w karczmach, oberżach czy w gościnie w jakimś przytulnym dworze, lecz gdy pierwszy brzask rozjaśniał niebo, wszyscy przykładowie chrapali już pod stołem. Owszem, nieraz wstawał o świcie, gdy zaszła taka konieczność, jednak był potem nieprzytomny do południa. Bardzo denerwowali go wtedy wszyscy, którzy radośnie, wypoczęci i wyspani próbowali nawiązywać rozmowy.

Ruch rozgrzał go trochę. Zaczynał już jaśniej myśleć. Co jednak robić z tak mile rozpoczętym dniem? Po obiedzie trzeba się będzie trochę przespać, postanowił solennie.

Ta obietnica poprawiła nieco podły humor.

Ale dobrego nastroju nie starczyło na długo. Gdy wyciągnął się na rozłożonym płaszczu na zacisznej, osłoniętej krzakami głogu łączce, czekając, aż słońce zdecyduje się lepiej przygrzać, powróciło męczące go już wczoraj wrażenie. Coś, co jak zdawał sobie sprawę, było ważne, a czego za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć. Ze złością zmełł w ustach przekleństwo. To tyle, jeżeli chodzi o wypoczynek.

Cholera, Match miał trochę racji, pomyślał niechętnie. Słusznie



obawiał się, czy to wszystko wytrzymam, starał się mnie oszczędzać. Mylił się tylko, sądząc, że właśnie lęk i groza mnie wykończą. A tymczasem to będzie zwykłe wyczerpanie... Dobrze, wystarczy, czas pomyśleć o czymś miłym, przyjemnym, czymś w sam raz na taki ładny poranek... Może o kobietach, czemu nie. A gdyby tak... W zasadzie można spróbować...

Próbował skoncentrować się. Tak, Emily. Mała, czarnowłosa Emily, córka zubożałego szlachcica, u którego zabawił kiedyś całą zimę, właśnie z jej powodu. Szczerze go kochała, cudowna, wspaniała, oddana Emily. Wspomnienie o niej ciążyło jak kamień na sumieniu, gdy w końcu wykradł się z dworu jej ojca niczym złodziej, bojąc się własnego zaangażowania, utraty wolności, ale także bojąc się rozpaczliwej dziewczyny, zawodu, gdy tak zostawiał ją bez pożegnania, samotną, opuszczoną. Żałował tego potem nieraz, uważając, że bezmyślnie zmarnował prawdziwą miłość. Wybacz, moja mała...

Tak, dobrze byłoby jeszcze raz przeżyć którąś z tych wspaniałych chwil. Dobrze byłoby jeszcze raz...

*- Emily, kochanie, co ty właściwie widzisz w tym Jasonie? - z wystudiowanym niesmakiem zapytała Claire. Emily spojrzała na przyjaciółkę.*

*- Przecież wiesz, że to prostak - nieszczerze zatroskała się Claire. - Powinnaś bardziej dbać o opinię. Wiesz, kochanie, jak droga mi jesteś, niepokoję się o ciebie...*

*Ty wredna larwo, uśmiechnęła się promiennie Emily. Nie niepokoisz się, tylko sama rozpuszczasz większość plotek. Twój obleśny tatuś mieszka w pięknym, nowym zamku, wszystkiego masz po same uszy, to nie zrozumiesz, jak to jest...*

*Spojrzała na otaczającą dwór palisadę, wyglądającą miejscami jak szczęki cierpiącego na okrutną próchnicę wieśniaka, na błotniste dziedzińce, zapadnięte dachy budynków. Spojrzała i aż zatrzęsała się ze złości, widząc Claire, która w swym pięknym stroju wydawała się tu zupełnie nie na miejscu.*

*Ty franco, pomyślała złośliwie, przyjeżdżasz tylko po to, by na to popatrzeć. Wiesz, że tutaj nawet twoja ospowata gęba wygląda ładnie. Emily objęła przyjaciółkę.*

– Chodź do izby – powiedziała. – Nie ma co tak tu stać, suknię sobie powalasz... Sama wiesz, jakie tu błoto... – Emily uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej. To miała opanowane do perfekcji.

Claire usiadła na samym brzeжку ławy. Skwapliwie powróciła do interesującego ją tematu.

– Ostatecznie, moja droga, musisz dbać o pozycję. – Już nie było zatroskania, teraz przyszedł czas na lekką naganę. – To tylko kupiec, zgoda, zasobny, ale przecież kupiec. Masz przecież tylu starających, chociażby Alfred... Szlachcic, za giermka służy u sir Adalberta...

Tak, i taki sam gołodupiec jak mój ojciec, trzepocząc niewinnie rzęsami pomyślała Emily. Inni tak samo. Kto by chciał taką jak ja, z takim, za przeproszeniem, posagiem. Owszem, przelecieć gdzieś na sianie, to tak, z tym nie ma problemu. Ale nic więcej...

– Popatrz na mnie, moja droga. – Claire postanowiła wzmóc siłę argumentów. – Mój Edward na przykład. Z dobrego domu, rycerz prawy, i kocha mnie do szaleństwa.

Emily opuściła głowę, kryjąc uśmiech, tym razem złośliwy. Znała poglądy Edwarda, sam jej kiedyś powiedział, w sytuacji, w której nie podejrzewała go o nieszczerłość. Jak to było – "nie chciałbym nawet dać kopa w to chude dupsko, ale sama wiesz, interes jest interes". Chciała posłuchać więcej, temat sprawiał jej dużą przyjemność, ale Edward był zbyt zajęty. I nic dziwnego, tyłek, który właśnie wdzięcznie wypinała, na pewno nie był chudy.

Claire opacznie zrozumiała gest Emily. Złagodniała.

– Cóż, pojmuję, kochanie, że nie jest ci łatwo... – zaczęła.

– Ach, moja droga – przerwała Emily. – Od czegoż jest przyjaźń? Wiem przecież, jak na sercu ci leży moje szczęście... Któż jak nie ty może mi pomóc?

Claire zerknęła podejrzliwie. A udław się, kocmołuchu! Myślałby kto! Powinnaś tego prostaka w dupę całować, że chciał na ciebie spojrzeć. Prostak bo prostak, ale mógłby cię kupić razem z całym dworem, tatusiem niezgułą, wszystkimi kmiotami i nędznym bydłem. Nawet by pewnie nie zauważył ubytku w sakiewce.

– Claire, kochanie – ciągnęła Emily, nie zwracając uwagi na widoczne

zmieszanie drogiej przyjaciółki. – Nawet z prostaka jest pożytek. Nie jestem taka całkiem głupia, kotku, nie całkiem...

Claire zrobiła obrażoną minę.

– Ależ jak możesz! – zaprotestowała gwałtownie.

– Mogę, mogę – głos Emily stwardniał. – Widzisz, te wszystkie podłe plotki, które źli ludzie roznoszą... Nawiasem mówiąc, wiem, kto, i kiedyś ślepią wydrapię... Nie jest ci aby zimno, kochanie? Tak się wstrząsnęłaś? – zatroskała się.

Przyjaciółka spojrzała z miną urażonej niewinności.

– Skąd, przemarzałam trochę na dworze, to wszystko...

– A już się martwiłam, przecież jesteś słabego zdrowia, o suchoty nietrudno, musisz bardziej dbać o siebie. Ale o czym to ja... Aha... Otóż widzisz moja droga, te wszystkie paskudne plotki to nawet są po mojej myśli.

Claire posmutniała. Tak się starałam, a ona mówi, że to po jej myśli. Może udaje, pocieszyła się.

– Widzisz, ja doskonale wiem, że ten prostak jest tłusty, stary i oblesny.

– Emily spojrzała twardo. – Ma już ze trzydzieści lat. Że to, jak sama raczyłaś powiedzieć, człowiek niskiego stanu. Natomiast nie jest na razie prawdą to, co tak skwapliwie wszędzie opowiadasz, że daję mu dupy, bo on daje mi pieniądze na stroje.

– Ależ kochanie, co ty... – próbowała wtrącić zdetonowana Claire. Poczerwieniła, ślady po ospie wystąpiły jeszcze bardziej, co Emily odnotowała z dużą satysfakcją.

– Zamknij się – warknęła. – Zamknij się i słuchaj, może się czegoś nauczysz. Wracając do rzeczy, nie jest na razie prawdą, ale będzie. On da mi nie tylko na stroje, on da mi wszystko, co ma. Właśnie dlatego, że na razie nic od niego nie chcę, o nic nie proszę. Tak właśnie trzeba robić, nie rozmieniać tyłka na drobne, jak ty.

Przyjaciółka wydała z siebie dziwny odgłos, jakby się czymś zachłysnęła. Emily przyjrzała się jej uważnie.

– Co, chcesz powiedzieć, że ty tak nie robisz? – spytała słodko. – Możliwe, kto by chciał. Ty przecież, że tak powiem, w drugą stronę, to twój tatuś zapłaci.

*Claire poderwała się z ławy.*

*– Siadaj, siadaj. – Emily spojrzała pobłaźliwie. – Nie obrażaj się tak... Sama mówiłaś, że między przyjaciółkami...*

*Claire jak drewniana lalka z rozmachem siadła z powrotem. Emily zaśmiała się. Ostrożnie, chciała powiedzieć, potłuczysz to swoje chude dupsko.*

*– Już kończę, kochanie – uspokoiła przyjaciółkę, która nie mogła wydobyć głosu. – Już zaraz. Widzisz, ten stary, tłusty prostak ma dwie zalety. Po pierwsze, jest bogaty. Po drugie, jest szczerze i bezgranicznie we mnie zakochany. Dlatego jest ślepy. Nie widzi, że kiedy mu dam, to, wierz mi, bez nijakiej przyjemności.*

*Kłamała. Choć nie do końca.*

*– I dlatego, kiedy już będę mogła go oskubać – dokończyła triumfalnie Emily – to nawet się nie spostrzeże, nie zrozumie. Będzie do końca myślał, że go kocham, że to on coś zrobił źle. Nawet wtedy, gdy psami każę poszczuć...*

Jason poderwał się jak oparzony. Wytrzeszczył oczy.

Kurwa...

...W rzeczy samej.

Chyba nie o to chodziło, nie to miał nadzieję zobaczyć. Masz, durniu, za swoje, pomyślał. Chciałeś, to masz...

Opadł bezwładnie na płaszcz. Czuł obrzydzenie. Nie do niej, do siebie. Jak mogłem być taki głupi, myślał żałośnie, taki ślepy.

Pomysł wywołania wizji dla przypomnienia miłych przeżyć wydał się nagle wyjątkowo perwersyjną formą onanizmu. Nigdy więcej.

A jak to było z innymi, wypłynęła naraz przewrotna myśl. Nie, Jason, nic z tych rzeczy, wystarczy. Po co ci to wiedzieć? Nie, to niemożliwe, to tylko ona...

...To zła kobieta była.

Roztrzęsiony zwinął płaszcz i ruszył przed siebie.

\*\*\*

Otrząsnął się dopiero, gdy minął klasztorne pola, puste jeszcze o tej porze roku, i wszedł pomiędzy drzewa.

Nie chciał zapuszczać się głębiej w las. Nie znał puszczy, obawiał się jej. Co prawda spędził w niej ostatnio sporo czasu, ale nigdy sam, zawsze z Matchem. Bał się zabłądzić, wszystkie ścieżki wyglądały tak samo. Obawiał się dzikiej zwierzyny, choć kiedyś Match, któremu nieopatrzenie zwierzył się ze swych obaw, wyśmiał go bezlitośnie.

Obejrzał się niespokojnie. Poprzez rzadkie jeszcze drzewa mógł dostrzec pola i oddalone zabudowania. Postanowił bardziej nie odchodzić. Znalazł kawałek porośnięty miękkim mchem, rozłożył płaszcz.

Zastanawiał się nad tym, co niepokoiło go od wczoraj. Chociaż jeszcze niedawno postanowił, że dziś sobie odpuści i trochę odpocznie, zaczął analizować to wszystko, co wczoraj zobaczył i usłyszał.

Intrygował go druid. Było w nim coś tajemniczego, mrocznego. Wzbudzał niejasny lęk.

Jason rzadko bywał w zapadłych zakątkach królestwa, gdzie wpływy druidów były wciąż silne. Przez długi czas nie zdawał sobie nawet sprawy z ich istnienia, tam, gdzie się wychował, dawno zaginęło wszelkie wspomnienie starych kultów.

Ale i w miastach zdarzało mu się usłyszeć złowrogie opowieści o pogańskich rytuałach, jakim oddawano się jeszcze w niezbadanych częściach wyspy. Słyszał, że ślady tych obrzędów i wierzeń można było spotkać wszędzie, w każdej wiosce, nawet z pozoru leżącej z dala od krańców królestwa. Nigdy natomiast nie zobaczył prawdziwego, żywego druida.

Kiedyś, po przypadkowej zupełnie pogawędce na ten temat, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Rozmowa była zresztą idiotyczna, partner Jasona, bogaty kupiec winny nie grzeszył zbyt dużą inteligencją. Ponieważ jednak był bogaty i najwidoczniej miał skłonności do hazardu, Jason nie zwracał uwagi na poziom konwersacji. Podtrzymywał uprzejmie rozmowę, słuchając najbardziej nieprawdopodobnych wynurzeń w zbożnym celu ulżenia zbyt ciężkiej sakiewce kupca. Ten, wciąż przegrywając, nudził coś o tym, że słyszał niedawno, jak ksiądz w jakimś miasteczku rzucał gromy na oddających

się dawnym obrzędom, którzy ostatnio rozplenili się okrutnie i znów głowę podnoszą. Pouczał, że zamiast w Ziemi Świętej, chrześcijańscy rycerze powinni zrobić porządek najpierw na własnym podwórku, plugastwo wytepić, a wszystkich winnych, ba, nawet tylko podejrzanych przykładnie powywieszać. To ostatnie kupiec dołożył od siebie. Bo nie ma gorszej rzeczy na świecie, jak nie omieszkał dodać, niż poganin, tfu, czy inny odmieniec. Dla takiego to i szubienica jest za dobra.

Jason słuchał z lekkim obrzydzeniem, łagodnym przez miły uchu brzęk monet, które raz po raz wpadały do jego sakiewki. Kupiec zaś, w miarę coraz częstszych przegranych narzekał coraz bardziej napastliwie, za całe zło na świecie, w tym i swą złą passę, obwiniając obmierzłych pogan. Miał po temu logiczne powody, jak powiedział bowiem, nie dalej jak dwie niedziele wcześniej, gdy przejeżdżał przez wieś ciesząc się wyjątkowo niedobrą sławą, dziewczka wszeteczna rzuciła na niego urok. Spojrzała złym okiem, wyjaśnił kupiec, widząc pytające spojrzenie Jasona, takiej to więcej nie trzeba. I mamrotała pod nosem.

Jason skłaniał się ku przypuszczeniu, że kupiec po prostu jej nie zapłacił, jednak dalsze, wygłaszane przy akompaniamencie plucia i przekleństw szczegóły rozwiały jego wątpliwości. Dziewka wszeteczna miała bowiem tak na oko dziesięć lat i kose spojrzenie, co jasno wskazywało na konszachty ze złym. Nie wiek naturalnie, lecz właśnie to kose spojrzenie.

Tak, pomyślał wtedy Jason z przekąsem, kose spojrzenie zupełnie wystarcza. Wszystkiemu na świecie winni są zezowaci. Na stryczek z nimi, to wystarczający dowód zgubnych wpływów pogaństwa. Wprawdzie miał wątpliwości, czy dziewczynka w tym wieku była dostatecznie dojrzała do wszeteczeństwa, ale cóż, może po prostu była wyjątkowo rozwinięta, lub, co bardziej prawdopodobne, kupcowi pomyliły się po prostu słowa.

Kupiec opowiadał, że wioska, wprawdzie przy trakcie, lecz wśród głuchych borów położona, od dawna cieszyła się złą sławą w okolicy. Jak to wieść niesie, mieszkańcy jej nadal dzikie obrzędy odprawują, na urągowisko Bogu i Kościołowi. W noc majową, którą po dawnemu Beltaine zowią, zamiast, jak Bóg przykazał, Zielonymi Świątkami, ognie wielkie rozpalają, zbierają się przy nich. I tak raz do roku, każdy z każdym, jak zwierzęta w rui... Tfu! Kupiec poczerwieniał, zapluł się w

końcu ostatecznie i zamilkł. Jason nie wiedział, czy z obrzydzenia, czy z żalu, że sam nigdy w maju przez tę wieś nie przejeżdżał. Patrząc na obleśną gębę wykrzywioną świętym oburzeniem, sądził, że raczej z tego drugiego powodu.

Pamiętał teraz, że z ulgą wtedy przyjął propozycję zakończenia gry. Wygrał i tak sporo, nie zamierzał pracować dalej w takich warunkach.

Jednak coś z owej rozmowy zapadło w nim głęboko, zaczął drążyć temat. Wypytywał przygodnie poznanych ludzi, którzy mogli cokolwiek wiedzieć, lecz niewiele to dało.

Nigdy nie spotkał kogoś, kto mógłby udzielić informacji z pierwszej ręki. Zresztą, może i spotkał, ale w wioskach, gdzie widywał uschnięte pęki jemioły pod powałą, niewykarczowane wiekowe dęby, rosnące na środku pola i na pierwszy rzut oka przeszkadzające w orce, że trudno bardziej, czy inne oznaki, na które z czasem wyostrzył uwagę, zbywano go byle czym. Gdy zaś naciskał, rozmówcy stawali się niemili. Cóż, sam przyznawał, że nie mógł wzbudzać zbyt dużego zaufania.

W końcu jednak dał sobie spokój, po prostu machnął ręką. Na cholere mi to, pomyślał wtedy.

Teraz usiłował przypomnieć sobie wszystko, czego kiedyś się dowiedział. Większość informacji pochodziła od osób niemogących żywić sympatii do druidów, byli to bowiem zapijaczeni borowi, drwale, czasem poborcy, którzy z racji obowiązków odwiedzać musieli zapadłe kąty, kilku księży z małych kościółków. Ci ostatni zresztą byli najbardziej, wbrew pozorom, wiarygodni, bowiem musieli dokładnie wiedzieć, co chcą za wszelką cenę wykorzystać. Zwłaszcza jeden.

Staruszek był inny niż wszyscy napotkani wcześniej i później wiejscy księża, wspominał Jason. Nie miał w sobie tej tępej nienawiści, żywionej do wszystkiego co obce, tak często spotykanej u młodszych, nie miał też tępej obojętności starszych. Nie narzekał na swą ciężką posługę jak wielu innych, wiedział też dużo więcej od nich.

Potwierdził przerażające opowieści drwali i borowych o ofiarach składanych z ludzi, palonych żywcem w wiklinowych koszach, o karaniu śmiercią za wszelkie próby naruszania spokoju uznawanych za święte gajów, o misteriach, odprawianych w dniach dawnych celtyckich świąt.

Jason wstrząsnął się. Uświadomił sobie właśnie, że noc, w którą

błądził nagi po lesie, była nocą Samhain, nocą, gdy po świecie krążą duchy i upiory...

Staruszek opowiadał o nauce, jaką musi przejść kandydat na druida, o ostatecznych próbach, którym jest poddawany, i tym, że niewielu je przeżywa. Nie chciał wdawać się w szczegóły, straszne i przeciwne Boskiemu porządkowi, jak mówił. Jason był wtedy ciekawy, powoli wyciągnął ze staruszka to i owo. Ten wyjawiał, aczkolwiek niechętnie, że on sam dowiedział się wszystkiego od ich kandydata odrzuconego we wcześniejszej selekcji. Broń Boże nie na spowiedzi, jak z naciskiem zaznaczył. Na pytanie, co więcej od niego usłyszał, stary ksiądz z nieoczekiwanym cynizmem odparł, że niewiele, bowiem odstępca wkrótce utopił się w gnojówce, przypadkiem naturalnie.

Wtedy Jason nie wierzył do końca słowom księdza. Kładł je na karb rozgoryczenia. Teraz musiał przyznać, że opowieści Matcha pokrywały się dokładnie z tym, co usłyszał przed laty. Uwierzył już w to, co kiedyś wydawało się niemożliwe. Na przykład, że ostateczną próbą jest wypicie kubka trucizny. Wtedy podśmiewał się, że to bez sensu, zadawać sobie trud dwudziestu lat kształcenia kogoś, a potem sprawdzać, czy się nadaje, w tak niebezpieczny sposób. Nie lepiej na początku, zanim zaczniesz nauki? Teraz już nie miał ochoty do żartów.

Tak, pomyślał, w końcu udało mi się zobaczyć druida, wprowadzie tylko w wizjach, ale...

...Zobaczyć druida...

Jason zerwał się z płaszcza. To było właśnie to! Coś, czego nie mógł sobie przez dłuższy czas uświadomić.

Zobaczyć druida...

Dotarło do niego, że w wizji nie udało mu się ujrzeć twarzy. Pamiętał dokładnie, jak wyglądał Nazir, tak jakby spotkał się z nim twarzą w twarz. Znał nawet jego myśli, dostrzegał zupełnie nieistotne szczegóły, choćby rzeczywiście kościsty jak u chudej jałówki tyłek Claire. Jednak gdy starał się sobie przypomnieć, jak wyglądał druid, widział jedynie niewyraźną plamę pod kapturem. I oczy. Jasnoblękitne oczy.

Może to po prostu zmęczenie, może mój umysł zaczyna się bronić, wyobraźnia płata figle. Powinienem chyba powiedzieć Matchowi, pomyślał. Tylko po co, zamknie się znowu, wszystko trzeba będzie z



niego wyciągać. Lepiej nie.

Ruszył z powrotem do swej stodółki. Muszę się przespać.

\*\*\*

– I po co mi to mówisz? – spytał tylko oschle Match, gdy Jason opowiedział mu poranną wizję.

Cholera, po co ja to mówię, zastanowił się Jason. Coś mi się widzi, że to nie był najlepszy pomysł.

– Bo wiesz, zdawało mi się... – zaczął niepewnie, nie wiedząc, jak wybrnąć.

– To niech ci się nie zdaje – uciął Match. – Nie interesują mnie cudze...

Zamilkł w pół zdania. Jak to zwykle.

Nie interesują cię cudze problemy, bo masz dosyć własnych, dokończył za niego Jason, lecz nie na głos. Dobrze, nie chcesz, to nie, twoje prawo. Chociaż raz ty dla odmiany mógłbyś mnie wysłuchać. Trudno, nie, to nie. Trzeba zmienić temat. Na twoje problemy, jeżeli już bardzo chcesz...

– Wiesz, Match, zastanawia mnie... – zaczął, myśląc o druidzie. O niepokojąco niepełnej wizji.

Match zerwał się z koryta, stanął przed nim. Twarz miał ściągniętą złością.

– Posłuchaj! – wybuchnął. – To, że rozmawiamy o różnych sprawach... Że mówię ci to wszystko... To tylko dlatego, że muszę! Sam, kurwa, wiesz, że muszę! Nie dlatego, że chcę się przed kimś wygadać, wyżalić! To wszystko, kurwa, nie ode mnie zależy, i od ciebie też nie! Nie potrzebuję powiernika, dobrze o tym wiesz!

Match zaciskał pięści, aż zbieleły kostki. Jason spoglądał zdetonowany. Nigdy go jeszcze nie widział w takim stanie, zawsze panował nad sobą.

– Ja nie mam przyjaciół. – Match wciąż mówił podniesionym głosem, twarz wykrzywił mu teraz szyderczy grymas. – Nigdy ich nie miałem, i nigdy nie potrzebowałem! Teraz potrzebuję tylko twoich zdolności, nic

więcej!

Szarpnął Jasona, poderwał ze spróchniałego koryta. Zaciskając ręce na ramionach, zbliżył twarz.

– Nic więcej – wysyczał wściekle. – Nic więcej! A to ci nie daje prawa...

Puścił nagle Jasona, aż ten z rozmachem siadł na korycie. O dziwo, spróchniałe, porożsychnane deski wytrzymały. Gniew Matcha zniknął tak nagle jak się pojawił.

– To ci nie daje prawa... – powtórzył jeszcze raz cicho.

Jason rozcierał ramiona. Skrzywił się. Chwył był mocny, naprawdę mocny.

– Przepraszam. – Match dostrzegł bolesny grymas. Jason spojrzał niechętnie. Match nie powiedział nic więcej, usiadł obok niego.

Ból powoli przechodził, Jason z ulgą stwierdził, że nie ma wykręconych barków. Wiedział wprawdzie, że gdyby miał, nie zdołałby unieść rąk, jednak przez dłuższy czas wrazenie nie ustępowało.

Dobrze, że nie było pod ręką jakiejś pały, zauważył z przekąsem, albo miecza. Nie, gdyby naprawdę chciał, to by mnie po prostu udusił. Potem by mu przeszło, ja bym leżał na ziemi z wywalonym ozorem, a on by powiedział "przepraszam".

To Match przerwał w końcu milczenie.

– Jason, ja... – zaczął.

– Odpierdol się – usłyszał w odpowiedzi. Jason zerknął ukradkiem, dostrzegł zaciśnięte szczęki, aż guzy wyskoczyły na policzkach.

– Przynajmniej na chwilę – złagodził trochę.

Posiedzieli tak jeszcze przez jakiś czas. Ból ramion minął w końcu, Jason uspokoił się. Zaczęła do niego docierać cała śmieszność sytuacji, cały idiotyzm. Cholera, obrażamy się jeden na drugiego jak panienki z dobrego domu. W końcu, niespodziewanie dla samego siebie, roześmiał się głośno.

– Match, dajmy spokój – powiedział. – Przecież to bez sensu, sam dobrze wiesz. Ja nie o tym chciałem, wierz mi. Niepotrzebnie tak na mnie wyskoczyłeś. Źle mnie zrozumiałeś...

Zobaczył, że Match nie jest chyba do końca przekonany. Wciąż

siedział ze wzrokiem wbitym ponuro w ziemię.

– Źle mnie zrozumiałeś – powtórzył Jason. – Zgoda, rzeczywiście niepotrzebnie opowiadałem ci to na początku, masz rację, gównu cię to wszystko obchodzi. Ale wbij sobie też do głowy, że i mnie gównu obchodzą twoje osobiste przeżycia. Masz rację, nic mi nie daje prawa, aby wtykać w nie nos. Jestem tego świadom, możesz mi wierzyć. Wiem, że to nie należy do sprawy...

Popatrzył na Matcha, ten pokręcił głową.

– Nie – powiedział zdecydowanie. – Jednak należy. Nie będę cię przeproszał, bo zdaje się, jest ci to całkiem na nic. Powiem tylko, że to ty masz niestety rację, jak najbardziej należy...

Jason nie zaprzeczył. Taka była prawda. I choćby bardzo nie chciał, musi wysłuchać o tym, jak się to skończyło. Musi zobaczyć. Zobaczyć z bliska, z bardzo bliska. Poczuć ból, żal i nadzieję. Nadzieję bez sensu.

Zrozumieć uczucie, które było przyczyną wszystkiego.

Uczucie bez słów, bez ciepła, bez deklaracji. Uczucie, które było martwe, zanim się narodziło. I nikt nie odszedł nieskrzywdzony.

## - VI -

*Ilu istnień czas jak jedna chwila zbiegł  
Jak to dawno może tydzień może wiek  
Na mój barłóg czas jak deszcz jesienny mży  
Zmywa ślady moich łez i twojej krwi  
I okrywa z wolna zapomnienia płaszczy  
Noc, gdy pierwszy raz pluliśmy sobie w twarz  
Śpiewaliśmy wtedy, szczęście – ja, ty – fart  
Jak sztylety wbici w siebie aż do gard*

Stanisław Staszewski, [W czarnej urnie]

Bez ciepła, bez słów, bez deklaracji. Bez obietnic. Bez marzeń, które można snuć o przyszłości. Nie było jutra, była tylko chwila, która trwała. Na razie. Chwila pełna uniesień i przeżyć, lecz pusta.

Nie było planów. Nie było wyszeptywanych do ucha skrytych marzeń. Była tylko namiętność. Gdy gasła, nie zostawało nic. Tylko żal i lęk. I nadzieja.

Nadzieja bezsensowna, bo bezpodstawna. Match nie potrafił przebić się przez pancerz, jakim otoczyła się Marion. Każde cieplejsze słowo, każdy nieopatrzny gest napotykał ledwie widoczne zmarszczenie brwi. Nadal próbował. Choć sam nigdy nic takiego od niej nie usłyszał.

Łudził się, że jeszcze nie czas, że kiedyś, wreszcie doczeka się, a był gotów czekać długo. Nie wiedział, że nie ma czasu i że to ona podejmie decyzję, a jemu przyjdzie się z nią pogodzić. Nie zaakceptować, tylko pogodzić. Mimo iż będzie to zła decyzja.

Wszystko się rozpada. Wszystko przecieka między palcami. Nic nie

jest ważne. Jedynie ona.

Gdy po raz pierwszy poczuł, jak zeszywniała mu w objęciach, nie wiedział co myśleć. Nie powiedziała nic, jak zwykle, unikając jego wzroku.

– Nie – usłyszał w końcu. Nie zrozumiał. Spróbował jeszcze raz, przygarnąć, pogładzić włosy.

– Nie chcę. – To było wszystko.

– Dlaczego? – zdołał jedynie spytać żałośnie i głupio. Nie doczekał się odpowiedzi. Jeszcze nie wtedy.

Później dowiedział się więcej. Tłumaczenia i oskarżenia. Łzy i żal. Chyba szczerzy. Wtedy jeszcze tak.

A potem? Potem niezdarne próby, prośby i błagania. W zamian coraz zimniejsze spojrzenie zielonych oczu. Już nie żal. Znużenie i złość. A na dnie coś, jakby nienawiść.

I wciąż głupia nadzieja, że się zmieni i wróci to, co było.

Wszystko się rozpada. Wszystko przecieka między palcami. Nic nie jest ważne.

Do dziś.

W zielonych oczach nie ma złości. Jest obojętność.

– Odchodzę, Match. – Za tymi słowami kryje się decyzja. Ostateczna i nieodwołalna.

Match nie pamiętał słów, jakie wtedy wypowiedział. Nigdy nie potrafił sobie ich przypomnieć. Czego jeszcze próbował, o czym mówił. Pamiętał za to odpowiedź, pamiętał aż za dobrze.

– Już nie mogę, Match. Nie mogę znieść ciebie, twojej bliskości, twoich starań. Duszę się w tym wszystkim, jest mi ciasno, nie ma dla mnie miejsca... Mam dosyć, kiedy jesteś miły i opiekuńczy, mam dosyć, kiedy jesteś zły... Match, muszę odejść. Zanim cię znienawidzę...

Ja już cię nienawidzę. Marion przymyka oczy, by nie pokazać złego błysku.

– ...do końca.

Jeszcze raz tych kilka słów. Może to do niej trafi.

– Mów za siebie, Match. Powinieneś zdawać sobie sprawę, że z mojej

strony to wyglądało zupełnie inaczej.

– Ale przecież ty... – Słowo nie chce przejść przez usta. Nigdy go nie wypowiedział. Nigdy na to nie pozwoliła.

Nic nie szkodzi. Nie potrzeba słów. Marion zrozumiała, jak zwykle.

– Match, pomyliłeś uprzejmość z czymś zupełnie innym...

To kłamstwo. Mówi tak tylko, żeby zranić, żeby zakończyć tę rozmowę. To nie może być prawda.

Jednak to jest prawda. Może nie cała, ale zawsze.

\*\*\*

Krąg zdawał się drzemać pod całunem gęstej, zimnej mgły zalegającej nad ziemią cienką warstwą. Głazy zapadnięte głęboko w mech, niektóre ledwie widoczne, inne, wydzwignięte na powierzchnię siłą niezliczonych zimowych mrozów i wiosennych roztopów, lśniły wilgocią.

Ktoś, kto zabłąkałby się w ten zakątek puszczy, mógłby nawet nie spostrzec kręgu, nie uświadomić sobie, w jak niezwykle miejsce trafił. Młode drzewka rozpychały się w szczelinach głazów, gęste krzaki poszycia leśnego i grube wiekowe drzewa przesłaniały formę, w jaką ułożono kamienie. Można było dojrzec tylko kilka najbliższych.

Tak, przypadkowy wędrowiec miałby sporo trudności, by dostrzec, jak niezwykle to miejsce, chyba żeby trafił w sam środek kręgu.

Olbrzymi głaz, wyznaczający centrum, już samym kształtem świadczył o tym, iż nie był dziełem natury. Wielki, płaski, ociosany w pięciokąt, sprawiał wrażenie, jakby to jakiś mityczny olbrzym położył go w samym sercu puszczy. Było w nim coś obcego, coś, co powodowało, że nikt nie mógł spojrzeć na niego bez ściskania w gardle.

Lecz w to miejsce nie trafiali przypadkowi wędrowcy. Wręcz przeciwnie, ten mroczny zakątek omijano od wieków. Nie zaglądali tu myśliwi, drwale ani smolarze, całe życie spędzający w matecznikach Sherwood. Ci, którzy zbliżyli się nieopatrznie, zawracali zdjęci niewytłumaczalnym lękiem. Nie docierali nawet do zewnętrznego kręgu.

Zwierzyna leśna również omijała to miejsce. Poszycia nie przecinały

ścieżki. Nawet ptaki nad nim nie przelatywały. Latem nie było słychać brzęczenia owadów.

Krąg drzemał od lat pod całunem z mgły. I czekał. Tylko głązy grzęzły w ziemi coraz bardziej, kryjąc się z wolna pod dywanem mchu.

\*\*\*

Jazda na skrót nie jest najlepszym sposobem na szybsze dotarcie do celu. Tę prostą prawdę Match powtarzał sobie w ostatnim czasie wielokrotnie. Zwłaszcza gdy zobaczył na niewielkiej polance wystygłą już kupę końskiego nawozu i ogryzione kości. To był ślad ich niedawnego popasu. Niestety, przyznał z niechęcią, kręcili się w kółko.

Zaniedbał zwyczajnych sposobów odnajdywania drogi w nieznanym partiach lasu. Nie pamiętał, z której strony było słońce, gdy zjeżdżali z traktu. Zdał się na zapewnienia swego towarzysza, starego kłusownika, który zarzekał się, że zna ten las jak własne obejście. Ciekawe, czy w tym obejściu udaje mu się trafić za stodołę, pomyślał Match złośliwie.

Kłusownik zsiadł z konia.

– To przez niego – wskazał oskarżycielsko na swego wierzchowca. – Z chabety nie widzę dobrze, ścieżek nie poznaję... Piechotą jest ho, ho!

– Prowadź go więc za sobą, jak ci wygodniej – odparł Match zimno. Ogarniała go złość. – Albo zostaw, wolna wola...

– Co wy, panie – zachnął się kłusownik. – Po co zostawiać. Ja tu zaraz się rozglądnę, wnet drogę znajdę, poczekajcie ino...

Rzeczywiście, rozglądał się, zataczając coraz szersze kręgi wokół polanki. Wrócił po chwili, zaczął spoglądać w zasnucone chmurami niebo, usiłując zobaczyć, gdzie może być słońce. Dłubał przy tym zawzięcie w nosie.

Match, nie mając nic innego do roboty, zastanawiał się, w jaki sposób ta nieskomplikowana czynność może ułatwić zorientowanie się w położeniu słońca. Zdążyło się bowiem zupełnie zachmurzyć.

Kłusownik wyjął palec z nosa, przyjrzał mu się z uwagą. Tym samym palcem wskazał kierunek.

– Tam – oświadczył zdecydowanie.

Match miał wątpliwości.

– Stamtąd właśnie przed chwilą przyszliśmy – powiedział bez przekonania.

Kłusownik nie dał się zbić z tropu. Oczywiście, jeżeli w ogóle wpadł na jakikolwiek trop. Match srodze w to powątpiewał. Słuchał jednak wyjaśnień.

– Bośmy przyszli, panie – niewydarzony przewodnik miał w głosie niezachwianą pewność. – Aleśmy dobrze szli. Tylko tam, wedle tych trzech buczków...

Jakich buczków, do cholery? Match widział dookoła same buki.

– Wedle tych trzech buczków, to trza było k'sobie skrócić. K'sobie, a nie od się! – dokończył kłusownik triumfalnie.

– Prowadź! – rzekł Match zrezygnowany. Ale jak jeszcze raz trafimy na tę polankę, to mu w końcu dam po łbie, może mu się rozjaśni, zdecydował.

Wbrew jego obawom znaleźli trzy sławetne buczki. Kłusownik w szerokim uśmiechu pokazywał zęby, wszystkie cztery. Skręcili w prawidłową stronę, k'sobie, a nie od się. Droga była łatwa, bukowy las miał rzadkie podszycie, jechało się dobrze po grubym dywanie zeschniętych, wieloletnich liści. Wkrótce znaleźli coś, co kiedyś, przed laty mogło być ścieżką.

Po dłuższej chwili, gdy nie napotkali przeszkód ani nie znaleźli się z powrotem na dobrze znanej polance, przewodnik całkiem odzyskał rezon.

– Teraz to już wiem, gdzie my są. – Uśmiechnął się radośnie. – Ba, cały czas żem wiedział, ino koń, bydlę głupie... Ja się w lesie nie gubię...

Match nie podjął rozmowy na temat końskiej głupoty. Nie był przekonany, czy tylko koń jest głupi. Droga lekko opadała, z bukowego lasu wjechali w olszyny.

– Bo tam, wiecie – przewodnik wskazał gdzieś za siebie – za nami, to jest Zgnilcowe Oparzelisko. A wzięło się to stąd, wiecie, że był u nas we wiosce kiedyś chłop taki, co Zgnilec miał za przydomkiem. Trzeba wam, panie, wiedzieć, że to z kolei wzięło się stąd...



– Zaczekaj – przerwał Match bezceremonialnie. Nie był ciekaw historii chłopca zwanego Zgnilcem. – Za nami, mówisz, oparzelisko. A przed nami?

– A, przed nami – urażony przewodnik przerwał swą opowieść. Zaraz jednak rozpromienił się znowu. – Przed nami, to już tylko traktu patrzeć. Prosta droga, jak sierpem rzucił, ino jeden zakręt będzie, potem drugi i tylko... tylko...

Urwał i gapił się przed siebie z głupio rozdziawioną gębą.

– ...tylko co przed nami robi ta rzeczka? – dokończył za niego Match.

Przewodnik nie odpowiedział. Rzeczka zaś, jak to rzeczka, meandrowała sobie leniwie wśród wysokich kęp soczystej trawy i sitowia. Brzegi miała podmokłe, niedostępne, nigdzie brodu.

– Co radzicie, dobry człowieku? – spytał Match z podejrzanym spokojem.

Kłusownik wysmarkał się z zastanowieniem. Widać było ciężką pracę umysłową. Po chwili małe oczka zalśniły żywo.

– Pojedziemy z biegiem – oznajmił optymistycznie. – Rzeczki, znaczy.

Jasne, pomyślał Match. Rzeczka kręci tak, że ryby o mało nie wypadają na zakrętach, brzegi zdradliwe, zwalone kłody, dokoła pewnie bagna. A my sobie pojedziemy z biegiem. Eh, dałbym ci w ten głupi łeb...

– Jak was zowią, mój dobry człowieku? – spytał zamiast tego niesłychanie wręcz łagodnie. – Bo czegoś zapomniałem.

Kłusownik zdziwił się.

– Jestem Luke, panie – odparł skwapliwie. – A nazywają mnie Jaźwiec. Bo wiecie, to się wzięło stąd...

– Nie wiem – uciął Match. – I nie chcę wiedzieć. A ty zakarbuj sobie, że za chwilę to bagno może się nazywać Jaźwcowym Oparzeliskiem. Na pamiątkę tego, jak cię w nim utopiłem, poderżnąwszy wprzód gardło. Chyba że...

– Że co? – spytał z nadzieją Luke alias Jaźwiec.

– Chyba że przestaniesz pieprzyć głupoty i pojedziesz za mną. Teraz zawrócimy, pojedziemy do trzech buczków, potem do polanki. A z niej udamy się w stronę zupełnie przeciwną...

\*\*\*

Na polance nic się nie zmieniło. Trafili bez trudu, skręciwszy wcześniej wedle trzech buczków.

Match zastanowił się. W zasadzie można przenocować, miejsce niezłe, suche. Noc nie powinna być zbyt zimna. Nie chciało mu się włączyć po lesie, nigdzie się dziś nie spieszył. Jedyne, co odstręczało go od tego pomysłu, to towarzystwo kłusownika.

Luke, czy też Jaźwiec, jak kto woli, rozgadał się bowiem straszliwie. Mimo iż Match w żaden sposób nie sprawiał wrażenia, że jest zainteresowany, musiał jednak wysłuchać historii Zgnilca. Można ją było streścić w jednym zdaniu – pijany chłop poszedł zimą zastawiać wnyki i utonął w oparzelisku. Historyjka może pouczająca, z morałem, ale mało oryginalna. W każdym razie nie na tyle, by przykuć uwagę słuchacza.

Kłusownik nie cenił sobie zwięzłości. Opowieść rozpoczął od przedstawienia szczegółów życia rodzinnego rzezonego Zgnilca, ze szczególnym uwzględnieniem, komu we wsi i jak często dawała jego małżonka. Długo rozwodził się nad stanem zwierzyny płowej w tych partiach lasu, gdzie zastawiał wnyki, nie omieszkał przytoczyć, co mówiły jego liczne dzieci, gdy nie wracał przez długie ranki i wieczory, oraz ostatniego słowa Zgnilca, które wypowiedział w chwili, gdy pogrążył się w bagnie, a nieogoloną gębę miał jeszcze nad powierzchnią.

Match słuchał jednym uchem, nie zachęcając kłusownika żadnymi pytaniami ani nawet spojrzeniem. Cały czas miał nadzieję, że opowieść już zmierza ku nieszczęśliwemu w tym wypadku finałowi. Usłyszawszy końcowy fragment, nie zdzierzył jednak. Wstrzymał konia.

– Zastanówcie się, dobry człowieku – powiedział z ironią. – Zastanówcie się, co gadacie. Przed chwilą mówiliście, że gdy topił się w oparzelisku, to wzywał pomocy, która znikąd nie mogła nadejść, bo poszedł te pieprzone wnyki zakładać sam. I tylko głos wołający ratunku odbijał się echem w puszczy, jak byliście łaskawi powiedzieć... Tak było?

– Ano tak było! – skwapliwie potwierdził Luke, rad z uważnego słuchacza.

– To powiedzcie mi, skąd u diabła wiecie, co powiedział na koniec? – spytał jadłowicie Match.

Luke nie stropił się ani na moment.

– A co taki chomąt mógł powiedzieć? – zdziwił się nieco. – No pomyślcie sami...

Rzeczywiście, pomyślał Match, co mógł powiedzieć? Nietrudno zgadnąć. Odeszła mu ochota do dalszej dyskusji.

Zachęcony powodzeniem kłusownik zaczął następną historię. Match nie słuchał, na szczęście dojeżdżali do polanki. Luke urwał w pół zdania.

Match zeskoczył z konia, przysiadł na suchych liściach. Nie miał specjalnie pomysłu, co dalej. Ten, by pojechać w przeciwną stronę, był niezły, biorąc pod uwagę, że informacje przewodnika dotychczas nieuchronnie prowadziły na manowce. Ciągle jednak byłaby to próba na chybił trafił.

Wszystko się pieprzy, pomyślał. Wszystko idzie nie tak, odkąd...

Odkąd odeszła. Tak, uświadom to sobie wreszcie, ty ślepy durniu. Nic już z tego nie będzie...

Nie mógł się z tym pogodzić, mimo iż Marion nie dała mu żadnej nadziei, spaliła wszystkie mosty. To było nieodwracalne. Sama tak powiedziała ze złością.

Ale on wciąż miał nadzieję, zupełnie irracjonalną, że może zmieni zdanie, może zastanowi się... Może pojmie, co straciła... Bo czegoś takiego nie znajdzie już nigdy...

Wciąż rozmyślał nad rozmową, tą decydującą, w której wszystko zostało powiedziane, nic nie zostało oszczędzone. Po raz setny obracał w pamięci usłyszane słowa, i te, które sam wypowiedział. Nie znajdował nic nowego.

Nic nowego.

Nic...

...Kobiety nie wracają, Match. To mężczyźni przywloką się na kolanach, będą błagać o wybaczenie błędu, który popełnili. Bo już sami rozumieją. Kobiety nie wracają... Nigdy...

Kiedyś to usłyszał, od pewnego minstrela. To była prawda. Wiedział o

tym, ale wciąż nie chciał uwierzyć. Ani wtedy, gdy to usłyszał, ani teraz. Marion nie mogła tak myśleć, nie mogła tak zrobić. Nie ona.

Z zamierzonym okrucieństwem rzuciła w twarz słowa, o których wiedziała, że zranią do głębi. Zranią najskrytsze uczucia, poczucie własnej wartości. Miały zranić. Celowo i skutecznie.

Nie mogła tak myśleć. Naprawdę, nie mogła... Kłamała. Na pewno kłamała...

– ...Panie?

Uniósł głowę. Czego ten znowu chce? Odczepcie się ode mnie wszyscy!

– Panie, co wam? – Kłusownik pochylił się. – Chorzyście?

Match spojrział nieprzytomnie, zastanawiając się, kim jest ten szczerzący spróchniałe pieńki typ z zarośniętą gębą. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, ani co tu robi. Z trudem wrócił do rzeczywistości.

– Nic – wychrypiał. – Już nic.

Luke uradował się szczerze.

– Bo wiecie, panie, tak zbledliście – powiedział z ulgą. – Pot wam wystąpił na czoło, i oczy mieliście takie, no, błędne...

Match wstał. Ze złością przetarł czoło, rzeczywiście zroszone potem, wytarł rękę w kaftan. Jeszcze do tego wychodzę na idiotę, i to wobec takiego... Nie była to budująca myśl. A zresztą, wszystko mi jedno.

– Jużem myślał, że febra was chwyta – rozgadał się znów Luke. – A tu ratunku nijakiego, dla nas, w puszczy zagubionych...

Proszę, proszę, zauważył Match mimo woli. To już jesteśmy zagubieni. A jeszcze nie tak dawno mówiłeś, że w lesie nigdy nie błądzisz... Rzucił przewodnikowi niechętnie spojrzenie.

Luke nie przejął się tym. Nie zamierzał się zamknąć.

– Takeście się, panie, zwinęli, że ażem myślał, że was dreszcze trzęsą. A to, chwalić Boga, nie febra. Wiecie panie, tak se myślę, u nas we wsi woda niedobra... Nie martwcie się, to może być zwykła sraczka.

Match ruszył do przodu, nie oglądając się za siebie. Obawiał się, że jeśli jeszcze chwilę posłucha, to zatłucze Jaźwca jak psa.

\*\*\*

Udanie się w stronę przeciwną nie rozwiązało sprawy. Las gęstniał, nisko zwieszające się gałęzie uniemożliwiały jazdę, trzeba było prowadzić konie. Mimo iż widział, że nie jest to dobry kierunek, Match postanowił nie zawracać. Wszystko było lepsze od kręcenia się w kółko. Nie silił się na ukrywanie swego nastroju. Kłusownik włókł się więc markotnie z tyłu, cierpiąc wyraźnie z powodu wymuszonego milczenia.

Skończyły się buczyny, weszli w partie porośnięte sosenkami i brzożami. Marsz stał się trudniejszy, nogi więzły po kostki w miękkim mchu. Powalone, spróchniałe pnie przegradzały drogę, trzeba było je przekraczać, a gdy były zbyt duże, obchodzić. Match starał się przy tej okazji nie zbaczać z wybranego kierunku. Miał nadzieję, że się to udaje. Niezbyt wielką.

Kolejny pień zagroził drogę. Match zaklął, rozglądając się. W dodatku nie było go jak minąć, z jednej strony splątane chaszczce, z drugiej wykroty. Nie ma rady, trzeba się cofnąć, pomyślał. Obejrzał się, oceniając, jak daleko. Zaklął znów. Daleko.

– I co się tak gapisz? – naskoczył na kłusownika. – Bierz konia i zawracamy. Trzeba to okrążyć.

Luke pocierał zarośniętą szczękę. Chciał widocznie coś powiedzieć. W końcu wzruszył ramionami, szarpnął konia za uzdę. Splunął tylko.

Match wybrał wykroty. Poszli wzdłuż leżących jedno na drugim, martwych drzew. Mijali sterczące w górę, poskręcane korzenie, głębokie, wyrwane w ziemi doły. Pas wiatrołomów ciągnął, zda się, bez końca. Match zastanawiał się, czy trafnie wybrał drogę, czy nie lepiej było obejść zwalony pień przez krzaki z drugiej strony. Nie mógł wiedzieć, młode drzewka skutecznie ograniczały widoczność, jednak zły był coraz bardziej. Wreszcie z ulgą zauważył, że pas wiatrołomów nie kończy się wprawdzie, ale skręca w kierunku, który wydawał mu się właściwy. Tak, to był chyba ten kierunek.

Ciekawe, co, u licha mogło powalić te wszystkie drzewa. Wiatrołomy były stare, mech zarósł wyrwy po korzeniach, pokrył obalone pnie. Ogromne huby, rosnące równoległe do pni świadczyły o tym, że wyrosły

już wtedy, gdy drzewa leżały. Co najmniej kilkanaście lat, ocenił Match. Albo nawet kilkadziesiąt.

Co jednak mogło je powalić? Nie padały ze starości, stoczone przez szkodniki. Wszystkie zwały się w jednym kierunku, tam, gdzie niektóre pnie pękły przy upadku, widział zdrowe niegdyś drewno, bez żadnych wypróchniałych dziupli. Rozejrzał się. Tuż obok takie same drzewa rosły sobie spokojnie. Jakby nieznaną katastrofą przeszedł środkiem, zostawiając je nietknięte.

Match zaintrygowany chciał zwrócić uwagę Luke'a na to niecodzienne zjawisko. Uświadomił sobie nagle, że gadatliwy przewodnik zamilkł. Przestał nawet smarkać w palce.

Właśnie brak tego odgłosu, do którego zdążył się już przyzwyczaić, zaniepokoił Matcha. Zatrzymał się, poczekał, aż kłusownik się z nim zrówna.

Luke był śmiertelnie blady pod szczeciniastym zarostem. Rozglądał się niespokojnie. Jedną dłoń kurczowo wczepił w wiszący na szyi, widoczny spod rozchełstanej koszuli skórzany woreczek. Ścisnął tak, aż naprężony rzemyk, na którym zawieszony był woreczek, werznął się głęboko w szyję, białe kostki zaciśniętej, brudnej dłoni.

– Jaźwiec, co ci? – spytał Match z niepokojem.

Bez odpowiedzi. Kłusownik sprawiał wrażenie, jakby nic nie usłyszał. Zatrzymał się, wpatrując w jakiś punkt w gałęziach drzew przed nimi.

– Jaźwiec! – Match potrząsnął go za ramię. Jak obudzony ze snu Luke wolno obrócił ku niemu twarz. Spojrzał i znów się odwrócił.

– Tam – wyszeptał, patrząc na oddalone o kilkadziesiąt kroków gałęzie. Match poszedł za jego wzrokiem.

Dość rzadko porośnięty fragment lasu zamykała ściana stłoczonych, rosnącym jeden przy drugim wiązów. Splątane gałęzie z dużymi już liśćmi tworzyły gęstwinę, której niepodobna było przebić wzrokiem. Match wstrzymał oddech.

– Tam, w gałęziach... – wionął mu w ucho chrapliwy szept.

Sięgnął po omacku, rozwiązał rzemyki troczące łuk do siodła. Mozolił się chwilę z opornym węzłem, radząc sobie jedną ręką. Nie chciał odrywać spojrzenia od zielonej gęstwiny przed sobą. Wreszcie się udało.

Wyciągnął łuk, nałożył wydobytą z kołczanu na plecach strzałę na cięciwę. Na ugiętych nogach, skradając się, ruszył do przodu.

Przeszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się, wciąż patrząc na drzewa. Nic.

Usłyszał za sobą trzask łamanych, suchych gałązek. Nie odwrócił się. Zdążył już zauważyć, jak hałaśliwie kłusownik porusza się w lesie. Po chwili Luke stanął przy nim.

– Tam nic nie ma – szepnął Match. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zerknął w końcu na Jaźwca.

Ten ciągle wpatrywał się w jeden punkt. Match powtórzył głośniej:

– Luke, tam nic nie ma...

Wolno, bardzo wolno kłusownik odwrócił głowę. Puścił woreczek zawieszony na szyi. Odprężył się w końcu, zgarbił.

– Zdawało mi się – mruknął. Przetarł ręką twarz. – Zdawało mi się – powtórzył.

Wrócił do konia, którego zostawił za sobą. Match spuścił napiętą cięciwę. Dopiero teraz spostrzegł, że przez ten cały czas ścisnął napięty łuk. Po chwili ruszyli dalej.

W gęstwinie wiązów chyba rzeczywiście nic nie było. Albo, jeśli było, to już odeszło. Z bliska okazało się, że drzewa nie rosły tak gęsto, dało się bez trudu prowadzić konie. Luke rozglądał się niespokojnie, przepatrywał gałęzie. Match kłął cicho pod nosem, spoglądając na niego z niechęcią. Najpierw zgubił drogę, teraz ma jakieś zwidy...

Wiązy skończyły się, stracili z oczu pas wiatrołomów. Weszli w suchy, rosnący na piaskach sosnowy las, przetykany młodymi brzoźkami. Maszerowało się lepiej.

Pomimo to Jaźwiec wyraźnie zwalniał. Pomny złości Matcha nie ośmielał się na razie nic mówić, ale widać było, że czuje się coraz bardziej nieswojo. Co go ugryzło, zastanawiał się Match. Przeszliśmy już najgorsze, teraz jest lżej. Pewnie niedługo trafimy na jakiś trakt.

Wiedział, że puszczańskie drogi omijają zazwyczaj takie uroczyiska, jak to, które przed chwilą przebyli. Wiedział też, że wbrew pozorom, mimo całej niedostępności i dzikości lasu Sherwood, drogi i ścieżki wcale nie są rzadkie. Na obrzeżach i w samym lesie było wiele wiosek, w

puszczy żyli bartnicy i smolarze. Mimo wszelkich zakazów prowadzono wyręb. Były też nielegalne polowania. Prędzej czy później trafią na jakąś ścieżkę. Przeszli już przecież daleko na przełaj przez las.

Drogę zagroziła im piaszczysta wydma. Match postanowił nie obchodzić jej, wspiąć się na grzbiet. Wydawała się wysoka na tyle, że były szanse, iż coś stamtąd zobaczą, choćby dalekie dymy, co pozwoli przynajmniej obrać właściwy kierunek.

Zbocze wydmy było łagodne, nie zapadali się w piach porośnięty suchą trawą, pokryty igliwiem. Wkrótce weszli na szczyt, powiało przejmującym chłodem. Match usłyszał, jak idący za nim kłusownik wciąga głośno powietrze, jakby się zachłysnął.

Przed nimi, u stóp wydmy, rozciągała się rozległa kotlina. Ledwie widział przeciwległe zbocza. Miała regularny kształt, prawie idealnego koła.

Mimo ciepłego dnia i wczesnej jeszcze pory całą kotlinę zalegała gęsta mgła. Wystawały z niej jedynie czubki drzew; ostre korony świerków wydawały się jeszcze ciemniejsze na tle szarej mgły.

Z kotliny wiało chłodem. Nieokreśloną grozą i smutkiem.

Match wstrząsnął się mimo woli.

Wyczuwał coś znajomego, coś czego nigdy nie widział, ale co znał. Wiedział, że na pewno zna. Nie mógł oderwać oczu od kłębiącej się w dole mgły. Miał wrażenie, że ta mgła wiruje, obraca się wokół, wolno, bardzo wolno... Przyciąga go, wzywa do siebie. Czuł to, czuł całym sobą.

Z tyłu dobiegło żałosne pochlipywanie. Odwrócił się niechętnie. Czego ten znowu...

Luke siedział, bezradnie zwiesiwszy ramiona. Wpatrywał się w kotlinę, nawet nie próbując ocierać płynących łez ani usmarkanego nosa. Match nie zdziwił się, widząc starego chłopca, łkającego jak dziecko, widząc łyzy ściekające po siwym, szpeceniastym zaroście. Czuł niejasno, że Luke ma do tego powody.

Kucnął przed nim, z rozmachem uderzył w zarośnięty pysk. Jaźwcowi zadzwoniły nieliczne zęby, ale nie przestawał szlochać. Match poprawił z drugiej strony. Wreszcie pomogło, teraz tylko pociągał nosem. Wzrok miał błędny. Za chwilę jednak wargi, z których pociekła strużka krwi z



przygryzionego języka, wykrzywiły się znowu. Match ponownie uniósł rękę.

– Mów – przykazał groźnie. – Mów, o co chodzi, bo jak ci zaraz...

Nie musiał kończyć. Jaźwiec wyteńczył wszystkie siły, zebrał się w sobie. Chyba nawet aż za bardzo, prosto z rozpaczy wpadł w rezygnację.

– Nie wyjdziemy stąd – powiedział niewyraźnie, na wargach pękł bąbelek krwawej śliny. – Nie wyjdziemy...

Zaśmiał się, dziko tocząc oczyma. To na nic, pomyślał Match ze zniechęceniem, nie powie nic rozsądnego, jest w szoku. Wstał, odwrócił się. Mglista kotlina miała na niego dziwny wpływ. Przyciągała, powodowała, że wpatrywał się z napięciem w kłębiącą się, wirującą mgłę. Obcą, niesamowitą i groźną.

I tak znajomą...

Wiedział, że musi tam zejść, zanurzyć się w tej mgle, czuł, że tam, na dole, w wilgotnym, zimnym oparze coś jest. Coś, co drzemie od wieków i czeka...

...Na niego?

...Tak, powiedziało coś wyraźnie w głębi umysłu, w tej głębi, z której istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy, a która, jak uświadomił sobie właśnie w nagłym przebłysku, zawsze tam była. Brzemienna w niepojęte jeszcze doświadczenia.

Powoli, krok za krokiem zstępował po zboczu wydmy. W zimną mgłę. Naprzeciw temu, co było przeznaczone. Od urodzenia. Od wieków. Od zawsze. Gonił go dziki wrzask.

– Dokąd?! Panie, dokąd?! Tam śmierć!

Kłusownik zerwał się na nogi, zachłystywał się krzykiem, aż grube żyły o mało nie pękły mu na skroniach.

Śmierć, Match obracał w myśli to słowo, jakby dziwiąc się jego brzmieniu. Śmierć... I dobrze! Równie dobrze można teraz... Po co tak dalej, po co?

Stąpił uważnie. Musi dotrzeć na samo dno, niech się dzieje co chce. Uważał, by nie skrećić nogi na wystających korzeniach. Coraz niżej, coraz chłodniej.

Zatrzymał się. Spojrzał, mając głowę tuż nad powierzchnią mgły. Płynęła równo, okrążając kotlinę. Miał wrażenie, że tak płynie już od wieków, właściwie miał pewność.

Luke opadł na czworaki, wrzeszczał, plując śliną zmieszaną z krwią.

– Stamtąd nikt nie wyjdzie! Tam nie wolno! Wracaj, ten, kto to zobaczył, już nie żyje! Nie żyje! Ja już też nie żyję!

\*\*\*

Gęsty tuman otulił Matcha, przez chwilę szedł na oślep. Czuł drobne, zimne kropelki osiadające na twarzy, wilgoć spływającą po włosach. Nie bał się. Trzeźwa część umysłu zastanawiała się przez mgnienie oka nad tym zadziwiającym faktem, ale tylko przez mgnienie. Szybko uległa napierającym wspomnieniom. Wspomnieniom?

Wiedział, co znajdzie tam, w samym środku kotliny. Wiedział, dokąd iść, nawet nie patrząc, i wiedział, że dojdzie.

Schodził po zboczu. Mgła rzedła z wolna, nie była już jednolicie szarą zasłoną, dostrzegał przejaśnienia. Wkrótce zbocze skończyło się, doszedł do płaskiego dna kotliny. Pod nogami miękko uginał się dywan mchu. Widział pnie drzew, niknące w oparze, lśniące od wilgoci, jak słupy podpierające szare, ciężkie sklepienie.

Sylwetki jałowców, prawie czarnych w tym mętnym świetle, nabierały fantastycznych kształtów. Zdawały się rozstępować przed nim, jak milczący strażnicy. Już niedaleko.

Złowił ruch kątem oka. Trzeźwa część umysłu kazała się obrócić, ręka odruchowo sięgnęła do rękojeści miecza. Dłoń chwyciła próżnię, miecz został na górze, przytroczony do siodła. Wpatrzony w niego zielone oczy. Miecz ci niepotrzebny, Match, zdają się mówić. Nie wszystko da się zabić mieczem...

...Na pewno nie pamięć. Na pewno nie... miłość?

Zielone oczy spoglądają zimno. To nie miłość, Match, pomyliłeś...

...Pomyliłeś wdzięczność z czymś innym...

Kasztanowate włosy opadają na twarz, zasłaniają spojrzenie, w

którym mógł dostrzec... Gniew? Znużenie? A może... litość?

...Dlaczego? Dlaczego tak?

...To tylko... namiętność... Nic więcej... Nic...

...Spójrz na mnie... Przecież... szkoda...

Zielone oczy wypełniają się łzami.

...Tak, szkoda...

Zimna mgła spływa wilgocią po twarzy. To nie łzy, to tylko mgła. Wyciągnięta ręka dotyka pustki. To tylko mgła...

Kroki grzęzną w grubym, uginającym się mchu. Dalej, do samego środka. Już niedaleko. Mgła nad głową wiruje coraz szybciej, jakby ktoś chochlą mieszał w olbrzymim kotle. Strzępki przepływają przed twarzą, prawie dotykalne.

Szary pułap skręca się w spirale, rwie. Między wirującymi pasmami prześwituje niebo. Na mchu kołują jasne plamy światła... Coraz więcej. Coraz szybciej...

...Cętki światła padającego przez gałęzie szalasu tańczą na nagiej skórze. Miedziane błyski we włosach. Wplecione w siebie dłonie zaciskają się aż do bólu.

Słoneczne drobiny zamierają, prawie w bezruchu, poruszane tylko oddechem. Zielone oczy, dalekie, nieobecne...

...Marion, ja...

Ledwie widoczne drgnienie twarzy, prawie niedostrzegalny grymas. Lekki przeczący ruch głowy...

...Marion, ja naprawdę...

...Nie, Match... Nie...

Podeszwa buta zgrzyta na kamieniu. Mokry, śliski gład wystaje ponad mech jak grzbiet przyczajonego zwierza. Obok następne, wrośnięte w mech, ogromne. Znaczące zarys kręgu.

Nie idź tam! Nie idź!

Ktoś krzychał? Tu nikogo nie ma, tu nikt nie przyjdzie, nikt...

Oprócz mnie...

Mgła nad głową szaleje w bezwietrznej ciszy. Już widać. Powietrze

drży nad głazem wyciosanym w kształt pięciokąta, jak nad rozpalonym słońcem piaskiem w upalne południe. Mgła ucieka na boki, nad głazem widać już krąg wolny od szarych oparów.

Match zatrzymał się, otarł z twarzy zimne krople. Spojrzał w górę. Powoli wracała jasność myśli, odeszły zwiady.

Zobaczył, że przez okrągły otwór uformowany w środku mglistego wiru przeziara błękitne niebo. Ciężkie chmury, odepchnięte na boki płynęły nad kotliną.

Oślepiiony jasnością zmrużył oczy, pod powiekami przelatowały czerwone plamy.

Co dalej? – pomyślał. – Po co tu zszedłem, jaki jest cel tego wszystkiego?

Wiedział, że cel istnieje. Miał tę pewność. Miał pewność od zawsze.

Był blisko, na wyciągnięcie ręki.

Całe życie dla tej jednej chwili. Wszystkie życia przedtem.

Cały ten łańcuch istnień, ukryte gdzieś głęboko namiętności, lęki, pragnienia. Wszystko to służyło...

...czemu?

– Decyzji! – coś wymówiło wyraźnie. Rozejrzał się oszołomiony. Nikogo dokoła.

– Pospiesz się – rozbrzmiało dobitnie wewnątrz czaszki. – Już czas!

– Na co? – chciał spytać.

– Na twój wybór... – Odpowiedź była taka, jakiej się spodziewał. Musiała taka być, już dawno tak postanowiono...

Kto? On sam, kiedyś, dawno. Nie ten sam, ale taki sam... Ten, który nie doczekał... Który musiał jeszcze czekać. Czekać długo, bardzo długo...

Już się nie wahał. Zdecydował. Choćby miało to oznaczać...

...Śmierć? A czym jest śmierć?

Wolno wyciągnął ręce, położył je na płaskiej powierzchni głazu. Była mokra, szorstka i zimna. Poczuł delikatne drgania, wibrację dochodzącą gdzieś z głębi...

Błysk. I ciemność.

\*\*\*

Luke, wciąż klęczący na krawędzi doliny, poczuł drżenie ziemi. Zdążył zobaczyć jasny błysk, który błękitnym kręgiem rozpełzł się po powierzchni wirującej mgły. Ból ścisnął mu czaszkę, jakby za chwilę miała pęknąć.

Zacisnął powieki, zerwał się i popędził na oślep, za siebie. Biegł, potykając się, gramoląc na czworakach, znów podrywając na nogi. Nie czuł gałęzi chlaszczących go po twarzy, tnących skórę na czole i policzkach. Nie poczuł nawet, jak uderzył głową w pień, który wyrósł nagle prosto przed nim. Leżał chwilę oszołomiony, poderwał się znów, pobiegł. Wył jak zwierzę. W tym głosie nie było już nic ludzkiego.

Wył jak ktoś, kto postradał zmysły.

Kto już do końca życia miał nie odzyskać rozsądku. Do końca życia miał pozostać przerażonym zwierzęciem, zdolnym jedynie do krzyku, do panicznej ucieczki. Do końca życia miał odczuwać tępy ból, który zagnieździł się pod czaszką. Do końca życia...

Miał też szczęście. Nie potrwało to zbyt długo.

\*\*\*

Mgła rozwiała się, jakby nigdy jej nie było. Z grzbietu wydmy można było zobaczyć zieloną gęstwinę drzew porastającą kotlinę. Niebo zaciągnęło się chmurami.

Match leżał na wydmie, wciskając głowę w piach pod cienką warstwę suchego igliwia. Tuż przed oczyma widział czerwoną mrówkę z wysiłkiem niosącą sosnową igłę. Jak gdyby nigdy nic.

Uniósł głowę, splunął piaskiem i igliwem. Po chwili wstał.

Nie pamiętał, jak wyszedł z kotliny, ani jak długo tak leżał. Pamiętał...

Nie, na to będzie jeszcze czas. Teraz najważniejsze, by wydostać się stąd. Później przemyśli to wszystko. Wszystko tak niewiarygodne, niemożliwe. A jednak prawdziwe.

Ruszył przed siebie. Zszedł z wydmy, minął sosnowy, przetykany brzózkami las. Gdy przechodził przez gęste wiązy, przypomniał mu się Jaźwicz, jego strach.

Uciekł, skurwysyn, zostawił mnie bez koni. Mam nadzieję, że szlag go trafi, pomyślał mściwie i proroczo.

Nie spojrzął w górę, między skręcone konary. Szedł szybko, nie usłyszał szelestu kropli krwi, padających z góry na zeschnięte liście.

Kilkaset kroków dalej usłyszał tupot i rżenie konia. Znalazł go stojącego z zadartą do góry głową, ryjącego kopytami miękką ziemię. Puszczony luzno wodze zakleszczyły się w rozwidleniu gałęzi. Niczego nie brakowało, broń była na miejscu. Uwolnił konia i ruszył dalej.

Zanim ściemniło się na dobre, dotarł na trakt.

\*\*\*

– Gdzieś ty był? – Nazir patrzył z wyrzutem. Match bez słowa rzucił mu wodze. Nie miał ochoty na wyjaśnienia. Oczy piekły go z niewyspania.

– Musisz położyć temu kres! – Maur był wzburzony. – Wszyscy robią, co chcą...

– Później – przerwał niecierpliwie Match.

– Nie, teraz, to ważne.

Czego ten znowu chce? Są ważniejsze rzeczy, pomyślał Match z niechęcią. Gdzie jest ten... Cholera, zawsze tu siedzi, a jak naprawdę potrzebny, to go nie widać...

– Nie widziałeś druida? – spytał.

– Nie. – Nazir przerwał ze zdziwieniem. Zaraz jednak wrócił do tego, co chciał powiedzieć. – Posłuchaj, tak być nie może.

– Później – powtórzył Match zimno, tonem, od którego Maur zamilkł. W porządku, ty tu dowodzisz, pomyślał ze złością. Jeżeli jeszcze dowodzisz... Cholera, nic ostatnio do niego nie dociera. To przez nią...

Nazir, jak większość jego ziomek, nie darzył kobiet zbyt dużym poważaniem.

– Poszedł chyba do lasu, na tę swoją polankę – powiedział w końcu.

Zrozumiał, że z Matchem nie da się w tej chwili rozmawiać. – Tam, gdzie zawsze, pod dąb.

\*\*\*

Siedział jak zwykle na polance. Nie podniósł głowy na odgłos kroków. Też jak zwykle.

– Siadaj, Match – powiedział tylko.

Match usiadł. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Druid nigdy nie ułatwiał rozmowy. Nie zadawał pytań, nie patrzył nawet na rozmówcę. Match nie mógł się do tego przyzwyczaić.

Druid nie dość, że nie ułatwiał rozmowy, to potrafił także odejść w pół słowa, bez żadnych wyjaśnień. Ot, po prostu odwracał się i odchodził. Matcha wyjątkowo to denerwowało.

Miał nadzieję, że tym razem tak się nie stanie.

Nie stało się. Ledwie zaczął, wydarzyło się coś innego, wręcz niebywałego, co dotąd się nie przytrafiło. Druid zawsze sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał, co się do niego mówiło. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania. Jeśli odpowiadał, to po długim czasie, od niechcenia. Nigdy na zadane bezpośrednio pytanie.

Teraz, po pierwszych słowach zerwał się, stanął nad zdumionym tym i przestraszonym Matchem. Cisnął ze złością swój nieodłączny jałowcowy kij.

– Mów dalej – syknął tylko z pasją, która jeszcze bardziej zdziwiła Matcha. Nie zdarzało się wcześniej, aby druid okazywał jakiegokolwiek uczucia. Owszem, uśmiechał się czasami, ale tylko wtedy, gdy chciał zadrwić z rozmówcy. Nigdy w innym przypadku. A złość? To było coś zupełnie nowego.

– Mów dalej! – ponaglił go druid. – Szybko, wyczerpująco i ze szczegółami.

Match opowiedział.

\*\*\*

– Co tam było? – wychrypiał Jason. Zaszło mu w gardle, ledwo wydobył głos.

– W kotlinie? – Match też mówił z trudem.

– Nie – zaprzeczył Jason. – Tam, w tych wiązach...

– W jakich wiązach? – spytał Match zaskoczony. – A, w tych... Cholera, że też nie masz już o co pytać, to przecież nieważne.

Spojrzał na Jasona, zamyślił się.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Dopiero ty mi przed chwilą uświadomiłeś, że coś tam w ogóle było... Co, nie widziałeś tego?

– Nie, nie widziałem. – Jason był poruszony. – Nie widziałem. Miałem tylko wrażenie, bo ja wiem...

Zmarszczył czoło, usiłując sobie uświadomić, co właściwie odczuwał. Nie było to łatwe, pomyślał Match, przyglądając mu się z uwagą.

– Miałem wrażenie czegoś strasznego – powiedział wreszcie Jason wolno. – Nie, to jeszcze inaczej...

Przetarł z wysiłkiem czoło.

– Czegoś obcego – znalazł w końcu właściwe określenie. – Obcego i... drapieżnego.

Uśmiechnął się bezradnie, widząc niedowierzanie w oczach Matcha.

– Wiem, to bez sensu. Ale ja starałem się to zobaczyć, roztaczało taką dziwną, bo ja wiem... aurę? Coś dziwnego, w każdym razie. Coś, czego jeszcze nie spotkałem, nawet w wizjach... Wiesz, starałem się to zobaczyć, ale widziałem tylko... Nie, to bez sensu...

Zamilkł. Widział, że Match chce o coś spytać.

– To bez sensu, sam przyznasz – uprzedził pytanie. – Widziałem tylko niebo, ciemne, nocne rozgwieżdżone niebo. I gwiazdę, spadającą wolno, nie tak jak zwykle, tylko świetlista krecha na ciemnym niebie... Gwiazda rozdzieliła się na dwie, jedna poleciała dalej, a druga spadła, szerokim łukiem... Bez sensu, jak sam widzisz.

Bezradnie wzruszył ramionami. Gdyby spojrzał na Matcha, zobaczyłby jego nagle pobladłą twarz. Jednak nie spojrzał.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – Masz rację, to nieważne.



Ważne jest to...

- To co przeżyłem w kotlinie? Co widziałem?
  - Co tam jest, w środku tej kotliny?
  - Tam jest brama, Jason – odpowiedział cicho Match. – W kotlinie nic nie ma, jest tylko brama.
- Zacisnął pięści.
- Tam nic nie ma – powtórzył. – Ale za bramą jest wszystko.

## - VII -

Propozycja była zaskakująca. Tak zaskakująca, że szeryf nie zatrzymał nawet posłańca, który ją przyniósł. Szkoda, może dałoby się coś z niego wycisnąć. A może nie...

Posłańcem był młody, bystro wyglądający chłopak. Ze stroju przypominał zwykłego wieśniaka. Jednak było w nim coś niepokojącego. Nie stracił rezonu w obliczu władzy, nie wodził rozbieganymi oczyma, gnąc się w ukłonie. Wyrecytował bez zająknięcia to, z czym go przysłano. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł, ginąc w tłumie. Rzecz działa się na podgrodziu, w dzień targowy. Kiedy szeryf, zdumiony tym, co usłyszał, doszedł do siebie, było za późno. Wysłana na poszukiwania straż wróciła z niczym.

Gisbourne nie miał wątpliwości.

- To podstęp! - wypalił, gdy tylko szeryf powtórzył mu niecodzienną wiadomość. - Nie ma wątpliwości!

Ten popatrzył w milczeniu. Hrabia zawsze zdawał się na swój pierwszy osąd, rzadko kiedy trafny.

- Chcą was zwabić w pułapkę, panie. - Gisbourne nie stropił się pod spojrzeniem, pewny swych racji. - Zamordować podstępem! Porwać i zażądać okupu!

- Zdecyduj się może, zamordować czy porwać dla okupu - powiedział szeryf z lekkim zniecierpliwieniem.

- Jedno i drugie! - Hrabia nie dawał się zbić z tropu. - To znaczy, oczywiście, najpierw porwać, a gdy nie dostaną okupu, to zamordować!

Tak, ta możliwość jest prawdopodobna, pomyślał szeryf. Tyle że pies z kulawą nogą nie zapłaci za mnie okupu. A ty zajmiesz z ochotą moje miejsce. Spojrzał na hrabiego z niechęcią, lecz ten wyglądał jak ucieleśnienie niewinności. Jeśli jeszcze na to nie wpadłeś, to ja nie będę

podsuwał ci takich pomysłów, szeryf rozchmurzył się nieco.

Gisbourne spostrzegł niechętnie spojrzenie. Zaczerwienił się.

– Nie myślcie sobie, panie... – oburzył się szczerze. – Nie myślcie! Ja z własnej szkatuły, jakby było konieczne, do ostatniego grosza bym za was...

– Do głowy by mi nie przyszło. – Szeryf nie zająknął się nawet. Do ostatniego grosza... Coś takiego! – Nie, Gisbourne, nie w tym rzecz. Nie sądzę, żeby to był podstęp...

– Nie bądźcie ślepi, panie! – wykrzyknął hrabia. – To przecież zbóje, bez czci i honoru... Znam ich aż za dobrze...

Chyba jednak nie znasz, pomyślał szeryf.

– Nie sądzę – powtórzył. – Co najmniej z dwóch powodów.

Gisbourne wciąż nie był przekonany.

– Po pierwsze, on nigdy dotąd nie uciekał się do podstępu. To my próbowaliśmy zwabić go w pułapkę, on nigdy...

– A lady Maud? – przerwał Gisbourne.

– W tym wypadku, jak wiesz, to była inicjatywa niesfornych podwładnych. On nie wydał polecenia porwania szlachetnej pani. Co więcej, jak sobie przypominasz, kazał ją co prędzej uwolnić, przeprosić i wynagrodzić jej przykrości. Do tego stopnia wynagrodzić, że przez jakiś czas koło lasu kręciło się sporo wszelakich panien... Niestety, jak wiesz, ich nadzieje pozostały płonne. To się już nie powtórzyło, a sprawcy zostali przepędzeni. Bez prawa powrotu. Tak że gdy zajęli się rozbojem na własną rękę, mogliśmy ich schwytać i powiesić. Nie, Gisbourne, on jest na swój sposób uczciwy.

– Co? – wydarł się hrabia. – Zupełnie nie rozumiem.

– Ciszej! – Szeryf się skrzywił. – Cóż, być może to pojęcie jest dla ciebie z gruntu obce, zapewniam cię jednak, że nawet w tych paskudnych czasach jeszcze istnieje. Niekiedy, aczkolwiek muszę przyznać, że rzadko, można je spotkać. Jeżeli nie potrafisz zrozumieć, to uwierz mi na słowo...

Z twarzy Gisbourne'a można było wyczytać, że nie uwierzył, a już na pewno nie rozumiał. Szeryf machnął ręką.

– Wiem, takie argumenty do ciebie nie przemawiają. – Pokręcił głową

z rezygnacją. – Drugi zatem jest bardziej racjonalny. Otóż, zważ sobie samo miejsce, gdzie mamy się spotkać. To szczerze, płaskie wrzosowisko, tylko na środku ta kupa kamieni, rzadko zresztą stojących... To nie jest miejsce na zasadzkę, tam nie ma się gdzie ukryć. Wręcz przeciwnie nawet, to jasno miało nam przekazać intencje. My też nie możemy się tam zasadzić... Z daleka będzie widać, kto nadchodzi, jaką siłą. Zawsze będzie czas na ucieczkę.

– A gdyby zjawić się tam wcześniej. – Hrabia począł głośno rozmyślać.  
– Ukryć paru zbrojnych, niech tam leżą, schowani w tych wrzosach, niech sobie nawet dołki wykopią... To się może udać! – dokończył z błyskiem w oku.

– Owszem, może, ale się nie uda – zgasił jego zapał szeryf. – Po pierwsze, mam wrażenie, że korzystniej będzie wysłuchać, co ten tajemniczy ktoś ma do powiedzenia. Do zaproponowania. Po drugie, pamiętaj, że oni też mogą na to wpaść.

– Co wy, panie, te głupie zbóje? – hrabia zaprzeczył z oburzeniem. – Te kmioty? W życiu tego nie wymyślą. Tu trzeba...

– Tak, Gisbourne, właśnie te zbóje. Jak dotąd wpadli już na wiele pomysłów, z których kilka odczułeś na własnym tyłku, boleśnie. Ale nie martw się, koncept nie jest głupi, i trzeba się zabezpieczyć.

Hrabia zbystrzał nagle, wietrząc kłopoty.

– Tak, dobrze myślisz. – Szeryf roześmiał się, widząc jak Gisbourne nadstawia uszu. – Trzeba sprawdzić, czy nie wpadli na taki pomysł. Dlatego ruszymy wcześniej, zatrzymamy się na trakcie, na skraju wrzosowiska. Potem udasz się na miejsce spotkania, weźmiesz kilku ludzi, rozejrzycie się. To w niczym nie narusza umowy, mam nadzieję, że zawartej. Jeżeli wszystko będzie w porządku, nikogo nie znajdziesz. A potem zobaczymy z daleka, kto przybędzie. Dopiero wtedy pojedę sam...

\*\*\*

Gisbourne spieszył się z powrotem. Wysforował się spory kawałek przed zbrojnych, pędzących za nim przez wrzosowisko.

Gdy dojechał, brutalnie szarpnął konia, który czterema kopytami

wrył się w trakt.

– Nikogo! – powiedział hrabia zdyszany.

– Dobrze sprawdziłeś? – spytał szeryf. – Dokładnie?

– Dokładnie. Nikogo tam nie ma, na pewno. – Hrabia wyglądał na urażonego podejrzeniami o niesumienne wypełnianie poleceń.

– Mówiłem ci przecież, to nie zasadzka. Teraz poczekamy. Powiedz ludziom, żeby się trochę cofnęli.

Po wydaniu stosownych rozkazów Gisbourne wrócił do szeryfa. Czekali, nie zsiadając z koni.

Dzień był pochmurny, lecz nie mglisty. W przejrzystym powietrzu ostro rysowały się rzadko stojące megality, które tworzyły na środku wrzosowiska wielki krąg. Szeryf spoglądał na widoczną w dali, po przeciwnej stronie ścianę lasu. Pewnie tam są, czekają, tak jak i my, przemknęło mu przez głowę. Chcą być pewni, że będę sam.

To hrabia pierwszy zobaczył dwie sylwetki, niewyraźne na ciemnym tle puszczy. Pokazał ręką.

– Idą – wykrzyknął z podnieceniem. – Dwóch!

Spojrzał oskarżycielsko na szeryfa.

– Miał być jeden – dodał z oburzeniem.

Szeryf wyteżył wzrok, usiłując dojrzeć szczegóły. Na razie widział tylko, że idących ku megalitom na pewno jest dwóch. Szli pieszo. Postanowił też zsiąść z konia.

Gisbourne miał lepszy wzrok.

– Ten drugi to kobieta – zdziwił się głośno.

Istotnie, przyznał szeryf. Druga zbliżająca się osoba była niewątpliwie kobietą, ubraną w taki sam jasny płaszcz jak idący przed nią mężczyzna. Kaptur, w przeciwieństwie do niego, miała odrzucony na plecy. Szeryf mógł już dostrzec kasztanowate włosy. Czyżby...

Kobieta szła sztywno, nie rozglądając się na boki. Jak we śnie.

– No, zsiadajcie, panie hrabio, z tej swojej kobyły – zdecydował szeryf.  
– Ruszamy?

– My? – Gisbourne wytrzeszczył oczy. – Mieliście, panie, sami...

– Mieliśmy, i co z tego? – spytał łagodnie szeryf. – Ich jest dwoje, to i nas też... Wprawdzie nie wyglądacie mi na kobietę, ale może się nadacie...  
Gisbourne zaklął tylko pod nosem.

\*\*\*

Kiedy szeryf rozpoznał siedzącego mężczyznę, stanął jak wryty. Ten człowiek w płaszczu z kapturem był ostatnią osobą, jaką spodziewał się zobaczyć. Nie ucieszył się na jego widok. Nie wziął tego pod uwagę.

Poczuł zimno w okolicach kręgosłupa. Nie bał się wroga, przeciw któremu można stanąć z mieczem w ręku. Nawet jeśli ten miałby przewagę. Z tym człowiekiem to nie takie proste... Jeśli to w ogóle człowiek. Jak sobie przypominał, zdania były podzielone.

– Odpraw go – odezwał się druid bez żadnych wstępów.

– Co? – powiedział szeryf zaskoczony. Takiego powitania też się nie spodziewał.

– Odpraw go – powtórzył druid cicho. – Miałeś być sam. Tylko wtedy będziemy rozmawiać.

– Niedoczekanie! – Hrabia, mimo iż porządnie wystraszony, wyrwał się jak zwykle nie w porę. – I bacz, jak mówisz do szlachetnego...

Głos uwiązał mu w gardle pod ciężkim spojrzeniem wyblakłych oczu. Poderwał dłonie do szyi, zacisnął palce. Żyły na skroniach nabrzmiały, twarz pociemniała od nabiegłej krwi. Dusił się.

Szeryf patrzył to na hrabiego, który zbliżał się już do kresu wytrzymałości, to na siedzącego mężczyznę. Też nie mógł wydobyć głosu. Jednak gdy oczy Gisbourne'a wywróciły się, ukazując białka, krzyknął wreszcie:

– Puść go!

Człowiek w jasnym płaszczu nie drgnął nawet, nie zmienił wyrazu twarzy. Słysząc było tylko cichnący charkot. Niewiele brakowało, kiedy druid wolno odwrócił głowę od hrabiego i spojrzął na szeryfa.

Gisbourne miękko, jak szmata, osunął się na ziemię. Oddychał ciężko, chrapliwie.

– Co chciałeś przez to pokazać? – spytał zimno szeryf, starając się nad sobą zapanować. Udało się, głos nie zadrżał.

– Przez co? – padło obłudne pytanie. – Przecież nic mu nie zrobiłem. Może on niezdrów?

– Może. Ale tak nie będziemy rozmawiać. Pozbierałeś się, Gisbourne? To idziemy...

Hrabia zbierał się właśnie z trudem. Szeryf miał wątpliwości, czy druid pozwoli im spokojnie odejść. Nie było jednak wyjścia, nie mógł zgodzić się na takie warunki. Cholera, a więc Gisbourne miał rację, przyznał w duchu niechętnie. To nie był najlepszy pomysł...

– Zaczekaj – usłyszał za sobą. Nie zatrzymał się, zgarbił tylko w oczekiwaniu... Czego? Sam nie wiedział...

Nic się nie stało.

– Zaczekaj. – W głosie druida nie było irytacji. – Jak chcesz, to niech zostanie. Chociaż dla niego byłoby lepiej, żeby nie słyszał tego, co ci chcę powiedzieć.

Na razie nie trzeba było się martwić, że hrabia w ogóle usłyszy cokolwiek. Usadzony przez szeryfa, oparty o wielki głaz nie sprawiał wrażenia kogoś, kto zainteresowany jest choćby w najmniejszym stopniu tym, co się wokół niego dzieje. Rozcierał tylko gardło, chwytając powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Zaraz mu przejdzie – powiedział druid w odpowiedzi na niechętnie spojrzenie szeryfa. – Nie obawiaj się, nie zamierzam zrobić z tobą nic takiego... Siadaj wreszcie.

Szeryf wytrzymał spojrzenie wyblakłych oczu. Nie spuścił wzroku.

– Nawet nie próbuj – powiedział wreszcie, sam się dziwiąc, skąd jeszcze ma tyle opanowania. Odpiął pas z mieczem, usiadł, kładąc pochwę na skrzyżowanych nogach. Położył spokojnie dłoń na rękojeści, drugą w połowie pochwy. Nie drżały, zauważył z satysfakcją.

– Nie będę, po co mam próbować – odpowiedział obojętnie druid. – Jak mówiłem, chcę jedynie porozmawiać. Potrzebny mi jesteś w pełni władz umysłowych, że się tak wyrażę.

A to dopiero, pomyślał szeryf, potrzebny mu jestem. Ciekawe, do czego...

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy – usłyszał. – Najpierw wyjaśnijmy sobie coś. Nie lubię cię. Ty, o ile wiem, też, jeśli można to tak określić. Ale teraz, mimo wszystkiego, co nas dzieli, mimo że zawsze pozostaniesz dla nas najeźdźcą, przedstawię ci pewną propozycję...

Druid zawiesił głos, obserwując reakcję szeryfa. Jeżeli liczył na zaskoczenie, to się zawiódł.

– Spodziewałem się tego – odparł szeryf. – Spodziewałem się rozmów, ofert, odkąd przycisnęliśmy was mocniej. Cóż, słucham. Myślałem jednak, że to sam wódz mi je przedstawi. Jednak mimo to gotów jestem wysłuchać.

Druid roześmiał się.

– Spodziewałeś się rozmów? – wydawał się szczerze ubawiony. – Nie żartuj. Wasze sukcesy, na które się zaraz pewnie powołasz, niewiele dotąd znaczą. Tylko czekać dnia, kiedy ośmieleni sąsiedzi przyjdą ci z pomocą. Albo sam król. A tej pomocy to już nie przetrzymasz...

Szeryf nie miał złudzeń. Wiedział, że herszt banitów, gdy zdobędzie zamek, opanuje okolicę, może nawet liczyć na potwierdzenie swych zdobyczy królewskim nadaniem. Zwykle tak bywało, zawsze uznawano prawa silniejszego. Czyżby od początku o to chodziło?

– Nie, szeryfie. – Druid spoważniał. – Nie będzie rozmów. Match nie przedstawi ci żadnych propozycji. To ja chcę ci coś zaoferować. Jednak posłuchaj, bo warto... Krótko mówiąc, chcę ci zaoferować pomoc.

Tym razem szeryf nie zdołał zapanować nad wyrazem twarzy. Szczęka mu opadła.

– Że co? – zdołał tylko wykrztusić.

– Dokładnie to, co słyszałeś – powtórzył druid dobitnie. – Chcę ci pomóc. Chcę, żebyś zwyciężył. I to szybko.

Szeryfowi udało się otrząsnąć z zaskoczenia. Propozycja była niewiarygodna i przychodziła, prawdę mówiąc, w samą porę. Ale...

– A co w zamian? – spytał szybko. – Bo jeśli chcesz, bym zaczął was popierać przeciwko Kościołowi, to nic z tego. To się nie da...

– W zamian nic. – Druid również nie zamierzał pozostawiać żadnych niejasności. – Zupełnie nic, wystarczy, że zwyciężysz. Skończy się rebelia i zapanuje spokój.



– Poczekaj chwilę – przerwał zimno szeryf. – Mam uwierzyć, że staniesz po mojej stronie? Tak bez zobowiązań? Że ty, druid, staniesz przeciwko wyznawcom swej wiary? Może jeszcze chcesz się ochrzcić i zająć miejsce mojego braciszka opata? Powycinać święte gaje, a na ich miejscu postawić kapliczki? A tu, zamiast tych kamieni będzie co, droga krzyżowa?

– Nie zrozumiałeś mnie.

– Nie, nie zrozumiałem. Więc może wyjaśnisz...

– Nie mam zamiaru nic tłumaczyć. Powtórzę jedynie, że chcę pomóc ci zwyciężyć. Dlaczego, to nie powinno cię interesować. Powiedz tylko, czy przyjmujesz moją ofertę?

Szeryf podniósł się zdecydowanie. Zaczął bez słowa zapinać pas na biodrach.

– Czy przyjmujesz moją ofertę? – druid ponowił pytanie.

– Nie – odparł szeryf krótko.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, co się naprawdę za nią kryje. Bo coś mi tu śmierdzi, śmierdzi z daleka, wyczuwam jakiś haczyk. Wystarczy?

– Nie stać cię na jej odrzucanie. – W głosie druida pojawił się w końcu gniew. – Możesz ją przyjąć, albo...

– Albo?

– Albo twoje dni są policzone. Nie wytrzymasz już długo.

Szeryf roześmiał się tylko, choć wcale nie czuł zadowolenia.

– Posłuchaj, przyjacielu – powiedział. – Może tak, może nie. Ale jeżeli chcesz coś zaproponować, to bądź łaskaw trochę więcej powiedzieć. Bo na razie to wszystko się kupy nie trzyma.

Druid po raz pierwszy się zawahał. Spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu straciło zwykłą pewność. Widząc, że szeryf nie zamierza kontynuować rozmowy, wstał również. Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Dobrze, spróbuję więc wyjaśnić – zaczął druid po chwili. – Moja propozycja dotyczy tylko pomocy w pokonaniu banitów. Nie będę sprzyjał ani tobie, ani tobie podobnym, w zwalczaniu, jak zwykliście to nazywać, zabobonu i pogaństwa. Nawet o tym nie myśl. Zamierzam

wyłącznie pomóc ci w uporaniu się z problemem, któremu na imię Match. Może nie uwierzysz, ale to obecnie nasz wspólny kłopot.

– Dokładniej – zażądał sucho szeryf. Dopiero teraz dotarła do niego świadomość obecności nieruchomo siedzącej kobiety. Lady Marion. Co ona, do cholery, tu robi?

Nie odezwała się dotąd ani słowem, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Szeryf zdał sobie sprawę, że od początku nie spojrzała na niego. Spostrzegł jej nienaturalnie rozszerzone źrenice i bladość twarzy.

– Co ty sobie wyobrażasz? – Gniew w głosie druida zawibrował silniej. – Kim ty w ogóle jesteś? Wystarczy, że trochę poczekam, a sam poprosisz, na kolanach, o ile zdążysz...

W głosie prócz gniewu szeryf usłyszał coś jeszcze. Nie będzie zwlekał, zrozumiał, on też nie ma czasu. To jemu bardziej zależy. Powie wszystko, musi powiedzieć. Na samym początku mówił prawdę, jestem mu potrzebny... Dobrze, zobaczymy jak bardzo.

Skłonił się.

– Dziękuję za pouczającą rozmowę – skwitował z oschłą ironią. – Przemyślę to sobie. Jak przemyślę, to dam znać. Żegnam. Lady Marion...

Skłonił się jeszcze raz. Nie doczekał się żadnej reakcji, jakby w ogóle nic nie dostrzegła. Teraz nie mógł się nad tym zastanawiać.

– Źle cię oceniłem – rzekł cicho druid. – Nie będę przeproszał. Dobrze, skoro chcesz wiedzieć wszystko... W porządku, jak wolisz. Uprzedzam jednak, że to, co usłyszysz, nie będzie ani łatwe, ani przyjemne. Możesz dojść poniewczasie do wniosku, że wcale nie chciałeś tego usłyszeć...

– Zaryzykuję – przerwał zimno szeryf.

– To siadaj. – Druid po raz pierwszy się uśmiechnął. – To potrwa dosyć długo.

\*\*\*

Przeor wrócił z miasta. Jason zza swej stodółki widział, jak zaprzężony w klasztornego konia wózek wpada pędem na podwórze. Łykawy konik pokryty był pianą, widać przeor nie szczędził po drodze

bata. Jason nie wiedział wprawdzie, co w przypadku konia oznacza określenie "łykawy", słyszał jedynie kiedyś, jak któryś z braciszków właśnie tak nazwał dolegliwość, trapiącą to nieszczęsne zwierzę. Sam wiedział tylko, że zołzy też niekiedy konie miewają, jak również kolki. To wyczerpywało jego znajomość końskich schorzeń. W każdym razie koń wyglądał na łykawego, cokolwiek by to oznaczało.

Piotr zeskoczył z wozu i natychmiast, nie odpowiadając nawet na powitania braciszków, zniknął w swojej chacie.

Jason czekał z wytęsknieniem na wieści ze świata. Zbyt długo już był zagrzebany na tym zadupiu, skazany na towarzystwo Matcha i mnichów. Braciszkwowie, cisi i bezbarwni, nadal starannie omijali Jasona, odzywając się wyłącznie wtedy, gdy wprost o coś zapytał. W ich spojrzeniach za to wyraźnie odczytywał pytanie, kiedy wreszcie się stąd wyniesie. Ba, gdyby to wiedział. Sam wyniósłby się chętnie, nawet zaraz.

Ale nie mógł. Nie skończyli jeszcze. Wciąż było daleko. Mało tego, pomyślał Jason ze złością, nie posunęli się naprzód, nawet o krok. Przeszłość Matcha, choć niewątpliwie barwna i intrygująca, delikatnie rzecz ujmując, nie wyjaśniała dotąd niczego z mrocznych, sennych prorocत्व Jasona. Wciąż nie widział związku, mimo iż zaczynały mu się rysować pewne, mgliste na razie, domysły.

Złościło go, że przed kilkoma dniami Match przerwał nagle swe opowieści. Przerwał, i pozostawił Jasona bez jakichkolwiek wyjaśnień. Właśnie wtedy, gdy, jak mu się wydawało, coś w końcu zaczynał pojmować.

Nie próbował naciskać. Wiedział już, że to na nic się nie zda. Match unikał go, nie pojawiał się w klasztorze przez kilka dni. Jason nie szukał go, wiedząc, że dopóki Match nie zechce, nie da się go odnaleźć, a nie miał ochoty włączyć się jego śladem po lesie.

Gdy niedługo po powrocie przeora dostrzegł Matcha idącego szybko przez podwórze, zerwał się i chciał wybiec mu naprzeciw. Ten jednak tylko skinął z roztargnieniem ręką i poszedł dalej. Zmierzał do chaty Piotra.

Kiedy zniknął wewnątrz, zamykając za sobą starannie drzwi, Jason pojął, że Match spodziewał się widać czegoś ważnego. Przypomniawszy sobie widoczne wzburzenie przeora, Jason zaczął się obawiać, że wieści

nie będą najlepsze.

Pojął, że ich czas dobiega końca, nagle był tego zupełnie pewien. Czując zimny ciężar, który pojawił się w trzewiach, zrozumiał, że to, czego przybycie przepowiadał w snach, stoi tuż za progiem. Mimo ciepłego dnia otaczało go zewsząd zimno. Wstrząsnął się.

Chwila była bliska.

\*\*\*

– Zostało mało czasu. – Match, jak zwykle, nie bawił się w żadne wstępy. – Musimy się spieszyć.

Jason nie przeczył. Miał dokładnie takie samo wrażenie.

– Jakie wieści przywiózł przeor? – spytał tylko.

– Złe – odparł krótko Match.

Jason zamyślił się. To, że okazały się złe, nie było dla niego żadną rewelacją, spodziewał się tego. Widział twarz zakonnika, gdy ten odprowadzał Matcha przez podwórze. Pamiętał zdenerwowanie zaraz po powrocie, pamiętał zagonionego prawie na śmierć łykawego konika. Wieści musiały być nie tylko złe, pomyślał, musiały być pilne, skoro Piotr tak się spieszył.

– Może powiesz coś więcej... – zaczął.

– Nie teraz – przerwał Match niecierpliwie. – Później. Teraz muszę ci opowiedzieć wszystko do końca, żebyś pojął. Może wtedy zrozumiesz swoje przepowiednie. Tyle tylko mogę rzec, że się na razie sprawdzają.

Marna satysfakcja, przeszło Jasonowi przez myśl. Więc jednak to nie były majaczenia w gorączce. Do tej pory ciągle miał taką nadzieję... Kurwa, może to zwykły przypadek... Może zbieg okoliczności, a ten, ze swoim poczuciem winy, z fatalistyczną wiarą w nieuchronność przeznaczenia...

Popatrzył na Matcha.

– Nie, Jason. – Match zauważył wątpliwości w jego spojrzeniu. – Nie łudź się. Zbyt wiele się zgadza, żeby to był przypadek. Zaczyna się.

– To na nic! – wybuchnął Jason. – To przecież na nic! Cholera, tak

naprawdę to ja nic nie wiem. Nic, zupełnie nic. Zgoda, widzę to, co było. Widzę zdarzenia, o których opowiadasz. Owszem, odkrywam czasem szczegóły, o których nie masz pojęcia. Tylko co z tego? Powiedz sam, co z tego?

– Niewiele – przyznał Match spokojnie. – Na razie niewiele.

– No właśnie! Match, ja znakomicie widzę to, co było. Nawet aż za dobrze, nawet to, czego nie chciałbym się nigdy dowiadywać. Nie chodzi tu akurat o ciebie, nie masz się co krzywić. Ale przyszłość? To tylko krótkie obrazki, bez sensu. Tak naprawdę nie wiem, czego mogą dotyczyć. I czy w ogóle są w jakikolwiek sposób prawdziwe.

– A twoje sny? Te majaczenia w gorączce, którymi tak wystraszyłeś przeora? Mnie zresztą też...

– Moje sny! – Jason wciąż był wzburzony. – Match, ja ich przecież nie pamiętam! Nie potrafię wytłumaczyć! Sam ich nie pojmuję, to przecież wy, ty i ten twój przeor, odnaleźliście w nich złowrogie przepowiednie! Nie ja! Ja ich, kurwa, po prostu nie rozumiem, nawet wtedy, gdy przeor, trzęsąc się, opowiadał je bez końca!

Przerwał, sapiąc ze złości. Match nie odzywał się.

– Jeśli założyć, że sny mówią prawdę – podjął Jason po chwili, już spokojniej – to co w końcu z nich wynika? To, że nadchodzi coś złego? Coś, co zmieni cały świat? Że ten świat znów utonie we krwi, a potem zapanuje nad nim coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć? To jaki to ma związek z tobą, z tym, co przeżyłeś, nawet biorąc pod uwagę, kim tak naprawdę jesteś?

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego – odparł oschle Match. – Związek jest, zapewniam cię. Ani się spodziewasz, jak duży...

– Kurwa, Match, przestań się w końcu uważać za pępek tego pieprzonego świata! Za kogoś, wokół którego kręci się to wszystko! Za kogoś, kto jest odpowiedzialny za całe zło, włącznie z pomorem bydła i nierogacizny!

Match nie przerywał. Poznał Jasona na tyle, iż wiedział, że ten czasami musi się wygadać. Pomimo że w momentach wzburzenia często przeczył sam sobie, tak jak właśnie teraz.

– Nie rozumiem tego! Nic do siebie nie pasuje! – Jason zająknął się. –

Nie pasuje... – dokończył cicho. Zamilkł wreszcie.

– Posłuchaj spokojnie – Match skorzystał z ciszy. – Z tego, co mówisz, widać, że nie wiesz jeszcze rzeczy najistotniejszej. Może więc pozwól, że najpierw ci o niej opowiem, a wtedy zrozumiesz, myślę, dużo, dużo więcej.

Uśmiechnął się niewesoło.

– Zobaczysz ten związek – dodał. – Zobaczysz, dlaczego wszyscy obrócili się przeciw mnie. I pewnie przyznasz im rację. A o tym, co się dzieje teraz, porozmawiamy później. Tak będzie o wiele lepiej...

\*\*\*

Druid długo milczał, nie spieszył się z wyjaśnieniami. Szeryf zaczynał się niecierpliwić. Denerwowało go, że nie widzi twarzy rozmówcy, druid swym zwyczajem krył ją w cieniu kaptura. Usiadł też tak, celowo zapewne, że cała jego postać znalazła się w mroku pod wielkim, pionowo osadzonym w ziemi głazem. Sam za to mógł dokładnie widzieć szeryfa.

– Jeżeli mamy skończyć przed zmierzchem, to może w końcu zacznij – nie wytrzymał wreszcie szeryf. Był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Jako człowiek niewątpliwie inteligentny... – zaczął druid.

– Daruj sobie dobre maniery – przerwał mu gniewnie szeryf. – Oszczędzi to czasu.

– Jako człowiek niewątpliwie inteligentny... – powtórzył tamten niezrażony – zastanawiałeś się zapewne, co nas skłoniło do udzielenia pomocy w schwytaniu Matcha, co kazało nam zdradzić, tak, zdradzić człowieka, który chciał z tobą walczyć także w naszej obronie. I walczył, bronił naszych siedlisk, naszych braci, naszej ziemi. Bronił przed waszą ekspansją, przed wycinaniem puszczy, będącej naszą ostoją, przed bezlitosną eksploatacją chłopów, naszych współwyznawców, przed samowolą baronów. I to bronił nas skutecznie...

Bardzo skutecznie, pomyślał szeryf. Przy twojej zresztą pomocy, i tobie podobnych.

– Odpowiedź jest jedna, szeryfie. Robił to zbyt dobrze. Widzisz, wy, chrześcijanie, wierzycie w prawdę absolutną, w rację bezsporną, bo daną

od waszego Boga. Zło jest zawsze złem, dobro jest dobrem. Co prawda pojęcie dobra macie bardzo wąskie. Ale za to zło jest precyzyjnie określone – złem jest wszystko to, co jest wam obce lub po prostu inne. My staramy się wybrać mniejsze zło. Gdybyśmy się kierowali waszą zasadą, popłynęłoby jeszcze więcej krwi, po obu stronach. Match by w końcu przegrał, musiałby przegrać przy takim stosunku sił. Walczyłby dalej w imię swojej racji, swojej prawdy, która stawałaby się coraz bardziej pustym słowem. W imię tej bzdury ginęliby darmo kolejni ludzie. Darmo, bowiem nie ma prawd objawionych i jedynie słusznych, szeryfie. I warto czasem spróbować zrozumieć innych. I wybrać mniejsze zło. Bo nie ma zła obiektywnego, zło ma wiele stopni i odcieni, i nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Urwał, jakby chciał się przekonać, jakie wrażenie uczynił na rozmówcy. Szeryf nie przerywał. Zgadzał się, wbrew nakazom swej wiary, z tym, co usłyszał. Nie dzielił świata na czarny i biały, na zło i dobro. Zbyt wiele w życiu widział.

– Widzisz, Match chciał dobrze. Ale na jego nieszczęście przerasta przeciętność. Jest za skuteczny. Potrafił poderwać przeciwko tobie całą okolicę. To nie Robin Hood, romantyk z garstką zapaleńców, dokuczliwy, ale tak naprawdę niegroźny. Match nie jest szlachcicem, obrońcą chłopów z fantazji. On stał się ich przywódcą. A w tobie znalazł godnego przeciwnika, który zrozumiał, że tę wojnę trzeba prowadzić inaczej, że to wojna na całość, na wyniszczenie, że rycerstwo nie wygra z przeciwnikiem uderzającym nagle i znikającym w puszczy bez śladu, dla którego ostoją jest każdy gąszcz, każda wioska. Więc przeniosłeś wojnę do wiosek. Nie będę się dalej rozwodził. Wiemy dobrze, jak to się skończyło. Setki ofiar po obu stronach, wyludnione osady, rosnąca nienawiść – wszystkich do wszystkich. I cóż z tego, że prawda i racje były w przekonaniu Matcha po jego stronie? My chcemy już tylko zmniejszyć koszty, żeby nie trzeba było ginąć za przegraną sprawę. Z tego powodu chcemy dobić targu...

To było przekonujące. Szeryf nie miał powodu, by nie wierzyć. Jednak czuł podświadomie, że to jeszcze nie wszystko, że siedzący przed nim człowiek coś ukrywa. Dlatego nie spieszył się.

– Więc jak? – Druid nie miał zamiaru zwlekać. – Przyjmujesz moją propozycję?

- Jeszcze nie - odparł szeryf. - Nie wiem, na czym ona w rzeczywistości polega. Na razie, oprócz ogólnikowych zapewnień, że mi pomożesz, i przedstawienia motywacji nie powiedziałeś nic konkretnego. Ot, choćby tego, jak zamierzasz przyczynić się do mojego zwycięstwa.

- Co, nie domyślasz się? - zdziwił się druid. - Prosto. Zamierzam pozbawić go naszego poparcia. To już bardzo dużo, jak wiesz. Zamierzam ponadto wspomóc twoje, jak najbardziej zresztą skuteczne działania, polegające na wbijaniu klina pomiędzy banitów a wspierającą go dotąd ludność...

- To akurat nie będzie zbyt trudne. Na to już wpadliśmy sami, bez ciebie. I jak dotąd zupełnie dobrze nam idzie...

Szeryf miał rację. Szło nie najgorzej. Zdawał sobie sprawę, że i okoliczności były sprzyjające. Match najwyraźniej tracił kontrolę nad poczynaniami swoich ludzi. Trudno się dziwić, napływali do niego ostatnio różni, bardzo różni. W niczym nieprzypominający Robina i jego szlachetnej gromadki.

- Idzie dobrze, ale za wolno - odparował druid. - Z nami pójdzie szybciej, wierz mi. Nie masz zbyt wiele czasu, sam wiesz. To co, dogadaliśmy się?

Propozycja była nęcąca. Szeryf już chciał wyciągnąć rękę, by przypieczętować ten układ. Wyjątkowo paskudny dla ciebie, przyjacielu, pomyślał złośliwie. Coś wciąż go jednak powstrzymywało, czuł, że nadal nie usłyszał całej prawdy, jakkolwiek przekonywające byłyby dotychczasowe wyjaśnienia. Trzeba się więcej dowiedzieć, postanowił.

- Coś mi się zdaje, że niezbyt szczerze mówiłeś o mojej inteligencji, przyjacielu - spróbował. - Powody, które przedstawiłeś, dziwnie mnie nie przekonują. Pozwolisz, że przemyślę sobie jeszcze...

Zawiesił głos, patrzył wyczekująco w cień pod opuszczonym nisko kapturem. Niedługo czekał na odpowiedź.

- Nie nazywaj mnie przyjacielem - warknął druid. - Nie jestem nim, nigdy nie byłem i nie będę.

Szeryf już przedtem wyczuł zdenerwowanie, ale teraz było ono silniejsze. Uśmiechnął się tylko. Jeszcze nie zdobył przewagi w tej rozmowie, przypominającej raczej starcie niż negocjacje. Nie liczył zresztą na to. Ale przynajmniej trochę poprawił swą pozycję.



– Dobrze, przyjacielu – zgodził się. – Sam jednak rozumiesz, że w takiej sytuacji... nie mogę mieć do ciebie pełnego zaufania. Pozwolisz zatem, że się nad tym zastanowię. I dam znać...

– Nie, nie pozwolę. Nie ma na to czasu. Dobrze, skoro pragniesz wiedzieć wszystko, proszę bardzo. Próbowałem ci tego oszczędzić, ale jeśli sam chcesz...

Szeryf stropił się nieco. Być może rzeczywiście nie chciał. Zabrnął jednak zbyt daleko.

– Mów – powiedział po chwili.

Potem mógł już tylko słuchać, dziwiąc się sam sobie, że tak nalegał. Otaczające ich megality rysowały się ostro na tle pochmurnego nieba.

\*\*\*

Głazy wrosły głęboko we wrzosowisko. W niepamiętnych czasach ułożono je tu, w niepojętym porządku. Niepojętym dla ludzi.

Bo to nie ludzie zbudowali kamienny krąg.

\*\*\*

– Kiedyś nie byliśmy sami na tym świecie. – Druid mówił cicho, beznamiętnie. – Kiedyś ten świat był pełen mocy. Magii, tak to można też nazywać. Żyły wraz z nami inne rasy, starsze rasy. Nazywacie je teraz elfami, krasnoludami, gnomami. Nazywacie wciąż, choć nikt z was nie mógł ich spotkać. Odeszły stąd dawno, ale pamięć o nich jest nadal żywa.

Ciągle wam się zdaje, że spotykacie je czasami, że kryją się gdzieś w niedostępnych zakątkach. Spostrzegacie je, gdzieś na mrocznych krańcach pola widzenia. To tylko złudzenie, one wszystkie odeszły, dawno temu. Za nimi odchodzi moc... Ten świat ją traci, jest jej tu coraz mniej. Wkrótce zniknie zupełnie. Nie, to nie stanie się jutro czy pojutrze.

To będzie trwało jeszcze całe lata, setki, może tysiące. Mówię wkrótce, bo cóż znaczy ten czas wobec nieskończonego trwania. Ale jedno jest pewne, moc słabnie. Gdy świat ją całkiem utraci, nie będzie tu miejsca dla

nas...

Druid odrzucił wreszcie kaptur. Szeryf po raz pierwszy zobaczył jego twarz. Jest stary, bardzo stary, zrozumiał. Mimo że nie wygląda... Coś jednak w spojrzeniu wyblakłych oczu mówiło, że widziały one już wiele.

– Tylko jeden na tysiące ludzi jest w stanie pojąć moc. Tylko my, wybrani. I to też nie od razu, nie spontanicznie. Trzeba czasu, wielu prób, wielu niebezpiecznych środków. Nawet spośród wybranych nieliczni dochodzą wtajemniczenia. Inni poddają się próbom, przyjmują tajemne zioła i trucizny, mające zmienić ich, przystosować. Zadając gwałt całemu jestestwu. Przyjmują, i...

Zamilkł, mrużąc oczy.

– Przyjmują i zawodzą? – spytał w końcu szeryf. – Nie dostępują wtajemniczenia? Nie pojmują mocy?

– Nie dostępują – przytaknął druid. – Umierają...

Szeryf postanowił o nic więcej nie pytać.

– Starsze rasy nie potrzebowały tego. To tylko my, ludzie – druid uśmiechnął się krzywo – jesteśmy ułomni. Tylko my potrzebujemy selekcji, długich lat ćwiczeń i medytacji, wspomagania. One nie potrzebowały. Wszystkie te elfy, krasnoludy, gnomy, skrzaty. One czuły moc, każdy, nie tylko wybrani spośród nich. Żyły związane z nią, nie potrafiły bez niej istnieć. Kiedy moc zaczęła słabnąć, odeszły, wszystkie. Do innych światów, szczęśliwszych od tego, w inne miejsca, w inne czasy...

Nie doczekał się pytań. Szeryf sprawiał wrażenie, jakby niczego już nie pojmował.

– Zbudowały te kamienne kręgi. Tak, przyjacielu, ten krąg, w którym siedzimy, to jest przejście do innych światów. Nazwij to jak chcesz, brama, gwiazdne wrota, czy jak tam wolisz. Różne już nazwy nadawano.

– Zaraz, chcesz powiedzieć... – szeryf przełamał osłupienie. – Chcesz powiedzieć, że te głazy, te zwykłe kamienie...

Urwał. Nagle wszystko zrozumiał. Druid pokiwał tylko głową.

– Masz rację – przytaknął z aprobatą. – Kamienie tu nic nie znaczą, same w sobie nic nie mogą. Oznaczają tylko miejsce. Miejsce szczególne... skąd można przejść, dokąd się chce, jeżeli ma się moc, jeżeli się potrafi... Widzę, że rozumiałeś.

Jasne, pomyślał szeryf, zrozumiałem. Wszystko i do końca. Przestało im się tu podobać, więc zwinęli interes i poszli sobie. Ułożyli kilka kamieni, żeby się nikt nie pomylił, i poszli. Tak po prostu. Elfy, krasnoludy, gnomy, nawet skrzaty. Proste. Ciekawe, skrzatów już nie ma, a mleko nadal kwaśniej. To kto w nie teraz szcza?

– Zaraz, poczekaj... – zaczął bezradnie.

Druid nie pozwolił mu dokończyć.

– Lepiej posłuchaj. Na pytania będzie jeszcze czas. Widzisz, moc słabnie. Żeby otworzyć bramę, trzeba niezwykle skoncentrowanej woli. Pozwolisz, że nie będę zagłębiał się w szczegóły, i tak nie zrozumiesz, zresztą, po co ci to. Przecież nie skorzystasz...

Druid uśmiechnął się drwiąco, co szeryf przyjął spokojnie.

– Dla nas, przyjacielu, też nie ma miejsca na tym świecie. To wy go opanujecie. Wam moc nie jest potrzebna, przeszkadza nawet. Macie swoje sposoby na życie, może nie lepsze, ale inne. Z naszego punktu widzenia na pewno obce i niezrozumiałe. Nie sądzę zresztą, abyście dobrze na tym wyszli, ale to wasz problem. My chcemy znaleźć dla siebie inny, lepszy świat, zanim zniszczycie nas do końca. Bo wiemy, że nie wygramy z wami. Wy możecie przegrać tylko z samymi sobą. I przegracie, tego jesteśmy pewni, ale zanim to nastąpi... Nieważne zresztą. Tu dochodzimy do naszych wspólnych spraw, do Matcha. Zastanawiasz się pewnie, jaki jest związek między tym, co usłyszałeś, a naszym wspólnym zmartwieniem...

Druid miał irytujący zwyczaj przerywania, gdy dochodził do istoty rzeczy. Teraz też zamilkł, przymknął oczy. Zamyślił się, jakby na coś czekał. Szeryf chciał go ponaglić, ale nie zdążył. Głos kobiety rozbrzmiał głucho, słowa padały w dziwnej kadencji, jakby to ktoś inny przemawiał przez jej usta.

Później nie mógł przypomnieć sobie wypowiedzianych przez Marion słów. Nie pamiętał ich, mimo iż słuchając, miał wrażenie, że każde z nich zapada głęboko w świadomość, wypala się ognistymi zgłoskami w umyśle. Zapamiętał jednak sens. I widok bladej, zmartwiałej twarzy, szklistych, pozbawionych wyrazu oczu.

Trwało to długo. Gdy wreszcie zamilkła, urwała w pół słowa, nie mógł wydobyć głosu. Był zaskoczony, i nie tylko.

– Mogła wyrazić to składowiej, ale w gruncie rzeczy o to właśnie chodzi – przerwał ciszę druid, jakby z lekkim zażenowaniem. – Ale w takim, jak by to nazwać, transie... Musisz jej wybaczyć, i jeżeli nie wszystko zrozumiałeś, dopowiedzieć sobie resztę... Nie powinno to być specjalnie trudne. On nie jest jednym z nas, przyjacielu. On jest czymś, czego nawet nie potrafimy pojąć. Był naszą nadzieją, miał być tym, który otworzy drogę do nowego świata. A jest tylko naszym błędem. Nie znamy jego możliwości. Przepraszam, źle się wyraziłem. Nie znamy granic możliwości. Bo wiemy już, co zrobił dotąd... Nie wiemy zaś, co jeszcze może, choć na dobrą sprawę dotychczasowe dokonania wystarczą.

Szeryf machinalnie obracał w palcach odłamana gałązkę wrzосу, pełną drobnych, liliowych kwiatków. Wrzos już kwitł, wcześniej w tym roku. Zakwitał tak samo, jak wtedy, gdy deptali po nim budowniczowie kręgu. Zakwitał, gdy ich już nie było, przynajmniej w tym świecie. Będzie kwitł... Może zawsze. Także wtedy, kiedy nas już tu nie będzie, pomyślał, zgniatając w palcach delikatne kwiatki. I będzie mu obojętne, kto depta kruche gałązki.

Wstrząsnął się.

– Za późno – dobiegł go drwiący głos. Druid jak zwykle zgadywał myśli rozmówcy. Szeryf zastanowił się poniewczasie, czy tylko zgadywał.

– Za późno – powtórzył druid, już bez drwiny, raczej ze współczuciem. – Teraz musisz dowiedzieć się wszystkiego, choćbyś nawet nie chciał. Zresztą, chyba jednak chcesz, skoro zabrnąłeś tak daleko. Jesteś przecież zaintrygowany, i wydaje ci się, że zaspokojenie ciekawości warte jest strachu. Nie jestem pewien, czy masz rację, ale i tak już nie masz wyboru...

\*\*\*

– Match, przestań na chwilę. – Jason otworzył oczy. Match urwał w pół słowa, zaskoczony. Nigdy dotąd Jason nie przerywał. Bardziej zniecierpliwiony niż rozgniewany, Match próbował mówić dalej. Opowiadanie nie przychodziło mu łatwo, a teraz ten przeszkadza...

– Zamknij się!

Tym razem poskutkowało. W głosie Jasona było coś takiego, że słowa uwięzły mu w gardle.

– Co się stało? – spytał po dłuższej chwili.

Jason zerwał się na równe nogi.

– Zamilknij wreszcie!

Match postanowił siedzieć cicho. Pojął, że tylko w ten sposób może coś zrozumieć. Oczywiście, o ile Jason będzie na tyle łaskawy, że wyjaśni... Nie czekał długo.

– Nareszcie zaczyna się coś układać... – Jason znów usiadł spokojnie, przymykając oczy. – Wreszcie zaczyna do siebie pasować...

Dotąd wszystko, co usłyszał i zobaczył w swoich wizjach, przypominało pojedyncze, barwne kamienie mozaiki, które ktoś złośliwie rozsypał. I trzymając w dłoni kamyczek, można było podziwiać jego kształt i barwę, jednak pozostawało pytanie, jaką część obrazu stanowi. Dopiero gdy trafił na miejsce...

To wszystko było rozsypaną mozaiką. I właśnie teraz elementy trafiały na swoje miejsce. Zaczynał wyłaniać się obraz, jeszcze mglisty, nieuchwytny, w którym brakowało wciąż wielu fragmentów, ale można było już przeczuwać, w jakim kształcie wyłoni się, gdy ostatnie kamienie trafią na swoje miejsce.

Obraz zaczynał być spójny, to, co do tej pory nieufnie uważał za majaczenia, stawało się istotnymi, wręcz kluczowymi elementami. Prawie uwierzył, że wystarczy dopasować jeszcze kilka, a zrozumie wszystko. Byle nie stracić wątku, nie pomylić się...

Teraz wołał już tylko słuchać. Nie chciał polegać na wizjach. Przestał wprawdzie im nie dowierzać, ale wołał zdać się na swój chłodny umysł, z którego był taki dumny.

Z fragmentów wyłaniał się obraz, na który czekał wiele dni, bezowocnie zastanawiając się nad wszystkim, czego się dotąd dowiedział. Teraz, gdy było już blisko, wiedział, że to, co zobaczy, nie spodoba mu się. Bo potwierdzi wszystko to, w co nie mógł i nie chciał uwierzyć, co oznaczało spełnienie najgorszych obaw, strasznych przepowiedni wypowiedzianych w malignie.

Jeszcze tylko kilka kamieni... Jeszcze trzeba trochę posłuchać...

\*\*\*

Leżąc w ciemności, po raz kolejny obracał w myślach wszystko, co usłyszał. Jeszcze raz i jeszcze raz, od początku.

Nie poddał się wizjom. Było łatwiej, niż przypuszczał, nie musiał się bronić przed natrętnymi obrazami wdzierającymi się pod czaszkę. Może dlatego, że Match tym razem opowiadał o rzeczach, których nie był świadkiem, o których usłyszał z drugiej ręki, od szeryfa. Jason kiedyś już spostrzegł, że wizje są tym intensywniejsze, im bardziej intensywne i osobiste były przeżycia Matcha. Jeszcze wczoraj rozmyślałby zapewne nad dziwnym mechanizmem swych doznań, usiłowałby znajdować jakieś prawidłowości. Wyjaśnić i wytłumaczyć jedność myśli, fenomen oglądania zdarzeń czyimiś oczyma. Dziś zupełnie nie miał do tego głowy.

Match zrelacjonował wszystko, czego w mrocznym kręgu megalitów dowiedział się szeryf. Szeryf nieraz powtarzał mu tę rozmowę. Wprawdzie po wielu latach, ale powtarzał dokładnie. Nie było to coś, co można zapomnieć.

Trudno zapomnieć coś, co stawia na głowie cały świat. Wszystko, co do tej pory uważało się za niezbite prawdy, stawało się fałszem i ułudą. Cały porządek walił się w gruzy, a w zamian przychodziły tylko niepewność i lęk.

Jason sam się dziwił, że nie zareagował mocniej na to, czego się właśnie dowiedział. Nie, nie dlatego, że nie uwierzył. Wszystko było logiczne i spójne, bardziej spójne niż to, co do tej pory uważał za pewniki. Ale dużo mniej przyjemne. Nie czuł jednak strachu, nie wstrząsnęło nim to wszystko. Zdawał sobie sprawę, że po ostatnich przeżyciach niewiele mogło nim wstrząsnąć; od dawna szykował się na coś takiego, nie wiedział wprawdzie na co, ale spodziewał się tego. Gdzieś w głębi duszy wdzięczny był losowi, że wcześniejsze wypadki stępiły jego wrażliwość.

Pomogło też to, że nigdy nie był zanadto religijny, przesadnie przywiązany do głoszonych prawd objawionych. Po prostu nie zastanawiał się nad nimi szczególnie. Toteż teraz podważanie ich przyjął dość obojętnie.

Gdzieś z zabudowań klasztoru dobiegło pohukiwanie sowy. Jason

przekręcił się na derce, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi, niewidzącymi oczyma. Jeszcze raz, pomyśl jeszcze raz...

Gdy Match skończył swą opowieść, on nie odezwał się ani słowem. Bał się spłoszyć delikatny, ledwie rysujący się obraz. Match, o dziwo, nie nalegał. Łatwo dał się zbyć, zniknął w ciemnościach bez słowa. Jason powlókł się z powrotem do klasztoru, by w ciemności na swoim stryżku przemyśleć wszystko jeszcze raz.

Człowiek nie był panem stworzenia. Nie powołano go, by czynił sobie ziemię poddaną. Nie był sam.

Gdy wyłonił się z nieodgadnionych mroków, obok niego wyłonili się inni. Podobni, lecz odmienni. Równie słabi i bezbronni w otaczającym wrogim świecie, także walczący o każdy dzień, o przetrwanie wśród drapieżców. Inaczej.

Po niezliczonych porażkach ludzie odkryli, że ich siła jest w gromadzie. Odkryli, że gdy się jest pozbawionym kłów i pazurów, to niekoniecznie trzeba przegrać z każdym, kto je posiada. Wystarczy takiego zdzielić kamieniem w łeb, najlepiej wspólnie. Wtedy kły i pazury nic mu nie pomogą.

Ci inni, tak podobni, ale przecież odmienni, z początku mieli łatwiej. Oni zawsze byli wspólnotą, od samego zarania dziejów, bo posiadali siłę, moc. Posiadali wspólnotę myśli. Do porozumiewania się nie potrzebowali znaków ani dźwięków. Oni wiedzieli.

Nie byli wysepką świadomości we wrogim świecie. Stanowili jego część. Rozumieli siebie nawzajem i rozumieli świat. Siłę brali z wszechogarniającej, zawsze obecnej mocy.

Nie znali kłamstwa i podstępu. Bo jak oszukać kogoś, kto zna twoje myśli? Kto wie wszystko, co wiesz ty? Kto pamięta każdą chwilę nie tylko od narodzin, ale i to, co przeżyli jego przodkowie? Kto może zobaczyć wszystko, co sam masz przed oczyma?

Ludzie nie znali mocy. Zaledwie niewielu z nich posiadało takie możliwości, załóżmy zresztą słabe w porównaniu z obcymi. Tak, z obcymi. Bo wszystko, co dla nas niepojęte, jest obce.

I zamiast w potęgę mocy, ludzie uwierzyli w potęgę rozumu, w jedność, która nie polega na wspólnym odczuwaniu, ale na działaniu, na porozumieniu, na hierarchii. Nie mogąc się stopić z otaczającym światem,

ani korzystać z mocy go wypełniającej, zaczęli z nim walczyć. I wreszcie wygrywać. By obronić się przed drapieżcami, sami stali się najbardziej skutecznymi z nich.

Otaczała ich moc, lecz tylko nieliczni ją sobie uświadamiali. Słabo, na swój ułomny sposób, ale wystarczająco, by wśród innych być uprzywilejowanymi. Silniejszymi. Jak jednoocy w kraju ślepców, mniej kalecy od wszystkich pozostałych.

Ludzie z ułomności uczynili siłę. Nie mogli się przyłączyć do świata, dlatego musieli walczyć. I zaczęli wygrywać. Usiłowali zmieniać ziemię na swoją modłę. Nie poddawać się jej, ale zmuszać ją do uległości.

Obcy też nie stali w miejscu, lecz ich droga była inna. Oni poznawali rządzące światem zasady, poznawali siłę myśli. Czystej myśli, nie fizycznego działania. I w końcu moc pozwoliła im robić rzeczy niewiarygodne. Mogli wyjść poza świat.

Rozwijali się, ale za wolno. Wreszcie świat stał się za ciasny i zaczął tracić swą moc. Lecz wtedy była już droga ucieczki – bramy do innych światów. Więc odeszli.

A ludzie... Ludzie nie potrzebowali mocy. Była domeną nielicznych z nich. Nawet słabiutki i pożałowania godne zdolności tych nielicznych wystarczały, by wybili się ponad przeciętność i mogli przewodzić tym pozostałym, biednym ślepcom, zostać wodzami i nauczycielami.

Ale biednych ślepców było więcej. Z ułomności uczynili siłę. Walczyli i wygrywali. I rozmnażali się. Przystosowywali świat dla siebie, nie wiedząc, że niszczą go zarazem. Dla wszystkiego znaleźli uzasadnienie, nawet dla swego istnienia. Wymyślili stwórcę, tak samo ułomnego, jak oni sami, który stworzył ich takimi, bo sam taki był, na własny obraz i podobieństwo. Był doskonały, bo przecież oni tacy są.

Już nie potrzebowali więzi ze światem. Odrzucili moc, niepotrzebną do niczego.

I tylko nieliczni znali istotę rzeczy, ci, którzy przez jakiś kaprys natury nie zatarli poczucia mocy, nie zatarli pamięci pokoleń. Przez wieki starali się wieść resztę we właściwym kierunku.

Druidzi. Jedyni, którzy nie odrzucili swego dziedzictwa, zachowywali ciągłość i starali się poznać tajemnice mocy. Udało się, mimo straszliwego ograniczenia, jakim były mizerne zdolności, nieodłącznie



związane z pochodzeniem. Przez wieki doświadczeń doszli do sposobów, którymi można te zdolności wspomóc, wyszukiwali tych najlepiej rokujących i poddawali ryzykownym próbom. Sztucznie stymulowali ślady naturalnych predyspozycji. Wielu zapłaciło ostateczną cenę, lecz byli tacy, którzy nieśli swą wiedzę dalej.

Ale dany czas zaczynał się kurczyć i zmniejszała się liczba wyznawców dawnych obyczajów.

Niełatwo było znaleźć następców, z prostego powodu – nie mieli spośród kogo wybierać. Wśród ludzi coraz częściej zwyciężała brutalna siła, a z ignorancji uczyniono cnotę.

Wreszcie trzeba było zaakceptować porażkę, a właściwie klęskę. Bo jak nazwać to, że wybrana przez ludzkość droga wiedzie ku zagładzie?

Gdy już pogodzono się z myślą o klęsce, zaczęto szukać rozwiązania. Nasuwało się wprost, jako jedyne i logiczne: Trzeba ocalić to, co jeszcze można, odejść, tak jak odeszli obcy, znaleźć inny, lepszy świat i zacząć wszystko od nowa.

Trzeba się pospieszyć, póki nie jest za późno.

Pozostał tylko jeden problem. Słabe ludzkie zdolności korzystania z mocy, czy też, inaczej mówiąc, magii, nie wystarczały. Nie można było otworzyć wrót do innych światów.

Niezliczone próby, niezliczone ofiary, i wszystko na nic. Wrota, pozostawione przez obcych, były wciąż niedostępne. Owszem, udawało się je otwierać, ale nikt nie potrafił znaleźć tego właściwego świata. Wreszcie nawet otwarcie przejścia stało się niemożliwe. Moc słabła. Albo brakowało potrafiących ją wykorzystać.

Żaden człowiek nigdy nie otworzył przejścia w sposób naturalny. Musiał być wspomagany. Próbowano różnych halucynogennych środków, dekoktów wzmagających zdolności. Na ogół śmiałkowie umierali, zanim udało im się zrobić cokolwiek. Nieliczni, którzy udało się przeżyć, zwykle zawodzili, jeszcze mniej liczni zaś po prostu nie wracali.

Śmiałkowie wprawiali się w trans, licząc na to, że podświadomość wyzwoli się spod okowów rozumu. Pozwalali się zabijać na kamieniach umieszczonych w centrum kręgów, w nadziei na to, że w tej jednej chwili wyzwolone emocje przeniosą ich w niedostępny świat. Przenosili się, ale nie tam, gdzie chcieli.

Match był ostatnim z nich – wynikiem łańcucha pokoleń, doboru według jednego kryterium. Miał zdolności nieporównywalne z nikim innym dotąd. Był najdoskonalszym osiągnięciem zabiegów dokonywanych przez wieki.

Miał przeprowadzić ich przez bramę, a by stało się to możliwe, konieczne było poddanie go pewnym przemianom.

Match nie był człowiekiem, tylko tworem, który stworzony do całkiem innych celów, wyrwał się spod kontroli. Obdarzony niezwykłymi zdolnościami, nie miał wpojonego tego celu. Znalazł go sobie sam, lecz nie taki, jaki mu przeznaczono.

Nie miał wiedzy, nie znał zasad. Był tylko sprawny i groźny, bo nieświadomy.

Kamienie mozaiki układają się w całość.

Match otworzył bramę. Otworzył, nie wiedząc, co robi. I pozostawił ją otwartą.

Nie wszystkie światy są przyjazne. Za bramą są rzeczy niepojęte i straszne. Przez bramę można przejść. W obie strony.

Jason prawie współczuł szeryfowi. Trudno żyć ze świadomością, że świat nie jest bezpieczny, że w każdej chwili z mroku, z innych miejsc i czasów może wyleźć coś obcego i nieodgadnionego. Coś wrogiego. Coś, co zechce opanować ten świat, albo go zniszczyć.

Match uczynił rzecz straszną. Spowodował zagrożenie, które się ziściło już kiedyś. Jason wstrząsnął się, wspominając mroczne pogłoski, potwierdzone zresztą. Nie to jednak było najgorsze, lecz fakt, że zagrożenie nie minęło, przeciwnie, znów się zbliżało.

Tak, to zaczynało do siebie pasować. Jeszcze przed chwilą nie rozumiał, dlaczego Matcha po prostu nie zabito. Wydawało się to najprostsze, skoro swoją nieobliczalnością stwarzał zagrożenie. Ale on jeden na całym świecie mógł stawić czoło temu, co może nadejść. I wszystko wskazuje, że już niedługo będzie musiał. Pozostaje tylko pytanie, czy wygra.

Match całą sytuację pojmował w kategoriach winy i kary, zadośćuczynienia za swe postęпки. No cóż, skoro tak uważał... Ale Jason wiedział już, że to było nieważne. To nie żadne przeznaczenie, to czyjeś

celowe działania doprowadziły do tego wszystkiego. Miały inny cel, ale zawiodły. Match nie był przyczyną, lecz ofiarą, jedną z wielu. Teraz zaś był zaledwie narzędziem, jedynym, które pozostało...

Szeroko otwarte oczy wpatrzone w ciemność. Pohukiwanie sowy. Ostatnie kamyki wpadają na miejsce. Obraz jest gotowy. To już całość, na pewno... Ten był ostatni.

Dlaczego więc widać tylko kolorowy chaos? Dlaczego kamienie nie układają się w coś zrozumiałego? Czego jeszcze brakuje?

Prawda leży daleko.

## - VIII -

*Ci ludzie rodzą się, żyją i umierają w tej samej wiosce – wiosce ich przodków. Wioska to ich cały świat. A my co robimy? Równamy z ziemią takie wioski tylko po to, żeby nie mogły się tam schronić oddziały nieprzyjaciela [...]. Odtąd są całkowicie skazani na naszą łaskę i serdecznie nas nienawidzą.*

Robert Mason, *Powiedz, że się boisz*

Ciemna sylwetka przesłoniła wejście do szałas. Match podniósł głowę.

– A, to ty, Elijah – powiedział.

Elijah był cały mokry od deszczu. Odgarnął zlepione, długie blond włosy, przewiązane na czole opaską z zielonego płótna. Odpiął pas z bronią i rzucił na przykryte wilgotną derką posłanie z sosnowych gałązek.

Match nie odzywał się. Patrzył na młodego banitę zmęczonym wzrokiem. Milczenie przedłużało się. Elijah także nie spieszył się z meldunkiem.

– I co? – spytał wreszcie Match.

– Nie przywieźli.

– Jak to nie przywieźli?! – zdenerwował się Match.

– I Sheen nie wrócił – dodał Elijah, unikając jego wzroku. Wydobył miecz z pochwy i zajął się przecieraniem ostrza natłuszczonym kawałkiem skóry. Wydawał się całkiem pochłonięty ową nieskomplikowaną czynnością.

– Jak to nie wrócił?!

Elijah milczał jeszcze przez chwilę.

– Zapewne tak jak inni przedtem – powiedział wreszcie. – Miał dość i zwiął. Przecież wiesz, że ludzie już nie wytrzymują.

Match chwycił go za ramię z błyskiem szaleństwa w oczach.

– Nie mów tak do mnie! – warknął z wściekłością. – Było już gorzej i wytrzymywali. Po prostu zamarudził. Jak wróci, to...

Przerwał. Spojrzał uważnie na rozmówcę.

– Nie to chciałeś powiedzieć – stwierdził.

Elijah nic nie odrzekł. Uwolnił się od chwytu dowódcy, stał spokojnie, unikając wzroku Matcha. Był inny niż cała reszta kompanii. Bardziej by pasował do dawnych towarzyszy Robina – Małego Johna, Willa, brata Tucka. Teraz został tylko Nazir, zawsze lojalny, a może po prostu niemający dokąd pójść. Ich miejsce zajęli ludzie różnej, aczkolwiek najczęściej podejrzanego pochodzenia. Profesjonalni zabijacy, zbiegli żołnierze, naiwni poszukiwacze przygód i bogactwa. O tak, byli sprawni i groźni. Dla wszystkich.

W Elijahu było coś, co kazało wierzyć w jego prawość i szczerą intencję. Nie ułatwiało mu to życia, zwłaszcza teraz, kiedy przegrywali.

– Lepiej by było, gdyby po prostu zwiął – rzekł smutno Elijah. – Ale nie wygląda na to i nie wygląda dobrze.

– W porządku, powiedz wszystko po kolei – rozkazał już spokojnie Match.

– Wioska jest wyludniona – rozpoczął Elijah cicho. – Zostali sami starcy, kobiety i dzieci. W każdym razie tylko ich można było zobaczyć, nikogo z młodych. A wiesz, to przecież była ludna wieś. Wójt powiedział od razu, że sami nie mają zapasów. Pokazał pola. Rzeczywiście, wygląda na to, że w tym roku zaledwie część została obsiana, na innych były jedynie chwasty, jeszcze zeszłoroczne. Dzieciaki zagłodzone. Wygląda na to, że mówił szczerze. Ale chłopakom coś się nie spodobało, nie dowierzali mu. Postanowili sprawdzić w chałupach, w obejściach... Wiesz, czy czegoś nie ukrywają, bo tak się zachowywali. Rozeszli się. Jeden zauważył ślady koni, świeże. Chciał zapytać wójta, ale ten nagle zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. A chłopci... Chłopci stali się nieprzyjaźni.

– Elijah... – przerwał Match, podejrzanie spokojnym głosem. – Sam mówiłeś, że byli starcy, kobiety i dzieci.. Nie chcesz chyba powiedzieć, że grozili pięciu uzbrojonym ludziom!

– Czterem – poprawił Elijah. – Sheen został przed wioską, na czatach. Nie powiedziałem, że grozili. To było coś w rodzaju biernego oporu. Rozumiesz, zagradzali drogę, udawali, że nie słyszą, co się do nich mówi. Co gorsza, chłopcy zobaczyli, jak kilku wyrostków wymyka się opłotkami z wioski do lasu. To im się już bardzo nie spodobało. Uznali, że nie mają na co czekać, że może to zasadzka. Wycofali się z wioski. Na drodze powinni spotkać Sheena. Nie było go, więc ruszyli dalej. Nie od razu zresztą, najpierw szukali śladów, walki, krwi, no wiesz, jak to w takich przypadkach...

– I co, nic takiego nie znaleźli? – spytał Match.

Elijah pokręcił głową. Match ze złością zacisnął pięści.

– A więc zwiął! Przestraszył się i zwiął! Wróci pewnie, jak mu przejdzie.

– Nie, Match, nie sądzę... – powiedział wolno Elijah. – Sheen nie był tchórzem, sam wiesz. Poza tym...

Urwał. Sięgnął w zanadrze, wydobył coś i rzucił Matchowi. Zerwany naszyjnik z malowanych kawałków drewna, z wyrzeźbionymi runicznymi znakami.

– Co... to jego? – zrozumiał Match.

– Tak, jego talizman. Zawsze go nosił, na szyi, pod koszulą.

Match wpatrywał się w rzemień. Był czysto przecięty, nie zerwany.

– Leżał w trawie, widoczny z daleka. On by go nie zostawił... – dodał niepotrzebnie Elijah.

Match odwrócił się. Zaczynamy przegrywać, pomyślał. U progu zimy, bez zapasów. Z coraz mądrzejszym przeciwnikiem.

O tak, szeryf i szlachta nauczyli się czegoś. To już nie były czasy sprzed roku czy dwóch, gdy wojsko wjeżdżało do puszczy i lgnęło w młakach. Kiedy rycerze uważali, że szarża z kopią jest najlepszą metodą ataku na ukrytych łuczników, a zbrojnym towarzyszyły ociążałe tabory.

Wtedy próbowano nawet przenieść walkę na terytorium przeciwnika. Udało się kilka śmiałych wypadów do miasta, udało się

zdobyć kilka dworów. W puszczy zaś banici byli panami. Las dawał schronienie, przyjazne wioski – żywność.

Przeciwnik zmienił w końcu taktykę. Zamiast szukać rozstrzygnięcia w walce z ruchliwym i nieuchwytnym wrogiem, postanowił zniszczyć jego zaplecze.

Bezlitośnie ściągano daniny, nie przejmując się tym, czy chłopci przeżyją zimę. Opornych więziono i zabijano. Puszczano z dymem wsie, w których banici zatrzymali się choćby tylko na noc. Za kontakty z banitami była jedna kara – stryczek.

Rezultaty przyszły szybko. Wnet okazało się, że banici nie zdołają ochronić swych sprzymierzeńców. Wygłodzeni i zdesperowani chłopci coraz mniej przyjaźnie spoglądali na swoich obrońców. W końcu daniny i pańszczyzna okazały się nie takie straszne.

Najpierw był bierny opór. Wieśniacy niechętnie dzielili się żywnością, otwarcie odmawiali schronienia i noclegu. Aby przeżyć, trzeba było stosować rekwizycje. Co prawda, często wychodziło na to, że nie ma czego zarekwirować. Wtedy opór bierny zmieniał się w czynny. Szeryf nie miał już trudności ze znalezieniem chętnych do informowania o ruchach i zamierzeniach banitów. Lecz na tym się nie skończyło.

– Co o tym myślisz, Elijah? – spytał Match, znając przecież odpowiedź.

– Leśni – usłyszał. Tak jak oczekiwał.

Leśni. Specjalne oddziały utworzone do walki z banitami, składające się z ludzi doskonale znających puszcę, przeważnie dawnych gajowych i kłusowników. Zaopatrywane i uzbrojone przez szeryfa, ale przecież utworzone z mieszkańców wiosek, z ochotników. Na pozór pozbawione jednolitego dowództwa, lecz ściśle współpracujące z wojskiem.

Nie nadawały się do otwartych potyczek. Ich członkowie byli lekko uzbrojeni, przeważnie tylko w łuki i noże. Pojawiali się znikąd, szarpali przeciwnika i znikali. Las nie miał dla nich tajemnic, ciemności nocy nie stanowiły przeszkody.

– Dobrze, Elijah – powiedział już spokojnie Match. – Idź, odpocznij. Rano ruszamy do wioski.

– Wiesz, że to nie ma sensu. On już nie żyje...

– Potrzebujemy żywności. Nie chcą dać, to sami weźmiemy – rzucił

twardo Match.

– Może oni naprawdę nie mają? – zasugerował Elijah bez przekonania.

– Dla nas muszą mieć. Ostatecznie to my ich bronimy.

– Tylko dlaczego zaczęli się bronić przed nami? – zapytał Elijah z goryczą.

\*\*\*

Mimo że znajdowali się w samym sercu lasów, nie mogli posuwać się jak kiedyś konno, w zwartym szeregu. To już nie była przyjazna puszcza Sherwood, w której czuli się bezpieczni. Po dwóch latach wojny z każdym zarośli mogły posypać się znienacka strzały, każdy zakręt leśnej drogi mógł skrywać zasadzkę. Nie istniały już zakątki czy uroczyiska, gdzie mogli znaleźć odpoczynek. Byli tropieni przez cały czas, dniem i nocą, przez wszystkich. Każde osłabienie uwagi mogło kosztować życie.

Bezpieczeństwo dawał jedynie ciągły ruch, ciągła zmiana pozycji. Ludzie byli coraz bardziej wyczerpani. I coraz bardziej bezwzględni, bo tylko to dawało szansę przeżycia.

Już dawno przestali korzystać z gościńców i leśnych dróg. Zbyt wielkie pojawiło się ryzyko, że stłoczonych na wąskiej drodze ludzi zdziesiątkują ukryci strzelcy. Ścieżki też były niebezpieczne. Na podejściach do wiosek coraz częściej napotykali doskonale zamaskowane wilcze doły, ze sterczącymi na dnie zaostrzonymi palami posmarowanymi gnojem. Łąki przy chłopskich obejściach kryły w trawie wbite w ziemię kołki, kaleczące nogi przy nieostrożnych krokach. Zeschłe liście mogły skrywać linę, a jeśli ktoś o nią zawadził, z drzewa waliła się sękata, nabijana gwoździami kłoda.

Teraz posuwali się pieszo, gotowi do wydobycia broni w każdej chwili. Rozsypani szeroko, szli czujnie rozglądając się i przystawali na najmniejszy szelest. Kawałki otwartej przestrzeni przebywali biegiem, przygęci, osłaniany przez towarzyszy.

Z tyłu, w bezpiecznej odległości, kilku ludzi prowadziło konie.

Match stąpał po dywanie zeschniętych liści, niosąc napiętą kuszę.



Mimo że wymagała dłuższego czasu przy napinaniu, pozwalała szybciej wystrzelić w razie niebezpieczeństwa. Ich głównym przeciwnikiem były teraz leśne grupy, potyczki odbywały się przeważnie w zaroślach, z zaskoczenia, na mały dystans. Decydowały pierwsze chwile, kto prędzej dostrzegł wroga i wystrzelił, przeżywał. Oczywiście, jeżeli trafił.

Z boku dobiegł zduszony okrzyk. Match podniósł rękę, dając znak do zatrzymania się. Wszyscy zamarli z wydobytą bronią. Okrzyk powtórzył się. Brzmiał nieco dziwnie, nie jak ostrzeżenie.

Match dał znak ludziom, aby pozostali na swoich miejscach. Sam ruszył ostrożnie w kierunku głosu.

Na małej polance stało trzech ludzi. Dwaj banici, którzy szli na skraju tyraliery. Zastygli z opuszczoną bronią, wpatrując się w trzeciego. Trzeci... stał przywiązany do drzewa. Sheen. A raczej to, co z niego zostało. Polana powoli zapełniała się ludźmi. Stawali w milczeniu, patrząc z jakąś niezdrową zachłannością.

– Odetnij go, Królik – przerwał milczenie Match. – Ruszamy dalej.

Królik, ponury chłopak z szalonym wyrazem oczu, wyjął nóż. Zmasakrowane ciało upadło na trawę.

\*\*\*

Zapadli na skraju lasu, przed polami otaczającymi wieś. Match podczołgał się do brzegu zarośli.

Wioska z daleka wyglądała na wyludnioną, spod strzech nie unosił się dym. Pomiedzy chałupami nie widać było żadnego ruchu. Obok Matcha zaszeleściły liście. Spojrzał w bok i zobaczył Nazira, tak jak on uważnie obserwującego zabudowania. Po chwili ten wskazał ręką w tył. Popęzli z powrotem.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Match.

Maur zastanawiał się przez chwilę.

– Nie widać śladów wojska – odparł. – Jeśli tu byli, to najwyżej kilku. Nie mieli powodów, by się nas tu spodziewać. Ale...

– Wiem – powiedział Match. – Ostrożność nie zaszkodzi.

- To nie to. Nie mamy tu czego szukać.
- Jak to nie mamy?! Musimy zdobyć żywność.
- Czy pozwolisz mi dokończyć? – spytał spokojnie Nazir.

Match spojrział na niego ze złością. Chciał uciąć rozmowę, ale zobaczył coś w oczach Maura, co zmusiło go do uwagi.

- W porządku, mów.
- Nie tutaj, chodźmy na bok.

Odeszli ścigani nieprzyjaznymi spojrzeniami. Ludzie zaczęli szemrać.

- Mów – powtórzył Match.
- Jeżeli tam ktoś został, nie utrzymasz naszych. Będzie rzeź – stwierdził Nazir.
- Bzdury! Chłopcy będą mnie słuchać. Ja chcę znaleźć tych, którzy zabili Sheena. W taki sposób...
- Chłopcom jest w tej chwili wszystko jedno, kogo zabijają, Match. Tobie, jak sądzę, też.

Match patrzył przez chwilę na niego, potem odwrócił się do oczekujących banitów.

- Panuję nad wszystkim, Nazir – powiedział cicho. Podniósł głos: – Ruszamy, bez hałasu!

Zwrócił się z powrotem do Maura, stojącego z nieprzeniknioną twarzą.

- Idziesz z nami czy zostajesz? – zapytał wyzywająco.
- Idę, Match. Ale to błąd...

Z ludzi jakby opadło zmęczenie i zniechęcenie ostatnich tygodni. Dobywając broni, sprawnie rozsypali się na skraju lasu i posuwali w kierunku wioski. Gdy przebyli połowę drogi, Match zauważył w opłotkach ruch. Ktoś usiłował przemknąć się niepostrzeżenie do lasu. Match podrzucił napiętą kuszę i wystrzelił do ledwie widocznej sylwetki.

Uciekający potknął się, zrobił jeszcze trzy niepewne kroki i padł na ziemię z bełtem sterczącym między łopatkami.

- Piękny strzał – usłyszał Match za sobą. Odwrócił się. Maura patrzył

na niego z zagadkową miną.

Podbiegli do zabitego. Leżał na twarzy, z rękami wczepionymi w ziemię. Ktoś butem obrócił go na plecy. Młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak, ubrany w szary kubrak z naszytymi brązowymi i zielonymi kawałkami szmat. Miał tylko krótki sztylet u pasa. Przed nim leżał łuk i rozsypane strzały. Leśny.

Z otwartej przy upadku sakwy wysunął się bochenek chleba. Match schylił się i podniósł go. Był ciepły.

– Patrz – powiedział ktoś z tyłu nieswoim, zduszonym głosem. Match nie wiedział, kto. – Miał chleb...

– Jasne – dał się słyszeć inny głos, również niemożliwy do zidentyfikowania. – To tylko dla nas nie mieli...

Match poczuł, jak zalewa go fala wściekłości. Wyprostował się, nie próbując nad sobą zapanować.

– No dalej, kurwa, na co czekacie? – wrzasnął. – Do wioski!

Przebiegli przez opłotki, rozsypali się pomiędzy chałupy. Już bez żadnej ostrożności, pokrzykując i kopiąc w pozamykane drzwi. Match szedł środkiem z obnażonym mieczem, wskazując ludziom poszczególne domy. Elijah usiłował zapanować nad całym tym bałaganem, próbował komenderować, ale nikt go nie słuchał. Wkrótce z chat zaczęły dobiegać rozpaczliwe krzyki.

– Elijah! – krzyknął Match. – Znajdźcie wójta!

Sam stanął pośrodku majdanu i patrzył. Z rozbitego kopniakami chlewa wyrwała się maciora, z przeraźliwym kwikiem wypadła na majdan, prosto przed Królika idącego z napiętą kuszą.

– Świnka, świneczka – powiedział Królik z szalonym uśmiechem i poderwał broń. Szczęknęła cięciwa i maciora zwała się na bok, wierzgając nogami w przedśmiertnych skurczach. Królik spojrzał obojętnie i poszedł dalej.

Podbiegł zdyszany Elijah.

– Znaleźliśmy ziarno. Cały spichlerz pod ziemią! – Stał, nerwowo rzucając wokół siebie szybkie spojrzenia.

Na majdanie zaczęli pojawiać się wieśniacy, wywlekani z chałup. Starcy, kobiety i płaczące dzieci. Popychani brutalnie przez banitów,

stawali kręgiem, otaczając studnię i patrząc z przerażeniem na Matcha z obnażonym mieczem.

- Gdzie wójt? – krzyknął Match do Elijaha.
- Mamy go – odparł Elijah. – Już tu prowadzą.
- Dobrze. Wracaj i dopilnuj, żeby go zanadto nie uszkodzili.
- Tak jest! – odkrzyknął Elijah i zawahał się. – Match...
- O co chodzi? – spytał niecierpliwie Match.
- Uspokój ludzi, już mamy to, po co przyszliśmy.
- Wracaj!

Elijah próbował coś dodać, ale w końcu odwrócił się i odbiegł.

Nazir zbliżył się do Matcha.

- To baza leśnych – oznajmił. – Tu się zaopatrywali. Popatrz...

Wskazał ludzi, niosących worki z mąką, ziarnem, połcie słoniny. I jeszcze coś – zawinięte w natłuszczone szmaty nowiutkie miecze.

- Zabierajmy to, co zdołamy unieść – Maur głośno myślał. – Resztę trzeba zniszczyć. I wynośmy się stąd szybko. Coś mi mówi, żeby tu za długo nie zostawać. Miałeś rację, psiakrew... – dodał.

- Zaraz – rzekł wolno Match. – Poczekamy.

Królik wespół z jednym towarzyszem, młodym chłopakiem, który niedawno dołączył do oddziału, kroczył szybko przez wioskę. Biegający bezładnie wieśniacy na ich widok pryskali w opłotki. Tych, którzy nie zdążyli, Królik kopniakami odrzucał na bok. Wpadli w obejście. Pod ścianą chałupy stał chłopak. Nie miał szans na ucieczkę, jego prawa noga była ucięta pod kolanem. Wspierał się na topornie wykonanej kuli, patrząc przerażonym wzrokiem, z zębami wyszczerzonymi w nerwowym uśmiechu.

- Królik – zawołał młody banita – ten skurwysyn się z ciebie śmieje!

Królik postąpił do przodu. Kopniakiem wytrącił kulę. Kaleka zachwiał się, ale nie upadł, oparł się tylko o ścianę.

- Tańcz! – krzyknął Królik. – Tańcz, jeśli potrafisz!

Kaleka spoglądał nic nierozumiejącym wzrokiem. Królik uniósł kuszę i wystrzelił. Bełt wbił się po brzechwy w ziemię u nogi kaleki, wzbijając

obłoczek kurzu. Chłopak zaczął niezdarnie podrygiwać. Z ust nie schodził mu nerwowy uśmiech.

– Królik – załamującym się histerycznie głosem powtórzył młody – on się z nas naśmiewał!

Królik zamachnął się kuszą. Ciężkie łoże uderzyło w głowę kaleki, druzgocąc kość policzkową. Osunął się po ścianie, zostawiając smugi czerwieni. Ocalała połowa twarzy wciąż szczerzyła zęby. Królik z szaleństwem ponawiał ciosy, aż głowa kaleki zamieniła się w bezkształtną masę. Młody poczuł, jak obryzguje go coś ciepłego i wilgotnego.

Gdy drgające ciało wreszcie zastygło, Królik odstąpił do tyłu. Za nim młody banita z twarzą opryskaną krwią i mózgiem zgiął się wpół, szarpany torsjami.

Match stał na majdanie. Dwóch ludzi rzuciło przed nim wójta. Starzec poniósł się niezdarnie, ukląkł. Uniósł zakrwawioną głowę i spojrzał w górę.

Match milczał. Wreszcie przyłożył sztych miecza do gardła wójta. Ten wzdrygnął się, wyprostował.

– Dla kogo była żywność? – spytał Match. – Dla kogo broń?

Starzec drżał. Match lekko nacisnął miecz. Ostrze przebiło skórę, po szyi spłynęła kropla krwi.

– Mów! – krzyknął. – I tak wiem... Ale chcę to usłyszeć od ciebie.

– Kazali, panie! – zaskomlił wójt. – Musieliśmy! Powiedzieli, że spalą, zabiją...

– Przecież to wasi ziomkowie – zadrwił Match. – Nie musieli was chyba przymuszać, co?

Wójt nie odpowiadał. Match cofnął miecz. Mężczyzna jakby zwiotczał, osunął się w rękach trzymających go banitów.

– No dobrze – podjął Match. – Powiedz, dokąd poszli.

– Nie powiem, panie! Zabiją!

– Nie, wójt – odparł Match ponuro, przykładając ponownie miecz do gardła starego. – To wasi, nie zabiją. Ale ja to zrobię, jeżeli nie odpowiesz...

Starzec wyprostował się, zeszywniał. Wzrok mu stwardniał.

– Nie powiem, panie! Chcesz, zabij! Śmierć jednaka!

Czerwona mgła przesłoniła oczy Matcha.

– Jednaka, powiadasz? – usłyszał swój głuchy głos. – Może i racja...  
Puśćcie go!

Spokojnie, powoli pchnął. Starzec zwałił się na ziemię. Nie charczał, jak to zwykle człowiek z poderżniętym gardłem, nie miotał się, usiłując rękoma zatrzymać wypływające życie. Mocne pchnięcie przecięło kręgosłup.

Match wyprostował się, spojrział wkoło.

– Kto następny? – krzyknął.

Ktoś chwycił go z tyłu za ramię, wytrącając z ręki miecz. Odwrócił się, i w tym samym momencie dostał pięścią prosto w twarz. Padł na kolana, kręcąc głową w oszołomieniu. Ktoś nie czekając, aż powstanie, chwycił go, okładając pięściami. Zwarli się, potoczyli, wzbijając z ziemi obłoki kurzu.

Match poczuł, że czyjeś ręce odrywają go od przeciwnika. Szarpnął się, lecz ludzie trzymali mocno. Podniósł głowę i zobaczył Elijaha zakleszczonego w solidnym uścisku Nazira. Po twarzy Matcha spływała krew z rozbitego łuku brwiowego.

– Coś ty zrobił, Match! – krzyczał Elijah, wpijając w niego pałający nienawiścią i żalem wzrok. – Coś ty, kurwa, zrobił?!

– Zabiję cię, Elijah – powiedział Match. Znowu widział czerwień. Tym razem to nie wściekłość, to tylko krew.

– Mieliśmy ich bronić! Nie mordować!

– Zabiję cię – powtórzył Match, wolno i spokojnie. – Jesteś już trupem.

Nazir puścił Elijaha, który bezsilnie opadł na kolana. Maur podszedł do Matcha.

– Kończmy to – rzekł.

Match przestał się wyrywać.

– Puśćcie mnie – mruknął. – Zabieramy się stąd.

Nazir popatrzył badawczo. Dał znak trzymającym Matcha ludziom.

Do spichlerzy wrzucono zapalone pochodnie. Gdakanie mordowanych kur mieszało się ze skowytem psów. Pod strzechy podkładano ogień. Wkrótce ogarnął całą wieś.

Wychodzili z wioski razem z mieszkańcami, uciekającymi z płonących domostw. Szli przez pola z opuszczoną bronią, przemieszani z dziećmi, starcami, płaczącymi się pod nogami psami i beczącymi kozami. Kilku niosło na ramionach płaczące dzieci. Za nimi dym wznosił się coraz wyżej w niebo.

\*\*\*

Wszyscy byli zmęczeni. Całodniowy marsz przypominał raczej ucieczkę. Podniecenie dawno opadło, ludzie jechali, nie patrząc sobie w oczy, bez zwykłych rozmów. Nie zachowywali też należytej ostrożności. Ciągnęli bezładną gromadą, stłoczeni na wąskiej drodze. Nazir usiłował zaprowadzić jaki taki porządek, lecz bez rezultatów. Rozkazy nie skutkowały. Konie obciążone zapasami, wymęczone długą jazdą, potykały się coraz częściej.

Match nie był zdolny do zapanowania nad oddziałem, zresztą nie bardzo się ku temu kwapił. Od wyjazdu z wioski nie odezwał się do nikogo. Na spojrzenia rzucane przez towarzyszy odpowiadał jedynie złym błyskiem oczu. Wkrótce wokół niego zrobiło się pusto. Jechał na czele, prawie nie oglądając się na drogę, ani na to, co się dzieje z tyłu.

A nie działało się dobrze. Banici jechali za dowódcą z pochowaną bronią, nie zwracali uwagi na otoczenie. Dlatego strzały, które spadły pomiędzy nich, były całkowitym zaskoczeniem.

Strzelano z daleka. Pociski z cichym szumem spadały prawie pionowo, nabierając straszliwej szybkości przed uderzeniem w cel. Te, które trafiały w ziemię, wbijały się, drgając, prawie do połowy swej długości w miękki grunt, inne przebijały ludzi i konie na wylot. Na wąskiej drodze zapanował zamęt. Strzelających było co najmniej kilkunastu, używali długich łuków. Wprawdzie strzały miały o wiele mniejszą donośność i siłę przebicia niż bełty wypuszczone z kuszy, ale większa szybkostrzelność powodowała, że z nieba sypał się prawdziwy deszcz strzał.

Nieostrożna jazda zwartą gromadą nie pozwalała teraz na błyskawiczny odskok, na drodze kłębiła się zbita masa ludzi i przerażonych koni. W tę masę trafiały raz za razem strzały.

Jadący na przedzie Match usłyszał krzyki i kwik koni. Ściągnął wodze, aż wierzchowiec wspiął się na tylne nogi. Gdy zawrócił, tuż przed sobą ujrzał Królika i jego otwarte w krzyku usta. Wydawało mu się, że Królik woła coś do niego, lecz nic nie rozumiał. To przez ten hałas, pomyślał tępo, patrząc w twarz banity. W tym momencie z ust Królika buchnęła krew. Match dostrzegł grot strzały sterczący pod brodą, strzały, która trafiła Królika w kark.

Oślupiał. Królik wciąż siedział wyprostowany w siodle, patrząc uporczywie w jego twarz wzrokiem, w którym nie było już szaleństwa. Wpatrywał się z jakąś nasiloną uwagą, jakby o coś pytając, jakby czegoś oczekując. Z ust, z każdym charczącym oddechem chlustały fale jasnej krwi. Match chciał się odwrócić, ruszyć dalej, lecz coś w tym wzroku wbitym w niego nie pozwalało na to. Przestań! – krzyczało coś w nim, czego chcesz ode mnie! Dlaczego tak patrzysz! Lecz w nieruchomych oczach nie ujrzał odpowiedzi. Było pytanie, były żal i bezmierna rozpacz, oskarżenie i prośba.

Po długiej, zbyt długiej chwili, źrenice Królika drgnęły i skierowały się ku górze. Bardzo wolno głowa opadła na pierś, ciało zwiotczało i wreszcie osunęło się na koński kark.

Pierzasta strzała świsnęła koło głowy Matcha i z głuchym stukiem wbiła się w ziemię. Match ocknął się. Rozejrzał się, usiłując ogarnąć sytuację. Przed nim, na drodze kłębili się ludzie, usiłując skryć się przed strzałami, tratując się i przepychając nawzajem. Kilka ciał leżało nieruchomo na ziemi, gniecionych kopytami przerażonych koni. Match ruszył naprzód.

– Do tyłu, wycofać się! – krzyczał, zdzierając sobie gardło w panującym tumultcie.

Wyciągnął miecz. Wzniósłszy go, wbił się w ciżbę, usiłując z całych sił nie skulić się instynktownie pod gradem padających strzał.

– Do tyłu! – powtórzył rozkaz, wskazując kierunek wyciągniętym mieczem. Najbliżsi posłuchali go, przestali miotać się bezładnie i przepychali teraz w tamtą stronę, pociągając za sobą pozostałych. Match



rozglądał się, szukając wzrokiem Nazira. Potrzebował jeszcze kogoś do pomocy. Nie widział go jednak. Spostrzegł, jak tuż obok młody chłopak, którego imienia nawet nie zapamiętał, puszcza wodze, chwytając się za pierś, z której sterczały brzechwy strzały. Matcha ogarnęła rozpacz.

Nagle wierzchowiec potknął się. Match szarpnął wodze, usiłując go poderwać, lecz pod koniem załamały się nogi. Nim upadł na bok, Match zdążył wyszarpnąć stopy ze strzemion, i w chwili gdy zwierzę padało, przetoczył się na bok, nie wypuszczając z ręki miecza. Poderwał się z ziemi prosto pod wzniesione kopyta innego konia, którego jeździec zwisał bezwładnie z nogą uwięzioną w strzemieniu. Match ujrzał błyszczące podkowy tuż nad swoją twarzą. Klęcząc na ziemi w niedogodnej pozycji, nie miał żadnych szans na unik. Czekał na nieuniknione, nawet nie zamknął oczu, widząc wyraźnie tkwiące w podkowach hufnale.

Silne szarpnięcie rzuciło go w bok, kopyta minęły o włos jego czaszkę. Padł i uderzył głową w coś twardego. Chwilę leżał bez ruchu, zmagając się z ogarniającym odrętwieniem. Poczł, jak ktoś chwyta go pod ramiona, unosi z ziemi.

– Wstawaj! – krzyknął Elijah. – Wstawaj, nic ci nie jest!

Match podniósł głowę. Po uderzeniu przez moment nie mógł zogniskować wzroku, twarz Elijaha majaczyła przed nim jako blada plama. Patrzył z wysiłkiem, walcząc z zawrotami głowy. Stopniowo zaczął dostrzegać szczegóły, zlepione kosmyki długich jasnych włosów, krew płynącą z rozciętego policzka. Czego ten chce, pomyślał, zaraz wstanę. Usiadł, wciąż oszołomiony. Powoli dotarło do niego, że to Elijah w ostatniej chwili wyciągnął go spod kopyt. Myśl ta, zamiast wdzięczności, wzbudziła w nim nagły gniew.

– Wstawaj! – powtórzył Elijah. – Trzeba coś zrobić! Ratować ludzi...

Potrząsnął Matcha za ramię. Ten uniósł rękę, chcąc w złości odtrącić go, lecz zaraz opuścił.

– Dobrze – powiedział powoli. – Cofajmy się. Ty poprowadzisz.

Grad strzał jakby zelżał. Match stęknął i podniósł się na nogi. Elijah przytrzymał go.

– No, co jest! – krzyknął Match. – Ruszaj!

Ostrzał ustawał. Pomimo zamieszania część ludzi zdołała wyrwać się z zabójczego kłębowiska, osiągnąć zbawcze zarośla na skraju drogi. Kilka koni biegało bezładnie bez jeźdźców, ranni usiłovali podnieść się lub choćby odpełznąć z drogi. Pozostali spinali konie, popychając je w kierunku lasu. Elijah poderwał się.

– Stójcie, zabierzcie rannych! – krzyknął.

Nie czekając na reakcję zszokowanych ludzi, podbiegł do najbliższego leżącego. Ranny ze strzałą tkwiącą w plecach drapał bezradnie piach gościńca zakrzywionymi palcami, usiłując pełznąć. Elijah przyklęknął przy nim. Szybkim ruchem ułamał drzewce strzały, ranny szarpnął się i zawył krótko. Elijah chwycił go za nogi i pociągnął w stronę zarośli. Za jego przykładem poszło dwóch konnych. Zeskoczyli z siodeł, puszczając wolno wierzchowce, przygięci podbiegli do pozostałych rannych. Z zarośli wyskoczyli następni.

Match rozejrzał się. Spłoszone konie rozbiegały się. Strzały przestały spadać z nieba. Do diabła, nawet nie zauważyłem, skąd strzelali, pomyślał ponuro. Należy się stąd zabierać. Konie! Trzeba chwycić konie, jeśli je stracimy, to po nas!

– Łapać konie! – krzyknął. – I nie puszczać pozostałych!

Nikt go nie słuchał. Z wściekłością podskoczył do najbliższego chłopaka, schylonego nad rannym. Złapał go za kaptur, poderwał szarpnięciem.

– Nie słyszysz, kurwa! – wrzasnął. – Zostaw go i łap konie!

Chłopak odepchnął go i znów pochylił się nad rannym. Match uniósł miecz. Przed nim jak spod ziemi pojawił się Elijah. Przez chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Match kątem oka dostrzegł, że wszyscy dokoła zamarli. Ręka z mieczem opadła bezwładnie. Już nie panował nad ludźmi. Słuchali Elijaha.

Elijah wolno odwrócił się.

– Pierdolić konie – powiedział. – Szybciej, bierzcie ich...

Match wolno odszedł w kierunku zarośli.

\*\*\*

Zapadli w chaszczach, na skraju drogi. Dalszy odskok był ponad siły. Na trakcie pozostało kilkanaście ciał ludzkich i końskich. Stracili zapasy wyniesione z wioski.

Match siedział oparty o drzewo. Zdawał sobie sprawę, że powinien coś zrobić, rozkazać, poderwać ludzi. Czekanie prowadziło do nieuniknionej klęski. Nie potrafił jednak podjąć żadnej decyzji. W głowie miał zupełną pustkę. Lękał się, że nie posłuchają. Skurwysyny, przewodziłem im przez trzy lata, pomyślał. A teraz... Nawet na mnie nie patrzą. Teraz ten gówniarz jest najważniejszy, jakby tylko on mógł im pomóc. No dalej, pokaż, co potrafisz! Wyprowadź nas stąd. Nas? To ja też na niego liczę? Tak, liczę... Ja już nie dam rady. Nie wiem, co dalej... Nie dam rady?! A niech nas wszystkich szlag trafi, to mnie macie słuchać!

– Nazir! – zawołał ochryple.

Maur stanął przed nim. Ten posłucha, zawsze lojalny.

– Wracamy – powiedział Match, patrząc gdzieś w przestrzeń – tą samą drogą. Oderwiemy się od nich. Spróbujemy połapać konie, odzyskać zapasy. Pospiesz ich, za chwilę ruszamy.

– Match, nie możemy wracać – odparł Maur. – Oni najprawdopodobniej są za nami, czekają.

– Co, ty też?! – warknął Match. – Wszyscy wiecie lepiej! Rób, co mówię, albo...

Nazir stał spokojnie. Wybuch Matcha nie poruszył go.

– To była zasadzka – zaczął po chwili. – Elijah mówił...

– Elijah mówił! Kurwa, Elijah mówił! To po cholere do mnie przychodzisz! Idź do niego i niech on was wyciąga z tego gówna!

W oczach Nazira wreszcie błysnął gniew. Zaskoczony Match zamilkł, Maura niełatwo było wyprowadzić z równowagi.

– Uspokój się – powiedział Nazir. – Zbierz się wreszcie w garść i pomyśl trochę. Zaatakowali nas w takim miejscu, że nie możemy wycofać się przez las. Po obu stronach bagna.

\*\*\*

– Ja już wszystko wiem, Match. Już wszystko widziałem. Nie musisz mówić dalej...

W głosie Jasona było znużenie. Rzeczywiście, wszystko już zobaczył. Już wiedział, dlaczego Matcha nazywano Wieprzem i dlaczego zaraz po tej potyczce wszystko się skończyło. Nie musiał tego słyszeć, już wiedział.

Śmiech Matcha był zgrzytliwy. Po raz pierwszy Jason usłyszał w nim niebezpieczne nuty szaleństwa.

– Muszę mówić, Jason. A ty musisz słuchać, musisz słuchać do końca...

W głosie nie było już szaleństwa. Była tylko relacja, beznamiętna i szczegółowa. Straszliwa przez tę beznamiętność.

Match opowiadał, jak w końcu rozkazał, by ktoś zaszedł z boku następujących za nimi wrogów i powstrzymał ich na tyle, by dać reszcie czas na wyłapanie koni, pozbieranie rannych i wycofanie się. Jak wyznaczył do tego niebezpiecznego zadania siebie. Siebie i Elijaha.

Opowiadał, jak później dołączył do wycofującego się oddziału sam, mówiąc, iż Elijah nie żyje. Wiedząc, że zostawił go tam, w gąszczu, rannego i samotnego. Czując, że nikt mu nie wierzy.

Jason słuchał, jak Nazir, patrząc Matchowi w oczy, wypowiedział najpaskudniejsze wyzwisko, jakie mógł wypowiedzieć muzułmanin. I mimo iż wydawało się, że nikt tego nie zauważył, już następnego dnia Match za plecami słyszał szepty – "Wieprz". Było to ostatnie słowo, jakie wypowiedział do Matcha Maur. Do końca życia. Do następnej zasadzki, do następnego ranka.

Gdy Match skończył, Jason nie spytał nawet, czy Match Elijaha jedynie zostawił. Jakakolwiek padłaby odpowiedź, nie zmieniłaby winy Matcha.

Taki był koniec wodza banitów, następcy Robin Hooda. Odtąd został sam Wieprz.

\*\*\*

Światło. Kłujący błysk wdziera się pod opuchnięte powieki.

Rechotliwy śmiech. Nic nie widać, tylko kręgi wirują pod zlepionymi zaschniętą krwią powiekami. Zamknąć oczy, powrócić w niebyt, nie słyszeć, nie widzieć. Szarpnięcie za włosy podrywa opadającą głowę, brutalne dłonie wykręcają twarz do góry. Zabierzcie to światło! Napięcie mięśni w odruchu obrony budzi gorące fale pulsującego bólu. Zdrętwiałe ręce nie czują więzów, tkwią za plecami jak martwe, bezużyteczne kawałki drewna. Jeszcze jedna próba i jeszcze gorszy ból. Wyprężone przez chwilę w daremnej walce ciało zwisa znów bezwładnie w rękach żołnierzy.

Jeden z nich, trzymający za zeskorupiałe od zakrzepłej krwi włosy, próbuje ponownym szarpnięciem unieść więźnia z zeschniętej, wydeptanej trawy na polanie. Bezskutecznie. Ciało przelewa się bezwładnie, osuwa na ziemię. Zbrojny z wyrazem bezradnej złości na twarzy prostuje się, podkuty but trafia pod żebra. Więzień nie porusza się.

Nie kop go, głupi skurwielu! Dobijesz go, durniu! Kogo kopią, mnie? Nic nie czuję, niemożliwe. Polejcie go wodą, idioci! Chłód, wspaniały chłód. Ból staje się bardziej głuchy, stłumiony. Już nie wypełnia wszystkiego, rozpadł się na kilka osobnych; kłujący ból złamanych żeber przy każdym oddechu, pulsujący ból pod czaszką, tępy ból złamanego ramienia.

Ciałem leżącym w kałuży różowej od krwi wody wstrząsnął skurcz. Palce wczepione w źdźbła suchej trawy rozluźniły się.

Wysoki mężczyzna przyklęknął nad więźniem.

– Obróćcie go na wznak! – powiedział.

Żołnierze przypadli do więźnia. Nie byli zbyt delikatni, ich uchwyt spowodował, że z ust rannego wydobył się bolesny jęk. Wysoki mężczyzna rzucił jednemu z nich gniewne spojrzenie. Ten, przestraszony, rozluźnił uchwyt, patrząc z rozdziawioną tępo gębą. Uwolniona głowa więźnia uderzyła głucho o ziemię.

– Precz stąd natychmiast! – rzucił krótko mężczyzna. Zbrojni nie zawahali się ani chwili. Wiedzieli, że jeśli tak mówi, to lepiej, żeby to naprawdę było natychmiast.

Mężczyzna z nieoczekiwaną delikatnością uniósł głowę rannego. Jego powieki uchyliły się, błysnęły białka. Ciałem wstrząsnął kaszel. Strużka krwi spływająca z rozbitej skroni splamiła podtrzymującą dłoń.

– Spokojnie, synu – powiedział miękko mężczyzna. – Już po wszystkim, uspokój się.

Ranny otworzył szerzej oczy. Usiłował zogniskować wzrok na twarzy klęczącej nad nim postaci. Po chwili udało mu się. Mężczyzna dojrzał błysk zrozumienia w oczach, lecz zaraz spojrzenie wyrażało tylko rezygnację.

– Spokojnie – powtórzył. – Gisbourne, derkę! – rzucił, nie odwracając się.

– Szeryfie, po co? – zapytał stojący z tyłu hrabia, który przyglądał się z sadystycznym uśmieszkiem. – Dobić to ścierwo! Powiesić! Do lochu!

Szeryf delikatnie opuścił głowę Matcha na trawę. Wyprostował się niespiesznie, zmierzył Gisbourne'a przeciągłym spojrzeniem.

– Taką zalecasz kolejność, mój dobry hrabio? – zapytał. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jeżeli najpierw dobijemy, a potem wrzucimy do lochu, to może wkrótce zacząć śmierdzieć...

Gisbourne poczerwieniał.

– Myślałem, panie... – zaczął.

– Otóż to! – przerwał szeryf. – Od razu widać, że myślałeś. Może jednak zamiast myśleć, zajmiesz się czymś w twoim przypadku bardziej celowym. Przynieś derkę.

Czerwony jak burak hrabia sztywno się odwrócił.

– Jeszcze jedno! – krzyknął szeryf. – Przyrowadź tego magika, którego nam tu podesłał mój braciszek opat. Tego, wiesz, jak mu tam, Copperheada czy coś podobnego.

Odwrócił się i popatrzył na leżącego więźnia.

Ranny z wysiłkiem poruszył opuchniętymi wargami, usiłując coś powiedzieć. Bez skutku. Patrzył tylko z nienawiścią w twarz szeryfa.

– Spokojnie – powtórzył po raz kolejny szeryf. – Nie męcz się teraz. Naprawdę zdążymy porozmawiać, Copperhead cię poskłada. A Gisbourne będzie musiał poczekać ze swoimi planami. Co, jednak chcesz coś powiedzieć? Zaczekaj...

Szeryf przyklęknął i pochylił się nad leżącym. Ten z wysiłkiem otworzył usta, wraz z wyrazami na wargach pojawiły się bąbelki krwi.

– No nie, Match – powiedział szeryf zde gustowany. – Tę propozycję muszę stanowczo odrzucić. Jest nie na miejscu, przy tym niewykonalna.

Wyprostował się.

– A poza tym, Match... – szepnął cicho, jakby do siebie, nie troszcząc się, czy ranny usłyszy – nie marnuj sił na głupie gadanie. Jeszcze ci będą potrzebne...

Podbiegł Gisbourne z czarodziejem – niewysokim, chudym człowieczkiem w czarnym stroju. Magik miał na głowie idiotyczną, spiczastą czapkę, wyszywaną w złote gwiazdki, nieco przybrudzone i ponadpruwane. Kosym spojrzeniem rzucał nerwowo dokoła. Generalnie nie budził zaufania.

– Dobrze – powiedział szeryf. – Podłóż mu tę derkę pod głowę.

Hrabia rozejrzał się.

– Hej, ty tam, strażnik! – zawołał. – Podłóż no...

– Zaraz – przerwał szeryf. – Mówiłem do ciebie. Nie chcę, żeby jakiś dureń go bardziej uszkodził. Na razie... Więc i ty uważaj. No dobrze – podjął, zwracając się do czarodzieja. – Może się wreszcie na coś przydasz, Copperhead...

– Copperfield – poprawił magik z urażoną miną. – Nazywam się Copperfield, raczcie panie zapamiętać. To imię sławne jest jak...

Copperfield, czy jak mu tam było, nie zdążył przytoczyć swego ulubionego powiedzenia, w którym porównywał się do Merlina.

Szeryf nagłym chwytem szarpnął go za rzadką bródkę, zadzierając mu twarz do góry. Czarodziej zaskowyczał, jednak stał spokojnie, nie próbował się wyrwać, wodził tylko dookoła rozbieranymi oczyma. Szeryf, sapiąc ze złości, zamierzył się wolną ręką, lecz po chwili opuścił ją i zwolnił uchwyt. Czarodziej zatoczył się do tyłu, z trudem odzyskując równowagę.

– Nigdy nie przerywaj! – warknął szeryf. – Pamiętaj, że ja w twoje zasrane czary nie wierzę, tak jak mój brat, więc się nie boję.

– Magia istnieje! – wykrzyknął czarodziej piskliwym głosem. – Może ukarać niedowiarków! – dodał, zasłaniając się na wszelki wypadek przed spodziewanym ciosem.

Szeryf nie uderzył.

– Nie mówię, że nie istnieje – powiedział z podejrzaną łagodnością. – Tylko w twoim wykonaniu jest zdatna psu na budę. Powiedzmy to sobie szczerze. Trzymam cię jedynie dlatego, że z daleka wyglądasz na uczciwego czarodzieja i posiadasz w swoim kuferku różne smrodliwe ingrediencje. Mam nadzieję, że ukradłeś je komuś, kto miał pojęcie o ich przyrządzaniu. A ponieważ nikt dotąd nie wbił cię jeszcze na pal, mniemam, że zdarza ci się ich użyć zgodnie z przeznaczeniem... Niechętnie to czynię, ale nie mam wyjścia. Jak wiesz, naszemu cyrulikowi zdarzył się wypadek podczas przeprawy przez bagna. Bardzo go wciągnęły, tak że słuch po nim zaginął. Na wezwanie innego z Nottingham nie ma czasu. A więzień potrzebny mi żywy. Tak więc sięgnij do swoich eliksirów i spróbuj postawić go na nogi. Albo przynajmniej utrzyмай przy życiu, póki nie dojedziemy do zamku. Uda się, to cię wynagrodzę, choć w ogólnym rozrachunku na to nie zasługujesz. Nie uda... No cóż, urządzimy dwa pogrzeby. Gisbourne cię nie lubi, a jest on naprawdę bardzo pomysłowy.

Szeryf odwrócił się, odszedł powoli, nie oglądając się na magika. Z jego twarzy zniknął złośliwy uśmiech, ustępując miejsca zamyśleniu. Zmierzał ku namiotom rozbitym na skraju polany. W pobliżu czekał na niego niemłody mężczyzna w łaciatym stroju zwiadowcy z leśnych oddziałów. Oparty na długim bojowym łuku patrzył w niebo jasnobłękitnymi oczyma. Szeryf stanął przed nim bez słowa. Zwiadowca opuścił wzrok.

– Człowieku, ten dureń go zabije – powiedział spokojnie.

– Więcej szacunku! – parsknął szeryf gniewnie.

– Dla tego idioty? On nie zasługuje nawet na litość... – odpowiedział leśny.

– Dla mnie, przyjacielu, dla mnie! – rzekł szeryf. – Jak to wygląda, żeby żołdak tak mówił do swego szeryfa! Jeszcze ktoś zobaczy... A co do niego, to jak wiesz, nie ma innego wyjścia... Chyba że chcesz sam...

– Paskudna sytuacja, przyjacielu?

– A dla ciebie nie? – zapytał ze złością szeryf.

Mężczyzna zamilkł.

– Owszem – przyznał po chwili. – Rzeczywiście paskudna, dla każdego. Dla mnie, dla ciebie. I dla niego – dorzucił, wskazując na



rannego, nad którym pochylał się zaaferowany czarodziej. – Ale z nas wszystkich on ma najmniej powodów, by czuć się paskudnie.

– Na razie – mruknął szeryf. – Na razie. Jeszcze będzie miał, o ile przeżyje. A teraz chodź do namiotu, zejdźmy ludziom z oczu.

– Dobrze – powiedział zwiadowca. – Ale mam jedną prośbę, której spełnienie ułatwi nam dalszą rozmowę.

– Jaka?

– Nie nazywaj mnie przyjacielem.

Szeryf spojrział na niego przeciągle. Po chwili jego usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

– W porządku. Ale ty też.

Odwrócił się i pierwszy zniknął w wejściu do namiotu. Zwiadowca podążył za nim.

Wewnątrz panowała ciemność, tak że nie sposób było widzieć twarzy rozmówcy. To dobrze, pomyślał szeryf z ulgą, dla tego spotkania to lepiej. Zaraz jednak przypomniał sobie, że jego "przyjaciel" zapewne widzi w mroku znakomicie. Poczł znów przyłył wątpliwości.

– Jeśli chcesz, zapal kaganek – odezwał się zwiadowca. – Będzie lepiej rozmawiać przy świetle.

– Po co? – prawie wykrzyknął ze złością szeryf. – A w ogóle, skończ z tymi uprzejmościami. Nie przypuszczam, żebyś chciał pchnąć mnie nożem pod żebro, nie teraz, kiedy dogadaliśmy się. Zresztą miałeś już kilka okazji. Oszczędź mi więc swoich dobrych manier i kończmy tę żalną sprawę. Cholera, druid w przebraniu, królewski szeryf spiskujący z druidem, durny szarlatan usiłujący grać medyka, istne jasełka! Brakuje jeszcze połykacza ognia i smoka z trzema głowami! Ziejącymi siarką, naturalnie, i porywającego dziewice na śniadanie.

Druid przebrany za zwiadowcę spoważniał nagle.

– Nie chcesz, w porządku – zgodził się. – I nie myśl, że chcę się usprawiedliwiać. To tylko mniejsze zło, które udało się wspólnie wybrać. Wszyscy wiemy, jak wygląda to większe. A jak wygląda jeszcze większe, nawet się na razie nie domyślamy. Wierz mi, to najbardziej korzystne rozwiązanie, co nie znaczy, że czuję się z nim dobrze... On zasługiwał na lepszy los. Pamiętaj o tym.

Szeryf skinął głową. Wstał, wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie, nie patrząc w oczy.

– Słuchaj – odezwał się cicho szeryf. – Jeszcze jedno... Spróbuj mu pomóc. Pal diabli, co ludzie powiedzą...

Podniósł wzrok, ich oczy spotkały się. W spojrzeniu druida szeryf dojrzał zrozumienie i jakby cień wdzięczności.

Szli przez polanę w zapadającym mroku wczesnego, późnojesiennego wieczoru. Zbliżyli się do leżącej postaci, nad którą krzątał się Copperfield, z podejrzanym wyglądającym flakonem w ręku. Na widok szeryfa zeszywniał.

– Panie, on zaraz... – wyjąkał. – Tego, on już lepiej oddycha.

– Odejdź – powiedział szeryf cicho.

– Panie, ja zaraz... – krzyknął piskliwie magik – tylko ten eliksir i on niechybnie wstanie.

– Spierdalaj, ale natychmiast! – wrzasnął szeryf, popierając rozkaz celnym kopniakiem.

Copperfield zniknął w zapadających ciemnościach z osobliwym kwikiem. Wypuszczony przez niego flakon upadł na trawę, spod korka wypłynęło kilka kropel gęstej, cuchnącej cieczy. Suche źdźbła poszarzały i zadymiały.

– Niechybnie wstanie! – oburzył się szeryf. – Zdechłemu psu nalać tego pod ogon, to też niechybnie wstanie. W ostatniej chwili! Miałeś rację... Właśnie, jak mam cię nazywać?

– Mnie to obojętne. – Druid wzruszył ramionami. Jak zwykle nie zamierzał niczego ułatwiać. Przyklęknął przy leżącym.

Kiedy rozwinął przesiąknięty krwią i ropą opatrunek na udzie, szeryf przestał się zastanawiać nad jego prawdziwym imieniem. Widok nie był piękny, zapach również.

Walcząc z torsjami, szeryf pomyślał, że to wszystko na nic. Nie była potrzebna żadna umowa, żadne gwarancje dla Matcha. On już nie skorzysta z gwarancji, już jest trupem.

Postrzał miał kilka dni. Grot ułamał się w ranie, podczas ucieczki nie starczyło czasu, by go usunąć, teraz było za późno. Nawet odjęcie nogi by nie pomogło. Szeryf znał się na ranach, wiele ich w życiu widział. Match

nie dożyje do rana, tego był pewien.

Dlatego tak łatwo poszło, pomyślał szeryf. On nawet nie powinien utrzymać się na koniu, co dopiero walczyć. A jednak próbował. Po raz kolejny poczuł podziw dla przeciwnika.

Żołądek podszedł szeryfowi do gardła, gdy pochylił się nad rannym, dusząc się od smrodu objętej zgorzelą rany. Match był przytomny, zgorączkowane oczy błyskały spod powiek. Gdy druid, który w skupieniu obmacywał poczerwiałe, nabrzmiałe udo, nacisnął mocniej, ciałem wstrząsnął skurcz, jednak bez jęku. Szeryf spostrzegł spływającą z przygryzionej wargi strużkę krwi. Dotknął ramienia druida.

– Daj mu coś... – wykrztusił przez zaciśnięte gardło. To od tego smrodu, pomyślał, to tylko od smrodu... – Daj mu coś, żeby zasnął. Daj mu odejść spokojnie.

W oczach druida błysnęła drwina.

– A jesteś pewien, że możemy pozwolić mu odejść? Myślałem, że zrozumiałeś. On nie może umrzeć, to byłoby zbyt proste. On będzie jeszcze potrzebny...

– Co ty pieprzysz?! – Szeryf ze wzburzenia zapomniał o mimowolnym lęku, jaki wzbudzał w nim druid. – Nawet sam Bóg nie może go już ocalić... On gnije za życia! Kurwa, on powinien już nie żyć! Nawet jak mu urzniesz tę nogę, to tego nie przetrzyma! Zresztą, i tak jest za późno.

Wyprostował się gwałtownie. Torsje znów podjeżdżały pod gardło. Tym razem nie dał rady. Odbiegł dwa kroki, pochylił się.

Druid nie przerwał obmacywania rany. Szeryf po chwili powrócił. Torsje minęły, nie minęła złość.

– Po co go jeszcze męczysz! – wybuchnął. – Raczej go dobij!

Druid skrzywił się. Wstał, wytarł ręce w szmatkę wydobytą z sakwy. Stał przed szeryfem.

– Zgadza się, wasz Bóg nie może go ocalić – powiedział z krzywym uśmiechem. – Zaryzykuję twierdzenie, że nikogo nie może ocalić, nawet ze sobą mu się nie udało. Czy też z własnym synem, nie pamiętam, strasznie to u was pokrętne... W każdym razie na jedno wychodzi. Ale zapominasz, kim on naprawdę jest. Nie doceniasz siły tego człowieka, trochę odmiennego od ciebie. Poza tym...

W głosie druida zabrzmiały twarde tony.

– Poza tym nie doceniasz mnie. I jeśli mogę ci coś poradzić, nie rób więcej tego błędu.

Znów uklęknął przy rannym. Zaczął grzebać w sakwie.

– Jak wiesz zapewne, poradzę sobie sam – rzucił przez ramię. – Ale skoro już tu stoisz, to zapytam...

– O co? – spytał po chwili szeryf, sam nie doczekawszy się pytania.

– Pomożesz, czy znowu będziesz rzygał?

\*\*\*

Okazało się, że jedno i drugie. Szeryf pomagał, starając się ze wszystkich sił nie czuć trupiego zaduchu i nie patrzeć na czynności dokonywane przez druida małym srebrnym nożykiem. Jednak gdy cuchnąca, żółta ropa spłynęła mu prosto na ręce, nie dał rady. Dobrze, że zdążył odwrócić głowę.

Później było łatwiej. Gdy srebrny nożyk zadźwiewał o ułamany grot, gdy druid po wydobyciu go zaczął oczyszczać ranę, zasypując ją zielonkawym proszkiem z małego skórzanego woreczka, szeryf mógł wreszcie nieco się rozluźnić. Bolały go mięśnie. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mocno zaciskał zęby. Z zainteresowaniem przyglądał się dalszym czynnościom druida.

Uderzyło go, że Match podczas zabiegu był przytomny. Oczy, choć błyszczące od gorączki, miał cały czas otwarte. I nie krzyczał, nie drgnął nawet. A powinien. Szeryf wiedział, że cyrulicy do takich zabiegów wiążą delikwenta, lub ogłuszają drewnianym młotkiem. Inaczej trudno go utrzymać. Zapytał wprost druida.

Ten skrzywił się tylko niechętnie.

– Mówiłem, że nas nie doceniasz, ani mnie, ani jego. Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozumy. A tego akurat ci nie wytłumaczę, nie zrozumiesz i tak.

Szeryf prychnął ze złością.

– Nie obrażaj się. – Druid uśmiechnął się pobłaźliwie. – Nie twierdzę,

że jesteś głupi, czy coś w tym rodzaju. Po prostu...

– Nieważne – uciął krótko szeryf. – Rób, co do ciebie należy, nie chcę przeszkadzać.

Siedział sztywno, nie patrząc na druida. Nie widział drwiącego uśmiešku. Zmierzch pogłębiał się. Zastanawiał się, czy zawołać pachołka z pochodnią. Zauważył jednak, że druidowi mrok najwidoczniej nie przeszkadza.

– Jedno chciałbym ci powiedzieć – odezwał się druid po dłuższym milczeniu. – Udzielić pewnej rady. Chodzi o tego... jak mu tam...

– Copperfielda – domyślił się szeryf. Wciąż siedział sztywno, obrażony. Odpowiedział po prostu machinalnie.

– No, no, skąd wiesz? – zdumiał się druid nadspodziewanie uprzejmie. Wyglądało, że chce zatrzeć niemiłe wrażenie. Było to na tyle dziwne, że szeryf zapomniał o urazie. Do tej pory druid nie zwracał uwagi na konwenanse, wyrażał się swobodnie, w sposób graniczący z lekceważeniem. Zapewne celowo. Tym razem szeryf nie zwrócił uwagi na to, że jak zwykle nie usłyszał słów "panie" czy chociażby "szeryfie". Nigdy nie słyszał, dawno przestał reagować, ale zawsze zwracał na to uwagę, nie lubił rozmawiać z kimś, kto w ten sposób podkreśla swoją wyższość, czy chociażby równoprawność.

Było to zastanawiające. Jasne, że nieszczęsny magik jest zwykłym szarlatanem, oszustem niemającym tak naprawdę pojęcia, o czym mówi, a tym bardziej o tym, co usiłuje robić. Skąd więc nagłe zainteresowanie druida taką żalostną postacią? Przecież nie stanowi żadnej konkurencji. Ani zagrożenia.

Gdy opat pokazał Copperfielda szeryfowi, ten skrzywił się tylko. Na pierwszy rzut oka poczuł antypatię do tego chuderlawego człowieczka o rozbieganych oczach. Znając jednak metody swego brata, postanowił nie osądzać go zbyt surowo, tym bardziej że fioletowy siniak pod okiem zdążył wprawdzie zżółknąć, ale nie zniknąć.

W jednym opat się nie mylił. Obecność czarodzieja, jak kazał nazywać się Copperfield, w widoczny sposób podniosła na duchu zbrojnych. Ucichły powtarzane uporczywie czarne przepowiednie co do losu wyprawy w czeluściach puszczy, w której ostatnio coraz częściej pojawiały się dziwne stwory i inne paskudztwa. Copperfield, widząc to,

zhardział, zaczął nosić się sztywno i z godnością. Zbrojni podchodzili do niego z lękiem i szacunkiem. Nielicznym, beczelnym ciekawskim, którzy pytali go o podbite oko, wyjaśniał dystyngowanie, że to z powodu godnego pożałowania wypadku, do jakiego doszło podczas rzucania wyjątkowo skomplikowanego zaklęcia. Do wypadku zaś doszło przez niedbalstwo, tłumaczył dalej, spoglądając groźnie na chuderławego chłopczynę o wyglądzie krety, swego pomocnika. Chuderławy chłopczyna nie odpowiadał, bo od czasu, gdy wraz z pryncypałem wypuszczono go z lochu, konsekwentnie udawał niemowę.

Copperfield spełniał więc swą funkcję. Kręcił się po zamku i obozach, robiąc wyniosłą minę i dobre wrażenie. Wziął udział w kilku wyprawach, jeszcze latem. W końcu szeryf pogodził się z jego obecnością, biorąc sobie do serca stwierdzenie opata, że wprawdzie Copperfield to skurwysyn, ale nasz skurwysyn.

– ...Słuchasz, co do ciebie mówię?

Szeryf drgnął.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Mówiłeś o...

– Pamiętam, co mówiłem – burknął druid. – Mówiłem o Copperfieldzie.

Przerwał na chwilę. Smarował właśnie ranę jadowicie zieloną maścią, a ta czynność najwyraźniej wymagała uwagi. Szeryf spostrzegł, że druid stara się pokrywać maścią wyłącznie poczerniałą, zmartwiałą tkanę. Wreszcie skończył i dokładnie wytarł dłonie w czystą szmatkę. Wskazał łokciem na skórzany bukłak.

– Bądź tak uprzejmy połać mi ręce – poprosił.

Szeryf uczynił zadość temu życzeniu. Widział, jak druid zmywa z dłoni resztki maści. Ciekawe, co to jest, pomyślał.

– Nawet się nie zastanawiaj – usłyszał tylko.

– Nie zastanawiam się – odpalił szeryf. Znów zaczynało mu to działać na nerwy. – A tak w ogóle, to spróbuj odpowiadać na pytania dopiero wtedy, gdy je zadam. Nie wcześniej.

– Przecież pytałeś? – zdziwił się druid obłudnie. – Nieważne zresztą. Wracając do tego...

– Copperfielda – poddał uprzejmie szeryf. Postanowił się już niczemu

nie dziwić. Po raz kolejny zresztą.

– A tak, Copperfielda. Ciekawe, dlaczego ciągle wylatuje mi z pamięci. Może dlatego, że to taka mała, nic nieznacząca gnida. Wracając do niego, to dam ci jedną radę. Pozbądź się go jak najszybciej.

– Pozbyć się go? – Szeryf zdumiał się szczerze. – A po co? Przecież... przecież on i tak nie ma żadnej przyszłości. Wykonał już swoje zadanie. Jeszcze o tym nie wie, ale gdy tylko wrócimy do miasta, to mój brat opat się nim zajmie. A raczej nie on, lecz jego kat.

– Nie słuchałeś mnie uważnie. – Druid wydawał się pochłonięty zakładaniem opatrunku. Jednak w głosie był wyraźny nacisk. Cień zaangażowania, tak rzadki w jego wypowiedziach. Szeryf słyszał już kiedyś taki ton.

– Nie słuchałeś. Mówiłem, jak najszybciej, najlepiej zaraz. Bagna nie są jeszcze całkiem zamarzniete...

– Wyjaśnij mi – poprosił z zimną ironią szeryf. – Wyjaśnij, bo ja nie rozumiem, może jestem zbyt tępy. Ale sam przed chwilą mówiłeś, że to mała, nic nieznacząca gnida. To na cholerę mam sobie brudzić ręce?

Opatrunek został założony. Match przymknął oczy, przytomne i szeroko otwarte przy wszystkich zabiegach. Pewnie tak działa ten płyn, pomyślał szeryf, który druid wlał mu na koniec w usta. Istotnie, ranny rozluźnił się, oddech stał się spokojniejszy.

– Będzie po tym spał, długo. Jak się obudzi, to znowu mu dasz...

Szeryf nie wytrzymał.

– Nie odpowiadaj również na pytania, których nie mam zamiaru zadać!

Nigdy więcej, postanowił solennie, nigdy więcej nie mam zamiaru spotykać tego zarozumiałego sukinsyna. Nigdy więcej, o ile to nie będzie naprawdę konieczne.

– Masz rację – usłyszał. – Ja też tak uważam.

Szeryfa nagle opuścił gniew. To jak rzucanie grochem o ścianę.

– Więc, skoro to już ustaliliśmy, wróćmy do konkretów – rzekł po chwili już całkiem spokojnie. – Przecież ta, jak byłeś łaskaw powiedzieć, gnida jest całkiem nieszkodliwa. Jeżeli tylko uważać i nie pozwolić jej na jakąkolwiek inicjatywę. To po co? Czyżbyś był zazdrosny? Ty, taki, jak by

to powiedzieć, profesjonalista? Przecież on ci do pięt nie dorasta, co tam, to przecież zwykły oszust!

– Niepotrzebna ironia – skwitował druid. – I niecelna złośliwość. Jasne, że nie dorasta. Podobnie jak wszyscy inni dokoła...

Przerwał, patrząc wymownie na szeryfa. Ten wytrzymał spojrzenie. Myśl sobie, co chcesz, wiesz, gdzie mam tak naprawdę ciebie i twoje... Tok myśli urwał się, zastąpiony ukłuciem strachu. Przecież ten sukinsyn zapewne wie, co ja...

Nawet jeżeli wiedział, to nie dał po sobie znać. Rzeczywiście, był mało przewidywalny. Jak gdyby nigdy nic powrócił do tematu.

– On sam nie jest groźny. Rzeczywiście, jest oszustem. Ale przypomnij sobie to świństwo, którym polewaliście pola, to, o którym mówił, że sam zrobił...

Ma rację, uświadomił sobie szeryf ze zmartwiałym nagle sercem. Copperfield sam zapewne nie był groźny. Ale to, jak powiedział druid, świństwo...

Wszystko zaczęło się jeszcze w lecie, niedługo po pojawieniu się magika. Wtedy głównym celem była pacyfikacja puszczańskich wiosek sprzyjających banitom, i nie tylko puszczańskich, wiele osad na obrzeżu także było niepoprawnych.

Palenie zabudowań i zboża na pniu nie stanowiło rozwiązania. Przecież nie chodziło o całkowite unicestwienie zbuntowanych chłopów, tylko o nauczkę. Szeryf wydał dobitne rozkazy, określające jasno postępowanie ekspedycji karnych, lecz żołnierzy często ponosił entuzjazm. Zwłaszcza iż rzadko kiedy nie napotykali oporu. Najczęściej więc mordowali więcej wieśniaków, niż było to na początku założone, i puszczali wioskę z dymem. A to nie przysparzało szeryfowi zwolenników. Potrzebne były subtelniejsze sposoby.

Wtedy napatoczył się Copperfield ze swoim wspaniałym pomysłem. Szeryf wysłuchał go, wzruszył ramionami i kazał wyprowadzić, chlasnąwszy dwa razy w pysk. Nie sądził, by coś wyszło z tak zwariowanych projektów, a w magię nie bardzo wierzył, zwłaszcza w wykonaniu tak niewydarzonego magika. Jednak Copperfield nie zrezygnował. Tak długo nudził, aż przekonał Gisbourne'a, który z natury był łatwowierny. Ten z kolei namówił opata. Szeryf nie mógł się dłużej



opierać i Copperfield uzyskał zgodę.

Zniknął gdzieś na tydzień i powrócił triumfalnie wozem wyładowanym beczkami, po czym odbiwszy dno jednej z nich, zademonstrował jaskrawopomarańczową, obrzydliwie cuchnącą ciecz. Szeryf nie chciał słuchać opowieści o trudach przyrządzenia czarodziejskiej mikstury, dławiąc się od smrodu, machnął tylko ręką i nakazał dalsze przygotowania.

Copperfield wraz z przydzielonymi pomocnikami szparko wziął się do roboty. Wynikiem tajemnych prac był wóz, na którym przywiązano beczki, wypełnione wodą z dodatkiem tajemniczego, śmierdzącego płynu. Copperfield, z lubością posługujący się alchemicznym żargonem, nazywał go "czynnikiem". Beczki wyposażono w kraniki, które doprowadzały ciecz do podziurawionej ołowianej rury, umocowanej z tyłu pojazdu. Wszystko przypominało wypisz wymaluj monstrualne urządzenie do polewania ogródka.

Jeszcze przez tydzień magik chodził dumny, opowiadając każdemu, kto chciał o tym słuchać, ile to lat strawił na studiowaniu tajemnych ksiąg, jak wielkiej czarnoksięskiej wiedzy wymaga stworzenie tak skutecznego eliksiru. Szeryfowi, który wprawdzie nie chciał słuchać, wpadły przypadkiem w ucho strzępki przepisu, w którym niepoślednią rolę odgrywały jaja koguta i gówno nietoperza, fachowo nazywane przez magika "odchodami".

Gnębiony uporczywym fetorem, który przez tydzień unosił się ze stojących na dziedzińcu beczek, szeryf postanowił sobie solennie, że w przypadku niepowodzenia obwiesi magika natychmiast, nie bacząc na opata. Pod koniec tygodnia, gdy smród przesiąknął już wszystko dokoła, szeryf tęsknie spoglądał na zamkową szubienicę i z gospodarską troską wypytywał kata o stan powroza, już dawno niezmienianego. Nie mógł jednak usunąć beczek poza mury, stanowczo sprzeciwił się temu magik, twierdząc, iż tak cennej i śmiertelnej substancji nie można pozostawiać bez nadzoru całej załogi zamku. Czarodziej zhardział bardzo, posunął się nawet do tego, że interweniował u opata. Szeryf tym bardziej niecierpliwie czekał na niepowodzenie. Niewątpliwe, jak sądził.

Mylił się. Rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania. Prawdopodobnie również autora pomysłu.

Plan był bardzo prosty. Tajemniczy pomarańczowy "czynnik", jak z

uporem mówił magik, miał zniszczyć plony na polach. Bez ognia, bez uszkodzenia grobli. Opat, który był już całkiem do pomysłu przekonany, zachwycił ta idea. Oto broń, która nie marnuje zasobów, ani materialnych, ani ludzkich. Nie trzeba nikogo zabijać, machać z mozołem mieczem, narażając się na odwet i straty w zbrojnych, tracić drogich bełtów. Obejdzie się bez podpalania chat, one mogą się przydać, gdy już pozbędziemy się niewłaściwych wieśniaków. Ci właściwi, którzy przyjdą później, będą mieli gdzie mieszkać. Wystarczy tylko zniszczyć plony, od tego nikt od razu nie umrze, najwyżej potem trochę pogłoduje. I pójdzie sobie precz, albo będzie pełen szacunku dla władzy. Cichy i spokojny. Oto nowy, wspaniały sposób prowadzenia wojny bez strat. Zgodny z chrześcijańską moralnością, pasujący do niej jak ulał.

Założenia były wspaniałe. Efekty też. Aż za bardzo.

Gdy pod osłoną żołnierzy wyprowadzono po raz pierwszy wóz na pola, szeryf nie spodziewał się niczego więcej niż potężnego smrodu, który być może zatruje zbuntowanym chłopom życie na jakiś czas. A potem... można będzie obwiesić magika.

Rzeczywiście, gdy wybito szpunty, z beczek rozszedł się straszliwy fetor, zgodnie zresztą z oczekiwaniami. Wóz ciągnęły po polu chrapiące z przerażenia konie, poganiane przez kaszlących, załawionych pacholców. Z tyłu, z dziurawej ołowianej rury sikały pomarańczowe strumyki.

Nie minął dzień, a jeszcze zielony owies na polach zszarzał. Potem rozsypał się w proch, który gorący, suchy wiatr rozwiewał po okolicy. Pełen sukces. Szeryf z żalem zrezygnował z zamiarów co do Copperfielda. Nawet sam stwierdził, że udało się nadspodziewanie dobrze.

Magik triumfował. Przez najbliższe dni, zgodnie z naciskami pełnego entuzjazmu opata, akcję powtarzano. Najpierw w najbardziej zatwardziałyach wioskach. Upojony sukcesem czarodziej snuł dalsze, bardziej ambitne plany. Wymyślił, że największą przeszkodą w zwalczaniu puszczańskiej rebelii jest sama puszcza. Utrudnia poruszanie się wojsk, daje schronienie buntownikom, pozwala im bez trudu urządzać zasadzki. Copperfield wpadł na pomysł prosty jak budowa cepa. Zaproponował użycie swego znakomitego "czynnika" do usunięcia puszczy. Cóż, to tylko kwestia ilości, mówił. Opat zdawał się podzielać

jego optymizm i wyraźnie skłaniać ku temu rozwiązaniu.

Jednak już wkrótce zaczęły napływać niepokojące wieści. Pomarańczowy płyn nie tylko zniszczył plony. Zginęły glisty w ziemi, na spustoszonych, pokrytych szarym popiołem polach znajdowano martwe ptaki. Zdychał inwentarz w oborach, ba, nawet wioskowe psy chorowały, szwendały się wyleniałe, o nagiej skórze pokrytej liszajami.

Na wszelki wypadek zaprzestano akcji. Copperfield tłumaczył się, że to tylko chwilowy skutek, jednak znajdował coraz mniejszy posłuch.

Po miesiącu spadły deszcze. Na polach, z których wiatr zdążył zerwać nieutrzymywaną przez korzenie warstwę próchnicy, nie wyrosło nic, nawet perz. I jasne się stało, że długo nic nie wyrośnie. Drzewa na skraju pól i na miedzach schły. Martwa strefa rozszerzała się.

Copperfield starał się schodzić wszystkim z drogi. Szeryf osobiście nakazał zakopanie pozostałych beczek na pustkowiu. Zaniepokojonym dzierżawcom i drobnej szlachcie, której ziemie graniczyły ze spustoszonymi polami, opat wyjaśnił z ambony, że to nieuniknione koszty prowadzenia wojny i przywracania spokoju. Nawet najbardziej łagodna dla ludzi broń może czasem spowodować dodatkowe straty. Jest to teraz wnikliwie badane i w przyszłości będzie można jej używać, unikając takich wypadków. A wina i tak leży po stronie zbuntowanego chłopstwa, które nie chce przystać na sprawiedliwe warunki i wyprzeć się banitów. Niech więc się wieśniacy nie dziwią, że będzie się ich zwalczać, dopóki sami nie powstaną przeciwko Matchowi, ich prawdziwemu ciemieżcy, który jest uznany przez wszystkich za zbrodniarza.

Tak, pomyślał szeryf, to już kilka miesięcy. A na polach nic się nie zmieniło. A raczej zmieniło, tylko na gorsze.

Woźnice i pachołkowie, którzy kierowali wozami polewającymi pola, zaczęli chorować, kilku już zmarło, oparszywiawszy wprzód. A pozostaje jeszcze problem tego zakopanego świństwa. Jak długo wytrzymają w ziemi dębowe beczki, nawet starannie zabezpieczone smołą?

– Co, doszedłeś jednak do wniosku, że mam rację? – spytał druid, widząc zmienioną twarz szeryfa.

Szeryf potwierdził. Wniosek nasuwał się sam.

– Tak, masz rację. To tylko mała gnida. Oszust. Ale ta ciecz, ten pomarańczowy "czynnik", skądś się przecież wzięła. Jest śmiertelnie niebezpieczna. A on sam tego nie wymyślił.

– Na pewno nie. Zatem ktoś mu to dał. Ktoś, kto za nim stoi. I pytanie, co dał mu jeszcze, albo da kiedyś...

– Na przykład trutkę na szeryfów? – zażartował ponuro szeryf.

– Nie ma się z czego śmiać. Raczej należy się obawiać. Ja sporo wiem o truciznach. Jesteś pewien, że nie podtruwa cię czasem, już od dawna? Na przykład w porozumieniu z... No, wszystko jedno, ktoś cię przecież musi nie lubić. Albo chce zająć twoje miejsce...

Druid trafił. Nie trzeba daleko szukać. Poczynając od Gisbourne'a, kończąc na... E, w ten sposób można zwariować.

– Nie kręcił się czasem koło kuchni? – wbił szpilę druid, obserwując go z uwagą zmrużonymi oczyma. – Albo koło twoich sług? Nie próbował się zaprzyjaźniać? Nachalnie, jak to ma w zwyczaju?

Szeryf zmieszany kręcił głową. Jasne, warto się nad tym zastanowić, ale na spokojnie, na spokojnie...

– Wiesz, ja się znam na truciznach – drażył druid. – Potrafię je wykryć. Ale ty? A wiesz, są takie trucizny...

Temat widocznie był mu bliski, gdyż mówił z wyraźną lubością.

– Są takie trucizny, które podaje się codziennie, w małych ilościach, nie do wykrycia. I to się zbiera i zbiera... Człowiek się nie spodziewa, dobrze się czuje, aż tu nagle pewnego dnia idzie, idzie i chlap... Leży.

Druid roześmiał się, przewrócił oczyma. Szeryf nie zawtórował. Nie odpowiadało mu takie poczucie humoru. Dyskretnie pomasował sobie żołądek, czuł w nim czczość i lekki ból. To po wymiotach, pocieszył się. Tak, na pewno od rzygania.

– Wezmę to pod uwagę – powiedział sucho.

Druid nie odpowiedział. Zabrał swoje przybory, spakował sakwę i zarzucił ją na ramię. Było już całkiem ciemno.

– Dbaj o niego – przykazał, pokazując na leżącego. – Wiele od niego może zależeć.

– Pamiętam, dobrze pamiętam – odparł szeryf, idąc za jego wzrokiem.

Match leżał spokojnie, oddychał miarowo. Wciąż rozpalony od gorączki, nie wyglądał już jednak jakby stał nad grobem. Ulżyło mu, zauważył szeryf, nic dziwnego, tyle świństwa z niego wypłynęło, i jeszcze to żelastwo...

– Pamiętam – powtórzył cicho, nie podnosząc wzroku. – Ale ty też...

Chciał spojrzeć na rozmówcę, lecz mówił w próżnię. Druid, swoim zwyczajem, zniknął cicho i bez pożegnania.

I dobrze, pomyślał szeryf, im prędzej, tym lepiej.

Wydało mu się, że z ciemności dobiegł go cichy śmiech. Zaklął pod nosem i ruszył w kierunku oświetlonych pochodniami namiotów.

\*\*\*

Po drodze rozmyślał o tym, co niedawno usłyszał na temat Copperfielda. Mimo całej niechęci i, prawdę mówiąc, obrzydzenia, jakie czuł do magika, wzdragał się nieco przed sugerowanym rozwiązaniem. Nie lubił tak, bez dowodów, bez sądu... Owszem, zdarzało się, i to, jak samokrytycznie musiał przyznać, wcale nierzadko... Zawsze czuł jednak potem jakiś niesmak.

Postanowił nie iść na łatwiznę. Przed podjęciem decyzji porozmawia z magikiem, nakłoni do wyjawienia tajemnic. Wtedy zadecyduje. Może wystarczy, żeby zniknął, żeby poszedł sobie w cholerę...

Rozejrzał się. Tak, najlepiej od razu. Gdzie ta gnida się podziewa, jak jest akurat potrzebna? Normalnie, to wszędzie go pełno, a teraz...

W kręgu światła zobaczył najpierw idiotyczną spiczastą czapkę, obszerny chałat. Magik rozmawiał z jakimś mężczyzną, wymachiwał ramionami. Mężczyzna z szacunkiem słuchał perorowania czarodzieja.

– Copperfield! – wrzasnął szeryf. I zmartwiało. Głos uwiązł mu w gardle.

Poznał człowieka, z którym rozmawiał magik.

Copperfield na głos szeryfa przerwał swój wykład, jakiemu oddawał się zawsze, gdy znalazł słuchacza. Zgarbił się i skurczył, jakby uszło z niego powietrze. Obawiał się, że szeryf powróci do nieszczęsnych prób

uzdrawiania Matcha, do cudownego eliksiru. Z tego nie mogło wynikać nic dobrego, czuł jeszcze ból po kopniaku w tyłek.

– Słucham, panie. – Czarodziej uśmiechnął się służalczym, psim uśmiechem. Patrzył z nieszczerym oddaniem w oczy szeryfa.

Nie wiedział, że jego los właśnie został przesądzony. Człowiek, którego nieopatrznie wybrał na słuchacza, któremu opowiadał o swych magicznych przewagach i dokonaniach, nie był właściwą osobą. Prawdę mówiąc, nie mógł wybrać gorzej. Człowiek ten był bowiem osobistym kucharzem szeryfa.

Szeryf odwrócił się na pięcie, ruszył do namiotu.

– Gisbourne, do mnie! – wrzasnął po drodze. – Ale już!

Zniknął za płachtą wejściową. Copperfield odetchnął, tym razem przeszło bokiem. Cóż, nawet szeryf musi docenić wytrawnego czarodzieja. Gdyby nie ten przybłęda, szarlatan z lasu, to Copperfield dopiero by pokazał, jak należy leczyć rannych, jak cudowne działanie mają jego eliksiry.

– No cóż, mój dobry człowieku. – Magik powrócił skwapliwie do wykładu, przybierając swą zwykłą, nadętą pozę. – Trzeba wam wiedzieć, że na łamanie w kościach nie masz to jak oczy żaby i krew miesięczna, koniecznie od rudej. Od czarnej, to na liszaje... Mieszasz to z winem...

Kucharz słuchał z uwagą i szacunkiem. Wprawdzie nie łamało go w kościach, ale przecież rzadko miewał okazję rozmawiać z kimś tak uczonym i bywałym w świecie.

\*\*\*

Gisbourne odchylił płachtę. Nie czekając na pozwolenie, wszedł do namiotu. Buty miał ubłocone, w oczach pałało święte oburzenie.

Szeryf spojrzał pytająco.

– Załatwione – powiedział hrabia krótko. – Szybko poszło. Ale...

Szeryf już chciał go odprawić, lecz Gisbourne najwidoczniej nie zamierzał wyjść. Przeształ z nogi na nogę.

– Coś jeszcze, hrabio? – spytał niechętnie szeryf. Nie miał zamiaru

wypytywać, jak zostało załatwione. Nie chciał znać szczegółów, nigdy nie chciał.

– Panie! – wypalił Gisbourne z oburzeniem. – Oszust to był! Sukinsyn prawy!

Można się było tego domyślać już znacznie wcześniej, pomyślał szeryf. Już od dawna. Tylko ty nie byłeś przekonany...

– Niemożliwe? – zdziwił się obłudnie. – Oszust? A tak się obawialiście, panie hrabio...

Gisbourne stropił się. Istotnie obawiał się. A nawet więcej.

Gdy szeryf wezwał go do siebie i przekazał polecenie, hrabia nie był zachwycony. Zresztą, to mało powiedziane, po prostu przestraszył się. Rozkaz był jasny – wziąć dwu zbrojnych, zaufanych i niełękliwych, zabrać magika na krótką przechadzkę na bagna. Wracać najszybciej jak możliwe. Z jednym zastrzeżeniem: bez Copperfielda.

– Dlaczego ja? – spytał hrabia z ociąganiem.

– A dlaczego nie? – odwarknął szeryf. Ta sprawa zbyt długo się już ciągnęła. A teraz jeszcze ten... Popatrzył groźnie na hrabiego, marszcząc brwi. Zwykle to wystarczało, by Gisbourne zabrał się do swoich obowiązków, z mniejszą lub większą ochotą. Szeryfowi zresztą było to obojętne, byleby rozkazy zostały wypełnione. Jednak nie poskutkowało, nie tym razem.

Zamiast wybuchnąć, szeryf stał się osobliwie miły i spokojny, co zresztą wprawiało Gisbourne'a w jeszcze większe zakłopotanie. Po serii pytań, przy których hrabia wił się i wykręcał, szeryf w końcu uzyskał odpowiedź. Hrabia, doprowadzony niemalże do łez wyznał wreszcie, iż boi się. Boi się, że zostanie zamieniony. Jak dodał zaraz, w ropuchę.

Na pytanie, dlaczego obawia się stać tym akurat stworzeniem, szeryf nie uzyskał wyjaśnień. Gisbourne zasmarkał się tylko, łzy już całkiem jawnie spływały mu po policzkach.

Szeryf pomyślał mętnie, że może jakieś przeżycia z dzieciństwa hrabiego rzuciłyby światło na takie a nie inne zachowanie, może źródłem lęków była dominacja matki, bowiem, jak pamiętał, rzeczywiście przypominała nieco owo stworzenie, którym tak obawiał się zostać hrabia.

Patrząc na dorosłego chłopca, chlapiącego jak dziecko, szeryf uznał, że Gisbourne powinien z kimś o tym porozmawiać, może by pomogło. Ale teraz nie było czasu.

– Posłuchaj – ryknął szeryf gromko. Hrabia drgnął i otarł zasmarkany nos.

– Po pierwsze, magika możesz się nie obawiać...

– Dlaczego?

– Dlatego że ja ci to mówię! Dlatego wreszcie, że z niego żaden magik! Gisbourne nie wyglądał na przekonanego. Wargi wciąż mu się trzęsły.

– Przestań się mazać i słuchaj. – Szeryf spróbował łagodniej. – Wiem, że boisz się czarów, masz złe doświadczenia. Co prawda sam sobie jesteś winien, jak pamiętasz, ale teraz pomyśl. Copperfield to oszust. A nawet jeśli nie, to czy ty wiesz, jaki wielkim magiem trzeba być, by zamienić kogoś w ropuchę? Czy zdajesz sobie sprawę, który stopień wtajemniczenia jest potrzebny?

– Który? – spytał hrabia niepewnie. Szeryf zaklął w duchu. Pytanie uważał za retoryczne, nie spodziewał się, że będzie musiał sam na nie odpowiedzieć. Zaraz, spróbował sobie przypomnieć, którym to stopniem chwalił się ten pokurcz? Chyba siódmym.

– Co najmniej dziewiąty – stwierdził szeryf dla pewności. – Albo nawet jedenasty!

Przedobrzył. Gisbourne nie tylko obawiał się czarów. On w nie wierzył i zbierał skrzętnie wszelkie pogłoski na ich temat.

– Jak to, jedenasty? – wyjąkał oszołomiony. – Przecież w Wielkim Kręgu Magii, w Czarnym Zakonie najwyższy jest stopień dziesiąty, a i to posiada go tylko sam Wielki...

Masz ci los, teraz będzie ze mną dyskutował, mruknął pod nosem szeryf. Gisbourne na szczęście nie usłyszał. Szeryf zebrał się w sobie, mimo iż w życiu nie słyszał o Czarnym Zakonie. Ani nawet o szarym...

– Dysponujesz nieaktualnymi wiadomościami, panie hrabio – rzekł surowo, przewiercając hrabiego wzrokiem. – Stopień jedenasty jest nadawany, zaraz, niech sobie przypomnę, chyba już od roku. A teraz zastanawiają się nad dwunastym...

Spokojnie, zmitygował się, bez przesady.



– Mówił mi o tym druid, właśnie dzisiaj – dokończył. – Trzeba być na bieżąco.

Wstał. Miał już tego dosyć.

– Nieważne zresztą, te wszystkie stopnie – powiedział twardo. – Zakarbuje sobie w głupim łbie, to oszust, nie zaczaruje nawet muchy. Nie zrobi ci krzywdy. Natomiast...

Zawiesił głos, spoglądając wymownie na hrabiego. Ten wyprostował się posłusznie.

– Natomiast ja, o ile nie wyjdiesz natychmiast i nie zrobisz tego, co kazałem... O, przyjacielu, ja zrobię ci krzywdę... Zgnijesz w lochu. I wiesz co? Siedząc tam, pożałujesz jeszcze, że nie jesteś ropuchą, one dobrze czują się w lochach, zwłaszcza wilgotnych... Będziesz miał czas, dużo czasu, może sam się zmienisz.

– Do lochu, panie? – obruszył się hrabia. – Za co do lochu?

– Już ty wiesz, za co... Wykonać!

Gisbourne zniknął jak zdmuchnięty. Faktycznie, wiedział za co.

Gdy stał teraz przed szeryfem, nie było już strachu. Po szybkim i sprawnym, jak szeryf zauważył, wykonaniu zadania, zostało jedynie oburzenie.

Zamiast odprawić hrabiego, jak miał z początku zamiar, postanowił z niego zakpić. Może to poprawi trochę paskudny nastrój.

– I co, nie próbował zmienić cię w ropuchę?

Kpina nie okazała się celna.

– Owszem, odgrażał się. – Gisbourne zarechotał, już zupełnie odprężony. – Mówił, że on, mag wielkiego wtajemniczenia, siódmego stopnia... To ja mu się roześmiałem prosto w tę głupią gębę. I powiedziałem, że się jeszcze musi długo uczyć, aż dojdzie do jedenastego stopnia. Tylko że już mu niewiele czasu zostało, więc jak się zaraz nie nauczy, to nic z tego...

Gisbourne zadumał się.

– I wiecie co, panie? – rzekł po chwili. – To ciekawe. Bo on przecież już i tak wiedział, o co chodzi. Wiedział, że po nim, jak tylko oparzelisko zobaczył. Ale mimo strachu, co mu gębę wykręcał, zdziwił się okrutnie, i

mamrotał coś, że dziesiąty stopień jest najwyższy. Tak, kutas to był, nie magik, nie wiedzieć takich rzeczy... Widać też był nie na bieżąco. Potem to już łatwo poszło. Bo i chłopaki zobaczyli, że nic nie może zrobić.

– Nie może? – Szeryf zmrużył oczy. – A przekupić nie próbował?

Gisbourne zamilkł na moment, strzelając dokoła oczyma.

– Pró... bował – zająknął się. – Ale co tam, my nie głupi. Wór złota obiecywał, tyle że dopiero w mieście. Na takich warunkach nie szło się dogadać. A potem jeszcze...

Szeryf milczał wyczekująco.

– Potem jeszcze – ciągnął hrabia – maść cudowną chciał nam dać. Taką, co od miecza chroni. Że niby kto się nią wysmaruje, to żelazo się go nie ima, dla rycerza iście bezcenna rzecz...

– I co, nie skusiliście się? – spytał szeryf. Nigdy nie wierzył hrabiemu do końca. Zastanawiał się teraz, czy rzeczywiście nie skusił się na czarodziejską maść, zawsze miał słabość do takich dziwaczych, oszukańczych zazwyczaj wynalazków. Patrzył badawczo na hrabiego. Ten znów się roześmiał. Chyba mówi prawdę, pomyślał szeryf.

– My nie tacy głupi – zapewnił Gisbourne. – Najpierw trzeba wypróbować, może chce uczciwych ludzi oszukać. Wysmarowaliśmy go ową maścią i zaraz jeden pchnął go mieczem. I wyobraźcie sobie, panie, na wylot przeszedł!

Szeryf parsknął. Hrabia spoglądał z oburzeniem.

– Tak, panie, oszust to był! – powtórzył. – Oszust i skurwysyn!

Skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Szeryfowi śmiech zamarł na ustach. Pomasaował żołądek, w którym znowu odezwał się ból.

\*\*\*

Ostatnio robił się wygodny. Skonstatował to z niechęcią. Czyżby już starość? Kiedyś na wojennych wyprawach wystarczała skóra czy rozłożona na ziemi burka. Teraz kazał wozić za sobą zydle, stół na krzyżakach, prostą pryczę. Miał dosyć spania na gołej, czy też nawet przykrytej czymś ziemi. Tak, chyba już był na to za stary.

Szeryf rozglądał się po namiocie, jakby po raz pierwszy widział ustawione w nim sprzęty. A przecież... już od początku tej nieszczęsnej wojny kazał je wlec za sobą, gdziekolwiek by się ruszył. Gdy tylko zachodziło prawdopodobieństwo noclegu gdzieś w polu czy w lesie. Uśmiechnął się melancholijnie. Przypomniawszy sobie, jak zbrojni komentowali te nawyki, naturalnie wtedy, gdy wydawało im się, że nie słyszy, czego zresztą nie miał im wcale za złe. Było to wystarczająco kłopotliwe, zwłaszcza że co znaczniejsi wśród pocztu szybko zaczęli go naśladować, nie zachowując wszakże należnego umiaru. Nieraz złościł się, widząc górę betów, jakie kazał wlec za sobą chociażby Gisbourne. Jednak nie mógł zabronić. Przecież sam dał przykład, i to chyba zły, jak teraz dochodził do wniosku. Ale jemu też się coś należy...

Tak, to była długa wojna. Za długa.

Od dawna przestał nazywać ją buntem, jak do tej pory mówili okoliczni wielmoże. Dla niego to była wojna, długa, ciężka. I prawie przegrana.

Teraz wreszcie koniec. Zwycięstwo. Wyczekiwane, okupione wielkimi stratami. Bezsennymi nocami i dniami wypełnionymi trudem i szarpaniną. Zwycięstwo absolutne, zwieńczone pojmaniem przeciwnika i doszczętnym rozbiciem jego sił.

Dlaczego więc nie czuje satysfakcji czy choćby zadowolenia? Tylko zmęczenie.

Wyludnione wioski. Setki zabitych, po obu stronach. Pusty skarbiec. Mnóstwo czasu minie, zanim ze spalonych wsi zaczną spływać daniny. Wiele osad nigdy już się nie zaludni, pola zarosną lasem, mech pokryje wypalone zręby chat. Niektóre pola nie zarosną, jeszcze bardzo długo, ale i nie będą rodzić.

Lęk i nienawiść. Sąsiedzi patrzący na siebie spode łba, w zależności od tego, kto kiedy opowiedział się po jakiej stronie. Nienawiść, która przetrwa, która kiedyś może wybuchnie znowu, gdy ożyją zapomniane winy i krzywdy. Ci, którym kiedyś spalono domostwa, palą teraz chaty tych, którzy ich zrujnowali, albo i tych, którzy siedzieli cicho, nie wadząc nikomu, i starali się pilnować swego nosa.

Zawistni sąsiedzi, patrzący z uwagą i słabo ukrywaną zachłannością na spustoszone hrabstwo. To nie oni urosli, nie oni stali się silni. To ja

jestem słaby. I jeszcze długo będę. Szeryf zacisnął pięści.

Dziwna wojna. Wojna, w której ani razu sam nie skrzyżował ostrza z wrogiem, nie poprowadził wojska do ataku. Przeciwnik nie stosował się do żadnych reguł, aż doczekał się tego samego wobec siebie. Do zwycięstwa prowadziła nie otwarta walka, ale wzajemne wyniszczanie. Głównym celem stali się nie walczący, lecz ci, którzy dawali im oparcie. Wojna, w której rzadko widywało się wroga. Dlatego skuteczna. Pewnie coraz częściej tak będzie.

Szeryf wstał z zydła, rozciągnął się na pryczy. Żołądek dolegał coraz bardziej. By zapomnieć o bólu, wrócił do niewesołych rozmyślań.

Pomyślał o człowieku, który gdzieś niedaleko leży, na swoje szczęście nieprzytomny. Pomimo iż ranny i niezdolny do ruchu, ma na rękach i nogach rzemieńne więzy. Od dziś przez dzień i noc pilnować go będą zbrojni. Był przeciwnikiem w tej długiej wojnie, którą przegrał.

Tak, właśnie przegrał, pomyślał szeryf. Bo nie mogę powiedzieć, że go pokonałem. Może jestem zwycięzcą, ale nie udało mi się go pokonać.

Dziwna wojna. O jej wyniku zadecydowała umowa, wyjątkowo paskudna, ale skuteczna, za którą trzeba będzie płacić. Ciekawe, czy wszyscy zapłacą, tak, jak się umówili? I kto najwięcej?

Szeryf bardzo wczesnie nabrał szacunku dla przeciwnika. Najpierw był to niechętny podziw, który potem przeobraził się w coś więcej. Oczywiście, zawsze czuł nienawiść i wrogość do kogoś, kto otwarcie zapowiadał, że go zniszczy, ale o nim nigdy nie potrafił wyrażać się pogardliwie. Z początku było to zresztą co najmniej niestosowne, trudno nazywać głupim kmiotem kogoś, kto właśnie wyciął w pień cały oddział.

Tak, Match nie był głupim kmiotem. Na pewno był nieprzeciętny.

Teraz trzeba wypełnić swoją część umowy. Zapłacić za zdradę. Nie będzie można przyglądać się z satysfakcją, uważając się w duchu za lepszego. Bo umówiona zapłata jest równie wstrętna.

Trzeba go złamać. Nie ukarać, nie zabić, nawet nie zgnoić po prostu w lochu, lecz złamać, uczynić posłusznym narzędziem, pozbawić woli. Zachować przy życiu, aż narzędzie stanie się potrzebne.

Gdy po raz pierwszy szeryf to usłyszał, roześmiał się jedynie, po prostu nie mieściło mu się to w głowie. Dumny wódz banitów. Przecież

on będzie wolał umrzeć.

Nic bardziej błędnego. Wszystko jest kwestią odpowiedniej obróbki. Najpierw odebrać wolność. Potem szacunek dla samego siebie. Zostawić tylko niepewność. I dużo czasu na myślenie. A jeżeli nie... to na każdego znajdzie się haczyk. Na Matcha też.

Marion. Zwariowana dziewczyna, szlachcianka, która najpierw była kochanką Robina z Locksley. Swymi postępkami zasłużyła na szafot. Żeby daleko nie szukać, za udział w rebelii chociażby. Dziewczyna, która jak wieść niesie, była dla Matcha wszystkim.

Szeryf pokręcił głową. Ta sama wieść niosła, że Match stał się dla niej niczym. Tak, wojna czy nie wojna, wieści daleko się rozchodzą.

Marion, której opat najchętniej ułożyłby zgrabny stosik pod nogami i sam, z wielką radością, przytknął do niego pochodnię. Za konszachty z poganami, za udział w podejrzanych obrzędach, za wróżby, jakie zdarzało się jej wypowiadać. Za to, że była kobietą.

Marion mogła być kluczem. Gdy nie poskutkuje nic innego...

Szeryf usiadł na pośłaniu. Kurwa, na co mi przyszło, pomyślał. Pomacał skóry w poszukiwaniu bukłaka z winem. Gdzieś tam powinien być, pamiętał, jak rzucił go na pośłanie. Wreszcie znalazł.

Trunek miał smak żółci. To przez rzyganie, pomyślał, na pewno przez rzyganie. Cisnął bukłak na ziemię. Wino rozlewało się na zdeptanej, suchej trawie.

Trzeba się zbierać, zaraz, z samego rana. Nie roztkliwiać się... nad nim? Nad sobą? Jak ci za gorąco, to spieprzaj z kuchni!

Trzeba wydać rozkazy. Nie, nie hrabiemu. On go zbyt nienawidzi, zbyt się boi. Zaraz... ten stary sierżant się nada. Łebski chłop, będzie wiedział, o co chodzi. Tak, jak Match tylko trochę wydobreje, to zaraz go do lochu. Na dziedzińcu trzeba szubienicę remontować, żeby miał zajęcie, miał na co popatrzeć przez kratki. I zobaczymy... Pewnie zmięknie.

Zwłaszcza że na pewno się domyśla, kto wbił mu ten nóż w plecy. Wie przecież, jak ostatnio traktowali go chłopci, kto donosił, kto kopał wilcze doły...

Szeryf splunął na ziemię. Tak, Match, to ci sami, których chciałeś bronić. Przemyśl to sobie. Zresztą, na pewno już przemyślałeś... Niewiele

ci mogę zaoferować. Prawdę mówiąc, nie masz żadnego wyboru. Ale jeżeli chcesz zemsty, to mogę ci ją ułatwić.

Jeszcze ta dziewczyna. Na razie niech zostanie tam, gdzie jest, u druidów, w jakimś tajemniczym leśnym schronieniu. Szeryf uśmiechnął się złośliwie. To w tej chwili ich problem. Pomysł z klasztorem nie był najlepszy. Szkoda dziewczyny, nawet takiej wariatki...

Trzeba spać. Z samego rana ruszamy z powrotem. Szeryf zdmuchnął kaganek.

Długo leżał, walcząc w ciemności z atakującymi go myślami. Wmawiał sobie, że to zimno nie daje zasnąć.

\*\*\*

– Zostawcie go tam, pod ścianą. Nie, nie tutaj, za blisko! Jeszcze za blisko...

Strażnicy szarpnęli Matcha, stawiając go w miejscu wskazanym przez szeryfa. Poddał się posłusznie, nie sprzeciwiając żadnym gestem czy słowem. Nieobecny wzrok miał skierowany gdzieś w przestrzeń.

Szeryf spojrzał mu prosto w twarz. Po chwili, nie widząc żadnej reakcji, powrócił do przerwane go monologu.

– A więc, Gisbourne, po całym zamieszaniu spowodowanym przez naszego nowego sługę, pozostała nam do załatwienia jeszcze jedna rzecz... – Zawiesił głos, zerkając na hrabiego. Ten nie odpowiedział.

– Jeszcze jedna rzecz! – powtórzył szeryf z naciskiem. Tym razem także nie doczekał się odpowiedzi. Gisbourne począł z nagłym zainteresowaniem wpatrywać się w nadjedzony przez mole gobelin na ścianie za plecami szeryfa, przedstawiający tłuste nimfy nad brzegiem ruczaju.

– Gisbourne, do diabła! – zirytował się szeryf. – Po pierwsze, patrz na mnie, gdy do ciebie mówię. Po drugie, nie udawaj idioty, doskonale wiesz, o co mi chodzi!

– O co, panie? – zapytał teraz już wystraszony hrabia.

– O baronów! – wykrzyknął szeryf rozzłoszczony.

– A, o baronów, oczywiście, baronowie! Tak, ta sprawa dojrzała już do

rozwiązania!

Szeryf przez chwilę parsknął gniewnie, rzucając hrabiemu nieprzyjazne spojrzenia. Potem uspokoił się.

– A więc, Gisbourne, ponieważ, jak widzę, ta błaha sprawa wyleciała ci z pamięci, postaram ci się ją przypomnieć. A i nasz nieoceniony Match na tym skorzysta...

Hrabia znów stał się czujny – z takiego przypominania błahych spraw mogło diabli wiedzą co wyniknąć. Szeryf usiadł na ławie, rozparł się wygodnie. Nie spiesząc się, uniósł kufel i powoli sączył piwo. Cisza przedłużała się. Wreszcie Gisbourne nie wytrzymał.

– Panie... – zaczął.

– A, więc jednak interesuje cię ta mało istotna kwestia – ucieszył się szeryf. – No dobrze.

Odstawił kufel.

– Jak pamiętasz, mniej więcej rok temu kilku z okolicznych baronów postawiło na złego konia. Tym koniem był nasz przyjaciel Match i jego banda, którzy wtedy, przyznaję, odnosili niejaki sukcesy, przy twojej zresztą pomocy, mimowolnej, mam nadzieję...

Szeryf przerwał, patrząc na niego wymownie.

– No dobrze, mniejsza z tym – podjął. – Nie bardzo wiem, co baronowie chcieli osiągnąć. Nie sądzę, by chcieli widzieć Matcha na moim miejscu, a jego bandę na twoim. Prędzej chodziło o to, żeby popsuć mi opinię na dworze i zastąpić kimś ze swoich zaufanych. W każdym razie zaczęli rozsyłać listy i petycje, opisujące moją nieudolność i domagające się powołania nowego szeryfa. Ich prawo, aczkolwiek ja tego prawa nie pochwalam. No cóż, trudno, nie ma się tu do czego przyczepić. Na szczęście okazali się niecierpliwi, chcieli trochę przyspieszyć oczekiwane zmiany. I tu posunęli się do bezpośredniego wspierania naszego przyjaciela, dawali mu żywność, pieniądze, zawiadamiali o królewskich konwojach. Jak pamiętasz, nie przeszkadzaliśmy. O swoje transporty powinien we własnym interesie bardziej się zatroszczyć sam król jegomość, na szczęście nie dla nas były one przeznaczone. Pieniądze, jak wiesz, odzyskaliśmy, a raczej przejęliśmy. Kiedy sprawa się rozniosła wśród ludu, reputację naszego przyjaciela do reszty psi zjedli – wódc banitów ma konszachty z, tfu, za przeproszeniem, baronami! Jak

mówiłem, nie przeszkadzaliśmy, ale skrzętnie gromadziliśmy wszelkie zeznania, dowody, świadków.

Szeryf spojrzął na Matcha.

– Wiesz – powiedział – jest to jeszcze jeden powód, dla którego zostałeś przy życiu. Możesz nie zechcieć mówić, ale oni o tym nie wiedzą. Zresztą wcale nie musisz. Mamy wystarczająco dużo świadków, godniejszych zaufania od ciebie, nawet jednego klechę. On akurat wprawdzie nic nie wie, ale chętnie zezna wszystko, o co go poprosimy. Nawet przysięgnie.

Przerwał i zwrócił się do Gisbourne'a.

– Teraz nadzieje panów baronów diabli wzięli. Co gorsza, mogą uwięzić ich, osądzić, skazać i niechybnie powiesić. Albo wręcz uwięzić i powiesić. Problem jest jedynie z pierwszą częścią planu. Otóż siedzą oni teraz jak myszy pod miotłą w swoich dworach i kasztelach, w mieście się nie pokazują, a i po okolicy rzadko jeżdżą. Żeby ich uwięzić, trzeba każdego po kolei najpierw oblegać. Na szczęście nie ma obaw, że się zgadają ze sobą, oni się wzajemnie bardziej nie cierpią niż każdy z osobna mnie. Ale oblężenie trwa długo, kosztuje, a poza tym jest nudne. Ja już się nie piszę na spanie w namiotach i jedzenie solonego mięsa. A ciebie samego nie poślę, oblężenie też musi mieć górną granicę kosztów.

Szeryf zwilżył piwem zaschnięte gardło i kontynuował:

– A więc oblężenie odpada, a problem pozostaje. Nie mogę przecież puścić sprawy płazem. Inaczej zaczną wspierać przeciwko mnie rozbójników z gościńca, pijanych drwali czy choćby tego skrybę, co napisał na murze "Gisbourne to kutas" – dokończył, patrząc na hrabiego złośliwie.

Gisbourne uśmiechnął się, tym razem szczerze. Nie umiał czytać, więc gównem go obchodziło, co kto nabazgra na murze. Nie był w tym odosobniony.

– Tak więc trzeba sprawę załatwić inaczej – podjął zawiedziony nieco brakiem efektu szeryf – i tu oczekuję twojej pomocy.

– Chętnie, panie, ale doprawdy nie wiem...

– A powinieneś, Gisbourne, a powinieneś. – W głosie szeryfa zadźwięczała troska. – Jeśli nie wiesz, to źle świadczy o twojej czujności.



Otóż ludzie powiadają, że baronowie chcieliby sprawę załagodzić. Ostatecznie to nic przyjemnego siedzieć we własnym dworze i nie móc na przykład pojechać na polowanie, albo i na przejażdżkę bez baronowej. Ludzie mówią, że baronowie gotowi są ponieść pewne wydatki, aby sprawa przycichła, świadków wysłać do piachu albo na wyprawę krzyżową, co na jedno wychodzi, lub też w ostateczności przekupić. Kłopot polega na tym, jak też tę sumę, której wysokości plotka nie podaje, a którą my powinniśmy sprecyzować, przekazać we właściwe ręce. Moje, oczywiście, bo któż inny dysponuje świadkami...

– Nie można przekupić królewskiego szeryfa! – zawołał Gisbourne, srodze zawiedziony.

– Oczywiście, że nie można! Ale ciebie, hrabio, można.

Gisbourne odetchnął. Do tej pory wszystko układało się pomyślnie.

– A więc, panie, jak zrozumiałem, ja mam zacząć dogadywać się z baronami. Oni wpłacą okup, który oddam waszej wielmożności, wasza wielmożność pozbędzie się świadków i w ten sposób zakończy się ta kłopotliwa sprawa! – wykrzyknął radośnie. Wszystko w porządku. Baronowie będą hojni, każdy byłby w ich sytuacji. A należność za przekonanie szeryfa do takiego rozwiązania nie będzie mała.

– Ależ dobrze rozumiałeś, mój zacny hrabio, dobrze – zakrzyknął wesoło szeryf. – W lot wszystko pojmujesz!

Tu głos mu stwardniał.

– Z dwiema poprawkami, Gisbourne. Po pierwsze, to ty załatwisz świadków. W jaki sposób, to twoja sprawa. Ja polecam ci do pomocy naszego przyjaciela Matcha. Po drugie, oddasz całą sumę, którą dostaniesz od baronów.

Hrabia zamarł.

– J... jak to? – wyjąkał.

– Gisbourne, nie udawaj idioty! – powiedział słodkim głosem szeryf. – Ty już dogadałeś się z baronami. Wprost wyprzedzasz moje życzenia. I jeszcze jedno. Nasz przyjaciel Match, który właśnie w tej chwili awansował, pojedzie z tobą. Wiem, będzie to dla niego przykre, bo on cię nie lubi, ale chyba okaże trochę poświęcenia.

– Ależ panie! – krzyknął Gisbourne, szczerze oburzony. – Dlaczego?

– Dlatego, przyjacielu, że ciebie naprawdę można przekupić. Po co więc ryzykować?

Tego mi, kurwa, brakowało, pomyślał ponuro Gisbourne.

– No dobrze – powiedział szeryf – to jedno mamy z głowy. Podejdź bliżej, Match.

Match posłuchał. Stał przed szeryfem, nadal patrząc w przestrzeń.

– Widzę, że twoje rany już się zagoiły. Samopoczucie też jakby lepsze.

Match uśmiechnął się ponuro.

– Owszem, zagoiły. Ale skąd ten drugi wniosek?

– Panie! – rzucił ostro szeryf.

Uśmiech Matcha zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Skąd ten wniosek, panie? – powtórzył po chwili.

– Nigdy nie zapominaj dodać "panie", jak się do mnie zwracasz. I nie odzywaj się niepytany!

– Pytałeś o samopoczucie – odpowiedział Match. – Panie – dodał po dłuższej chwili.

– To nie było pytanie, to było stwierdzenie. A wzięło się stąd, że już od trzech dni nie próbowałeś zadusić klucznika, gdy przynosił ci posiłek, a strażnik, gdy cię wprowadzał, tylko lekko kulał. Drugi natomiast był nieuszkodzony. I nie rób takiej przerwy między pytaniem a słowem "panie". I nie odzywaj się niepytany! Chryste, co ja mówię!

Szeryf opadł ciężko na ławę. Spoważniał.

– Zaczynasz mnie złościć, Match. Za wszelką cenę chcesz udowodnić, że ci nie zależy. Otóż na to jest za późno. Już zdecydowałeś.

Match milczał.

– Bez sensu, Match. Nie, nie będę cię straszył, że się rozmyślę i obwieszę cię publicznie, albo że powrócimy do błyskotliwego pomysłu naszego krwiożerczego przyjaciela. Ja ci dałem możliwość ocalenia życia, ty skwapliwie się na to zgodziłeś. Więc już to powinno cię do czegoś zobowiązywać. Miałeś przecież wolny wybór – życie dla mnie albo śmierć. A dzięki Gisbourne'owi nawet więcej możliwości – mogłeś wybierać pomiędzy toporem i szubienicą. Teraz zaś zachowujesz się, jakby tu był twój leśny szałas, śmierdząca chałupa lub zamtuz. Co

prawda pewnie nie wiesz, jak wygląda zamtuż od środka. Nie szkodzi, Gisbourne ci opowie po drodze. Nieważne. – Szeryf zmienił ton, przemawiał teraz jak do niegrzecznego dziecka. – Pamiętaj, że po dokonaniu wyboru dałem ci również nagrodę – bezpieczeństwo lady Marion. Będę szczery, Match. Jesteś groźnym człowiekiem. Ta nagroda jest po to, by nie wpadła ci przypadkiem do głowy myśl o podejrzeniu mi gardła od ucha do ucha. Bo po mojej śmierci traci ważność.

Match nie odpowiedział. W końcu nie było nic do powiedzenia. Czuł, że szeryf ma rację, co w niczym nie zmniejszało poczucia klęski i wstrętu do samego siebie.

– Widzisz, Match, i teraz dochodzimy do twojej osoby i twoich zadań. Nie, ja doprawdy nie robię tego na złość Gisbourne'owi. Po prostu nie lubię marnotrawstwa, a stanowisko sierżanta w straży jest marnowaniem twoich możliwości, miejsce kapitana jest zaś zajęte, pomijając już fakt, że nie założę sobie sam pętli na szyję, mianując cię teraz tak wysoko. Nie w tym rzecz, że ci nie ufam – ja nikomu nie ufam – ale mam wrażenie, że nie należy cię w tej chwili spuszczać z oka. Musisz najpierw udowodnić, że jesteś mój, i to zapewne nie raz. Tak więc do marchewki, którą dostałeś, jest także kij. Marchewka to lady Marion, kijem będzie twoje pierwsze zadanie.

Szeryf przerwał. Spojrzał na hrabiego, który ze znużeniem dłużył w zębach puginał.

– Gisbourne – powiedział cicho szeryf – może byś się skupił. Zdziwisz się, ale ta sprawa ciebie również dotyczy. I połóż na miejsce mój puginał!

Hrabia istotnie się zdziwił. I posłusznie odłożył puginał.

– Na czym to ja... – zastanowił się szeryf. – Aha, zadanie. Otóż mój braciszek opat, gdy dowiedział się, że nie będziemy ścigać lady Marion w jej kryjówce u druidów i szykować drewek na stos, bardzo się zdenerwował. W każdym razie nie zważając na pokrewieństwo i wspólne interesy, zaczął wykrzykiwać o gnieździe pogaństwa, zagrożeniu ze strony szatana i tak dalej, i tak dalej. Posunął się nawet do gróźb, że szepnie słówko biskupowi. O co chodzi, Gisbourne?

– Przecież wasza wielmożność kiedyś powiedział, co biskup może waszej wielmożności...

– Co do tego, co mi biskup może, to zgoda, ale niestety biskup może

także donieść królowi. I tu kończą się żarty. W każdym razie, jak powiada mój brat, co cesarskie Bogu, a co boskie... albo odwrotnie, nie pamiętam. A tak na serio, to opat pozazdrościł mi ostatnich zwycięstw. I też by pragnął odnieść sukces na polu walki z pogaństwem. Na wyprawę krzyżową nie ruszy, za daleko i za drogo, po co zresztą, kiedy pod bokiem pogan zatrzęsienie. Przez to twoje zamieszanie, Match, druidzi rozplenili się ponad miarę. Chłopstwo zaczęło znów wierzyć w tych swoich bogów – mnie na złość! Jakby mnie to cokolwiek obchodziło. Ale braciszka i jego kolegów po fachu to złości, oj, złości. Zwłaszcza że daniny zmalały. A i wśród szlachty druidzi mają coraz większe wzięcie. Poniekąd słusznie – druid wyleczy chorobę, przyszłość przepowie, wiedźma lubczyku zada, potencję wzmocni, a potem jeszcze płód spędzi. Ponoć misteria jakieś ostatnio odprawiają na tej swojej kupie kamieni. A z opata jaki pożytek? A poza tym te ceny! Wiesz, Gisbourne, ile ostatnio kosztuje klątwa z ambony? W każdym razie, powiadam, bratu potrzebny jest sukces. Tylko pojawia się mały problem. Sukces mamy załatwić my, brat będzie zbierał profity. Bo tak naprawdę, to opat druidów się boi. I słusznie. Sam możesz coś powiedzieć na ten temat, Gisbourne.

Hrabia wyraźnie zbladł.

– Jak to było z tym lasem bez wyjścia, Gisbourne? Łaziłeś po nim trzy dni i trzy noce, wyjąc z cicha. Głośno wyć się bałeś. Na początku myślałem, że to z pijaństwa, ale trzy dni to niemożliwe, zazwyczaj szybciej trzeźwiejesz. A, i jeszcze ci obiecali, że sierścią porośniesz!

Gisbourne'a wyraźnie to nie bawiło. Był czegoś nieswój. Zastanawiał się, co przykrego wyniknie z tej przemowy.

– Zapominasz, panie, że pojechałem tam, wypełniając twoje rozkazy – powiedział urażonym tonem. – To w twojej służbie spotkały mnie takie...

– Ja ci nie rozkazywałem wsadzać łap dziewczicy pod kieckę – przerwał szeryf. – W dodatku nie zwykłej dziewczicy, lecz czemuś tam poświęconej... Tak, z pogańskimi bogami nie ma żartów. Swoją drogą to ciekawe, pogańscy bogowie mściwi i okrutni, a druidzi łagodni do obrzydliwości, natomiast z moim braciszkiem i jego Bogiem odwrotnie... Zawsze się zastanawiałem, dlaczego chrześcijański Bóg nie broni swoich sług tak jak tamci, w ropuchę nie przemieni, piorunem nie porazi albo przynajmniej kołtuna nie ześle. Zapewne wychodzi z założenia, że sami sobie poradzą. Do rzeczy. Aby zadowolić opata, trzeba przetrzepać skórę poganom. Ty

to zrobisz, Match. Pojedziesz do jakiejś wsi, sam ją sobie wybierzesz, taką, której nie lubisz. Nie kręć tak głową, przecież wiem, że zależy ci nieźle za skórę, tylko nie chcesz się przyznać. Na początek zetniesz święty dąb. Chryste, przestań kręcić tym łbem, w każdej wiosce mają teraz jakiś święty dąb. Jak nie będziesz wiedział, który, to zetnij byle jaki, co za różnica... Potem przejedziesz się po chłopach, bo prawdopodobnie będą protestować, i to czynnie. Druidzi nie powinni przeciw wam wystąpić, nawet jeżeli jacyś przypadkiem tam będą. Przynajmniej nie fizycznie. Jeżeli jakiś żołnierz oparszywieje, to tylko zwiększy kosztorys, nie szkodzi. A ciebie nie ruszą. Co najśmieszniejsze, mojemu braciszкови ta cała awantura nie wyjdzie na zdrowie. No cóż, sam tego chce. Ty, Gisbourne, pojedziesz jako mój oficjalny przedstawiciel. Ktoś w końcu musi odczytać przy wtórze bębna te wszystkie bzdury, które naskrobał na pergaminie opat. A raczej skryba pod jego dyktando. Ja w każdym razie nie zamierzam wychodzić na idiotę.

Szeryf stropił się.

– Prawda, nie umiesz przecież... – Roześmiał się. – No, cóż, nauczysz się na pamięć. Nie martw się, hrabio – powiedział wesoło. – Może nie obrośniesz sierścią. A jeśli nawet, to przecież cyrulik też musi z czegoś żyć...

\*\*\*

Kopyta stukały po bruku. Tak, po bruku, gdyż Nottingham mogło się pochwalić jedną brukowaną ulicą, wiodącą od rynku aż do głównej bramy podgrodzia. Uliczka miała nawet rynsztoki, co było znaczącą innowacją. Koński mocz, nieczystości wylwane z nocników przez niefrasobliwych mieszczan, zdechłe szczury i koty spływały gładko do fosy, zamiast stać w niewysychających, wciąż zasilanych ludzką i zwierzęcą aktywnością, błotnistych, cuchnących kałużach. Tylko fosa śmierdziała coraz bardziej.

Match szczerze nie znosił miasta. Całe życie spędził w lasach, na polach, bez tego wszechobecnego smrodu. Bez gwaru, który nawet w zwykły, nie targowy dzień natrętnie wwierał się w uszy. Brakowało mu szerokiej perspektywy, zasłanianej przez budynki. W kniei, w gąszczu

leśnym mógł zawsze swobodnie oddychać. Teraz miał wrażenie, że się dusi.

Nottingham, prócz zwykłych miejskich dolegliwości, było mu obmierzłe z jeszcze jednego powodu. Zawsze było symbolem zniewolenia, siedzibą przeciwnika, środkiem pajęczyny, skąd wrogi pająk snuł swe sieci. Trudno się dziwić, Match jak dotąd z całego miasta poznał najlepiej lochy. Spaczyło to zasadniczo jego spojrzenie, trzeba bowiem przyznać, mimo wszystko, że nie było to najlepsze lokum w Nottingham. Chociaż zdarzały gorsze, jak mawiali bywalcy jednej z okolicznych oberży.

Pobyty w lochach trwał wystarczająco długo. Na tyle, by Match mógł poznać wszystkie współmieszkające szczury tak, by rozpoznawał je po pyszczkach i przyzwyczajeniach. Były jego jedynymi towarzyszami, jako niebezpieczny przestępca dostąpił zaszczytu przebywania w pojedynczej celi, by nie wywierać złego wpływu na innych, pospolitych złodziei, koniokradów, morderców i tym podobnych.

Wtrącono go do lochu natychmiast, jak tylko trochę wygoiły się rany. Szeryf nie chciał, mając wobec niego rozliczne plany, aby zmarł od zakażenia czy niewygód. Uwięził Matcha, aby go zmiękczyć i przetrzymać w nieświadomości co do dalszych losów. Match siedział więc w małym loszku. Nad głową widział przykrywany klapą otwór w środku sklepienia – jedyne wyjście – ale był on zbyt wysoko, aby go dosięgnąć. Dlatego Matcha nawet nie przykuto do ściany, mimo iż wmurowane w nią żelazne klamry służyły właśnie do tego celu. Z małego, zakratowanego okienka, jeżeli podskoczyć i dobrze wczepić się paznokciami w kamienne obmurowanie, roztaczał się piękny widok na wewnętrzny zamkowy dziedziniec za stojącym rusztowaniem z szubienicą. Pejzaż można było podziwiać do woli, dopóki nie omdlały zaciśnięte na kamieniach palce.

Match nie korzystał często z dobrodziejstw świeżego powietrza, gdyż pełniący straż na wewnętrznym dziedzińcu mieli niemiły zwyczaj odlewania się właśnie pod tą ścianą. Stołp zamkowy był w planie kolisty, dlatego nie zawsze dało się w porę dostrzec zbliżającego się za potrzebą.

Na szczęście nie pamiętał dużo z okresu, gdy dochodził do zdrowia w dobrze pilnowanej izbie czeladnej. Osłabienie spowodowało, że przesypiał większość dnia. Toteż gdy tylko uznano, że pobyt w uważanych za niezbyt zdrowe pomieszczeniach pod stołpem nie

powinien go zabić, i przeniesiono go tam, nie odczuł specjalnej różnicy.

Jednak wszystko ciągnęło się zbyt długo. Oczekiwanie, przerywane jedynie spuszczeniem na sznurze dzbana z wodą i wrzucaniem twardych jak kamień, spleśniałych kawałków chleba, raz dziennie oczywiście, żeby więźniowi w głowie się nie przewróciło, robiło swoje. Strażnik dokładał od siebie, ile tylko mógł. Gdy dopisywał mu dobry humor, a zdarzało się to często, gdyż był człowiekiem wyjątkowo zadowolonym z życia, opowiadał z lubością i szczegółowo, jak kat szykuje swoje narzędzia.

W takich warunkach, w mroku i wilgoci, na przegniłej słomie, niedługo opierała się silna przecież osobowość Matcha. Mimo iż nie wierzył ponawianym wciąż obiecankom strażnika, że to już jutro z samego rana ma spotkanie z katem, to jednak na każdy dźwięk przepitego, radosnego głosu kulił się na śmierdzącej słomie, zatykając uszy, co zresztą tylko pobudzało strażnika do dalszych pogwarek. Gdy po długim, nie wiedzieć nawet jak bardzo, gdyż stracił rachubę, czasie spuszczone przez otwór w sklepieniu drabinę i dwóch pacholków wywlokło go na zewnątrz, był już innym człowiekiem, jakkolwiek trywialnie mogło to zabrzmieć.

Szeryf bacznie obserwował zachowanie więźnia. Nie przedobrzył, nie przetrzymał Matcha w zamknięciu tak długo, by zdążył osłabnąć, zubożeć na wszystko. Uwolnił go wtedy, gdy ten wciąż chciał żyć, wyrwać się stamtąd.

Szeryf wybrał odpowiedni moment. Osiągnął to, co zamierzał. Mimo obrzydzenia do samego siebie Match pogodził się z losem, jaki mu szykowano. Mało tego, nabrał przekonania, że nie można było inaczej, co nie znaczyło, że odczuwał mniejszy wstręt do własnej słabości i do siebie.

Teraz, gdy zmierzali brukowaną uliczką w kierunku bramy miejskiej, Match miał wrażenie, że wszyscy mijani ludzie gapią się tylko na niego. W ich wzroku widział potępienie i pogardę dla herszta banitów, który, by ocalić swój marny żywot, przyłączył się do wroga. Co gorsza, nie przeszedł jako sojusznik, równorzędny partner – takie wypadki przecież zdarzały się często, nawet wśród szlachty i baronów – lecz poszedł mu służyć.

Kolejny przechodzień uskokzył przed kopytami pod ścianę, zmierzył jadących wzrokiem wypranym z wszelkiego szacunku. Match był

przekonany, że przekleństwa mamrotane pod nosem ciskane są na jego głowę, i tylko strach powstrzymuje klnącego od pogardliwego splunięcia. Zmusił się, aby nie odwracać wzroku, nie uciec spojrzeniem w bok.

Niepotrzebnie. Banici nigdy nie mieli w Nottingham zbyt wielu zwolenników. Blokada była dotkliwa, mieszkańcy miasta ucierpieli od niej bezpośrednio. Poza tym zawsze żyli blisko władzy, większości nigdy nie przeszło nawet przez myśl naruszanie, a co dopiero obalanie istniejącego od wieków, niewzruszonego, uświęconego porządku. Nie to co chłopci, zwłaszcza puszczańscy osadnicy, dla których pan był daleko, i znali tylko poborcę – uosobienie zła, odbierającego im część ciężko wypracowanych plonów.

Chłopi nie znali bliżej swego zwierzchnika, nie widywali go na co dzień, imponującego, tak odległego i wyniosłego. Spotykali tylko karbowych i poborców, w których niewiele było z pańskiej wyniosłości, zresztą ci, jak to często bywało, z widłami w brzuchu szybko tracili jej najmniejsze ślady. Wieśniacy może i nie potrafili liczyć, rozumieli jednak, że wielmożów jest znacznie mniej od nich. Stąd chłopskie bunty nie były niczym nadzwyczajnym.

Co innego w miastach. Złe spojrzenie uskakującego pod mur człowieka nie miało nic wspólnego z Matchem osobiście, ani też z żadnym z jadących środkiem uliczki zbrojnych, brutalnie roztrącających tłum. Człowiek kłął bezosobowo, jak kłąby gołębia, który napaskudził mu na czapkę. I jedno, i drugie było w miastach nieuniknione, panosząca się na ulicach straż i obsrywające ludzi gołębie. Na jedno i drugie nic nie można było poradzić.

Match czuł się jednak jak pod pręgierzem, smagany spojrzeniami, z których każde zdawało się rzucać mu w twarz przekleństwa i epitety.

Zdrajca... Tchórz... Morderca...

Zajęci swymi sprawami ludzie wcale nie rozpoznawali jego twarzy. Ot, jeszcze jeden z tych darmozjadów, utrzymywany z podatków tylko po to, by rozjeżdżać się konno środkiem ulicy i bałamucić dziewczki. A po służbie uchlać się w karczmie i wszczynać rozróbę.

Przez całą drogę do bramy Match jechał sztywno, wysoko unosząc głowę. Nie miał nawet nadziei, że kiedyś mu to wszystko spowszednieje.

Gisbourne zauważył jego nienaturalne zachowanie. Podjechał bliżej.



– Jak ci się podoba po drugiej stronie? – spytał złośliwie. – Nie wstydz się, pomyśl, ci wszyscy całe życie marzyli, żeby dochrapać się tych barw, które tak palą ci grzbiet. Zazdroszczą ci szczęścia, tak prosto z lasu do pańskiej straży. Oni długo na to pracowali...

Nie doczekał się reakcji. Match nawet nie zerknął w jego stronę, wyprostował się tylko jeszcze bardziej w kulbace. Hrabia był zły, nie podobało mu się polecenie szeryfa. Postanowił wziąć odwet, jedyny, jaki mógł.

– Tak, długo pracowali. – Zaśmiał się. – A ty... Popatrz, wystarczyło pęknąć... I już, wikt odpowiedni, żołąd wypłaca, nawet izba własna, jak na, tfu, oficera przystało. Tylko służyć wiernie trzeba, o nic nie pytać. Rąbać mieczem, kogo wskażą, nieważne, chłop czy mieszczanin, krewny może, czy też taki, którego się przedtem w obronę przed dzisiejszym panem brało...

Match aż do bólu zacisnął trzymające wodze pięści. Hrabia z satysfakcją dostrzegł zbielałe kostki. Wpadł w nastrój filozoficzny.

– Wiesz, Match, wreszcie mogę ci tak mówić, teraz chyba się nie obrazisz... Wiesz, ja bym nie był tak łaskawy. Kazałbym cię po prostu obwiesić. Może przedtem dałbym katu, żeby ci trochę drogę na tamten świat umilił, nie z mściwości, broń Boże, ale ku uciechu gawiedzi. W końcu muszą mieć jakieś moralne, budujące rozrywki, nie tylko chłanie po karczmach. Kazałbym cię szybko wykończyć, szybko, mimo że z ciebie taki sukinsyn.

Brak reakcji rozzłościł hrabiego. Podjechał znów do Matcha.

– Powiedz, dlaczego nazwali cię Wieprzem? Dlaczego tak plugawo, bez szacunku? Czyżbyś już wcześniej go utracił? Już dawniej miałeś zadatki na sukinsyna? Powiedz, co takiego zrobiłeś, no powiedz, nie wstydz się! Nie powinienes mieć sekretów przed zwierzchnością...

Match wreszcie spojrzał na hrabiego. To wystarczyło, by ten od razu zrezygnował z dalszych pytań, poniechał docinków. Dotarło do niego, że jeszcze jedno słowo, a Match wybierze łatwiejsze rozwiązanie – rozwali mu łeb na miejscu, nie bacząc na konsekwencje, kto wie, może ich oczekując. Nie mógł mieć złudzeń, pozostali zbrojni bacznie go obserwowali, wypełniając zresztą polecenia szeryfa. Na każdy nieprzemyślany gest mieli rozkaz od razu reagować, nawet zabić, gdyby

spostreegli, że Match chce choćby spróbować wymknąć się spod kontroli.

A ja jeszcze podsuwam mu takie pomysły, zbeształ sam siebie Gisbourne. Wstrzymał konia, powlókł się dalej na końcu.

Wreszcie podkowy zadudniły na balach mostu. Zostawili za sobą miejskie mury, wyjechali na pastwiska, poprzecinane niskimi kamiennymi murkami. Match odetchnął. Szerokie pola przypominały wprawdzie boleśnie utraconą wolność, lecz po kilku miesiącach miał szczerze dosyć zaduchu miasta. Oddychał pełną piersią.

Do południa mury zostały daleko w tyle. Trakt z poprzedzielanych kamiennymi murkami pastwisk wszedł pomiędzy pola obsiane jęczmieniem. Oznaczało to, iż wioska, będąca ich celem, jest już niedaleko. Hrabia przywołał do siebie dowódcę, cichym głosem udzielał mu instrukcji. Match zauważył, iż zbrojny popatruje co rusz na niego, widać polecenia dotyczyły jego osoby. Istotnie, żołnierz po wysłuchaniu hrabiego wskazał go dwóm ze swych ludzi, którzy przynaglili konie i zajęli miejsca po obu stronach. Starannie unikali jego wzroku. Dowódca zajął miejsce za nimi.

Hrabia sam wybrał wioskę, nie usłuchał polecenia szeryfa, by to Match wybrał taką, której nie lubi. Trafił zresztą nad podziw dobrze, leżąca na samym skraju puszczy osada była jedną z pierwszych, której mieszkańcy poczuli się znużeni troską banitów i spostreegli, że pomoc dla chłopców z lasu jest co najmniej tak samo uciążliwa jak dziesięcina płacona panu.

Wioska, do której jechali, z racji swego położenia niedaleko miasta bardzo szybko odczuła ciężar leśnej opieki. Często odwiedzały ją karne ekspedycje, wójtowie zmieniali się co miesiąc. Wkrótce nie było chętnych do pełnienia tej zaszczytnej funkcji, skoro zawsze kończyła się pod pręgierzem. Niektórzy wprawdzie twierdzili, iż pręgierz jest lepszy od metod stosowanych przez banitów, gdy ci uznawali, że zaopatrzenie dla ich oddziałów jest niewystarczające. Rzeczywiście, szeryf zachowywał umiar w karaniu winnych.

Nieprzypadkowo z tej właśnie osady pochodził pierwszy zdrajca, ten, którego informacje zwabiły Matcha w pułapkę, zakończoną pojedyńkiem z panem de Folville.

Życzeniu szeryfa stało się zadość. Match nie miał powodów, by czuć

sympatię do mieszkańców tej wioski.

Wjeżdżali w opłotki. Posłano ich dla wzbudzenia postrachu, przeto konni zaczęli się zabawiać rozbijaniem pozatykanych na płotach glinianych garnków. Nikt nie bronił im tej, niewinnej na razie, zabawy, która wkrótce miała się przerodzić w coś nieporównanie gorszego. Mieszkańcy w popłochu schodzili im z drogi, kryjąc się po chałupach i opłotkach, tylko dzieci przyglądały się z rozdziawionymi, umorusanymi gębami.

Wjechali na majdan, zatrzymali się w niewyrównanym szeregu. Przy cembrowanej kamieniami studni z wysokim żurawiem stał już błąd, trzęsący się ze strachu wójt. Nie czekał na nieuniknione wywlekanie z chałupy, wolał sam przyjść, choć nie spodziewał się niczego dobrego. Wywlekanie zawsze było bolesne, chciał oszczędzić sobie chociaż wstępnego bicia, bo wyśmienie wiedział, że zasadnicze i tak go nie minie. Długoletnie doświadczenie wskazywało, że nieważne, kto wjeżdża do wioski, kmieć i tak dostanie po łbie.

Gisbourne rozejrzał się niezadowolony. Wieśniacy pochowali się. To, co miał zrobić, wymagało jak najliczniejszych widzów.

Już chciał posłać wójta, by nakazał wszystkim mieszkańcom stawić się na miejscu, ale ostatecznie wysłał żołnierzy, dla wzbudzenia większego postrachu.

Zbrojni dwójkami rozbiegli się po chałupach. Rozpoczęła się zwykła, przeplatana lamentami kobiet i kopniakami w pętające się pod nogami kury gonitwa. Wkrótce majdan zaczął wypełniać się wyciąganymi z chałup, popędzanymi szturchańcami wieśniaków.

Match przyglądał się temu, nie ruszając się z miejsca. Spostrzegł to hrabia.

– A ty co, na wycieczkę przyjechałeś? – krzyknął głośno. – Z konia i do roboty, co ty sobie wyobrażasz!

Match dalej stał nieruchomo. Patrzył na wszystko pustym wzrokiem. Na twarzy miał ceglaste wypieki.

– No, jazda! – W głosie hrabiego brzmiał urągliwy gniew. – Pora zapracować na swoje utrzymanie, zarobić na żołąd, odwdziaczyć się za pańską łaskę!

Match powoli, z ociąganiem zsiadł z konia. Ruszył naprzód jak ślepiec. Na znak hrabiego podążyli za nim dwaj wyznaczeni zbrojni, niosąc obnażone miecze. Ciekawe, czy będą musieli ich użyć, pomyślał Gisbourne. Czy będzie próbował zerwać się z łańcucha? To miała być próba. Ryzykowna nieco, jak uważał hrabia.

Match zaczął dostrzegać szczegóły otoczenia, zobaczył leżącą zakrwawioną kobietę, którą zbrojny pchnął tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o belki chałupy. Zbrojny zniecierpliwiał się, kiedy broniła dostępu do izby, w której leżał mąż, ponoć zraniony przez buchtującego pola dzika. Rzeczywiście, chłopina wywleczony i rzucony przed chałupę nie mógł się podnieść o własnych siłach. Z sinej, opuchniętej nogi unosił się odór zgorzeli. Umrze, ocenił Match beznamiętnie, jakby obserwował to wszystko z daleka. Za późno już, by odjąć nogę, sine pręgi sięgały biodra, co mógł zobaczyć przez porozrywaną koszulę.

Idący z nim zbrojni zgodnie zarechotali, widząc niezdarne, wolne ruchy usiłującego powstać, ledwie przytomnego od gorączki chłopca.

– Śmierdzi jak z wychodka – zauważył jeden z żołnierzy, wciąż śmiejąc się. – Eh, zasrana robota...

Bez złości kopnął czepiającą się jego nóg zakrwawioną kobietę. Niezbyt mocno, tylko tak, by się od niej uwolnić. Kobieta skuliła się z zawrotem głowy, przypadła do męża, który tymczasem znieruchomiał. Stracił w końcu przytomność.

Match nie wytrzymał, pchnął żołnierza w pierś z rozmachem, nie bacząc na obnażony miecz. Zamierzył się do ciosu. Żołnierz uniósł broń, już się nie śmiał.

– Nie próbujcie, nawet nie próbujcie – wycodził ze złością. – Obejrzyjcie się lepiej.

Match opuścił rękę, spojrzął za siebie. Dostrzegł dowódcę straży, stojącego opodal z napiętą kuszą.

– Za późno, przyjacielu – dodał zbrojny z ironią. – Teraz już musisz tak jak my. To my jesteśmy teraz twoi przyjaciele...

Match bez słowa odwrócił się, schylił nad rannym, usiłując unieść przelewające się przez ręce ciało. Z trudem hamował wzbierające mdłości. Nie wiedział, czy to od smrodu gnijącego ciała, czy może z obrzydzenia do samego siebie. Nie wiedział, co zrobi, gdy już podniesie

umierającego chłopca.

Poczuł nagły ból w policzkach. To zszokowana kobieta, źle oceniając jego intencje, wpiła mu dłonie w twarz, od tyłu. Puścił bezwładne ciało, chwycił za nadgarstki, starając się nie pozwolić, by paznokciami sięgnęła oczu. Słyszał i nieledwie czuł uderzenia, jakimi obaj zbrojni okładali kobietę. Mimo to wciąż nie puszczała, dopiero gdy ścisnął jej przeguby tak, że o mało nie pękły, poczuł, jak palce się rozluźniają. Żołnierze odciągnęli ją do tyłu, poderwali do góry, trzymając za ramiona. Próbowwała jeszcze kopać. Trzeci, przyglądający się dotąd z dala, doskoczył, z rozmachem uderzył w brzuch. Zwiśla bezwładnie w ich ramionach.

Match szarpnął bijącego za ramię, odrzucił w tył. Żołnierz zatoczył się z wyrazem zdziwienia na twarzy. Oczekiwał raczej podziękowań.

Nie oglądając się na niego, Match stanął przed zbrojnymi trzymającymi bezwładną kobietę. Z wysiłkiem uniosła głowę, popatrzyła mu prosto w oczy. Splunęła. Po twarzy pociekła gęsta, zmieszana z krwią ślina. Match skulił się jak trafiony pięścią.

Zbrojni zaśmiali się znów. Puścili kobietę, która opadła na kolana i już tak została. Jeden kopnął ją w nasadę kręgosłupa, tuż nad kością ogonową. Padła bez jęku.

– Sami widzicie, jakie ścierwo – powiedział ten bardziej wygadany. – Tak, ona już wie, że wy z nami powinniście trzymać. Tylko wy sami jeszcze nie wiecie. A może jednak już wiecie?

Wytarł w ubranie zakrwawione ręce.

– No, nie ma się co dąsać – dodał, widząc wyraz twarzy Matcha – Już za późno, jedynie my wam zostaliśmy. A jeśli niemiła nasza kompania, to się lepiej przyzwyczajcie. Inaczej sami zostanieie, zupełnie sami...

Spojrzał na nieprzytomnego, leżącego w kurzu chłopca, na kobietę, zwiniętą z bólu, wstrząsaną spazmami.

– Eh, trzeba zostawić to ścierwo, niech tu gnije – zdecydował. – I tak by na nogach nie ustał, na cholerę go wlec. Za bardzo śmierdzi.

Rozejrzał się.

– Trzeba wracać, już nie ma kogo łapać. Idziemy. Nie stójcie tak, wytrzyjcie lepiej gębę, jeszcze kto pomyśli, żeście ranni.

Match ruszył przed siebie, starając się nie dostrzegać sinych od płaczu dzieci, które przypadły do leżącej wciąż na ziemi matki. Machinalnie ocierał twarz rękawem.

Gisbourne powiódł wzrokiem po mieszkańcach wioski zbitych w ciasną gromadę, otoczoną zbrojnymi. Wysunął się do przodu, wyprostował w siodle. Teraz najtrudniejsze. Odchrząknął.

Wyjął z zanadrza zwinięty w rulon pergamin. Złamawszy woskową pieczęć, rozplątał wstęgę opasującą rulon, rozwinął arkusz. Jeszcze raz spojrzął po zgromadzonych.

– W imię... – zaczął. Zaschło mu naraz w gardle.

Odkaslnął, spróbował znów.

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

No, jakoś poszło, oby tak dalej.

– Władzę od Boga daną tu sprawując w imieniu Kościoła jedyne, matki naszej...

Recytował, wlepiając wzrok w pokrytą niezrozumiałymi znakami kartę. Wraz ze skrybą poświęcili wiele czasu na przygotowanie tej przemowy. Skryba narzekał wprawdzie na niewyraźne pismo braciszka, który pisał orędzie opata, lecz ze szczerego serca przykładał się do nauczania hrabiego całości na pamięć. Motywację miał silną, gdyż hrabia każdą swą pomyłkę kwitował, waląc skrybę z niezadowoleniem skórzaną rękawicą w policzek, sprawiedliwie, to w jeden, to w drugi. Co gorsza, rękawica była długa, z mankietem i bez trudu sięgała uszu, które pod koniec nauki przypominały dorodne kalafiory. Gisbourne był pojętym uczniem, lecz wciąż pamiętał o napisie na murze, którego treść zacytował szeryf.

– ...doszło do wiadomości naszej, że oddają się obrzędowi plugawym, Bogu i Kościołowi niemiłym i wrogim. Bałwanom fałszywym się kłaniają, miast jedynemu Bogu należną cześć oddawać i daniny na potrzeby sług jego płacić przykładnie. Przeto nim Bóg w surowości swej ich ukarze, postanawiamy, co następuje...

Gisbourne przerwał. Spostrzegł wreszcie poruszenie. Kmiotkowie najwyraźniej byli zainteresowani, co postanowił sam Bóg i Kościół święty w osobie opata. Zazwyczaj z takich postanowień nie wynikało dla

nich nic dobrego. Wiedzieli z doświadczenia.

– Po pierwsze, *primo*, dwudziesta część plonów przez trzy lata na potrzeby opactwa przekazana będzie. Miłe Bogu jest bowiem, gdy zamiast na plugastwa i zabobonu szerzenie owoc trudu tych, co zbłądzili, na potrzeby sług Bożych obrócony będzie. Potrzeby te wielkie bowiem są, jak wszystkim winno być wiadomo – dodał hrabia od siebie. Zawsze warto dodać budującą sentencję.

– Po drugie, *primo* – Gisbourne miał trudności ze spamiętaniem łacińskich liczebników, uważał jednak, że ich opuszczenie obniży znacząco powagę wygłaszanych słów. – Bałwochwalców wydać należy, aby ciężką pokutą uratowali swe dusze nieśmiertelne, szatanowi niechybnie na łup wydane. Niech kara z ręki małodobrego mistrza oczyści ich z grzechu przez wyznanie win i wyrażenie szczerego żalu.

Z tym mogą być problemy, pomyślał. A co tam, wybierze się paru na chybił trafił, co za różnica. I tak wszyscy mają równo przerażane.

– Po trzecie, *primo* – szczęśliwie zbliżał się do końca. – Po trzecie, jak mówiłem, narzędzia i miejsca odprawiania obrzędów wszetecznych zniszczyć i wypalić ogniem należy, aby Boga nie obrażały i do plugastwa zachętą nie były. To wszystko, znaczy się, amen.

Chłopi zbili się w gromadę, zerkając na boki. Żaden nie miał ochoty być tym, który dostanie szansę zmycia swych grzechów i stawienia się w stanie oczyszczonym przed Bogiem.

– Hej, Match – krzyknął hrabia, wyraźnie zadowolony z udanego występu. – Wybierz dziesięciu, tych tam, bałwochwalców.

Match nie drgnął nawet. Gisbourne zreflektował się.

– Poczekaj, wystarczy pięciu, nie przesadzajmy. To nie jest taka duża wioska, pięciu wystarczy. No co jest, ruszaj! – zniecierpliwił się, że Match zwleka z wykonaniem rozkazu. – Potem jeszcze trzeba zrąbać ten święty dąb, bo innych narzędzi szatana to pewnie nie znajdziemy. Cholera zresztą wie, jak wyglądają, i tak nie wiadomo, czego szukać.

– To powiedzcie, hrabio, którzy to ci bałwochwalczy – Match wreszcie odzyskał głos. – Jak dotąd nikogo nie wydali.

– I nie wydadzą, nie martw się. – Hrabiego ogarniała coraz większa złość. – Wybierz, kogo chcesz, z lewej, z prawej, ze środka, wszystko

jedno! No, rusz się wreszcie, bo każę jak psa oćwiczyć!

Match zgrzytnął zębami tak, że hrabia na ten odgłos aż się skrzywił.

– Słuchaj, rusz się, bo jak nie, to każę zabrać dwudziestu – Gisbourne wpadł wreszcie na właściwy pomysł. – Sznurów na wozach dużo, wystarczy do wiązania. Może faktycznie ta wieś jest mocno przesiąknięta złem, bardziej, niż myślałem...

Wolno, krok za krokiem Match ruszył przed siebie. Hrabia skinął na zbrojnych, którzy poszli za nim z obnażoną bronią. Tym razem nie po to, by przywołać go do posłuszeństwa. Wyglądało, że już się złamał. Teraz już tylko po to, by w razie czego go osłonić.

Match nie przypominał sobie później, o czym wtedy myślał. Gdy szedł do zbitej, cuchnącej potem i strachem gromady wieśniaków, miał w głowie pustkę. Bezwiednie wysunął miecz z pochwy, niósł przed sobą w zaciśniętej kurczowo ręce. Nie wiedział, po co.

Stanął przed stłoczonymi ludźmi, którzy próbowali się cofać, rozstąpić przed nim. Nie pozwalali otaczający ich zbrojni, kłując lekko sztychami mieczy tych, których w ich stronę spychano.

Starali się odsuwać, unikając jego wzroku, starając się ukryć jeden za drugim. Spojrzenie Matcha prześlizgiwało się po pochylonych twarzach, które postrzegał jako jedną rozmazaną plamę.

Mignęła mu twarz starca okolona sztywnym, białym zarostem, wychudzona, o zapadniętych, umykających na boki oczach.

Ten już stary, niewiele życia zostało, pomyślał nieprzytomnie. Lepiej ten, niż ktoś młodszy...

Kurwa, kim jestem, żeby o tym decydować?! Kto mi dał prawo?!

Dlaczego nie, przecież lepiej ten stary niż...

Co wyście ze mną zrobili...

Nie, Match, to ty sam, powiedziało coś wyraźnie i dobitnie. To ty zdecydowałeś, wybrałeś życie, takie właśnie życie...

Nie udawaj, że nie wiedziałeś. Mogłeś przecież wybrać...

...Śmierć?

Tak, nie udawaj, że chodziło o Marion, to był tylko pretekst. Łatwy wybieg, który ci podsunęto, jak ochłap, na który rzuciłeś się łapczywie i



z wdzięcznością. Chodziło o twoje zasrane życie, nic więcej...

Wybrałeś, teraz to ty musisz zabijać. Nie wstrząśaj się, zabijałeś już nieraz...

...Nie tak.

Kurwa, co ja mam zrobić? Powiedz, kimkolwiek jesteś...

Odpowiedź pojawiła się jasna i prosta, choć w niczym niepomocna. Jestem sumieniem. Teraz musisz zabić najpierw mnie...

Dobrze więc, ten stary pójdzie pierwszy. Dosyć już się nażył.

Ręka sama, jak bez udziału woli wskazała na starca. Dwóch zbrojnych skoczyło do przodu, wywlekło go z tłumu.

Stary człowiek miał widać inne zdanie na temat długości swego życia. Szarpał się i zawodził głośno. Na próżno. Był słaby, zbrojni nie zwracali nawet uwagi na niezdarne ciosy poznaczonych starczymi plamami pięści. Wlekli go bez trudu, jak kukłę.

Sumienie zamilkło. Match potrząsnął głową w oszołomieniu. Jeszcze czterech. Powoli wodził wzrokiem po twarzach, martwiejących pod jego spojrzeniem. Coraz głębiej wchodził w rozstępujący się przed nim tłum. Ludzie, mimo braku miejsca, wpierali się w siebie, zostawiając przed idącym wolną przestrzeń. Za sobą słyszał hamowane z trudem westchnienia, świadczące o uldze tych, których właśnie minął. Mętnie pomyślał, co by było, gdyby nagle się odwrócił.

Napotkał nagle spojrzenie kogoś, kto nie opuścił głowy jak inni, nie odsuwał się, tylko patrzył prosto w oczy z nienawiścią. Jeszcze niestary człowiek, o twarzy ze szczeciniastym zarostem i wargach, które poruszały się, jakby cicho przeklinał. Albo modlił się, by Matcha spotkała gwałtowna śmierć.

Match nie ugiął się pod tym ciężkim, przepojonym żalem i nienawiścią spojrzeniem. W człowieku, który nie uląkł się go, nie uciekł jak inni, rozpoznał jednego z byłych informatorów. Niegdyś szczerze oddany, rozmawiał z Matchem wiele razy. Miał powody, by nienawidzić zbrojnych, kiedyś, przy jakiejś okazji ciężko poranili mu brata, gdy ociągał się z wydaniem schowanych worków zboża. Był to rok wielkiego niedostatku, bo wcześniej grad zniszczył zasiewy, a dzieci zimą marły z głodu. Lecz oddać musieli tyle co zwykle, a zapasów nawet na to nie

wystarczyło.

Teraz stał przed Matchem, wyizolowany nagle z tłumu, który odsunął się od niego, jak tylko zdołał. Stał i patrzył nieruchomym, ciężkim wzrokiem. Match zatrzymał się. Nie mógł się zdobyć, by wskazać tego człowieka. Nie mógł ruszyć dalej, człowiek stał nieporuszony, zagradzając mu drogę. Nie mógł się cofnąć, jakby ten oskarżający wzrok przykuł go do miejsca, sparaliżował i tak otępiałe resztki woli.

Dawny informator podjął decyzję za niego. Wyszarpnął spod zgrzebnej kapoty schowany tam nóż. Nie bacząc na trzymaną wciąż przez Matcha broń, z nieartykułowanym wrzaskiem skoczył przed siebie. Ostrze celowało prosto w oczy.

Match zareagował instynktownie. Nie zdążył unieść miecza, trzymanego ostrzem do dołu. Przedramieniem ręki, w której trzymał broń, zablokował cios, odbił dłoń z nożem do góry. Ostrze minęło twarz o cal, osłonił się w ostatniej chwili. Lewą ręką w ciężkiej, skórzanej, zbrojonej metalem rękawicy zadał cios, trafiając prosto w usta. Trysnęła krew z pękających warg, Match czuł, jak pod pięścią kruszą się zęby. Człowiek padł, nie wypuszczając noża z ręki.

Ostrzegawczy okrzyk. To któryś ze zbrojnych, tych, którzy szli za nim i zostali nieco w tyle.

Znów zadziałał instynkt. Match odwrócił się błyskawicznie, już w czasie obrotu, kątem oka dostrzegł ruch. Mieczem trzymanym już oburącz zadał cios, samym środkiem klingi, prosto pod pachę wzniesionej do uderzenia ręki. Kontynuował obrót, wykorzystując go, by pociągnąć do siebie miecz, tak jak uczył Nazir. Krew chlusnęła szerokim strumieniem na zdeptany piasek. Barczysty, zarośnięty drab padł do tyłu z ramieniem prawie całkowicie odwalonym od tułowia. Z dłoni wysunęła się krótka, okuta żelazem pałka, prawdopodobnie służąca do głuszenia bydła przed ubojem. Zarośnięty drab wyglądał na rzeźnika.

Match obrócił się. Powalony przed chwilą informator z ustami zalanyymi krwią nie stracił przytomności. Prawie udało mu się pozbierać z ziemi. Wciąż trzymał nóż, nadal jeszcze pochylony, nieporadnie usiłował rzucić się znów do ataku.

Match uderzył samym końcem miecza, w bok nabrzmiącej z wysiłku szyi. Pozornie lekki cios podrzucił informatora tak, że padł na piasek

dobrych parę kroków do tyłu. Krew z rozciętej tętnicy trysnęła szerokim wachlarzem, opryskując najbliższe stojących.

Człowiek przez chwilę drapał palcami ziemię, krew biła strumieniem w rytm uderzeń serca, wsiąkając w piasek. Niedługo trwało, nim zadygotał po raz ostatni.

Zapadła cisza. Match okręcił się wolno, sprężony, trzymając oburącz gotowy do uderzenia miecz. Wieśniacy cofnęli się dalej, choć przed chwilą wydawało się, że to niemożliwe. Nikt więcej nie zaatakował. Ciszę przerwał głos hrabiego.

– Spodobało ci się, jak widzę – skwitował zimno Gisbourne. Zbliżył się, lecz nie zanadto, spoglądał z wysokości kulbaki.

Match odszukał go wzrokiem. Postąpił krok ku niemu.

– Nie bądź nierozsądny – powiedział hrabia spokojnie. – Właśnie spaliłeś za sobą ostatnie mosty, nieodwołalnie jesteś po naszej stronie. Nie rób takiej miny, przecież widzę, że ci się podobało. Przejrzałem cię, wiesz? Powiem ci coś, czego pewnie nie chciałbyś usłyszeć – ty ich naprawdę nie lubisz...

Trzymany w pozycji do ataku miecz opadł bezwładnie. Tak, to była prawda. Nie lubił ich. To oni pierwsi zdradzili, nie on. Nic nie stało się przez to łatwiejsze.

– A teraz wybierz jeszcze czterech – dobiegł go głos hrabiego. – A, cholera, niech będzie, jeszcze dwóch. Może jestem za dobry, ale zawsze można powiedzieć, że ci dwaj to właśnie byli obmierzli bałwochwalczy, którzy wykryci rzucili się kąsać, jako to u nich we zwyczaju. Zawieziemy opatowi ścierwo, i tak na jedno wyjdzie. No, dalej, Match, wybieraj, a potem tylko zetniemy ten pieprzony dąb i do domu.

\*\*\*

Ognisko wygasło do końca. Nic nie rozjaśniało mroku na leśnej polanie tej wiosennej, bezksiężycowej nocy, nawet żar węgla, które zdążyły powlec się warstwą popiołu. Tak było lepiej, gdy twarz opowiadającego kryła się w ciemności.

– I to jest w zasadzie koniec tej historii, Jason – Match mówił prawie

szeptem, lecz słowa były doskonale słyszalne w leśnej ciszy. – To właśnie jest dno, którego wreszcie dosięgłem. Już nie tylko byłem tchórzem, zdrajcą i mordercą, który potrafił zabić towarzysza broni w imię urażonej ambicji. Daleko odszedłem od gówniarza, rojącego marzenia o śmierci jedyne go człowieka, który potraktował go po ludzku, bo sam ślinił się na widok jego kobiety.

Urwał na chwilę, zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa.

Namacał w ciemności podróźny bukłaczek. Pociągnął łyk. Po chwili kontynuował:

– Nie chodziło o tych dwóch, których zabiłem. Tak, to też było straszne, lecz nie tak bardzo... Chodziło o tych, których wybrałem. Tego pierwszego, starca, wyznaczyłem w imię jakiegoś chorego rozumowania, wyboru mniejszego zła, dwóch następnych wskazałem potem na oślepa, na chybił trafił. Nie umiałem już decydować. Mogłem jeszcze się cofnąć, odmówić, może zginąć. Ale nawet wtedy, gdy wypełniałem najbardziej haniebnym rozkaz... Nie, haniebnym nie dla tych, którzy go wydali. Ich hańba była znacznie mniejsza. Okazało się tylko, że dla haniebnego rozkazu znaleźli wykonawcę, tchórze i skurwysyna, który dokonał wyboru. Selekcji...

Po raz pierwszy, odkąd Jason go poznał, głos mu się załamał.

– Wiesz, to nie był koniec. Później musiałem patrzeć, jak ten pobożny skurwysyn zbawia ich dusze. Jak ślini się, ten stary, pierdolony zboczeniec, jebany sodomita, kiedy wyznają swe grzechy i zbrodnie. Ochoczo, byle szybciej. Niewiele im to pomogło. Ten stary skurwiel wyznawał zasadę, że zeznanie niewydobyte torturami jest nieważne, niewiarygodne. Wyobrażasz to sobie? Prawda, ty sobie nie wyobrażasz, ty to widzisz...

Jason nie widział. Nie chciał widzieć. Wystarczyła sama relacja. Nawet jej było za dużo. Ze wszystkich sił zaciskał pięści, starając się nie dopuścić do wizji. Na szczęście było ciemno, Match nie widział zamkniętych kurczowo powiek i nabiegłej krwi twarzy.

– Zdałem egzamin, Jason – ciągnął Match. – Okazałem się godnym zaufania. Posłusznie wypełniałem rozkazy, nawet te najgorsze. W imię ocalenia własnego, parszywego życia. Bo w końcu okazało się parszywe. Niewiele jest już do dodania. Szeryf okazał się bardziej ludzki ode mnie.

Nigdy już nie rozkazał czegoś podobnego. Podejrzewam zresztą, że była to inicjatywa Gisbourne'a. Szeryf by tego nie wymyślił. Był na swój sposób zbyt uczciwy i prostolinijny. Tak zaczęła się moja kariera jako jego sługi. Nie zostałem kapitanem straży. Szeryf mnie nawet chyba polubił, sam, kurwa, nie wiem dlaczego. Stałem się zaufanym, kimś w rodzaju hrabiego. Może dlatego, że byłem w końcu takim samym sukinsynem. Służyłem wiernie, ponad dziesięć lat. W tej służbie znajdowałem jakieś dziwne zadowolenie. Podejrzewam, że chroniło mnie to przed szaleństwem...

Wstał. Jason wbił wzrok w ciemność, tam, gdzie powinna znajdować się jego twarz.

– To koniec, Jason – usłyszał jeszcze. – To cała moja historia. Nie dziw się więc, że wierzę w przeznaczenie. Bo za to wszystko w końcu muszę kiedyś zapłacić. A to, co nadciąga, może okazać się odpowiednią zapłatą. Chociaż nie wiem, czy wystarczającą...

Odszedł w ciemność. Jason został przy wygasłym ognisku. Wszystko zostało powiedziane.

## - IX -

*KOZY, śmierdzący rodzaj zwierząt, w Piśmie Świętym znaczą grzesznych y potępionych, miących stać na dniu ostatnim na lewicy. Według Naturalistów uszyna y nosem oddychają, w nocy widzą iak koty, sowy, puchacze, niedoperze. Wątrobę kozią iedząc wzrok ludzki naprawuie się, owszem oddala się ślepota.*

*DRACO, toiest SMOK, to ma singulare o sobie : [...] całe staie sobą zasłonił, ieżdźca z koniem w swoim pysku pomieścić; łuska u niego była tak wielka, jak tarcze. Przy rzece Bragadus, czyli Brugada, w Afryce koło Utyki w morze wpadającej, tak wielki smok się wylągł, że Attilius Regulus z całym się woyskiem z nim potykał, pociskami, strzałami, kuszami położył bestię; skóra z niey do Rzymu posłana na stóp 120 duża.*

Ks. Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny*

*...Hej, ty tam, smoku chędożony...*

Andrzej Sapkowski, *Granica możliwości*

Zbliżał się czas decyzji. Tego dnia siedzieli na polance, nie mając żadnych specjalnych planów. Nie polowali, mięsa mieli dosyć. Jason nie chciał jednak spędzać dni w klasztorze, braciszkanie coraz bardziej działali mu na nerwy. Owszem, świadom był, jak wiele im zawdzięcza, lecz to tylko pogłębiało jego irytację.

Od kilku dni Match go unikał. Jason skazany był na wysiadanie na koślawej ławeczce, gdyż dość miał snucia się bez sensu po całej okolicy. Trochę czasu udało się zapęlić znoszeniem mchu do stodółki, w której sypiał. Siano się skończyło, jak to zwykle wiosną, zostały gołe,

przyprószone pyłem i śmieciami deski stryszku.

Na jedną noc przyjął zaproszenie do dormitorium, lecz po tym jednym razie zrezygnował. Było to mocne przeżycie, braciszku uważali przeciągi i świeże powietrze podczas spoczynku za równie niebezpieczne dla zdrowia, jak strzał z kuszy.

Jason domyślał się, dlaczego Match zniknął z klasztoru. Ostatnie rozmowy wiele go kosztowały. Jason znosił je nieźle, nawet widząc wyraźnie drastyczne często szczegóły. Lecz miał świadomość, że dla Matcha nie było to łatwe.

Denerwowało go tylko, że wciąż nie mógł dopasować tego, czego już się dowiedział, do tego, co widział w mętnych przebłyskach dotyczących przyszłości. Złościł go fatalizm Matcha, jego niezachwiane przekonanie o nieuchronności przeznaczenia. Odczuwał zniecierpliwienie i chociaż rozumiał opory Matcha, chciał usłyszeć więcej.

Dlatego gdy tylko udało mu się dopaść Matcha, namówił go na przechadzkę po lesie. Ten zgodził się bez oporów, nie poruszał jednak istotnych spraw. Był jakby nieobecny, zajęty własnymi myślami.

Jason wytrzymał do południa. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, starannie unikając zasadniczych tematów. W końcu rozmowa zaczęła się rwać, chwile ciszy przeciągały się.

To właśnie Match pierwszy przerwał milczenie.

– Słuchaj, Jason – powiedział. – Dziwi mnie, jak dobrze sobie z tym radzisz. Wysłuchałeś całej historii i nawet nie spojrzawsz na mnie krzywo. Owszem, parę razy oczy wyłaziły ci na wierzch, wzdrygałeś się i w ogóle, ale nie powiedziałeś mi jednego złego słowa.

Jason milczał, gryząc źdźbło suchej, zeszłorocznej trawy. Match podjął:

– Wiesz, że mówię ci szczerze, jak na świętej spowiedzi. – Uśmiechnął się ironicznie. – Nie muszę nawet mówić, i tak widzisz wszystko, nawet więcej ode mnie...

Usłyszał parsknięcie Jasona. Urwał.

– Daj spokój – rzekł Jason spokojnie. – Przestań wreszcie. Zgoda, powiedziałeś mi wszystko. Wszystko, co w życiu zrobiłeś. Powiedziałeś też, że wpłynie to na losy świata, że spowodowałeś być może śmiertelne

zagrożenie dla tego, co nas tu otacza...

Match usiłował przerwać. Jason podniósł niecierpliwie rękę.

– Teraz ja mówię. Zgoda, może wszystko szlag niedługo trafi, a ty jesteś tego przyczyną. Obudziłeś coś, czego wprawdzie nie możemy pojąć, ale co przyjdzie niechybnie i nas pożre. Ciebie i mnie na początku, bo przecież to my będziemy próbowali stanąć temu naprzeciw. Nie wiem tylko po co, bo i tak twierdzisz przez cały czas, że zło zwycięży, że ja sam przepowiedziałem to w swoich snach... Nie przerywaj, proszę!

Match zrezygnowany potrząsnął głową.

– Więc się nie dziw! – Jason w końcu zaczął wrzeszczeć. – Nie patrz tak na mnie, nie dziw się, że jeszcze nie zwariowałem, nie uciekłem z krzykiem, że rozmawiamy sobie, że chcę słuchać dalej. A co, mam usiąść i płakać?! Powiedzieć ci w końcu, że takiego sukinsyna jak ty nigdy nie widziałem? Na to czekasz? Co to zmieni?!

Z rozmachem walnął pięścią w ziemię. Po chwili uspokoił się.

– Match – podjął. – Zdziwisz się może, ale ja nie uważam cię za sukinsyna. W każdym razie niekoniecznie za największego, jakiego w życiu widziałem. Wierz mi, widziałem gorszych, nawet całkiem niedawno...

Bezwiednie potarł bliznę na czole. Skrzywił się.

– Ty po prostu miałeś pecha, wszystko stało się na większą skalę. Aż do zagłady świata włącznie. Ale nie nadymaj się tak, z tego, co widzę dotąd, to nie twoja zasługa. Po prostu los... Ty pewnie nazwiesz to przeznaczeniem... Dobra, niech ci będzie. Musisz pogodzić się z tym, że mimo twej wizji świata i przeznaczenia nie będę ci przytakiwał i nie powiem, jaki to jesteś przez ten los skrzywdzony. Bo o to ci chodzi, może nie?

Match wstał i odszedł bez słowa.

– Tak, a teraz się jeszcze możesz obrazić! – krzyknął za nim Jason. – Ach, pocałuj mnie...

Być może Match nie był największym sukinsynem, jakiego Jason spotkał w życiu, ale niewątpliwie okazał się sukinsynem obraźliwym i wrażliwym. Nie zatrzymał się. W końcu Jason pobiegł za nim, chwycił go za rękaw. Match wyrwał się. Jason wybiegł przed niego, zagroził mu



drogę.

– Słuchaj, przepraszam – powiedział pojednawczo. – Naprawdę przepraszam. Ale ja już taki jestem, nie lubię wielkich słów. Ja pewnie jeszcze na szafocie będę drwił, o ile oczywiście będę miał szczęście doczekać szafotu... No, przepraszam, co, może mam przed tobą paść na kolana? Match, ja chcę po prostu wiedzieć, zrozumieć...

Patrzył prosto w zaciętą twarz Matcha. Po chwili rozjaśnił ją uśmiech. Szczery, po raz pierwszy naprawdę szczery.

– Jason, ty sukinsynu. – W głosie Matcha dało się wyczuć ciepłe zdziwienie. – Zdaje mi się, że tobie to wszystko zaczyna się podobać.

Wrócili na polankę, rozciągnęli się na trawie. Patrzyli na płynące po jasnym, majowym niebie białe obłoczki. Milczeli, lecz milczenie nie leżało już pomiędzy nimi jak bariera nie do przebycia. Sukinsyny wreszcie się zrozumiały.

– Rzeczywiście, masz rację – zaczął w końcu Jason. – Tylko może nie tyle podobać, ile po prostu ciekawić. Bo jeżeli już ma być ten koniec naszego świata, wszystko ma ulec zagładzie, to skoro tak, skoro nie ma wyboru... to wiesz, ja chcę to zobaczyć z bliska.

Match nie odpowiedział. Śledził wciąż obłoczki na błękitnym niebie.

– To, co opowiadasz, i co sam mogę zobaczyć, jest niewątpliwie straszne. Ale też ciekawe. Te światy, które są za bramą, te stwory, które z nich wychodzą. Z innych miejsc, z innych czasów. Pomyśl, przecież tak już kiedyś musiało być. Te wszystkie smoki z legend...

Przerwał, zamyślił się nad czymś. Wysoko nad polaną, rozpościerając szeroko nieruchome skrzydła, kołował jastrząb. Albo myszołów. Jason nigdy nie potrafił powiedzieć, czym oba ptaki różnią się od siebie. Dla niego wyglądały tak samo. Kwilenie drapieżnika dochodziło czysto i wyraźnie.

– Te smoki – podjął po chwili Jason, niezrażony milczeniem Matcha. – Jest w nich coś romantycznego, szlachetnego. Wielkie skrzydła, złote łuski. Opowieści o pojedynkach z rycerzami. Dobry smak w końcu, ostatecznie preferują dziewice. Przedkładają je ponoć nad krowy i owieczki. Zieją ogniem, siarką...

Match roześmiał się głośno. Jason urwał, urażony.

– Zgoda, może nie ma ich już w naszym świecie – zaczął ponownie. – Ale przecież te wszystkie legendy muszą zawierać ziarno prawdy. Święty Jerzy, żeby nie szukać daleko. A są jeszcze wizerunki, opisy w księgach...

Match przestał się śmiać.

– Byłeś kiedyś w okolicach Dover? – spytał.

Jason spojrział zdziwiony. Nie widział związku.

– W okolicach Dover – powtórzył Match spokojnie. – Jeżeli jedziesz brzegiem morza, wzdłuż wysokiego, kredowego klifu, możesz natknąć się na szkielety tkwiące w kredowej skale, olbrzymie czaszki, zebra. Możesz znaleźć wypłukane przez fale zęby długie na łokieć. To lepsze niż księgi i wizerunki. Tak, Jason, smoki niewątpliwie żyły kiedyś na tym świecie. Ale nie sądzę, że były podobne do tych twoich wyobrażeń. Wątpię, aby jakikolwiek rycerz mógł je pokonać. I wierz mi, nie ma w nich nic romantycznego.

– Ale przecież choćby ich słynne skarbcze, złoto, klejnoty. Powiadają, że im smok starszy, większy, bardziej straszny, tym większego skarbcza strzeże...

– Jason, zlituj się – parsknął Match ze zniecierpliwieniem. – Co smok miałby robić ze złotem? Pójść na jarmark i kupić sobie krówkę? Albo kierdel owiec?

Jason nie wyglądał na przekonanego. Match zniecierpliwiał się jeszcze bardziej.

– Smok ma znacznie prostsze sposoby pozyskiwania pożywienia. Poza tym jest to po prostu bestia, drapieżna, śmierdząca i głupia. Powtarzam, nic w niej romantycznego. Jedyne smok, jakiego widziałem...

\*\*\*

Jedyny smok, jakiego widział Match, nie miał nawet skrzydeł, nie pilnował skarbcza i nie porywał dziewic, chyba że przypadkiem. Była to bestia drapieżna, śmierdząca i głupia.

Jechali do młyna. Dotarli właśnie wieści, że młynarz, mimo panującego w okolicy głodu, nie kwapi się do oddawania należnej mąki, nie zaniehbując za to skrzętnego odkładania worków, które pobierał od

chłopów za swe usługi. Owszem, było to jego zwyczajowe wynagrodzenie, pierwszą jednak powinnością pozostawało dostarczanie należnej daniny. Później dopiero mógł pomyśleć o swych własnych potrzebach. Szeryf postanowił przywołać go do porządku.

Droga do młyna wiła się wśród bagien, przekraczając je gdzieś tam. Podkowy dudniły po okrągłakach, z których ułożona była trasa w bardziej podmokłych miejscach.

Przejechali przez mostek nad płytką rzeczką. Match spojrzął w dół, spodziewając się ujrzeć żółty piasek pod wartką, czystą wodą. Zdziwił się. Woda płynęła mętna, nie było widać dna. Zupełnie jak po wiosennych roztopach, a przecież poziom rzeczki był niski, taki jak zwykle o tej porze. Nie padało od wielu dni.

Coś było nie tak. Match począł rozglądać się baczniej.

Gdy z za zakrętu ujrzeli polanę z młynem, za którą połyskiwało w słońcu lustro młyńskiego stawu, zatrzymali się. Coś było bardzo nie tak.

Nie słyszeli charakterystycznego skrzypienia koła. Nic dziwnego, bo cała budowla zwała się do rzeczki, tarasując stertą desek i okrągłaków prawie całe koryto. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym kopnął budynek od niechcienia. Wszystko dokoła pobielone było rozsypaną mąką. Match usłyszał skrzypienie i warkot korb. Jego dwaj zbrojni napinali kusze.

Sam sprawdził tylko, czy miecz jest we właściwym miejscu i czy podczas wyciągania jelec nie zaczepi o coś. Podniósł bez słowa dłoń, nie oglądając się, zakręcił nią w powietrzu. Nie musiał się oglądać, wiedział, że obaj zbrojni zjadą na boki traktu, przepatrując każdy swoją stronę. Sam wolno ruszył środkiem.

Na młynarza natknęli się wkrótce. Leżał na wilgotnej ziemi zacienionej ścieżki. Po spodniach opylonych mąką poznali, że to on. Z dokładniejszą identyfikacją mogły być problemy – młynarz kończył się na wysokości pasa. Match rozejrzał się. Górnej połowy nie było widać w pobliżu.

Zbrojny, który wysforował się naprzód, ściągnął brutalnie wodze i krzyknął zduszonym głosem. Match z dezaprobatą spojrzął na niego. Chłopak odwrócił się. Nie mógł wymówić słowa, trzęsącą się ręką pokazywał coś na ziemi. Match podjechał bliżej. Zobaczył odcisnięty w

wilgotnej ziemi ślad.

Ślad jakby kury, czy innego ptaka. Wyraźnie odciśnięte trzy palce, dziury po pazurach. Ślad, tak na oko, długości sążnia, albo i więcej. Zagłębiony na dobre trzy cale.

Koń parsknął, szarpnął się. Poczuli unoszący się w powietrzu kwaśny odór.

– Z koni! – zakomenderował Match cicho. – Ruszamy, tylko powoli.

Nie musiał dodawać, że ostrożnie. Sam dziwił się nieco, że jeszcze nie spał wierzchowca i nie odjechał. W przeciwną stronę.

Na twardym klepisku młyńskiego podwórka nie było śladów. Tylko plamy krwi, do których zlatywały się brzęczące muchy. Parę krwawych strzępów. Match nie przyglądał im się bliżej. Jak pamiętał, młynarz miał rodzinę, żonę, dzieci. Chyba troje.

Cisza. Tylko brzęczenie much. Nie słychać żadnych ptaków.

Posuwali się wolno, rejestrując szczegóły. Potrzaskane belki młyna, świecące świeżymi drzazgami wśród poczerniałego ze starości drewna. Zwalony płot. Wygniecione trzciny na brzegu młyńskiego stawu, woda zmacona, jakby taplała się tu niedawno wataha dzików. Olbrzymie ślady, mniej wyraźne w rozciapanej glinie. Połamane drzewa na drugim brzegu.

Match zatrzymał się. Kwaśny odór wierceł w nosie.

– Wracamy, nic tu po nas – powiedział szeptem.

Wycofywali się ostrożnie, krok za krokiem, starając się nie robić hałasu. Obaj zbrojni rzucali wzrokiem dokoła, podrywając kusze na najłżejszy szelest. Żaden nie miał co prawda złudzeń, że bełt zdoła powstrzymać coś, co zostawiło takie ślady.

Konie nie rozbiegły się na szczęście. Stały zbite w ciasną gromadkę. Zapomniałem kazać je powiązać, zganił się Match w myśli. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby uciekły.

Ruszyli cienistym traktem, rozglądając się na boki, z początku powoli, cicho, potem coraz szybciej. Gdy pomiędzy drzewami zaczęły wreszcie prześwitywać pola, z głębi puszczy dogonił ich chrapliwy ryk.

\*\*\*

Szeryf nie był zachwycony przyniesionymi wiadomościami. Nie był również nimi zaskoczony, bowiem zaraz po odjeździe Matcha zbrojni przyprowadzili roztrzęsionego chłopca, który mętnie opowiadał, jak to smok spustoszył wioskę. Chcieli wyrzucić go za bramę, obiwszy wpierw przykładnie, lecz coś w wyglądzie kmiotka powiedziało im, że jednak chyba mówi prawdę. Może obłąd w jego oczach, a może to, że po wstępnym obiciu nadal upierał się przy swej opowieści. Postanowili więc zaryzykować i doprowadzić do zwierzchności.

Gisbourne z początku nie mógł nic zrozumieć. Kmiotek na jego widok zaniemówił ze strachu, stał tylko, trzęsąc się. Zbrojni nie potrafili wiele powiedzieć.

Hrabia zniecierpliwiał się. Aby ośmielić przerażonego chłopca i skłonić go do zeznań, zdzielił go przez łeb. Pomogło. Kmieć powtórzył wszystko, dodając parę szczegółów, na tyle niecodziennych, że hrabia również podjął decyzję. I tak chłopca po przejściu wszystkich instancji postawiony został przed obliczem samego szeryfa.

Ten wysłuchał nieskładnej opowieści, przerywanej szlochami i smarkaniem, lecz kmiotek nie miał daru przekonywania. Szeryf skłaniał się raczej do rozwiązania, na które wpadli już na samym początku zbrojni. Będąc jednak człowiekiem wyrozumiałym, tylko raz dał przesłuchiwanemu po głębie i polecił wyprowadzić za bramę bez obicia. Sam udał się za zbrojnymi wlokącymi jęczącego chłopca, by osobiście dopilnować dokładnego wykonania rozkazów. W bramie natknęli się na Matcha.

Ten zeskoczył z konia, cisnął wodze pachołkowi. Podbiegł do szeryfa i niemal siłą odciągnął go na bok. Widząc jego twarz, szeryf zrezygnował z wygłoszenia uwag na temat należnego szacunku.

– Co się stało? – spytał zamiast tego niespokojnie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył upióra...

– Gorzej – odparł Match krótko. Opowiedział wszystko.

Szeryf w miarę słuchania pochmurniał coraz bardziej. Gdy Match skończył, mruknął:

– Żeby to się tylko nie rozeszło... Jeszcze tego nam trzeba, żeby zaczęli tu zjeżdżać różni błędni rycerze i inne oszołomy.

Rozejrzał się.

– Hej, wy tam! – krzyknął do zbrojnych. – Tego kmiota do lochu, żywo!

Chłop nawet nie zdążył jęknąć. Jeden zbrojny chwycił go za kudły, powłókł przez dziedziniec, drugi popędzał szturchańcami.

– Na razie tylko wsadzić! – krzyknął za nimi szeryf. – Nie bić, tylko posadzić samego! Nikt z nim nie może rozmawiać! A później obaj do mnie...

Zbrojny słuchał z rozdziawioną gębą. Gdy dotarł do niego rozkaz szeryfa, puścił kmiotka, który padł na czworaki. Zbrojny walnął go z rozmachem w kark, bez złości.

– Widzisz, wieśniaku? – powiedział łagodnie. – Ludzki pan ten nasz szeryf. Posiedzisz tylko w lochu, bić nikt nie będzie. No, ruszaj się, nuże! – Pomógł chłopu kopniakiem.

– Dobrze – szeryf zwrócił się do Matcha. – Teraz odpocznij. Tych dwóch, co z tobą byli, i tych, co zaraz tu wrócą, wyślemy... Już wiem, do pilnowania kamieniołomu. Kamienia się teraz nie dobywa, będą mogli pogadać najwyżej z borsukami. Cholera, dobrze by posłać tam hrabiego.

Niestety, byłoby to trudne. Szeryf postanowił poprzestać na wbiciu hrabiemu do głowy, że jeżeli rozgada całą sprawę i pojawi się jakiś rycerz, żądny laurów w walce ze smokiem, to sam Gisbourne posłuży za przewodnika.

– Ty weźmiesz jutro z dziesięciu ludzi i pojedziesz rozejrzeć się po tej wiosce. Ostrożnie, jeśli trzeba, to tylko z daleka. Wjedziesz tam wtedy, gdy uznasz to za bezpieczne. Spokojnie, bez paniki. Może ten bydlak też szybko zdechnie, jak poprzedni, ten wyvern, czy jak mu tam. Grunt, żeby się nie rozeszło.

Match nie podzielał optymizmu szeryfa. Wyvern faktycznie zdechł szybko, lecz pojawił się późną jesienią. A i to, zanim znaleźli go zeszywniałego po pierwszych przymrozkach, zdążył narobić szkody. Namordował bydła, zabił lub poranił kilku pastuchów. Mierzył zaś zaledwie dwie końskie długości. Ten zaś, sądząc po śladach...

\*\*\*

Wioska leżała tuż przy skraju puszczy. Nie wyglądała wcale na spustoszoną, chaty stały na swych miejscach, na pierwszy rzut oka nienaruszone. W ogródkach pod chałupami białe siermięgi chłopów, zajętych pilnie jakimiś pracami. Na pastwisku pod lasem stało spokojnie kilka kóz. Mimowolny lokator zamkowych lochów przesadzał chyba trochę.

Gdy podjechali bliżej, musieli jednak zmienić zdanie. Wioska nadal nie wyglądała na dotkniętą klęską. Wyglądała za to jakby przygotowywała się do oblężenia. Chłopi nie zajmowali się zwykłymi pracami polowymi, choć szybko obracali rydlami. Wkopywali w ziemię drewniane, zastrzone pale. Nie przerywali pracy nawet wtedy, gdy zbrojni przejeżdżali obok, gapiąc się ze zdziwieniem.

Zatrzymali się na majdanie. Match polecił napić konie, a najpierw sprowadzić wójta.

Ten okazał się zwawym, wysuszonym staruszkiem. Mamląc bezzębnymi ustami, przyglądał się z niesmakiem zbrojnym.

– Co, tylko tyłu was przysłali? – spytał niezadowolony. – Nie uradzicie wy smokowi, nie uradzicie. Przeca wiecie, że rycerza tu trzeba, prawego a cnotliwego. Bo, jak powiadają, ino cnota chrześcijańska przeciw bestii srogiej uradzi, nic innego... Jeno rycerz prawy kopię mu w kałdun wrazić może, aż się gadzina rozpuknie...

– Zamknijcie się, wójcie – przerwał Match zimno. – Powiedzcie lepiej...

– A gdy rycerz w obronie swej damy stanie przeciw gadzinie, to i opieka boska nad nim – ciągnął staruszek niezrażony. – A wy, wy... Was smoczysko ogonem po polu rozrzuci, nawet się spostrzec nie zdążycie. A jak już was wydusi, to i po nas przyjdzie, wygubi ze szczętem. Tak, rycerza tu trzeba, prawego, bez zmazy, nie was, drapichrustów...

Match chwycił go za rzadką, siwą brodę. Zadarł głowę do góry.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości, kmiecie – warknął. – Gadzina was może wygubi, ale jak nie zaczniesz gadać z sensem, to ja pierwszy łeb ci rozwalę. I to zaraz.

Puścił brodę. Wójt zatoczył się do tyłu.

– ...tak zawždy bajarze prawili... – dokończył z rozpędu.

Match spoglądał zimno.

– A i nie boję się ciebie. Stary jestem, już mi pięćdziesiąt років. Swoje przeżyłem! – oświadczył dumnie rześki staruszek. Match wstrząsnął się mimo woli. Sam dobiegał już trzydziestki.

Powoli wydusił z wójta sensowniejsze odpowiedzi. Smok pojawił się przed dwoma dniami, wczesnym wieczorem. Wychynął z lasu, śmiertelnie przestraszył pastuszka, pilnującego kóz. Wzrostem przewyższał drzewa, gdy szedł, ziemia drżała pod jego łapami. Na szczęście najpierw zajął się kozami, bystre chłopię zdołało uciec. Ze wsi widzieli smoka, jak pożerał kozy, po czym ryknął i uszedł w las, łamiąc i druzgocąc drzewa.

– Wczoraj się nie pojawił – dodał wójt.

Match pokiwał głową. Smok miał wczoraj inne zajęcia.

– Kto go widział? – spytał krótko. – I jak wyglądał.

– No, wszyscy. Ino z daleka, tam, pod samym lasem. A najlepiej to chłopak, zanim uciekł. Widział z bliska...

Staruszek wysmarkał się z namysłem.

– Jak wyglądał, powiadacie – powiedział, skrobiąc się po głowie. – Jak by to wam powiedzieć, żeby nie skłamać... Ano, jak smok...

Match zaklął.

– No, dobrze mówię przecie! – obraził się wójt. Rozejrzał się. – Dobrze mówię, kumy?

– A ino, dobrze mówicie, wójcie – potwierdzili stojący kołem kmiotkowie. – Jako ten smok wyglądał! Ogromniasty!

Match miał dosyć. Zażądał sprowadzenia pastuszka. Może choć ten będzie bardziej rozgarnięty. Czekał, obserwując kozy pasące się pod lasem. Dziwne. Nie chodziły jak to zwykle po łące, poskubując trawę. Tkwiały w miejscu, jak... przywiązane?

Przyprowadzono chłopaka. Miał może ze dwanaście lat i wyglądał na rezolutnego. Niestety, jego opowieść, choć daleko bardziej składowa, miała jednak wielkie luki. Match dowiedział się jedynie, że smok był wyższy od stodoły, miał długi ogon i wielką, najeżoną zębiskami paszczę. Kozy



połykał jednym kłapnięciem szczęk.

Trudno było się dziwić, że chłopak tylko tyle zapamiętał. Match poklepał go po policzku i kazał uciekać. Zamyślił się. Coś trzeba zrobić.

– Mówicie wójt, że wyszedł wieczorem – spytał po chwili. – Tam, pod lasem? – Wskazał na kozy.

– Ano, żebym tak zdrów był. – Wójt walnął się w zapadniętą pierś, aż zadudniło. – W sam raz tam, jak pokazujecie, panie. A słońce właśnie się już schowało...

– To dlatego kozy tam przywiązaliście. Myślicie, że gadzina nazre się, a wam da spokój...

– Tak, panie wojak – odrzekł wójt bez wahania. – Zamyśliłem, że chudobę trza poświęcić, a my za częstokołem odsieczy czekać będziemy. Aż szeryf rycerza prawego przyśle, by nas z obieży srogich wybawił, bestię kopią poraził, w imię...

– Przestańcie, dobry człowieku, z tym rycerzem. – Match skrzywił się z niesmakiem. – Na razie macie jedynie nas, i to musi wystarczyć.

Wójt pokręcił tylko głową. Miał wątpliwości. Match zresztą też.

– Powiedzcie no, panie wójt – podjął – jest tam, koło tej łąki jakieś miejsce, gdzie można się ukryć? Byle nie w lesie. Trzeba się będzie bliżej przyjrzeć.

Wójt nadal kręcił głową, zastanawiając się zapewne, jak człowiek może być tak głupi. Wyszło mu, że jednak może.

– Ano popatrzcie, panie – odparł po chwili, wciąż patrząc na Matcha z niedowierzaniem. – Widzicie te krzaczki? Tam kotlinka jest, niegłęboka, ale dobrze zarośnięta. Ze dwóch się zmieści...

Match podjął decyzję.

– Dobrze – powiedział spokojnie. – Przed zmierzchem zaprowadzicie mnie do tej kotlinki.

– No, skoro tak każecie. – Wójt skrzywił bezzębne usta. – Jak chcecie, to zaprowadzę. Ino nie przed zmierzchem, ale teraz. I tylko kawałek, dalej sami traficie.

Odwrócił się.

– Przed zmierzchem, to se sami chodźta na smoki... – rzucił przez

ramię.

\*\*\*

Przed wieczorem, gdy leżeli już w kotlince, pomysł zaczął się wydawać nieco gorszy niż za dnia, a nawet zupełnie chybiony. Match, nachmurzony, zastanawiał się, co u licha skłoniło go do podjęcia takiego ryzyka. Szeryf przecież polecił przyjrzeć się tylko. Nie precyzował, z jakiej odległości.

Kotlinka była znacznie mniej oddalona od kóz i lasu, niż wyglądało to z wioski. Za to osada zdawała się być o wiele dalej. Match oceniał ponuro, ile też czasu może zająć dobiegnięcie do zbawczego częstokołu. Za każdym razem wychodziło mu, że za dużo.

Staruszek wójt przesadził też srodze, opisując rozmiary kotlinki. Biorąc pod uwagę, że na dnie stała woda, we dwóch ledwo się w niej pomieścili. Cztery napięte kusze, załadowane przystosowanymi do przebijania zbroi bełtami, tylko zawadzały.

Billy, kusznik, którego Match wyznaczył na swego towarzysza, wydawał się jeszcze mniej szczęśliwy, o ile to oczywiście możliwe. Match wybrał go ze względu na nieprzeciętne umiejętności w posługiwaniu się kuszą, celne oko, z którego zbrojny był zawsze tak dumny. Teraz, patrząc na niego, Match przypuszczał, że następnym razem nie trafi we wrota stodoły z dwudziestu kroków.

Na szczęście wójt nie mylił się w jednym – kotlinka rzeczywiście była zarośnięta i dawała niezłe schronienie. Również komarom, które w wodzie stojącej na jej dnie znajdowały znakomite warunki do rozmnażania.

Słońce zniknęło już za drzewami. Przywiązane do palików kozy pomekiwały niespokojnie, jakby przeczuwając los, który je czeka. Match miał podobne odczucia. Starał się nie zwracać uwagi na brzęczące wokół, siadające na wszystkich odsłoniętych częściach ciała komary. Nie tylko na odsłoniętych. Jeden właśnie ukłuł boleśnie przez sukieny rękaw. Match patrzył z obrzydzeniem, jak wczepiony w sukno owad staje się coraz grubszy.

Billy wiercił się niespokojnie, szeleszcząc zaroślami. Z kłaśnięciem zabił komara na czole, rozmazując krew. Match kopnął go ze złością w kostkę. Kuszniak ucichł.

Kozy też ucichły, robiło się coraz ciemniej. Może potwór dziś nie przyjdzie, pomyślał Match z nadzieją, może wczoraj nażarł się do syta. We młynie musiały być jakieś bydłeta, świnię, kozy... Może mu wystarczyło, łącznie z młynarzową rodzinką.

Zdrętwiał cały, poruszył się więc ostrożnie, usiłując, jak dalece to możliwe, zmienić pozycję. Obracając się na bok, popatrzył na lśniąca na dnie kotlinki wodę. Gdy zastanawiał się, ile jeszcze komarów się w niej może wylęgnać, spostrzegł nagle, że dzieje się coś dziwnego.

Lśniąca powierzchnia rytmicznie marszczyła się w drobne fale. Zupełnie jak powierzchnia wina w kubku na stole, gdy ktoś w ten stół uderzy pięścią. Wtedy poczuł też drgania ziemi. Ostrożnie wychylił się z zarośli, kątem oka dostrzegając jasną plamę bladej twarzy Billy'ego i jego szeroko otwarte, śmiertelnie przerażone oczy. Poszedł za jego wzrokiem.

Nad lasem, ostro zarysowana na tle jasnego jeszcze nieba, widniała ohydna głowa. Szczęki rozwarły się, ukazując szeregi zakrzywionych zębów. Smok wzniosł głowę i zaryczał. Match odskoczył w tył, pociągając kusznika za sobą. Zielsko zaszeleściło głośno. Niemożliwe, by ów dźwięk przedarł się przez słyszalny wciąż chrapliwy ryk, ale Match aż się skulił.

Wpadli obaj na samo dno kotlinki. Zgniła zielona woda plusnęła wysoko. Match otarł z twarzy lepka ciecz, zgarnął z rzęs larwy komarów. Wygramolił się z kałuży, padł płasko na pochyłe zbocze. Billy nadal leżał w błocie.

Ryk ucichł. Ziemia znów trzęsa się w takt kroków potwora. Drgania stawały się coraz silniejsze, smok zbliżał się. Jeszcze chwila i doszły do nich odgłosy łamanych gałęzi.

Match wolno rozchylił zielsko przed twarzą i wyjrzał na zewnątrz. Smok stał na skraju lasu, rozglądając się uważnie.

Nie przypominał żadnego smoka wymalowanego na tarczach rycerskich czy niezliczonych reprodukcjach przedstawiających wiekopomny bój świętego Jerzego. Nie pasował do wizerunków podawanych przez minstrelów w balladach. Nawet ludowe bajania, piosenki dziadów proszalnych nigdy nie mówiły o podobnej bestii.

Matchowi przemknęło przez myśl, że mimo wszystko opis podany przez kmiotków okazał się, jak dotąd, najbardziej precyzyjny. Zgadzało się – smok był ogromniasty.

Nie miał błoniastych, wyrastających z barków skrzydeł, które, jak wiadomo, stanowiły najczęściej opiewaną cechę typowych smoków. Nie miał złotej łuski, nie miał nawet zielonej ani szarej. Skórę pokrywały rogowe guzy i narośla.

Stał na tylnych, potężnych nogach, które przywodziły na myśl grube, powęźlone pnie dorodnych dębów. Przednie łapy, malutkie, jakby skarłowaciałe, ledwo dorównywały ramionom dorosłego mężczyzny. Tułów spoczywał poziomo na tylnych nogach; długi, ciężki ogon był sztywno wyprężony, nie dotykał ziemi. Stanowił przeciwwagę dla wielkiej głowy, wyposażonej w długie szczęki, najeżone ostrymi zębami. Potwór nie miał rogów, wielkich oślich uszu ani innych podobnych ozdób. Nie były zresztą potrzebne, bez tego był wystarczająco odrażający.

Brak skrzydeł, łuski, płomieni buchających z paszczy oraz inne niedostatki w porównaniu z kanonicznym wizerunkiem bestii smok rekompensował rozmiarami. Na rycinie, którą Match kiedyś oglądał, święty Jerzy miał wręcz wymarzone warunki do walki. Jego smok posiadał wprawdzie wszelkie niezbędne atrybuty, wyglądał na srogą i wredną bestię, lecz wzrostem nie przewyższał normalnego konia. Święty i cnotliwy rycerz mógł wygodnie siec go mieczem, nie unosząc się nawet w strzemionach.

Potwór, który wyszedł właśnie z lasu, miał długość mniej więcej sześciu koni. Gdy tak stał, rozglądając się i wciągając ze świstem powietrze, Match oceniał, że w kłębie wyższy jest od trzech. Sam łeb był rozmiaru jednego.

Mimo przerażenia Match rejestrował wszystkie szczegóły. Tylne łapy, z trzema palcami zakończonymi pazurami, przywodziły na myśl raczej olbrzymiego ptaka, nie gada.

Smok opuścił niżej łeb, począł kołysać nim na boki. Wolno ruszył w stronę kóz, szarpiących się rozpaczliwie, usiłujących zerwać krępujące je postronki. Już nie pomekiwały, walczyły w ciszy, słychać było tylko szamotanie i tupot racic. Smok kroczył powoli, z jakimś dziwnym wdziękiem i lekkością, niepasującą do tak potężnego cielska. Nadal kiwał

głową na boki, ruchem przypominającym ogromnego węża. Nie zanedbywał przy tym węszenia i rozglądania się co jakiś czas. Gdy zatrzymywał się, unosił głowę wyżej, lecz długi ogon ani razu nie dotknął ziemi, balansując w powietrzu.

W kotlinie zaszeleściło zielsko, Match instynktownie szarpnął się w bok. Serce waliło mu jak oszalałe. Zanim zorientował się, że Billy wreszcie przemógł strach i wyczołgał się z błota na dnie, Match zdążył poczuć krople potu spływające po czole. Kusznik spojrział tylko raz, po czym wtulił twarz w trawę, wczepiając kurczowo palce w krawędź dołu.

Przeraźliwe beczenie rozdarło powietrze. Match spojrział i zauważył, jak smok unosi jedną z kóz w górę. Chwycił ją bardzo delikatnie, tak że nie złamał jej kręgosłupa ani nie rozdarł gardła. Gdy podnosił łeb, koza wciąż żyła, szamocząc się w uchwycie zębów. Smok trzymał ją chwilę, nie zwracając uwagi na szarpanie się ofiary ani na wyrwany z ziemi kołek, wciąż uwiązany do koziej szyi, który zwisał mu teraz pod żuchwą. Wreszcie, jakby znudzony, zwarł szczęki. Rozległo się głośnie chrupnięcie, po smoczej paszczy spłynęła krew.

Match poczuł mdłości. Zmusił się jednak do patrzenia. Szczęki potwora nie były przystosowane do żucia pokarmu. Sądząc z zębów, nadawały się raczej do cięcia mięsa i kości.

Potwór gwałtownie podrzucił głowę do góry, szeroko otwierając paszczę. Krwawa masa, która przed chwilą jeszcze była kozą, nieproporcjonalnie mała w stosunku do olbrzymiego łba, wpadła prosto w gardziel. Match zauważył, jak potwór przełyka niewielki dla niego kąsek.

Właśnie, niewielki. Match zastanawiał się, czy pięć, nie, teraz już tylko cztery kozy wystarczą potworowi do zaspokojenia głodu. Raczej tak, jak psu mucha. Dobrze, żeżre te kozy, i co potem? Wyraźnie widać, że węch ma dobry. Wprawdzie wiatr wiał w ich kierunku, ale po drobnej przekąsce bestia może chcieć sprawdzić, czy w okolicy nie ma nic więcej do zjedzenia. Gdy podejdzie bliżej, nie będą mieli szans na ukrycie się. Trzeba uciekać.

Smok nie wyglądał na powolnego i ociężałego. Poruszał się z gracją, ruchy głowy miały szybkość węża. Do wsi nie dobiegną.

Pozostawał las, być może on sprawi monstrualnemu potworowi

więcej trudności. Będzie musiał przedzierać się, łamiąc drzewa, co uciekającemu człowiekowi da pewną przewagę.

Smok chwycił drugą kożę. Tym razem nie zrobił tego delikatnie. Zwarł szczęki z całą siłą i po prostu odgryzł zwierzę od podłoża. Na ziemię upadły cztery nogi, odcięte niewiele ponad racicami. Powtórzył się rytuał podrzucania i przetykania.

Kurwa, trzeba spieprzać, póki jeszcze mu trochę zostało, pomyślał Match. Spojrzał na Billy'ego. Kusznik leżał wciąż z twarzą ukrytą w trawie, wczepiony w grunt. Ramiona drgały mu spazmatycznie.

– Billy! – syknął Match.

Kusznik nie reagował. Nie uniósł głowy, nie rozluźnił szponiastego uchwytu palców.

– Billy, uciekamy! – Znów żadnej reakcji.

Match zaklął, cicho i plugawo. Smok kończył trzecią kożę. Billy zaczął pojękiwać.

Trzeba nim potrząsnąć, pomyślał Match, wtedy może oprzytomnieje. Byle tylko nie narobił hałasu. Kurwa, przecież go nie zostawię bydlakowi na kolację. Żeby tylko był cicho...

Delikatnie położył rękę na ramieniu kusznika, zacisnął palce...

Billy wrzasnął. Wrzasnął tak, że Matchowi zadzwoniło w uszach. Smok otworzył paszczę, na ziemię upadła połówka kozy. Spojrzał, Matchowi wydawało się, że prosto na niego. Wrażenie to spotęgował fakt, że oczy bestii nie były umieszczone po bokach głowy, jak u jaszczurki, lecz osadzone blisko siebie, i mogły spoglądać w tym samym kierunku.

Smok zniżył łeb, rozwarł szczęki. Zasyczał donośnie, po czym ruszył, powoli, skradając się na ugiętych nogach.

Match zaklął, tym razem na głos, lecz jeszcze bardziej plugawo. Szarpnięciem za kark poderwał kusznika z ziemi. Zobaczył nieprzytomny wzrok.

Trzasnął dłonią na odlew. Trochę pomogło, w oczach Billy'ego błysnęło zrozumienie.

– Do lasu! – krzyknął, nie zawracając już sobie głowy szeptem. – Spieprzamy do lasu!

Smok szedł wciąż wolno, rozglądając się. Pozostało mu jeszcze ze sto kroków. Match dał nura w błoto na dnie kotlinki, starając się w zapadającym mroku wymacać którąś z czterech kusz, jakie zabrali ze sobą. Udało się, od razu trafił na pokryte śliskim szlamem łoże. Chwycił mocno broń, wychylił się. Znów wypluł z siebie przekleństwa.

Kusznik nadal klęczał na skraju kotlinki, w pozycji takiej, w jakiej go zostawił. Match, klnąc wciąż i plując szlamem, trzepnął go z rozmachem w plecy.

– Kurwa, człowieku, rusz się, bo nas obu zeżre! – ryknął pełnym głosem – Spierdalaj w las!

Billy zerwał się na równe nogi. Zamarł na chwilę, po czym rzucił się na ziemię, kryjąc głowę w ramionach.

Stracił rozum ze strachu, pomyślał z rezygnacją Match. Wyprostował się, stanął na wprost zbliżającej się bestii. Uciekaj, durniu, tłuły się w głowie oszalałe myśli, ratuj się sam.

Zamiast tego przesunął dłonią po łożu trzymanej kurczowo kuszy. Namacał bełt, przytrzymywany małą, sprężystą blaszką. Dobrze, nie spadł, kiedy wyszarpywał broń z błota.

Smok był już nie dalej niż pięćdziesiąt kroków. Szedł powoli, kołyszając łbem, jakby pewien, że zdobycz mu nie ujdzie. Grzmiące kroki słysząc było coraz wyraźniej, ziemia pod nogami drżała coraz silniej. Match wolno uniósł kuszę.

Kusza załadowana była ciężkim, specjalnym bełtem, używanym do przebijania zbroi. Także jej naciąg był silniejszy niż standardowej kuszy. Taki bełt, wystrzelony z niej na pięćdziesiąt kroków, przebijał na wylot konia. Wzdłuż.

Match wycelował w pierś potwora, nieco poniżej pochylonej głowy. Nacisnął spust, broń kopnęła potężnie, bełt ze świstem poszybował do celu. Po chwili dało się usłyszeć wyraźnie, jak uderzył. I to wszystko.

Smok nawet nie zwolnił. Nie było po nim wcale widać, że został trafiony. Match cisnął broń, sprężył się do skoku. Nie mając już wielkiej nadziei, kopnął Billy'ego w biodro.

Nieoczekiwanie kusznik zareagował. Zerwał się do biegu. W złą stronę. Wrzeszcząc głośno, pobiegł w kierunku wsi, przez rozległą,

równą łąkę. Smok zwinnie skręcił, przyspieszył. Billy miał nad nim pięćdziesiąt kroków przewagi.

Potwór dogonił go w mgnieniu oka. Match, stojący wciąż jak skamieniały na krawędzi kotlinki chciał przymknąć oczy, by nie widzieć tego, co za chwilę nastąpi. Nie mógł.

Smok nie schwytał kusznika w potężne szczęki. Zamiast tego wyrzucił wielki łeb do przodu, tuż nad ziemią i uderzył uciekającego w plecy. Kusznik, poderwany ciosem w powietrze, poleciał bezwładnie, padł z hałasem na trawę. Smok zatrzymał się. Trącił nosem leżącego nieruchomo człowieka.

Z daleka ten ruch wyglądał lekko i delikatnie, lecz leżąca postać poturlała się po ziemi jak uderzona maczugą. Znow legła nieruchomo. Smok uniósł łeb, zakołysał nim.

Match był pewien, że Billy nie żyje, lecz po chwili dostrzegł, że nieruchome ciało porusza się. Wolno, z wysiłkiem kusznik uniósł się na rękach. Głowa zwisała mu między ramionami, lecz jakoś zdołał dźwignąć się na kolana, począł wstawać zgięty niezdarnie. Zrobił kilka chwiejnych kroków, znow opadł na czworaki. Zastygł w tej pozycji.

Smok zrobił niespieszny krok. Pochylił łeb, znow delikatnie szturchnął nosem. Kusznik potoczył się po ziemi, znieruchomiał z szeroko rozrzuconymi ramionami.

Ten skurwysyn bawi się nim, zorientował się Match. Jak jakiś wielki, pieprzony kot pieprzoną myszą. Rzucił okiem w stronę lasu. Jakies sto kroków. Kurwa, może się uda.

Krzyknął głośno. Raz, drugi. Smok sprężył się, płynnie obrócił całe ciało. Match wrzasnął jeszcze raz, zamachał rękoma.

Potwór ugiął nogi, ryknął donośnie. Podążał, z początku niespiesznie. Teraz! Match poderwał się...

Chciał ruszyć biegiem. Noga osunęła się na krawędzi kotliny, poczuł ból w wykręconej kostce. Padł z rozmachem na ziemię.

Uratował go Billy. Gdy bestia przyspieszyła, udało mu się podnieść na nogi. Smok zauważył kątem poruszenie. Zawrócił.

Match usłyszał krótki, przeraźliwy wrzask. Zaraz potem dał się słyszeć ohydny chrupot miażdżonych kości. Match podniósł głowę,



wypluwając piasek. Zobaczył, jak smok wyrzuca głowę do góry, potrząsa nią, pozwalając, by bezkształtna, krwawa masa spadała coraz głębiej do gardzieli. Match opuścił głowę, zacisnął pięści. Prawa dłoń znieruchomiła na czymś znajomym. Kusza Billy'ego. Napięta, załadowana.

To, co zrobił, było szaleństwem. Poderwał się, nie zważając na ból w nadwerężonej kostce. Ruszył naprzeciw bestii. Krzyczał. Nie pamiętał co, przekleństwa czy prośby do opatrzości. Szedł z uniesioną bronią.

Smok uporał się z Billym. Spojrzał na drobną, hałaśliwą istotkę idącą mu naprzeciw. Zawahał się. Znów opuścił głowę, kołysząc nią na boki, jakby niezdecydowany. Otworzył szeroko paszczę i zasyczał.

Trzydzieści kroków. Match poderwał broń, celując w gardziel potwora. Nie wiedział, na co właściwie liczy.

Nacisnął spust. W ostatniej chwili, jakby spłoszony szczękiem cięciwy, smok szarpnął głowę. Bełt wbił się prawie do połowy tuż nad rzędem zębisk w górnej szczęce. Potwór ryknął, wyprostował się. Przez moment próbował sięgnąć karłowatymi przednimi łapkami, bez rezultatu. Opuścił łeb, tarł nim o ziemię, zupełnie jak pies, kiedy powącha coś paskudnego. Piach i trawa wylatywały w powietrze.

Match odzyskał świadomość. Cisnął kuszę, zerwał się do biegu. Kostka bolała coraz bardziej. Modlił się, by go nie zawiodła, nim dobiegnie do zbawczych drzew.

Usłyszał za sobą grzmiące kroki. Spróbował przyspieszyć, choć tuż przedtem myślał, że to zupełnie niemożliwe. Nie tracił czasu na oglądanie się za siebie.

Kilkanaście kroków od pierwszych zarośli instynktownie rzucił się w bok. Kątem oka dostrzegł olbrzymi łeb, który przemknął tuż obok niego. Match toczył się wciąż po ziemi, gdy ujrzał ogromną stopę, wpartą w grunt zaledwie o cale od jego głowy. Przetoczył się jeszcze kawałek, poderwał, z zamiarem wykonania ostatniego skoku w zarośla. Gdy się zrywał, poczuł silny cios w plecy. Smok zawracał, potężny ogon trafił go samym końcem, wycisnął oddech z płuc i rzucił o starą sosnę, rosnącą na skraju lasu. Match grzotnął w drzewo barkiem, uderzenie okręciło go. Zsunął się po pniu jak szmaciana lalka.

Powróciła zdolność widzenia, lecz nadal nie mógł złapać oddechu ani

się poruszyć. Półożąc oparty o szorstką korę, mógł tylko patrzeć, jak smok zbliża się do niego, zniża olbrzymi łeb, rozwiera szczęki.

Owiał go smrodliwy oddech. Siła wydechu smoka była potężna, gorący smród buchał jak z kowalskiego miecha. Match usiłował poruszyć się, lecz ciało nie posłuchało go. Zupełnie zatracił świadomość położenia swych kończyn. Mógł tylko czekać i patrzeć. Myśli przebiegały chłodne, jakby wszystko dotyczyło kogoś zupełnie innego.

Obserwował rzędy długich, ostrych zębów, z których zwisał zaczepony jakiś krwawy strzęp. Kolczuga, zrozumiał po chwili. Może ci zaszkozi, skurwysynu, pomyślał mściwie. Nie miał wielkiej nadziei. Słyszał brzęczenie much i gzów kłębiących się dokoła otwartej paszczy, znęconych odorem gnijącego mięsa.

Smok kołysał głową, pysk zamykał się i otwierał. No, dalejże, kończ, sukinsynu, pomyślał Match. Paszcza przybliżyła się, dotykając prawie twarzy. Od smrodu o mało się nie udusił. No, dalej! Na co czekasz!

Pysk cofnął się. Smok uniósł głowę, zaczął węszyć, głośno wciągając powietrze. Znów zakołysał łbem, jakby z irytacją. Odstąpił krok do tyłu, ponownie zawęszył. Uderzył z łomotem ogonem o ziemię. Zaryczał, po czym zaczął kręcić łbem, jakby nasłuchiwał.

Nie widzi mnie, zrozumiał Match. Jak się nie ruszam, to mnie nie widzi. Próbuje wypłoszyć, zmusić do ucieczki.

Smok tracił pewność siebie. Odszedł w bok, tak że Match, który nadal nie mógł poruszać głową, stracił go z oczu. Słyszał jedynie ponawiane co chwila porykiwanie, czuł drżenie ziemi pod stopami bestii. Odgłosy zdawały się oddalać.

Powoli wracało czucie w bezwładnych kończynach. Mimo to Match nie próbował wstawać. Na szczęście, gdyż nieoczekiwanie smok pojawił się znowu tuż przed nim. Jednak ryknął tylko raz, jakby bez większego przekonania, po czym ruszył dalej. Po chwili do innych odgłosów dołączyły trzaski łamanych zarośli. Bestia przedzierała się przez las, uchodząc do swych nieznanym komyszy.

Match leżał, słuchając oddalających się dźwięków. Gdy ucichły, wciąż leżał, nie mając siły się podnieść. Wreszcie, nie wiedząc po jak długim czasie, udało mu się chwiejnie stanąć na nogi. Zgięty wpół, zataczając się, podążył do wioski.

\*\*\*

Chata była nadspodziewanie czysta – pobielane ściany, polepa wysypana świeżo naciętym, pachnącym tatarakiem, zbita z desek prycza, wymoszczona słomą, przykryta kozimi skórąmi. Nawet pchły mało gryzły.

Match usiłował unieść głowę. Otworzył oczy, jednak zaraz je zamknął, porażony bólem, który ścisnął skronie jak imadłem. Poczł, że ktoś podtrzymuje mu delikatnie głowę, wargami dotknął brzegu glinianego kubka. Jakies zioła.

Ostrożnie uchylił powieki. Tuż przed sobą zobaczył białą, haftowaną bluzkę. Przez cienki len ostro rysowały się sterczące sutki.

Jasnowłosa, pyzata dziewczyna zastygła z otwartymi ustami. Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz. Spróbował coś powiedzieć.

– Jak długo... – zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa.

Dziewczyna poderwała się, o mało nie wylewając mu na piersi zawartości parującego kubka.

– Matko Jane! – wrzasnęła piskliwie. – Matko Jane!

Match skurczył się, jakby dostał obuchem w łeb.

– Ciszej, na litość... – powiedział z niesmakiem. Piskliwy głos dziewczyny odczuł jak pchnięcie sztyletem w uszy. Zamknął oczy.

– A co tam, córuś? – usłyszał drugi głos, równie piskliwy, lecz nieco cichszy i znacznie starszy. Stukanie, coś jakby laską o polepę. Znachorka, pomyślał.

– Oczy otworzyli, matko. – Pyzata dziewczyna mówiła już także ciszej. – I przemówili przytomnie! Jej, matko, taki piękny pan! I wiecie, matko, jakem go obmywała...

Zniżyła głos do szeptu. Match natężył słuch, lecz nic nie dało się usłyszeć. Poza cichym chichotem.

– Ty, Maggie, lepiej ziółek nowych naparż – zagderała matka Jane. – Ty jak dziecko, tylko jedno w głowie. A jemu jeszcze nie do tego, oj nie do tego...

– Jejku, co wy, matko Jane. – Maggie zawstydziła się, przynajmniej tak można było sądzić z tonu głosu. – Ja tak ino...

Miły głos, pomyślał Match leniwie. I te sterczące sutki. Ciekawe, czy jest tak zimno, czy one tak zawsze...

– Tak ino, tak ino – zamruczała znachorka, niezbyt widać przekonana.  
– Wiem ja, Maggie, co z ciebie za ziółko. A jemu tymczasem rany trza maścią posmarować, zobaczyć, czy opuchlizna schodzi. Na razie to se możesz jeno popatrzeć, nie do tego on jeszcze, mówię ci. Ja na chłopach się znam, trzech swoich żem pochowała, a innych... No, dawaj gałgany wilgotne, opatrunki trza pozmieniac.

Match uświadomił sobie nagle, że pod kozimi skórąmi leży całkiem nagi. Otworzył oczy i nie zważając na ból, gwałtownie usiadł na pościeli. Pociemniało mu w oczach, nie chciał jednak, by matka Jane odkryła skóry i pokazała wszystkim, jak bardzo jest do tego...

Maggie pisnęła radośnie. Znachorka uśmiechnęła się.

– Ot, i obudził się nasz wojak, nasz obrońca – zagruchała dobrotliwie.  
– No, tym razem smok górą, kochaneczku, ale później, kto wie...

Match skrzywił się. Do świadomości dotarły wydarzenia... Zaraz...  
Wczorajsze?

– Jak długo tu leżę? – spytał ochryple.

– Niedługo, niedługo, kochaneczku. – Matka Jane była drobną, bezzębnie uśmiechniętą staruszką, z imponującą brodawką koło haczykowatego nosa. – Tylko trzy dni będzie, jak w malignie się rzucacie...

– Trzy dni?! – Match potrząsnął głową z niedowierzaniem. Niepotrzebnie, gdyż w skroniach załomotał znów znajomy ból. Przymknął oczy, pomogło.

– Całe trzy dni? – powtórzył cicho.

– Po prawdzie, to pięć – odpowiedziała radośnie znachorka. Zaczęła wyliczać na palcach. – Bo to będzie tak. Jak was podnieśli spod częstokołu, to pierwszy dzień przeleżeliście całkiem bez ducha, ledwie dychając. Potem gorączka was chwyciła, febra trzęsła, całe trzy dni. Już myślelim, że ducha oddacie. A ten piąty, ostatni, toście jako ten kamień przespali, po tych ziółkach, com je wam zadała. Pięć dni było, jak w pysk

strzelił.

Match spróbował spuścić nogi z pośłania, owijając biodra kozłową skórą. Udało się.

– Dajcie, matko, jaki przyodziewek – poprosił skrzywiony. – Muszę wstać, zbrojnych zebrać, z Nottingham odsiecz sprowadzić.

– A nie wstawaj, kochaneczku, nie wstawaj! – przeraziła się babka. – Słabyś, wykopyrtniesz się zaraz. Leżeć jeszcze trza, rosołku popić. Dobry rosołek, z młodych gawronów.

– Matko, ja muszę... – Match usiłował z wysiłkiem unieść się na nogi. – Konia mi trzeba...

Od progu izby dobiegł męski głos.

– Twój zbrojni do rana ino strzymali. – Na progu stał wójt. Wyglądał mniej rzeško niż wtedy, kiedy Match widział go po raz ostatni. – Nawet czekać nie chcieli, aż oczy otworzycie, albo pomrzecie, wedle woli. Gadziny widno się przelękli, jak ino słońce wstało, tośmy tylko kurzawę za nimi na trakcie zobaczyli.

Match ciężko opadł na pośłanie.

– Panie wójcie, ja muszę, sami tu przecie nie dacie rady, tu więcej zbrojnych trzeba, w cekhauzie balisty mają. Ja mam u szeryfa posłuchanie, sprowadzę ich. Tylko zaraz ruszać muszę, czasu nie ma.

Wójt wszedł do izby, przysiadł na zydlu przy pośłaniu. Popatrzył na Matcha, oczy zwężyły mu się drwiąco.

– Kiedy widzicie, kozy osiodłać wam nie mogę, kozy, jak sami wiecie, potrzebne. Woły we wiosce jeno trzy, do orki, do wozów, nie pod wierzch. Widzi mi się, ino kota zostało wam dosiąść. Tłuste u nas, myszami wypasione, szybko pojedziecie. Bo, jak by wam to powiedzieć, waszego konia zbrojni ze sobą zabrali. Mówili, że wam się już nie przyda. A pachółka, co bronił, srodze skarcili...

Match przymknął oczy. Czekaście, skurwysyny, niedługo się spotkamy.

– Powiadacie, wójcie, że kozy potrzebne. Wrócił? – spytał po chwili.

Nie musiał mówić więcej. Staruszek pokiwał głową.

– Wrócił – potwierdził poważnie. – Ale ino raz, trzy dni nazad. Kóz my

więcej przywiązali, cały tuzin. Nażarł się widać bardziej, bo od tej pory go nie widać. Z lasu jeno czasem porykiwanie słychać, osobliwie pod wieczór.

Match usiadł znowu.

– Dajcie przyodziewek, panie wójcie – powiedział zdecydowanie. – I każcie dobytek na wozy, w węzełki pakować. On tu przyjdzie, a kóz w końcu zabraknie.

Wójt milczał, skubiąc rzadką, siwą brodę. Wyglądał, jakby nie dotarły do niego słowa Matcha. Ten pochylił się ku niemu, potrząsnął za ramię.

– Słyszycie, wójcie! – huknął, nie bacząc na dotkliwy ból głowy. – Dopóki nie wrócę, szeryf nie przyśle wojska. A smokowi ten tuzin kóz na długo nie starczy. Przyjdzie tu. Ile jeszcze kóz wam zostało? Zeżre te kozy, zeżre woły, bo i woły będziecie musieli mu dać, w końcu i do was się zabierze. Tylko te wasze tłuste koty zostaną, ich tak łatwo nie wyłapie...

Nie było żadnej reakcji. Match z wściekłością potrząsnął mocniej.

– Obudź się, człowieku! Rozum ci odebrało?!

– Ej, panie, może nie będzie tak źle – odrzekł po chwili wójt bez przekonania. – Może on tam w lesie jelenie, dziki żre. Może i od kóz się odzwyczai...

Ręce opadały. Match przymknął na krótko oczy, musiał się opanować, by nie chwycić wójta za rzadką brodę i wywlec z chaty. Gdy próbował się wyprostować, zakłuł go ostry ból w plecach. Ciekawe, kto by kogo wywlókł, pomyślał niechętnie.

– Posłuchaj – zaczął, znów spokojnie. – On nie poluje na jelenie w lesie. Jest za duży, nie da rady. Ja go widziałem z bliska. On poluje na otwartej przestrzeni, na polach. A tam tylko bydło. I ludzie. Właśnie wy. On już wie, że tu można znaleźć zdobycz. Przyjdzie, a gdy już kóz nie stanie, przejdzie przez te wasze pale jak... Mniejsza z tym. Uciekać wam trzeba. Powiedz, ile jeszcze macie kóz? Na raz? Na dwa? Mówię wam, zostawcie to wszystko, uciekajcie! On w dzień nie poluje...

– Nie! – usłyszał z tyłu ostry głos. – Nigdy!

Odwrócił się gwałtownie mimo ostrego bólu kręgosłupa. Maggie.

Dziewczyna patrzyła na niego z zaciętym wyrazem pyzatej buzi.

Piersi falowały pod bluzką.

– Nie uciekniemy! – powtórzyła, już ze łzami w oczach. – Nigdy!

– Słyszycie, panie – powiedział wolno stary wójt. – Płocha dziewczka, młoda, a swoje wie. I prawdę gada. My nie uciekniemy.

Match nie wiedział już, co o tym wszystkim sądzić. Postanowił posłuchać.

– My, panie, królewscy osiedleńcy – ciągnął stary. – Nie pańscy. My z królewskiego nadania te pola puszczy wydarli, ojce nasze, dziadowie... Całe nasze życie tutaj. My jeno dziesięcinę płacim. A, szkoda gadać, nie pójdziem na niepewne, na poniewierkę...

Smarknął soczyście w palce, wytarł o kapotę.

– Jak to mówią, raz kozie... Tfu, na psa urok! – splunął, gdy dotarła do niego niestosowność porównania.

Sytuacja była jasna. Tylko co w związku z tym należało robić? Match nie miał zbyt wielu pomysłów.

– No cóż – odezwał się wreszcie. – Wasza wola. To powiedzcie mi najpierw, panie wójcie, jak się zamierzacie bronić, jakby co. Pogadamy, może coś wspólnie uradzimy. I dajcie, psiakrew, jakieś portki, zostawcie samego choć na chwilę, żebym mógł się spokojnie przyodziać...

Napięcie zelżało. Babka zaśmiała się piskliwie.

– A co ty, kochaneczku, taki skromny? Ja, co żem miała zobaczyć, to zobaczyłam, nie masz się czego wstydzić. – Zachichotała zalotnie. – A Maggie ino piszczy, żeby znowu zobaczyć. Popatrzcie no, jak nogami przebiera...

Match nie miał odwagi spojrzeć na dziewczynę, czuł, jak wykwita mu na twarzy ciemny rumieniec. Cholera, ale zrobiłem się nagle wrażliwy, zaklął w myśli. Ale też niezła ta dziewczyna. Właściwie, czemu nie... Kurwa, smoka tylko patrzeć, a mnie tu się zachciewa...

Wybawił go wójt. Podniósł się i postukując swym kosturem w polepę, zaczął wypędzać kobiety z chaty.

– Wynocha, wynocha – pokrzykiwał bez gniewu. – Tfu, matko Jane, takie stare z was próchno, za przeproszeniem, do piachu się trza szykować, a nie chłopom zaglądać...

Match dostał swe własne ubranie, wyprane i pocerowane. Ktoś musiał się mocno napracować; skóra smoczego ogona była szorstka i ostra, gałęzie dokończyły dzieła. Stary wójt wręczył mu pochwę z mieczem, pieczołowicie owiniętą pasem.

– Sakwy przy siodle zostały, zabrały psiekrwie razem z koniem – wyjaśnił przepraszająco.

– Dziękuję, panie wójt. – Match skłonił głowę. – Dziękuję za wszystko, za to, za staranie...

– Nie mnie dziękujecie – zaprzeczył stary. – Babce wy zdrowie zawdzięczacie, ona mądra, zielarka. Gdyby nie ona, gorączka by was spaliła. A o przyrodziewek Maggie zadbała. Dobre to, choć młode i głupie...

Potrząsnął głową.

– Wyście, panie, poszli na smoka. – Splunął na polepę. – Nie uciekliście, jak tamte, tfu, wojaki.... Mimo żeście nie rycerz, wiedzieliście przecie, że smokowi nie uradzicie. Bo wiecie, panie, na smoka ino rycerz cnotliwy...

– Wiem, wiem. – Match skrzywił się niechętnie. – Najlepiej, jak w imieniu swej damy do walki staje. Ale na razie zostałem wam tylko ja. Nie mam damy, za którą mógłbym walczyć.

Twarz stężała mu na chwilę.

– Już nie mam – powiedział cicho, jakby do siebie. Wójt taktownie zmilczał.

Match podjął przerwana wędrowkę po izbie. Chciał rozchodząc zastałe mięśnie, rozruszać stawy. Początkowy ból towarzyszący krokom i wymachom ramion powoli ustępował. Teraz czuł tylko wielkie osłabienie. Stary przyglądał się spod oka, mrużąc coś pod nosem. Match, posykując, zaczął skręty tułowia.

– Ej, dajcie spokój – burknął wójt. – Zlegnijcie se lepiej, odpocznijcie. Słabiście jeszcze, zaraz wam żyłka pęknąć może, albo i skrętu kiszek dostaniecie. Kto to widział, tak skakać po izbie... Szkoda, że własnej rzyci nie możecie zobaczyć, sina cała, dobrze, że w poprzek nie pękła...

– Kiedy właśnie ruszać się trzeba – odparł Match. – Inaczej ból wejdzie w kości. Wiercie mi, panie wójt, nie zaszkodzi mi, raczej pomoże. Może nawet pięćdziesiątki dożyję, jak wy. – Uśmiechnął się



krzywo.

– Ano, jak komu pisane – zgodził się stary. – Ale teraz już wystarczy, siednijcie se na zydlu, przy stole. Słyszę, że babka rosółek niesie.

\*\*\*

Rosółek był rzeczywiście niezły, gawrony delikatne, widocznie niedawno opierzone, wybrane z gniazd. Zapach gorącej strawy sprawił, że Match poczuł wilczy głód. No tak, pięć dni... Rosół dobry, tylko mogłaby te ptaki dokładniej skubać, pomyślał, wypluwając pierze.

Stary zasiadł naprzeciw. Sam nie jadł, lecz śledził wzrokiem każdą łyżkę, którą Match unosił do ust. Grdyka na chudej szyi chodziła mu w dół i w górę. Po jakimś czasie Match poczuł skrępowanie.

– Zjedzcie coś, wójcie – mruknął. – Niesporo tak samemu...

– Ależ nie, nie głodnym – zaprotestował z godnością stary. – Ja ino tak pogwarzyć przysiadłem, może co uradzić będziemy mogli. Nie głodnym, nie głodnym.

Przełknął głośno ślinę. Matchowi kęs gotowanej gawroniej piersi omal nie stanął w gardle. Matka Jane, skromnie przycupnięta na skrzyni pod bieloną ścianą, zachichotała.

– Nie przejmujcie się, kochaneczku. On zawsze taki. Ino by żarł i żarł. A popatrzajcie na niego, chudy, jak nie przymierzając tyka chmielowa. Szkoda jadła dla niego, zmarnuje się ino. Co innego ty, siłę musisz mieć. Jedz, kochaneczku, nie krępuj się.

– Co wy, matko Jane – zawstydził się wójt. – Ja ino pogwarzyć przysiadłem...

– No chyba, pogwarzyć – oburzyła się znachorka. – A tylko patrzeć, jak ślina ci z pyska pocieknie, jak nie przymierzając, temu twojemu psu, tfu, zaraza na niego. Bo trzeba wam wiedzieć, kochaneczku, że ten jego pies to na żarcie taki sam, wypisz, wymaluj jak jego pan. Szkudny, wszystko znajdzie, ukradnie... Szpetne to takie, długie, niskie, nóżki krótkie, całkiem jak u maciory. Tylko by żarł. Człowiek sam zjeść spokojnie nie może, bo zaraz siądzie, czeka tylko, może co spadnie, ślina mu z mordy cieknie...

– Coście się czepili, babo, jak nie mnie, to psa! – warknął wójt,

wyprowadzony już z równowagi. – Wy lepiej swoich kotów pilnujcie!

– No i widzisz, kochaneczku. – Babka zwróciła się do Matcha, jedyne go świadka niesprawiedliwości, która ją spotkała. – Popatrz tylko, jaki wrażliwy! Co, może nieprawdę mówię? Ta twoja pokraka z piekła rodem wszystko ściągnie! Dzieckom chleb z ręki potrafi wyrwać. A wy, wójtce, zamiast bydłakowi do rzyci nakopać, albo od razu kamień do szyi i do potoku, to jeszcze mówicie, że jak szczyłe swego nie pilnują, to dobrze im tak. Co, może nie tak było?

Porażeni siłą wymowy babki wszyscy zgodnie pokiwali głowami, nie wyłączając Matcha.

– Przestańcie już gderać, matko Jane – zirytował się w końcu wójt, patrząc jak bladość Matcha przechodzi w odcień zielonkawy. – Dajże człowiekowi spokojnie zjeść, sama mówicie, że siły winien nabrać. My to pogadać musimy, o ważnych sprawach. A te swoje pijawki to wsadźcie sobie... No, idźcie wreszcie, matko, wam już dziękujemy...

– Czekał no, czekał, będziesz ty maści na swoje bolenie w krzyżu potrzebował – zaburczała znachorka, ale podniosła się posłusznie.

Gdy wyszła, wójt odetchnął głęboko.

– No i krzyżyk na drogę. Dobra kobiecina, ta nasza babka, ino jak trajkotać zacznie, to... No, sami widzicie... Poszła wreszcie, to pogadać mozem o czymś przyjemniejszym – kontynuował stary. – Wiecie, tego waszego kusznika to my wczoraj pochowali. Jak zjecie, i będziecie mieli się lepiej, to pokażę wam, jaki kopczyk mu usypalim.

– Co, znaleźliście ciało? – zdziwił się Match. – Przecież widziałem, jak smok... Nie, przecież to niemożliwe!

– Tak żeby nie skłamać, to niezupełnie. Ino jedną nogę, a i to nie całą, o, tak dotąd – pokazał mniej więcej na pół łydki.

Match odłożył łyżkę.

– Przecie to ludzkie szczątki, sami wiecie, panie. Szacunek się im należy, pochówek trza było urządzić. Więcej my nie znaleźli, wątpia jeno rozwłózione, coś jakby kiszki i wątroba... Ale Ben, ten, co to u nas chudobę sprawia i tusze rozbiera, powiedział, że to bardziej od kozy. Tak i kazałem psu rzucić... Jakby tak razem przez pomyłkę pochować, to na sądzie ostatecznym... Czemu nie jecie, panie? Wątróbka na słabość

dobra...

– Już się najadłem – powiedział Match cicho.

– Ależ co wy, podziubaliście trochę, jak ten ptaszek. Taki chłop jak wy, to powinien całą tę michę zjeść. Wątróbka zdrowa, powiadam...

– Może później. – Match zdecydowanie odsunął glinianą misę, jak najdalej od siebie. – Do rzeczy, panie wójcie. Powiedzcie no, mieliście trochę czasu, może przyszło wam co do głowy, jak przed potworem się bronić. Zastrzegam od razu, na rycerza cnotliwego nie liczcie, przynajmniej na razie...

Maggie krzątająca się po izbie roześmiała się głośno. Wójt zgromił ją wzrokiem.

– Ja tylko tak... – powiedziała spłoniona dziewczyna. – Powiedzcie, wójcie, coście z kumami radzili.

Okręciła się zwinnie, podeszła do skrzyni. Match z przyjemnością popatrzył na podrygujące pod bluzką piersi, na wystające spod zgrzebnej spódnicy kształtne łydki, czyste, o dziwo. Maggie zerknęła spod oka, złowiła jego spojrzenie. Uśmiechnęła się porozumiewawczo. Match odwrócił wzrok.

– Coście radzili, wójcie? – spytał szybko, by ukryć zmieszanie. – Razem z kumami, znaczy się...

– A, to i tak na nic. – Stary był skonfundowany. – Gadać nie warto.

Maggie parsknęła śmiechem, zaraz zakryła usta dłonią. Wójt spojrzał gniewnie.

– Powiedzcie, nie wstyďte się – zachęcał całkiem poważnie. – Widzicie, nie mamy wielkiego wyboru, nawet głupi z pozoru pomysł może coś pomóc...

– Nie wstydam się – odparł wójt dumnie. – To jeno dziewczka, młoda, płocha jeszcze, ze wszystkiego śmiechy urzęda. Pomysł wcale niegłupi, tylko trudności niejaki są...

Zadumał się, bębniąc palcami po nieheblowanych deskach stołu.

– No, mówcie wreszcie – przynaglił Match.

– Jak by wam to... Ano, ludzie zawżdy bajali o smokach. W tych bajaniach pono ziarno prawdy leży, mądrość ludowa, jak niektórzy

mówią. I w tych bajkach zawżdy się sposób na gadzinę znalazł. Co prawda, we wszystkich to rycerz cnotliwy... Wiem, wiem, nie przerywajcie... Ale szwagier przypomniał sobie taką jedną, w której była metoda, co by w sam raz się nadała. Nawet bez rycerza. Owoż szewczyk młody, sprytne pachole, skórę owczą siarką wypchał, bestii do zeżarcia podrzucił. I smok, jak tylko zjadł, zaraz się od tego rozpuknął, pół rzeki wprzód wypiwszy. Trzeba wam wiedzieć, panie, że w kałdunie u takiej bestii ogień gorzeje, od czego zionąć onym ogniem może. A jak siarki do ognia dorzucić, to sami, panie, wiecie... Tak i uradziłem pospołu, że sposób dobry, akurat się nada, z braku rycerza cnotliwego. Tylko pojawiły się trudności...

– Jakże to? – spytał Match uprzejmie, starając się nie uśmiechać.

– Bo widzicie, panie, po pierwsze – wójt wyliczał na palcach – po pierwsze, nie mamy siarki. Po drugie...

– Ten pierwszy powód wystarczy – przerwał Match sucho.

– Po drugie – kontynuował wójt niezrażony – to i z owcami u nas nie najlepiej. Tak po prawdzie, to żadnej nie mamy, kozy i świnie ino. Po trzecie, to nie masz u nas żadnego szewczyka idioty, który by tę wypchaną owieczkę pod las zadygował...

– Po czwarte, to ten bydlak ma za dobry węch, żeby się na to nabrać – podsumował Match. – Trudno, pomysł w zasadzie niezły, ale... – pocieszył starego na koniec.

Na nic to wszystko, trzeba wracać do Nottingham, choćby na piechotę. Zanim szeryf wojsko wyśle tak sam z siebie, miesiące miną, a bestia zdąży wioskę spustoszyć, jak kozy się skończą. Trzeba więcej zbrojnych, balistę z cekhauzu wytoczyć... Muszę ruszać, pieszo to ze dwa dni drogi, zwłaszcza z ciężkim sprzętem, a oni tutaj do tego czasu...

– Zaraz, panie wójcie – w tej chwili dotarło do niego coś bardzo istotnego. – Nie sprawiacie wrażenia, jakbyście się już na śmierć od bestii szykowali. Nawet jak mówiłem, że kóz wam nie starczy, to nie przejęliście się zbytnio. Możecie mi to wyjaśnić?

– Czemu nie. – Wójt dumnie pogładził rzadką brodę. – Bo widzicie, panie, on tu na razie nie przyjdzie, do wioski. Boi się.

– Czemu, kurwa, się boi? – rozżłościł się Match. – Was? Bo przecież nie waszego psa...

– Nas, to i owszem, nie za bardzo. Ale wiecie, bo to było tak... Jak ostatnim razem przylazł, wtedy, coście bez ducha leżeli, to jak wszystkie kozy zjadł, na wioskę ruszył. Głodny widać czegoś, kóz było za mało... Widno żarcie zwęszył, niby nas, jak sami mówiliście. Wtedy my chrust podpalili, cośmy mieli naszykowany, aby po ciemku nie uciekać. Wtedy on stanął się jak wryty, ryczał, nogami tupał, syczał jako ta żmija. Ino większa. Ale bliżej jak na sto kroków nie podszedł. A jak dym go owiał, to w las uszedł, tyleśmy go widzieli...

Match zastanowił się. Ognia się boi, skurwiel. To znaczy, że wioska na razie bezpieczna. Jest czas, by radę na smoka znaleźć.

– Tylko wiecie, panie, coś z nim zrobić trza, i to szybko – jakby zgadując jego myśli, dodał wójt. – Do wioski on może nie przyjdzie, ale jak tu żyć z takim potworem pod bokiem? Toć strach do lasu po chrust, nie idzie bydełka na łąki wyгнаć. Nawet jelonka w lesie nijak ustrzelić. A jak uczciwy kmieć ma z samej gospodarki wyżyć? No, powiedzcie tylko, panie?

Rzeczywiście, zgodził się w myśli Match. Nie ma jak wyżyć bez wnyków w pańskim lesie.

Maggie sięgnęła po pustą miskę, wpierając twarde piersi w plecy Matcha. Jasne włosy załaskotały go w policzek. Nie odsunął się. Pachniały ziołami i sianem.

– A dajże człekowi spokojnie posiedzieć! – ofuknął ją stary. – Widział to kto! Później posprzątasz...

– Nie szkodzi – powiedział Match zmieszany. Sam nie wiedział, dlaczego. Stary zerknął na niego z ukosa.

– To żeby już szybko skończyć... Wiecie, on chyba przed wieczorem przyjdzie, tak mi się coś widzi. Od rana z lasu porykiwanie dochodzi, widać gdzieś blisko się kręci. Damy mu dzisiaj tuzin kóz, i tę maciore, co wczoraj zdechła. Niech się nażre, znowu na dwa dni będzie spokój. To my zamyślim wykopać wilczy dół, duży, na chłopca albo i dwóch głęboki. Paliki zastrugane na dnie powbijają, żerdziami i trawą przykryć. Jak tam wpadnie, ani chybi golenie połamię, duży jest, ciężki... Nawet jak od razu nie zdechnie, to my już wtedy cosik zrobim, żeby mu pomóc...

Tak, to jest to, pomyślał Match olśniony. Wiedział, że im większe i cięższe zwierzę, tym mniejsza wysokość jest potrzebna, by przy upadku

połamało nogi. Koń, wpadając w jamę głębokości dwóch zaledwie łokci, nie ma żadnych szans wyjść z niej cało. A takiego kota i z wieży zamkowej można zrzucić...

– To się może udać – powiedział już na głos. – Tylko dół musi być duży, dla pewności. I trzeba szybko wykopać, żeby był gotów, jak następnym razem smok przylezie. Inaczej może coś zwąchać.

– Zdążym, zdążym, nie pierwszyna to dla nas. Jak kiedyś zbóje nas najeżdżali, to na samym majdanie taki wykopalim, że trzej się razem z końmi zmieścili. I to w jedną noc wykopalim, bo co dzień przyjeżdżali, po spyżę i dziewczki psować. Potem ino zasypać było trza, i wyrównać.

Match spojrzął na majdan przez szeroko otwarte drzwi chaty. Rzeczywiście, chyba im nie pierwszyna.

\*\*\*

Jak przypuszczali, smok pojawił się wczorajszego wieczora. Za częstokół wyległa cała wieś. Potwór nie był zbyt natarczywy, zapamiętał widać przykre doświadczenia z ogniem. Głód wygnał go z lasu, lecz poprzestał na pożarciu przeznaczonych dla niego kóz i zdechłej, wzdętej maciory. Jak się okazało, nie był wybredny. Porykiwał tylko groźnie spod samego lasu, nie zbliżył się do wioski.

Od samego rana kmiecie szparko zabrali się do roboty. Kopali dół, głęboki na dwóch chłopa. Na szczęście miejsce, które upodobała sobie bestia, nie było podmokłe, mogli więc kopać bez obawy, że podejdzie wodą. Grunt był zwięzły, ściany nie osypywały się, co ułatwi przykrycie pułapki żerdziami i zamaskowanie trawą.

Dwóch kmiotków zaciosywało pale, przeznaczone do wbicia w dno wilczego dołu. Spierali się przy tym zajadle, jaką jadowitą substancją wysmarować drewno, aby gadzinie dobrze za skórę zalazło. Match przysłuchiwał się kłótni przez dłuższy czas. Odszedł, gdy stanęło na tym, że najlepszy będzie zwykły gnój.

Noc była ciepła. Match postanowił spać odkryty, nie zagrzebywać się w sianie. Przed zaśnięciem chciał jeszcze przemyśleć parę spraw, związanych ze spodziewanym najściem potwora. Co zrobić, gdy ominie

dół lub wyczuje go pod stopą i zdąży się cofnąć? Czy wtedy da się nabrać drugi raz? Czy nie lepiej zwabić go w stronę dołu, tak aby w pogoni nie zdążył się zorientować? Dół można przygotować w taki sposób, by przykrycie wytrzymało ciężar człowieka.

Owszem, tak byłoby pewniej, pomyślał, smok popędzi za człowiekiem dokładnie tam, gdzie trzeba. Tylko kto ma być za przynętę? Wypada na to, że znowu ja... Należy się poważnie zastanowić, poprzednim razem się udało, ale teraz...

Chciał się zastanowić, rozważyć wszystkie za i przeciw, żeby nie być zdany na decyzję w ostatniej chwili, na impuls, który jak często już bywało, może go wepchnąć w sytuację nader kłopotliwą. Musiał wszystko spokojnie przemyśleć, kiedy miał jeszcze na to czas. Nie mógł, myśli wciąż się rozbiegały. Nie potrafił się skoncentrować.

Maggie. Odkąd wstał z postania, dziewczyna przez cały czas szukała okazji, by być blisko niego. Nie było jej trudno, usługiwała mu, podawała posiłki. Pomagała matce Jane przy zmianie opatrunków, łowiąc ukradkowe spojrzenia, które jej wbrew woli rzucał. Uśmiechała się.

Z początku starał się nie reagować, co jednak tak ośmieliło dziewczynę, że przy każdej sposobności ocierała się o niego niby przypadkiem. Zmieszało go to na tyle, że starał się jej unikać, co nie było łatwe. Złościły go dobrotliwe uwagi babki, która z rozbawieniem obserwowała, co się dzieje.

Maggie podobała mu się bardzo, co jeszcze mocniej komplikowało sytuację. Nie chciał jej skrzywdzić, tak jak krzywdził wszystkich wokoło. Nie ją. Nie to miłe, zgrabne dziewczę o pyzatej buzi.

Kiedy za którymś razem, miał usunąć się z drogi, gdy przechodził przez wąskie drzwi chaty, przycisnęła się do niego całym ciałem, postanowił postawić sprawę jasno. Czując ciepło jej naprężonego uda na swoim, wymamrotał coś, że to bez sensu, że nic z tego nie będzie. Nie pamiętał zresztą dokładnie, co powiedział, w każdym razie sens był mniej więcej taki. Maggie nie odsunęła się gwałtownie, jak się tego spodziewał i podświadomie obawiał. Nawet nie drgnęła, kryjąc pochyloną twarz pod jasnymi włosami. W końcu nie wiedząc, co zrobić, odsunął ją delikatnie i wyszedł przed chatę.

Później zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, czyli tak, jak

wcześniej. Starał się chodzić po wiosce wyłącznie w towarzystwie wójta, co hamowało trochę zabiegi dziewczyny. Sam nie wiedział, czy się z tego cieszyć. Doszedł do wniosku, że nie jest zbyt szczęśliwy.

Teraz przewracał się na pościeli, nie mogąc zasnąć, ani odegnać natrętnego wyobrażenia podskakujących piersi Maggie ze sterczącymi sutkami. Bez białej, haftowanej bluzki.

Gdy wreszcie zasnął, nadal je widział. We śnie.

\*\*\*

Kiedy poczuł na wargach miękki dotyk, nie wiedział, czy dalej śni, czy może właśnie się zbudził. Włosy łaskotały go po twarzy. Nie otwierał oczu. Jeśli to sen, to niech trwa...

Palce cieplej, stwardniałej od pracy małej łapki wplotły się w jego dłoń. Zacisnął palce. Poczł zapach świeżego siana, mocny, odurzający, i zapach ziół. Niechętnie otworzył oczy.

Przez niewielkie okienko wpadała do stodółki smuga księżycowego blasku. W srebrnym świetle wszystko było nierealne.

– Maggie... – wyszeptał.

Odsunęła twarz, wyprostowała się gwałtownie. Położyła palec na jego wargach, na chwilę, pogładziła policzek. Oburącz chwyciła kraj bluzki, ściągając ją przez głowę. Piersi zatrzęsły się. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Niech to wszystko...

– Maggie – zaczął z trudem. – Ja...

Pochyliła się, włosy znów opadły na jego twarz. Poczł woń ziół, mocną, odurzającą jak zapach siana...

– Nic nie mówcie, panie – tchnęła mu w ucho. Dotknęła ustami policzka, potem warg. Lekko przytrzymała zębami...

Match przestał na chwilę myśleć. Maggie, jedną ręką gładząc go po twarzy, drugą rozpięła mu koszulę. Położyła dłoń na pierś i głaskała, palcami przeczesując porastające ją włosy. Dłoń była ciepła, sucha i szorstka.

Kurwa, z tego nic nie będzie, pomyślał Match z rozpaczą. Tak, kurwa,



nie można...

Chwycił dziewczynę za nagie przedramiona. Poczł gładkość skóry. Odsunął Maggie od siebie, starając się zrobić to jak najdelikatniej. Przestała się uśmiechać tym spokojnym, rozmarzonym uśmiechem.

– Nie podobam ci się, panie? – spytała cicho.

– Match – powiedział bez zastanowienia. – Mów do mnie Match.

Pogładził nagie ramiona. Aż wstrząsnął się cały, tak były miłe w dotyku. Szkoda, kurwa, naprawdę szkoda...

– Maggie, jest inaczej, niż myślisz – urwał. To, co chciał powiedzieć, nie było łatwe ani przyjemne.

Wpatrywała się w niego bez ruchu.

– Maggie, dziewczyno – zaczął znowu, wciąż z trudem. Słowa więły mu w gardle, gorzkie, paskudne. – Widzisz, ja nic nie mogę dać ci w zamian. Nic, na co być może liczysz, czego oczekujesz. Ja już chyba nie potrafię... Nie potrafię kochać...

Spojrzał na poważną pyzatą buzię. Oczy lśniły w księżycowym świetle wpadającym przez okienko stryżku. Jakie ona ma właściwie oczy? Chyba błękitne. Problem w tym, że ja wciąż widzę tamte, zielone, pomyślał.

– Nie chcę cię skrzywdzić... Ja już zbyt wiele krzywd wyrządziłem w życiu. Musisz przecież wiedzieć, kim jestem.

Ledwo dostrzegalne kiwnięcie głową. Nic więcej.

– Maggie – powiedział już z rozpaczą. – Z tego, kurwa, nic nie będzie. Nie będzie...

Zręcznie wyswobodziła ramiona z uścisku. Pochyliła się, przylgnęła całym ciałem. Przytuliła policzek do jego policzka.

– Match – szepnęła mu prosto do ucha. – Po co zaraz te wielkie słowa? Dobrze, wiem, kim jesteś. I co z tego?

Znów rozpięła mu koszulę. Nie ruszył się. Po chwili poczuł ciepłą miękkość piersi, twarde sutki.

– Maggie, nic ci nie mogę dać – wyszeptał, już tylko wyszeptał. – Nie mam ci czego ofiarować...

– Match – odezwała się też szeptem, lecz brzmiał w nim cień

rozbawienia. – Po co zaraz ofiarowywać? Po co mówić wielkie słowa? Będzie ci miło, zobaczysz. Przyjmij to tak, jak jest. Podobasz mi się, ja tobie też...

Zaczęła manipulować przy klamrze jego pasa. Spróbował jeszcze raz. Tylko słowami.

– Dziewczyno – powiedział zdławionym głosem – ja nie chcę...

Roześmiała się cicho.

– Match, nie bój się, nie skrzywdzisz mnie. Spróbuj raz tak po prostu, nie czyniąc sobie wyrzutów. Tak po prostu... Ja naprawdę niczego sobie nie obiecuję, nie oczekuję od ciebie. Match, ja to po prostu lubię...

\*\*\*

Leżała z głową w zgięciu jego ramienia, czuł na swej skórze jeszcze przyspieszony oddech. Rzeczywiście lubiła to. Z pewnością była osobą, która to, co lubi, robi znakomicie i z zaangażowaniem. Pogładził tkliwie jasne włosy.

Czuł wdzięczność. Nie za tych kilka chwil, lecz za to, że pozwoliła mu dostrzec to, czego uparcie od lat nie widział. Że można dać coś, nie oszukując i dostać coś w zamian, bez zobowiązań, bez wielkich dramatów. Prosto i uczciwie.

Maggie zamruczała, wyprężyła się jak kot. Jej małe, ciepłe dłonie znów zaczęły błędzić po skórze Matcha.

– Maggie – wyszeptał. – Maggie, chciałem...

– Nic nie mów, nie trzeba. To się po prostu stało, tak po prostu... Nic nie mów, nie ma po co.

Match milczał. Czuł, że to, co chciał powiedzieć, będzie niestosowne, słowa o wdzięczności mogą jedynie wszystko popsuć, zakłócić to porozumienie, które nawiązało się pomiędzy nimi. Cholera, coś jednak trzeba...

– Maggie... – zaczął po chwili. – Nie, nic więcej nie powiem. Chyba tylko to, że mięknę jak wosk w twoich dłoniach...

Aż się skrzywił, tak sztucznie, górnolotnie i wręcz idiotycznie to

zabrzmiało. Zgodnie z przewidywaniami dziewczyna roześmiała się. Głośno i szczerze.

– W moich dłoniach możesz tylko stwardnieć – odrzekła wesoło.

\*\*\*

– Panie, panie, rycerze jadą, zbrojnych ćma na drodze!

Wrzask wyrwał Matcha ze snu. Odruchowo sięgnął dłonią obok siebie, oczekując, że trafi na jasne włosy. Pusto. Otworzył oczy.

Usmolony wyrostek stał nad nim. Zaczerwieniony, ciężko dyszący po biegu. Gdy spostrzegł, że Match otwiera oczy, zaczerpnął powietrza.

– Ku nam jadą, na trakcie – rozdarł się znowu.

– Ciszej, gówniarzu, głuchy nie jestem. – Match skrzywił się boleśnie.  
– Jacy rycerze?

– Mówię, panie, ćma taka, że kurzawa się w niebo wzbija. A na czele rycerz cnotliwy w zbroi srebrnej, aż oczy bolą patrzeć. Widno smoka jedzie ubić, gada straszliwego...

Prawda, smok, pomyślał Match niechętnie. Pewnie się rozeszło, już zaczynają ściągać różni smokobójcy, żądni sławy. Czekać, rycerzu cnotliwy, zobaczysz bydlaka, to jeszcze szybciej wrócisz tam, skąd przyjechałeś. Jeśli jesteś rozsądny, w co wątpię, wszak to u was wielką jest rzadkością...

Match w zamyśleniu nawijał na palec złoty włos, który został na burym płaszczu. Ach, pies trącał smoka wraz z cnotliwym rycerzem, i wszystkich zbrojnych, po kolei...

Gdy wyszedł przed stodółkę, dopinając spodnie, pierwszym, na którego wpadł, był hrabia Gisbourne. Zeskoczył właśnie z konia, podał wodze pachołkowi. Jego chmurna twarz się rozjaśniła.

– Match! – zawołał radośnie. – Żyjesz, sukinsynu! Od razu lżej mi się zrobiło.

– Czyżby? – spytał Match sucho.

Hrabia zmieszał się. Wbił wzrok w ziemię, przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

– Ten tam, w zbroi, to sir Mortimer de Montfort – zaczął, nie patrząc na rozmówcę. – Kuzyn naszego sąsiada barona, właśnie bawił u niego z wizytą, kiedy i ja tam zajechałem. I wiesz, chlapanąłem coś o tym smoku, no, zapomniałem się. A on od razu się zapalił, że niby gadzinę z wielką chwałą pokona. Nie można mu było tego wyperswadować. Szeryf, jak się dowiedział, to rozkazał, żebym w takim razie sam na smoka go zaprowadził...

Hrabia urwał. Spojrzał Matchowi prosto w oczy.

– Wiesz, Match, nie lubisz mnie. Ja ciebie też niezbyt lubię. Ale wiem, że jeżeli ktokolwiek zdoła nas wyciągnąć, jak coś pójdzie źle, to tylko ty. A jak przypadkiem smok mnie pochłasta, to nie zostawisz, mimo wszystko. Dlatego cieszę się, że udało ci się wylizać.

– Dobrze, panie hrabio, nie roztkliwiajmy się zanadto – uciął Match owe wynurzenia. – A ten tam, w zbroi, wie, w co się pakuje? Wysłuchał świadków? Świadom jest tego, że smok dwa razy wyższy od niego, wliczając nawet kopię? Ile dłuższy, to nawet szkoda gadać...

Hrabia popatrzył na rycerza. Ten, sztywno wyprostowany w swej srebrnej zbroi, napawał się podziwem otaczających go kołem kmiotków.

– Gdzie tam, ani chciał słuchać. Powiedział tylko, że w starciu z prawym chrześcijaninem moc smoka, który jest bez wątpienia tworem piekielnym, przegrać musi. Bo rycerza prawego chroni szarfa od damy jego serca, którą się przed walką przewiąże. Chroni zbroja i kopia niechybna, jego wiara i opatrność Boża. W tej właśnie kolejności.

Gisbourne machnął ręką.

– Przez całą drogę opowiadał mi o walkach ze smokami, bokiem mi to już wychodzi – dodał w końcu.

– A ile ich dotąd zabił? – spytał Match z całą powagą. Gisbourne zdziwił się.

– Na razie ani jednego. Ale teorię ma opanowaną.

\*\*\*

Samotna koza szamotała się na postronku w cieniu leśnej ściany. Słońce właśnie zaszło. Lekki wietrzyk szarpał szmatami na wbitych w

ziemię patykach, które wyznaczały obrys wilczego dołu, starannie zamaskowanego trawą.

Match uśmiechnął się mimo woli. Sir Mortimer uwierzył w końcu zapewnieniom wójta, który z całą szczerością wypisaną na twarzy zaklinał się, że zasypanie takiego dołu zajmie co najmniej trzy dni wytężonej pracy. I to tylko wtedy, gdy zbrojni pana rycerza pomogą. Spoglądał przy tym na hrabiego i Matcha, jakby biorąc ich na świadków swej prawdomówności. Gisbourne i Match nie zaprzeczali. Całkiem możliwe, że dół, który kilkunastu chłopów wykopało do południa, zasypanywać trzeba całe trzy dni. Ostatecznie nie musieli znać się na kopaniu dołów.

Sir de Montfort przystał w końcu na oznakowanie dołu szmatami na patykach. Jego bojowy koń, jak oświadczył dumnie, nie takie przeszkody potrafi ominąć w pełnym galopie. Oczywiście, gdy powoduje nim wprawna ręka.

Match poświęcił wiele czasu i cierpliwości, starając się odwieść sir Mortimera od jego zamiarów. Hrabia pomagał mu, jak mógł. Groch o ścianę. Uzyskali tylko to, że rycerz wyzwiał Matcha na koniec od tchórzy, głupich wojaków, świńskich psów i innych nieczęsto spotykanych mieszaińców, dodając, że sam na miejscu szeryfa natychmiast kazałby go obwiesić. Gisbourne oczekiwał, że Match w końcu wybuchnie, ale ten tylko wzruszył ramionami, splunął, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Sir Mortimer, traktując hrabiego jak powietrze, wycedził coś o osobnikach niegodnych pasa rycerskiego, którzy nie dość, że nie stają na wyzwanie zła, to jeszcze usiłują odwieść od tego stokroć odważniejszych od siebie prawych rycerzy. Hrabia nie bez słuszności odniósł to do siebie i zastanawiał się, czy nie cisnąć prawemu rycerzowi rękawicy w twarz, tym bardziej że bez zbroi był on dosyć mizernej postury. W końcu jednak poszedł za przykładem Matcha, uznając, że smokowi też coś się należy.

Gdy zbliżał się wieczór, sir de Montfort, ubrany już w pełną zbroję, wyszedł przed rzadki częstokół. Wbił w ziemię miecz, z chrzęstem blach padł na kolana. Pochylił głowę w garnkowym hełmie i zastygł na dłuższą chwilę. Mieszkańcy wioski stłoczeni za częstokołem i stertami przygotowanego do zapalenia chrustu zaszemrali z podziwem.

Rycerz wstał z klęczek, nie odwracając się, skinął ręką. Gisbourne podjechał do niego, prowadząc pięknego, białego bojowego konia. Obok

jechał Match, niosąc tarczę i kopię rycerza. Na tarczy wymalowany był, a także inaczej, czarny smok. Nieco inny.

Sir Mortimer wskoczył na konia. Przyjął tarczę i kopię z rąk Matcha, spoglądając na niego z obrzydzeniem.

– Zastanówcie się jeszcze, szlachetny panie – Match spróbował po raz ostatni.

Prawy rycerz nie odpowiedział. Chciał pewnie splunąć, lecz w garnkowym hełmie było to niemożliwe. Zwrócił się do hrabiego, odwiązując niezdarnie ręką w pancernej rękawicy przybrudzony i pomięty pas błękitnego materiału, okręcony na drzewcu kopii. Po kilku próbach udało się.

– Oto szarfa damy mego serca, lady Isabeli de Clisson – zadudnił z głębi hełmu. – Uczynicie mi tę łaskę, panie hrabio, przewiążcie nią moją zbroję, niech wspomaga mnie w walce ze złem.

Gisbourne uczynił mu tę łaskę. Słońce znikło już za drzewami, z głębin lasu dobiegł głuchy ryk. Rycerz wyprostował się dumnie w siodle. Niezwykle dramatyczne, pomyślał Match.

Sir Mortimer de Montfort ruszył wolno w stronę lasu, unosząc wysoko ostrze kopii.

– Za cześć mej damy, za moją sławę rycerską, w imię Boże...

Match z hrabią spojrzeli po sobie. Szykowało się niezłe widowisko. Sami cofnęli się do ostrokołu. Koza szarpała postronek jak oszalała.

– Jakby zaszarżował na nas, smok znaczy, nie ten tam, rycerz prawy – szepnął Match hrabiemu – to bez żadnych wygłupów, skaczemy za częstokół, zanim chrust podpalą. Ogień zatrzyma stwora, chyba że nasz rycerz bardzo go rozwścieczy...

Gisbourne spojrział na Matcha poważnie.

– Możesz mi wierzyć, skaczemy od razu – zapewnił solennie.

Rycerz znieruchomiał na samym środku łąki. Trwał tak, dumnie wyprostowany w połyskującej zbroi, nasłuchując zbliżających się ryków. Stał jak żywy wzór wszelkich cnót rycerskich w oczekiwaniu na starcie z odwiecznym wrogiem. Nie czekał długo.

Drzewa rozchyliły się, pękając z szumem liści i trzaskiem. Z zarośli wychyliła się ogromna, zębata głowa. Za chwilę smok stanął na łące w

całej swej okazałości. Uniósł łeb i zaryczał.

Match usłyszał, jak hrabia obok niego wciąga głośno powietrze.

– Jezu, Match... – jęknął tylko.

Sir Mortimer de Montfort może nie miał wiele wyobraźni i zdolności oceny swych szans. Za to odwagi trudno mu było odmówić. Wyprostował się w siodle jeszcze bardziej, po czym zaczął rzucać pod adresem bestii zwyczajowe obelgi i wyzwania.

Po smoku nie można było poznać, że robi to na nim jakiegokolwiek wrażenie. Postąpił wolno w stronę jedynej kozy, nie zważając na rozpaczliwe szamotanie zwarł na niej potężne szczęki. Podrzucił głowę i przetykał mizerny kąsek. Rycerz począł wołać jeszcze głośniej.

Tuż z boku Matcha dobiegł dziwny dźwięk. Popatrzył na hrabiego, który walczył z ogarniającymi go mdłościami. Udało mu się.

– Jezu, Match – powtórzył po chwili. – Ta bestia zaraz na niego ruszy. Powinien już zawrócić, uciekać... Przecież nie da rady, temu potworowi nikt nie da rady...

Jasno widać było dysproporcję pomiędzy przeciwnikami.

– Za późno. – Match ponuro pokręcił głową. – I tak go dopadnie, jest bardzo szybki. Uważajcie, panie hrabio, zaraz skaczemy w tył...

Smok pochylił łeb, ruszył. Poczuli drgania ziemi. Match już chciał szarpnąć konia, zawrócić go, lecz zamarł bez ruchu. To, co zobaczył, poraziło go.

Sir Mortimer zniżył kopię i ruszył do szarży. Ziemia drżała od uderzeń kopyt bojowego konia i nóg bestii. Rycerz nabierał szybkości.

– Piękna szarża! – wykrzyknął z podnieceniem hrabia. – Zobacz, jak trzyma kopię! Widać, że dla niego to nie pierwszozna...

I gównu mu to pomoże, pomyślał niechętnie Match. Nie miał złudzeń.

Smok zatrzymał się, jakby zdziwiony bezczelnością małej istotki biegnącej mu naprzeciw. Pochylił nisko łeb, jak zwykle w chwilach niezdecydowania zakołysał nim na boki.

Rycerz zbliżał się, pęd konia był imponujący. Zajeżdżał nieco z prawej, luźno trzymając kopię, by dopiero w ostatniej chwili przerwucić ją nad końskim łbem i wycelować we właściwe miejsce. Niestety, w tym

przypadku żadne nie było właściwe.

Już tylko kilka uderzeń serca dzieliło przeciwników od zderzenia. Spod kopyt konia wysoko tryskały grudy ziemi. Potwór wciąż stał jak wryty, coraz mocniej kołysząc łbem. Syczał wściekle.

Jeszcze chwila. Match wstrzymał oddech. Rycerz wydał przenikliwy okrzyk, prawdopodobnie rodowe zawołanie bojowe.

Tego było dla smoka za wiele. Ryknął głośno, innym tonem niż poprzednio. Niewiarygodnie płynnie, jak na tak ogromne cielsko, odskoczył w bok, odwracając się jednocześnie. Ziemia zadrżała. Rycerz rozpaczliwie szarpnął wodze, lecz było za późno. Sam koniec potężnego, długiego ogona, przelatujący przy odskoku bestii tuż nad ziemią, z rozmachem trzasnął konia po pęcinach. Pod wierzchowcem w pełnym pędzie załamały się nogi. Pękło z trzaskiem drzewce kopii, której grot zarył się głęboko w ziemię. Cnotliwy rycerz zatoczył wielki, powolny łuk w powietrzu i ciężko grzmotnął o ziemię. Zadrżała, jak pod łapami bestii.

Gdy Match oderwał oczy od leżącej nieruchomo postaci, potwór dobiegał właśnie do lasu. Po chwili z chrzęstem tratowanych zarośli zniknął im z oczu.

Gniewne porykiwania cichły w oddali, ciszę przerywał jedynie przeraźliwy kwik usiłującego powstać na połamane nogi konia.

Match westchnął.

– Czas na nas, panie hrabio – rzekł ciężko. – Trzeba dobić to nieszczęsne zwierzę. I pozbierać to, co leży obok...

Ruszył do przodu.

– Zbierajcie się, panie hrabio, on już dziś nie wróci – dodał. – Na dziś ma dosyć.

Sir Mortimer leżał bez ruchu, wbity w miękki grunt. Szczelinami zbroi sączyła się krew. Gisbourne stanął nad nim, patrzył chwilę.

– Tak, za roztropny to on nie był, ale, cokolwiek by mówić, to była piękna szarża – powiedział z zadumą.

\*\*\*



Słońce stało już nisko nad drzewami. Jastrząb, czy też myszołów, dawno odleciał.

– Co się potem stało? – spytał Jason.

– Ano, tak jak myśleliśmy – odparł Match, przeciągając się leniwie. Usiadł na trawie. – Przylazł za dwa dni, jak zgłodniał. Nie wyczuł niebezpieczeństwa. Zwalił się do dołu, aż się ziemia zatrzęsała. Dół był solidny, jeszcze go pogłębili, pale na dnie zasadzili. Nawet nie trzeba było dobijać, nadział się akuratnie, wszystkie flaki wypłynęły. Nie uwierzysz, Jason, w życiu nie widziałem takiej kupy flaków.

– Wierzę, wierzę – wykrzywił się Jason z niesmakiem.

– Twarde miał życie, do rana się rzucał, wył... Nogi miał widać połamane, tylko ogonem nad dołem miotał, w ziemię tłukł. Trzeba było w zasadzie dobić, ale nie bardzo wiedzieliśmy jak... Chłopi usypali potem nad ścierwem zgrabny kurhan. Bo mimo że dół był obszerny, to cielsko trochę na wierzch wystawało.

Match pokręcił głową, jakby znów, po latach, dziwiąc się rozmiarom smoka.

– Obok usypaliśmy drugi kurhanik, dla sir Mortimera. Chcieliśmy go zawieźć do Nottingham, chyba rodzinę miał, nie pamiętam już zresztą. Ale ciepło było, psować się zaczął. We wsi kowala nie masz, nie mogliśmy go wyjąć z tej zbroi, tak się pogięła. Jak go podnosiliśmy, to w hełmie tylko chlupotało...

– Match, daj spokój, daruj sobie szczegóły. – Jason głośno przełknął ślinę. – Zresztą, ja nie o to chciałem na początku spytać.

Match umilkł, spochmurniał, jakby wiedział, co interesuje Jasona. Odwrócił się niechętnie. Jason nie darował:

– Chciałem spytać o tę dziewczynę, Maggie. Czy spotkałeś ją jeszcze, czy...

Match tylko pokręcił głową.

– Nigdy nie wróciłem do tej wioski – rzekł po chwili cicho. – Nigdy...

Jason spojrział na niego, zaraz odwrócił wzrok. Wyraz twarzy Matcha powiedział mu wszystko. Ty rzeczywiście masz narąbane, pomyślał. Na głos nie powiedział nic.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

## **KRAĞ**

Chatka, którą zamieszkiwał Match, stała na skraju klasztornych pól. Sam ją zbudował, gdy przeor Piotr zezwolił mu osiąść na ziemiach leśnego eremu. Była mała, Match nie miał wielkich potrzeb.

Jason, gdy zaproszony wreszcie przez Matcha pierwszy raz zobaczył ją od środka, stanął zdumiony. Spodziewał się mrocznego, paskudnego wnętrza, pasującego do ponurych opowieści Matcha. Tymczasem ujrzał izbę wprawdzie małą, spartańsko urządzonej, ale czystą i wesołą. Były w niej przykryta skórą prycza, murowany komin, stół i dwa zydle. Ale żadnych trofeów myśliwskich, ogryzionych kości na polepie, broni zwalonej w kącie. Żadnych brudnych onuc pod pryczą. Zamiast tego spory stosik oprawnych w skórę ksiąg. Ksiąg!

- Umiesz czytać? - zdziwił się szczerze Jason.

- Owszem, i pisać też - odrzekł opryskliwie Match. - A bo co?

- A bo nic, ja, wyobraź sobie też.

Wziął do ręki pierwszy z brzegu tom, otworzył, spojrzał na pergaminowe karty.

- Ale nie po arabsku - dodał ze zdumieniem, widząc niezrozumiałe zawijasy.

Match wyjął mu księgę z ręki.

- To nie po arabsku, to po hebrajsku - powiedział. - Księga Zohar, inaczej kabała. Zresztą nie oryginał, skopiowana przez templariuszy... Cała masa błędów. - Skrzywił się.

Jasonowi opadła szczeka.

- Co ty gadasz, jaka masa błędów! - wykrzyknął.

- Czytałem oryginał - wyjaśnił Match, jak gdyby nigdy nic. - Nieważne zresztą. Ważne jest to, że można w niej znaleźć sporo ciekawych rzeczy. Dziwnie zresztą pasujących do tego, co się właśnie

dzieje...

– Znasz hebrajski? – Jason nie mógł się otrząsnąć.

– Co, nie wyglądam? – zadrwił Match niewesoło. – Jason, ja się szybko uczę. Bardzo szybko. – Siadaj tu, na pryczy – podjął po chwili. – Jest tylko jeden zydel, nie przewidywałem przyjmowania gości.

Sam zakrzętnął się po izbie.

– Cholera, nie mam piwa, wyszło jakoś. A w tym, które stoi w loszku, w chłodzie, mysza się utopiła, miałem wylać i zapomniałem. Co prawda niedawno, może by tak odcedzić... Nie, przejdę lepiej do klasztoru, pewnie mi dadzą. Poczekaj tu, możesz sobie poczytać, reszta jest po łacinie.

Zostawił Jasona całkiem oszołomionego. *Dominus vobiscum, et cum spiritu tuo* – Jason był przekonany, że w księgach jest nieco więcej, ale ten zwrot wyczerpywał jego znajomość łaciny.

Zamiast tego rozejrzał się po izbie. Na stole leżała nie do końca ostrugana drewniana rybka. Jason wziął ją do ręki. Wciąż nie mógł się nadziwić, że ryby dają się na coś takiego nabrać. Gdyby sam nie widział, nie uwierzyłby, że kawałek malowanego drewna na lince może w nurcie poruszać się jak żywa strzebla.

Obracając rybkę w dłoni, ostrożnie, by nie nadziać się na sterczący z drewnianego brzuszka haczyk, przypomniał sobie Lance'a, o którym opowiadał mu przeor. Tajemniczego świeckiego braciszka, z węzem Uroborosem wytatuowanym na plecach. Właśnie jego widok, zresztą nie wiadomo czy tylko widok, wywołał pierwsze wizje Jasona.

Dotąd sprowadzało je pojawienie się osób, jak Lance czy Match, lub opowiadania Matcha, bardzo przecież sugestywne. Przeor mówił jednak, że dla Lance'a wystarczał przedmiot, czy miejsce, by zobaczyć coś, co dla zwykłych ludzi było niedostępne. Jasonowi nic takiego dotąd się nie udało. A przecież coś mówiło mu, że jest to możliwe. Tylko jak? – pomyślał ze złością. Ścisnął mocno rybkę w dłoni...

*...Usypany kamieniami brzeg jeziora. Wielkie głazy wystają ponad gładką toń jak grzbiety potężnych, zanurzonych w wodzie zwierząt. Wyniosłe świerki odbijające się w wodzie. Zapach żywicy i rześki powiew znad wody.*

*Topolowe strużyny pryskają spod kozika, klocek drewna, obracany w dłoniach, nabiera wydłużonego kształtu małej rybki. Chyba strzebli potokowej.*

*Kobięcy głos dobiega jakby z dala, przebija się przez skupienie.*

*– ...rzuć to wreszcie, wieczerza na stole! Eh, żadnego pożytku z chłopa, tylko by strugał te swoje patyczki.*

*Człowiek pochylony nad topolowym klokiem przerwał na chwilę pracę. Te baby, żadnego zrozumienia, przecież w tę rybkę pstrągi będą walić jak opętane...*

*Stary Rapala pokręcił głową. Spod kozika znów prysnęły cienkie strużyny.*

Jason odłożył rybkę. To bez sensu, pomyślał.

Match wrócił niedługo. Nie miał widać trudności z wyłudzeniem piwa od braciszków. Postawił na stole wielki dzban.

– Kubek też mam jeden – powiedział przepraszająco. – Wolisz z kubka czy z dzbana?

Jasonowi było to obojętne. Match podał mu kubek, który przetarł przedtem skrajem koszuli. Nalał. Uniósł dzban, przepił do Jasona.

Ten odwzajemnił gest, pociągnął piwa i skrzywił się boleśnie. Match stanowczo zbyt długo przebywał na odludziu, wystarczająco, aby te pomyje nazywać piwem.

Match spostrzegł jego minę.

– Po roku można przywyknąć – wyjaśnił nieco zażenowany.

Na razie Jason pijał to piwo kilka miesięcy, ale nie sądził, że kiedykolwiek przywyknie.

Odstawił kubek, wspomniawszy niedawną wizję. I znowu nic nie wiadomo, nie pasowała do niczego. Była zupełnie obca, nie wiedział – przyszłość?, przeszłość? Nowum stanowił fakt, że była bardziej wyrazista niż te, których dotąd doświadczył, a które nie wiązały się bezpośrednio z zasłyszczanymi opowieściami czy spotkanymi osobami. Tamte były mgliste, fragmentaryczne, wieloznaczne. W tej zaś czuł się tak, jakby sam stał na zasłanym kamieniami brzegu jeziora.

To łączyło się jakoś z tą cholerną rybką, z przedmiotem, który

trzymał w ręce. Cholera, a już myślałem, że nic nowego mnie nie spotka, że panuję nad tym, pomyślał. Wizje powszedniały powoli, zdawało się, że nawet gdy pokazują rzeczy drastyczne, straszne, nie są w stanie wstrząsnąć nim zanadto. Stawały się czymś znanym, zwyczajnym.

Niedługo miał się przekonać, jak bardzo się myli.

Coś nie dawało mu spokoju. Wiedział, co.

– Match – zaczął w przerwie między jednym a drugim łykiem. – Match – powtórzył, wycierając mizerną pianę z wąsów. – Mówiłeś o bramie, przejściu, czy jak to nazwać.

Match odstawił dzban, także otarł wąsy.

– Mówiłeś, że do otwarcia przejścia potrzebne są silne emocje, skoncentrowana wola – ciągnął Jason. – Wiesz, coś nie daje mi spokoju. Przecież takich bram są pewnie na świecie setki, może tysiące. Ostatecznie elfy, krasnoludy i inne kurduple zamieszkiwały kiedyś cały świat. Mówiłeś, że z tych bram może wyleźć rozmaite plugastwo, zresztą nieraz wychodziło, i teraz ponoć właśnie wychodzi. Słuchaj, to bez sensu, że akurat ta brama, tu i teraz jest taka ważna, o nią idzie cała gra – urwał, pociągnął znów piwa. – Załóżmy, że za sto lat nad jakąś bramą ułoży się parka i zajmie... no wiesz. To też wyzwala silne emocje, o ile pamiętam. – Skrzywił się pociesznie. – I co wtedy, wyjdzie smok i pożre ich, nie pozwalając nawet skończyć?

Match był poważny. Rzucił Jasonowi niechętnie spojrzenie.

– Ty jeszcze pod szubienicą będziesz sobie jaja robił, Jason. Opowiesz katu jakąś dykteryjkę, tak że stołek spod nóg ci wytrąci, śmiejąc się do rozpuku.

Jason stropił się trochę. Rzeczywiście, Match miał rację, przykład nie był najszcześniejszy, a sprawa poważna. Spojrzał przepaszająco.

– Widzisz, Jason, z tego co wiem, a wiem niestety niewiele, bramy tracą swą moc. Potrzebna im do działania energia umysłów, które je zbudowały, magia, jeżeli chcesz to tak nazwać. Ci, którzy je swą magią ożywiali, dawno odeszli. Druidów też jakby ubyło, przynajmniej odkąd zapanowało chrześcijaństwo. Tylko w takich zakątkach jak ten, i może jeszcze inne zapadłe kąty, zachowały się bramy aktywne. Reszta została zapomniana, kamienne kręgi porosły mchem, zapadły się w ziemię. Od setek lat nawet druidom nie udaje się ich otworzyć, za mało ich, mocy,

czy też magii jest za mało... Mnie powiodło się przypadkiem, ale nie rozumiałem, co robię, nie mogłem wybrać, do jakiego świata, wszystko stało się losowo. Wiesz sam, co z tego wynikło, tylko dlatego, że nie starczyło mi sił, by ją z powrotem zamknąć. A ponoć jestem jedynym człowiekiem, który w ciągu ostatnich paruset lat zdołał ją otworzyć.

Wsparł głowę na łokciach, milczał dłuższą chwilę.

– Nie zamknąłem jej, działała, póki nie wyczerpała się energia, którą jej przekazałem. Kurwa, nawet nie wiem jak... Wypluwała z siebie wszelakie plugastwo. A teraz...

Podniósł głowę, spojrzał Jasonowi prosto w twarz.

– Teraz ktoś ją znów obudził. Ktoś z tamtej strony, ktoś, kto trafił tu śladem pozostawionym przeze mnie. I to, co się w tej chwili dzieje, twoje pieprzone sny i prorocтва, wieści, które przeor przywiózł niedawno z miasta, wszystko to świadczy tylko o tym, że nie pochodzi z najlepszego ze światów, na jaki mogłem trafić.

Jason nie odpowiedział. Wciąż coś wymykało się jego myślom, coś na granicy postrzegania, coś, jak wiedział, cholernie istotnego.

– Mówiłeś kiedyś, że druidzi potrafili otwierać brame, trafiać do innych światów – rzekł w końcu. – Że potrafili nawiązać kontakt, odkrywać tajemnice, przynosić tajemną wiedzę.

– Tak, ale to było dawno – wyjaśnił Match. – Może jeszcze za czasów Rzymian. Mówiłem już, bramy słabną. Wiesz, opowiadali, że w końcu nie wystarczały nawet zbiorowy trans, ani dekokty powodujące wizje. Było ich zresztą coraz mniej, odkąd chrześcijanie zaczęli tępić zabobony, walczyć z dawnymi wierzeniami w swój prosty, zwyczajny sposób, zabijając wyznawców tych zabobonów. Tak jak teraz, w Palestynie, na większą zresztą skalę. Byłem tam, wiem coś o tym.

Wspomnienia nie należały do miłych, Match sposepniał jeszcze bardziej.

– Tak więc przestało to wystarczać. Spróbowano czegoś innego. Najsilniejsze emocje człowiek odczuwa w momencie śmiertelnego zagrożenia, tuż przed śmiercią.

Jason wstrząsnął się. Miał przez chwilę wrażenie, że w izdebce nagle pociemniało i coś niepochwytnego, czającego się dokoła dotyka go zimną

ręką. Dręczyło go przeczucie jakiegoś niejasnego koszmaru, nadciągającego nieubłaganie.

Przestań, miał ochotę wrzasnąć, ale nie mógł wydobyć głosu. Słuchał ze stężałą twarzą. Match nic nie spostrzegł.

– Tak, składano w bramach ofiary. – Głos brzmiał w uszach Jasona jak z oddali. – Nie bogom, tylko w nadziei, że emocje ofiar potrafią otworzyć bramę. Tak, Jason, to byli ochotnicy, do końca koncentrujący całą energię na swym zadaniu. Czasem się udawało...

Jason już nawet nie słuchał. Ze wszystkich sił starał się odpędzić nadchodzącą wizję. Nie chcę tego widzieć, nie chcę słyszeć, nie... Przycisnął pięści do skroni. Głos Matcha dobiegał wciąż wyraźnie.

– ...ale brama słabła. Ofiary nie wystarczały, zaniechano ich w końcu. Jason, za sto lat, jak mówisz, trzeba by zabić jednocześnie setki ludzi, a to jest na szczęście niemożliwe. Jason? Jason, kurwa, co z tobą?... Jason!

Jason ścisnął z całych sił skronie. We wzroku, wbitym w jeden punkt, czaił się obłęd, z przygryzionych warg sączyła się krew. Oczy wywróciły się do tyłu, błysnęły białka.

Match doskoczył, chwycił przyjaciela za ramiona. Potrzęsnał.

– Jason, kurwa, nie umieraj! – krzyknął. – Jason, kurwa!

Ciało zadrgało, wyprężyło się.

– Jason...

\*\*\*

*Z krawędzi dołu oderwały się grudki czarnoziemu, spadły w głąb. Odsunął się od brzegu wykopu. W dole było wszystko w porządku. Kopiający spieszyli się, zawsze się spieszą. Już niedługo, niewiele zostało.*

*Wytarł but uwalany lepką glebą. Dobra ziemia w tych stepach, czarnoziem. To by było nie potrafi wykorzystać bogactwa, jakie ma pod nogami, pomyślał. Przecież tu powinna rosnać pszenica, te ziemie to prawdziwy spichlerz. Trzeba tylko gospodarza. Już niedługo osadnicy zaorają pola, które dadzą obfity plon przez następne tysiąclecie. Tak, jak powiedział wódz.*



*Rozejrzał się. Dymy snuły się po horyzoncie, gęste, tłuste dymy. Tak nie dymią ogniska czy płonące lasy. Takie dymy unoszą się wyłącznie nad palonymi sadybami, wioskami, miasteczkami. I będą unosić się dotąd, aż zapanuje nowy ład.*

*Mimo bezchmurnego nieba z oddali dochodził łoskot, jakby zbliżała się nawałnica. Ale to nie była burza.*

*Łopaty zazgrzytały na kamieniach. Usłyszał gardłowe wrzaski, którymi poganiano kopiających. Znow ostrożnie zbliżył się do krawędzi.*

*Łopaty natrafiły na wielkie głązy, tkwiące głęboko w ziemi, ułożone dziwacznie, jakby w wycinek wielkiego kręgu. Próbowano je podważać, ale tempo kopania wyraźnie spadło.*

*Gestem przywołał jednego z podwładnych, wskazał przeciwległą skarwę. Przecież ten dół nie musi być równy jak pod sznurek. Po co mają się męczyć, z drugiej strony pójdzie łatwiej.*

*Był dobrym z natury człowiekiem, nie podobało mu się, że jego podwładni pogonili kopiających uderzeniami i kopniakami. Rozumiał ich jednak. Wiedział, że kopiający nie byli ludźmi, mimo iż sprawiali takie pozory. Bo czyż nie potrafili mówić, śmiać się? Płakać, gdy coś ich zmartwiło? Lękać się, gdy ich przestraszono? Czy nie krwawili, gdy zostali zranieni?*

*Nie umierali, gdy ich zabijano?*

*Nie byli jednak ludźmi. Byli niższą rasą, chwastem, który należało wyrwać. Czynnikiem rozkładu, który zatruwał społeczeństwo, który o mało nie przywiódł go do zguby.*

*Wiedział o tym, więc pełnił swą trudną, niewdzięczną służbę z samozaparciem, rozumiejąc, że to ojczyzna nałożyła na niego tę ogromną odpowiedzialność. I chociaż stokroć wolałby, tak jak wielu kolegów, z bronią w ręku stanąć naprzeciw wroga, pełnił tę służbę z olbrzymim oddaniem i zaangażowaniem, świadom zaufania, jakie pokładała w nim ojczyzna i naród.*

*Rozumiał swych podwładnych. Ich ciężka praca stawała się łatwiejsza, gdy rozbite czaszki kopiających spływały krwią, a z ich zmasakrowanych uderzeniami twarzy znikwały łudzące pozory człowieczeństwa. On nie potrzebował takich ułatwień. Nie musiał sobie przypominać, kim są, i starał się spełniać swą powinność bez zbędnego okrucieństwa. Choć i jemu*

*ciężyła czasem ponad miarę.*

*– Dreckige Arbeit – mruknął pod nosem. Ot, chwila słabości.*

*Ocecił postęp prac. Dół wyglądał na wystarczająco pojemny. Dziś nie dostarczono zbyt wiele materiału. Oczyszczanie okolicy miało się ku końcowi.*

*Już czas. Odszedł w bok, uniósł rękę.*

*Pierwsi padli kopiący. Jak zwykle zresztą. Przewracali się w drgawkach, wciąż ściskając rydle i łopaty, zalewając krwią miękką ziemię i kamienie, układające się w wycinek kręgu.*

*Pierwszy szereg stanął nad krawędzią wykopu. Nikt nie próbował uciekać, wyrwać się. Nigdy nie uciekają, pomyślał.*

*Dół wypełniał się ciałami. Niektórzy żyli jeszcze. Umazani krwią, własną i cudzą, próbowali wydzwignąć się spod przywalających ich zwłok.*

*Nad krawędź wykopu przygnano drugi szereg.*

*Dziewczynka, na oko trzynastoletnia, czekająca w trzecim szeregu na swoją kolej, zamknęła oczy. Po jej umorusanych policzkach płynęły łzy. Zaciskała piąstki, nie czując, jak paznokcie wbijają się w dłonie.*

*Mnie tu nie ma, to mnie nie dotyczy. Nie ma tego wąwozu z wykopanym dołem. Nie ma tych, którzy za chwilę kopniakami pognają kolejny szereg nad krawędź, nierówną już, ziejącą szczelinami powyrywanej darni. Mnie tu nie ma, nigdy nie było, to wszystko się nie zdarzy.*

*Drugi szereg zwałił się do dołu. Ktoś popchnął ją silnie, padła na kolana, poderwała się. Bezwolnie pobiegła wraz z innymi, stanęła nad krawędzią.*

*Tylko nie patrzeć, nie patrzeć w dół. To nie boli, nie może boleć, to będzie tak, jak w bajkach, które opowiadała mama. Mnie tu przecież nie ma, gdy otworzę oczy, znajdę się zupełnie gdzie indziej, w innym, lepszym świecie. Tak jak w bajkach, wystarczy tylko chcieć, tylko bardzo chcieć...*

*Boję się. Boję się, mamoo... Mamoo...*

*Dlaczego tak długo...*

\*\*\*

Match ułożył Jasona na pościeli ze skór. Ten nie odzyskał przytomności. Zwiotczał tylko w pewnej chwili, jego oddech uspokoił się.

Spał. Nie rzucał się gwałtownie. Leżał nieruchomo całą noc.

Match siedział na zydlu, trzymając rękę przyjaciela. Patrzył w twarz śpiącego. Nie wiedział, dlaczego Jason uśmiecha się przez sen łagodnym, szczęśliwym uśmiechem.

*...Dlaczego tak długo... Ile jeszcze każą czekać...*

*Dziewczynka otworzyła oczy. Zniknął dół, wypełniony drgającymi ciałami. Zniknął wawóz. Nie słyszała dochodzącego z daleka łoskotu, ucichły gardłowe wrzaski oprawców. Nie było dymów, snujących się w oddali.*

*Pod stopami miała soczystą trawę łąki, ciepły wiatr owiewał nagie ciało, wysuszał łzy na policzkach.*

*Oczy dziewczynki rozszerzyły się ze zdumienia. Ruszyła przed siebie, rozglądając się nieprzytomnie.*

*Łąkę przecinał szmerzący łagodnie w kamieniach strumyk. Dostrzegła konia, pijącego wodę. Na odgłos jej kroków podrzucił głowę, odwrócił się do niej, zarżał głośno.*

*Nie widziała jeszcze takiego konia. Podziwiała srebrną maść, długi róg sterczący z czoła.*

*Ruszył w jej kierunku. Biegł lekko, jakby płynął, nie dotykając kopytami. Zatrzymał się przed dziewczynką.*

*Roześmiała się radośnie przez nieobeschnięte jeszcze łzy, wyciągnęła ręce.*

*Jednorożec z gracją wygiął szyję, położył miękko głowę na podołku małej Ruth.*

\*\*\*

Jason ciężko odchorował przejmującą wizję. Przez dzień czy dwa nie zwłóknął się z pościeli. Leżał w chatce, spoglądał przed siebie pustym wzrokiem. Nie chciał nawet jeść.

Odezwały się dawno już, zdawałoby się, zaleczone dolegliwości.

Głowa pulsowała tęnym bólem. Znów kłuło go w pozrastanych przecież żebrach. Nie to jednak było najgorsze. Czuł się po prostu słaby, wypalony.

Match doglądał go, nie zadając żadnych pytań. Po trosze dlatego, że taki już był. Zawsze wolał domyślać się najgorszego, zamiast po prostu zapytać i wyjaśnić sprawę. Głównie jednak dlatego, że nadchodzące coraz częściej wieści były coraz gorsze.

Zbliżał się czas decyzji. Nawet nie decyzji, bo ta została dawno podjęta. Trzeba było ruszać. A Match nie chciał zostawiać Jasona w takim stanie.

Teraz siedział przy zbitym z topornych desek stole. Czuł się źle. Nawet tych kilka dni, które postanowił sobie i Jasonowi podarować, ciążyło mu niezmiernie. Wiedział, że już czas.

Niewesoło rozmyślał, że przecież tak to się musi skończyć. Całe życie do tego dążył. Nie, nie dążył, to tylko życie do tego prowadziło. Przeznaczenie...

Przypomniał sobie, że już raz odmówił. Niedawno, zaledwie kilka miesięcy przed tą paskudną nocą, kiedy znalazł w lesie konającego z ran i zimna człowieka. Człowieka, który wszystko zmienił.

Match potarł czoło gestem irytacji. Zmienił? Nic w zasadzie nie zmienił. Przecież w końcu nie dowiedział się od Jasona nic, czego by wcześniej nie wiedział. Owszem, ta dziwna, ciągnąca się dniami i tygodniami spowiedź pozwoliła mu na uporządkowanie pewnych rzeczy. Na zrozumienie, przyjrzenie się z dystansu. Ale nie wpłynęła na decyzję. Wszystko było zdecydowane już kiedyś, dawno temu. Wtedy, kiedy wkroczył na tę drogę, wiodącą tylko w jednym kierunku. To, że kiedyś już odmówił, nie zmieniało nic. Może jedynie odwlekło.

Coś przerwało tok myśli – dziwne uczucie, jakie ma się wtedy, gdy czuje się na kimś czyjs wzrok. Odwrócił się. Jason nie spał, jak ostatnio przez większość dnia. Uniósł się na łokciach i patrzył przytomnie.

Match uśmiechnął się. Ostatnio, z nieodgadnionych powodów, przychodziło mu to łatwiej i częściej.

– Lepiej? – spytał krótko.

– Lepiej – odparł Jason, znów przymykając oczy. Nie opadł jednak z

powrotem na posłanie. – Lepiej nie mówić.

Wbrew swym odczuciom usiadł jednak po chwili. Match odetchnął z ulgą. Zaczyna mu się poprawiać, pomyślał, jeszcze trochę i dojdzie do siebie. Można będzie ruszać, da sobie radę sam...

Istotnie, było chyba lepiej. Jason domyślił się bowiem powodu westchnienia ulgi, które wydał z siebie Match.

– Nic z tych rzeczy – powiedział krótko.

Match pojął od razu. Ostatnio coraz łatwiej przychodziło im porozumienie. Jednak udał, że nie rozumie.

– O co ci chodzi? – spytał ostrożnie.

Jason z jękiem wstał. Match nie protestował, uznał, że skoro chce, to i tak go nie powstrzyma. Nie wyglądał zresztą już tak źle.

Może i nie wyglądał, ale zaraz usiadł z powrotem na przykrytej skórą pryczy, skrzywiony masował sobie klatkę piersiową.

– Match, jak dotąd zawiodłem – zaczął po chwili bez żadnych wstępów. – Co z tego, że mam te wizje, co z tego, że wszystko mi opowiedziałeś? Nie pomogłem.

– Nie oczekiwałem – wtrącił Match, spoglądając uważnie na Jasona.

– Nie przerywaj. Widziałem dużo. Ale nic nie pasuje. Nie układa się.

Match milczał. Jason podjął po chwili:

– Oczekiwałeś, że wyjaśnię, wytłumaczę, może pomogę. Nie, nie zaprzeczaj, oczekiwałeś tego. Ja zresztą też, może jeszcze bardziej od ciebie. Ty, wybac, jeśli się mylę, byłeś do tego przyzwyczajony. Od lat. A ja... Ja wpadłem w to wszystko nagle, i od razu po same uszy. Nie chciałem tego, nadal nie chcę. Boję się, nawet nie tego, co przepowiedziałem i co przepowiadają inni. Boję się... siebie. Tego, co się ze mną stało. Kim się stałem.

– Czy to ma?...

– Tak – potwierdził Jason, nie czekając, aż Match dokończy. – To ma związek z tym, co niedawno zobaczyłem. Nie pytaj mnie, co. Nigdy. – Głos go zawiódł.

Match bez słowa podsunął mu kubek napełniony piwem, jak zwykle skwaśniałym.

– Match, ja wiem, że to prawda, czekają nas straszne rzeczy. Nas... i ten świat. Mam tylko wrażenie, tak, właśnie wrażenie, przeczucie, że coś się tu nie składa, nie pasuje. – Zacisnął bezradnie pięści. – Jestem o włos. Prawie rozumiem. Może wtedy będę mógł...

– Pomóc? – spytał Match po dłuższej chwili. Bez drwiny czy powątpiewania.

– Tak, pomóc! – wybuchnął Jason. – Może to nie tak, jak myślisz. Może nie musisz przegrać. Może coś się dlatego nie wydarzy. Nie wszystko jest przeznaczone. Trzeba spróbować...

Wstał, podszedł do Matcha. Usiadł naprzeciw.

– Posłuchaj – powiedział już ciszej. – Ja się nie boję o siebie, już nie. Przecież już od dawna nie powinienem żyć, od tej nocy, kiedy mnie znalazłeś. Teraz obawiam się tylko tego, co jest we mnie, co widzę... Muszę przed tym stanąć. Inaczej nigdy nie przestanę się bać. Nie chcę żyć, pamiętając o tym, co zobaczyłem w wizji...

W końcu padło to, czego Match się spodziewał od początku.

– Zamierzasz ruszać. Wiem, że odjedziesz niebawem. To się już zaczęło. A ja, Match, jadę z tobą... – Uśmiechnął się. – Też siedzę w tym gównie po uszy. I wiesz, ciągle ufam, że zrozumie, zanim będzie za późno. Bo jestem blisko, uwierz mi, bardzo blisko.

Gdzieś w głębi duszy, wbrew sobie, Match poczuł nadzieję. Po raz pierwszy od wielu lat.

– Czy jesteś pewien, że to już? – Jason w końcu dotknął sedna sprawy.

– Tak – Match nie rozwodził się długo. – Już trzeba.

Odstawił z niesmakiem kubek. Splunął na polepę.

– Nie pij już tego świństwa. Muszę i tak iść do klasztoru, przy okazji przyniosę dzbanek. Nie będzie może lepsze, ale za to świeże.

Jason z aprobatą pokiwał głową.

– Pójdę z tobą – zaofiarował się.

– Nie, odpocznij jeszcze. Ja muszę pogadać z przeorem, zna mnie lepiej, powie więcej. Trzeba zasięgnąć najnowszych wieści, wszystko zaczyna się dziać bardzo szybko. Poza tym... muszę dowiedzieć się, gdzie w okolicy można dostać konie. Nie będziemy się wlekli do Nottingham

piechotą...

– Nie do Nottingham – zaprzeczył Jason. – Najpierw musimy pojechać zupełnie gdzie indziej. Do Lincoln.

Match zawrócił od drzwi.

– Jason, teraz trzeba się spieszyć. Po co mamy jechać do Lincoln?

Był podenerwowany. Jak zwykle, gdy coś postanowił, nie znosił ani chwili zwłoki. Chciał działać. Jason tylko z politowaniem pokręcił głową. Match znów okazał się mało praktyczny.

– Po pieniądze, Match, po pieniądze – wyjaśnił pobłaźliwie. – Po drodze trzeba coś jeść, gdzieś nocować. W Nottingham też utrzymanie kosztuje. A ja nie zwykłem jadać byle czego.

Nadał się dumnie. To znów był dawny Jason. Match roześmiał się rozbrojony.

– Dobrze, niech ci będzie, to w końcu niedaleko, stracimy najwyżej dwa, trzy dni – zastanowił się. – Nawet dobrze się składa, chciałem pożyczyć od przeora na konie, i prawdę mówiąc... – urwał.

Jason o mało nie roześmiał się z jego zakłopotania.

– Nie miałbyś z czego oddać? Cóż, przeor pewnie nawet nie oczekiwałby... Wystarczy na ciebie popatrzeć. Nie martw się, starczy i na konie.

Match burknął coś i wyszedł.

Tak, pomyślał Jason, do Lincoln, po pieniądze. I coś jeszcze, Match, coś, co na pewno ci się przyda. Będziesz zadowolony.

Jason uśmiechnął się do siebie. Jest jeszcze jedna zagadka, całkiem mała i nieważna. Ale łatwa do rozwiązania. Po prostu trzeba zapytać, kiedy wróci.

\*\*\*

Na widok postawionego na stole dzbana Jasonem zawładnęły mieszane uczucia. Wolał ich głębiej nie analizować, jednak wstyd, że ma ochotę na to paskudztwo, był dosyć dotkliwy. No, już niedługo, pocieszył się. Niedługo napijemy się porządnego piwa.

Otarł z brody coś, co nieudolnie imitowało pianę.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie...

Match, odprężony przed chwilą, znów w mgnieniu oka stał się ponury i zasepiony.

– Pytaj – rzucił krótko.

– Nie, nic z tych rzeczy! – Jason roześmiał się. – Nic ważnego, nie tym razem. Ale zastanawiałem się przez cały czas nad jednym, i wiesz co, nie daje mi to spokoju, taki już jestem. Zresztą, jak nie chcesz, to nie odpowiadaj...

– Jason, streszczaj się. Odpowiedziałem już na wiele pytań, to i na to odpowiem.

– Dobrze. Powiedz w takim razie, skąd to imię. Skąd imię Match?

Nie wyglądał na zaskoczonego. Ku zdziwieniu Jasona uśmiechnął się również.

– A co, nie pasuje?

– Pasuje, pasuje! Ale skąd? Od czego to pochodzi? Czy ty sam je wymyśliłeś?

Match zamyślił się na chwilę.

– Wiesz, od dawna zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz. Spodziewałem się, że wcześniej, bo tak je czasami wymawiałeś, jakby pytająco. Masz rację, to nie jest moje prawdziwe imię. Zresztą, diabli wiedzą, jakie było prawdziwe. To zapewne nadała moja przybrana matka, zacna pani młynarzowa. Musiała mieć wtedy wyjątkowo zły dzień.

– Matka nazwała cię Match? – zdziwił się Jason. – Dlaczego?

Zupełnie nie mógł zrozumieć, jak można było nazwać dziecko takim imieniem. Może zdrobnienie od Matthew? Nie, niemożliwe...

– Nazwała mnie Midge – odparł sucho Match. – Muszka. Miałeś się nie śmiać.

– Tylko się zakrztusiłem – zaprzeczył z trudem Jason, udając, że ociera twarz. Miał nadzieję, że zdoła nie parsknąć na cały głos. – Poza tym, nic ci nie obiecywałem.

– Zdawało mi się – mruknął Match. – Domyślasz się, ile kosztowało mnie to imię w młodości. A później... Później, gdy przygarnął mnie Robin,



było jeszcze gorzej. Wyobrażasz sobie?

Jason przytaknął. Wyobrażał sobie znakomicie.

– Srogi banita Muszka Młynarczyk! Tak to właśnie wyglądało. Nie wiesz, Jason, jak to utrudniało życie...

– Coś o tym wiem – zaprzeczył Jason. – Mnie, wyobraź sobie, mamusia nazwała Clever. Zdajesz sobie sprawę, jak takie imię przeszkadzało przy moim zajęciu? Gdy tylko... rodzice zginęli, zmieniłem to – podjął. – Ruszyłem w świat już jako Jason.

Match pokiwał głową.

– Było ci łatwiej. Zostawiłeś wszystkich, którzy cię znali. Dla innych od zawsze byłeś Jasonem. A ja... Pomyśl, co by było, gdybym nagle kazał nazywać się, dajmy na to, Lancelotem. Piękne imię dla wojownika. Już słyszę, jak by mówili – o, Lancelot, srogi rycerz! Jaki Lancelot? No wiesz, ten, Muszka Młynarczyk. Bardzo śmieszne... Co, nie śmiejesz się?

– Nie – zaprzeczył Jason, przygryzając wargę.

– Skoro tak... – Match zerknął nieufnie. – Jak widzisz, nie tędy droga. Pomyślałem trochę, i postanowiłem inaczej. Wymawiałem swoje imię bardziej twardo. Tak, że nie brzmiało już jak Midge, pieprzona muszka czy inny robal. I jakoś przeszło, wszyscy przyzwyczaili się, przestali kojarzyć. – Wstał z zydlu, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. – Dobra, dość na dziś miłych wspominek. Jutro możemy ruszać.

– Jutro? – zdziwił się nieprzyjemnie Jason. – Na piechotę? To kawał drogi.

– Prawda, nie powiedziałem ci. Jutro dostaniemy konie, niedaleko stąd. Jest taka wioska, ziemie klasztoru, chłopci tam siedzą, za odrobek. Mają dwa wierzchowce, zupełnie jak dla nas...

– Skąd wierzchowce konie na takim zadupiu? – zdziwił się Jason.

– A, zwykły przypadek. – Match machnął ręką. – Jak tylko zapytałem przeora, to ucieszył się i od razu powiedział, że coś się znajdzie, nie trzeba nawet kupować. Ponoć jeszcze zeszłego roku rycerz jakowyś z krucjaty wracał. Popasał w tej wiosce, zwiedził się, że klasztorna. I za uratowanie życia od Saracenów w darze klasztorowi raczył zostawić dwa wierzchowce. W komplecie, z rzędem. Na chwałę, znaczy, bożą.

Match pokiwał z politowaniem głową.

- Nie pomyślał, na co mnichom wierzchowe konie. Do zaprzęgu niezdatne. Przeor mówił zresztą, że przez ten czas ów hojny dar zeżarł więcej owsa, niż jest wart. Mówił, że gdyby był przy owym zbożnym akcie ofiarowania, toby rycerzowi takiego kota popędził... Ale cóż, był tam wtedy tylko jakiś nowicjusz. Żeby się długo nie rozwodzić, przeor nawet nie chciał słuchać o zapłacie. Powiedział, żeby je sobie zabrać i jechać z Bogiem. Wiesz, nie spodziewałem się tego po nim, taki sknera... - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Jason też się zdziwił, acz z całkiem innego powodu. Przecież konia można sprzedać, pomyślał. Niedaleko, na jarmarku. A jeśli to nie były zwykłe chabety, tylko ułożone, wierzchowe konie, to można poszukać i lepszej okazji. W czym problem?

Match miał jedną, istotną wadę, był łatwowierny. Jason podejrzewał, że właśnie przeor z chudej klasztornej kiesy zakupił te wierzchowce. Po to, by mogli odjechać jak najprędzej. I nigdy nie wracać.

## - II -

Match spoglądał na Jasona i dziwił się niepomiarnie jego radosnemu uśmiechowi, sylwetce, wyprostowanej sprężystości w siodle, spojrzeniom, które z widoczną aprobatą omiatały mijane widoki. Najbardziej zaś dziwiło go to, że Jason najwyraźniej z upodobaniem chłonie otaczające ich zapachy.

Rozejrzawszy się wkoło, Match nie mógł zgadnąć, co z otoczenia najbardziej przypada Jasonowi do gustu. Jednakim uśmiechem przywitał bowiem kłócących się głośno i szarpiących za odzienie pacholców, którzy grali w kości pod miejskim murem, i odprawił nachalnego żebraka, prezentującego dumnie wrzody, na których widok Match poczuł mdłości. Z tym samym uśmiechem pokazał palcem płynącego rynsztokiem szczura.

Tymczasem Jason wszystkimi zmysłami napawał się niewidzianym od dawna miastem. Chłonał wręcz wrażenia, które towarzyszyły mu przez większość życia, a których pozbawiony był tak długo. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu miejskiego gwaru, życia, widoku przechodniów, jak bardzo ciążyło życie na odludziu.

Miało swoje dobre strony, to prawda. Trochę ciszy i spokoju każdemu się przyda, pomyślał, ale nie w nadmiarze. Po pół zaś roku...

Po pół roku, spędzonym w leśnym klasztorze, przychodziły chwile, że Jasonowi chciało się wyć. Dość miał żywicznego, świeżego powietrza, ciemnych ścian lasu, otaczających pola ze wszystkich stron, codziennie tych samych osób.

Pragnął wrzawy, ruchu, widoku ludzkiej ciżby, zajętej swoimi sprawami. Chciał pójść na targ, obejrzeć kramy, napić się wina w gwarnym zajeździe, może przyjrzeć się występom wędrownych trefnisiów lub akrobatów, a nawet skorzystać z oferty jednej z licznych dziewczek, które zaczęły ich, odkąd minęły miejskie bramy. Na samą

myśl poczuł rozlewające się ciepło.

Jason zaczął się rozglądać jeszcze uważniej, szczerząc zęby do napotykanym kobiet, wszystkich, bez wyboru, nie ograniczając się do przedstawicielek jednej tylko profesji.

O dziwo, jak zauważył jadący obok Match, większość kobiet odpowiadała uśmiechem. Jason w darowanym przez Matcha odzieniu sprawiał wrażenie dziarskiego wojaka. W ucieszonyj pokancerowanej gębie i zawiadackim spojrzeniu było widać coś, co sprawiało, że na bezczelne spojrzenia kobiety uśmiechały się zalotnie. Żadna nie robiła wrażenia rozgniewanej, nie wyłączając posuniętej już w latach kobiety, najwidoczniej praczki niosącej kosz bielizny. Ta nawet roześmiała się tak piskliwie, że aż konie się spłoszyły, i rzuciła w odpowiedzi jakąś uwagę o jurnym żołnierzach, co to nikomu nie przepuszczą. Popatrywała przy tym zalotnie, bardziej zresztą na Matcha niż na Jasona. Widać milczący i ponury jurny żołnierz podobał jej się bardziej od wesołego i rozgadanego.

Match nie był zachwycony tym, że część splendorów spływa na niego. Przynaglił Jasona, który przystanął i szykował się najwyraźniej do żartobliwego dyskursu z praczką, która już postawiła na bruku swój kosz i wzięła się pod boki.

Jason niechętnie ruszył dalej. Praczka nie była też zadowolona, sądząc z tego, co usłyszeli, odjeżdżając. Głos miała donośny, więc przyspieszyli, by zniknąć jej z oczu.

Chwilę jechali szybciej, jednak niebawem Jason znów zwolnił, puszczając oko do obfitej w kształtach niewiasty, która stała za ulicznym kramem.

– Poczekaj – rzucił. – Muszę coś zobaczyć.

Zeskoczył z konia, podszedł do straganu. Match został na środku uliczki, trzymając wodze Jasonowego rumaka. Był to kram bławatny i Match nie bardzo wiedział, co chce zobaczyć przyjaciel.

Jason od niechcienia ujął skraj zwisającego z odwiniętej beli materiału, mówiąc coś, czego Match nie usłyszał. Jejmość za straganem usłyszała za to dobrze, roześmiała się tak, aż zatrząsł się obfity, wylewający się z obcistej, sznurowanej bluzki biust. Żartobliwie pogroziła Jasonowi palcem, zatrzepotała kusząco rzęsami. Jason, wciąż

szepcząc, pochylił się konfidencjonalnie, i zapuścił żurawia w apetyczny rowek pomiędzy pulchnymi piersiami. Kramarka zachichotała i pokraśniała. Z kolei ona coś powiedziała, zbliżając twarz do ucha Jasona. Zanosilo się na dłuższą konwersację.

– Jason, rusz się, na litość boską – jęknął głośno Match, usiłując utrzymać tańczącego w miejscu i parskającego konia. Wierzchowcowi najwidoczniej również nie odpowiadało miasto, gwar, ruch, a przede wszystkim zapach. Trudno się dziwić, wychowane na wsi młode jeszcze zwierzę mogło przeżyć szok, znalazłszy się po raz pierwszy w tak dużym mieście jak Lincoln.

Koń szarpnął się znów, spłoszony przez przebiegającego obok ulicznika. Drugi wierzchowiec był spokojniejszy, choć też nerwowo tulił uszy i rzucał łbem. Match postanowił, że trzeba się jak najprędzej pozbyć tych nerwowych bydląt i kupić trochę starsze, lepiej ułożone konie. Jeżeli oczekiwania Jasona się sprawdzą, będzie ich stać na zakup. Właśnie, jeśli się spełnią... Bo jeśli on dalej zechce zatrzymywać się przy każdej napotkanej babie, to dziś może nic z tego nie wyjść. I przyjdzie czekać w tych zapowietrzonych murach diabli wiedzą jak długo... Match wzdrygnął się, patrząc z niesmakiem na rynsztok. Na szczęście oddalili się już od płynącego szczura, albo on od nich...

– Jason, do diabła, jedziemy! – wrzasnął już donośniej, ze złością.

Ten odwrócił się niechętnie, obfita piękność popatrzyła z urazą. Cholera, nie można odmówić babie powabu, zauważył Match mimochodem. Coś w niej jest... Albo, co bardziej prawdopodobne, też za długo siedziałem w lesie.

– Ruszamy! – powtórzył zdecydowanie.

– Wybacz, piękna pani. – Jason skłonił się przesadnie, co jejmość skwitowała wymownym spojrzeniem spod spuszczonej rzesy. – Obowiązki wzywają. Pozwól, że ucałuję twoje białe dłonie... – Pochylił się i zabrał do całowania.

– Jason, szybciej – jęknął znowu Match.

Kramarka uniosła głowę i spojrzała z wyrzutem, a Jason wreszcie oderwał się od białych dłoni. Match cisnął mu wodze. Gdy Jason wsiadł, przesłał kobiecie całusa.

– O co ci chodzi? – spytał niechętnie, gdy w końcu ruszyli. – Nie bądź

taki... – urwał.

Match zdenerwował się.

– No, jaki? – wykrzyknął. – Jason, cholera, sam najpierw mówiłeś, że musimy zdążyć przed zmierzchem, bo dzisiaj piątek. To jak, do diabła, mamy tego dokonać, skoro zaczepiasz każdą napotkaną kobietę?

– Zdążymy, nie bój się, południe dopiero. I nie każdą, do cholery, tylko te ładniejsze.

– Ładniejsze?! A ta poprzednia, to co? Po cholere ją zaczepiałeś?

Jason stropił się na chwilę. Tylko na chwilę.

– Dla wprawy! – odpalił zaraz. – Poza tym, każdej się coś od życia należy, nie można być sobkiem i egoistą.

Trudno było dyskutować.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Ze zdziwieniem Match odkrył nagle, że przestał odczuwać wszechobecny smród. Skręcili wprawdzie z brukowanej uliczki, wyposażonej po obu stronach w wypełnione rynsztoki, ale stojące wszędzie kałuże raczej nie różniły się od nich zawartością. Ciekawe, pomyślał Match, nie padało od tygodni. Tak, po prostu moje powonienie stępiało, przyzwyczaiło się. Cholera, to nie do pomyślenia, tyle ludzi na tak małym obszarze... przecież muszą coś robić z odpadkami, wydaliniami swoimi i domowych zwierząt.

Match uważał życie w takim skupisku za przeciwne naturze. Był przekonany, że to ślepa uliczka, że miasta nie mogą rozrastać się w nieskończoność. Przecież, biorąc tylko jedno pod uwagę, w odpowiednio dużym mieście, gdzie ludzie siłą rzeczy będą musieli poruszać się konno, sam koński gnój stanie się poważnym problemem. Przy zwiększaniu liczby koni pokryje ulice na sążeń grubo. A jak inaczej szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce?

Z politowaniem obserwował tłoczących się dokoła mieszczuchów. Przekonacie się jeszcze...

Koń brnął zanurzony po pęciny w śmierdzącej kałuży. Match zwolnił trochę, by gęsta ciecz nie pryskała zbyt wysoko.

– Co z tobą, Match? – zdziwił się Jason. – Przed chwilą tak ci się spieszyło...

Match zaklął tylko pod nosem.

– Przecież powiedziałem, że nie będę już – obruszył się przyjaciel. – Nie masz się co nadymać.

– Ja nie dlatego. – Minęli wreszcie kałuże, Match poweselał nieco, widząc, jak uliczka wznosi się w górę i staje się wyraźnie suchsza. Widząc, że Jason czuje się urażony, zaczął pojednawczo: – Jason, ja przecież nie mam nic przeciwko temu. Tylko sam mówiłeś, że trzeba się pospieszyć, więc nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz? – Jason był zły. – Posłuchaj, siedziałem w tym pieprzonym lesie ponad pół roku, za jedyne towarzystwo płci odmiennej mając wyłącznie kozy. A wybaczyć, nie gustuję... Tobie dobrze, psiakrew, łazisz po tym lesie jak po własnej izbie, możesz sobie zająć do wioski, czy gdzie tam znikasz od czasu do czasu. A ja... siedziałem jak w klatce. Nie wiem, Match – uśmiechnął się złośliwie – czy sobie przypominasz, ale mężczyzna od czasu do czasu potrzebuje... A jeszcze na dodatek ten pieprzony las! Ci braciszku! Match, ja mam dosyć lasu! Chcę widzieć ludzi, różnych ludzi, nie tych samych co dnia! Od małego żyłem w miastach, brakuje mi ich, nawet tego pieprzonego smrodu! Czy wiesz, że ja sobie dziś po raz pierwszy uświadomiłem, jak takie miasto śmierdzi, a co gorsza, że tęskniłem do tego smrodu?

Przerwał, widząc niesmak na twarzy Matcha.

– Tak, tęskniłem! – powtórzył. – Tak jak ty tęskniłbyś zapewne do twojego lasu, twoich szerokich przestrzeni, żywicznych zapachów. Bądź tak dobry i postaraj się zrozumieć. Nie masz się co krzywić.

Popędził konia niecierpliwym kopnięciem po bokach. Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Jason, powiedz mi jedno – nie wytrzymał Match. – Przecież ta kobieta, kramarka... Owszem, przyznaję, nie najgorsza, ale chyba dobrze po trzydziestce...

– Wolisz młódki? – Jason pokręcił głową. – Bez sensu, wierz mi, nie ma jak dojrzała kobieta.

– W porządku, ja nie o tym... Mówiłem w tym sensie, że ona przecież na pewno ma męża...

– No to co? – zdziwił się Jason, wcale nie obłudnie.

– Dasz mi wreszcie skończyć? – spytał oschle Match. – Nie o to

chodzi...

Jason znów przerwał.

– Mąż wyjechał po towar – odparł spokojnie. – Wróci dopiero po niedzieli, nie ma więc problemu. Kramarka jest sama w domu, dzieci już duże, pojechały z nim. Mieszka na uboczu, więc...

Dostrzegł minę przyjaciela, rozszerzone ze zdziwienia oczy wielkości spodków.

– Kiedyś ty się zdążył tego wszystkiego dowiedzieć? – wykrztusił Match po chwili. – Przecież prawie z nią nie rozmawiałeś.

– Wystarczająco długo. – Jason miał trudności z utrzymaniem powagi. – A co, myślałeś, że ile potrzeba, cały dzień?

– Nie powiesz przecież, że od razu jej zaproponowałeś?

– A dlaczego nie? – zdumiał się szczerze. – Lubię jasne sytuacje, po co zwlekać?

Match z powątpiewaniem kręcił głową.

– Dobrze – powiedział Jason z rezygnacją. – Mamy jeszcze kawałek drogi, spróbuję ci wytłumaczyć...

Mijali właśnie ostatnie domy zwartej miejskiej zabudowy. Zmierzali ku położonej nad rzeką części miasta, gdzie osiedlali się żydowscy rzemieślnicy.

– No, słucham – przynaglił Match.

Jason odchrząknął niepewnie.

– Wiesz, aż mi głupio... – zaczął. – Stary chłop jesteś, nijak mi trochę cię pouczać.

– Zawsze warto wysłuchać mistrza – odparł z przekąsem Match. – Nie krępuj się, gdzie mi do ciebie...

Jason zerknął podejrzliwie. Już dobrze nauczył się rozpoznawać ów specyficzny wyraz twarzy, świadczący o tym, że trafił w czułe miejsce. Tym razem jednak Match nie wyglądał jednak na urażonego.

– Widzisz, tu trzeba zdecydowania – Jason rozpoczął wyjaśnienia. – Kobiety nie znoszą mazgajów, nieśmiałych, takich, co to sami nie wiedzą, czego chcą... Nie, źle mówię, wiedzą, czego chcą, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Ja się wcześniej o tym przekonałem, zresztą chyba nigdy



kobiety mnie nie onieśmiały. A potem doszło do tego, że coraz szybciej składałem propozycje...

Match wydawał się słuchać bardzo uważnie. Słuchaj, słuchaj, uśmiechnął się w duchu Jason, nigdy nie jest za późno na naukę. Ty po prostu, jak mi się zdaje, zbyt poważnie traktujesz kobiety. Co się dziwić, z tą twoją tendencją do dzielenia włosa na czworo...

– Aż w końcu doszedłem do optymalnej metody – kontynuował z zadowoleniem – która pozwala oszczędzić wiele czasu i rozczarowań i na ogół się sprawdza. Otóż, po prostu, konkretną propozycję składam od razu. No i co, dobre?

Jason błysnął zębami w uśmiechu.

– Zaraz, zaraz... – Match wyglądał na lekko zdetonowanego. Metoda nie przekonywała go widać do końca. – Zaraz – powtórzył. – Mówisz, na ogół się sprawdza. A jak nie? Coś mi się wydaje, że nieraz dostałeś po gębie.

– Tak też się zdarza – zgodził się Jason. – Ale w ogólnym rozrachunku i tak się opłaca – dokończył triumfalnie.

Match nie skomentował. Coś w tym jest, pomyślał. Życie nauczyło go ufać mistrzom, którzy osiągnęli nadzwyczajną biegłość w wybranej dziedzinie.

\*\*\*

Dom nie spodobał się Matchowi. Wysoko sklepiona pierwsza kondygnacja nie miała żadnych otworów, ani wejściowych, ani okien. Od razu zauważył, że zbudowane z ciosanego wapienia mury są bardzo grube. Aby wejść do domu, trzeba było wspiąć się na chybotliwe z wyglądu drewniane schodki, przyklepione niedbale do ściany. Prowadziły do okutych żelazem, wąskich drzwi i wydawało się, że w razie ataku można je zwalić jednym pchnięciem, a wtedy, by dostać się do jedyne go wejścia, będzie potrzebna drabina.

Tak, tylko że każdy, kto chciałby oprzeć drabinę o mur, znajdował się w polu widzenia roztaczającego się z okien w fasadzie budynku, wąskich, pozbawionych szyb czy błon i bardzo przypominających strzelnice.

Match spoglądał nieufnie w ciemność kryjącą się za oknami. Nic nie mógł zobaczyć, gdy stał w popołudniowym słońcu na podwórzu. Szczeliny okien zionęły nieprzeniknioną czernią. A jednak miał przecucie, że w tej czerni ktoś się kryje i bacznie obserwuje. Właściwie był pewien. Pomyślał też z nadzieją, że spust kuszy, niewątpliwie wycelowanej przez niewidocznego obserwatora, nie jest zbyt czuły.

Z drugiej strony, nie było czemu się dziwić. Złotnicy, nader często trudniący się również lichwą, nie zamieszkiwali zazwyczaj w zamykanych na patyk chatach, których drzwi można otworzyć kopniakiem. A jeśli któremuś się to zdarzyło, to jego kariera nie była zbyt długa.

Niespecjalnie polegał na zapewnieniach Jasona, że dla mieszkańców tego domu, który bardziej zasługiwał na miano niewielkiej twierdzy, jest on osobą znaną. Miał wrażenie, że Jason nie bierze pod uwagę, jak bardzo się zmienił. Obecnie nie przywodził na myśl uczciwego kupca, pragnącego nabyć złote błyskotki lub zaciągnąć kredyt. Wręcz przeciwnie.

Co do swojego wyglądu Match nie miał złudzeń. Jediną transakcją, jakiej przeciętny złotnik czy lichwiarz mógł oczekiwać od osoby z jego aparycją, był rozbój lub rabunek.

Siedział sztywno na koniu, trzymając wodze, swoje i Jasona. Ręce starał się trzymać jak najbardziej na widoku, z dala od wszelkiej broni.

Jason śmiało, nie oglądając się, wszedł na schodki. Konstrukcja zatrzeszczała, jakby miała za chwilę odpaść od ściany. Rzeczywiście, nie była zbyt solidna. Jason wspiął się na szczyt, stanął przed wąskimi, okutymi drzwiami, uniósł rękę do mosiężnej kołatki.

Nie zdążył zastukać, drzwi bowiem uchyliły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Nie padło ani jedno słowo zaproszenia, jednak Jason odwrócił się i z uśmiechem spojrzął na Matcha.

– Przywiąż konie i chodź! – krzyknął. Sam zniknął w ciemnym wejściu.

Widać była to zwykła procedura – gdy już otwierano drzwi, nie były potrzebne żadne pytania. Match zeskoczył z wierzchowca, uwiązał oba konie do barierki.

Zaraz za zewnętrznymi drzwiami był szeroki, ciemny korytarz,

prowadzący do jasno oświetlonej woskowymi świecami izby bez okien. Młody mężczyzna zamknął za Matchem drzwi, gdy ten tylko przekroczył próg, i postąpił w głąb korytarzyka. Nie odezwał się ani słowem.

Match dołączył do Jasona, który stał na samym środku izby. Rozejrzał się. Przed nimi, siedzący za niskim stołem starszy, siwobrody człowiek wstał na powitanie. Poza stołem w izbie znajdowały się tylko dwie ciężkie dębowe ławy pod bielonymi ścianami i zamczysta, okuta żelazem skrzynia za stołem.

– Panowie sobie życzą? – spytał siwobrody mężczyzna. Głos miał cichy i łagodny.

Jason poruszył się niespokojnie. Mężczyzna spoglądał wyczekująco. Młodszy, też brodaty, lecz jeszcze nie posiwiał, uporał się z licznymi zasuwami w drzwiach wejściowych i także wszedł do izby. Bez słowa usiadł na ławie pod ścianą.

– Jak to? – Match ze zdziwieniem spostrzegł zmieszanie w głosie Jasona. – Przyjechałem po pieniądze, Izaaku.

Siwobrody Żyd ze zrozumieniem pokiwał głową. Sprawa była jasna.

– A, po pieniądze, oczywiście.

Jason odetchnął z wyraźną ulgą, uśmiechnął się do starego. Ten, również z uśmiechem, nadal kiwał głową.

– Po pieniądze... – powtórzył. Zerknął z ukosa na Jasona. – Jakie pieniądze? – zapytał zniechęcony.

Uśmiech spłynął z twarzy zapytanego.

– Jak to, jakie? – wykrztusił Jason zaskoczony. – Przecież... przecież moje pieniądze... Te, które u ciebie zostawiłem...

Żyd nie uśmiechał się już. Był wręcz śmiertelnie poważny.

– Szlachetny pan nie ma u mnie żadnych pieniędzy – odparł sucho.

– Nie rozumiem... To co się z nimi stało? Przecież zostawiłem je, ostatni raz, zaraz, poczekaj, przypomnę sobie... – Z namysłem potarł czoło. – Będzie rok temu! – wykrzyknął niemal. – Tak, rok temu, wtedy...

– Szlachetny pan nie zostawił u nas żadne pieniądze – przerwał lichwiarz.

Jason zamilkł, spojrzał bezradnie na Matcha. Ten wzruszył jedynie

ramionami. Sam nie nabył żadnego doświadczenia w deponowaniu oszczędności. Z prostej przyczyny – wszystko, co miał, wydawał natychmiast, nie darząc zaufaniem lichwiarzy. Zresztą miewał na ogół niewiele. Teraz odczuwał niejaką satysfakcję, widząc jak na dłoni potwierdzenie swych przekonań.

Trudno, pomyślał, i tak od początku nie wierzyłem w te wspaniałe zasoby na czarną godzinę. Szkoda tylko, że straciliśmy tyle czasu na przyjazd do tego zapowietrzonego miasta. Cholera, do tej pory radziliśmy sobie bez grosza, to i teraz poradzimy. Chwalić Boga, woda w strumieniach jest za darmo, a i za królewskie jelonki w lesie dotąd nie zdarzyło się płacić. A on może dostanie nauczkę...

Jednak mina przyjaciela świadczyła o tym, że ma on zgoła inne podejście do spraw majątkowych. Powoli zdziwienie na jego twarzy przeradzało się w złość. Match doszedł do wniosku, że trzeba go jak najprędzej wyprowadzić z tej jaskini wyzysku, zanim wścieknie się bardziej i narozrabia. A i tak nic nie zwojuje, w najlepszym wypadku wyrzucą ich na zbity pysk. Przecież nie ma żadnego kwitu, nic, tak się chwalił swym zaufanym lichwiarzem. No cóż, dostał za swoje.

Match delikatnie, by nie doprowadzić Jasona do ostateczności, pociągnął go za rękaw. Na nic się to nie zdało.

Jason szarpnął się ze złością. Postąpił krok ku lichwiarzowi. Młodszy mężczyzna podniósł się powoli z ławy. Był duży.

– Do cholery, przecież dawałem ci je przy świadkach! – wybuchnął Jason.

Stary Żyd uniósł brwi w niemym zapytaniu. Jason oskarżycielsko wskazał młodszego brodacza.

– Przy nim! Poznają go...

Młodszy pokręcił głową.

– Wybaczcie, panie, nie znam was – powiedział przeproszająco, lecz z naciskiem.

Jason pokręcił głową. Wyglądało na to, że nie może już nawet nic wykrztusić. Poczerwieniał tylko, Match dostrzegł nabrzmiałe żyły na szyi.

Siwobrody uśmiechnął się lekko.

– Dawidek! – krzyknął.

Drzwi za stołem otworzyły się i do izby wpadł rzeczony Dawidek. Miał około czternastu lat, ubrany był jak pozostali, lecz nosił jeszcze skórzany fartuch. Nie miał brody.

– Nigdy tego pana nie widziałem! – wrzasnął, zanim stary Żyd zdążył o cokolwiek zapytać. – Nigdy!

Lichwiarz nagroził czeladnika klepnięciem w plecy.

– Wracaj do pracy.

Chłopak zawrócił na pięcie.

– Zaczekaj – rzucił za nim stary. – Mówię, do pracy, to znaczy do warsztatu, nie podsłuchiwać pod drzwiami.

Czeladnik popatrzył wzrokiem pełnym urażonej niewinności.

– Za szybko wszedłeś – wyjaśnił złotnik. – Znam ja ciebie, ladaco.

Gdy Dawidek zniknął, Jason parsknął przez chwilę ze złością. Match obawiał się, że za chwilę zrobi coś bezbrzeżnie głupiego, ale on tylko odwrócił się i powiedział:

– Chodź, Match, nic tu po nas...

– Zaraz, do cholery! – I dla Matcha tego już było za wiele. – Bez przesady! Może i nie dostaniesz swoich pieniędzy, ale...

Wierzył Jasonowi, nie przypuszczał przecież, by ten dla wymyślonych pieniędzy tłuł się wiele mil do Lincoln. Cholera, można im chociaż nawrzucać, niech sobie nie myślą... Wściekłym spojrzeniem obrzucił starego Żyda.

Jednak Jason pociągnął go zdecydowanie do wyjścia.

– Chodź – powtórzył. – To na nic.

Match zawahał się. W końcu to twoje pieniądze, zdecydował wreszcie. Ruszyli ku drzwiom.

Nie zrobili nawet trzech kroków, gdy usłyszeli za sobą skrzypienie.

– Zaczekajcie. – Lichwiarz pochylał nad okutą skrzynią, unosząc z wysiłkiem wieko. – Oto wasze pieniądze, panie – powiedział, kładąc na stół dobrze wypchany skórzany worek.

Match nic już nie rozumiał. A najbardziej zdumiewał go uśmiezek,

błąkający się po twarzy Jasona.

– Zaraz, do cholery, Jason, o co tu chodzi? – spytał.

Ten wzruszył ramionami. Wskazał na siwobrodego Żyda.

– Zapytaj go – poradził.

Match był zdezorientowany. Stary Żyd również uśmiechał się nieznacznie, jakby czegoś oczekiwał.

– No dobrze – powiedział Match wreszcie. – Skoro teraz zamierzasz wypłacić, co się należy, to po co było to wszystko? Te krętactwa?

Lichwiarz rozpromienił się. Na to pytanie czekał od dawna.

– Bo widzicie, panie, chciałem wam pokazać...

– Co pokazać? – przerwał Match zimno. – Może wyjaśnisz.

– ...z jakimi skurwysynami ja muszę pracować! – dokończył Żyd triumfalnie.

Widząc osłupienie na twarzy Matcha, Jason parsknął śmiechem. Młodszy Żyd przyłączył się do gromkiego wybuchu wesołości. Za drzwiami dał się słyszeć cienki chichot Dawidka.

Jason postąpił do przodu, objął siwobrodego.

– Witaj, Izaaku – rzekł serdecznie.

– Jason, stary oszuście! – Oczy Izaaka zaszklily się podejrzenie. – Żyjesz! A mówili...

– Nie wierz plotkom! – Jason się roześmiał. – Mnie nie tak łatwo.

Lichwiarz spojrzał na blizny, pokręcił tylko głową.

– Wiesz, myślałem już, że się nie nabierze. – Jason wskazał na Matcha, który nie wiedział, śmiać się, czy złościć. W końcu wybrał to pierwsze.

– Każdy się nabiera. – Żyd wzruszył ramionami – Przypomnij sobie, ty nawet dwa razy.

– Gdzie tam, dwa razy! – oburzył się Jason. – Ten drugi raz, to tylko po to, żeby ci zrobić przyjemność.

– Jasne. – W głosie Izaaka brzmiało wyraźne powątpiewanie. – Żeby mi zrobić przyjemność, wypadłeś stąd jak oparzony. Dawidek dogonił cię przy bramach miejskich.

Match zrozumiał, że tych dwóch zna się nie od dzisiaj i łączy ich coś

więcej niż tylko wspólne interesy.

– Wiesz – podjął po chwili Jason – z początku obawiałem się, że naprawdę mnie nie poznasz. Jak widzisz, zmieniłem się nieco.

– Poznałem od razu...

– Opowiadasz... Chociaż, rzeczywiście, otworzyłeś drzwi bez pytania, mimo że mało przypominam tego, którego znałeś. Cholera, jak wchodziłem na te twoje schodki, nawiasem mówiąc, diabelski wynalazek, dziwię się, że jeszcze nikt z nich nie spadł i nie skręcił karku... Jak wchodziłem na te schodki, to przez cały czas obawiałem się, że weźmiesz nas za rzezimieszków. Zwłaszcza jak popatrzysz na niego. – Wskazał Matcha i uśmiechnął się złośliwie.

– Poznałem od razu – powtórzył poważnie Izaak. – Człowiek może się zmienić, nawet bardzo zmienić, ale oczu nie zmieni nigdy. A poza tym, rzezimieszek, który przybywa samowtór w biały dzień, to musi być bardzo głupi rzezimieszek.

Żyd wymownie wskazał na wąskie szczeliny pod sufitem izby. Match zaklął pod nosem, dopiero teraz je spostrzegł. W lesie łatwiej zauważyć niebezpieczeństwo, pomyślał ze złością.

Szczeliny mogły służyć do wentylacji pozbawionej okien izby, mogły też do czego innego.

Tak, zdenerwowany klient pozbawiony zdolności kredytowej nie miał wielkich szans na okazanie złości.

– Siadajcie, panowie. – Lichwiarz wskazał ławy pod ścianami. – Wybaczcie, nie pozostało wiele czasu, jeżeli chcemy dziś załatwić sprawę, sami wiecie...

\*\*\*

Jason siedział przy stole, na niskim zydlu przyniesionym przez Dawidka i wraz z Izaakiem sprawdzali rozliczenia. Początkowo Jason stanowczo odmawiał współpracy. Tłumaczył, że nie zamierza zabierać całego depozytu, że zostawi część, więc na rozliczenia jeszcze jest czas. Mówił, że przecież ma zaufanie. Izaak jednak nalegał.

Tkwili więc przy stole, licząc monety wytrząsane na blat ze

skórzanych woreczków. Żyd rachował coś, zgrzytając rysikiem na łupkowej tabliczce.

Od tego dźwięku Match czuł mrowienie w szczękach. Próby rozmowy z siedzącym na ławie pod przeciwległą ścianą młodszym Żydem spełzły na niczym, zbywał on wszelkie zagadnienia półsłówkami, wreszcie przymknął oczy, dając wyraźnie do zrozumienia, iż nie jest zainteresowany pogawędką.

Match z braku lepszego zajęcia rozglądał się więc po izbie. Pierwszy raz w życiu był w takim miejscu, spotykał się z przedstawicielem podobnej profesji. Oczywiście, widywał już wielu złotników. W przypadku siwobrodego Izaaka złotnictwo było jednak najwidoczniej tylko przykrywką dla właściwego zajęcia – pożyczania pieniędzy na procent. Krótko mówiąc, lichwiarstwa.

Match nie dziwił się już środkom ostrożności podejmowanym przez gospodarza, ani temu, że mieszka w fortecy, jak ocenił, trudnej do zdobycia nawet przez wyszkolonych żołnierzy, nie mówiąc już o zwykłych rabusiach. Jednak co innego zaprzętało jego uwagę – lichwa była procederem zakazanym i wyklętym przez Kościół. A tymczasem Izaak nie wydawał się czynić ze swego zajęcia wielkiej tajemnicy.

Spoglądając mimo woli na stół, Match uświadomił sobie ze zdziwieniem, że Jason jest niezwykle majątnym człowiekiem. Nie wiedział, że gra w kości może być zajęciem równie dochodowym.

– Więc to byłoby tyle. – Żyd podał Jasonowi łupkową tabliczkę z kolumnami cyfr. Ten wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie zgadza się – powiedział.

Izaak jeszcze raz sprawdził.

– Jason, tak musi być, inaczej nie wychodzi – odparł niespokojnie. – Nie mogę...

– Za dużo – przerwał Jason. – Nie zostawiłem ci tyle, a widzę, że doliczyłeś...

– Tyle się należy. Procenty policzyłem najuczciwiej, jak mogłem...

– Nie zostawiłem ci tyle – Jason nie pozwolił dokończyć. – Izaaku, to był depozyt, nie pożyczka. Ja nie...



– Nie pożyczasz na procent? – spytał zimno Izaak. – Bo co, nie godzi się? Jason, obracałem twoimi pieniędzmi przez lata. Przynosiły dochód. Część z niego należy się mnie, bo to ja spowodowałem, że zarabiała na siebie, nie leżały beczynnienie, a część tobie, bo to twoje pieniądze, twój kapitał. Sam go wypracowałeś, w taki czy inny sposób. Więc nie opowiadaj teraz, że ci się nie należy.

Jason próbował coś wtrącić, jak się okazało, nie w porę. Żyd uniósł się gniewem.

– Jason, myślałem, że ty jesteś inny! – wybuchnął. – Tak, wiem, że lichwa jest zakazana. Myślisz, że dlaczego mam takie dochody?

Match nadstawił ucha. Zaczynało być ciekawe.

– Otóż dlatego właśnie, mój panie, że jest zakazana! Dlatego, że sam biskup Lincoln, gdy już rzuci z ambony swoje klątwy na krwiopijców, co jeszcze poza tym ukrzyżowali Chrystusa, to po pieniądze przychodzi właśnie do mnie! I płaci te nieludzkie procenty sumiennie i w terminie! Bo gdzie ma pójść? Do hrabiego, który pożyczycy mu na piękne oczy i bez procentów? To ja się pytam, gdzie w tym interes? Pieniądz musi na siebie zarabiać. Wam się tylko wydaje, że można go najwyżej przepić, stracić, albo w najlepszym wypadku zakopać pod paleniskiem! Jason, myślałem, że chociaż ty jesteś inny! – Izaak podniecony wymachiwał rękoma w szerokiej gestykulacji. – Myślałem, że jesteś mądrzejszy, pozbawiony tych przesądów...

– Mylisz się. – Jasonowi udało się wreszcie wtrącić, gdy Żyd umilkł na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. – Źle mnie zrozumiałeś.

Izaak sapał gniewnie, szarpiąc swą wspaniałą siwą brodę.

– Gdy zostawiałem ci pieniądze – ciągnął Jason cicho, ze wzrokiem wbitym w blat stołu – chciałem tylko, żeby były bezpieczne, żebyś przechował je dla mnie. Nic więcej nie oczekiwałem. – Głos mu stwardniał. – Dziękuję ci za to. Jeżeli jednak mówię, że za dużo, to nie dlatego, że mam jakieś przesady, że tobą gardzę, jak to właśnie insynuujesz. Wiesz przecież, że tak nie jest...

Izaak zmieszał się.

– Wybacz – powiedział po chwili. – Nie będę się usprawiedliwiać, wiem, że akurat ty...

– Daj spokój – przerwał Jason. – Daj spokój.

Tak, to nie była zwykła znajomość, zauważył Match. Nie tylko interesy łączyły tych dwóch, tak różnych od siebie ludzi.

Izaak chciał coś dodać, lecz Jason zdecydowanym ruchem sięgnął po łąpkową tabliczkę.

– Wracajmy do rzeczy – powiedział rzeczowo. – Powiedz jeszcze raz, jak sprawy wyglądają.

Wkrótce wydawało się, że rachunki zadowolili obydwu. Jason zaczął wkładać monety z powrotem do woreczków. Zważył jeden w dłoni.

– To powinno wystarczyć – powiedział zdecydowanie. – Schowaj resztę – uśmiechnął się szeroko – i postaraj się, żeby na siebie zapracowały. Ciekawe, ile będzie, jak przyjadę tu znowu... – Spoważniał. Jeżeli przyjadę, pomyślał. Izaak spostrzegł zmianę na jego twarzy. Chciał o coś zapytać, lecz wstrzymał się w ostatniej chwili. – Jeszcze jedno, Izaaku. Chciałem odebrać coś jeszcze. Wiesz, znalazłem kogoś, kto zrobi z tego dobry użytek...

Żyd spojrział na Matcha. Jason potwierdził skinieniem głowy.

– Dawidek! – zawołał Izaak. Czeladnik zjawił się jeszcze szybciej niż przedtem.

– Zaraz przyniosę! – rzucił prędko i obrócił się na pięcie.

– Znowu podsłuchiwał. – Izaak popatrzył melancholijnie za chłopakiem. – Trzeba będzie poczekać, zanim znajdzie.

Gestem przywołał młodszego mężczyznę, który podniósł się z ławy i wysłuchał przekazanych półgłosem poleceń. Potem szybko zniknął za drzwiami.

– Napijecie się wina – wyjaśnił Izaak. – Zaraz przyniosą. Wybaczcie, że nic więcej, ale zmierzch się zbliża.

– Tak, wiemy – odparł Jason. – Nie będziemy ci zabierać czasu, i tak pora nam w drogę.

Match zdziwił się. Był pewien, że Jason ma na dzisiejszy wieczór zgoła inne plany.

Jason chciał powiedzieć, żeby Match przysunął ławę do stołu, nie zdążył jednak. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich dziewczynka, niosąca

gliniany dzban.

Jasonowi głos uwiązał w gardle. Poblądł śmiertelnie.

Dziewczynka miała około trzynastu lat. Potrząsnęła głową, rozsypując czarne włosy na ramionach. Uśmiechała się.

*Błada, umorusana twarz, na której łzy wyżłobiły wilgotne ścieżki. Obłądny strach w ciemnych oczach...*

Pomroczyło mu przed oczami, oburącz ścisnął z całej siły skronie. Ktoś chwycił go za ramię, potrząsnął.

Otworzył oczy. To Match skoczył ze swej ławy, chwycił w ostatniej chwili, zanim Jason upadł na kamienną posadzkę.

Powoli, z lękiem podniósł wzrok na dziewczynkę. Uśmiechała się niepewnie, na twarzy nie było śladu łez. Izaak spoglądał na Jasona.

– Co się stało? – spytał z niepokojem. – Saro, postaw ten dzban, przynieś mokrą szmatę z kuchni, może okład na głowę...

– To nic... nic.. – wymamrotał Jason z wysiłkiem. Match podtrzymywał go wciąż.

To nie mogła być prawda, tłuło się w głowie Jasona. Tego, co wtedy widziałem, nie będzie, nie może być... To tylko...

Wyprostował się całym wysiłkiem woli.

– To tylko... – wychrypiął przez ściśnięte gardło.

– ...skutki ran, jeszcze nie do końca zaleczone – wtrącił szybko Match. – Zaraz mu będzie lepiej. Prawda, Jason? – spytał z naciskiem.

Domyślał się, co zobaczył Jason. Choć on sam nigdy mu tego nie powiedział, zapamiętał dobrze jego majaczenia. Za dobrze.

– Tak, zaraz będzie lepiej – wyszeptał Jason ochryple. – To minie.

\*\*\*

Dawidek przyniósł długi pakunek, zawinięty w natłuszczone, przewiązane konopnym sznurkiem szmaty. Podał Izaakowi, który zważył go w dłoniach.

– Proszę – powiedział, przekazując pakunek Jasonowi. – Poczekaj,

weź nóż, łatwiej ci będzie... – dodał, widząc, jak ten mocuje się ze sznurkiem.

Match po kształcie pakunku domyślił się, co jest w środku. Nie sposób było się pomylić. Jason niecierpliwie przecinał zaciśnięte, trudne do rozwiązania węzły. Zaczął odwijać szmaty.

Płomienie świec błysnęły, odbijając się od natłuszczonej klingi. Match aż westchnął z zachwytu i zaskoczenia.

Miecz miał klasyczną normańską oprawę. Prosty, krzyżowy jelec bez żadnych ozdób, długą rękojeść obciążoną jaszczurem i zaskakująco małą gałką na końcu rękojeści, stanowiącą przeciwwagę dla klingi. Widać ostrze, mimo swej długości, było bardzo lekkie.

Jason ujął miecz w połowie klingi, przezornie chwytając nie gołą ręką, ale przez szmatę. Wstał, wyciągnął miecz rękojeścią w stronę przyjaciela. Match również wstał. W tej scenie było coś symbolicznego.

– Weź – powiedział Jason po prostu. – To dla ciebie.

Match czuł ściskanie w gardle. Jason nie był suwerenem, dającym miecz swemu lennikowi, ani mityczną Panią Jeziora, która jak wiadomo zawsze obdarowuje mieczem wybranych. Jednak coś w tym gościu było takiego, że Match nie potrafił wypowiedzieć słów, które cisnęły mu się na usta. W końcu nic nie rzekł, ujął tylko rękojeść, która przyłgnęła mu do dłoni, jakby zawsze była dla niej przeznaczona. Jason rozchylił wolno palce ręki trzymającej klingę.

Match uniósł miecz, błysnęły płomienie świec odbite przez ostrze. Stał tak przez chwilę, czując idealnie zbalansowany ciężar. Odstąpił krok do tyłu, zamachnął się.

Klinga świsnęła w powietrzu, zataczając szeroki łuk. Płomień woskowej świecy lekko zamigotał. Match opuścił broń. Usłyszał westchnienie Izaaka.

Podszedł bliżej, sztychem miecza trącił lekko. Kawałek grubej świecy, czysto przeciętej w dwóch trzecich wysokości spadł, plamiąc roztopionym woskiem kamienną posadzkę.

\*\*\*

Izaak odprowadził ich na podwórze. Match troczył do siodła swój nowy miecz, w okutej, pokrytej czarną skórą pochwie. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, ile czasu stracił Dawidek na jej znalezienie, a także ile kuksańców otrzymał wówczas od starego Żyda.

Jason stał przed Izaakiem, najwyraźniej nie wiedząc, co rzec na pożegnanie. Stary lichwiarz wybawił go z kłopotu.

– Wróc niebawem – powiedział po prostu.

Jason pokiwał głową.

– Postaram się – odpowiedział.

– Wiesz, że zawsze na ciebie czekamy – dodał Żyd.

– Tak – uśmiechnął się Jason. – Po to, by oznajmić, że mnie w życiu nie widziałeś.

Spoważniał.

– Izaak, jeszcze coś... – zaczął.

– Jason, zbieraj się, do cholery – przerwał Match z naciskiem. – Nie zawracaj człowiekowi... Dzięki, Izaaku, ale na nas już czas – dodał, zwracając się do starego. – Jason, kurwa, ile razy mam jeszcze...

– Izaak... – Jason nie zamierzał słuchać.

Match postanowił dobrze klepnąć jego wierzchowca w zad. Nie zdążył.

– Uważaj na siebie i na swoich – Jason mówił z trudem.

Izaak patrzył poważnie, jakby w przeczuciu czegoś niedobrego.

– Idą złe czasy – ciągnął Jason.

– A kiedy dla Żyda są dobre czasy? – Izaak uśmiechnął się melancholijnie. – No powiedz, kiedy? Dla Żyda są tylko złe, a czasami gorsze... Nie martw się, przywykliśmy.

Poklepał Jasona po ramieniu.

– Jedź już – powiedział. – Ty też na siebie uważaj.

\*\*\*

Leżąc na derce przy ognisku, Jason dziwił się niepomierne, jak miły

jest zapach tłących się, grubych polan, jak kojąca jest wieczorna, leśna cisza, przerywana jedynie trzaskaniem płonącego drewna i głosami nielicznych ptaków czy szumem koron wysokich sosen, poruszanych lekkim, łagodnym wiatrem. Jak przyjemnie oddycha się zapachem żywicy i igliwia.

Co się ze mną stało, zastanawiał się leniwie. Odzwyczaiałem się, cholera. Te pół roku w lesie to było co najmniej o pół roku za dużo. Delikatny się zrobiłem, psiakrew, zacząłem doceniać świeże powietrze, ciszę i spokój. Albo się starzeję, albo...

Przeciągnął się na rozłożonej na miękkim mchu derce i jeszcze raz z radością wciągnął do płuc leśne powietrze. Tymczasem Match przerwał wreszcie grzebanie w sakwie i ociężale wstał.

– Rusz się, Jason – mruknął. – Zanim zaśniesz, trzeba jeszcze przynieść trochę drewna. Noc będzie chłodna, zwłaszcza nad ranem. – Uważnie popatrzył na skrawek ciemniejszego nieba pomiędzy koronami sosen.

Jason usiadł z ociąganiem. Tyłek bolał go po dniu spędzonym w siodle. Po prostu nie chciało mu się ruszać.

– Skąd wiesz? Dzień był taki upalny. Może tego, co przynieśliśmy, wystarczy? – spytał z nadzieją w głosie.

Match popatrzył krytycznie na parę cienkich, spróchniałych gałązek rzuconych niedbale koło ogniska. Nawet nie odpowiedział. Jason w duchu przyznał mu rację. Rachityczne gałązki spalą się w mgnieniu oka, tu potrzeba znaleźć grubsze kłody, najlepiej brzoźowe, które tlić się będą do rana. Jednak strasznie nie chciało mu się wstawać. Sama myśl o powstaniu na nogi wywołała bóle w krzyżu.

– A, niech ci będzie – zdenerwował się w końcu Match. – Ale chciałbym ci przypomnieć, że to ty zazwyczaj trzęsiesz się nad ranem z zimna.

Powiedział prawdę. Może był to skutek osłabienia po długiej chorobie, a może po prostu brak przyzwyczajenia do noclegów pod gołym niebem, w każdym razie Jason rzeczywiście źle znosił poranne zimno. Gdy tylko niebo zaczynało szarzeć na wschodzie, budził się i kulił pod przykryciem, usiłując zachować resztki ciepła. Nie na wiele to pomagało. Zwykle więc doczekiwał świtu, w męczącym półśnie

obserwując srebrne od rosy trawy. Dopiero gdy słońce wstawało wyżej, rozgrzewał się na tyle, że mógłby znowu zasnąć, ale wtedy zazwyczaj Match wstawał z pośłania i zaczynał ostentacyjnie krzątać się po obozowisku, pakować rzeczy i zrzedzić pod nosem na śpiochów, co najchętniej spaliby do południa. Kiedy to nie odnosiło skutku, niby przypadkiem potykał się o pośłanie Jasona, wybijając go ze snu. Czasem, co gorsza, zaczynał nawet podśpiewywać.

– Mnie tam wszystko jedno, jak wiesz. – Match usiadł i zaczął mościć sobie pośłanie. – Tylko nie narzekaj z rana.

Dobrze ci mówić, przemknęło Jasonowi przez głowę. Ty od dziecka śpisz pod gołym niebem, jak jakiś pieprzony zając w bruździe, toś się i przyzwyczaił. Nie bołą cię kości odgniatane na przykrytej tylko derką ziemi, nie trzęsie cię nad ranem. A ja, z natury delikatny...

Stękając z wysiłku, podniósł się z pośłania.

Nawet szybko poszło. Zaraz na skraju polanki znaleźli sporą brzoźkę, widać niedawno zwaloną wiatrem, bo była mało zmurszała. Nadawała się w sam raz, bez większego wysiłku przytargali ją na środek polanki, przerzucili przez ognisko, by przepaliła się w środku. Potem położyli nad płomieniami oba kawałki, by w końcu uzyskać cztery kłody, które będą idealne do podtrzymywania ognia przez całą noc. Choć przepalenie pnia długo trwało, wymagało mniej wysiłku niż rąbanie drewna małą siekierką, którą Match zawsze woził ze sobą.

Jason zawsze z podziwem przyglądał się, jak Match rozpala ogień. Gdy sam po raz pierwszy próbował, pozostawiony w lesie przez Matcha, który poszedł ustrzelić królika na kolację, zrozumiał, że czynność ta jest jak wszystko inne na świecie. Po prostu trzeba się nauczyć. A jeżeli ktoś nie umie, to tylko poobija sobie kostki krzesiwem, a ognia i tak nie rozpali. Pamiętał wyraz twarzy Matcha, gdy ten wrócił, trzymając za nogi dwa ubite króliki, i zastał go klnącego przed kupą chrustu, który nijak nie chciał się zająć płomieniem. Match swoim zwyczajem nie skomentował tego, co zobaczył. Odebrał Jasonowi krzesiwo i hubkę, po czym zdecydowanym kopnięciem rozrzucił wielką konstrukcję z gałązek. Jediną reakcją było podniesienie brwi na widok mokrego mchu, którego Jason pieczołowicie natkał do środka sterty. Następnie odszedł na bok, ułożył cztery cienkie patyczki na krzyż i stuknął parę razy krzesiwem. Podmuchał i po chwili zamigotał płomyk.

W końcu Jason nauczył się rozniecać ogień. Wiedział już, skąd brać suche drewno na rozpałkę, nawet wtedy, gdy padał deszcz. To proste, trzeba było jedynie znaleźć wiatrołom. Sterczące w górę z powalonego drzewa, najlepiej iglastego, gałązki prawie zawsze po przełamaniu okazywały się suche. Wiedział, że kora brzozowa, choćby wilgotna, zajmuje się jasnym, gwałtownym płomieniem, który zapali nawet mokre drewno. Nauczył się, jak podtrzymać ogień przez całą noc, nie wstając co chwilę, by dorzucić paliwa. W końcu Match zdobył się na oszczędną pochwałę.

Owszem, miał też wpadki. Na przykład wtedy, gdy Match zostawił go, by doglądał piekącego się na zaimprovizowanym rożnie królika. Jason starannie podsycił ogień, zwracając uwagę, by płomień pozostał niewielki, za to było dużo żarzących się węgli. Starał się jak mógł, dorzucając do ognia smolne, sosnowe szczapy i uważnie przegarniając żar patykiem... Gdy Match wrócił i spróbował pierwszy kęs apetycznej pieczeni, nie powiedział nic. Rzucił tylko pieczyste wraz z rożnem w krzaki, wstał i poszedł. Po nowego królika.

Teraz Jason wiedział, że brzozowe kłody wystarczą, by ognisko promieniowało do rana miłym ciepłem. Wiedział, że Match będzie co pewien czas przesuwał polano, by jego jeden koniec znajdował się w ognisku. Gdy tak kiedyś obserwował jego nocne poczynania, przysięgłby, że nawet się w tym celu nie budzi. Cóż, wieloletnia wprawa.

To, że Jason w końcu posłuchał i poszedł po drewno, poprawiło nieco Matchowi nastrój. Zawsze lubił postawić na swoim. Jason spostrzegł, że zły humor zaczyna mijać.

– No, teraz możesz spać – mruknął Match łaskawie. – Przynajmniej rano nie będziesz zawracał głowy.

Wyciągnął się na posłaniu, podkładając sakwę pod głowę. Jason puścił złośliwości mimo uszu.

– A kto mówi o spaniu? – zdziwił się wesoło. – Najpierw coś zjemy.

Sięgnął do własnej sakwy, wyjął zakupiony w mieście bochen chleba i kawał owczego, ostrego sera. Match ożywił się wyraźnie.

– Tak – powiedział Jason. – Miła odmiana po tych pieprzonych królikach, dzikich kaczkach i innych specjałach. Szkoda, że tylko to zdążyłem kupić.



– Nikt cię nie poganiał – zauważył Match sarkastycznie. – Mogłeś kupić cały targ, stać cię.

Jeszcze go trzyma, zdziwił się Jason. Pamiętliwy, cholera.

Jednak ser okazał się zbawienny. Match sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki był głodny. Zwykle nie poświęcał wiele uwagi zdobywaniu żywności, zadowalał się byle czym. Jednak to, że w towarzystwie Jasona częściej miał okazję do zjedzenia czegoś lepszego, wcale go nie gniewało.

Gdy poczuł już miłą sytość, dopadły go wyrzuty sumienia.

– Wiesz, Jason, przepraszam cię – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Za co? – Jason uśmiechnął się.

– Nie udawaj, wiesz przecież. Nawet ci nie podziękowałem.

Nie musiał mówić, za co. Jason z początku chciał rzucić jakąś złośliwą uwagę, jak było w jego naturze. Coś go powstrzymało, gdy zobaczył wyraz twarzy Matcha.

– Oddałem go po prostu w godne ręce – powiedział w końcu szczerze. – Wiesz, to nie jest zwyczajny miecz. Nie, nie dlatego, że jest taki piękny, jedyny... Że jest wspaniałym dziełem sztuki płatnerskiej, tak, właśnie dziełem sztuki, a nie zwykłym przyrządem do zabijania. – Zamyślił się, spochmurniał. – Do tej pory był dla mnie symbolem. Bardzo bolesnym symbolem zawiedzionych nadziei. Nie moich. – Jason uśmiechnął się smutno. – Mojego ojca.

Wstał, podszedł do Matcha. Schylił się i podniósł miecz, który Match pieczołowicie ułożył przy boku. Ujął rękojeść, pociągnął. Klinga błysnęła krwawo w świetle ogniska. Zamachnął się niewprawnie.

– Widzisz, nie potrafię...

Schował ostrze z powrotem do pochwy. Nawet to nie wyszło mu zbyt dobrze, nie mógł trafić w wąski otwór. Odłożył miecz i wrócił na swe posłanie. Siedział tak, dorzucając bezmyślnie do ogniska drobne gałązki, patrząc, jak zajmują się płomieniem i skręcają w ogniu.

Match o nic nie spytał. Domyślał się, że Jason i tak niedługo zacznie mówić. Rzeczywiście, po chwili odezwał się cichym głosem, wciąż wpatrując się w ogień.

On też ma swoje tajemnice, zrozumiał Match. Takie, których dotąd nikomu nie wyjawiał, których też się wstydzi.

– Opowiadałem ci o swoim ojcu. Długo uważałem go za kłamcę i żalostnego pijacynę. On zaś uważał się za znakomitego rzemieślnika, gdzie tam rzemieślnika, za artystę w swym fachu. Odkąd pamiętam, najwyżej ostrzył chłopskie siekiery albo prostował jedyną zbroję, z jaką miał do czynienia. I cały czas opowiadał o wspaniałych rzeczach, w które zupełnie nie wierzyłem. A kiedy przekonałem się, że mówi prawdę, było za późno. Zbyt oddaliłem się od niego, zbyt wcześnie straciłem do niego szacunek i wiarę w niego, mojego własnego ojca. Tymczasem wszystko było prawdą. Wszystko. – Jason zacisnął pięści, aż pobieleły kostki. – Cóż, Match, byłem głupim gówniarzem. Jak głupim, zrozumiałem dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się... – Głos mu się załamał. Zamilkł na chwilę, potrząsając głową. – Co ja pieprzę – powiedział. – Przecież ty nic z tego nie zrozumiesz.

Wyprostował się, spojrzał na Matcha.

– Dobrze, zacznę od początku. Widzisz, wszystko, co opowiadał ojciec, było prawdą. Rzeczywiście był uczniem słynnego płatnerza ze Wschodu, rzeczywiście pracował na zamku potężnego diuka. I prawdą jest, że był najlepszym uczniem swego mistrza, a ów mistrz pokładał w nim olbrzymie nadzieje. Kariera stała przed nim otworem, otwierały się wielkie perspektywy, dostatek, nawet bogactwo. Wszystko to poświęcił. Poświęcił dla mnie. Zupełnie bez sensu, bo zawiódł się okrutnie.

Jason znów sięgnął po miecz. Podał go Matchowi.

– Wyjmij i przyjrzyj się.

Match posłusznie obnażył broń, po raz kolejny dziwiąc się jej lekkości i wyważeniu. Wstał, wywinął krótkiego młyńca, aż zasyczało rozcinane powietrze. Uchwycił oburącz długą rękojeść, zamarkował wypad i cięcie.

– Widzisz, jest dla ciebie stworzony. – Jason rozchmurzył się na chwilę. – Trudno o godniejsze ręce. Dobrze, ale teraz przyjrzyj się ostrzu.

Klinga była wąska, głęboko żłobiona dla zmniejszenia wagi. Pozbawiona jakichkolwiek zdobień lśniła czystą barwą metalu.

– Jak zauważyłeś zapewne, klinga nie jest jednorodna. Miękki, mało nawęglony rdzeń okuto na ostrzach innym metalem, inną stalą. Ma nieco inną barwę, jest jaśniejsza. Jak się przyjrzyysz, zobaczysz szwy w miejscu, gdzie skuwano warstwy stali. A poza tym... Nie, tego teraz nie zobaczysz, w tym świetle. Ale w dzień, jak spojrzysz uważnie, to na ostrzach, na tym

jaśniejszym metalu zobaczysz drobniutki deseń, jak marmur, tylko znacznie drobniejszy. Ten metal, Match, jest najrzadszym surowcem w całym płatnerstwie. Także najdroższym. Właśnie z niego zrobiono wiele sławnych mieczy, których imiona zapisały się w historii i w legendach. – Jason zawiesił głos. – To metal, który spadł z nieba.

Match bez słowa pieścotliwie gładził powierzchnię klingi.

– Wiem, że zapewne nie wierzysz w metal z nieba.

Przeczący ruch głowy. Match mógł wyjaśnić, że widział już wiele rzeczy, w które trudno było uwierzyć. Metal z nieba nie wydawał się wcale wśród nich najdziwniejszy. Jednak Jason nie oczekiwał odpowiedzi.

– Wielu ludzi uważa, że kamienie spadające z nieba to bajki. Ale ja znam historię bryły, z której pochodzi ten metal. Usłyszałem ją od ojca, a nie mam już żadnych powodów, by w jego opowieść nie wierzyć. Zresztą, pośrednio potwierdzają ją niezwykle właściwości tej stali. Naprawdę, na ziemi nie znajdziesz nic podobnego. A bryła metalu, z której wykuto ten miecz, rzeczywiście spadła z nieba. Daleko stąd, na zamorskiej pustyni. Ci, co to widzieli, opowiadali o jasnej gwiazdzie, która oderwała się od nocnego nieboskłonu i z hukiem spadła na ziemię. W miejscu jej upadku znaleziono dymiący krater, na którego dnie leżała bryła metalu. Jeszcze gorąca. Nie wiem, Match, skąd biorą się takie rzeczy, spadające z nieba, nikt nie wie. Może – uśmiechnął się – bogowie ciskają w nas kamieniami, a słońce zrobione jest z roztopionego żelaza i od czasu do czasu jego krople spadają na ziemię. Jest to możliwe. Albo po prostu, tam, w górze krąży od cholery takich żelaznych i kamiennych brył, które niekiedy przylatują aż do nas. Wiesz, zdarza mi się myśleć, że te wszystkie spadające gwiazdy, te świetliste kreski, widoczne czasami na letnim niebie, to właśnie takie kamienie i gwiazdne żelazo. Nieważne zresztą. Ta bryła żelaza z nieba była największym skarbem mistrza mojego taty. Chciał z niej zrobić miecz dla wybrańca, jedyne, który będzie godny takiej broni. Miało to być dzieło jego życia. Wciąż zwlekał, nie znajdując nikogo, komu chciałby poświęcić swą pracę, nikogo godnego...

Jason dotarł do najtrudniejszego momentu swych zwierzeń. Spojrzał z ukosa na Matcha, który wciąż gładził gładką klingę, ale Jason wiedział, że pilnie słucha. Spróbował wziąć się w garść.

– Kiedy się urodziłem, ojciec podjął decyzję za mistrza. Uznał, że ten

oręż, który powstanie z niebiańskiego żelaza, jest przeznaczony dla mnie. Uwierzył, nie wiedzieć czemu, że ja, syn prostego płatnerza, dostąpię godności rycerskiej i właśnie tym mieczem wyrąbię sobie drogę do zaszczytów i sławy. Uwierzył, że czyn, którego postanowił dokonać, otworzy mi jasną, szczęśliwą przyszłość... Zrobił więc, co zamierzał. Ukradł swemu mistrzowi jego największy skarb, bryłę żelaza z nieba, po czym uciekł z całą rodziną. Zaszył się u najbardziej chyba podupadłego rycerza, jakiego znalazł. Miał nadzieję, że zrobi dla mnie wspaniały oręż, który otrzymam z jego ręki, jak tylko dorosnę. Wierzył, że za pomocą tego miecza stanę się sławnym rycerzem. Nadzieje spełniły się tylko częściowo, jak sam widzisz. Ojciec był dobrym płatnerzem. Mimo że nędza, w jakiej bytowaliśmy, spowodowała, że staczał się powoli w pijaństwo, wykuł wspaniały miecz. Sam to możesz ocenić. Ale zamiast młodzieńca, który zostałby giermkim, a potem rycerzem, dochował się jedynie złośliwego gówniarza, który patrzył na niego z pogardą i który nie miał za grosz szacunku; stał się natomiast znanym ci już oszustem i wydrwigroszem. Wszystko poszło na marne, całe ryzyko i poświęcenie. Tak, Match, ja wiem, że jego uczynek był co najmniej nieprzemyślany, ba, wręcz głupi. Ale, kurwa, on to zrobił dla mnie! Dla mnie, Match. I nigdy nie doczekał się ode mnie dobrego słowa. Najgorsze, że pod koniec, przed samą śmiercią, on już zdawał sobie sprawę, że nic nie będzie z jego marzeń, że poświęcił je dla mrzonki. Tak, musiał zdawać sobie sprawę, wystarczyło przecież na mnie spojrzeć.

Gruby patyk pękł z trzaskiem w rękach Jasona. Match drgnął. Zobaczył, jak po zaciśniętych na patyku palcach spływa lśniąca rubinowo w świetle ogniska kropelka krwi. Jason ocknął się, dostrzegł spojrzenie Matcha.

– Widzisz? – spytał smutno. – Zaciąłem się, gdy próbowałem włożyć go do pochwy. Nawet tego, kurwa, nie potrafię.

Cisnął przełamana gałązkę w ogień. Ścisnął przeciętą opuszkę palca, ale krew wciąż kapła.

Głęboko przeciął, pomyślał Match. Cholera, nawet pewnie nie poczuł. Sięgnął do sakwy, szukając kawałka czystej lnianej szmatki, wożonej właśnie na takie okazje. Rzucił ją Jasonowi.

– Masz, przewiąż – powiedział.

Jason rozwinął szmatkę. Zamiast jednak obwiązać przecięty palec,

mówił dalej, nie bacząc na skapującą z wolna krew.

– Kiedy byliśmy u lichwiarza, widziałem, jak przyglądasz się, kiedy liczyłem pieniądze. Miałeś taką lekceważącą minę, nie, nie zaprzeczaj, miałeś. Zauważyłeś na pewno, jak łapczywie zgarniam te monety. Nie uwierzysz, ale one same dla mnie niewiele znaczą, nie jestem chciwy, naprawdę. Nie zależało mi nigdy zbyt na pieniądzach, może dlatego, że nigdy mi ich nie brakowało. Ale lubiłem je wydawać. Tylko wiesz, nie śmieję się. Od jakiegoś czasu zaczęło mi zależeć. Chciałem kiedyś kupić jakiś majątek, wieś, nawet nie jedną. Pobudować kasztel, mieć służbę, może kupić jakiś urząd. A wiesz dlaczego? Bo, kurwa, jak będę coś miał, stanę się kimś, z kim liczą się sąsiedzi, kimś zasobnym, kogo szanują. Bo tak sobie myślę, że wtedy tato byłby ze mnie dumny.

Opatrzył wreszcie zraniony palec. Gdy skończył, Match chrząknął. Bez specjalnej intencji, po prostu zaschło mu w gardle.

Jason podniósł głowę.

– No, powiedz coś – rzucił przed siebie, nie patrząc. – Osądź mnie, tak jak ja osądziłem ciebie.

Match milczał. Jason nie spodziewał się niczego innego. Bo cóż można było powiedzieć. Jednak Match zadziwił go.

– Mogę tylko jeszcze raz podziękować – odezwał się cicho. – To bardzo cenny dar, możesz mi wierzyć. Nie tylko z powodu materialnej wartości i niewątpliwych zalet.

Wstał i odszedł od ognia.

– Ja nie znałem swojego ojca – dodał, zanim zniknął w gęstniejącym mroku.

Jason został przy ognisku. Przymknął oczy.

*Chłopczyk zanosił się płaczem. Po posiniątej od krzyku twarzy spływały łzy. To nie był zwykły płacz, tylko rozpaczliwy spazm, wołanie o pomoc, która nie mogła nigdzie nadejść. Chłopczyk był mały, niewiele umiał powiedzieć. Wykrzykiwał więc słowa, które zawsze sprowadzały pomoc i ten wielki mężczyzna o silnych lecz łagodnych ramionach przychodził utulić, ukołysać dziecięce łęki. Tak zawsze było do tej pory, gdy bał się czegoś, wystarczyło wypowiedzieć to słowo, a zaraz było dobrze.*

– *Tata, tata!* – krzyczał chłopczyk.

*On zaraz przyjdzie, przytuli, tak jak zwykle. Trzeba tylko głośno krzyknąć, żeby usłyszał, przecież śpi tak mocno.*

*– Tata!*

*Chłopczyk przykucnął, szarpnął ramię ojca. Dlaczego nie otwiera oczu, dlaczego nic nie mówi? Co to sływa po palcach, takie lepkie, czerwone? Przecież musi wstać, chata się pali! Ci obcy nie pomogą, śmieją się tylko.*

*– Tata...*

– Match! – wrzasnął Jason. W głowie czuł bolesne pulsowanie. Nikt nie odpowiadał.

– Match, do cholery!

– Idę, idę. – Match wyłonił się z mroku, wchodząc w krąg światła, rzuconego przez ognisko. – Co się stało?

Spojrzał na Jasona i od razu zrozumiał. Znał już ten wyraz twarzy. Przykucnął obok.

– Co widziałeś? – spytał bez żadnych wstępów.

Jason nie odpowiedział. Wzrok wciąż miał nieobecny.

– Co? – spytał po chwili nieprzytomnie.

– Pytam, co widziałeś? – powtórzył Match cierpliwie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, siadł obok. Do tego też zdążył się przyzwyczaić, wiedział, że Jason musi dojść do siebie. Zaczynał rozumieć, ile kosztują wizje.

– Pamiętasz, mówiłeś kiedyś o swym opiekunie – zaczął z trudem Jason. – Tym, który miał cię wychowywać, uczyć, tym, któremu cię oddali. On zginął, jak mówił ten druid.

– Tak, mówiłem – przytaknął Match.

– Wiesz coś więcej o nim?

Match zamyślił się. Wiedział niewiele, tyle, ile usłyszał kiedyś od druida. Jakieś strzępki informacji.

– No... – rzekł niepewnie. – To też był druid. Ponoć o największym stopniu wtajemniczenia. Dlatego oddali mu mnie, bo jak sobie przypominasz, podobno wiązali ze mną wielkie nadzieje.

Uśmiechnął się krzywo. Tak to już jest, pomyślał, zazwyczaj wielkie nadzieje zawodzą, jak sam się o tym przekonałeś.

– Prawie go nie pamiętam. Zabili go rozbójnicy, a ja...

– To był twój ojciec, Match – przerwał Jason.

– ...błąkałem się – dokończył Match z rozpędu i urwał. – Co ty powiedziałaś?!

– To był twój prawdziwy ojciec. Jestem tego pewien.

Jason przymknął oczy. Tak, pomyślał, tego jestem pewien. Ale jest jeszcze coś, czego ci na razie nie powiem, bo nie jestem tak pewien, bo zobaczyłem to jedynie gdzieś na krawędzi postrzegania. Chociaż może powinienem powiedzieć. Jego nie zabili rozbójnicy. Jego zabili tamci.

### - III -

Za zakrętem gościniec, otoczony z obu stron młodnikami, wspinał się lekko pod górę, stawał się szerszy i bardziej piaszczysty. Kiedyś zapewne prowadzono tu intensywny wyrąb, korzystając, że sosny, nie tak wcale pospolite w puszczy, rosły blisko traktu. Wśród gęsto stłoczonych kilkunastoletnich sosenek pozostało kilka starych, samotnych drzew. Jason wiedział, że te wysokie to nasienniki. Jakiś przewidujący leśniczy nie pozwolił wyrąbać wszystkiego, by pozostawione drzewa rozsiewały swe nasiona na porębie, która inaczej zarosłaby leśnym chwastem.

Przed sobą mieli chłopski wóz. Stał w poprzek drogi, ale obok widać było tylko jednego kmiecia, który chyba spał na siedząco, oparty o koło, z głową spuszczoną na piersi. Pijany pewnie, doszedł Jason do wniosku.

Ech, by było prawdziwe te chłopy, pomyślał, tak się uchlać do nieprzytomności i zasnąć. Leży i ani drgnie, jakby nie słyszał zbliżających się koni. Można takiego zarżnąć, nie zauważy nawet kiedy. Tak, zarżnąć, stąd ta czerwień, plamiąca pierś siedzącego na piasku, opartego o koło człowieka...

Gdy podjechali bliżej, uspokajając chrapiące nerwowo wierzchowce, dostrzegli potarganą uprząż.

Match zsunął się z kulbaki, rzucił wodze Jasonowi. Sam rozglądał się uważnie, rejestrując szczegóły.

Jeden chłop leżał na drodze, dwóch na poboczu, z twarzami ukrytymi w wysokich wrzosach. Uprząż była zerwana, konie musiały same się uwolnić, oś wbiła się głęboko w miękki piasek gościńca, pękło lite drewniane koło. Nie dostrzegł żadnych śladów walki.

- To zbóje? - usłyszał niepewny głos Jasona. - Powiedz, Match, to zbóje? Zabili i obrabowali?

Match podszedł do opartego o koło człowieka. Chwycił go za włosy. Usłyszał, jak Jason głośno wciąga powietrze.



Z bladej, pokrytej zaschniętą krwią i śluzem twarzy patrzyły krwawo puste oczodoły. Rozerwane gardło wskazywało, jak zginął.

– To nie zbóje. – Match puścił głowę, która opadła z powrotem pod dziwnym kątem. Kark też złamany, zauważył. – Nie, Jason, to nie zbóje – powtórzył.. – To już to. – Spojrzał na niego wymownie.

Poblady Jason niechętnie gramolił się z siodła. Przez chwilę nie mógł się zdecydować, w końcu jednak przemógł się i położył dłoń na ramieniu zabitego.

*...Czarny kształt, rozmazany, niepochwytny szybuje w powietrzu. Błysk kłów tuż przed oczyma, otchłań szeroko rozwartej paszczy. Ciemność...*

Gdy się ocknął, siedział na piasku, ściskając skronie. Match nie przynaglał, czekał, aż przyjaciel dojdzie do siebie.

Ale gdy wreszcie Match usłyszał, co zdołał zobaczyć, nie krył rozczarowania.

– Tylko tyle? – spytał niechętnie.

Jasonowi nie udało się zapanować nad sobą.

– Co znaczy, tylko tyle! – rozdarł się. – Co ty sobie do cholery myślisz? Że wszystko będzie wyłożone jak w księdze, z komentarzami i indeksem? Z iluminowanymi inicjałami wyobrażającymi potwora? Czy ty wiesz, ile to mnie kosztuje? Czy ty w ogóle wiesz, jak to jest?

Match milczał. Jason przerwał i opuścił głowę.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – Ale ja naprawdę tylko tyle zdołałem zobaczyć. Chcesz, to spróbuję jeszcze raz.

Miał nadzieję, że Match jednak nie będzie chciał. Niestety, płoną.

Na nic się to nie zdało. Nie dowiedział się wiele więcej.

– Cholera, mało tego – zasepił się Match. – Nie, nie myśl, że mam do ciebie pretensje. Ci chłopci zostali zaskoczeni, niedużo zdążyli zobaczyć. Szlag by to trafił, wiemy tyle co nic.

– Przecież jesteś, jak by to rzec, specjalistą... – zaczął niepewnie Jason.

Match spojrzał na niego uważnie. Nie wyczuł drwiny, Jason mówił szczerze. Szlag by to trafił, on rzeczywiście uważa mnie za specjalistę, pojął ze zdziwieniem. I ma nadzieję, że dam sobie radę.

– Posłuchaj, Jason – powiedział z namysłem. – Nie ma specjalistów od

potworów. One nie są stąd, są obce. Ja, owszem, spotkałem w życiu co najmniej kilkanaście. Przeżyłem, co rzeczywiście stawia mnie w uprzywilejowanej pozycji wobec większości ludzi, którzy mieli wątpliwą przyjemność i niewątpliwego pecha wejść im w drogę. Nawet zabiłem kilka. No i nasłuchałem się o nich, wierz mi, aż za dużo... Nadal jednak ich nie znam.

Przerwał, popatrzył na jucznego luzaka. Raczej miecz, zdecydował, w tym gąszczu kusza na wiele się nie przyda. Niedobrze.

– Zostaniesz tutaj. – Odwiązał przytroczoną pochwę.

– Człowieku, nie chcesz chyba?... – Jason z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. – Ty nie chcesz chyba tam iść? Bez sensu, to bydlę może już być za siedmioma górami. A jeśli nie jest, to tym bardziej...

Match nie słuchał, wyciągnął miecz z pochwy, krytycznie przyjrzał się ostrzu.

– Sam mówiłeś kiedyś, że są tu obce – ciągnął Jason. – Nie przeżywają długo, nie ma dla nich miejsca w tym świecie. To niech sobie spokojnie zdechnie, co nam do tego? Zastanów się – dodał bezradnie.

– To nie takie proste – padła spokojna odpowiedź. – Z tego, co mówiłeś, wnioskuję, że to mantikora. Paskudne bydlę. Nie znajdzie tu naturalnych przeciwników, za to pożywienia – ile zechce. A wykończą ją dopiero jesienne chłody. Jeżeli nie pamiętasz, mamy właśnie koniec lipca, pełnię lata. Jason, tą drogą będą jeździć ludzie...

Wbił miecz w piasek, naciągał rękawice długie do łokci, nabijane ćwiekami.

– Chłopi zginęli z rana. Stężenie już się cofnęło, a jeszcze nie śmierdzą, choć ciepło. Prawdopodobnie było ich czterech, mantikora zabiła wszystkich, a jednego uniosła, aby go zeżreć w cichości i spokoju. Nie zaleciała daleko, one dobrze nie latają. Jestem pewien, że zapadła gdzieś niedaleko. Naźarła się, będzie nieruchawa, powinienem sobie poradzić.

Przynajmniej taką mam nadzieję, dodał w myślach, ale nie wypowiedział tego na głos.

– Match – jęknął Jason – ja wiem, ale...

– Jason, przypomnij sobie kupców, których minęliśmy, mówili, że

wkrótce ruszą. Dojadą tu rankiem, mantikora znów będzie głodna, będzie na nich czekać. Nie odleci daleko. Muszę, Jason, sam wiesz.

Odwrócił się w stronę lasu. Ponieważ nie miał pojęcia, gdzie szukać, ruszył wprost przed siebie. Kierunek dobry jak każdy inny.

– Match, przecież mnie tu nie zostawisz – dobiegł go z tyłu cichy jęk, przerywany szczękaniem zębów. – Nie zostawisz mnie samego...

– Nic ci nie grozi – rzucił Match przez ramię. – Chcesz, weź kuszę, raźniej ci będzie.

I nie postrzel mnie, jak będę wracał, pomyślał z sarkazmem.

Gdy za Matchem zamknęły się gęste gałązki młodych sosen, Jason drżącymi rękoma odtoczył kuszę, wsunął nogę w jej strzemię i z wysiłkiem nacisnął dźwignię napinającą cięciwę. Dwukrotnie usiłował trafić rowkiem bełtu w szczelinę orzecha. Udało się za trzecim razem.

Stał w letnim zmierzchu na środku gościńca, odwracając się i podrywając kuszę na każdy szelest. W końcu wyprowadzony z równowagi denerwującym brakiem oczu z tyłu głowy, usiadł, opierając się plecami o lite koło. Starał się nie zwracać uwagi na swego milczącego sąsiada, który siedział z głową spuszczoną na pierś pokrytą zakrzepłą krwią. Ścisnął kolbę kuszy aż do bólu.

Match tymczasem z trudem brnął przez gęsty młodnik. Na trakcie dopiero zapadał wczesny jeszcze zmierzch, ale tutaj panowała niemal w noc. Kłujące igły biły w twarz, pajęczyny lepiły się do powiek. Miecz zawadzał, dopóki Match nie przełożył go pod pachę, klingą w tył.

Całe przedsięwzięcie wyglądało tu znacznie gorzej niż na gościńcu.

Pocieszał się nieco, że mantikora też niechętnie przedzierałaby się przez taki gąszcz, jej skrzydła były zbyt delikatne. Przypomniał sobie tę jedyną, którą widział przed laty, ustrzeloną przez przytomnego kłusownika celnym trafieniem w gardło. Dziwił się wówczas jak delikatne, cienkie błony, porwane podczas upadku przez gałęzie, mogą unieść tak wielkie cielsko.

Znalazł dziczą ścieżkę. Odtąd szło się łatwiej, choć nawet zgięty wpół, był jednak wyższy od przeciętnego dzika, a gałęzie nadal smagały go po twarzy, zmuszając do ciągłej uwagi i przymykania oczu. Trzeba skombinować nową pochwę na miecz, taką do troczenia na plecach,

pomyślał, podobną do tych, w których Maurowie noszą swoje krzywe miecze. I jeszcze jakąś przepaskę, kudły włożą do oczu, kiedy człowiek skrada się tak pochylony.

Wreszcie mógł się wyprostować. Przeciął małą polankę, brodząc prawie do pól uda w wysokich trawach. Potem wszedł na miękki dywan mchów, który sprężynował pod nogami; buty zapadały się w nim prawie po kostki. Rozejrzał się. Wokół rzadko rosły ciemne jałowce, bieleły wyschnięte pnie martwych brzoź

Match istotnie nie był specjalistą od potworów z innych światów. To, co parskało, syczało i pluło, siedząc na zwalonej kłodzie i wlepiając w niego żółte, przecięte pionowymi szparkami źrenic oczy, nie było mantikorą.

Stanął jak wryty, wysunął przed siebie sztych trzymanego oburącz miecza. Stworzenie zasyczało głośniejsze, szczerząc ostre kielki. Pręgowany ogon uderzał o boki.

Stwór był mały, niewiele większy od żbika, i w sumie trochę go przypominał. Miał kocią głowę z przylegającymi do czaszki uszami i długi, nerwowo poruszający się ogon. Nawet siedział jak duży, tłusty kocur – skulony, z dziwnymi fałdami marszczącej się po bokach skóry.

Chryste, trzeba było zabrać kuszę, przyszła Matchowi do głowy nieco spóźniona refleksja. To nie mantikora, nażarta i ociążała, jak wszystkie stwory gadziej proveniencji, powolna od wieczornego chłodu.

Nie mógł się już cofnąć. Zaczął zataczać sztychem powolne kręgi, postąpił krok do przodu. Stwór śledził ostrze nieruchomymi ślepiami, odwracając całą głowę. Match uniósł rękę. Poruszał wolno pustą lewą dłoń, a jednocześnie nie przestał wodzić ostrzem przed sobą, chcąc zdezorientować stwora.

Syczenie nasiliło się i przeszło w głęboki, warczący jęk. Pręgowany ogon coraz szybciej uderzał o pokryte fałdzistą skórą boki. Match zrobił krok... Pod butem złamała się sucha gałązka.

Jeszcze nie przebrzmiał trzask, gdy miejsce, w którym przed chwilą tkwił przycupnięty stwór, okazało się puste. Match ledwie zdążył zauważyć, jak stwór bezszelestnie uskoczył w bok i przypadł do mchu.

Czując, że potwór zaraz znów skoczy, Match sprężył się i cofnął. Nie zamierzał ułatwiać mu zadania.

Zwierzak, oszołomiony, nie ruszył się z miejsca. Wciąż sycząc, uniósł się nagle i stanął wyprostowany. Rozłożył szeroko przednie łapy. Parskał wściekle z szeroko otwartą, błyszczącą białymi zębami paszczą.

Jakaś część umysłu Matcha mimo woli rejestrowała szczegóły. Dostrzegł płaską, kocią czaszkę i stulone uszy stworu, przednie łapy, znacznie dłuższe od tylnych, co było doskonale widać w tej pozycji. Luźna skóra po bokach rozpięta była pomiędzy przednimi i tylnymi kończynami, prawie jak u nietoperza. Nawet w zapadającej ciemności Match mógł zobaczyć, że futro zwierzaka jest szare i pręgowane jak u poczciwego kota-dachowca. Długie pazury chowały się i wysuwały co chwila.

Potwór syczał coraz głośniej. Wydawał się znacznie większy niż wtedy, gdy siedział.

Match już nie próbował zwodów, przymierzał się do cięcia. Jeszcze krok, będę mógł go sięgnąć, pomyślał. Stój tak, stój...

Stwór skoczył z niewygodnej pozycji, nieprawdopodobnym łukiem przesadził nad grożącą mu klingą, pazurami wszystkich czterech łap celując prosto w oczy Matcha. Ten zwinął się w uniku, wiedząc, że miecz w tej chwili na nic mu się nie przyda. Dłonią w nabijanej ćwiekami rękawicy próbował osłonić twarz. Prawie się udało, jednak pazury przecięły mu policzek.

Cudem nie upadł. Odskoczył, czując, że po twarzy ciekną mu gorące strumyki. Stwór zniknął.

Match otarł krew, rozejrzał się niespokojnie, usiłując przebić wzrokiem gęstniejący mrok. Zwierzak nie trafił tylko dlatego, że obawiał się miecza, przeszło mu przez głowę. Skoczył łukiem, zapewne wolniej niż zwykle. Ale i tak jest za szybki. Cholera, zaraz będzie ciemno. On widzi w ciemności, ja nie...

No, gdzie jesteś... Dalejże, nie chowaj się...

Kątem oka dostrzegł poruszenie – z lewej strony, nie mógł więc wygodnie uderzyć. Nie próbował nawet odwracać się, wiedział, że nie zdąży. Rozpaczliwie wymierzył cios nieuzbrojoną ręką.

Trafił. Stwór, celujący w odsłoniętą szyję, nadział się wprost na pięść. Był lekki, uderzenie odrzuciło go. Rozległ się wrzask, dziwnie znajomy, jakby ktoś kotu nadepnął na ogon. Match ciął na odlew. Ostrze

nieszkodliwie zagłębiło się w mchu, potwór był nadal bardzo szybki.

Tym razem jednak nie umknął daleko, nie zniknął z oczu. Przypadł nieopodal do mchu. Match chciał doskoczyć, zanim stwór oprzytomnieje, ale noga uwięzła mu w wykrocie, ukrytym w ściółce.

Kiedy padał na kolana, stwór właśnie odbijał się od ziemi. Zmierzał po wysokim łuku tam, gdzie jeszcze przed chwilą była głowa Matcha. Próbował w locie zmienić kierunek, wijąc się, wyciągając łapy i kręcąc ogonem, jak kot rzucony z nienacka prosto na ścianę. Match uderzył z dołu, z niedogodnej pozycji, sięgając samym końcem ostrza.

Stwór padł na mech. Nie jak przedtem, na cztery łapy, ale niczym rzucona szmata. Wciąż syczał, jego ślepie gorzały nienawiścią. Usiłował jeszcze rzucić się na przeciwnika, lecz tylko ciągnął za sobą bezwładne tylne kończyny, znacząc mech lepką czerwienią.

Match nie czekał, aż się wykrwawi. Zbliżył się ostrożnie, bez trudu uniknął niemrawego ciosu wysuniętymi pazurami. Wzniósł oburącz miecz i jednym ciosem przyspilił potwora do mchu. Stwór zaszamotał się i znieruchomiał.

Po krótkiej chwili, wystarczającej jedynie, by uspokoić bijące serce, Match wyszarpnął miecz i nie oglądając się, ruszył w stronę gościńca. Nie czuł specjalnej satysfakcji, wiedział, że pomógł mu przypadek. Mało brakowało, myślał, a dostałby mnie. Jeszcze trochę, a nie pozostałoby nic innego, jak stać w ciemności i czekać, pewnie niezbyt długo. Cholera, wszystkie są takie szybkie. I obce, nie wiadomo, co mogą zrobić. Żaden ze mnie specjalista...

Gdy przedzierał się do traktu, poweselał trochę. Cóż, przynajmniej dziś nic więcej już im nie grozi.

Cięciwa kuszy szczęknęła, gdy rozgarniał ostatnie gałęzie. Bełt świsnął mu koło ucha. Rzucił się w bok, bez sensu, pocisku, który zabija, nie można usłyszeć.

Mógł już śmiało wyjść na gościniec, napięcie kuszy zabiera jednak trochę czasu, a wiedział, że ma przed sobą tylko jednego człowieka, który uparł się go zabić.

Jason trzęsącymi się rękoma starał się napiąć kuszę. Nie szło mu to zbyt sprawnie.

– Rzuć to – powiedział Match cierpko. – Już po wszystkim.

– Już po... – Jason spoglądał nieprzytomnie, jakby wciąż nie poznając, kto przed nim stoi. – Po wszystkim?

Dopiero teraz dostrzegł podrapaną twarz Matcha i miecz umazany krwią. Zaczęło do niego docierać.

– Zabiłeś ją, tak? – Roześmiał się histerycznie. – Zabiłeś! Dałeś radę! Mówiłem ci przecież.

– Po pierwsze, nie ją, ale jego – mruknął Match z sarkazmem. – Po drugie, to o ile pamiętam, mówiłeś coś zgoła przeciwnego. Nieważne zresztą.

Starannie wycierał zakrwawione ostrze skrajem kapoty zabitego chłopca. Jason klapnął na ziemię.

Odprężenie, które sprawiło, że Match był zjadliwy i sarkastyczny, u Jasona wzmogło jeszcze gadatliwość i wścibstwo.

– To nie była mantikora? – spytał z ożywieniem. – Co w takim razie?

– Gryf – odparł krótko Match. Nie miał ochoty na pogaduszki.

– Gryf? – Jason zerwał się na nogi. – Gryf? Match, ja w życiu nie widziałem gryfa.

– I powinieneś się cieszyć – uciął Match. – Bo to mógłby być twój ostatni widok w życiu. Zbieraj się, ruszamy.

– Match... – zaczął Jason błagalnie.

– Nawet o tym nie myśl, ciemno się robi. A ty dopiero co prawie się zesrałeś ze strachu. Mało mi łba nie odstrzeliłeś.

– Proszę... Pójdziemy razem, tylko na chwilę.

Match uległ po namyśle.

– W porządku. Pokażę ci tego bydlaka. Inaczej się nie odczepisz, na tyle już cię znam. Tylko pospiesz się.

Na widok ścierwa na skraju polanki Jason wybałuszył oczy ze zdziwienia

– To jest gryf? – Podniósł gałąź, ostrożnie szturchnął zwierzaka. – Co on taki mały?

– Widocznie był ostatni z miotu – odparł oschle Match. – Napatrzyłeś

się? To idziemy.

– Zaraz, zaraz! I takie skrzyżowanie kota z nietoperzem ci gębę pochlastało? Takie coś? Poza tym widziałem gryfa nieraz. Jeden znajomy rycerz miał takiego w herbie, na tarczy. Miał też gobelin, gryf był na nim wyobrażony jak żywy! Wysoki na półtora chłopca! Ten wprawdzie trochę podobny, zwłaszcza jak łapy rozłożyć, i z pyska też, ale czemu taki mały?

– Przypomnij sobie chłopów. Nawet nie zdążyli spostrzec, co ich zabija. Ten tutaj może nie wygląda okazale, ale jest szybki. Podejrzewam, że zre to samo co żbik: ptaki, małe zwierzęta, ale jak wszystko, co przyjdzie stamtąd, instynktownie i śmiertelnie nienawidzi ludzi. Nie ucieka, ale atakuje bez namysłu i skutecznie. Wierz mi, niewiele brakowało...

Jason zawstydział się nieco. Widział bielejącą w półmroku twarz, z której nie zdążyło opaść napięcie, krwawe bruzdy na policzku, rozerwany rękaw. Match podążył za jego spojrzeniem, dopiero teraz spostrzegł ranę na przedramieniu. Przedtem nawet nie poczuł. To wtedy, kiedy dałem mu w łeb, pomyślał.

– A co do wizerunków... – podjął – to artyści wyolbrzymiają zwykle. Bo pomyśl, chciałbyś mieć w herbie coś wielkości przerośniętego żbika?

W sumie ma rację, przyznał obiektywnie Jason, któremu niegdyś pewien rycerz pokazywał z dumą portret swej damy. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł przypuszczać, by po ziemi chodziło coś tak strasznie zniekształconego.

– Naprawdę mało brakowało. Miałem po prostu szczęście, potknąłem się w najbardziej odpowiedniej chwili. Inaczej to ja bym tu w tej chwili leżał, a ty mógłbyś szturchać mnie patykiem. Oczywiście, o ile by ci na to pozwolił. Osobiście wątpię. A najśmieszniejsze jest, i tak prawdopodobnie nie przeżyłby do jutra.

Jason uniósł brwi ze zdziwieniem.

– To kocur, samiec – wyjaśnił Match. – Pierwsze co zrobił, to zgodnie ze swym zwyczajem zaznaczył teren. No, obsikał go. A miejscowe żbiki nie lubią konkurencji, dopadłyby intruza najdalej tej nocy. I mają równe szanse. Widzą w nocy, mają pazury, są szybkie jak gryf. I co ważniejsze jest ich wiele, a on sam. Nieszczęsny skurwiel do rana byłby w strzępach.

– A jeśli nie? Jeśli dopadłyby go dopiero następnej nocy? – spytał



Jason cicho.

Gdy wsiadali na konie, Jasonowi przyszedł do głowy jeszcze jeden pomysł.

– Hej, Match – zaczął. – W świecie, z którego przybył, jest ich wiele?

– Tak. Takich jak on i jeszcze gorszych.

– Wiesz, tak przyszło mi do głowy... Skoro ich tak dużo, to polowanie na takie stwory może być całkiem niezłym zajęciem. Pewnie popłatnym.

– Jason, posłuchaj... – W głosie Matcha brzmiała solenna powaga. – Jak wiesz, w pewnym sensie jestem za to odpowiedzialny. Bo to po części moja wina, że ten bydlak się tu pojawił. Dobrze, udało się, ale jeszcze mi się nogi trzęsą...

Pokręcił głową.

– I wiesz co? – dodał jeszcze, zanim ruszyli. – Jak pomyślę, że ktoś mógłby tak na co dzień, dla pieniędzy... Musiałby to być idiota. Tak, kompletny idiota...

## - IV -

Pociągnąwszy krzywe drzwi, zawieszane z braku zawiasów na starych skórkach od słoniny, Jason pomyślał, że to widać lokalna specjalność. Karczma poza tym drobnym szczegółem różniła się jednak od tej, którą tak dobrze zapamiętał. Położona była przy uczęszczanym szlaku, otaczały ją zadbane budynki gospodarskie, stajnie, stodoła. Oberżysta nie mógł się uskarżać na niedostatek gości, przy koniowiążie stało kilkanaście koni, na podwórzu pacholkiwie pilnowali kupieckich wozów. W każdym razie starali się robić takie wrażenie, co przeszkadzało im w widoczny sposób w spokojnym opróżnianiu kolejnych garnicy piwa.

Match nie chciał zajeżdżać do karczmy. Swoim zwyczajem wolał zanocować w lesie, pożywiwszy się wprzód tym, co znalazł w sakwach. Jason miał jednak dosyć. Gdyby nie napotkali gospody, bez szemrania zjadłby nieśmiertelną wędzoną słoninę, zagryzając plackami jęczmiennymi, chleb skończył się bowiem przed paroma dniami.

Gdy wyjechali z lasu i ukazała się karczma stojąca pośród pól, Jason stanowczo odmówił dalszej wędrówki. Skręcił z traktu na prowadzącą do niej drogę.

- Nic z tego, przyjacielu. - Widząc jego minę, uprzedził ewentualne protesty. - Już tutaj czuję pieczeń baranią. Podczas podróży z tobą zapomniałem prawie, jak to pachnie. I właśnie zamierzam sobie przypomnieć. Tak, Match, będę żarł, póki nie pękne. Będę pił wino, aż zwalę się pod stół. Nie przeszkodzisz mi w tym.

Match nie miał zamiaru przeszkadzać. Ruszył za Jasonem, nie mówiąc ani słowa. Kręcił jedynie z dezaprobatą głową. Jason obejrzał się.

- Nie kręć tak głową, nie kręć! - Roześmiał się, czując, że wkrótce będzie mógł sobie pofolgować. - Nie pamiętam już, kiedy zjadłem coś porządnego. W klasztorze tylko jagły, u ciebie dziczyzna. Nie obraż się,

ale kucharz z ciebie żaden. No, może te pstrągi. A choćby prawdziwe piwo! Wiem, przyzwyczaiłeś się do tych klasztornych szczyn, ale to jeszcze nie powód, żeby w końcu nie napić się czegoś porządnego.

Ruszył szybciej. Match nie miał nic przeciwko dobremu jedzeniu. Czuł jednak, że marnują czas, że powinni jechać dalej.

– Match, i tak mieliśmy zatrzymać się na noc. – Jason domyślał się powodów jego niechęci. – Jutro z rana ruszymy. Co nam szkodzi, raz zjeść dobrze, przespać się na sianie, a nie na mchu, gdzie mrówki za kołnierzą włożą?

Wykrzywił się pociesznie.

– Sam pomyśl, wędzonka na zimno, wędzonka na patyku, opiekana nad ogniskiem, wędzonka na sto innych sposobów. Wiesz, jak przejeżdżamy przez wieś, jak widzę świnię... Nie, nie powiem nawet, co bym z nią zrobił najchętniej. W każdym razie nie wędzonkę. Cholera, świnia ma tyle innych części, nie tylko tę słoninę, którą jest owinięta.

– Zamknij się wreszcie. – Nieprzerwany monolog Jasona zaczynał działać Matchowi na nerwy. – Przecież jadę, nic nie mówię.

Jason nie darował sobie ostatniego słowa.

– Nie pożałujesz. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Zobaczysz, jeszcze wyjdiesz przy mnie na ludzi...

Match nie pożałował. Pożałował natomiast Jason, gdy tylko rozejrzał się po przestronnej, jasno oświetlonej blaskiem z wielkiego paleniska i smolnymi łuczywami izbie, zamierzając wezwać karczmarza. Powiódł wzrokiem po siedzących przy zbitych z grubych desek, pozalewanych winem i piwem stołach. Szukał karczmarza lub któregoś z posługujących pachołków. Karczma była duża, ruch panował spory, więc właściciel sam nie mógłby sprostać życzeniom uczających. Jednak zamiast karczmarza lub pomocnika zobaczył za stołem zwałistego mężczyznę, którego widok zmroził mu krew w żyłach. Cofnął się, wpadając na Matcha.

Znał mężczyznę, siedzącego w otoczeniu kilku zbrojnych, którzy hałaśliwie walili kubkami w blat i śpiewali sprośną piosenkę. Nie mógł zapomnieć tej nacechowanej bezmyślnym okrucieństwem twarzy.

Człowiekiem, który wpatrywał się w niego wzrokiem już zamglonym przez wypite wino, był Kiciak, giermek panicza Gilberta.

Jason stał jak sparaliżowany. Wrócił zapomniany już, zda się, lęk. Znów poczuł się skazany na jego łaskę i niełaskę.

Szturchnięcie z tyłu przywróciło go do rzeczywistości.

– Co jest? – spytał Match. – Tak się paliłeś do tej pieczeni, a teraz...

Jason oprzytomniał. Dotarło do niego, że Kiciak nie chwycił za broń, nie przewrócił stołu, podrywając się z ławy. Jego spojrzenie prześlizgnęło się obojętnie po twarzy Jasona. Po chwili odwrócił się, przyłączając do śpiewających.

Nie poznał mnie, uświadomił sobie Jason. Nie ma się co dziwić, wyglądam nieco inaczej, zwłaszcza w tym stroju.

– Co z tobą? – usłyszał za sobą powtórne pytanie. – Rozmyśliłeś się czy co? Zapach nie taki czy towarzystwo ci nie odpowiada?

Owszem, nie odpowiada, pomyślał Jason.

– Nic, nic – odparł. – Chodź, siądziemy gdzieś...

Znaleźli miejsce w przeciwnym kącie izby, gdzie jeden z pijących, widać już od dawna, kupców zwałił się właśnie pod stół. Jak spod ziemi wyrósł przy nim pacholek, który ujął go pod pachy i z wysiłkiem pociągnął do wyjścia. Postękiwał przy tym, bo kupiec był słusznego wzrostu.

Match odsunął drugiego biesiadnika, który wprawdzie nie spadł jeszcze z ławy, ale był tego bliski. Pozostawało mieć nadzieję, że nastąpi to już niebawem, bo przy stole nie pozostało wiele miejsca. Usiedli ciasno stłoczeni.

– Hej, karczmarzu! – zawołał Match do przebiegającego obok człowieka w zatłuszczonym fartuchu.

Ten zbył go niecierpliwym machnięciem ręki i krzyknął do mozołącego się ze swym pryncypałem pacholika:

– Hola, hola! Nie tak szybko, najpierw trzeba zapłacić. Cholera, z nimi tak zawsze, nażrą się, nachlają, a potem płacić nie ma komu.

Kiciak i jego wesoła kompania umilkli. Spoglądali z aprobatą na gospodarza, trzymającego w garści duży zardzewiały tasak. Może rąbał właśnie mięso na pieczeń, a może... Wyraźnie pochwalali taki sposób egzekwowania należności.

Pachołek skrzywił się tylko, puścił trzymanego pod ramiona bezwładnego kupca. W zapadłej nagle ciszy słychać było, jak jego głowa uderzyła o polepę. Na ten dźwięk wszyscy, nie wyłączając giermka, drgnęli.

Chłopak schylił się nad pryncypałem. Odsupłał węzeł zawieszony u jego pasa sakiewki, pogrzebał w niej. Podał monety karczmarzowi. Ten zobaczywszy, co trzyma w garści, zaczął wylewnie dziękować.

– Wystarczy? – przerwał pachołek niecierpliwie.

– Aż nadto, szlachetny panie, aż nadto!

– To zamiast stać, pomóż mi zatargać starego sukinsyna na wóz. Psiamać, zawsze tak jest, mnie każe wozu pilnować, a sam jak ta świnia... Żadnej karczmy nie ominie! A potem ja po uszach od szanownej małżonki dostaję, że nie upilnowałem!

Stary sukinsyn poruszył się, zabełkotał coś.

– Szybciej, karczmarzu, zaraz będzie rzygał – ostrzegł pachołek.

Karczmarz zakręcił się. Rozejrzał.

– Hej, Benny! – krzyknął, dostrzegłszy przemykającego się w cieniu pod ścianą pomocnika. – Rusz no się, pomóż szlachetnemu panu opuścić nasze gościnne progi! A żywo!

– Żywo – przytaknął pachołek. – Bo nie zdążymy. Bierz go z przodu, Benny, czy jak ci tam.

Sam chwycił kupca za nogi.

– Ja wolę z tyłu – dodał, uśmiechając się chytrze. – Czy ktoś byłby łaskaw przytrzymać drzwi? Dziękuję.

Zniknęli na zewnątrz.

Karczmarz odetchnął z ulgą. Podeszedł do stołu Matcha i Jasona.

– Wybaczcie, szlachetni panowie – usprawiedliwił się. – Ale sami wiecie, jak to jest. Trzeba swego pilnować, inaczej człowiek by z torbami poszedł. Czym mogę służyć?

– Najpierw wina. – Match, widząc, iż Jason wciąż przygląda się pijącym w przeciwległym kącie, zdecydował się zamawiać. – Potem...

Przerwał mu chóralny rechot. W drzwiach stanął Benny, którego wygląd świadczył o tym, że mimo wszystko nie zdążyli.

– Wybaczcie jeszcze chwilę. – Karczmarz podbiegł do stojącego z nieszczęśliwą miną chłopaka. Zamierzył się, wydawało się, że uderzy. Opuścił jednak rękę.

– Gdzie, zarzygańcu jeden, tu porządna karczma! Tu ludzie jedzą! Won mi do koryta, umyć się! Cholera, nawet gościa wyprowadzić nie potrafi!

Benny próbował coś tłumaczyć, ale gdy oberżysta znów uniósł rękę, zniknął za drzwiami.

– Tak to już jest, panowie. – Karczmarz wrócił do Matcha i Jasona, począł tłumaczyć: – Taka praca. Najgorsze są te kupce, mówię wam. Taki żołnierz jako wy, szlachetny panie, to łeb do wina ma. Jak się uchleje, to najwyżej zwady szuka. A u mnie, wiecie, porządna karczma, w izbie prac się nie pozwalam. Na podwórzec trza wychodzić, wszyscy wiedzą.

– A jak nie wiedzą? – spytał Match.

– Jak nie wiedzą? – zdziwił się karczmarz. – A, wy pewnikiem pierwszy raz u mnie. Jak byście nie wiedzieli, panie, to Basile wam wytłumaczy, jak się trzeba zachować.

Wskazał wzrokiem w kąt. Siedział tam Basile, wielki, ponury drab w kubraku bez rękawów, o twarzy nieskażonej żadną myślą. W pierwszej chwili Matchowi wydało się, że Basile stoi. Wytężył wzrok, chcąc dostrzec szczegóły w mrocznym, zadymionym kącie. Mylił się, ponury drab siedział na niskim zydlu. Był po prostu duży, bardzo duży.

– Basile ma wprawę – powiedział karczmarz. – Nie to co ten szczył. Ale i on nauczy się jeszcze, nauczy. I wiecie, panie, jak Basile nie poradzi, to są też inne sposoby – dodał znacząco.

Match się roześmiał.

– My spokojni ludzie, panie karczmarzu – odparł. – My tylko zjeść i napić się przyszliśmy. Nie w głowie nam burdy i sprawdzanie tych waszych innych sposobów. Popatrzcie na nas, czy my wyglądamy na rozrabiaków?

Karczmarz zmierzył ich uważnym spojrzeniem. Popatrzył na poprzecinane bliznami twarze, skórzane kubraki, nabijane ćwiekami rękawice na blacie stołu i na owiniętą pasem pochwę miecza, którą Match trzymał na kolanach.

– Nie, skąd – skłamał szybko. – Tak sobie gadam, na wszelki wypadek. Ale jeszcze jedno, szlachetny panie. Broń trza w kącie zostawić, o, tam, gdzie Basile siedzi. Zwyczaj taki.

Match wzruszył ramionami. Podał miecz karczmarzowi. Jason poszedł za jego przykładem.

– Bądźcie zatem łaskawi, dobry człowieku – rzekł Match. – Myśmy zdrożeni, dupska z ławy ruszać się nie chce.

Karczmarz skinął ręką. Podbiegł pacholek, odebrał od niego broń.

– No to do rzeczy – powiedział gospodarz. – Co szlachetni panowie sobie życzą?

Popatrzył wyczekująco.

– No, miało być wino. I jeszcze pieczeń barania, na początek...

– Wino, dwa dzbany. Dobrze. – Karczmarz podrapał się w ucho brudnym paluchem. – Ale pieczeni nie ma. Wyszła.

– Jak to wyszła? – zdenerwował się Match. Wprawdzie przedtem nie miał specjalnej ochoty, ale odkąd poczuł wypełniający izbę zapach pieczystego, tylko przętykał ślinę. Zdał sobie sprawę, że dość już ma dziczyny.

– No, skończyła się – wyjaśnił oberżysta cierpliwie. – Dziś już nie będzie. Może być sarnina.

– A to? – Match wskazał pacholeka, niosącego drewnianą tacę. Z tacy unosił się zapach delikatnej, szpikowanej czosnkiem baraniej pieczeni. Może nawet jagnięcej.

Karczmarz odwrócił się. Machnął lekceważąco ręką.

– A, tamto. To ostatnia porcja.

– Chwileczkę, przyjacielu. – Match zdenerwował się na serio. – My tu byliśmy pierwsi. Ten człowiek, który w tej chwili zabiera się do jedzenia, przyszedł później.

– Ale zamówił wcześniej – odparował zimno karczmarz. – Nie tracił czasu na gadanie. To co, zamawiacie coś do tego wina? Raczcie się pospieszyć, tu się pracuje.

Match już podnosił się z ławy. Jason szarpnął go za rękaw, widząc, że Basile też prostuje się w swoim ciemnym kącie. Głową zdawał się sięgać

powwały.

– Match, daj spokój – powiedział Jason. – Weźmy tę sarninę.

Match nie zwrócił uwagi ani na niego, ani na Basile'a. Karczmarz cofnął się o krok.

– No, można jeszcze coś innego. Na zamówienie – rzekł pojednawczo.  
– Może być proszę z różna.

– Może być – zgodził się Match. – A co znaczy na zamówienie? – zaniepokoił się.

– Na zamówienie, znaczy, trzeba poczekać. Aż przygotujemy.

– Jak długo? – spytał Match nieufnie.

– Króciutko! – zapewnił karczmarz. – Sami panie pomyślcie, ile czasu piec się może takie proszę? Młodziutkie to, delikatne! Raz, dwa i będzie gotowe. A panowie posiedzicie tymczasem, winka popijecie. To co, zamawiacie?

– Zamawiamy – zdecydował Match, spoglądając na Jasona. Ten tylko skinął głową.

– To tak, wino, dwa dzbanki, proszę z różna – podsumował karczmarz. Rozejrzał się. – Hej, Benny! – krzyknął do pomocnika, który zdążył już wrócić do izby. – Skocz no do zagródki, przy chlewiku. Złap jedno proszę, poczekaj... – Popatrzył na Matcha i Jasona. – Wybierz takie spore. Tylko biegiem, szlachetni panowie czekają.

Match i Jason wymienili niewesołe spojrzenia. Jason kiwnął głową.

– Zaczekaj, Benny – krzyknął. – Nie fatyguj się.

Zrezygnowany odwrócił się do karczmarza.

– Niech już będzie ta sarnina.

\*\*\*

Sarnina nie była na zamówienie, jednak i na nią trzeba było poczekać. Karczmarz, przynosząc wino, mrucał coś o grymaśnych gościach, co to sami nie wiedzą, czego chcą. Przetarł stół brudną szmatą, nie wiadomo po co, bo dzbanki postawił z takim rozmachem, że aż huknęło. Wino prysnęło na deski, odskoczyli.



Nawet to, że zapłacili za wino zaraz po przyniesieniu, nie poprawiło humoru oberżysty. Zapytany, kiedy wreszcie dostaną coś do jedzenia, odpowiedział opryskliwie "jak się zrobi". Po czym zniknął na dłuższy czas.

– Pamiętaj, Jason, żeby więcej tu nie przychodzić – burknął Match.

Jason nie odpowiedział. Match zaniepokoił się.

– Co z tobą? – spytał. – Odkąd weszliśmy, jesteś jakiś taki... Przecież tak paliłeś się do tej wyżerki. Zgoda, wyjątkowo tu paskudnie, ale wino przecież niezłe.

– Nie o to chodzi – rzekł po chwili Jason, wciąż wpatrując się w siedzących w przeciwległym końcu izby. Przeszli się już wydzierać. Teraz popijali tylko, wodząc dokoła ponurymi spojrzeniami. Szukają zaczepki, uświadomił sobie Jason. Nudzi im się najwidoczniej.

– Nie o to chodzi – odwrócił się do Matcha. – Popatrz na tych tam.

– Widzę – odparł Match. – Od początku. Nie martw się, nam nie podskoczą.

Kiciak i jego weseli towarzysze z braku lepszego celu zabawiali się z psem, wałęsającym się po izbie i nachalnie dopominającym się jedzenia. Kundel był tłusty, nie mógł być inny, zważywszy na ilość resztek walających się pod stołami. Nie wyglądał na głodnego, jednak wychodząc z założenia, że to, co stoi na stołach musi być lepsze od tego, co dają psu, obnosił po całej izbie ostentacyjnie pokrzywdzoną minę, dopominając się o datki wprost ze stołów. Długoletnia widać praktyka pozwalała mu niezwykle zwinnie, jak na jego tuszę, unikać kopniaków nagabywanych gości.

Jason zdał sobie sprawę, że Match ma rację. Wciąż podświadomie obawiał się, że wygląda na łatwy cel, czuł się w skórze kupca. Tymczasem teraz nie wyglądał na kogoś, kogo można bezkarnie zaczepiać. Odetchnął z ulgą.

Kiciak i jego kompani podeszli do sprawy starannie i metodycznie. Jeden wabił psa sporą, dobrze jeszcze obrośniętą mięsem i tłuszczem kością. Zwierzak podchodził dosyć nieufnie, widać nieczęsto spotykał się z takimi wyrazami sympatii, jednak smakowity zapach przywabił go coraz bliżej. Wkrótce przestał zwracać uwagę na otoczenie, wpatrzony w gnat, który kompan Kiciaka raz po raz zabierał mu wprost sprzed pyska,

tak że pies zwierzał jedynie szczęki z głośnym kłapnięciem. Nie widział Kiciaka, który osobiście wstał z ławy i zachodził go od tyłu.

Jeszcze jedno kłapnięcie, podskok i kość wreszcie znalazła się w pysku. Kundel nie zdążył się nacieszyć zdobyczą, rozległ się bolesny skowyt, gdy ciężki but spotkał się z tłustym psim tyłkiem. Pies, kulejąc i skowycząc, dał nura pod stoły. Kości nie wypuścił.

Kiciak wraz z kompanami wybuchnęli radosnym rechotem, zadowoleni z udanego dowcipu.

– Widzisz, Match, ten, co teraz przykopał psu – wskazał Jason ruchem głowy – to Kiciak. Pamiętasz, mówiłem ci, giermek panicza Gilberta. Jeden z tych, co mnie tak urządzili. Nie poznał mnie.

Match nie spojrzał nawet.

– Więc co? – spytał tylko. – Chcesz go załatwić, odegrać się? Radzę w takim razie wyjść wcześniej, poczekać, ustrzelić z kuszy. Nie musimy się spieszyć, oni tu jeszcze zostaną, zdążymy spokojnie zjeść.

Jason zdziwił się. Match mówił całkiem serio.

– Co ty? – spytał.

– No, tutaj będzie trudniej. Nie mówię o nich. – Match lekceważąco wzruszył ramionami. – Ich jest, poczekaj, chyba ośmiu, wszyscy już pijani. Ale karczmarz może robić trudności.

– Match, ja nie zamierzam się odgrywać – powiedział Jason oszołomiony. – Ja tak tylko.

Nie zdążył wyjaśnić, co tylko. Wreszcie pojawił się pacholek z tacą dymiącej sarniny i dużym bochnem chleba.

Match sięgnął po nóż do cholewy. Ukroił potężną pajdę, położył na niej kawałek pieczeni. Wgryzł się w chleb z apetytem.

Tymczasem Jason czuł, że odeszła mu ochota do jedzenia. On ma rację, myślał. Nie można sukinsynowi darować, ani pozwolić, żeby dalej krzywdził ludzi, trzeba mu pokazać, że nie jest bezkarny. Nie, żeby od razu zabijać, trochę tylko... Tak, kurwa, ale ja się do tego zupełnie nie nadaję.

– Co, nawet nie jesz? – spytał Match niewyraźnie, żując potężny kęs.

Jason z ociąganiem wyjął swój nóż, ukroił chleb.

Sarnina nie była najgorsza, przekonał się po chwili. O niebo lepsza od tej, którą piekli na ogniskach. Delikatna, podlana gęstym sosem, dobrze przyprawionym korzeniami. Skruszała. Te sarny, które jadał ostatnio, nie zdążyły wręcz dobrze ostygnąć przed upieczeniem, a co dopiero skruszeć. Poczul się trochę lepiej.

Jednak nawet teraz spoglądał co rusz w kierunku stołu po przeciwległej stronie izby. Ocierając z brody sos, zobaczył, że nastrój w kompanii Kiciaka znów się psuje. Pies nie przyszedł drugi raz, zaczynało być nudno. Sprośną piosenkę śpiewali bez przekonania, wkrótce umilkła w połowie refrenu, co przyjęto z ulgą. Ryczeli bowiem wyjątkowo nieskładnie, a i tak wszystkim było wiadomo, co zrobi sprytny parobek z urodziwą młynarzówną. Piosenka była stara, a szczegóły ich pożycia, aczkolwiek drastyczne, wszyscy znali na pamięć.

Przerwawszy popisy wokalne, kompani Kiciaka znów chmurnie rozglądali się po izbie. Owszem, są pijani, zauważył posepnie Jason, ale nie na tyle, by osunąć się pod stoły czy choćby poczuć potrzebę wyjścia na świeże powietrze. Są pijani na tyle, by szukać zaczepki, złoszcząc się coraz bardziej, im dłużej jej nie znajdują. Jason miał nie najlepsze przecucia. Spodziewał się rozróby.

Nie czekał długo. Gdy tylko zajął się swoją pieczenią, usłyszał łomot, zakończony mokrym trzaskiem, jaki wydaje rozbijający się, wypełniony winem gliniany dzban. Zaraz rozległ się chóralny, radosny śmiech.

Jason zobaczył, jak Benny niezgrabnie usiłuje się podnieść z zalanej winem, pokrytej resztkami potłuczonych dzbanów polepy. Krew z czoła, rozciętego o skorupy, zalewała mu oczy.

Kiciak, o którego wystawioną w ostatniej chwili nogę potknął się Benny, śmiał się tak, że aż łzy ściekały mu po policzkach. Jeden z jego kamratów, zachęcony ogólnym zachwytem kopnął w tyłek próbującego wstać chłopaka. Trafił w kręgosłup, chłopak wyprężył się tylko i padł z powrotem w skorupy. Na chwilę znieruchomiał. Ogólny śmiech zahuczał jeszcze głośniej.

Śmiał się nie tylko Kiciak i jego kamraci. Jak spostrzegł Jason, siedzący tuż obok niego tłusty szlachcic, wyglądający przed chwilą na zupełnie już nieprzytomnego, rechotał tak, że aż się zanosił, podtrzymując trzęsące się brzuszysko. Z rozdziawionej, zatłuszczonej gęby mu zwisał kawałek na wpół przeżutego mięsa. Mimo upijania

zauważył spojrzenie Jasona.

– Wii... – zaczął, krztusząc się ze śmiechu. Nie szło to zbyt składnie. – Widzieliście? Jak mu... Jak mu przy... Ale jaja! – Łzy pociekły po zatłuszczonej, pokrytej niechlujnym zarostem gębie. – Ale jaja! – powtórzył. – Eh, jeszcze raz by się przydało! Widzieliście, jak uciesznie podskoczył?

Znów chwycił go atak śmiechu, aż poczerwieniał i żyły nabrzmiały na skroniach.

– Widziałem – odparł krótko Jason. Nie zastanawiając się, nie wstając z ławy, z półobrotu wpakował pięść w środek trzęsącego się kałduna. Miał wrażenie, że weszła po łokieć.

– Hep! – powiedział szlachcic na wdechu i to było jego ostatnie tego wieczoru słowo. Siedział przez chwilę bez ruchu, w czym nie było nic dziwnego, cios Jasona, choć zadany ze złością i z całej siły, nie mógł poruszyć takiej masy. Wytrzeszczył tylko oczy, wydawał dziwne dźwięki, usiłując zaczerpnąć powietrza. Chociaż przed chwilą wydawało się to niemożliwe, poczerwieniał jeszcze bardziej. Wreszcie wolno odchylił się do tyłu, spadł z ławy, z hukiem uderzając potylicą o belki ściany.

O dziwo, niewielu z obecnych, pochłoniętych wesołością spowodowaną przednim dowcipem Kiciaka, zauważyło jego upadek. Z wyjątkiem karczmarza. Ten był czujny. Mimo że tak jak wszyscy z rozbawieniem obserwował wysiłki chłopaka, miał jednak baczenie, co się dzieje dokoła.

Podbiegł do Jasona.

– Nie wolno! – krzyknął, wymachując brudną ścierką. – Nie wolno! Tu porządna gospoda, bić się nie można! Jak kto chce, to na dwór może wyjść, tam prac się ile wola! Ale nie tu!

Jason poczuł zalewającą go złość. Wstał z ławy, oddzielony od oberżysty blatem stołu popatrzył mu wściekle w oczy.

– Basile! – wrzasnął gospodarz. – Panowie wychodzą!

– Wolnego, gospodarzu, wolnego – odezwał się spokojnie Match. Nie wstawał, bawiąc się niedbale trzymanym nożem. – O co wam właściwie chodzi, dobry człowieku?

– Nie wolno bić! Tu porządna karczma!

– Ktoś kogoś uderzył? – zdziwił się Match obłudnie. Podrzucił nóż, chwycił za ostrze. Karczmarz przyglądał się niespokojnie.

– On uderzył! – Wskazał oskarżycielsko Jasona. – Uderzył pana Erazma, rycerza na służbie szeryfa Nottingham. Basile! – wrzasnął niecierpliwie.

– Ejże, dobry człowieku. – Match uśmiechnął się złowrogo. – Widzieliście? Bo coś mi się wydaje, że musielibyście mieć w dupie oczy. Boście to właśnie dupskiem w naszą stronę stali. Przeto nie rzucajcie oskarżeń, nie strzępcie ozora nadaremnie. Bo kiedyś trafi się ktoś mniej uprzejmy ode mnie, i przytnie go wam, gospodarzu. My spokojni ludzie. Pomyślcie trochę, może sam spadł? Pijany przecież.

Znów podrzucił nóż.

– I odwołaj tego swojego cyklopa – dodał, popatrując na Basile'a, który za plecami pryncypała czekał dalszych poleceń. Sam nigdy nie robił nic z własnej inicjatywy. Stojąc, rzeczywiście sięgał belek wiązania stropu. Match pomyślał, że płaskie, niskie czoło jest skutkiem ustawicznego uderzania o nadproża.

– Kogo? – zdziwił się odruchowo gospodarz.

– Tego, co stoi tam, za tobą – wyjaśnił Match uprzejmie. – Zanim zrobi sobie krzywdę.

Basile nie dał po sobie w żaden sposób poznać, że to usłyszał. Karczmarz jednak stwierdził, że pomylił się w ocenie. Powinien wziąć ze sobą dodatkowe argumenty, nie robić awantury z pustymi rękoma. Nie miał złudzeń, co się stanie, zanim Basile zgniecie Matcha w swoim uścisku.

– Na miejsce – warknął. Basile bez słowa odwrócił się i począpał w swój kąt.

– Tu porządna karczma – dodał oberżysta dla ratowania twarzy. – Nie gadajcie mi, panie, żeście go nie tknęli. Ja ten interes prowadzę dwadzieścia lat, ja nie muszę widzieć, wystarczy to, co usłyszę. A rycerz Erazm pije tu codziennie i nigdy nie spada pod stół, dopóki pachotkowie z wozem nie przyjadą, żeby na służbę go zabrać.

Match ze smutkiem pomyślał, że wszystko w Nottingham widocznie schodzi na psy, skoro szeryf trzyma w służbie takich rycerzy. Cóż, długo

był spokój, teraz tacy pewnie wystarczają.

– Może zjadł co paskudnego? – wykrzywił się do karczmarza. – Może mu zaszkodziło?

– Ej, panie – oburzył się gospodarz. – Nawet nie mówcie takich rzeczy! Tu uczciwa karczma, jedzenie dobre i porządek musi być, bić nie można. Ino na dworze, jak mówiłem.

Match popatrzył przed siebie. Benny po kopniaku w kręgosłup przyszedł trochę do siebie. Śmiech już ucichł, zabawy nie starczyło na długo. Kiciak i kamraci przycichli, obmyślali widać dalszy ciąg.

– A to, gospodarzu? – wskazał Match zgiętego wciąż z bólu chłopaka.  
– To nie narusza waszego porządku?

– Nie, nie narusza. To mój brataniec, brat go na naukę przysłał, sam zamieruje karczmę otworzyć. Niech się więc gówniarz uczy. Karczmarz, co sobie z gościem nie umie poradzić, to kutas... – wyjaśnił gospodarz cynicznie.

– Was widać też tak uczyli, gospodarzu? – skrzywił się Match.

– A żebyście wiedzieli! – uniósł się. – Żebyście wiedzieli! Tak, i jeszcze gorzej! Dlatego teraz sobie radzę!

Osobliwe obyczaje w tym zawodzie, pomyślał Match. Odechciało mu się dalszej dyskusji. Pociągnął za rękaw Jasona, który wciąż stał z pobladłą z gniewu twarzą.

– Siadaj – powiedział. – I jedz, już wystygło. To, jak sam słyzałeś, tylko metody wychowawcze. A ponadto zostanie w rodzinie.

Jason nie reagował. Zaciskał tylko pięści.

– Siadaj – powtórzył Match. – Już chyba im wystarczy, chłopak, jak mądry, zaraz zejdzie im z oczu.

Mylił się.

Benny dźwignął się w końcu na kolana. Giermek z ujmującym uśmiechem, który nie pasował do paskudnej gęby, wyciągnął dłoń, jakby w zamiarze pomocy. Chłopak chwycił ją odruchowo.

Szarpnięty przy akompaniamencie urągliwego ryku zbrojnych poleciał do przodu. Kiciak nie puścił ręki, tak, że chłopak znów padł twarzą na polepę.

Giermek uśmiechnął się zadowolony, spojrzął po kompanach, którzy przyjęli ten nowy wyczyn pełnym uznania rechotem.

Chłopak poruszył się, znów ociężale podniósł na kolana. Giermek znów wyciągnął pomocną dłoń. Benny, jakby niepomny niedawnego doświadczenia, znów wyciągnął rękę. Match tylko pokręcił głową. Brataniec nie miał zadatków na dobrego karczmarza, zbyt wolno się uczył.

To, co Match za chwilę zobaczył, sprawiło, że oniemiał. Benny, gdy tylko zacisnął rękę na wyciągniętej dłoni, szarpnął silnie. Nie mógł wprawdzie pociągnąć za sobą dwukrotnie cięższego giermka, ale zaskoczył go. Drugą ręką wymierzył cios prosto między przekrwione z nadmiaru wina oczy. Prawie się udało.

Mimo że pijany, Kiciak był wciąż bardzo szybki. Za szybki dla zmaltretowanego chłopczyny, który ledwie widział poprzez zalewającą oczy krew z rozciętego czoła. Schwycił jego pięść tuż przed swoją twarzą. Wciąż z wrednym uśmiechem wykręcił rękę, aż chrupnęło w stawach. Benny zaskowyczał i upadł. Giermek skinął na kamratów. Doskoczyli we trzech, zaczęli kopać.

Z twarzy Kiciaka zniknął uśmiech. Naciągał powoli nabijane ćwiekami, długie do łokcia rękawice.

– Postawcie go! – rozkazał.

Jason wparł ręce w stół, sprężył się do skoku. Match chciał go przytrzymać, ale nie zdążył. Ośmiu, pomyślał, sam przeskakując stół, a my tylko z nożami. Ale oni też... Ruszył do przodu, starając się wysunąć przed Jasona. Przeciwnicy jeszcze nic nie spostrzegli, zbyt byli zajęci Bennym.

– Stać! – osadził wszystkich w miejscu ostry głos.

Karczmarz stał pośrodku izby, trzymając wydobyty nie wiadomo skąd arbalet kulowy, wymierzony prosto w giermka.

– Wystarczy! – krzyknął. – Siadajcie spokojnie albo wynocha!

Arbalet, nie kusza, zauważył Match z uznaniem. Zna się na rzeczy. Używanie kuszy w pomieszczeniach pełnych ludzi nie było najlepszym pomysłem, zwłaszcza do takich celów, jak zaprowadzanie porządku. Wystrzelony z kuszy bełt, po przebiciu niesfornego, skorego do rozróby

gościa mógł przejść na wylot, kładąc trupem innych, spokojnie spożywających posiłek. Nie podniosłoby to zapewne renomy karczmy.

Giermek zamarł. Arbalet trzymany w pewnych dłoniach celował prosto w czoło. Kiciak wiedział, co robi taka ołowiana kula, wystrzelona z małej odległości. Widział kiedyś człowieka trafionego w twarz. Poznać go można było wyłącznie po odzieniu.

– Co wy, gospodarzu, pożartować nie można? – spytał ponuro.

– Można – usłyszał w odpowiedzi. – Ale już wystarczy. Pożartowaliście sobie, iście boki można było zrywać. A teraz siadajcie.

Kiciak rozejrzał się. Sytuacja była niezbyt korzystna.

– Na żartach się nie znacie? – powtórzył pojednawczo. – Odłóżcie to, gospodarzu, wina lepiej dajcie.

– Kiciak, on jest jeden, a nas... – Jeden z kamratów był biegły w rachunkach. – Skoczyć na niego kupą, strzeli najwyżej raz. A wtedy go pod buty.

– Ty, Śmierdziel, nie bądź taki chybki – osadził go Kiciak. – We mnie celuje, nie w ciebie. Co mi z tego, że go potem weźmiecie pod buty?

– Może nie trafi... – Chudy drab z płowymi, zwisającymi wąsami, zwany Śmierdzielem nie rezygnował.

Kiciak zdenerwował się.

– Zamknij gębę! – wrzasnął. – Te twoje pomysły to ja sobie zapamiętam! Jeszcze do nich wrócimy!

Śmierdziel istotnie umilkł. Kiciak urazy pamiętał zwykle długo.

– Już dobrze, gospodarzu, już siadamy. – Giermek sięgnął do sakiewki u pasa. – Spokojnie! – krzyknął, widząc drgnienie wymierzonej w siebie broni.

Wysupłał monetę, rzucił obok leżącego wciąż chłopaka.

– Naści – powiedział. – To co, teraz w porządku, gospodarzu?

– Wsadź to sobie – zabełkotał Benny przez okrwawione wargi. Dostyc głośno, tak że wszyscy ryknęli śmiechem. Kiciak ze złością zgromił wzrokiem kamratów. Śmiech zgasł, acz nie całkiem.

– Ot, zadziorna sztuka, podoba mi się – pochwalił giermek nieszczercze. – Na co się, kurwa, tak gapiacie? Na jasełka przyszliście? –



wrzasnął w końcu.

Zaczęli się cofać. Arbalet wymierzony w Kiciaka obniżył się.

Może to już koniec, pomyślał Jason z nadzieją. Jak usiądą, trzeba kończyć i zabierać się, nic tu po nas.

Karczmarz wciąż trzymał broń. Nie zamierzał odpuszczać, póki wszyscy nie usiądą na swoich miejscach. Kątem oka złowił ruch, drgnął odruchowo.

Jeden z pijących, zawiedziony widać mało efektownym zakończeniem sprawy, cisnął ogryzioną kością. Celował w jednego z trzech Kiciakowych kamratów, którzy stali wciąż nad gramolącym się z polepy chłopakiem, gapiąc się spode łba. Zapewne chciał dołożyć swoje do pogwałcenia rozrabiaków, jednak zamiary były dużo lepsze od wykonania. Gnat poleciał wysokim łukiem, omijając o cale karczmarza. Ten szarpnął się, odwrócił na moment.

To wystarczyło.

Jeden z kompanów giermka, chyba Śmierdziel, zareagował szybko. Ciężki gliniany kufel trafił oberżystę w czoło. Gospodarz poderwał broń, nacisnął odruchowo spust. Ołowiana kula zawyła w powietrzu i z trzaskiem wybiła duży otwór w deskach zamkniętej na głucho okiennicy. Posypały się trociny. Karczmarz zatoczył się.

Rzucili się na niego wszyscy.

Match, zrywając się do skoku, dosłyszał ostrzegawczy okrzyk. Odwrócił się w samą porę, by złapać szybujący ku niemu z ciemnego kąta obnażony miecz. Basile błysnął zębami w uśmiechu i schylił się, szukając czegoś za sobą.

Psiakrew, mógł rzucić w pochwie, pomyślał Match, chwytając pewnie rękojeść. Przecież to ostre... A, może lepiej, wyciągać nie trzeba.

Basile wyłonił się z kąta, trzymając wielką, sękatą pałę.

Kiciak i jego kompania nie stosowali się do zwyczajów panujących w karczmie. Co najmniej czterech miało miecze. Sam giermek dał nura za stół. Widocznie swój miecz zostawił właśnie tam.

Widząc atak Matcha, dwóch z tych, którzy byli uzbrojeni, ruszyło ku niemu. Nie zastawił się, wszedł między nich, tnąc od razu jednego nisko, po udach nieosłoniętych kolczugą. Zbrojny zrobił jeszcze kilka kroków,

po czym padł, zaciskając dłonie na tryskającej krwią ranie. Drugi usiłował ciąć z półobrotu, nie trafił, przeniosło go prosto pod wzniesioną dębową pałę. Match usłyszał tylko lepki trzask, gdy drewno zetknęło się z czaszką. Coś ciepłego opryskało mu twarz.

Dojrzał innego, który właśnie zamierzał się od tyłu na Basile'a. Skoczył szybkim wypadem. Zbrojny spostrzegł ruch, ale nie zdążył się obrócić. Było trochę daleko, cięcie Matcha trafiło samym sztychem, rozcinając jednak kolczugę jak lnianą koszulę. Tamten opuścił głowę, z niedowierzaniem patrząc na wylewające się z brzucha wnętrzności. Match nie przyglądał dłużej. Widywał już takie rzeczy, nie był ich ciekaw. Zwrócił się w stronę pozostałych przeciwników.

Nie było pozostałych. Jedynie przeskakujący przez stół Kiciak spadał właśnie na twarz. Załamała się pod nim noga, w kolanie której tkwiło rzucone przez Jasona ostrze.

Match opuścił miecz, rozejrzał się. Jedyne przeciwnik, który wyszedł cało, życie zawdzięczał szybkiej orientacji. Zamiast dołączyć do walki, od razu zaszył się w kącie. Teraz siedział tam, osłaniając głowę rękoma. Basile ze złym uśmiechem wznosił swą umazaną czymś czerwonym i białawym pałę.

– Zostaw, Basile – powiedział Match.

Osilek niechętnie opuścił pałę. Nie odmówił sobie jednak przyjemności wymierzenia kopniaka. Coś trzasnęło głucho, kompan Kiciaka znieruchomiał.

– Mówiłem, zostaw – powtórzył Match, zirytowany. Znowu flaki na polepie, pomyślał, patrząc na ciętego w brzuch zbrojnego, który leżąc na boku, wytrzeszczał szkliste, martwe oczy. Drugi, ten raniony w udo, znieruchomiał już w kałuży krwi, przecięta tętnica udowa nie dała mu zbyt dużo czasu.

To dwóch, policzył Match. Trzeci, ten bez głowy, to robota Basile'a. Niezła zresztą, tylko zęby zostały, te z dolnej szczęki. Reszta...

Trzem pozostałym spomiędzy oczu sterczały trzonki ostrzy Jasona. Kiciak dostał w kolano, gdy opadał na zranioną nogę, wbił ostrze głębiej, druzgocąc zupełnie rzepkę. Piątym był jeden z ucztujących za stołami, na pierwszy rzut oka kupiec. Siedział sztywno oparty o ścianę, trzonek sterczał mu z czoła. Otwarte szeroko oczy śmiesznie zezowały na boki,

jedno bardziej. Ciekawe, czy to od uderzenia, czy już przedtem tak było, przeleciało Matchowi przez głowę. Za życia trafionego nie zdążył się przyjrzeć.

Jason wpatrywał się w jęczącego giermka. Match trącił go w ramię.

– Cholera, gdybym usłyszał od kogoś, tobym nie uwierzył – powiedział. – Pięciu. Ale dlaczego ten?

Wskazał na kupca za stołem. Jason bezradnie rozłożył ręce.

– Straty uboczne? – zrozumiał Match.

Jason spojrzał nieprzytomnie. Jeszcze do niego nie dotarło.

– Niepotrzebnie wstawał – powiedział tylko.

\*\*\*

Karczmarz zbierał się z podłogi. Nie licząc kilku kopniaków, jakie zdążył z początku oberwać, cała zabawa go ominęła. W izbie cisza panowała dziwna, przerywana jedynie jękami Kiciaka, który ścisnął roztrzaskane kolano.

Jason schylił się nad nim.

– Przytrzymaj mu nogę, Match – powiedział. Sam zaczął rozwierać śliskie od krwi, zaciśnięte na sterzącym z kolana trzonku palce. Udało się po chwili.

– Zagryź zęby – nakazał giermkowi, który spoglądał błędnym, pełnym bólu wzrokiem. – Trzymasz, Match?

Match potwierdził skinieniem głowy. Jason szarpnął za nóż. Mokre od krwi palce omsknęły się.

Giermek zawył, szarpnął się. Basile podskoczył, przygwoździł jego ramiona do ściany. Jason uchwycił trzonek przez połą kurtki, pociągnął mocno jeszcze raz. Tym razem wyszło. Kiciak drgnął tylko konwulsyjnie, krew popłynęła z przygryzionych warg.

Jason wstał.

– Możecie go puścić – powiedział. Wycierał zakrwawione ostrze, przyglądając się odłamkom kości bielejących w miejscu czegoś, co było niegdyś kolanem. Do końca życia pozostanie sztywne, pomyślał. Już

nigdy nie będzie chodził normalnie.

Nie czuł satysfakcji. Nie tak to sobie wyobrażał.

Znów pochylił się nad opartym o ścianę rannym. Mimo bólu oczy giermka były przytomne. Już zrozumiał, co się stało. W spojrzeniu zamiast nienawiści czaiło się zwierzęce przerażenie.

Kiedyś, będąc jeszcze smarkaczem, Jason ustrzelił lisa. Ze swego pierwszego, wygranego w kości łuku. Łuk, zrobiony przez koleżkę Jasona, był krzywy, krótki, o słabym naciągu. Strzały nie leciały daleko, zresztą też nie były najlepsze, opierzone wyrwanymi kogutowi lotkami, przywiązanymi byle jak. Groty zrobili z gwoździ.

Strzelanie do celu nijak nie wychodziło, strzały same sobie wybierały cele, starannie tylko omijając tarczę. Dlatego też Jason zdziwił się niepomiernie, gdy strzeliwszy kiedyś do zakradającego się do kurnika lisa, trafił za pierwszym razem, z dwudziestu kroków. Niezbyt czysto, w zad zwierzęcia, przerywając przypadkiem rdzeń kręgowy. Lis próbował uciekać, ciągnąc za sobą bezwładne tylne nogi. Gdy dopadł go Jason, podniecony swym myśliwskim wyczynem, zwierzę nie uciekało już. Dyszało tylko ciężko, patrząc pełnym bólu i wyrzutu wzrokiem. I za nic nie chciało umierać. Jason przyglądał się bezradnie męczarniom zwierzaka, który po chwili zaczął zwijać się, usiłując chwycić zębami drzewce strzały. Nie mógł na to patrzeć, chciał dobić, ale lis miał twarde życie. Dobił w końcu, używając kija i waląc gdzie popadnie, ale trwało to bardzo długo.

Giermek przypominał mu właśnie tego lisa. Jasonowi przed oczyma stanął obraz, jak tłucze Kiciaka wielkim kijem, a ten wciąż nie umiera. Zacisnął na chwilę powieki. Nie mógł. Mimo wszystko nie mógł.

– Chociaż kota mogłeś zostawić w spokoju – powiedział tylko, spoglądając znów w przepełnione bólem oczy. Nie dostrzegł zrozumienia.

– Nie poznajesz mnie? – spytał po chwili.

Kiciak ledwo widocznie zaprzeczył ruchem głowy.

Nie poznaje, pomyślał Jason. A cóż to zmienia? Nic, odpowiedział sam sobie. Zupełnie nic.

Wstał. Zamierzał wyjść stąd jak najszybciej.

\*\*\*

Dzień zapowiadał się piękny, jednak o tej porze, gdy spoglądał na srebrne od rosy trawy, na kropelki nanizane na pajęczyny, gdy widział skraplającą się w powietrzu parę własnego oddechu, Match miał przykre wrażenie, że jest już na to wszystko za stary. Miał dość noclegów pod gołym niebem.

Właśnie się podnosił z posłania, gdy usłyszał rzenie i tupot przywiązanych na polanie koni.

Ktoś zbliżał się do obozowiska.

Po chwili schowany za rosnącym na skraju polanki jałowcem rozchylił kłujące gałązki. Nisko stojące słońce raziło w oczy. Zobaczył tylko przykucniętą obok śpiącego Jasona postać. Tylko jedną. Dostrzegł też dwa konie, osiodłanego i jucznego luzaka.

Obcy sięgał właśnie do cholewy. Match nie czekał dłużej.

– Nawet nie próbuj! – krzyknął. – Wstań, ręce z dala od siebie!

Przykucnięty człowiek podskoczył jak oparzony, padł na tyłek.

– Dobrze! Teraz na twarz, bo wsadzę bełt w gardło!

Tamten posłuchał, przekręcił się na bok, rozciągnął na ziemi. Jason, zbudzony widać krzykiem, poruszył pod przykryciem. Match zaklął. Rzucił się biegiem, by dopaść leżącego, zanim oprzytomnieje i zdąży zrobić cokolwiek. Po paru krokach zwolnił.

– Panie, nie strzelajcie, to ja! – usłyszał stłumiony, lecz znajomy głos.

– Ja, to znaczy kto? – spytał dla pewności.

– Basile – padło z głuchym stęknięciem. Basile dokładnie wypełniał polecenia, wciskał twarz w mokrą od rosy trawę. Match podszedł bliżej, podniósł pochwę z mieczem. Czuł się lepiej, spoglądając z góry na olbrzyma, który nawet leżąc, miał imponujące rozmiary i zajmował na trawie bardzo dużo miejsca.

Jason wychynął spod derki, rozejrzał się zapuchniętymi od snu, jeszcze nieprzytomnymi oczyma. Po chwili usiadł. Match trącił Basile'a końcem pochwy.

- I co tak leżysz jak glizda na mrozie? – spytał cierpko.
- Kazaliście, panie – padła stłumiona odpowiedź. Basile nawet nie drgnął.
- Match, co się dzieje? – wymamrotał Jason. Ziewnął rozdzierająco.
- Ano, nasz duży przyjaciel przyciągnął tu za nami. A po co, to już nam sam powie. – Match szturchnął leżącego. – Szybko i bez wykrętów. Jason, rusz się wreszcie, napnij kuszę. Jak tak leży, strasznie niewyraźnie mówi, trudno zrozumieć. A nie pozwolę mu wstać, dopóki w niego nie wycelujesz. Za duży jest.
- Jason ziewnął jeszcze raz.
- Daj, kurwa, spokój, Match – powiedział niechętnie. – Przecież wczoraj był po naszej stronie. Po co zaraz kusza?
- Match zezłościł się. Cały Jason i ta jego wieczna naiwność.
- Wczoraj był po stronie karczmarza – uciał krótko. – Bo mu za to płaci. A dzisiaj mógł cię nożem pchnąć, jak spałeś. Nawet byś się nie obudził. Nie lubię takich, co podchodzą do śpiących bez słowa.
- Po co miałby pchnąć? – Jason nie był przekonany. – Żeby nas obrabować? Nie sądzę.
- Przestań pieprzyć i zrób wreszcie, o co proszę!
- Poskutkowało. Jason wygramolił się spod okrycia, skulony z zimna poszedł do sterty juków. Klnąc pod nosem, począł kręcić korbą kuszy. Gdy skończył, załadował bełt.
- Zadowolony jesteś? – spytał bez entuzjazmu.
- Prawie. – Match odskoczył w bok. – Do końca będę zadowolony wtedy, kiedy zamiast we mnie wycelujesz w niego.
- Jason usłuchał bez słowa. Match znów szturchnął leżącego.
- No, podnieś się, tylko powoli.
- Basile siadł. Popatrywał niepewnie na Matcha, który stał nad nim z wydobytym mieczem.
- No i jak sądzisz, Jason, po co nasz przyjaciel pojechał za nami? – spytał Match z przekąsem.
- Najlepiej jego o to zapytać. – Jason wciąż ziewał. – Pospiesz się, nie będę tak stał z tą kuszą.

– To usiądź – odparował Match, coraz bardziej zły. Nie lubił, gdy ktoś kwestionuje jego podejrzenia. Nie lubił, gdy ktoś jedzie za nim. Nie lubił obcych, skradających się do obozowiska. Złość wyładował na Basile'u, który siedział wciąż z głupkowatym uśmiechem przyklepionym do warg, wodząc wzrokiem od niego do Jasona.

Match zamierzył się, jakby chciał pchnąć go mieczem.

– No, gadaj, byle szybko! – warknął. – Czego tu szukasz?

Basile zmarszczył brwi, jakby odpowiedź na to proste pytanie wymagała starannego namysłu. Zezował przy tym podejrzliwie na połyskujące ostrze tuż przy gardle. Sztych dotknął szyi.

– Nie wymyślaj mi tu na poczekaniu. – Ostrze nacisnęło skórę. – Gadaj szybko, bo jak nie...

Basile bał się poruszyć. Jason, widząc z daleka kropelkę krwi spływającą spod miecza, nie wytrzymał.

– Człowieku, uspokój się! – wrzasnął. – Zabierz ten miecz, przecież on nie może nic powiedzieć, żeby sobie samemu gardła nie podciąć!

Początkowo Match ani drgnął. Wreszcie odsunął sztych, niedużo, najwyżej na cal. Basile z ulgą wypuścił powietrze. Przedtem obawiał się nawet oddychać.

– Panie, dlaczego tak? – spytał po chwili z urazą w głosie. – Ja tylko spyzę wiozłem. Dla was.

Matcha zatkało. Basile na widok jego miny dodał:

– Przecie wyjechaliście, posiłku nie kończąc. Połowa prawie została. Gospodarz zaraz potem kazał odgrzać i komu innemu podać. Znaczy, jak trupy posprzątałim i polepę świeżym piaskiem wysypalim, coby krwie nie było widać. Bo interes musi się kręcić! – zakończył dumnie, przypomniawszy sobie często powtarzaną przez pryncypała sentencję.

– Co ty mi tu takie rzeczy... – Match był zdezorientowany. – To czegoś się nie okrzyknął? Czegoś się skradał? Coś mi się tu...

Jason już otwierał usta, by powiedzieć, aby Match przestał się wreszcie wygłupiać, ale nie zdążył. Uprzedził go Basile.

– Budzić nie chciałem – wyjaśnił. – Wiedziałem, żeście strudzeni, tylu zarąbać, to nie w kij dmuchał. Wiecie, ja tylko jednego, ale do dzisiaj ręka mnie boli, taki twardy miał czerep... Pałkę aż odbiło, boli teraz, o tutaj. –

Pokazał spuchnięty nadgarstek.

Jason przygryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie chciał, by Match obraził się na resztę dnia.

– Budzić nie chciałem, a poza tym – Basile rozjaśnił się cały – chciałem zrobić wam niespodziankę – dokończył nieśmiało, zerkając spod oka. W połączeniu ze zwalistą postacią i fizjonomią, którą trudno byłoby uznać za urodziwą, dało to przekomiczny efekt. Jason nie wytrzymał. Jeszcze powinien się zaczerwienić, jak panienka, pomyślał, śmiejąc się na całe gardło.

Basile zaczerwienił się jak panienka. Spuścił oczy.

– Przepraszam, nie gniewajcie się, panie – powiedział cicho.

– Basile, wymyśl coś sensownego. – Match mówił wolno, starając się nie zwracać uwagi na śmiech Jasona. – Bo w to nie uwierzę.

– Żebym tak zdrów był! – Olbrzym walnął się w pierś, aż echo zadudniło po lesie. – Żebym tak zdrów! Toć przecież możecie zobaczyć, kosze pełne. – Wskazał na jucznego luzaka.

– Jason, trzymaj go tu pod kuszą – zarządził Match. – Ja sprawdzę.

Odsunął miecz od szyi Basile'a, schował go do pochwy. Już miał odejść, gdy zobaczył, jak Jason zdecydowanym ruchem rozładowuje kuszę i kładzie ją na ziemi.

– Co ty robisz? – krzyknął Match. – Mówiłem ci...

Jason tylko popukał się w czoło, patrząc na niego wymownie. Sam ruszył w stronę jucznego luzaka. Gdy podszedł, koń zaparskał, poruszył się nerwowo.

– No, stary, no... – Uspokajająco poklepał go po szyi, przytrzymał wodze. Koń stanął spokojnie. Jason odwiązał konopny sznurek, podniósł wieko jednego z dwóch dużych wiklinowych koszy, przytroczonych po obu bokach. Spojrzał do środka i chwilę stał, jakby nie wierząc w to, co widzi. Wreszcie odwrócił się i spojrzał znacząco na Matcha.

– Eh, ty... – powiedział tylko. – Basile, chodź, pomożesz mi, sam przecież nie uradzę.

Olbrzym spojrzał pytająco na Matcha. Ten skinął głową.



\*\*\*

Jason cisnął w krzaki ogryzione gęsie udo. Beknął przeciągle.

– Uff, dobre było – powiedział z żalem. – Nie uważasz, Match, że gęś powinna mieć cztery nogi?

Przyjaciel nie odpowiedział. Zdawał się całkiem pochłonięty swym zajęciem. Było nieskomplikowane, polegało na przecieraniu natłuszczoną szmatką klingi miecza.

– Zostaw to już, wystarczy, bo przetrzesz – zniecierpliwił się Jason. – Zjedz coś wreszcie.

– O broń trzeba dbać. – Match nie podniósł głowy, przyglądając się w skupieniu lśniącej klindze. – Wilgoć jest w powietrzu, taką twardą stal zaraz chwyta rdza, wżery się robią. A jak się porobią, to ostrzyć trudno.

Z pasją przeciągnął szmatką po błyszczącej już jak lustro powierzchni metalu. Jason wraz z Basile'em przyglądali się zafascynowani. Posilali się już długo, a Match wciąż przecierał. I wyraźnie nie zamierzał skończyć.

Jason wzruszył ramionami. Stwierdził właśnie, że zostało mu w żołądku trochę miejsca. Sięgnął po kozi ser. Basile podał skórzany bukłak.

– Ser, jak nie popić winem, może zaszkodzić – wyjaśnił poważnie. – Zwłaszcza na pusty żołądek.

Jason zgodził się w całej rozciągłości. Przypatrywał się z rozbawieniem, jak pochłoniętemu konserwacją broni Matchowi chodzi grdyka. Zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma.

Gdy przytargali wypełniony po brzegi kosz, Match wymówił się od jedzenia. Skrzywiony niechętnie stwierdził, że nie zwykł jadać o tak wczesnych porach. Nalegania Basile'a zbył niewyraźnym burknięciem. Olbrzym chciał dalej namawiać, umilkł dopiero, gdy Jason kopnął go w kostkę. Nic jednak nie zrozumiał.

Match schował wreszcie miecz, starannie złożył natłuszczoną szmatkę, po czym wstał.

– Pójdę nazbierać drzewa do ogniska – oznajmił wszem i wobec, nie patrząc na nikogo.

Jason nie odpowiedział. Słońce stało wysoko, grzejąc mocno, jak to w lipcu. Sam został już tylko w skórzanym kubraku bez rękawów, a czuł, że za chwilę zdejmie i kubrak. Rzeczywiście, drewno na opał było bardzo potrzebne.

– Idę już – dodał Match, nie ruszając się z miejsca.

– Idź, idź – odparł Jason. – A my tu jeszcze serka...

Match stał chwilę niezdecydowany, wreszcie ruszył w stronę lasu. Basile patrzył za nim ze zmarszczonym czołem, jednak nie spytał o nic. Potrząsnął tylko bukłaczkiem.

– W tym już prawie nic nie ma – stwierdził. – Zaraz przyniosę drugi.

– Zaczekaj – powstrzymał go Jason. – Na razie wystarczy, trzeba coś zostawić, jak wróci.

Skinął w stronę, gdzie zniknął Match. Basile pokręcił głową.

– Są jeszcze... – zliczył mozolnie na palcach. – Jeszcze cztery!

Po chwili jednak rozradowanie zniknęło z jego oblicza.

– A szlachetny pan? – zapytał. – Powiedźcie, dlaczego na mnie krzyw? Co ja zawinił?

Żałosny wyraz twarzy był tak zabawny, że Jason się roześmiał. Basile nie obraził się. Przez chwilę patrzył tylko, potem gromko zawtórował.

– Ty nic – wyjaśnił Jason, gdy już przestali się śmiać. – On na siebie jest zły, dlatego tak długo go trzyma. Nie martw się, przejdzie mu niedługo... On po prostu nie lubi się mylić. A jak się już pomyli, co osobliwie często się zdarza, to za cholereę się do tego nie przyzna. Trzeba poczekać. Podejrzewam, że już niedługo, głodny jest, a ty takie specjały przywiozłeś.

Rzeczywiście, objadł się po dziurki w nosie, a zaledwie naruszyli zawartość jednego z koszy. Prócz przysmaków, przeznaczonych do szybkiego spożycia, takich jak pieczona gęś, pasztet z dziczyzny czy zimna pieczeń barania, Jason zauważył, że na dnie leżą półcie wędzonki, gomółki sera. I to jakiej wędzonki! Nie takiej tłustej słoniny, tylko dobrze poprzerastanego boczku.

– W drugim koszu są dwie szynki. – Basile rozpromienił się znów, widząc, jak Jason przegląda zapasy. – Chciałem więcej, ale tylko dwie zostały.

Jason zmarszczył brwi. Dotąd nie zastanawiał się nad pochodzeniem przysmaków, zbyt był zajęty ich pochłanianiem.

– Basile, przyznaj się, podpieprzyłeś to wszystko gospodarzowi? – Właściwie nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– Jakżeby to? – obruszył się olbrzym. – Jakże to, gospodarza okradać?

Poczerwieniał znów, łzy stanęły mu w oczach. Jason uśmiechnął się na widok tej skrzywdzonej niewinności.

– Nie powiesz mi jednak, że karczmarz dał ci wszystko w prezencie dla nas – powiedział z powątpiewaniem. – Nie wygląda na takiego.

Basile znów huknął się z rozmachem w pierś.

– Żeby tak... – zaczął zapewniać. – Żeby tak jutra nie doczekał, wszystko mi się należało! Nic nie podpieprzyłem, nic! No, może te szynki, ale nic więcej.

– Dość, wierzę ci! – przerwał mu Jason. – Przestań się już walić, huk taki, że Match znów zaraz przybiegnie, pomyśli, że coś nas napadło, smok ani chybi. Lepiej opowiedz wszystko od początku.

Olbrzym zastygł z pięścią wzniesioną do kolejnego uderzenia, ale zamiast walnąć się w pierś, podrapał się z namysłem po głowie.

– Od początku, mówicie... Ano, od początku, to było tak: jakem się urodził, to wszyscy mówili...

– Nie, nie – wtrącił Jason pospiesznie. – Aż tak dokładnie to nie trzeba, wystarczy, jak opowiesz, co było wczoraj, jakeśmy już odjechali.

– Wczoraj, mówicie panie? – Basile zamyślił się, zmarszczywszy czoło.

– Właśnie, wczoraj – poddał Jason w końcu po przedłużającej się ciszy.

Olbrzym zmarszczył się jeszcze bardziej, próbując sięgnąć pamięcią w przeszłość.

– Ano wczoraj... – podjął wreszcie. – Wczoraj, to było całkiem zwyczajnie. Jakem powiedział gospodarzowi, że odchodzę...

– Zaraz, Basile – przerwał Jason. – Jak to, odchodzisz?

– No, odchodzę, znaczy, służbę wymawiam. To gospodarz powiedział, że nic na koniec nie zapłaci, że to wcześniej trzeba, a nie tak. No więc

mówię, że przecie nigdy nie płacił, a kiedyś mówił, że będzie. Po prawdzie, nigdy nie nalegałem, mnie było niepotrzebne, wikt u niego miałem. A i liczyć za bardzo nie potrafię, to i po co mnie, on mówił, że gotowiznę dla mnie przechowa... Ale jak teraz powiedziałem, że potrzebuję, to on, dobry pan, zgodził się, żebym w towarze wziął. Szynek tylko bronił, mówił, że więcej nie ma... Wiecie, na co gotowizna, jak się w drogę wyrusza, to spyża ważna, żeby na głodnego nie jechać. A konie są po tych, coście ich, panie, wczoraj... Nie chciał gospodarz dać, mówił, że jego, za szkody. A przecie nijakich szkód nie było, a dziurę w okiennicy sam wybił. Tylko krew przysypać piaskiem, nie pierwszozna mu przecie. Ale w końcu dał, on dobry człowiek, choć czasami skąpy.

– To za twój zarobek?

– Tak, mówiłem, że ja nie złodziej! – rozpromienił się Basile. – To za mój zarobek, uczciwy...

Jason innym wzrokiem spojrzął na zawartość koszy.

– A długo służyłeś u karczmarza? – spytał niepewnie.

Basile zastanowił się. Sprawa widać była trudna.

– Widzicie, panie... – Poskrobał się z namysłem po głowie, mozolnie sięgając pamięcią do minionych czasów. – To było... To było... Już wiem! Zanim Benny, znaczy się, ten smarkacz, co go tak pobili...

– Wiem, wiem – wtrącił Jason. Basile miał zwyczaj rozpraszania się w szczegółach.

– Zanim Benny na nauki do gospodarza przyszedł!

– A długo już on te nauki pobiera? – spytał jeszcze Jason, bez szczególnej nadziei na precyzyjną odpowiedź. Mylił się.

– Od takiego! – Basile pokazał mniej więcej łokieć od ziemi. Biorąc pod uwagę obecny wzrost Benny'ego, musiało to być bardzo dawno. – Jedzcie, panie, to wszystko zarobione – zapraszał. – Uczciwie!

Zarobione może i uczciwie, ale ten twój pryncypał to lepszy skurwysyn, pomyślał Jason, odrywając kawałek najdroższej kiełbasy, jaką kiedykolwiek jadł.

– Basile, nie dziwię się właściwie, że odszedłeś – zaczął po chwili. – Ale dlaczego właśnie wczoraj? I dlaczego nas akurat tą strawą częstujesz?

– Nie smakuje wam, panie? – zmartwił się olbrzym. Sprawiał wrażenie, jakby za moment miał się rozpląkać. Jason co prędzej odgryzł potężny kęs kiełbasy.

– Smakuje, smakuje – zapewnił niewyraźnie. – Dawnom takiej nie kosztował!

Święta prawda, pomyślał. Przełknął kiełbasę, dziwiąc się, że nie staje mu w gardle.

– Ale powiedz jednak, dlaczego właśnie dla nas?

Basile tym razem nie zastanawiał się.

– Bo wyście, panie, za chłopakiem się ujęli.

– Zwyczajna to rzecz – odparł z wahaniem Jason, sam wstydząc się tej odpowiedzi. Przypomniawszy sobie, jak długo zwlekał z pomocą.

– A nie! – zaprzeczył gwałtownie olbrzym. – Wcale nie! Po prawdzie to wy byliście pierwsi. Benny dobry chłopak, ale zawsze go bili, on jak ten szczeniak, warczy, zęby pokazuje. To i nieraz go skatowali, gospodarz śmiał się tylko, mówił, że mu to dobrze robi. Ja wiem, że on mądry, ale mnie się widziało, że bicie nikomu na dobre nie wychodzi. Ale co tam, gospodarz mówił, że głupi jestem... To może i jego racja była.

– Nie, Basile – zaprzeczył Jason poważnie. – Nie jesteś głupi.

– A, co wy tam gadacie, panie – zawstydził się olbrzym. – Ja sam wiem, że rozum u mnie mały, od zawsze mi tak mówią. Co mi tam! Raz tylko spróbowałem chłystka bronić. I gospodarz po gębie mnie wytrzaskał.

– Jak to, wytrzaskał? – zdziwił się Jason. – Ty, taki chłop jak dąb, dałeś się wytrzaskać? Przecież jakbyś chciał...

– Przecie on pan. – Oczy Basile'a rozszerzyły się – On pan, a ja sługa! Jego prawo!

Jason nie zaprzeczał. Istotnie, jego prawo. Tylko nieładnie jakoś, pomyślał.

– Ja chciałem się odwdzięczyć, za chłopaka – dokończył Basile swą nieskładną opowieść. – On był zawsze dla mnie dobry, mimo że pana gospodarza krewniak. Nic nosa nie zadzierał. – Umilkł, lecz kręcił się niespokojnie, zerkając na Jasona.

– Dziękuję ci zatem – rzekł ten po chwili. – Ale chcesz mi coś jeszcze powiedzieć, jak mi się zdaje...

Basile milczał, nie mogąc widać zebrać się na odwagę. Jason domyślał się już, o co może mu chodzić. Cholera, Match się wścieknie, pomyślał tylko.

Basile z zakłopotaniem obracał w dłoni ułamany kozik, który dobył z cholewy.

– Bo ja chcę do was – wypalił wreszcie. – Znaczący, na służbę.

Jason nie wiedział, co odpowiedzieć, widząc błagalne, pełne nadziei spojrzenie Basile'a. Odwrócił wzrok.

Olbrzym, źle widać rozumiejąc jego wahanie, chwycił go za rękaw.

– Panie, ja się przydam – powiedział prosząco. – Silny jestem, przydam się! Nie odpędzajcie...

Nie usłyszawszy odpowiedzi, przybliżył się do Jasona, usiłując zajrzeć mu w twarz.

– Nie odpędzajcie – powtórzył. – Przydam się, konie umiem oporządzić. Zawsze chciałem u takich jak wy...

– Takich jak my... – odezwał się wolno Jason. – Basile, powiedz, jak sądzisz, kim jesteśmy?

Basile puścił jego rękaw. Na twarzy odbiło się zdumienie.

– Jakże to? – wyjąkał. – Przecie widać, że wy wędrowni żołnierze. Najmici. Tacy, co służą temu, kto najlepiej zapłaci. Widać chłobry z was panowie, musi dużo za swą służbę bierzecie. To i sługa wam się przyda. Powiedzcie, mogę zostać? Ja dużo nie potrzebuję, ino wikt i garniec piwa, bo bez tego krzywda mi. Ale ino garniec, więcej nie trza – zastrzegł poważnie. Znów uniósł rękę, by huknąć się w pierś. Jason powstrzymał go w ostatniej chwili.

– Nie chcę ja zapłaty, na co mi! – dodał Basile. – No, może jak co złupimy, to wtedy... Powiedzcie, panie, weźmiecie mnie?

– Basile, my... – zaczął Jason i urwał. Jak tu takiej bezmyślnej górze mięsa wyjaśnić cel ich podróży? W dodatku bezmyślnej, ale pełnej zapału. Spróbował jednak. – Posłuchaj, nie jesteśmy najemnikami. Przy okazji, nie nazywaj najemników najmitami, mogą się obrazić. Nieważne zresztą. W każdym razie, nie masz co liczyć na łupy, a nawet nie zawsze

na wikt. Basile, wybacz, przyjacielu, ale naprawdę nie potrafię ci tego wytłumaczyć, nie zrozumiesz...

Po olbrzymie nie było znać urazy.

– Spróbujcie, panie – powiedział tylko. – Bo ja i tak chcę u was służyć.

Jason mimo wszystko spróbował. Starał się mówić jak najprościej, tak dobierać słowa, by były jak najbardziej zrozumiałe. Wątpił co prawda w rezultat, widząc niskie czoło Basile'a zmarszczone w wysiłku, ale zaryzykował.

Gdy zapadła cisza, Basile przez dłuższy czas milczał. Drapał się tylko w głowę, przegarniał ciemne kosmyki. Jason pomyślał, że cała przemowa była na nic. Olbrzym wyglądał, jakby w istocie nic nie zrozumiał. Cholera, trzeba będzie powiedzieć wprost, pomyślał z przykrością. Przegonić, na dobrą sprawę. A on tak się starał... Będzie miał żal, nie zrozumie dlaczego. I chyba nie ma dokąd wrócić.

– Basile, gospodarz przyjmie cię z powrotem?

Olbrzym drgnął.

– A po co? – spytał nieufnie.

– No, widzisz chyba, że nie możesz z nami zostać. Nie masz po co, nie zarobisz nic u nas. Nie ma tu dla ciebie żadnej przyszłości.

– Nie, panie – odpowiedział Basile. Nie zostało śladu z niepewności, ton nie był już błagalny. – Ja z wami zostaję. Zobaczycie, przydam się.

– Chyba nie rozumiałeś.

– Zrozumiałem, panie, tyle, ile trzeba. Idziecie walczyć ze złem, takim, przed którym nie można uciec, ani się schować. To i ja się przydam. Nie jestem mądry, ale zawsze mogę pomóc, konie opo rządzić, broń wyczyścić. Silny jestem. A jak się trafi, to może i ja jakie zło zduszę, takie mniejsze, z którym sobie poradzę. Albo pałą w łeb zdzielę. Bo większe, to już wy musicie...

– Zastanów się jeszcze – przerwał Jason.

– Nie, panie, nie ma się co zastanawiać. – Basile spokojnie zaprzeczył ruchem głowy. – Jak co jest złe, to mu trzeba przy... Wybaczcie, panie, ale tu naprawdę nie ma się co zastanawiać. Trzeba zadusić, będzie w porządku.

– A jak ciebie zadusi?

Basile zdziwił się.

– To też będzie w porządku! – oznajmił niespieszony. – Jego prawo!

Jason, mimo oszołomienia, był zachwycony. Poraziła go prostota rozumowania Basile'a. Ma rację, też będzie w porządku, pomyślał. Trzeba powiedzieć Matchowi, że taki, za przeproszeniem, tłuć... Eh, te poważne rozmowy o przeznaczeniu, zapłacie... A to wszystko jest takie proste!

\*\*\*

Match wrócił na polanę, nie niosąc nawet najmniejszego patyczka. Usiadł bez słowa.

– Gdzie to drzewo? – nie mógł sobie darować Jason. – Przemarzliśmy tu srodze, trzeba ognisko rozdmuchać.

Usłyszał tylko prychnięcie. Match sięgnął zdecydowanie, urwał kawałek kiełbasy.

– No co? Wygłupiłem się, zgoda. Wiem, znając ciebie, będziesz mi to wypominał jeszcze długo. Co, czekasz jeszcze na przeprosiny?

– Zgadzam się, wygłupiłeś się – odparł Jason. – Przez grzeczność nie przeczę. I nie czekam na przeprosiny. Nie ja.

Match zrozumiał i nie zwlekał.

– Wybacz, Basile – powiedział. – Źle cię oceniłem, musisz jednak pojąć...

– On miał ciężkie dzieciństwo – wpadł mu w słowo Jason, zwracając się do Basile'a. – Nikt mu nie dał nigdy takiej kiełbasy.

Wiedział, że może sobie pozwolić na kpiny. Match, gdy już mu przeszło, zazwyczaj puszczał największe impertynencje mimo uszu.

– Żebyś wiedział – odparł tylko. – Takiej w każdym razie nikt.

– Co wy, panie. – Basile zawstydził się znów. – Prawi byliście, to ja, jak ten głupi...

– Daj spokój, Basile, nie tłumacz się – przerwał Jason – Nawet gdybyś



mnie nożem pchnął, to on za tę kiełbasę by ci wybaczył. Zobacz, jak wcina, a mówił, że nie jest głodny.

– Zgłodniałem, szukając drewek – odparował Match. – No, odczep się już ode mnie, i tak zjadłeś co lepsze.

Teraz z kolei Jason się obruszył. Sięgnął do kosza, z oburzeniem demonstrując nieco tylko naruszone produkty.

– Co ty, sam zobacz, zostawiłem wszystkiego po trochu! Nic sam do końca nie zjadłem.

– A ta gęś to kaleka była, bez obu nóg?

– No, z tą gęsią, to sam wiesz. – Jason zawstydził się trochę. – Ale wszystko inne zostało! Zawsze odwrócisz kota ogonem! – rozdarł się w końcu, widząc, jak Match uśmiecha się pod nosem.

– Wiesz co, powiem ci lepiej, po co nasz przyjaciel pojechał za nami – Jason postanowił zmienić temat. – Zdziwisz się!

Match, gdy usłyszał wszystko, rozzłościł się tylko.

– Pozwól na słówko – rzucił krótko, wstając. Poszedł w kierunku koni. Jason zdumiony ruszył za nim.

Match nie bawił się w żadne wstępy.

– Coś ty mu odpowiedział? – spytał ostro. Jason zmieszał się.

– Nic – odparł po chwili. – Na razie nic... O co ci chodzi?

– O nic, skoro nie odpowiedziałeś. – Match odetchnął z ulgą. – Niech sobie to wybije z głowy. Powiedz mu.

– Sam mu powiedz, jak chcesz – Jason się zdenerwował. – Kurwa, on chce pomóc!

– To nie jest wyprawa krzyżowa, nie potrzebuję ochotników, nie potrzebuję go. Sam muszę, przecież wiesz. To moja sprawa.

– Jasne, mnie też nie potrzebujesz! To tylko twoja sprawa.

– To co innego – usiłował wtrącić Match. Bezskutecznie.

– Wiesz co, wypchaj się! – usłyszał. – Sam mu powiedz, jak chcesz, na mnie nie licz. Mnie on, kurwa, nie przeszkadza, a myślę, że może się przydać. Powinieneś, kurwa, podziękować, a nie przepędzać!

– A to za co? – spytał Match, też już podniesionym głosem.

– A choćby za to, że ci wczoraj rzucił miecz! Za to, że pomyślał, że możemy być głodni, nie przyszedł z pustymi rękoma! Za tę kiełbasę, którą żarłeś z takim smakiem! Wiesz co? Ta kiełbasa jest zapłatą za kilka lat jego służby. To wszystko, co ma!

Jason nie pozwolił sobie przerwać, mimo iż Match próbował coś powiedzieć.

– Tobie, kurwa, nikt nigdy nie był potrzebny! – ciągnął dalej, coraz głośniejsze. – Zawsze musisz wszystko sam, całe życie! Wierzysz, że sobie ze wszystkim poradzisz, a jak przez przypadek sobie nie poradzisz, to uznasz, że nikt by nie mógł. Stąd twoje wszystkie problemy, pomyśl sobie o tym kiedyś! Po co ja zresztą gadam, to na darmo, ty i tak wiesz lepiej! Nie wierzyłem do końca, jak opowiadałeś to wszystko, że nie jesteś człowiekiem, że jesteś tworem jakichś niedoprowadzonych do końca przemian, że jesteś przeznaczony do czegoś od urodzenia, a nawet i wcześniej... Nie wierzyłem, ale teraz zaczynam wierzyć. Bo człowiek, kurwa, nie może być taki zarozumiały.

Jason odwrócił się i pomaszerował do wygasłego ogniska.

– Jak chcesz, to go przepędź – rzucił jeszcze na odchodnym. – Mnie też możesz.

\*\*\*

Match wysforował się do przodu. Od kłótni na polanie odzywał się jedynie półsłówkami. Nie protestował wprawdzie, gdy Jason powiedział, iż Basile może jechać z nimi. Z kamienną twarzą przyjął wylewne podziękowania olbrzyma, puścił mimo uszu zapewnienia i obietnice wiernej służby. Na Jasona nawet nie spojrzął. W ponurym milczeniu osiodłali konie, spakowali porozrzucany dobytek.

Wyjeżdżając z lasu, napoili konie w napotkanej strudze. Jason z rozkoszą wykapałby się, choćby w płytkiej wodzie, spojrzawszy jednak na Matcha, nie śmiał zaproponować postoju. Ten burknął tylko, że powinni znaleźć się w mieście przed zmrokiem, dorzucił coś o guzdraniu, Jason próbował zagadać coś pojednawczo, lecz bez skutku. Ruszyli więc, nie ociągając się, dalej.

Basile, jadący na śmiesznie małym w porównaniu z nim koniku nie odzywał się z początku, nie odważył się przerwać posępnej ciszy. Skoro jednak Match ruszył przodem, począł jeszcze raz opowiadać, jakie rozliczne korzyści będą z niego mieli.

– Dobra, Basile – przerwał mu w końcu Jason. – Owszem, silny jesteś, łeb pałą rozbić potrafisz, to sam widziałem. Ale wiesz, to jeszcze nie wszystko, taką pałą z każdym nie poradzisz... Nie, żebym cię chciał zniechęcać, ale zawsze...

Basile nie dał się łatwo zniechęcić.

– Co prawda, to prawda – odparł pogodnie. – A co ma być, to będzie. Wiem, że do korda ręki nie mam, to nie na mój rozum. Ale jak trza, też potrafię przypieprzyć, nie bójcie się.

– Posłuchaj, to inaczej niż pijanego z karczmy wyrzucić – ostudził go Jason. – To nie takie łatwe.

– A wyrzucanie z karczmy jest łatwe? – oburzył się olbrzym. – Wiecie, panie, ile ja się musiałem uczyć? RzUCA się taki, czasami próbuje nożem dźgać... A jemu nic nie można zrobić, nie można uderzyć, tylko wyrzucić na pysk! Bo to gość, z niego żywa gotowizna jest! Bywają zaś tacy, co i kilka razy potrafią wracać. Najlepiej... – przerwał na chwilę, oczy zamgłyły się z rozmarzenia – jak taki pasa nie zdejmie. Wtedy, to jedną ręką za kołnierz, drugą za pas. Zauważyliście, panie, że drzwi się na zewnątrz otwierają?

Jason przytaknął. Istotnie, tak było w większości karczem, jakie w życiu odwiedził.

– To właśnie dla takich – wyjaśnił Basile. – Żeby bez kłopotów drzwi łbem otworzyć. Ale cóż, najczęściej pasy odpinają, jak sobie popiją. Wtedy trudniej, portki mogą się podrzeć. Czasem bez pałki się nie obeszło. Tylko że wtedy gospodarz niezadowolony bywał, gniewał się srodze. W ucho potrafił zdzielić... Mówił, że psuję mu tę, no...

– Reputację – podpowiedział Jason.

– Macie słuszność, reputację – ucieszył się Basile. – Nie wiem, co to znaczy, ale tak właśnie gospodarz mówili. Widzę, panie, wyście uczone, nie przymierzając, jak on...

– To jednak nie to samo. – Jason nie zwrócił uwagi na szczerą podziw.

– Mówię o tych gościach. Wiesz, jak kto na ciebie z mieczem idzie, to sama siła nie wystarczy, trzeba czegoś więcej. Inaczej z daleka cię nadzieje, jak prosię na rożen.

Olbrzym nie stropił się na jego słowa. Pociągnął tylko biegnącego za nim, jucznego luzaka. Mimo iż uczynił to z pozoru lekko, koń wyrwał do przodu, wyciągając szyję. Gdy zrównał się z nim, Basile bez zatrzymania pochylił się w jego stronę i począł odwiązywać podłużny, owinięty w brudne skóry pakunek. Rzemienie były mocno zaciśnięte, szło mu niesporo.

– A kto mówi, że nie trzeba? – spytał niewyraźnie przez trzymane w zębach wodze. – Zaraz zobaczycie.

Jason już chciał powiedzieć, że może lepiej zatrzymać się, kiedy zniecierpliwiony Basile wypluł wodze, chwycił za pakunek i szarpnął. Luzak zatoczył się, grube rzemienie pękły z trzaskiem.

– Słaba teraz skóra – mruknął olbrzym, wzruszając ramionami. – Kiedyś lepsze rzemyki robili... Dzisiaj to tylko pociągnąć, i już.

– Lepiej stańmy na chwilę. Chyba ci za dobrze poszło, zobacz, juki też zaraz spadną, musiałeś coś jeszcze pozrywać. – Jason zaniepokoił się, że jeszcze chwila, i będą zbierać jedzenie z gościńca.

– A, mać jego... – Basile spostrzegł niebezpieczeństwo. – Prr! Stój, psiamać!

Nie mogąc złapać puszczonego luzem wodzy, w końcu zdzielił konia między uszy. Ten stanął natychmiast jak wryty. Luzak też się zatrzymał.

Basile zeskoczył, podbiegł do niego.

– Widzicie, miałem rację! Marne rzemienie robią, marne... – Pokazał urwany pasek. Skóra pękła przy samej klamrze, gdzie osłabiona była przez dziurkę. Olbrzym przyglądał się zafrasowany. – I co my teraz zrobimy?

Jason pogrzebał w sakwie przy siodle. Pamiętał, że powinien tam być zwój mocnego konopnego sznura. Wziął go ze sobą na wszelki wypadek.

Podjechał do nich Match, zaniepokojony, że zostali w tyle.

– Co, nawet juków stroczyć porządnie nie potraficie? – spytał tylko.

Widać jeszcze mu nie przeszło, pomyślał Jason. Postanowił nie wdawać się w dyskusję, wyciągnął z torby sznur, podał Basile'owi. Ten

spoglądał, nic nie rozumiejąc.

– No, przywiąż, może wytrzyma.

Basile zaskoczył. Rozpromienił się zaraz i wziął do roboty. Rozwinął sznur, przewlekł przez pętle juków i ucha koszy, przerzucił przez koński grzbiet. Schylił się i cudem unikając kopnięcia tylną nogą, przeciągnął koniec pod końskim brzuchem. Zrobił zgrabną pętlę i pociągnął. Koń tylko stęknął.

– Hej, nie tak mocno, bo go udusisz! – krzyknął Jason zaniepokojony.

– Jason, pomóż mu, psiakrew! – zniecierpliwził się Match. – Przecież widzisz, że nie ma o tym pojęcia!

– A ty nie możesz? – nie wytrzymał Jason.

– To twój kłopot – padła zimna odpowiedź. – Ja nie najmowałem się do tresury niedźwiedzi, nigdy mnie to nie bawiło.

Ściśnięty w połowie sznurem koń zaczął się denerwować, szarpał się i parskał. Basile chwycił jedną ręką za wodze, drugą starał się rozluźnić linkę. Sytuacja wymagała szybkiego działania, więc Jason zrezygnował z dyskusji. Zgramolił się z siodła, przytrzymał luzaka za uzdę. Koń targnął łbem.

– Dobrze było, Basile, tylko spróbuj poluźnić. Szybko, bo go nie utrzymam.

Olbrzym starał się jak mógł, ale pętla zacisnęła się. Rzucając niespokojne spojrzenia, usiłował rozsuptać węzeł. W końcu Match również zeskoczył z konia.

– Odsuń się! – warknął. Basile chciał coś tłumaczyć. – Odsuń się, mówię! Jason, trzymaj go!

Koń zaczął tańczyć po gościńcu. Match próbował sięgnąć do węzła, bez rezultatu. Wydobył więc nóż z cholewy, chlasnął sznur na grzbiecie, tuż przy wiklinowym koszu. Całe dobro przytroczone do końskiego grzbietu pospadało w piasek gościńca. Włącznie z koszem, który na szczęście się nie wywrócił. Koń sapnął z ulgą i uspokoił się.

Jason poklepał go jeszcze po szyi, po czym rozejrzał się. Basile wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Pociągał nosem. Match był wściekły, patrzył na opleciony wikliną gliniany gąsiorek z utraconą szyjką. Czerwone wino wsiąkało w szary, suchy piasek. Prawda, nawet go

nie spróbował, pomyślał Jason. No cóż, nie trzeba było się obrażać.

– Co cię tak śmieszy? – spytał Match zgryźliwie, widząc uśmieszek na jego twarzy.

– Nic specjalnie. – Jason walczył z ogarniającą go wesołością. W końcu, widząc trzęsącą się brodę Basile'a, nie wytrzymał. Match przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem i oburzeniem. Wreszcie, gdy zobaczył minę nic nierozumiejącego olbrzyma, sam parsknął śmiechem. Basile po chwili przyłączył się do nich.

– No, dobrze – stęknął Match, ocierając łzy z oczu. – Teraz zajmiecie się zrobieniem porządku. A ja... A ja posiedzę sobie, i popatrzę. Nie można was zostawić bez nadzoru...

– Hej, Match – zaprotestował Jason. – Tak naprawdę, to ty wszystko zważyłeś. Dobrze już, dobrze, żartowałem tylko. Chodź, Basile, bierzemy się do roboty.

Poszło, o dziwo, sprawnie, mimo że Match nie omieszkał wtrącać uwag i dobrych rad. Kiedy uporali się ze wszystkim, usiedli obok na poboczu gościńca. Jason podał Matchowi skórzany bukłak, który wcześniej wyciągnął z kosza.

– Nigdy nie wkładaj wszystkich jajek do jednego koszyka – powiedział sentencjonalnie, gdy Match zajął się winem. – Co prawda, nie powinienem, przecież obraziłeś się na to wino...

Match odjął bukłak od ust, otarł wargi.

– Powiedz, co was skłoniło do tego, hmm, przepakowywania na środku gościńca? – postanowił puścić uwagi mimo uszu. – I to jeszcze bez przerywania jazdy.

– A, rzeczywiście – przypomniał sobie Jason. – Basile chciał coś pokazać. Mówiłem mu właśnie, że sama siła w walce nie wystarczy, że trzeba jeszcze czegoś.

– Myślałeś może o rozumie?

– A co, przydałby ci się? – odciął się Jason w imieniu Basile'a. – Nie czepiaj się, to dobry chłopak. A poważnie, to myślałem o jakiejś broni dla niego, nie może tak z gołymi rękami... Mówił, że z kordem mu nie wychodzi, trzeba by jaki, bo ja wiem, morgenstern...

Match pokręcił głową. Jason zniecierpliwił się.

– O co ci chodzi? Nie ufasz mu?

– Jason, ja się jeszcze nie przyzwyczaiłem, żeby ufać tobie. Nie w tym jednak rzecz, popatrz lepiej. – Wskazał na obiekt ich sprzeczki.

Basile właśnie trzymał w ręce przedmiot, który odwinął z zabrudzonych skór. Właśnie ten przedmiot, który stał się powodem całego zamieszania.

Jason rozdziawił usta. Basile uśmiechnął się, machnął niedbale, bez wysiłku ręką.

– Mówiliście, panie, że trza czegoś więcej! – Olbrzym potrząsał wielką maczugą. – I co, wystarczy? – zapytał. – Ja do tego zwyczajny, mam wprawę!

Match wstał, by przyjrzeć się bliżej. Jeszcze nigdy nie widział takiej broni. Maczuga grubości uda dorosłego mężczyzny zrobiona była z dębowej, powęźlonej gałęzi i okuta na głowicy zardzewiałym żelastwem. Nasączono ją olejem, a w wyslizganej od długoletniego użytku rękojeści miała wypalony otwór, przez który przewleczono rzemyk. Poniżej okucia głowica nabijana była ostrymi kawałkami krzemienia. Musiała być bardzo stara. Widać przechodziła z pokolenia na pokolenie.

– Pokaż – zażądał Match.

Basile zsunął z przegubu rzemyk, wziął maczugę w pół i podał. Match ujął wyslizganą rękojeść, próbował dźwignąć jedną ręką. Mięśnie naprężyły się, chwilę utrzymał broń w poziomie. Tylko chwilę. Głowica stuknęła o ziemię.

– Pokaż to jeszcze raz.

– Co? – Basile nie zrozumiał.

– To, co zrobiłeś przed chwilą. No, weź i machnij.

Olbrzym wzruszył ramionami. Wyjął z ręki Matcha rękojeść maczugi, uniósł, nie zwracając sobie nawet głowy zakładaniem rzemyka na nadgarstek. Powietrze tylko zaświstało na krawędziach ułamków krzemienia.

– Nie mam więcej pytań. – Match usiadł z powrotem.

– Zaraz, ale ja mam. – Jason z niedowierzaniem przyglądał się, jak maczuga przecina powietrze. – Basile, odłóż to, bo jak ci wypadnie z ręki... No, odłóż to na chwilę, siadaj.

– Nie wypadnie – zapewnił poważnie Basile. Nawet niezadyszany, zaczął pieczołowicie zawijać broń w skóry.

– Basile, skąd ty to masz? Kto tego wcześniej używał, olbrzym z gór?

– Nie, wcześniej tatko używali, zanim go powiesili. A jeszcze wcześniej dziadunio, też, zanim go powiesili.

Jason nie musiał już pytać, jakim to rzemiosłem trudnili się szanowni przodkowie.

– U nas w rodzinie to normalne – dokończył Basile bez specjalnych emocji. – Mnie też pewnie by kiedyś... A może i nie? – zadumał się. – Przecie teraz już nie będę musiał na gościńcu łupić, teraz jestem u was za sługę... To lepiej, bo tamto...

Przerwał, jakby zawstydzony. Wbił wzrok w ziemię. Wreszcie jednak, widząc ich spoważniałe twarze, zaczął mówić:

– Bo wiecie, panowie, u nas w rodzinie to my tak zawsze. Z dziada pradziada, jak mówią. Pradziada nie pamiętam, nawet dziadunia, ale tatko zawsze prawili... No, prawili, że to dla chłopca najlepszy fach. I rzeczywiście, w chałupie nigdy nic nie brakowało. Znaczący, tego, w jaskini, nie w chałupie, bo po prawdzie w jaskini żeśmy mieszkali, w górach... Tatko opowiadał, że zbój honor swój powinien mieć, profesję szanować.

Basile spojrzał dumnie.

– Tatko gadał, że kiedyś dziadunio to nawet nie wszystkich bijał – kontynuował po chwili. – Jeno tych, co opór stawiali, a i to nie każdego. Dziadunio, wiecie, swoje miejsce miał przy moście, takim starym, co go, powiadali, jeszcze trolle kiedyś zbudowały, i myto za przejazd brały. A jak trolli nie stało, dziadunio pomyślał, że takie dobre miejsce nie może się zmarnować. Wprawdzie mostu nie naprawiał jak trolle, ale nic to. Solidnie go zbudowano, bez napraw wytrzymał, jeszcze długo posłuży. Dziadunio dobry był, zawsze jak kogo zdybał, to parę miedziaków zostawiał, żeby na piwo mieli. A czasami nawet nie rabował. Miał taki zwyczaj, najpierw zadawał trzy pytania, potem dopiero bijał. Jak kto dobrze choć na jedno odpowiedział, puszczał wolno. Tylko kiedyś upił się z takim, co dobrze odpowiedział. No i obudził się w lochu, związany w kij, a potem to już szybko poszło...

Olbrzym urwał, zadumawszy się nad ludzką niewdzięcznością i niesprawiedliwością.



– Tatko dorosły już był, zajął miejsce dziadunia. Też starał się zachować tradycję i zadawał trzy pytania. Ale bijał już wszystkich, bo wprawdzie pytania mu dziadunio powtórzył, ale nie zdążył powtórzyć odpowiedzi. A może i powtórzył, tylko tatko nie zapamiętał. Możliwe... Dobry był tatko, ale do nauki ciężki. Nieraz dziadunio ponoć się złościł. Ale na dobre wyszło, bo tatko nie miał się z kim upić. Długo pracował na moście. Dopiero aż z kuszy go postrzelili, rannego schwytali, a później...

– Dobra, dobra – przerwał Jason z niesmakiem. – Domyślamy się, co później.

– Ano, nietrudno się domyślić – przytaknął Basile. – Potem na mojego starszego brata popadło, że będzie musiał iść do pracy. Tatko go od małego przyuczał. Dobrze, mówił, że choć pierworodny się udał, bo ten zasrany kurdupel... Miał rację, zawsze byłem cherlawy, nie to co braciszek. Tatko bał się, że sobie nie poradzę. Zawsze przepowiadał, że marnie skończę, bez żadnego fachu w rękach. Ale zaraz po tym, jak tatko zadyndał, braciszek poszedł na niedźwiedzia... Bo wiecie, my barcie w lesie mieliśmy i niedźwiedź okrutnie je psował. To braciszek rohatynę wziął i mówi, poczekaj, ty skurwysynu...

Łza błysnęła w oku Basile'a. Zamilkł i otarł ją ukradkiem.

Tak się zwykle kończy, pomyślał Jason, jak się chodzi z patykiem na grubego zwierza, nie ma się co dziwić. Zawsze mówiłem, że tylko z kuszy, z daleka, najlepiej z drzewa. Wróc, niedźwiedź przecież potrafi wleźć na drzewo. Najlepiej zostawić takiego w spokoju, niech sobie żyje.

– I co, niedźwiedź go rozdarł? – spytał Match prosto z mostu. Jason spojrzął na niego karcąco. Więcej delikatności...

Basile zaprzeczył zdziwiony.

– Nie, nie rozdarł. Mały był, braciszek nawet nie musiał go nadziać, ino z piąchy zdzielił. Gorzej się stało. Bo jak braciszek wracał z lasu, to u smolarzy zanocował. I już z ich chaty nie wyszedł... Dopiero w dwie niedziele później, jakeśmy się dowiedzieli, tośmy z mamuską po niego ruszyli, żeby do dom przywieźć. Mówię wam, jak mamuska zobaczyła, jak tak leży, to mało jej serce nie pękło...

Basile pociągnął nosem. Match odwrócił wzrok. Zbóje nie zbóje, pomyślał, przykra sprawa. Musiało to być paskudne przeżycie, widzieć rozpacz matki po stracie syna. I to zaraz po tym, jak tatusia obwiesili.

Otarłszy łzy, Basile uspokoił się trochę. Pociągnął jeszcze raz nosem i podjął:

– Wierzcie mi, mało jej serce nie pękło. Mnie też paskudnie się zrobiło, jak to zobaczyłem. Mamuśka włosy z głowy rwać poczęła, krzyczeć okrutnie. Won, ty dziwko, krzyczała, won, od mojego syna. A ty, ty się przestań gzić w biały dzień, tylko do domu wracaj, do roboty, bo nie ma co do garnka włożyć!

Jason parsknął śmiechem.

– Nie śmiecie się – obruszył się Basile. – To wciąż nie wszystko. Bo braciszek też zaczął plugawie przeklinać i powiedział, że on teraz porządny człowiek. Że się ożeni i będzie żył uczciwie. Tfu, własnej matce tak powiedzieć! Jeszcze rzekł, że się nas wstydzi, bośmy zbóje, i żebyśmy więcej tu nie przychodzili. Bo co o nim ludzie powiedzą... To co było robić? Poszliśmy, tylko mamuśka skopała go na odchodnym.

Match z trudem utrzymywał powagę. Rzeczywiście, wolałby już być prostym zbójem.

– Tak zaczęły się moje nieszczęścia. Mamuśka zła była, parę dni minęło i już postanowiła, że czas przestać bąki zbijać. Marsz do pracy, powiedziała, darmożjadzie, zarobić na utrzymanie. Prawda, sam się zostałem. Wziąłem sprzęt i poszedłem na most. Nijako mi trochę było, nieprzygotowany taki. Nawet trzech pytań nie znałem, tatko nie powiedział, a braciszka wstyd było pytać, mógł psami poszczuć, tak jak obiecywał... Nie szło mi, chociaż ruch był jak w dzień targowy. Pod koniec dnia samych wybitych zębów miałem z koszyk. I sześć miedziaków. Może to dlatego, że pytań nie znałem... Jak przyszedłem do domu, to mamuśka tylko w pysk mnie zdzieliła. Gdzie pieniądze, pytała. A ja, wiecie, te miedziaki... Te miedziaki pod koniec dnia dałem takiemu jednemu, co, jakem mu zagroził, że bić będę, ukląkł przede mną i o litość błagał. Pokazywał pustą sakiewkę przy pasie, mówił, że już go zbóje przy poprzednim moście złupili.

Jason jedynie pokiwał głową. Numer z pustą sakiewką był stary jak świat, aż dziw, że ktoś się jeszcze na niego nabrał. No cóż, Basile, pomyślał, twój tatko miał rację. Nie nadajesz się.

– Płakał, mówił, że ma w domu głodne dzieci, żeby mu darować, koni i wozu nie zabierać, bo nie jego, ino pożyczone. Żal mi się go zrobiło,

puściłem wolno, dałem te moje miedziaki, niech dzieciśka nakarmi. Biedny widać, skoro na konie go nie stać. Tak mi dziękował, wiecie, aż mi się przyjemnie zrobiło. Ale mamuśka była wściekła, zaraz bladym świtem do roboty pognała. Niechętnie szedłem, wiedziałem, że to nie dla mnie.

Popatrzył na słuchaczy. Ci nie zaprzeczali. Z całej opowieści wynikało jasno, że Basile nie pasował do tradycyjnego rodzinnego zawodu, mimo niezaprzeczalnych warunków fizycznych.

– Bałem się, żeby śmiać się ze mnie nie zaczęli. Jak się pierwszy pojawił, na wozie z beczkami wina, to wyskoczyłam od razu, chciałem bić, mimo że z pacholkami jechał. Tylko trzech ich było. Już chciałem jednego zdzielić, kiedy pan, co powoził, krzyknął na mnie. Tak mnie zdziwił, że się wstrzymałem. Bo wiecie, inni jak mnie zobaczyli, prosili, by im życie darować, a ten nic, nawet się nie przeląkł. Popatrzył tylko tak, spytał, czego sobie życzę. Języka w gębie zapomniałem, nie wrzasnąłem "pieniądze albo życie", czy co tam zawsze się wrzeszczy. A on śmiać się zaczął. Śmiał się, i mówił, że w ten sposób nie zarobię nawet na pieprz do gówna. Że to nie tak się robi, że jestem zbójem a... a...

– Anachronicznym – odpowiedział machinalnie Jason.

– Tak właśnie powiedział – ucieszył się Basile. – Jakem go zapytał, co to znaczy, odrzekł, że tak można było kiedyś, ale tak się robi inaczej. Że siedzę tu na zadupiu i nie mam pojęcia nawet, jak wygląda zbój w dzisiejszych czasach. A trzeba...

– A jak wygląda? – zainteresował się Match.

– ...wam jeszcze wiedzieć, że był to pan gospodarz, u którego do wczoraj służyłem – dopowiedział z rozpędu olbrzym. – Nie wyjaśnił po prawdzie, jak zbój wygląda, ale powiedział, że samemu to dobrze w nosie dłubać, albo i co paskudniejszego robić.

Basile zaczerwienił się pod badawczym spojrzeniem Matcha.

– No, wiecie sami, panie, co paskudnego chłop może robić samemu – wykrztusił wreszcie. – Sami wiecie.

– Wiem – odparł krótko Match. Jason spojrzał na niego uważnie. Na szczęście Match nic nie spostrzegł.

– Mówił, że teraz kupą trza, kupy nikt nie ruszy. Żeby brać przykład

choćby z takiego Robin Hooda albo Wieprza, równie ponoć, jeśli nie bardziej sławnego zbója. Powiadał pan gospodarz, że ów Wieprz tylko całą bandą łupił, a tak dobrze mu szło, że w swej komyszy na workach złota spał. W jedwabie się ubierał, panny do lasu porywał, przebierać w nich mógł. Jak mu się która znudziła, to kamratom ją oddawał, a se zaraz nową łapał. Osobliwie ponoć w rudych gustował.

– Nic nie mówiłeś o pannach – zdziwił się obłudnie Jason. – Te worki złota to ci jeszcze odpuszczę, ale panny... Coś w tym jest, zwłaszcza jeśli chodzi o rude.

– Zamknij się – warknął Match. – A ty się streszczaj, do rzeczy! I zapamiętaj sobie, Robin Hood nie był żadnym zbójem, tylko banitą! Walczył z wielmożami, a co bogatym złupił, to na pożytek obracał! Rozdawał ubogim!

– A co za różnica? – zdziwił się Basile. – Dla tych bogatych? A i nie powiecie przecież, że dla siebie nic nie zostawił, ani odrobinki?

– Nie zostawił – mruknął Match bez przekonania. – Ubodzy go żywili i schronienie dawali, w zamian za ochronę, za to, że za nich walczył.

– Ale żywili go za to, co im dał – odparł Basile niepewnie. – Za to, co złupił bogatym.

Jasona aż zatkało z zachwytu. Po pierwsze, na widok Matcha, który wyglądał, jakby za chwilę miała go zalać nagła krew. Po drugie, dawno nie słyszał tak logicznej argumentacji.

– Nie gniewajcie się, już kończę – sumitował się Basile, speszony ciszą, która nagle zapadła. – Powiedział pan gospodarz, że marny koniec mnie czeka, jeśli tak samopas będę grasował. I wierę, słusznie prawil, jak wspomniałem sobie tatkę i dziadunia. Bo pradziadka to nie pamiętam, ale jego zdaje się kołem połamali. Albo na pal wbili, wszystko jedno zresztą, tatko sam nie pamiętał. To zapytałem, czy nie wie przypadkiem, gdzie tu kamratów można dobrych znaleźć. A on rzecze, że w dzisiejszych czasach na zbója trza się długo uczyć, nie każdy cham z gościńca się nadaje. Musi umieć mieczem robić, ludźmi dowodzić, nawet dwornie się wyrażać, na wypadek, gdyby hrabiankę jaką na trakcie zdybał. Popatrz, mówi, na siebie, smarkasz co chwila w palce, łachy na grzbiecie masz byle jakie, czy tak ma wyglądać porządny zbój? A tą twoją pałą możesz kmiotów straszyć, nie kupców, z których każdy z

pachołkami jeździ i z kordem przy boku. Po prawdzie miał rację... Powiedział jeszcze, że aby się mieczem nauczyć robić, trzeba najlepiej do straży na naukę się wkupić. Zasmucił mnie bardzo, bo tym moim zbójowaniem faktycznie jeszcze niewiele zarobiłem. I zanosilo się, że nieprędko zarobię. Widział chyba, że mi nie do śmiechu, bo mówi, że tak się przypadkiem składa, że pomocnika do karczmy potrzebuje, może być nieuczony, byle silny. Jak chcę, to się nadam, uzbieram na naukę. Tak i zgodziłem się. Służyłem wiernie, ale wciąż mówił, że na naukę jeszcze za mało zarobiłem. Dopiero jak was wczoraj zobaczyłem, no, to resztę już wiecie...

Basile zamilkł, spoglądając niepewnie na Matcha. Jason tymczasem odwrócił głowę, walcząc z paroksyzmami śmiechu. Nie chciał jeszcze bardziej speszyć olbrzyma. Match sam nie wiedział, co powiedzieć. Ociężale wstał, przeciągnął się.

– Dobra, Basile – zdecydował weszcie. – Możesz jechać z nami. Ale na panny, zwłaszcza rude, nie licz specjalnie.

Basile rzucił się, jakby chciał go pocałować w rękę. Match szarpnął się do tyłu. Mrucząc coś gniewnie, poszedł w stronę koni.

Gdy ruszyli, przez dłuższą chwilę ciszę mącił jedynie stukot kopyt i wesołe pogwizdywanie Basile'a. Wreszcie Match przerwał milczenie.

– Psiakrew, nie można go zostawić, przecież zginie. Głupi jest jak funt hufnali. Ubiją go albo znowu jakiś cwaniak weźmie go na służbę. Na dziesięć lat za darmo. Może w mieście znajdziemy mu jakieś miejsce, choćby w straży miejskiej.

Jason nie odpowiedział. Jechał, patrząc przed siebie. Match uświadomił sobie, że kąciki ust drgają mu podejrzenie.

– Dobrana z nas kompania – odezwał się skwaszony. – Oszust, którego nawiedzają wizje, niewydarzony zbój i... – urwał.

Jason uśmiechnął się.

– Dokończ – powiedział. – I jeszcze kto?

Zamiast odpowiedzi Match popędził konia. Jason uśmiechnął się szerzej.

– Popatrz na to z drugiej strony – krzyknął w kierunku pleców Matcha. – Zawsze możemy zarabiać jako trupa kuglarzy.

Z przodu doleciało niewyraźnie przekleństwo.

\*\*\*

Miasto było już zaledwie o pół godziny jazdy. Mogli zdążyć przed zmierzchem, zapadającym późno o tej porze roku. Jednak Match, któremu dotąd tak się spieszyło, od jakiegoś czasu zwalniał wyraźnie, aż wreszcie zatrzymał się w mizernym zagajniku, ostatnim rzadkim skupisku drzew przed miejskimi murami.

– Zanocujmy tu, zaraz pewnie zamkną bramy. Bez sensu stać pod murem do samego rana.

Jason tylko zaklął pod nosem. Od rana szykował się na porządny nocleg, gdzieś na sianie, nad jakąś stajnią. Nie liczył, że Match zatrzyma się w zajeździe, ale nawet stryszek byłby lepszy od odgniatania kości na ziemi, twardej i zimnej, osobliwie nad ranem. Już chciał zaprotestować, ale się wstrzymał. Zrozumiał, że Match chce choć do rana odwlec ten moment i spędzić ostatnią może na długi czas noc pod gołym niebem. Poczuć się wolnym przed zamknięciem w dusznych murach.

Trudno, pomyślał Jason, niechętnie zsuwając się z siodła. Odparzony przez całodzienną jazdę w upale tyłek nie dawał o sobie zapomnieć.

Rozmowa nie kleiła się. Match siedział zamyślony, z przymkniętymi oczyma. Nie rozłożył nawet derki. Jason wypakował z zapasów jakieś jądło, ale nikt nie przejawiał szczególnego apetytu. Tylko olbrzym usiadł z boku, najwyraźniej szczęśliwy. On nie przejmował się niczym, ani zapowiadającym się niewygodnym noclegiem, ani tym, co przyniesie następny dzień. Jason miał wrażenie, że Basile nigdy nie poświęcał większej uwagi temu, co miało czy mogło nadejść. W duchu mu tego teraz pozazdrościł. Basile spełnił swe marzenia. Dostał się na służbę do żołnierzy fortuny. I nic nie mogło go wyprowadzić z błędu.

Jason, na swe nieszczęście, zaczął się zastanawiać, co nastąpi jutro. Gdy cel podróży był już bliski, nurtowało go jedno pytanie. W końcu postanowił zadać je głośno.

– Wiesz co – zaczął wreszcie – to śmieszne, ale do tej pory nie powiedziałaś, dokąd w końcu zmierzamy. Wszystko wydawało się tak

oczywiste, tak... bo ja wiem, przesądzone, że się nad tym nie zastanowiłem.

Match nie otworzył nawet oczu, nie okazał zdziwienia, zajęty swoimi myślami.

– Do Nottingham – mruknął tylko.

– Nie może być? – spytał Jason z przekąsem. – Wybacz, Match, ale tego zdołałem się już wcześniej domyślić. A jakbym się nie domyślił, to całkiem niedawno, jeszcze przed zmierzchem, wystarczyło spojrzeć i zobaczyć, z daleka co prawda, wieżę zamkową...

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Match odpowiedział:

– Jedziemy do szeryfa.

Nic więcej. Jason zaczął się niecierpliwić.

– Do samego szeryfa, powiadasz. – W głosie była gryząca ironia. – A czy on o tym wie? Bo jeśli nie... to możemy nie zostać do niego dopuszczeni, w najlepszym przypadku. Bo mogę sobie wyobrazić i gorsze... – Jason zawiesił głos, licząc, że to wreszcie poruszy nieco Matcha. Nic z tego. – Tak, gorsze. Na przykład, straż może nas przepędzić, psami poszczuć. Albo i w lochu zamknąć, popatrz tylko, jak wyglądamy... Nie powiedziałbym, że wzbudzimy zaufanie.

Match wreszcie otworzył oczy.

– Szeryf mnie oczekuje – wyjaśnił z lekkim zdziwieniem. – Przecież już prawie rok temu mnie wzywał. Myślałem, że wiesz.

– Skąd mam wiedzieć? – zirytował się Jason. – Nie raczyłeś wspomnieć.

– Co, nie widziałeś tego, tak jak innych rzeczy? Nie domyślałeś się wreszcie?

Jason uspokoił się. Zauważył już wcześniej, że Match zwykle przecenia jego możliwości, albo raczej po prostu nie pojmuje ich istoty. Trudno zresztą się dziwić, Jason sam do końca ich nie znał.

– Match, nie masz racji – spróbował po raz kolejny. – Niech nareszcie do ciebie dotrze, że ja nie widzę wszystkiego, co się kiedyś działo, dzieje czy dzieć będzie.

I całe szczęście, pomyślał. Jeszcze by tego brakowało.

– Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia – kontynuował. – Jakąś opowieść, przedmiot, bo ja wiem w końcu... Do diabła, przecież tyle razy ci już mówiłem! – zirytował się. Popatrzył z niechęcią na Matcha, który znów przymknął oczy.

– Zdaje mi się, że trochę rozumiem – ciągnął po chwili, nieco spokojniej. – To jakby twoje myśli, to co sam pamiętasz, czy przeczuwasz. Aura otaczająca przedmioty. Jakieś silne emocje. Jakbym to w jakiś sposób odbierał. Ach, do diabła z tym, i tak tego nigdy do końca nie pojmę. A ty tym bardziej.

Zamilkł. To było bez sensu. Nie dawało się ująć w słowa, nie dawało się opisać. To tak, jakby próbować opisać słowami... Bo ja wiem, zastanowił się, na przykład miłość, uniesienia przeżywane z kobietą. Niby proste, ale... Trzeba być jakimś pieprzonym bardem albo innym wierszokletą. A i tak większości z nich się to nie udaje.

– To było, zaraz, prawie przed rokiem. – Głos Matcha przerwał jego rozmyślenia. Jason ocknął się. Match jak zwykle nie zadawał niepotrzebnych pytań. Uznając racje Jasona, dawał mu punkt zaczepienia. Tak po prostu...

– Szeryf przyjechał do klasztoru. Sam, osobiście, nie ograniczył się do wysłania posłańca. Sądził widać, że tak ma większe szanse, by mnie namówić...

\*\*\*

Młody braciszek kulił się z zimna w swym cienkim habicie. Wolałby już harować przy karczowaniu pól, co było najcięższą pracą, jaką mógł przydzielić przeor. Przynajmniej by się rozgrzał. A tutaj były tylko długie, beznadziejne godziny czekania. I jeszcze to zimno, wilgotny ziąb przedwiośnia.

W klasztoru nie było funkcji furtiana, z braku murów, a więc i furty. Od czasu do czasu jednak przeor powierzał komuś pełnienie tej funkcji. Najczęściej tym, którym zdarzyło się podpaść. Braciszek sam sobie był winien.

Fantazja przeora nakazywała wyznaczonym na zaszczytną funkcję furtiana pełnić swą służbę w szczerym polu, tam, gdzie kończyły się opłotki. Jedynym schronieniem była rozpadająca się szopa na narzędzia



ogrodnicze, przypadkiem stojąca w miejscu, które przy odrobinie wyobraźni można było uznać za wjazd do klasztornych zabudowań.

Braciszek tkwił więc przy zbitej z desek ścianie i przytupywał dla rozgrzewki. Wstawał właśnie późny, przedwiosenny poranek, wilgotny, zimny i zamglony. W tej mgle ginęła droga, nie mógł dojrzeć nawet pobliskiej ściany lasu. Usiłował liczyć upływające godziny. Wciąż wychodziło mu, że w zasadzie powinien być już wieczór, czemu przeczyło wszystko to, co widział dokoła.

I wtedy usłyszał konie. Mlaskanie kopyt po rozmiękłej drodze. Zmartwił.

Przez głowę przebiegły mu różne myśli. O zbójach, którzy pragną najechać i złupić klasztor, o upiorach w pordzewiałych zbrojach, siedzących na kościotrupach koni, czy o innych, równie mało przyjemnych rzeczach. Chciał odwrócić się, pobiec ku bezpiecznym zabudowaniom, ostrzec innych, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stał tylko, mamląc pod nosem słowa modlitwy. Nie miał wielkiej nadziei, że coś pomogą, lecz na nic więcej się nie zdobył.

Odgłosy przybliżały się. Nawet niewprawne ucho powiedziało braciszce, że jeźdźców jest co najmniej kilku. Przez tłumiącą odgłosy, mylącą mgłę dobiegło go, prócz odgłosu kopyt, także pobrzękiwanie, uprząży lub oręza. Słyszał stłumioną rozmowę. Nieznajomi zbliżali się.

Wkrótce mógł ich dostrzec. Na szczęście byli to ludzie, nie upiory. Kilku zbrojnych, jednakowo ubranych. Nosili czyjeś bar wy, nie wiedział, czyje, lecz było to nieistotne. Na szczęście poczet, nie zbóje. Może od razu nie złupią.

Podniesiony na duchu braciszek przerwał modlitwę. Jeźdźcy zatrzymali się na jego widok.

– A co on tu robi? – zdziwił się jeden z nich, wielki drab o zarośniętej gębie. Jechał na czele, widać był dowódcą. – Hej, mnichu, a daleko do klasztoru?

– Przecie to już – odparł zdumiony mniszek. – Co, nie widzicie?

Obejrzał się. Rzeczywiście, mogli nie widzieć. Mgła za nim była tak samo gęsta jak przed nim, zabudowania zupełnie w niej ginęły.

– Patrzcie go, jaki mądrała – odezwał się drugi z żołnierzy. –

Odpowiadaj, jak pytają, bo jak nie...

– Zamknij się, Patrick – osadził go ten zarośnięty. – Myślałby kto, żeś sam taki mądry. A kto niedawno mało się ze strachu nie zesrał, jak żeśmy pobłądzili w przeklętym lesie? Mimo że gościniec prosty jak sierpem rzucił, a nigdzie z niego nie zjeżdżaliśmy? I każdy dupek wie, że do klasztoru prowadzi, nie gdzie indziej? Kto jęczał, że się w bagnach potopim?

Mówił z dziwnym akcentem. Braciszek nie słyszał jeszcze takiego.

– Wybacz, bracie – zbrojny zwrócił się do spłoszonego braciszka. – Znaczy, dojechaliśmy zatem.

Obejrzał się.

– Co rozkażecie, panie? – zapytał.

Jeden z mężczyzn, trzymający się dotąd z tyłu, wysunął się bliżej. Nie wyróżniał się strojem, okryty prostym, błyszczącym od wilgoci płaszczem. Jednak braciszek od razu poznał, że nie jest to zbrojny. To jakiś wielki pan, pomyślał, i skłonił kornie głowę.

– Dobrze – odezwał się wielmoża. – Ty, Wulf, jedziesz ze mną, mnich poprowadzi. Reszta tu zaczeka, to nie potrwa długo. Nie będziemy robić całego najazdu. – Uśmiechnął się.

Braciszek stał jak wrośnięty. Bał się zejść z posterunku.

– No, ruszaj, bracie – ponaglił go łagodnie Wulf.

– Ale ja... – wyjąkał braciszek.

– Ruszaj, jak jaśnie wielmożny szeryf Nottingham ci każe – Wulf zniecierpliwiał się trochę.

– Zaraz – wstrzymał go szeryf, widząc przerażenie braciszka. – Powiedz, bracie, co ty tu właściwie robisz, o tej porze, w taki ziąb?

– Ja... – zaczął mnich niepewnie. – Ja jestem furtianem.

Szeryf rozejrzał się. Popatrzył na krzywy płotek, rozwalającą się szopę. Uniósł brwi ze zdziwienia.

– Panie, ja go zaraz... – Wulf groźnie popatrzył na braciszka. – Hej, mnichu, nie rób sobie żartów z wielmożnego pana, bo jak ci...

Braciszek skulił się.

– Spokojnie. – Szeryf znał przeora i jego niekonwencjonalne metody.

– Nie możemy przeszkadzać w pełnieniu tak odpowiedzialnej funkcji. Niech zostanie. Powiedz tylko, braciszku...

Mnich zrozumiał od razu.

– Tak jak droga prowadzi, panie, wnet kaplicę zobaczycie. Wszyscy tam będą, przeor też, pora modlitwy.

Szeryf i Wulf, nie czekając dłużej, ruszyli przed siebie. Zanim zniknęli we mgle, szeryf odwrócił się do mnicha.

– Nie zapomnij zamknąć za nami furty – rzucił na odchodnym.

Nie wracali długo. Mgła podniosła się, wstał pochmurny dzień. Braciszek dalej trząsał się z zimna, ale dziękował Bogu za nieoczekiwaną rozrywkę, która spowodowała, że czas tak się nie dłużył. Przyglądał się zbrojnym, podziwiał ich marsowe miny, dorodne, silne konie, broń przy boku. Nawet wielkiego, kudłatego psa, którego mieli ze sobą.

Braciszкови czas się nie dłużył. Dłużył się za to zbrojnym. Po jakimś czasie zaczęli, pomrugując do siebie, opowiadać sprośne dowcipy i historyjki, w których kobiety, a zwłaszcza ich konkretne części ciała, odgrywały główną rolę. Popatrywali przy tym na mnicha, ciekawi, jakie wrażenie na nim to robi. Czy spłoni się ze wstydu, czy zasłoni sobie uszy. Zawiedli się srodze. Braciszek traktował ich opowieści jako niespodziewany uśmiech losu, chłonąc je z rozdziawioną gębą.

Wreszcie Patrick, ten, co to ponoć wystraszył się w lesie, przeszedł do bezpośrednich zaczepek. Brak reakcji mnicha tylko go rozsierdził.

Braciszek spoglądał z podziwem na psa, który ułożył się nieopodal sztywno siedzących w kulbakach jeźdźców. Było to wielkie, silne zwierzę, z rodzaju tych, co mogą w pojedynkę zagryźć wilka. Może właśnie do tego został ułożony, może po to potrzebny był w podróży przez las. Mimo groźnego wyglądu w tej chwili zachowywał się całkiem pokojowo. Nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie, poświęcał się zwykłemu psiemu zajęciu. Wylizywał sobie jaja.

– Hej, mnichu. – Zgrzytliwy głos Patricka sprawił, że zakonnik drgnął.  
– Podoba ci się nasz piesek?

– Podoba – odparł krótko braciszek. Pies rzeczywiście mu się podobał, lubił zwierzęta. Nie podobał mu się za to Patrick. Postanowił usunąć się dalej.

– A dokąd to? – Zbrojny chyba szukał zaczepki. – Tak schodzić z posterunku? Nie bój się, nie zjemy cię. Chyba że nasz piesek... Hej, mnichu, a wiesz, dlaczego pies liże sobie jaja?

Mnich nie odpowiedział. Nie zastanawiał się nad tym do tej pory, i, szczerze mówiąc, nie był specjalnie zainteresowany.

– Bo może! – zarechotał Patrick. Tylko on. Zezłościło go to wyraźnie. – Wiesz, braciszku, on gardło potrafi rozerwać od razu. A nogę przegryza jednym kłapnięciem. Co, boisz się go, no powiedz, boisz się?

– Nie – odparł mnich zgodnie z prawdą. Zupełnie niepotrzebnie, jak sam się po chwili zorientował.

– To się przestraszysz – warknął zbrojny i zsunął się z kulbaki. – Zaraz zobaczysz.

– Patrick, nie... – mruknął ostrzegawczo któryś ze zbrojnych.

– No co ty? Tylko go trochę postraszę.

Stanął przed psem, nie zbliżając się jednak zbyt. Popatrzył na mnicha. Braciszek wreszcie się przestraszył. Nie uciekał, było za późno, wiedział, że pies dopadłby go, zanim przebiegłby kilka kroków. Znał zwierzęta, wiedział, że kiedy zbrojny poszczuje na niego psa, tylko zachowując bezruch może się uratować. Przymknął oczy.

– Boisz się! – stwierdził triumfalnie Patrick. – Zaraz zobaczysz...

– Patrick, nie rób tego! – krzyknął ktoś ostrzej. – Nie rób, bo...

– Bierz go! – warknął Patrick. – No, bierz...

Mnich zacisnął mocniej oczy, spodziewając się głuchego, bulgotliwego warczenia, które zwykle poprzedza atak takich dużych psów. Cisza. Ostrożnie uchylił powieki.

Pies nie ruszył się. Przechyliwszy łeb, przyglądał się Patrickowi. Po chwili, jakby nie widząc nic interesującego, powrócił do przerwanej uprzednio czynności.

– Eh, ty! – wrzasnął Patrick. – Kundlu przeklęty. Bierz go, mówię!

– Patrick, nie! – Ostrzeżenie przyszło za późno. Zbrojny zdążył zrobić krok w stronę psa, wyciągając rękę do nabijanej ćwiekami obroży. Za chwilę leżał na wznak, osłaniając krwawiącym przedramieniem szyję. Pies stał nad nim, z jego gardła dobywał się wściekły warkot.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – z tyłu rozległ się gniewny głos z cudzoziemskim akcentem. Wulf. Nikt nie spostrzegł, jak nadchodzi, prowadząc konie, swojego i szeryfa.

– Co jest, kurwa, pytam ostatni raz! – Wulf spojrzał na mnicha, zreflektował się. – Powiedz, co się tu stało? Czepiali się ciebie?

– Nnie... – wyjąkał braciszek. Miał jeszcze miękkie nogi. – Nic takiego się nie stało – dokończył już śmieiej.

– Nic się nie stało. – Wulf pokręcił głową z powątpiewaniem. – Znam ja was, sukinsyny... Gadać mi tu zaraz! – krzyknął groźnie na zbrojnych.

Ci spoglądali w ziemię, z wyjątkiem Patricka, który nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Pies stał wciąż nad nim, na bladą, wykrzywioną strachem twarz kapały z warczącego pyska kropelki śliny.

– Nic takiego – mruknął wreszcie niepewnie któryś ze zbrojnych. – Patrick drażnił pieska.

Wulf zaśmiał się chrapliwie. Podszedł do leżącego, poklepał zwierzę po szyi. Warczenie ustało.

– Ty durniu – rzucił Wulf. – Wiesz, że on cię nie lubi. Raz ci już dupsko rozerwał. Dobry piesek, dobry... No, zostaw to ścierwo.

Pogłaskał psa, który bez oporów dał się odprowadzić na bok.

– A ty wstawaj i na konia! I wielmożnemu panu w oczy nie leź! Poczekaj, wrócimy, to się z tobą policzę! Formować szyk, wielmożny pan zaraz wraca! Żywo!

Zbrojni z widoczną ulgą ustawiali się do drogi. Najwidoczniej gniew Wulfa potrafił być dotkliwy.

Braciszek obejrzał się. Drogą nadchodził szeryf. Oczy zakonnika rozszerzyły się ze zdumienia. Obok szeryfa szedł ten długowłosey, brodaty dziwak, ten, któremu przeor łaskawie zezwolił na osiedlenie się na klasztornej ziemi. Ponure indywiduum, zawsze patrzył spode łba, nie odzywał się prawie nigdy. Zresztą, nikt specjalnie nie próbował go zagadywać. Swym wyglądem budził lęk, który pozwalał poskromić zbytnią ciekawość.

Idący zatrzymali się. Milczeli chwilę.

– Wracaj – dotarły wreszcie do uszu braciszka słowa szeryfa, wypowiedziane cichym głosem. Ton nie był rozkazujący, raczej proszący.

Nie taki, jakiego należało się spodziewać u królewskiego szeryfa rozmawiającego z takim oberwańcem.

– Wracaj, jesteś potrzebny – powtórzył cicho szeryf.

Stojący przed nim człowiek długo nie odpowiadał. Patrzył szeryfowi prosto w oczy, z twarzy nie można było niczego wyczytać.

– Moja wojna się skończyła – odparł wreszcie spokojnie.

Odwrócił się i odszedł bez słowa.

\*\*\*

Był zniechęcony. Match chyba też.

– Przepraszam – odezwał się po chwili Jason. – Dziś już więcej nic z tego raczej nie będzie. Porozmawiajmy normalnie, chciałbym cię o kilka rzeczy zapytać.

– Dobrze – Match zgodził się bez oporu. – I tak nie mamy nic innego do roboty. Tylko...

Wskazał Basile'a siedzącego nieopodal.

– Wolisz, żeby nie słuchał? – zrozumiał Jason.

– A na co ma wiedzieć takie rzeczy? – Match pokiwał głową. – Lepiej dla niego, jak nie wie...

Jason spojrział na olbrzyma. Basile wyglądał na całkiem zadowolonego. Siedział sobie, pochłonięty bez reszty własnymi sprawami. Polegały one na dłubaniu w nosie, co czynił bardzo dokładnie i sumiennie.

– A zresztą – machnął ręką Match, zobaczywszy to samo, co i Jason – i tak nie zrozumie... Takiemu to dobrze... – dodał z nutą zawiści.

– Powiedz, Match, czego właściwie chciał wtedy szeryf? – Jason nie zwlekał z pytaniami. – Po co przyjechał?

– A niech cię – mruknął Match ze zniechęceniem. – Toć dopiero mówiłem! Nie słuchałeś, czy co?

– Mówiłem ci, że chcę zobaczyć. Staralem się. A zobaczyłem nie całkiem to. Ale przez to... przez to nie słuchałem, co mówiłeś.

- Dobrze. - Match zrezygnował z dalszej dyskusji. Doszedł do wniosku, że prościej opowiedzieć jeszcze raz.

- Więc, jak już mówiłem - nie omieszkał podkreślić - to wtedy się znów zaczęło. Takie pierwsze oznaki, niejasne pogłoski. Trudno je odróżnić od zwykłego bajania. Ludzie zawsze opowiadają o niesamowitych rzeczach. Takich jak na przykład ciele z dwiema głowami, albo potwory i tajemnicze znaki. Cóż, zlekceważyłem to wtedy. Poza tym... miałem dość, serdecznie dość wszystkiego.

Match wstał, rozciągnął derkę na trawie, położył się wygodnie.

- Jak wiesz, zacząłem służbę u szeryfa na mocy pewnej umowy. Nie, nie chodzi mi o tę, na którą sam się zgodziłem, tę, która oferowała mi życie w zamian za...

Przerwał na chwilę.

- Mniejsza z tym, wiesz o co chodzi - mruknął niechętnie. - Mam na myśli tę drugą, zawartą pomiędzy druidami a szeryfem. Nigdy nie zrozumiałem do końca, o co w niej szło. Prawdopodobnie o to, żebym zapłacił. Bo we wrodzoną dobroć i prawość druidów dawno przestałem wierzyć. Gdyby chcieli, pozwoliliby mnie zabić bez wahania, albo i sami zabili. Ale nie, to było widać zbyt proste. Trzeba było, abym poniósł konsekwencje swojej... niewiedzy? nierozwagi? I musiał się z tymi konsekwencjami spotkać osobiście i walczyć z nimi. Ale wreszcie zaczynam rozumieć. Mimo wszystko byłem ważny, a właściwie niezbędny. Już wiem, że to, co kiedyś obudziłem, znów stało się aktywne. I groźne, jak nigdy przedtem, jeśli sądzić po pogłoskach, po całym zamieszaniu, i tym, co mówiłeś w gorączce. Z tym czymś trzeba się będzie zmierzyć. A tylko ja mogę spróbować. Wiesz, kim jestem. Widać jestem jedyny. I, jak wiesz, nawet to może nie wystarczyć. Pewnie nie wystarczy.

Oto cały Match i jego wrodzony optymizm. Nie ma jak pozytywne myślenie, orzekł w duchu z przekąsem Jason.

- To zresztą teraz nieważne. - Match jakby domyślił się tych spostrzeżeń. - Będzie, co ma być. Wracajmy do rzeczy. Tak, Jason, wtedy odmówiłem. Służyłem u szeryfa ponad dziesięć lat. Wreszcie nawiązało się między nami jakieś porozumienie. Szybko zacząłem go szanować. Potem chyba nawet polubiłem. On też odnosił się do mnie, bo ja wiem... Z

szacunkiem? Trudno powiedzieć, może też mnie lubił, w każdym razie, po pewnym czasie miał do mnie zaufanie. A ja tego zaufania nie zawiodłem. W końcu miałem dość tej służby i powiedziałem mu to kiedyś. Wydawało mi się, że spłaciłem długi. Nie miałem racji, dzisiaj wiem, że nie miałem. Moich długów nie da się spłacić, może dlatego, że w wielu przypadkach nie ma już komu. Widzisz, wtedy nie mogłem już znieść otaczającej mnie nienawiści. Bo nienawidzono mnie i gdy byłem na miejscu, ludzie nie mogli zapomnieć. Szeryf nie mógł zwolnić mnie ze służby, nie mógł złamać umowy. Miałem pozostać w jego służbie na zawsze. Mógł jednak zrobić jedno: obejść umowę, nie naruszając jej. Wprawdzie wyjście, jakie zaproponował, nie było zbyt pociągające, ale dla mnie wtedy wszystko wydawało się lepsze niż codzienne nienawistne spojrzenia, niż pamięć krzywd, ciągle żywa. Król szykował wówczas kolejny ze swych idiotyzmów, zwany wyprawą w obronie wiary, krucjatą. Każdy z poddanych powinien, wedle woli króla, rzucić wszystko i wyruszać, by pognębić pogan. A jeśli osobiście nie chciał, mógł wystawić poczet, który w jego imieniu odbierze muzułmanom grób Pański, i inne rzeczy równie niezbędne królowi do szczęścia. Szeryf, oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru bronić wiary osobiście. Wystawił poczet, wcale zacny, wykosztował się. Wiedział, że wtedy będzie miał święty spokój. Znalazł się nawet ochotnik, który w swej głupocie ochoczo podjął się przewodzenia tej wyprawie. Na chwałę boską i zapewne swoją. Hrabia Gisbourne, oczywiście. I drugi ochotnik. Ja.

Match zaśmiał się sardonicznie.

– Tłumaczy mi wyłącznie to, że był to jedyny sposób, aby zejść ludziom z oczu. Szeryf nie złamał umowy, ale trochę ją nagiął. Nadal byłem w jego służbie. Ale daleko.

Rzeczywiście, musiał być bardzo zdesperowany, skonstatował w duchu Jason. Na samą myśl, że normalny człowiek, na własną prośbę wyruszyłby na wyprawę krzyżową, robiło mu się zimno. Sam nigdy nie miał zrozumienia dla takich pomysłów.

– Masz rację, było paskudnie. – Match trafnie ocenił jego milczenie. – Nawet bardzo paskudnie. I bezsensownie. Zresztą, nie będę się rozwodził, ponieważ nic nie mówisz, sądzę, że masz podobne zdanie. Nie takie, jak ci durnie w błyszczących pancerzach, którzy, mimo wzniosłych



ideałów, bardzo szybko okazują się zwykłymi mordercami, żądnymi łupów i chwały. Nie wzdragają się przed mordowaniem bezbronych, kobiet i dzieci, jedynie dlatego, że inaczej oddają cześć Bogu. Tak, jak Gisbourne. Ale sam sobie winien. Tylko idiota tkwi na pustyni w słońcu, mając na sobie pod pełną zbroją watowaną kurtkę. Pamiętam, stał tam wtedy sztywno wyprostowany w siodle, jakby kij połknął, i robił się coraz bardziej czerwony. Co rusz ktoś w szyku padał od upału, nie mogąc się doczekać ataku Saracenów. A nie byli głupi, otoczyli nas, krążyli dokoła na swych lekkich koniach, bez idiotycznych pancerzy. Często widzieliśmy któregoś w oddali, jak sprawdzał, czy jeszcze długo wytrzymamy. Zatrzymywał się na diunach, daleko, za daleko, by sięgnąć bełtem. A wyglądało na to, że długo nie wytrzymamy, więc po co bezmyślnie szarżować, gdy można po prostu poczekać? Tak więc raz po raz ktoś z naszych walił się na piasek, a hrabia lżył nas okropnie z wysokości swego konia. I czerwieniał coraz bardziej. Aż w końcu zachwiał się i runął w piach. Zanim skonał, chłopaki obdarli go ze wszystkich cenniejszych rzeczy, potem pobili się o jego sakiewkę. Nie nacieszyli się nią zbyt długo. Wieczorem Saraceni zaatakowali. Ci, którzy mieli szczęście, zginęli szybko. Ja nie miałem. Czy wiesz, jak wygląda niewola u Saracenów? Ich więzienie?

Jason nie miał pojęcia. Mógł się tylko domyślać.

– To taki dół, wykopany w ziemi. Głęboki, z wierzchu przykryty zbitą z żerdzi kratą. Wodę spuszczają w dzbanku, rzadko, po uważaniu. Jedzenie, jeżeli można to nazwać jedzeniem, zrzucają po prostu do dołu. A na górę nie wyciągają nic, więc dół robi się coraz płytszy. W końcu trzeba wykopać nowy.

Jason usiłował sobie wyobrazić pobyt w takim dole. Nie bardzo potrafił.

– Długo tak siedziałeś? – spytał przez ściśnięte gardło.

– Nawet nie pytaj. Myślałem, że tam zdechnę. Ale nie zdechłem. Pewnego dnia ten, kto się nami zwykle zajmował, strażnik, taki spaśny sukinsyn, wywołał moje imię. Z początku nie zrozumiałem, nie bardzo już wtedy miałem kontakt z rzeczywistością. W końcu usłyszałem. I wiesz co? Ucieszyłem się.

Match odkaszlnął, popił wina z bukłaczka.

– Myślałem wtedy, że utną mi łeb. Tak robili, od czasu do czasu wywoływali kogoś, diabli wiedzą, według jakich kryteriów. Kilka razy ten spaśny sukinsyn pokazał nam uciętą głowę. Trzymał ją za włosy nad naszym dołem i zaśmiewał do łez. Myślałem, że to wreszcie koniec. Ale okazało się, że nie. Pognali mnie gdzieś, jak daleko, nie pamiętam. Do jakiegoś obozu, na wybrzeżu, jak się później dowiedziałem. A tam, zamiast pieńka czy zastruganego pała, czekał na mnie rycerz. Chrześcijanin. Było akurat kolejne zawieszenie broni. Rycerz przywiózł glejt. Dla siebie i dla mnie.

Match znów urwał opowieść.

– I co dalej, panie? – odezwał się Basile. Match i Jason drgnęli. Nie sądzili, że poza dłubaniem w nosie Basile słucha opowieści Matcha. Nie podejrzewali go o taką podzielność uwagi.

– Nie pamiętam dobrze drogi do Anglii. Jakiś statek, porty, kolejny statek. Wolno dochodziłem do siebie. Tak naprawdę, dopiero gdy zobaczyłem kredowe klify, dotarło do mnie, że wracam. Próbowałem rycerza wypytywać, ale niestety, nie wiedział zbyt wiele, albo nie chciał powiedzieć. W ogóle był małomówny i podejrzliwy, nie miał też żadnych dalszych poleceń, poza tym, by zawieźć mnie do klasztoru niedaleko Nottingham. W klasztorze nikt mnie o nic nie pytał. Pomogli dojść do zdrowia, zresztą szybko poszło, jak to zwykle ze mną. Nikt mnie nie wyganiał, ale i nie namawiał do pozostania. W końcu dowiedziałem się o tym klasztorze w puszczy Sherwood. Porozmawiałem z Piotrem, gdy kiedyś przyjechał do miasta. Przystał, bym zamieszkał na jego ziemiach, nie od razu, niezbyt chętnie, ale w końcu się zgodził. Teraz wiem, że ktoś przemówił za mną...

Szeryf, domyślił się Jason, bo na pewno nie druidzi. Pomijając już fakt, że nie sposób wyobrazić sobie, by mieli jakiegokolwiek kontakty z Kościołem, to do nich nie pasowało. Oni działali z zimnym wyrachowaniem.

Jason aż usiadł na swym pościeliu. Coś zaczynało mu świtać. Nie, to jeszcze nie to. Zrezygnowany z powrotem opadł na derkę.

– Wtedy, gdy szeryf po raz pierwszy przyjechał, nie wiedziałem wszystkiego. Nie wierzyłem w nagłące pogłoski, bagatelizowałem je. Uznałem, że wszystko się już skończyło, przed laty, że otwarta przez mnie brama zamknęła się sama, albo uśpiła, kto ją tam wie. Opowieści

szeryfa można było tłumaczyć normalnie, niekoniecznie zaraz mocami nadprzyrodzonymi. Ludzie zawsze ginęli w lesie. I choć przeważnie składano to na karb wilkołaków, znacznie częściej przyczyną były zwykłe wilki. Albo jeszcze bardziej prozaicznie, zbóje na gościńcu. Prócz tego uznałem, że spłaciłem wszystko i nic nie jestem nikomu winien. Myliłem się. Byłem winien, winien jak diabli.

Jason chrząknął. Nie lubił, jak Match wpada w samooskarżenia. Może i słusznie, ale to do niczego nie prowadzi.

– To nie ten dług, o którym myślisz – zaprzeczył Match, słysząc znaczące chrząknięcie. – Gdy wróciły niedobitki sławetnej wyprawy, wszyscy twierdzili, że już na pewno nie żyję. Tymczasem szeryf nie uwierzył. Nie było naocznego świadka mojej śmierci, więc nie dał wiary tłumaczeniom, że jeżeli dostałem się do niewoli, to i tak na jedno wyszło, i zaczął szukać. Wysyłał umyślonych, poszukiwał też innych, powracających z Jerozolimy, wypytywał ich. I choć wyjaśniali, że to na nic, nie rezygnował. Aż w końcu się udało. Nie wiadomo, jakim cudem, ale udało się. Nawet o znacznych rycerzach, przebywających w niewoli, nie zawsze docierały wieści, choć za nich można było spodziewać się okupu. Co dopiero mówić o takich, jak my? Nas nikt nawet nie rachował. Saraceni nie zadawali sobie trudu, próżnego zresztą, bo ubywało nas z dnia na dzień. Szeryf jednak dopiął swego. Poświęcił wiele trudu i pieniędzy. Wykupił mnie, nie żałując własnej szkatuły. Dlaczego? Nie mam pojęcia i nie śmiem się domyślać. Wtedy, kiedy przyjechał po raz pierwszy, nie wiedziałem o tym. Dużo później, dopiero po twoim przybyciu, powiedział mi przeor. Również o tym, że to jego wstawiennictwu zawdzięczam zgodę na osiedlenie się na klasztornej ziemi. Czego zresztą przeor nie omieszkał mi wypomnieć. Cóż, trudno się dziwić...

Match znów popił z bukłaczka. Jason wyciągnął rękę, też męczyło go pragnienie.

– Tak więc nie masz się czego obawiać, Jason – podsumował Match. – Szeryf mnie przyjmie, nie ma obawy. On na mnie czeka. Nie naciskał wtedy, wiedział, że prędzej czy później przyjadę. Że nie cofnę się przed spłatą długu. Tego starego i tego nowego.

\*\*\*

Match leżał z przymkniętymi oczyma. Spał lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. W przypadku Basile'a nie było wątpliwości, zawinięty w przykrótką derkę chrapał donośnie. Temu to dobrze, po raz kolejny z zazdrością pomyślał Jason.

Sam nie mógł zasnąć. Historia, której wysłuchał, rzuciła nowe światło na całą sprawę. Był pewien, że Match powiedział coś ważnego, nie mógł sobie tylko uświadomić, co.

Było to coś, co zaczynało wreszcie pasować do ogólnego, wciąż chaotycznego obrazu. Jason potrząsnął głową. Coraz mniej czasu, coraz bardziej zbliża się rozstrzygnięcie.

Umowa. Dziwna umowa, której Match był przedmiotem, a która zakładała utrzymanie go przy życiu, pod kontrolą. Co skłoniło szeryfa, by taką umowę zaakceptował? Czy właśnie tu tkwi klucz do zagadki?

Jason palnął się w czoło. Sam widział, choć nie bezpośrednio, równie wiele, jak szeryf. Usłyszał też niemało. Przeżył coś, w co samemu trudno mu było uwierzyć. Miał jednak wątpliwości, nie wierzył do końca, gdzieś głęboko tkwiły jakieś nieuchwytnie podejrzenia. Coś się nie zgadzało.

Było wiele niejasności. Żeby daleko nie szukać, chociażby sprawa dziwnych i krwiożerczych stworów, przenikających do tego świata przez bramę, otwartą ponoć przez Matcha. Przecież takie stwory pojawiały się już nieraz. Świadczyły o tym niezliczone opowieści i klechdy. Większość z nich była zapewne tylko zmyśleniem, ale gdzieś, głęboko na dnie musiało tkwić ziarno prawdy, choćby w jednej na tysiąc. Ludzkie bajania mogły zniekształcać i przeinaczać prawdę, smoki w bajkach zyskiwały skrzydła i rogi, zamiast smrodem ziały ogniem i siarką, a gryf okazywał się wysoki na półtora chłopa. Ale coś musiało być na początku, stanowić pierwowzór. A to oznaczało...

Zbyt kruche podstawy, skarcił się Jason. Za wcześnie na ostateczne wnioski, za mało danych. Jednak nie mógł odrzucić tego kierunku rozumowania. Skądś się to wszystko musiało brać. A wniosek nasuwał się tylko jeden – były na świecie inne otwarte bramy, niezamknięte, lub odmykające się okresowo. Może otwarte jeszcze od czasów obcych, tajemniczych plemion, może otwierane z tamtej, nieznannej strony. Ale musiały istnieć, to było jedyne logiczne wytłumaczenie. Smoki przecież

pojawiąły także we wschodnich podaniach. Trudno było przypuszczać, by zaleciały tam aż z Anglii, z lasu Sherwood. Nie mogły, nie miały skrzydeł.

Dlaczego więc akurat ta brama jest taka ważna? Czyżby prowadziła w jakieś szczególne miejsce? Być może... Za chwilę jednak Jason przypomniał sobie, co kiedyś powiedział Match, że brama może prowadzić wszędzie. Zależy to tylko od woli, od mocy, którą się ktoś posłuży.

Ten Copperfield. Jason nie miał wątpliwości, ów szarlatan nie był żadnym czarodziejem. Skąd wobec tego wziął swój "czynnik pomarańczowy"? Sam go nie zrobił, to pewne. Ktoś mu go zatem dał. Tylko kto? Jason, mimo swych długich wędrówek po kraju, nie spotkał nigdy człeka zasługującego na miano prawdziwego czarodzieja. Wszyscy napotkani byli kiepskimi kuglarzami, oszustami, którzy zazwyczaj marnie kończyli. Byli wprawdzie alchemicy, mieszający różne substancje, w nadziei na uzyskanie złota, ale żaden nie mógł pochwalić się sukcesem. Czarodzieje żyli tylko w legendach. Czy wzięli swój pierwowzór od oszustów, czy też może?...

Jednak tajemnicza pomarańczowa ciecz była faktem. Widział jej skutki na własne oczy. Skąd zatem pochodziła? Może... stamtąd? A może nie.

Było to trudne do uwierzenia. Wręcz niemożliwe. A jednak...

Jason znał tylko jedną grupę ludzi, która miała rzeczywiste, nie do podważenia osiągnięcia i doświadczenia w produkcji tajemniczych środków i eliksirów. Jedynych skutecznych, o jakich słyszał.

Myślał o druidach. W tej dziedzinie mieli ogromną wiedzę. Wystarczyło popatrzeć na Matcha. Był tego żywym dowodem.

Śmierć barona Godfrey'a. Tajemniczy bełt, przebijający z ogromnej odległości zbroję. Rozwiązanie, które wyprzedzało wszystko, co do tej pory wymyślono. Wręcz pochodzące... Z innych czasów?

Druidzi. Tajemniczy, niedostępni, posiadający niewiarygodną wiedzę, dokonujący niemożliwych dla normalnych ludzi rzeczy, takich, o których krążyły zagadkowe podania. Potężni. Mądrzy. I coraz bardziej nieliczni.

Twardzi, bezwzględni. Cieszący się nieograniczoną władzą u współwyznawców, których również ubywało z każdym rokiem.

Ich wiara nie wytrzymała bezlitosnej konkurencji z systemem wartości lepiej przystosowanym do współczesnych warunków, który okazał się atrakcyjniejszy dla coraz większej liczby ludzi. Był bardziej zrozumiały, łatwiej trafiał do podstawowych pragnień i instynktów człowieka.

Jason nie był szczególnie religijny ani specjalnie przywiązany do wiary. Jego chłodny umysł pozwalał sobie wątpić częściej, niż było dopuszczalne. Nie podzielał jednak niechęci Matcha do chrześcijaństwa. Owszem, nie brał udziału w krucjatach, nie widział jego najbardziej krwiożerczego i wynaturzonego oblicza, choć zdawał sobie sprawę z wielu okrucieństw, jakich dopuszczali się kapłani i wierni. Lecz oni byli tylko ludźmi. Nie gorszymi od innych. Często lepszymi.

Tak, wycinanie świętych gajów mogło być przykre dla bezpośrednio zainteresowanych. Ale nie widział innej drogi, nie było powrotu do nieskończonych plemiennych waśni. Ludzie podporządkują sobie ziemię, uczynią ją sobie poddaną.

Skończyły się dni druidów i plemiennych bogów. Nadeszły inne, nowe czasy. To, co głosili druidzi, kanony wierzeń, sposób życia, wyczerpało się. Odeszło, tak jak wszystko inne na tym świecie, gdy wypełni się jego czas.

Jason zamknął w końcu oczy, owinął się burką. Rozmyślał dalej.

Może chrystianizm też się wyczerpie. Powie wszystko, co miał do powiedzenia, nauczy wszystkiego, czego mógł nauczyć. Jego zasady, przykazania staną się ogólnie uznawanym kanonem, uznawanym za oczywisty. Może kiedyś Kościół stanie się po prostu niepotrzebny. Nie będzie nadążać za zmieniającym się światem, stanie się anachroniczny. Może nawet... szkodliwy? Hamujący postęp? Może kiedyś, po wiekach. Ale na pewno nie teraz. Teraz to do niego należy przyszłość.

Co będzie po wiekach? Jak będzie wyglądało następne millenium?

Kim będzie papież przełomu tysiącleci? Czy będzie triumfował, jak ten, przed laty?

A może będzie tak, jak teraz druidzi, z lękiem i zgrozą patrzył na swą kurczącą się domenę? Stary człowiek, przygięty wiekiem i chorobą, któremu wszystko przecieka przez palce. Z uporem głoszący ideę, która dawno stała się oczywistością i wrosła w cywilizację tak, że stała się

niepotrzebna. Została pustą skorupą, pozbawioną treści w zmieniającym się świecie.

*Stary, zmęczony człowiek zasklepia się w uwielbieniu tych, co jeszcze pozostali. I traci po kolei wszystko. Jego sukcesy ograniczą się do jednego plemienia, które jeszcze nie przekroczyło progę. Nazwie ich nadzieją dla reszty świata. Sumieniem świata. Powie, że oni, właśnie to ostatnie plemię, poniosą znów wiarę w świat, jeżeli tylko będą stosowali się do nakazów, dochowując wiary i zachowując tożsamość. Wówczas będą wzorem dla świata, który stoczył się w błędy.*

*Ale świat przygląda się obojętnie. Ta obojętność jest najgorsza. Bo świat nie walczy. Świat to wszystko coraz mniej obchodzi – wszystko, co najważniejsze, wszystko to, co najświętsze. Gdyby chcieli się przeciwstawić, wtedy byłoby łatwiej. Ale nie jest. Niełatwo walczyć z obojętnością.*

*Stary człowiek dobywa resztek sił. Co będzie później, gdy go zabraknie? Spogląda na współplemieńców, tych, którzy przy nim pozostali. Widzi przywiązanie. Uwielbienie. I znów wzbiera nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze jest czas...*

Jason zerwał się z posłania. Głęboko odetchnął, starając się uspokoić bijące gwałtownie serce.

Czy to była wizja? Tego, co kiedyś będzie, co może być? Czy tylko sen? A może po prostu majaczenia znużonego umysłu?

Nie wiedział. Był zbyt zmęczony, nie potrafił jasno myśleć. Osunął się z powrotem na derkę.

Dość tego, Jason, nakazał sobie. Pomyśl o czymś innym.

Długo leżał bez ruchu.

– Match, śpisz? – zapytał wreszcie.

Cisza, równy oddech.

– Match, śpisz? – spytał głośnie.

Match poruszył się.

– Uhm – mruknął niewyraźnie. – Tak, śpię.

– Nie łyj – powiedział Jason. – Jakbyś spał, tobyś nie odpowiedział.

Match usiadł na posłaniu.

– Czego chcesz?

Wyglądał na rozbudzonego.

– Wiesz, pomyślałem sobie, że szeryf może na ciebie czeka. Ale czy straż nas wpuści?

Match ziewnął rozdzierająco.

– Czy ty nie masz większych zmartwień? Zwłaszcza teraz?

– Chwilowo nie. Tak przyszło mi na myśl...

– To się nie obawiaj. W Nottingham wszyscy mnie znają, nie martw się. Nie sposób, żeby nie poznali.

Położył się znowu. Owinął burką nawet głowę, mimo iż było ciepło. Najwidoczniej dawał do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.

– Wpuszczą na pewno – dodał jeszcze, głosem stłumionym przez derkę.

Demonstracyjnie zachrapał. Jason potrząsnął go za ramię.

– Match! – powiedział nagle.

– Co jest? – zamruczał Match.

– Śpij szybko, zaraz świta!

Spod derki dobiegło niewyraźne przekleństwo.



## - V -

- Wpuszczą na pewno? - W głosie Jasona można było wyczuć gryzącą ironię.

Match nie odpowiedział. Nawet nie spojrzął tym swoim wzrokiem pełnym wyrzutu i zranionej ambicji, jakim spoglądał, gdy okazywało się, że nie miał racji. Ostatnio zdarzało się to nader często, jak pomyślał z rozbawieniem Jason. Zwłaszcza dzisiejszego ranka, odkąd wjechali do miasta.

Nottingham zmieniło się od czasów, które pamiętał Match, rozbudowało się. Nie przypominało już miasta, którego nienawidził przez całe lata, bo najpierw było symbolem, siedzibą wroga, obiektem do zdobycia i spustoszenia, a w końcu stało się więzieniem.

Nie poznawał miejsc niegdyś dobrze znanych. Wszędzie stały nowe domy, stajnie, kramy. Wybrukowano uliczki, które pamiętał jako błotniste, pełne wybojów i śmieci. Owszem, śmieci i gnój pozostały, chyba było ich więcej niż kiedyś. Ale kopyta koni stukały po kamieniach, nie grzęzły w lepkim błocie. Nawet szczury wydawały się tłusciejsze, bardziej zadowolone z życia.

Gdy dojeżdżali do miejskiej bramy, Jason spostrzegł, że twarz Matcha stężała. Kiedy mijał nielicznych, zdążających do miasta kupców i wieśniaków, prostował się mimowolnie w siodle, spoglądał im wyzywająco w oczy. I napotykał obojętność. Nie było żadnej reakcji. Żadnego błysku rozpoznania. Żadnego lęku przed osławionym Wieprzem z Nottingham.

Przejechali przez bramę, w której senny strażnik w opuszczonym na same oczy hełmie nie poświęcił im najmniejszej uwagi. Nie tylko im zresztą. Strażnik nie poświęcał uwagi nikomu. Gdyby nie wydobywające się czasami spod okapu hełmu odgłosy smarknięć, można by go wziąć za stracha na wróble, był tak samo nieruchomy i obojętny. Długa glewia

stała niedbale oparta o mur. Innej widocznej broni strażnik nie posiadał.

Match wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo. Prawda, pomyślał Jason, przecież długie lata służył u szeryfa, chyba nawet pod koniec został dowódcą straży. I to teraz nie podoba mu się.

Jason się nie mylił. Za czasów Matcha taki strażnik nie miałby szans na dalszą karierę. O ile w ogóle zostałby strażnikiem.

Mimo iż nie odbywał się dzień targowy ani nie świętowano, ulice były ludne. Gdy wyjechali z bramy, Match rozejrzał się bezradnie. Przez chwilę wydawało się, że nie wie, dokąd się skierować. Wreszcie ruszył, napierając końską pierśią na przechodniów.

Ci rozstępowali się niechętnie. Dało się słyszeć słowa świadczące o niejakim braku szacunku, a złe spojrzenia wyglądały na zupełnie pozbawione lęku.

Match w końcu zrozumiał, że nikt go nie poznaje. Jason dostrzegł na jego twarzy zagubienie i niepewność. O mało się nie roześmiał. Mina Matcha dziwnie przypominała Basile'a, który rozglądał się dokoła z cielecym zachwytem i absolutnie bezmyślnie.

Basile był usprawiedliwiony. Pierwszy raz w życiu trafił do miasta.

Zażywny mieszczanin bezceremonialnie wepchnął się pomiędzy nich. Koń Matcha chrapnął, szarpnął się w bok. Zanim jeździec zdążył nad nim zapanować, przycisnął do drewnianej barierki starszawą jejmość. Jejmość upuściła koszyk, z którego wysypały się jajka. Większość się stłukła.

Kobieta rozdarła się piskliwie, używając słów, które jako żywo nie przystoją szacownej kramarce. Jasonowi opadła szczeka. Dawno nie słyszał tak kunsztownych przekleństw.

Match w końcu poskromił tańczącego rumaka. Nie było to łatwe, koń, rzekomo dar wracającego z krucjaty rycerza, należał do tych bardziej nerwowych. W lesie, na gościńcu nie było z nim większych problemów, o ile dosiadający go człowiek pamiętał, że ma niemiły zwyczaj ocierania się o każde napotkane drzewo, jakby go strasznie coś swędziało. Ale w mieście, w gwarnym tłumie koń stracił się zupełnie. Stulił uszy, opuścił łeb, rzucał na boki niespokojne spojrzenia. Wypisz, wymaluj, jak jego jeździec, zauważył Jason ze śmiechem.

Starszawa jejmość klęła dalej. Match wstrzymywał wierzchowca, coraz bardziej czerwieniejąc. Dokoła zaczynali gromadzić się ciekawscy, nie szczędząc okrzyków zachęty i uznania dla pyskatej kobiety.

Jason ocknął się. Trzeba coś zrobić, zanim Match wybuchnie albo zanim zabije go ta paniusia. Na szczęście Match znalazł lepsze rozwiązanie niż rozplatanie kobiety na dwoje. Sięgnął do sakiewki i nie patrząc, rzucił kilka monet. Kramarka zerknęła bystrze i zaczęła jeszcze głośniej zawodzić, tym razem podziękowania i życzenia długiego, pomyślnego życia.

Match popędził konia, wysforował się naprzód. Dojeżdżali do bramy zamkowej. Widząc dwóch strażników, zgoła innych niż ten stojący w bramie miejskiej Match rozpogodził się trochę. Wreszcie jakiś porządek. Zbrojni wyglądali na czujnych, nie spali na posterunku. Głowie trzymali prawidłowo. Przy pasach mieli krótkie miecze, dobre do walki pieszej. Spod okapów hełmów, nisko nasuniętych na oczy, błyskały uważne spojrzenia.

Na widok zbliżającego się Matcha wyprostowali się. Wreszcie jakiś porządek, pomyślał znów nie bez satysfakcji Match. No, Jason, teraz zobaczysz... Wydaje ci się, że nie wiem, co znaczą te twoje krzywe uśmiešky. A może sądzisz, że ich nie zauważyłem?

Zbliżył się do strażników i władczo skinął ręką, nakazując, by usunęli się z drogi. Odwrócił się do Jasona, popatrzył na niego znacząco.

Zanim jeszcze pojął, co oznacza wesoły, kpiący uśmiech Jasona, usłyszał trzask krzyżowanych giewii.

\*\*\*

– Nie wolno!

Z początku wydawało się, że to jedyne słowa, jakie znają strażnicy przed bramą. Ten, który pojawił się za nimi, w cieniu bramy, sprawiał wrażenie niemowy. Braki w elokwencji rekompensował sobie, wodząc napiętą kuszą po oczekujących.

– Nie wolno!

Tylko ta odpowiedź padła na żądanie Matcha, by dali wolną drogę.

Jedyna, jakiej strażnicy udzielili, gdy podniósł głos. Jedyna, gdy spytał, czy wiedzą, kim jest. A także jedyna, gdy zsiadł z konia i zaczął ich kłać.

Bardziej wyczerpująca odpowiedź padła dopiero wówczas, gdy Match, zachrypnąwszy od wyrzaskiwania przekleństw, ucichł na chwilę, a następnie jadowicie spokojnym głosem poprosił strażników, by wytłumaczyli, dlaczego właściwie nie wolno.

– Nie wolno i już! – usłyszał ostateczne wyjaśnienie, poparte nieartykułowanym mruknięciem osobnika z kuszą oraz niedwuznacznym podrzuceniem tejże kuszy.

Jason, który trzymał się wraz z Basile'em przezornie nieco z tyłu, krztusił się od hamowanego z trudem śmiechu. Match znowu kłał. Tym razem głosem cichym i opanowanym. Bez rezultatu.

Dosyć tego. Jason zsiadł z konia, podszedł do przyjaciela, słuchając jego monologu o świńskich cyckach, pieprzonych gównojadach i świńskich psach. Wyjął zza paska małą sakiewkę i bawił się, podrzucając ją w dłoni. Trzy pary oczu czujnie śledziły jego manipulacje. Napięta kusza opadła nieco.

Brzęk monet dawał się słyszeć wyraźnie, nawet w potoku przekleństw. Glewie zakołysały się lekko.

– Wy świńskie ryje – Match zaczynał się już powtarzać. – Pytam po raz ostatni, najostatniejszy! Czy usuniecie się z drogi, czy mam wyrwać wam te śmierdzące kulasy i rzucić psom do zabawy?

Na strażnikach nie robiło to większego wrażenia. Całą ich uwagę pochłaniał Jason i jego sakiewka. Jeden ze zbrojnych uśmiechnął się szeroko.

– Śmierdziele sakramenckie! Czy wy wiecie, komu zagradzacie drogę? Czy wiecie, kim ja...

– Nie wiedzą – przerwał mu stanowczy głos, dobiegający z mrocznej bramy. – Nie mogą cię pamiętać, są tu nowi.

Szeryf wyszedł z cienia, odsuwając strażnika z kuszą. Oczy pozostałych wyrażały straszny żal i zawód.

– Powtarzasz się, Match. – Szeryf taksował wzrokiem przybyłych. – Kiedyś umiałeś lepiej przeklinać, wyszedłeś z wprawy.

Popatrzył na Jasona i jego sakiewkę.

– Muszę cię ostrzec, przyjacielu, że moich strażników nie można przekupić.

– Każdego można – wyszczerzył zęby Jason, chowając sakiewkę. Czynności tej towarzyszyło potrójne westchnienie, pełne poczucia niewysłowionej krzywdy. Szeryf groźnie spojrzął na strażników. Wyprostowali się gwałtownie.

– Nie można, kiedy jestem w pobliżu – wyjaśnił szeryf. – A ja zawsze jestem, przynajmniej im powinno się tak wydawać. Nic się przede mną nie ukryje. Bywały precedensy...

Jason nie uwierzył. Był pewien, że by się udało. No cóż, skoro tak twierdzi...

– Odprowadzić konie szlachečných panów – rozkazał zbrojnym szeryf.

Popatrzył na Basile'a.

– I jego też – dodał. – Znaczy, nie jego konia, tylko jego samego, i nie do stajni, tylko do czeladnej. Pozwólcie za mną.

Nie czekając, wkroczył w cień bramy.

\*\*\*

Sala zamkowa nie zmieniła się zbyt wiele od czasów, które pamiętał Match. Może tylko wiszący na ścianie gobelin był bardziej zjedzony przez mole, za to sprzęty wyglądały zasobniej niż kiedyś. Widać przyszły lepsze czasy i szeryf powetował wreszcie straty, jakie poniósł w pamiętnej wojnie.

Wino też było znacznie lepsze, niż Match pamiętał. Co prawda, nie miał wtedy okazji do kosztowania go tu, w słonecznej komnacie. Gdy został dowódcą straży, dostąpił w końcu zaszczytu zasiadania przy niskim stole. Ale na niski stół też nie trafiało najlepsze wino. Wtedy obowiązywała oszczędność.

Teraz nie był już dowódcą straży. Sam nie wiedział, kim tak naprawdę jest. Gościem? Chyba nie całkiem.

Kimkolwiek był, szeryf traktował go jak gościa. Jak równego sobie.

Jasona również, pomijając lekkie zmarszczenie brwi na jego widok. Wyglądało to tak, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

Sam szeryf przekroczył już pięćdziesiątkę. Jego włosy i broda, niegdyś wyzywająco czarne, przybrały barwę soli z pieprzem. Trzymał się jednak prosto, nie było po nim znać ciężaru lat. Tylko on sam coraz częściej go odczuwał.

Sługa przyniósł nowy dzban wina i dyskretnie zniknął.

Match się niecierpliwił. Nie był przyzwyczajony do konwenansów, chciał jak najprędzej przejść do konkretów. Zdawał sobie sprawę, że takie przyjęcie miało go uhonorować, w dodatku więc czuł się zażenowany. Pamiętał o tym, o czym nie wiedział, gdy ostatni raz rozmawiał z szeryfem, o swym długu.

Tymczasem Jason miał się jak najlepiej. Zadowolony, że ktoś wreszcie traktuje go tak, jak lubił. Z radością delektował się winem. Było lepsze niż to, które zorganizował Basile.

Szeryf spostrzegł wreszcie zmieszanie Matcha.

– No dobrze, Match – powiedział. – Przejdźmy do naszych spraw. Oczekiwałem cię tutaj, mimo twojej wcześniejszej odmowy. Ale wiesz co? Chyba nie będziemy zanudzać twojego towarzysza. – Zwrócił się do Jasona. – Pozwolicie, panie, że sługa wskaże wam komnatę? Na pewno chcielibyście odpocząć po podróży.

– Nie – przerwał Match. – Jason zostanie. On jest, że tak powiem, bezpośrednio zainteresowany.

– Czyżby? – spytał sceptycznie szeryf, wciąż uparcie przypatrując się Jasonowi.

– Gdyby nie on, pewnie nie byłoby mnie tutaj – zapewnił Match. – Przy tym wie być może więcej od nas.

Szeryf wciąż spoglądał na Jasona. Jakby nieustannie szukał czegoś w zakamarkach pamięci.

– Siedzę w tym wszystkim po same uszy. – Jason wyszczerzył zęby.

– Jak jeszcze powiesz, że rozumiesz, to chyba nie uwierzę – mruknął szeryf. Uśmiech znikł z twarzy Jasona. Szeryf miał rację. – No dobrze, panie...

– Jason.

- Jason skąd?
- Znikąd. Po prostu Jason.
- Nieważne zresztą. – Szeryf potrząsnął głową, pociągnął łyk wina ze swojego kubka. – Skoro tak, to przejdźmy do rzeczy.

\*\*\*

Match stał się dziwnie milkliwy. Cały ciężar opowiadania spadł więc na Jasona. Początkowo nie wiedział, ile może powiedzieć, jak głęboko sięgnąć. Spoglądał pytająco na Matcha, jednak ten ani razu nie dał do zrozumienia, że cokolwiek należy zachować dla siebie. Jason powiedział więc wszystko, co usłyszał od Matcha i przeora, wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie pół roku. Pomiął jedynie swoje własne przemyślenia.

Szeryf słuchał uważnie, bawiąc się pustym już kubkiem. Czasami wtrącał pytania. Jason zorientował się po nich, że, jak sam przedtem się wyraził, i szeryf siedzi w tym po uszy.

Trwało to długo. Gdy Jason wreszcie skończył, szeryf odstawił kubek.

- Tak – powiedział zamyślony. – Jak widzę, wygląda to gorzej, dużo gorzej... – Urwał, potarł z namysłem czoło.

- Gorzej niż...? – zapytał Jason.

- Gorzej, niż mi się wydawało. Dobrze, teraz moja kolej. Chwilę tylko, zaschło mi w gardle, a wino się skończyło.

Sługa zawsze czekał gdzieś niedaleko, szeryf nawet nie musiał nadwerężyć zbyt głośno. Jason podniósł pełny kubek, cmoknął z uznaniem.

- Przed rokiem miałem gościa – zaczął szeryf. – Nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie do miasta. Powiem więcej, przez te wszystkie lata towarzyszyła mi nadzieja, że w ogóle nie przyjdzie, że wszystko, co kiedyś mówił, mogło się nie sprawdzić, czy też nie być prawdą. Niech to diabli, przypuszczałem nawet, że mnie oszukał. Wiecie co? Ucieszyłem się z tego. – Szeryf spojrzał na Matcha. – Wiesz, o kim mówię?

- Wiem – potwierdził Match beznamietnie. W ogóle od samego początku sprawiał wrażenie, jakby to wszystko go nie dotyczyło.

– Więc przyszedł – ciągnął szeryf. – Na swój własny sposób. Wlazł prosto tutaj. Potem straż przysięgała, że nikogo nie wpuszczono. Usiadł, tam gdzie ty teraz siedzisz. – Wskazał na Jasona. – Tak samo bezczelnie rozparty. – Uśmiechnął się. Jason wyprostował się machinalnie. – I wiecie co? Ten sukinsyn nic się nie zmienił! Przez te wszystkie lata!

– To normalne – wtrącił Match.

– Nie – rzucił sucho szeryf. – To nienormalne.

– W tym przypadku tak.

– Cały ten przypadek jest nienormalny. – W głosie szeryfa pojawiła się złość. – Mniejsza z tym. Rozparł się na tej ławie i zaczął mnie opieprzać, że złamałem umowę, straciłem cię z oczu, wypuściłem z rąk. I teraz na mnie, na moje sumienie, spadnie wszystko, co się stanie. To ja będę winien. Oświadczył, że mam jedną, jedyną szansę – natychmiast cię odszukać, o ile nie jest za późno. Spytałem tylko, co wtedy, jeżeli jest za późno. Powiedział... – Szeryf przerwał. Znów pociągnął łyk wina. – ...że wtedy to i tak wszystko jedno. I ma tylko nadzieję, że zginę pierwszy. Zaraz zresztą poprawił się. Powiedział, że sam mnie zabije. – Uśmiechnął się złym uśmiechem. – Bo takiego durnia jeszcze nie widział.

– A co wy na to, panie? – spytał Jason.

– No cóż, wściekłem się. Bo co sobie będzie pozwalał! Zagroziłem, że wezwę straż, i zaraz wyrzucę go stąd na zbity pysk. A on na to... On po prostu uśmiechnął się tym swoim wrednym uśmiechem i powiedział, żebym wzywał, jeśli wola. Owszem, zawołałem. Prawie gardło sobie zdarłem od wrzasku, ale nikt nie przyszedł, nawet się nie odezwał. A przecież zawsze są blisko, w zasięgu głosu...

– To też normalne – wtrącił znów Match.

– Może dla ciebie, bo dla mnie nie. Zorientowałem się, że jestem zdany na jego łaskę. W moim własnym zamku! Wśród mojej straży!

Szeryf parsknął gniewnie, jeszcze raz przeżywając tamtą upokarzającą sytuację. Po chwili się uspokoił.

– Powiedziałem, że spróbuję. Co mogłem zrobić? Spróbuję, o ile się uda, ale za nic nie rękę. On na to...

– Zaraz – przerwał Jason. – Poczekajcie, panie. Match był wtedy w klasztorze... On o tym nie wiedział?



– Chwileczkę... – zastanowił się szeryf. – Rzeczywiście, chyba nie wiedział. Był zdenerwowany. Wszyscy słyszeli o twoim wyjeździe na krucjatę, Match. Wieści rozniosły się szybko. Mówiono, że pojechałeś odbywać pokutę.

Match uśmiechnął się krzywo. Istotnie, odbył.

– Ale o twoim powrocie wiedziało niewielu. Tutaj, prawdę mówiąc, nikt. Tak, on nie wiedział. I był zdenerwowany, teraz dopiero to do mnie dotarło.

– Daj spokój, szeryfie. – Match skrzywił się z powątpiewaniem. – Druid zdenerwowany? Nie uwierzę...

– Mów co chcesz. Może to nie było zdenerwowanie. Wiesz, on zawsze sprawia wrażenie zimnego. Stawia warunki, on rozstawia figury na szachownicy. Ale rozmawiałem z nim kilka razy i wydaje mi się, że potrafię zauważyć, kiedy mu na czymś zależy. To trudne do uchwycenia. Ale przecież on też ma jakieś cele, mimo że ich nie zdradza. Nie wierzysz? Trudno.

Match siedział nieporuszony. Szeryf wzruszył ramionami.

– Powiedział, że wróci niebawem. I wyszedł, tak po prostu, bez pożegnania. Wówczas pojechałem do ciebie. Nie, nie od razu. Dopiero wtedy, gdy zaczęły dochodzić niepokojące wieści, a w lesie znów ginęli ludzie. Uznałem, że niestety miał rację, że zaczyna się na nowo. Może nawet to, co przepowiadał, coś znacznie groźniejszego niż kiedykolwiek dotąd. Posłuchałem go, niechętnie, ale posłuchałem. Pojechałem do ciebie, Match. Wiesz, z jakim rezultatem.

– Przepraszam.

Jason spojrzął na przyjaciela ze zdziwieniem. Nie spodziewał się, że padnie to słowo. To nie było w stylu Matcha, tak od razu...

– Nie przepraszaj, nie masz za co. – Szeryf także był zdziwiony.

Rzeczywiście, pomyślał Jason, on zna go dłużej ode mnie.

– Mam za co. – Match patrzył w posadzkę. – Powinienem przyjechać. Byłem to...

– Winien? – spytał szeryf. – Nie, Match, nie byłeś. I, psia krew, nie mówmy więcej o tym. Nie licytujmy się, bo nic z tego nie będzie!

Odwrócił się gniewnie. Zapadła cisza.

– No dobrze, panowie – odezwał się w końcu Jason. – Skoro nie będzie, to może kontynuujmy...

Obaj rzucili mu złe spojrzenia. Jason aż skurczył się na swej ławie.

– Nie przyjechałeś – podjął szeryf po dłuższym milczeniu. – On pojawił się znowu. Obawiałem się spotkania, przyznaję. Ale wysłuchał spokojnie tego, co miałem do powiedzenia – że rozmawiałem z tobą i odmówiłeś. Uśmiechnął się wrednie i rzekł, że to wystarczy, że miałem szczęście. Nawet nie pytał, gdzie jesteś. Po prostu wyszedł. I to wszystko.

– Wszystko? – zdziwił się Jason.

– Tak, wszystko – odparł szeryf. – Nie raczył się więcej pojawić. A ja nie powiem, żebym za nim tęsknił.

Splunął na posypaną zeschlłym tatarakiem kamienną posadzkę.

– Dlaczego nie przyjechałeś drugi raz? – spytał Match. – Po mnie? Przecież gdybyś powiedział wszystko... Przecież bym przyjechał... Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że znów się źle dzieje... Dopiero Jason, te jego wizje i prorocтва, dopiero to mi uświadomiło... Dlaczego nie nalegałeś? – Match mówił cicho, ale z napięciem w głosie.

Szeryf nieoczekiwanie uśmiechnął się.

– Widzisz, to jest najdziwniejsze i najbardziej mnie zastanawia. Bo te dzisiejsze problemy w porównaniu z tymi, które były kiedyś i które pamiętamy, nie są dotkliwe.

Słowa zawisły w powietrzu. Jason zaczął słuchać uważniej.

– Pamiętasz, Match, co pojawiała się kiedyś? – ciągnął szeryf. – Było to coś, z czym prawie nie potrafiliśmy walczyć, z czym nie wygraliśmy. Bo tak naprawdę, z małymi wyjątkami, samo zdechło. Wtedy rzeczywiście było tego wszystkiego pełno – wyvern, wilkołaki, nawet pieprzony smok! Do wyboru. A teraz? Chłopi zatłukli wilkołaka, owszem, zagryzł kilka osób. Zaczęło ginąć bydło na polach. Ktoś tam widział, zaraz, jak to się nazywa? Mantikora? Ale bydło zawsze ginęło. Owszem, plotki krążą paskudne. Ale plotka, jak to plotka, wiadomo, wyolbrzymia.

– Zaraz – przerwał Jason. – A gryf? Sam widziałem...

– Nie pierwszy przecież – zauważył szeryf. – Prawda, Match?

Match niechętnie przytaknął. Rzeczywiście, zdarzało się.

– Widzisz, Match, po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie ma porównania z tamtymi czasami. Jeżeli dobrze kojarzyć, to przecież zawsze takie paskudztwa się pojawiały. Zawsze i wszędzie.

Zgadza się, pomyślał Jason. Bystry człowiek z tego szeryfa, zwraca uwagę na te same rzeczy. Co szczególnego jest w tym, co dzieje się teraz?

– No i cóż to szczególnego się dzieje? – spytał szeryf. – Ma być gorzej, zbliża się coś strasznego. Ale to tylko słowa. Jego. – Szeryf spojrział wymownie na Jasona. – I twoje.

Jason nie komentował. Szeryf znużonym gestem potarł czoło.

– Match – powiedział po chwili. – Może jednak on ma rację. Może spotkamy się z czymś strasznym i grozi nam zagłada. Ale ja, po tylu latach, nie potrafię się bać. Coś się wypaliło. Jestem już zmęczony, nie widzę jasno. Nigdy zresztą nie widziałem. Jednak niepokoi mnie, że wszystko jest normalnie, jak zawsze... Szukam czegoś rozpaczliwie, co mogłoby temu przeczyć. I niewiele znajduję.

– Wszystko jest normalnie? – upewnił się Match.

– W zasadzie tak – odparł zmęczonym głosem szeryf. – Ostatnio nawet te rozmaite pogłoski przycichają. Ot, niedawno, zdarzyło się, że zniknął z pastwiska buhaj rozplodowiec, duma mojego sąsiada, sir Henryka. Przepadł, nie zostawiając śladów, żadnych śladów. Krwi, walki, nawet racic.

– To mógł być wyvern – ożywił się Match.

– Nie był. – Szeryf pokręcił głową z błyskiem rozbawienia w oczach.

– Skąd ta pewność? – obruszył się Match. – Ja naprawdę sporo wiem o tym wszystkim... Sam mówiłeś, że nie było śladów na ziemi. Tylko wyvern, i to nieźle wyrosnięty, może unieść w powietrze dorosłego byka.

– Stąd wiem, że wyvern zeżarłby tego buhaja, a nie sprzedawał na jarmarku w mieście. A tam właśnie schwytano sprawcę. To nie był wyvern, tylko niejaki Tłumok, pomocnik kowala z pobliskiej wsi.

Jason roześmiał się. Match nie. Nie lubił, gdy ktoś stroił sobie z niego żarty. W takiej sytuacji poczuciem humoru Match potrafił dorównać kotom, jak wiadomo najbardziej obraźliwym i pozbawionym tego przymiotu stworzeniom.

– Okręcił racice buhaja szmatami, żeby nie zostawił śladów, i tak

wyprowadził z pastwiska. Wszyscy zastanawiali się, jak mu się udało, ten byk był naprawdę wściekłym bydlakiem. Swoją drogą, onże Tłumok w pełni zasłużył sobie na swój przydomek. Tylko idiota próbowałby sprzedać na jarmarku kradzionego byka, który był sławny w całym hrabstwie. Jak chcesz, Match, możesz sobie z nim pogadać, znaczy, z Tłumokiem, nie z bykiem. Siedzi tu sobie w lochu, aż zadecyduję, co z nim zrobić.

Match nie przejawiał specjalnej ochoty do konsultacji z Tłumokiem. Był zły.

– Wiesz, po co to mówię? – spytał szeryf.

Match milczał. Odpowiedział za niego Jason.

– Gdyby nie głupota, rzeczywiście niebotyczna, onego Tłumoka, buhaj zniknąłby bez śladu. I byłoby na wyverna.

– Otóż to – potwierdził szeryf. – I właśnie dlatego mam mieszane uczucia.

Match nie ma mieszanych uczuć, zauważył Jason, spostrzegłszy zaciśnięte wargi. On wie. On czeka. Boże, spraw, żeby nie miał racji.

– Dostyc na dzisiaj – zdecydował szeryf, usiłując nalać sobie wina z pustego dzbanka. – Skaranie z tą służbą... Match, rozumiem, że zostajesz?

– Tak – potwierdził Match. – Zostaję. Chyba na dłużej. Zatrzymamy się w mieście... Mam przeczucie...

Cholera, ten znowu ma przeczucie, poirytował się Jason. Nie tylko on. Szeryf też nie wyglądał na zachwyconego.

– ...że jednak nie masz racji. Coś się szykuje, wierzcie mi – dokończył bezbarwnie.

A niech cię, zaklął w duchu Jason. Po raz pierwszy usłyszałem coś pokrząpającego, a ty musisz...

Match wstał z ławy. Spojrzał na Jasona.

– Zaczekaj, Match – powstrzymał go szeryf. – Zdaję sobie sprawę, że pewnie nie masz ochoty być moim gościem. Dlatego chcę ci zaproponować... Nie, nie marszcz się tak, nie stanowisko dowódcy straży. Zresztą jest zajęte, a na nowego dowódcę nie narzekam.

Match skrzywił się. Szeryf pojął w mig.

– Jasne. Wiem, że ci nie dorównuje, zbrojni też nie tacy, jak za twoich czasów. Ale teraz są inne czasy, ci w zupełności wystarczają, i tańsi są od tych twoich zabijaków. Wracając do rzeczy. Nie chcę cię krępować okazywaniem ci gościny, znam cię na tyle, że wiem, iż czułbyś się źle. Nie zaprzeczaj.

– Ani myślę – mruknął Match.

– Chcę zaproponować coś innego. Widzisz, brakuje mi kogoś, kto zająłby miejsce Gisbourne'a, Panie świeć nad jego duszą, komu mógłbym zaufać. Czy się zgodzisz?

Match nie odpowiedział od razu.

– Szeryfie – powiedział w końcu, wolno i z namysłem. – Po pierwsze, byłbym zaszczycony propozycją gościny w twym zamku, choć masz rację, czułbym się źle. Twoja druga propozycja... Też jestem zaszczycony. Tylko widzisz, nie zostanę tu długo. Tak, to przeczucie. I proszę, nie zaprzeczaj. Nie mogę podjąć się czegoś, co, jak przeczuwam, wkrótce będę musiał porzucić.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Match. Przyjmij, że na jakiś czas...

– Zgoda – odparł Match. Nic więcej.

Szeryf zwrócił się do Jasona.

– Wam, panie, również ofiaruję gościnę – rzekł oficjalnie. – Choć od razu zastrzegam, nie liczcie specjalnie na stanowisko.

– Dziękuję. – Jason się roześmiał. – Ale wybaczcie, panie, ja nie przywykłem. Co tu dużo mówić, lepiej mi będzie w zajeździe, a i wam kłopotu nie przysporzę. Tęskniłem za miastem, już w Lincoln.

– Lincoln! – wykrzyknął szeryf.

– Co Lincoln? – wymamrotał Jason zaskoczony. Match spojrzał zaintrygowany.

Szeryf uśmiechnął się złośliwie.

– Rynek w Lincoln – wyjaśnił. – A na rynku pręgierz. Zastanawiałem się, skąd znam waszą twarz, panie. Wyglądaliście, co prawda, trochę inaczej, bez tych blizn, ale pod pręgierzem każdy wygląda inaczej.

Jasona zatkało. Tylko na chwilę.

– Mówicie, panie, o tej żalostnej pomyłce... – zaczął z godnością. – Ten

tłusty sukinsyn z rudymi kłakami nie miał żadnych podstaw. Zresztą, wszystko się niebawem wyjaśniło.

– A właśnie – zaciekał się szeryf. – Może mógłbyś opowiedzieć, jak się wyjaśniło. Bowiem mój przyjaciel i kuzyn, co prawda daleki, królewski szeryf miasta Lincoln, u którego bawiłem w gościnie – tak, ten właśnie tłusty sukinsyn z rudymi kłakami – mówił, że pręgierz to tylko początek. Że później czeka cię szubienica. A ty jakoś nie wyglądasz na odciętego od stryczka.

Jason skrzywił się boleśnie. Niechętnie wracał pamięcią do tego szczegółu swej biografii.

– Jak już mówiłem, wszystko się wyjaśniło – odparł chłodno i z godnością. – Zostałem oczyszczony z zarzutów i wypuszczony.

– Ciekawe, ciekawe... – Szeryf pokręcił z powątpiewaniem głową. – William, mój przyjaciel i krewniak opowiadał wszakże, że złapano cię na szalbierstwie. Mało tego, gdy oszukańczo pozbawiłeś pewnego mieszczanina sakiewki, konia, nie wspominając o pierścieniach, to jeszcze nastawałeś na jego życie.

– Co, ja nastawałem?! – Jason się zerwał. – Ja nastawałem?! To ten skurwysyn, jak już spłukał się do samych gaci, to skądś wyciągnął sztylet! Może zresztą z tychże właśnie gaci. I to on rzucił się na mnie. Co było robić? Dałem w łeb, aż się nogami nakrył. Skąd mogłem wiedzieć, że to szacowny rajca miejski? Nie wyglądał. A co do oszukiwania – Jason nadał się jeszcze bardziej – ja nigdy nie oszukuję! Nie muszę!

Faktycznie, nie musisz, pomyślał Match, obserwujący całą scenę z rozbawieniem. Po raz pierwszy widział Jasona przypartego do muru.

– Ciekawe, ciekawe...

– Co tak w kółko powtarzacie, panie, ciekawe i ciekawe! – zirytował się Jason.

– Ano ciekawe jest to, co opowiadał mój daleki kuzyn – zastrzegł się szeryf. – Ponoć nie był to wasz pierwszy przypadek, jak utrzymywał pewien szlachcic, który miał przyjemność, a raczej pecha z wami zagrać. Powtórzył to szeryfowi.

– Zwykle oszczerstwa. – Jason zgrzytnął zębami.

– Być może, być może – rzekł z uśmiechem szeryf. – Może i był to

podły oszczerca. Ale skąd znalazło się dwóch innych, mówiących to samo?

– Cóż, wielka jest zawiść ludzka – wymijająco odparł Jason. – Ot, zazdrościli mi szczęścia, bo im nie dopisało. Powtarzam jednak, oczyszczono mnie ze wszystkich zarzutów i uwolniono.

– I może jeszcze przeproszono? – zakpił szeryf. – Cóż, może i tak było. Zastanawia mnie jednak, jakich to argumentów użyłeś, by przekonać o swej niewinności. Znam Williama, surowy to sędzia, dziwi mnie, że puścił cię wolno. Pamiętam, obiecywał ci stryczek.

Jason skrzywił się na samo wspomnienie. Pamiętał cieśli, zwawo pracujących nad budową szafotu. Zbyt zwawo, jak na jego gust. Odpowiedzi udzielił jednak z dużą przyjemnością.

– To bardzo proste, szeryfie. Z doświadczenia wiem, że nikt nie bywa głuchy na właściwe argumenty. Przedstawiłem twemu szanownemu kuzynowi, szeryfowi Lincolnshire, dokładnie sto pięćdziesiąt argumentów. Chciał nieco więcej, ale te w ostateczności wystarczyły.

– Chcesz powiedzieć, że przekupiłeś królewskiego szeryfa? Tego tłustego, rudego sukinsyna Williama?

Szeryf aż otworzył usta z niedowierzaniem.

Jason tylko z politowaniem pokiwał głową.

– Dokładnie tak.

– Niech to diabli, że mnie nikt nigdy nie próbował przekupić – mruknął szeryf z wyczuwalnym w głosie żalem. – A nieraz by się przydało. Oj, bywały czasy, że bardzo by się przydało. Nie ciesz się tak – dodał, widząc triumfalny uśmiech na twarzy Jasona. – Nie ma z czego. Wytłumaczę ci, ot tak, teoretycznie... Otóż w Nottingham drobniejszymi przestępstwami, takimi jak rozboje, wymuszenia, oszustwa, zajmuje się rada miejska. Match ci o tym nie mówił, bo za jego czasów nie pozwalałem na takie fanaberie. Ale teraz czasy spokojniejsze i pora, by szacowni mieszczanie brali sprawy w swoje ręce, szczególnie sprawy paskudne i wymagające dużego nakładu pracy. Cóż, lata lecą i sprawowanie sądów zaczęło mnie od jakiegoś czasu męczyć. Strasznie nudne jest wysłuchiwanie tych wszystkich łgarstw, zwłaszcza że odkąd miasto się rozrasta, to i przestępców jakby więcej. Wyobraź sobie, że niedawno trzeba było zbudować nowy pręgierz. Stary był już bardzo

wyeksplloatowany, i, co tu dużo mówić, ostatnio ustawiała się do niego kolejka, a już najbardziej w święta i dni targowe.

– Dlaczego mi to mówicie, panie? – obruszył się Jason.

– Tylko teoretycznie. – Szeryf zbył go machnięciem ręki. – Otóż, jak mówiłem, lżejszymi przestępstwami zajmuje się rada miejska. Ja zostawiam sobie jedynie sprawy majątkowe, jakieś spory sąsiedzkie o pastwisko czy miedzę. Większe opłaty dla urzędu. Ale chciałbym ci uświadomić, że chociaż szacowni rajcy zajmują się lżejszymi przestępstwami, to ferowane przez nich wyroki wcale nie są lżejsze. – Szeryf podrapał się w głowę z udanym zastanowieniem. – Zaraz, ile to dni przestał pod pręgierzem ten ostatni oszust? Miał takie sprytne kości, szlifowane podobno... Za nic nie pamiętam, ale chyba nie mniej niż trzy dni. A pospólstwo zwykło ciskać w takiego gnojem i zdechłymi kotami.

– Cóż, ciekawe to, co mówicie, panie – wycedził Jason, patrząc szeryfowi prosto w oczy. – Powiadacie zatem, że pospolita przestępczość szerzy się w mieście? Ze szczególnym uwzględnieniem oszustów? Cóż, dziękuję, panie, za ostrzeżenie. Będę uważał, aby z byle kim do gry przypadkiem nie usiąść. A nuż będę miał pecha i trafi się oszust.

Jednak wewnątrz czuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Pamiętał gnój i zdechłe koty, w Lincoln też ich nie brakowało. Gdyby Izaak nie znalazł dojścia do tego rudego sukinsyna, kto wie, jak by się wszystko skończyło. Zresztą, wiadomo przecież. A niech to, rzeczywiście trzeba będzie uważać, pomyślał.

– Widzę, że jesteś rozsądny i nie puszczasz dobrych rad mimo uszu – odparł poważnie szeryf. – To dobrze. Gdyby coś niemiłego przydarzyło się przyjacielowi Matcha, byłbym niepokieszony.

– Ja również – wtrącił z naciskiem Match.

– Daj spokój, ufam, że twój przyjaciel będzie rozsądny i należycie ostrożny.

– Dobrze już – zniecierpliwził się w końcu Jason. – Doceniam troskę, także i twoją, Match, ale potrafię sobie poradzić...

Szeryf i Match spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

– Nie patrzcie tak – Jason postanowił zmienić temat. – Dam sobie radę, nie ma problemu. Ale jest jeszcze jedna sprawa, o której byłbym



zapomniał. Jedna prośba do was, szlachetny panie.

Spojrzał na szeryfa.

– Zamieniam się w słuch – powiedział ten uprzejmie. – Jeżeli tylko będzie w mojej mocy...

– Będzie, będzie – zapewnił Jason, przerywając te grzeczności. – Chodzi o Basile'a, wiecie, panie, tego dużego.

– Delikatnie to ująłeś. – Szeryf się uśmiechnął. – Istotnie, dużego. To wasz sługa? Jeśli tak, to umieścimy go...

– Nie – przerwał Jason bezceremonialnie. Szeryf, niezbyt przyzwyczajony do takiego prowadzenia rozmowy, ledwie zauważalnie zmarszczył brwi. Dostrzegł to Match.

– Może ja wyjaśnię – zaoferował szybko, nie chcąc, by Jason zanadto wytrącił szeryfa z równowagi. Zdążył poznać Jasona na tyle, by wiedzieć, iż potrafił on być czasem irytujący. – Nie jest naszym sługą, ubzdurał sobie, że jesteśmy najemnikami, wędrownymi żołnierzami fortuny. Chciał zostać czymś w rodzaju ucznia. W obecnej sytuacji zaś, jak sam przyznasz, jest to raczej bez sensu.

Szeryf kiwnął głową. Istotnie, nie bardzo wyobrażał sobie prowadzenie szkolenia najemników pod swoim bokiem.

– Na szczęście Basile posiada jeszcze jedno marzenie, znacznie bardziej realne i łatwiejsze do spełnienia. Chciałby mianowicie zostać zbrojnym u jakiegoś możnego pana. Po nocach śni o zaszczytnej służbie i hojnym wynagrodzeniu. Coś mi się widzi, panie, że pasujecie mu w sam raz.

Widząc dziwny wyraz twarzy szeryfa, dodał szybko:

– Naturalnie, jako możliwy pan, któremu chciałby poświęcić swą służbę.

Szeryf milczał chwilę.

– Wiesz, Match, czasami jesteś równie irytujący jak twój przyjaciel... – rzekł wreszcie. – Oczywiście, jeśli chodzi o formę twych wypowiedzi. Zapomniałem już, jak to z tobą było.

Wstał z wyścielonej skórą ławy, zaczął się przechadzać po komnacie. Suche łydki tataraku chrzęściły pod butami.

– Więc jak? – spytał w końcu Match, widząc, że szeryf nie zamierza przerwać spaceru.

– Dodałbyś chociaż "panie" – parsknął szeryf. – Psiakrew, nawet od Gisbourne'a tego wymagałem!

– Więc jak, panie? – ponowił układnie pytanie Match.

Jason nie potrafił zapanować nad uśmiechem. Szeryf rzucił mu złe spojrzenie.

– Trudno – powiedział. – Niech już ci będzie. Tak to wymawiasz, że muszę doszukiwać się kpiny w twoim głosie. Twoje "panie" jest bardziej pozbawione szacunku niż jego brak. Nie uśmiechaj się w ten sposób!

To ostatnie było skierowane do Jasona.

– On mnie też denerwuje – pośpiesznie zapewnił Jason. – Ale już się przyzwyczailem. Wy też, panie, wkrótce przywykniecie. Najlepiej nie zwracać uwagi.

Szeryf nic więcej nie odpowiedział. Usiadł z powrotem na ławie. Sięgnął po kubek. Tak jak przedtem nie było w nim wina, skończyło się już dawno.

– Ten Basile też taki dowcipny? – rzucił krótko.

– Nie. – Jason mógł odpowiedzieć całkiem szczerze. – I prawdę mówiąc, z rozumem u niego nie najlepiej. Ale jest silny i odważny.

– Takich to ja mam na pęczki – westchnął szeryf. – Bez rozumu, silnych i odważnych.

– On jest bardzo silny – wtrącił się Match.

– I pewnie ma bardzo mało rozumu – odparował szeryf. – No dobrze, niech będzie, wprowadźcie zbrojnych mam dosyć, ale i dla niego znajdzie się miejsce. Może wyjdzie na ludzi.

Basile już wychodził na ludzi, pomyślał Jason. Na sławetnym moście. I nie bardzo mu się to udawało. Nie powiedział tego na głos. Cóż, może tym razem będzie lepiej.

– Wulf da sobie z nim radę – ciągnął szeryf w zamyśleniu. – Nie takich idiotów wykierował.

– Wulf? – spytał Match.

– Obecny dowódca straży – wyjaśnił szeryf. – Niezły jest. Widziałeś go

zresztą, tam, w klasztoru.

Match skinął głową. Istotnie, przypomniał sobie. Wulf zrobił na nim dobre wrażenie. Match rzadko się mylił w ocenie żołnierzy.

Wulf, pomyślał Jason. Ten potężny chłop z cudzoziemskim akcentem. Jego też widział, w swojej wizji. Na nim też Wulf robił dobre wrażenie.

– Skąd on jest? – zaciekał się.

– Diabli wiedzą. – Szeryf bezradnie wzruszył ramionami. – Z jakiegoś zadupia. Kilka razy próbowałem go wypytać. Ale plół takie bzdury, że zrezygnowałem. Ponoć był poddanym cesarza niemieckiego, z wschodnich krańców cesarstwa. Ale jak opowiadał o swoim kraju... Eh, co tu gadać, oni tam chyba jeszcze na drzewach siedzą. Na szczęście jako dziecko wyruszył tutaj, liznął trochę obycia. A żołnierz porządny.

– Dobra, Jason, daj spokój – przerwał Match. – Pora kończyć na dzisiaj. Dziękuję, panie, przede wszystkim za Basile'a.

– Nie ma o czym mówić – zbył go szeryf. – Dobrze, sługa wskaże ci komnatę.

– Myślałem... – zdziwił się Match z wyczuwalną niechęcią.

– Wiem, co myślałeś. Myślałeś, że pójdziesz tam, gdzie kiedyś mieszkałeś, do koszar straży. Nie, Match, przyjąłeś przecież moją propozycję. Jesteś teraz kimś w rodzaju Gisbourne'a. Oczywiście, za przeproszeniem, nie porównuję tu osób, lecz jedynie funkcje. Toteż nie możesz mieszkać w koszarach, powaga stanowiska nie pozwala.

Match mruknął coś niechętnie. Nigdy nie nocował w zamkowej komnacie.

– Spodoba ci się – rzekł szeryf, przyglądający mu się uważnie. – Przyzwyczaisz się. Nie będziesz chciał się zamienić, zobaczysz.

W życiu, pomyślał Match z powątpiewaniem.

– Wy zaś, panie, nieodwołalnie zdecydowaliście zamieszkać w zajazdzie? – zwrócił się szeryf z kolei do Jasona. – Cóż, jestem w stanie zrozumieć potrzebę niezależności. Pozwólcie zatem, że polecę wam zajazd Pod Głową Saracena. Jego właściciel wprowadzi Saracena na oczy nie widział, ale karmi uczciwie. I pluskiew tam podobno jakby mniej.

\*\*\*

Jason rozsiadł się na szerokiej ławie, słuchając gwaru bywalców, którzy licznie wypełniali izbę. Była mroczna, a niski, podparty poczerńniętymi belkami sufit jeszcze potęgował to wrażenie. Noc zapowiadała się ciepła, więc ciężkie okiennice otwarto na oścież i dym z wielkiego paleniska nie dokuczał zbyt.

Jason sącył piwo, delektował się smakiem, wspominając mimochodem, jakie świństwo pijał przez prawie pół roku. Przyglądał się gwarnemu tłumowi. Mieszczanom, wędrownym kupcom i handlarzom, zbrojnym przepuszczającym swój ciężko zarobiony żołd, chichoczącym dziewczkom o łatwej do odgadnięcia profesji, pachółkom, którzy krzątali się, roznosząc dzbany piwa i gliniane misy z jadłem.

Obok niego na ławie siedział jakiś szlachcic. Wyglądał na niezbyt zamożnego pana na niewielkim kasztelu, z odzienia mało różnił się od bogatego wieśniaka. Jednak potężny, zabytkowy miecz, który trzymał na kolanach, świadczył o jego stanie. Prócz miecza szlachcic miał ogorzałą twarz i chroniczny zapewne słowotok, którego tematem była hodowla owiec na podmokłych łąkach. Temat nie interesował Jasona, lecz szlachcic okazał się niezwykle natarczywy, więc mimo woli poznał wkrótce wszystkie problemy gospodarskie, z jakimi borykał się szanowny hodowca. A nie było ich mało.

Jason chętnie zmieniłby temat rozmowy, a jeszcze chętniej rozmówcę. Niestety, sąsiad z drugiej strony, ponury, chudy jak tyka zbrojny w barwach miejskiej straży zupełnie nie wykazywał zainteresowania konwersacją. Był najprawdopodobniej na lewiźnie, o czym świadczyła glewia oparta w kącie o ścianę. Strażnik miejski miał jeden cel, upić się, zanim jego nieobecność na służbie zostanie zauważona. W tej sytuacji nie pozostało mu wiele czasu na rozmowę. Wychylał coraz to nowe kubki najtańszego wina. Sądząc z zapachu, jaki rozchodził się dokoła, wino wzmacniane było jakimś destylatem.

Jason nie chciał sam przed sobą przyznać, że dobre rady szeryfa odniosły wręcz przeciwny skutek. Podrażniły ambicję, podziały jak wyzwanie.

Uważnie rozejrzał się po izbie. Nie szukał długo. Oto kupiec, wygląda

na takiego, co to dobrze sprzedał na targu swój towar. Ani chybi dolega mu zbyt ciężka sakiewka, obciąża niepotrzebnie pas. A ten drugi... chyba znajomy pierwszego, też nie wygląda ubogo. Trochę rozochocony wypitym winem, ale jeszcze nie pijany. W średnim wieku. Tacy są najlepsi, sprawiają najmniej kłopotów.

Nie ma się co spieszyć, zganił się Jason. Najpierw trzeba coś zjeść. Oni nie uciekną. A nawet jak uciekną, to napatoczą się inni. Nie brak tu gości, znajdzie się właściwych.

Był jeden problem. Nie miał gości. Stracił je pamiętnej nocy, a w podróży nie było okazji, by się w nie zaopatrzyć. Oznaczało to, że nie będzie mógł zacząć od swego ulubionego sposobu, od niewinnej zabawy kośćmi. Trzeba będzie poczekać na okazję. Jason rozejrzał się. Izba była duża, oświetlona kilkoma łuczywami i odbłaskiem z paleniska, ale kąty ginęły w mroku. Na razie nie było widać, by gdzieś, przy którymś ze stołów siadano do gry.

Cierpliwości, przykazał sobie. To duży zajazd, mnóstwo gości. Prędzej czy później ktoś zacznie.

I cierpliwość została wynagrodzona. Wyczulone ucho posłyszało przez gwar charakterystyczny grzechot, którego nie sposób pomylić z czymś innym. Dźwięk podziałał na niego jak ostroga na rasowego rumaka. Uśmiechnął się z zadowoleniem, cisnął do połowy ogryziony gnat pod stół. Wstał i dopiero wtedy omiół wzrokiem izbę.

Kości toczyły się po sąsiednim stole. Jason starannie przyjrzał się grającym. Dobrze. Jeden to kupiec, widać na pierwszy rzut oka. Dokładnie spełniający warunki – zażywny, w średnim wieku, podpity na tyle, by stracić zahamowania i stać się lekkomyślny. Drugi... Jason skrzywił się trochę. Drugi był szlachcicem. Zbyt młodym i zbyt pijanym jak na gust Jasona. Trudno.

Jason wziął ze stołu gliniany kubek. Stał obok grających i z wystudiowanym tępym wyrazem twarzy przyglądał się grze. Starszy wygrywa, spostrzegł. A młody szlachcic zaczyna się denerwować. Ale jest już na tyle pijany, że wkrótce będzie miał dość zabawy.

Kupiec spostrzegł, że Jason przygląda się grze. Rzucił mu baczne, taksujące spojrzenie. Jason odpowiedział najbardziej bezmyślnym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć. Pociągnął z kubka i czknął. Kupiec

uspokojony powrócił do gry.

Oho, pomyślał Jason, on udaje bardziej pijanego, niż jest. Ciekawe...

Przyjrzał się uważniej grającemu. Nie, to nie zawodowiec, ocenił. Po prostu jest na tyle bystry, by zwietrzyć okazję. Nie oszukuje, nie musi tego robić, zresztą chyba nie potrafi. Człowiek, który potrafi się kontrolować, zawsze wygra z pijaczną. Nie pomoże żadne szczęście.

Istotnie, nie pomogło. Szlachcic już się nawet nie denerwował, kiedy dobrze znanym Jasonowi gestem wywracał sakiewkę na drugą stronę. Był zbyt pijany, głowa mimo wysiłków opadała mu na stół. W końcu wymamrotał coś pod nosem i chwiejnie wstał.

Kupiec wypadł na chwilę z roli. Szybkim, drapieżnym gestem zgarnął monety ze stołu. Zbyt szybkim jak na pijanego, którego niezbyt udatnie naśladował. Niechętne skrzywienie ust wskazywało, że z przesadnym optymizmem oszacował zasoby przeciwnika.

Rozejrzał się. Jednak przy stole nie było więcej chętnych do gry. Wtedy jego wzrok zatrzymał się na Jasonie, który wciąż stał z uśmiezkiem przylepionym do warg.

Jason poczuł, jak prześlizguje się po nim badawcze spojrzenie, jak zatrzymuje się na pasie z pękatą sakiewką. W duchu uśmiechnął się szerzej. Owszem, była wypchana, ale miedziakami. Nie miał zamiaru ryzykować w nieznanym mieście, w obcym zajeździe. Pieniądze zostawił Matchowi, wziął tylko tyle, by starczyło na nocleg, posiłek, wino. I może jeszcze na początek...

– Hej, żołnierzu, siadajcie – powiedział kupiec bełkotliwie. Zbyt bełkotliwie. – Napijcie się. – Wskazał szerokim gestem stojący przed nim dzban.

Jason przyjął zaproszenie.

Zastanawiał się przedtem, czy jego obecny wygląd nie uniemożliwi zarobkowania dawnym sposobem. Mylił się. Poznaczona bliznami twarz, krótko obcięte siwiejące włosy, podniszczony skórzany kubrak pozwalały wziąć go za żołnierza – starego, doświadczonego, może weterana albo najemnika. Takiego, co to na wojaczce mógł już zdobyć niewielkie zasoby, pewne, lecz godne uwagi dla gracza, który chciałby go ich pozbawić. Sprawiał wrażenie wojaka zdatnego do miecza, lecz niezbyt rozgarniętego. Tak, to równie dobry kamuflaż, jak postać kupca.

Kto wie, czy nie lepszy, zastanowił się Jason.

Nie musiał długo czekać na propozycję. Gdy tylko ujął kości, już był w euforii. Znow poczuł ten delikatny prąd, idący od koniuszków palców. Znow wiedział.

Nie stracił swych zdolności, jak się skrycie obawiał.

Kości potoczyły się po stole. Znow tak jak dawniej. Jakby nie było tego wszystkiego. Dni wypełnionych bólem i strachem, mrocznych zagadek i tajemnic, lęku przed przyszłością. Znow było tak, jak kiedyś.

Kupiec wygrywał. Jason, mruczając raz po raz niewyraźnie przekleństwa, sięgał do sakiewki. Chuchał w garść i ze złością walił pięścią w stół, gdy przegrywał. Kupka miedziaków przed kupcem stale rosła. Wreszcie Jason poskrobał się z namysłem w czoło, westchnął boleśnie i sięgnął w zanadrze, wyjmując kilka sztuk srebra. Kupcowi zaświeciły się oczy.

Jason położył na stole srebrną monetę. Zabrał ją. Znow położył. Rzucił kości.

Przegrał. Zaklął bełkotliwie pod nosem. Położył następną.

Ta będzie ostatnia, pomyślał, widząc zadowoloną gębę przeciwnika. Już myślisz, że mnie masz, że będę grał do końca i przegrywał. Zdziwisz się.

Potrząsał kośćmi w garści. Czekał na ten nieuchwytny znak, na pewność, że to właściwa chwila do rzutu. Skupił się.

Huknęły ciężkie dębowe drzwi, jak pamiętał Jason, zawieszane na solidnych, kutych zawiasach, nie na żadnych skórkach od słoniny. Tak, pomyślał, ten zajazd niewątpliwie różni się standardem. Potrząsnął głową, zniecierpliwiony. Trzask uderzających o framugę drzwi wytrącił go ze skupienia. Skoncentrował się ponownie. Cholera, ktoś stoi za plecami. Przeszkadza, ale to trudno.

Ktoś położył mu na ramieniu ciężką rękę.

– Pójdziecie z nami – usłyszał.

Jason wypuścił kości, bardziej zaskoczony niż przestraszony. Dostrzegł błysk strachu w oczach przeciwnika, który wpatrywał się w coś za jego plecami. Widząc ten lęk, Jason też poczuł ukłucie. Czyżby szeryf nie przesadzał? Wstał powoli, odwrócił się.

Było ich trzech. Dużych, zwalistych drabów w pełnym rynsztunku. Strażnicy. Jason przyjrzał się starannie. Z ulgą zauważył, że nosili barwy szeryfa, nie miejskiej milicji. O co im, do diabła, chodzi?

– O co chodzi, do diabła? – powiedział na głos.

Gwar w zajeździe zamilkł. Wszystkie oczy wpatrywały się w niego.

– Pójdziecie z nami – powtórzył ten, którego ciężką łapę strącił z ramienia.

Jason roześmiał się mimo zdenerwowania i niepewności.

– A to niby dlaczego? – spytał zadziornie.

Strażnik skinął dłonią. Dwaj pozostali podskoczyli, stanęli z boków, chwytając za ramiona. Jason szarpnął się. Nie spodziewał się takiego traktowania. Zbrojni wzmocnili chwyt, był unieruchomiony.

– Bo taki mam rozkaz – wyjaśnił ten pierwszy, chyba dowódca. – A tobie nic do tego.

– Zaraz! – Jason mógł już tylko krzyczeć. Trzymający go uniemożliwiali wszelki opór. Trzeba przyznać, że znali się na rzeczy. Poczł dojmujący ból wykręconych łokci.

– Co jest, wasza mać...? – rozdarł się. – Jakie rozkazy?

– Jakie rozkazy, to głównie ci do tego. – Zbrojny udzielił wyczerpującej odpowiedzi. – A teraz ruszaj się. I spokojnie, nie próbuj wierzgać, to...

– To co?! – wrzasnął Jason. I spróbował. Po chwili wiedział, co strażnik miał na myśli.

– ...będzie mniej bolało – dokończył zbrojny. Zupełnie niepotrzebnie. Jason popchnięty do wyjścia ruszył potulnie jak baranek. Może ktoś zobaczy, pomyślał, gdy tylko powoli słabnący ból na to pozwolił. Jakże to tak, zabrać człowieka? Po prostu, wyciągnąć od stołu i poprowadzić nie wiadomo gdzie? Nie wiadomo po co? Ktoś powinien zaprotestować, choćby zapytać, nie można tak człowieka.

Okazało się, że można. Zanim wyszli, zdążył jeszcze zauważyć, jak bywalcy zajazdu zajęli się znów swymi kubkami i dzbanami.

Jason próbował wyjaśnić, że jest znajomym samego szeryfa, że rozmawiał z nim dzisiaj, nawet pił wino. Zagroził, że jak go natychmiast nie puszczą, to będzie zmuszony zanieść skargę, co źle się dla nich



skończy.

Dowódca zbrojnych, usłyszawszy to, zatrzymał się na chwilę. Przybliżył twarz do twarzy Jasona i zionąc skwaśniałym piwem, oznajmił półgłosem:

– Wprawdzie gównu ci do moich rozkazów, ale żeby oszczędzić sobie fatygi, powiem ci o jednym. Otóż rozkazano mi, że jak tylko jadaczkę otworzysz, to mamy ci ją zatkać, choćby szmatą. Więc zamknij się, bo jak widzisz, szmaty nie mamy. – Zamiast tego uniósł wielką włochatą pięść.

Jason posłusznie się zamknął.

Próbował jeszcze później, gdy kazano mu wsiadać na konia. Nie chciał, póki dowódca zbrojnych nie wyjął krótkiego miecza i nie obiecał, że tym mieczem podsadzi go na kulbakę. Drugi raz, gdy spostrzegł, że nie kierują się w stronę zamku czy koszar, gdzie mógł spodziewać się lochów, lecz jadą we wręcz przeciwną stronę, ku zamkowej bramie. Po krótkiej szamotaninie Jason uzyskał tyle, że dowódca odpowiedział na pytanie, dokąd właściwie go zabiera.

– Na przejażdżkę – rzucił krótko, a inni zarechotali.

Przez dalszą drogę Jason wykręcał sobie szyję, usiłując dostrzec, czy nie wiozą ze sobą rydla. Albo łopaty. W miarę zbliżania się do ciemnej ściany lasu czuł coraz większą desperację.

\*\*\*

Celem przejażdżki okazała się opuszczona chata pod samym lasem. Zbudowana z grubych belek, kryta niezbyt nawet zniszczonym gontem, nie wyglądała na chłopską. Nie otaczały jej szczątki zabudowań gospodarskich, nie było śladów zdziczałego ogródka warzywnego. W istocie, budynek służył niegdyś straży jako posterunek przy wylocie leśnego gościńca.

Jasona mimo oporu ściągnięto z konia. Gdy wzdragał się wejść w mroczny otwór drzwi, dostał potężnego kopniaka w tyłek, po którym zatoczył się i wpadł do środka. Gdy wstawał z brudnej polepy, do izby wszedł ktoś, przyświecając sobie pochodnią, którą po chwili zatknął w żelazny uchwyt w ścianie.

Tym kimś był szeryf Nottingham.

– Musimy porozmawiać – oznajmił bez wstępów, patrząc na gramolącego się z ziemi Jasona.

– Niech cię szlag trafi! Pieprzę wszystkie rozmowy i pieprzę ciebie osobiście!

– Skończyłeś? – przerwał szeryf spokojnie.

– Nie, kurwa, nie skończyłem! Ty nieczuły sukinsynu! Nie mogłeś normalnie? Jezu, o mało się nie zesrałem!

Szeryf nie przerywał. Siadł na kulawym zydlu, nie przejmując się kurzem, jaki zalegał na nim grubą warstwą.

– Te twoje bydlaki wykręciły mi ręce! Nie chcieli powiedzieć, dokąd mnie zabierają! I po co!

– Tak im kazałem.

– Kazałeś! – Jason aż kipiał ze złości. – I jeszcze jeden kopnął mnie w dupę! Przed chwilą!

– Tego nie kazałem.

– Wdzięczny jestem niewymownie...

– Ale wiedziałem, że tak będzie – dorzucił szeryf, uśmiechając się nieznacznie. – Zawsze tak robią, wiem o tym.

– Wiedziałeś, i nie zabroniłeś? – Jason nieproszony również usiadł, wybierając koślawą ławę. Mimo wzburzenia pamiętał o przetarciu jej znaną na podłodze szmatą. – Chociaż chciałeś tylko porozmawiać? Nie wrzucić do lochu? Nie zatłuc i zakopać pod lasem? Niech cię szlag trafi.

– Nie zabroniłem – potwierdził szeryf. – Jeśli cię to pocieszy, nie zachęcałem także. Skończ wreszcie te żale. Nie zamierzam przeproszać, nie mogłem inaczej. Jak porozmawiamy, to zrozumiesz, jesteś na tyle inteligentny.

– Inteligentny, psiakrew – fuknął jeszcze Jason, ale istotnie się uspokoił. Ciekawość zaczynała brać górę. Otrzepał kubrak z kurzu. – Jesteś mi winien... – dodał. – Jesteś mi winien... Zaraz policzę.

– A to niby za co? – zdziwił się szeryf.

– Za to, co włożyłem w tego jelenia. Na dobry początek.

Widząc, że szeryf nic nie rozumie, wyjaśnił:

– No, wiesz, jeleni to ten, z którym właśnie grałem. Musiałem zainwestować, dać mu wygrać, żeby nabrał zaufania. I właśnie wtedy, kiedy miałem zamiar wygrywać, zjawili się ci twoi. – Wskazał na drzwi, za którymi, jak sądził, pozostali zbrojni. – Tak więc jeleni jest do przodu, a ja...

– Jeszcze będziesz miał okazję – pocieszył go szeryf. – Jeszcze nagrasz się do woli. Tylko pamiętaj o kotach.

– No trudno, niech będzie moja strata. – Jason postanowił okazać wielkoduszność. – Nie było tego wiele. Dobrze, czemu więc zawdzięczam?...

– Musimy porozmawiać – zaczął szeryf. – Tylko my dwaj. A wiesz dlaczego?

Jason był już zupełnie spokojny. Zrozumiał wszystko.

– Owszem – przytaknął. – Bo mamy wątpliwości. Tylko my dwaj. A tym, kto ma się o tej rozmowie nie dowiedzieć, jest Match.

– Prawie się zgadza. Jeżeli chodzi o wątpliwości. Bo w kwestii Matcha... W tej kwestii się mylisz. Nieważne, czy się dowie, czy nie. Nie on...

Jason zrozumiał natychmiast, o kogo chodzi.

– Myślisz, że wie aż tyle? Że jest, że tak powiem, na bieżąco?

– Wszystko na to wskazuje. On... czy też oni... Tylko pozornie siedzą sobie gdzieś w tym swoim lesie, nosa nie wychylając. Orientują się lepiej, niż nam się wydaje. Ale chyba o tobie wiedzą niewiele.

Rzeczywiście, pomyślał Jason. Mogą nie wiedzieć. Czy to ważne? Tak, ważne, odpowiedział sam sobie. Bo coś tu nie pasuje.

– Coś tu nie pasuje – powiedział szeryf. – Prawda?

Jason potwierdził roztargnionym skinieniem głowy.

– Wymusili na mnie umowę – zaczął szeryf. – Nie, nieprawda, nie wymusili. Sam się zgodziłem. Ale od samego początku odnoszę wrażenie, że zostałem oszukany. Wtedy też tak mi się wydawało, lecz uległem sugestii. A przecież... – Szeryf urwał na chwilę, spojrzał na Jasona. – Ty powiedziałaś mi wszystko, co wiesz. Proponuję teraz, byś wysłuchał

wyjaśnień z mojej strony. Może z tych dwóch punktów widzenia uda nam się złożyć jakąś sensowną całość. Co ty na to?

Jason kiwnął głową. Przeszła mu już złość.

– Dobrze. – Szeryf rozsiadł się wygodniej. Nie było to łatwe, chwiejny zydel nie miał jednej nogi. – Jak mówiłem, z mojego punktu widzenia umowa nie była konieczna. Już wtedy wygrywaliśmy. Owszem, istniało pewne ryzyko, że nie zdążę, że wykończę się wcześniej finansowo, że ktoś przyjdzie mi z pomocą. Taką pomocą, której bym nie przetrzymał, wiesz, jak wygląda sąsiedzka pomoc. Albo, co gorsza, królewska. Mogłem jednak zaryzykować, mało tego, przed tą pamiętną rozmową, podczas której druid złożył swoją ofertę, przedstawiając ją jako propozycję nie do odrzucenia zresztą. Mimo że nie wiedziałem, jak naprawdę przedstawiają się siły banitów. Ale domyślałem się już, że wygram.

– Ty nie wiedziałeś – powiedział wolno Jason. – Lecz druid wiedział bardzo dobrze. Co więc było celem?

– Właśnie. – Szeryf popatrzył na Jasona z ukosa. – Musiał być jakiś cel, jak wiesz. Ja, wstyd się przyznać, zacząłem się nad tym zastanawiać dosyć późno. Zbyt przytłoczył mnie swą elokwencją. Wiesz, to całe gadanie... Mniejsze zło, przegrana walka, idą inne czasy, trzeba oszczędzić ofiar, i tak nie wygramy, ale zmniejszymy koszty... Cała ta pieprzona szlachetność, wzniosłe motywy. Przekonał mnie wtedy, potrafi być sugestywny i wiarygodny. A poza tym przestraszył. Opowiedział rzeczy, od których włosy na głowie stawały. Które kosztowały mnie wiele bezsennych nocy. Które zresztą były prawdziwe.

– Tak sądzisz? – spytał Jason, zmrużywszy oczy.

– A ty nie? – odparował szeryf. – Nie udawaj. Zresztą, chociaż uwierzyłem, postarałem się o weryfikację tego wszystkiego, tego o obcych, innych ludach. Zebrałem informacje z innych źródeł. Dużo mnie to kosztowało, dużo czasu, trudu i pieniędzy. Nie chcę cię zanudzać szczegółami. Ale wierz mi, źródła były wiarygodne, biorąc zaś pod uwagę cenę, nawet bardzo wiarygodne. Wszystko się zgadza, Jason. On mówił prawdę.

– Tylko czy całą prawdę?

Szeryf spojrział na Jasona uważniej.

– Muszę pamiętać, żeby cię nie lekceważyć – mruknął na wpół do

siebie. – Znowu masz rację. Gdy po raz kolejny rozpamiętywałem tę rozmowę, też przyszło mi to do głowy. Już to, co mi powiedział, wystarczyło, bym całkiem i po prostu zgłupiał. Nie w głowie było mi zadawanie pytań. Z tej całej rozmowy zapamiętałem jedno. Takie wrażenie. Słabe, trudno pochwytne. Ale jestem go pewien, ty akurat powinienes to zrozumieć. O ile dobrze spostrzegłem, też często kierujesz się wrażeniami. Intuicją.

To prawda, pomyślał Jason. Ostatnio coraz częściej.

– Miałem wrażenie – ciągnął szeryf – że jemu na tej umowie bardzo zależy. Że jest coś ważnego. Wtedy zdawało mi się, że jego argumenty są wystarczające. Logiczne, w pełni wyjaśniające motywy. Ale teraz... Z wiedzą, którą uzyskałem później... Coś tu śmierdzi, Jason.

– Z tym się zgadzam – mruknął Jason po chwili milczenia. – Śmierdzi, i to jeszcze jak. Tylko co konkretnie?

– Nie wiem. – Szeryf bezradnie rozłożył ręce. – Wierz mi, łamię sobie nad tym głowę od dawna.

Jason wstał z ławy. Zaczął się przechadzać po izbie, lepiej mu się wtedy myślało.

– Nie kręć się jak gównu w przerębli – zniecierpliwził się szeryf.

Jason zatrzymał się.

– Co by było, gdybyś nie przyjął tej... umowy? – rzucił zniechęcony.

– No, jak to co? – spytał niepewnie szeryf. – Przecież mówiłem. Rozprawilibym się z buntem niezależnie od wszystkiego.

– To już wiemy – skwitował Jason. – Pytanie, jak by się skończyło?

Szeryf wstał z siedziska. Zydel przewrócił się, wznosząc chmurę kurzu, który wirował wolno w migotliwym świetle łuczywa.

– Masz rację – powiedział wolno. – Kurwa, masz rację.

Podniósł kulawy zydel, przyjrzał mu się i odrzucił z niesmakiem. Usiadł na ławie.

– Siadaj, zmieścisz się i ty. – Jason posłuchał.

– Masz rację – powtórzył szeryf. – Skończyłoby się inaczej... – Urwał, zamyślił się.

– Dokończ – ponaglił go Jason.

Szeryf spojrzał mu prosto w oczy.

– Zabiłbym go. Normalnie, albo w walce, albo później. Kazałbym powiesić. Tak czy inaczej by zginął.

Jason pokiwał głową.

– Więc mimo że odżegnują się od niego... że, jak mówią, jest czymś potwornym, wynaturzonym, nieprzewidywalnym... mimo że przez swą głupotę czy nieświadomość zrobił coś, czego skutki były straszne...

Jason popatrzył na rozmówcę.

– ...zawierają umowę, która ma zapewnić mu życie...

– Nie tylko. – Szeryf pokręcił głową. – Ta umowa przewidywała, że trzeba go złamać. Zabrać mu dumę, zabrać wszystko. Nie zostało to powiedziane wprost, ale przecież jasno z niej wynikało. Miał tylko przeżyć. Wiesz – Jason spostrzegł, jak szeryf zaciska pięści – ja też zapłaciłem wiele. Nie mówię o strachu, o dręczących mnie zmorach, o lęku, który mi zaszczepili na długie lata. Jason, masz prawo wierzyć, lub nie, ale ja go szanowałem. Nie podobało mi się to, co musiałem mu zrobić, nie podoba mi się do dzisiaj. Wiem, możesz myśleć, że to tylko złość, bo zostałem wykorzystany. Myśl sobie, kurwa, co chcesz.

To dlatego, pomyślał Jason, poświęciłeś tyle, by wykupić go z niewoli. Dlatego zacząłeś go traktować jak równego sobie.

– Miałem być jego strażnikiem. – Szeryf wyrzucał słowa ze złością. – Pilnować, by nie zginął, bo a nuż się przyda. Można go będzie łatwiej wykorzystać posłusznego i wytresowanego. Obciążonego dodatkowymi czynami, których ja każę mu dokonać, za które oni kiedyś każą mu zapłacić. Bo jego zdolności nie można zmarnować, nie warto.

Smolne łuczywo trzaskało, światło pełgało po opuszczonej izbie. Jason przymknął oczy. Zaczynało się układać. Pojawiał się jasny obraz, mozaika zmieniała się, kamyki przeskakiwały na właściwe miejsca. I to, co się wyłaniało, nie było przyjemne.

– Co w związku z tym? – Jason przerwał ciężkie milczenie. – Wciąż nie wiemy wszystkiego. Owszem, wiemy sporo, ale nie wiemy tego najważniejszego. Jaki jest cel?

– Obawiam się, że się na razie nie dowiemy – mówił szeryf ze znużeniem. – Możemy mieć tylko przeczucia. I mamy je. – Szeryf

popatrzył mu prosto w oczy. – Mamy je – powtórzył. – Ty i ja. Że stanie się coś niedobrego, w co jesteśmy już wciągnięci, co nas nie minie. Ja wierzę w przeczucia, Jason. Ty zresztą też.

Prawda, stwierdził Jason. Teraz już tak.

– Ale nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma. Nie poddam się przeznaczeniu, o którym ciągle powtarza Match. Nie mam zamiaru płacić za niepopelnione winy. Ani dopuścić, by płacił kto inny...

– Szeryfie, ja już się nie przydam. – Jason też był znużony. – Moje wizje już nie pomagają, nie wyjaśniają.

– Nie mówię o wizjach. Mam dla ciebie zupełnie inną rolę.

Jason domyślił się, o co chodzi. Pokiwał z namysłem głową.

– Tak, dobrze kojarzysz. – Szeryf uśmiechnął się. – Będiesz słuchał, co ludzie mówią. Dowiesz się na pewno więcej niż ja czy Match. Zresztą on i tak ma zupełnie odmienny pogląd na wszystko. Jest zbyt ukierunkowany.

– Mam być twoim szpiegiem?

– Nie moim, psiamać – oburzył się szeryf. – Co ty sobie do cholery myślisz? Jaki, kurwa, delikatny.

– Przepraszam, to rzeczywiście bez sensu – usprawiedliwił się Jason. – Po prostu nigdy nie byłem w takiej sytuacji.

– To będziesz. Zawsze jest ten pierwszy raz. I nie mów, że nie umiesz słuchać, ani wyciągać ludzi na zwierzenia. Od razu się na tobie poznałem!

– Szeryf parsknął ze złością. Nie spodziewał się takich głupich skrupułów. – Jest jeszcze jedna rzecz – podjął po chwili. – Może być bardzo istotna, bardziej niż owe nieszczęsne stwory, które tak spędzają sen z powiek naszemu przyjacielowi druidowi. I Matchowi zresztą. Otóż chodzą pogłoski, potwierdzone pogłoski, że w lesie się coś szykuje. Pojawił się ponoć nowy przywódca, co to chce uwolnić lud od ciemności. Uwzięli się na moje hrabstwo, uważasz. Na razie to jeszcze nic strasznego, pobili paru komorników, nic ponadto. Ale kiedyś też się tak niewinnie zaczynało. Niepokojące jest co innego. Otóż przywódca tej kolejnej leśnej bandy każe nazywać się Robin Hoodem. Nie tak, jak Match, jego następcą. Match był skromniejszy. A głupi lud ponoć wierzy, że Robin przed laty nie zginął.

Jason spojrział z ciekawionym. Nie widział specjalnie związku, ale wszystko, co działo się w tej przeklętej puszczy, zasługiwało na uwagę.

– Mówię, głupie kmioty w to wierzą, trochę zresztą z mojej winy. Widzisz, gdy zginął Robin z Locksley, kazałem go ukradkiem pochować w niewiadomym miejscu. Grób przykryć darnią, żeby nie zostało śladu, żeby nie stał się obiektem, bo ja wiem, kultu czy czegoś podobnego. Teraz to się obróciło przeciw mnie. Nie ma grobu, znaczy nie zginął. Logiczne. Tego, że dziś byłby starym pierdołą, nie biorą pod uwagę. – Szeryf zaśmiał się sardonicznie. Robin byłby w tym samym niemal wieku, co on sam. – Zresztą, może sądzą, że jest wiecznie młody. W każdym razie spróbuj coś przewąchać na ten temat. Jedno wydaje mi się szczególnie podejrzane, przecież w tym pieprzonym lesie nic nie dzieje się bez zgody druidów. Bez ich wiedzy, a nawet przyzwolenia. Lub wręcz bez ich poduszczenia. Tymczasem nasz przyjaciel nie zająknął się o tym ani słowem. Ciekawe. Dobra, Jason. – Ociężała podniósł się z ławy. – Późno się robi, trzeba wracać do miasta. Stary już jestem, nie na moje lata takie wycieczki. Przemyśl sobie to wszystko i zrób to, co ci mówiłem. O co cię proszę.

– Na swój zwykły, ujmujący sposób – skomentował zimno Jason. – Zwłaszcza jeżeli chodzi o sposób zaproszenia do rozmowy.

– Nie zamierzam się tłumaczyć. Tylko wtedy czegoś się dowiesz, gdy nikt nie zdoła cię ze mną powiązać. Po prostu zwinęli cię przez pomyłkę, biorąc za kogoś innego, a ty wytłumaczyłeś się jakoś. Jason, zbyt wielu ludzi widziało cię w zajeździe, nie mogłem wysłać posłańca. Byłbyś spalony.

– Wiem, wiem. – Jason się uśmiechnął. – Tak tylko sobie gadam. Ponarzekać nie można? A kto mi zapłaci za mój strach?

Szeryf nie odpowiedział.

– Powinniście jeszcze co najmniej podbić mi oko – zażartował Jason ponuro. – Może porwać kubrak. Wyglądałoby wiarygodniej.

\*\*\*

Powrót był znacznie miłszy. Jasonowi towarzyszył tylko jeden



strażnik, dowódca. Pozostali wraz z szeryfem odjechali określoną drogą, by wrócić do miasta później, przez inną bramę. Jasona śmieszyła nieco ta konspiracja, ale zdawał sobie sprawę, że jest potrzebna.

Zbrojny był milczący, co odpowiadało Jasonowi. Mógł spokojnie przemyśleć parę rzeczy.

Tak, zaczynało się składać. Wprawdzie szeryf nie powiedział nic specjalnie nowego, ale rozmowa bardzo Jasonowi pomogła. Utwierdziła go w słuszności rozumowania.

To nie przeznaczenie, nie zapłata za dawne winy. To gra. Gra, w której nie wiadomo, co jest wygraną, ani kto jest przeciwnikiem. Gra, w której Match być może jest tylko narzędziem.

Strażnik spał, schowany w wykuszu bramy. Obudził się dopiero na stukanie kopyt po bruku, poderwał najwyraźniej przestraszony. Towarzyszący Jasonowi zbrojny mruknął coś niechętnie. Jason uśmiechnął się pod nosem. To się zmieni, pomyślał. Przybył ktoś, kto zaprowadzi porządek, weźmie was za twarz.

Wjechali w wąskie uliczki uspiętego miasta. Zbrojny wstrzymał konia.

– Wracajcie do zajazdu, panie – mruknął. Jason zeskoczył z wierzchowca. Nie było daleko, nie chciał oznajmiać swojego przybycia gromkim stukotem podków. Wolał podprowadzić konia, wślizgnąć się po cichu, by nie prowokować niepotrzebnych pytań. Przypuszczał, że gospodarz na pewno się obudzi, znał takich, byli zwykle czujni. Ale zaspany nie będzie specjalnie dociekał, gdzie podziewał się jego gość.

Ku zdziwieniu Jasona zbrojny także zsiadł z konia.

– Coś jeszcze, mój dobry człowieku? – spytał Jason.

Zbrojny podszedł bliżej.

– Wielmożny pan kazał wam przekazać, żebyście nie mieli żalu – mruknął.

– Coś takiego? – rzucił kpiąco Jason. – Cóż za delikatność! Jaka wrażliwość! I, co by dużo mówić, nieśmiałość! Nie mógł to sam mi tego powiedzieć?

Zbrojny pokręcił głową. Jason nie zdążył się uchylić. Gdy leżał na bruku, przetykając krew spływającą do gardła z rozbitego nosa, usłyszał,

jak zbrojny mówi przeproszającym tonem:

– Nie zrozumieliście, panie. Wielmożny pan kazał powtórzyć, że przeprosza, ale to był wasz pomysł. Bardzo dobry, jak mówił.

\*\*\*

Wczesna jesień zasnuwała pola mgłą. Las przystroił się w jaskrawe barwy. Puszczańskie buki pyszniły się już bogactwem odcieni, od żółci, poprzez czerwień aż do brązu. Padał deszcz.

Match nie cieszył oczu pięknem liści. Prawdę mówiąc, jesień obchodziła go tylko na tyle, na ile nieubłaganie przypominała o upływie czasu.

Historia zatoczyła koło. Znow znalazł się w służbie szeryfa. Znow prowadził podjazd po leśnych szlakach, dowodził zbrojnymi. Była jednak istotna różnica. Cały czas czekał. Ciągle miał wrażenie, że traci czas.

Owszem, istniały też inne różnice. Nie był już zwykłym dowódcą straży, lecz zaufanym szeryfa, jak mówiono w mieście. Kimś, kto zastąpił hrabiego Gisbourne'a. Nie było to dla niego zbyt istotne. Owszem, mieszkał na zamku, nie w koszarach. Na ucztach nie stał pod ścianą, ale zasiadał przy stole, i to przy wysokim. Co z tego, kiedy w ucztach nie gustował.

Ku swemu zdziwieniu, nawet wtedy, gdy mieszkańcy miasta zaczęli kojarzyć, kim jest, nie odczuwał ich nienawiści. Nikt nie okazywał pogardy, jaką on dobrze zapamiętał z minionych lat, pogardy zaprawionej lękiem, która powodowała, że odwracano od niego twarze, by tej pogardy nie demonstrować. Obecnie okazywano jedynie lęk, i, co bardzo go zdumiało, szacunek.

– Widzisz, Match – powiedział mu kiedyś szeryf, gdy Match w przyływie rzadkiej u niego otwartości podzielił się swymi spostrzeżeniami. – Możesz zrobić dowolne świństwo, popełnić dowolną zbrodnię, ale tylko wtedy, gdy jesteś silny. Gdy jesteś słaby, ludzie nie wybaczą. A ty... ty, mimo tego, co kiedyś uczyniłeś, jesteś silny. Cieszysz się moim poparciem i zaufaniem, oni to wiedzą. W związku z tym nie potrafią tobą pogardzać. Mogą cię nienawidzić, zgoda, pewnie tak jest.

Ale muszą cię podziwiać. I bać się ciebie.

Szeryf miał rację. Aby do końca udowodnić to Matchowi, przywołał przykład znanego im obu rycerza, osiadłego w pobliskim zamku. Rycerz posiadał ów zamek po długoletniej walce z sąsiadem. Zanim jego starania zostały uwieńczone powodzeniem, kilkakrotnie najeżdżał i pustoszył ziemie swego rywala, palił wsie, wyrzynał chłopów, co było zresztą normalne w podobnych waśniach. Robił to jednak nad miarę okrutnie. Dopisało mu szczęście, jego prywatna wojna zniknęła w zgiełku tej większej. W dodatku miał coś na swego wroga, ów nieszczęsny człowiek opowiedział się kiedyś nie po tej stronie, co powinien. Tak więc, gdy został pokonany i napastnik zajął jego posiadłość, zabiwszy go wprzódy, król bez specjalnych oporów zatwierdził ten stan rzeczy nadaniem. I obecnie dzielny rycerz cieszył się bezwzględny podziwem i szacunkiem tych, których rodziny kiedyś z zapałem mordował. Teraz on był panem. Tak to bywa na tym świecie, podsumował cynicznie szeryf. Match nie miał powodów, by się z nim nie zgodzić.

Deszcz padał coraz większy. Leśną drogą płynęły już całe strumienie wody, niosły ze sobą igliwie, osadzając je korzeniach sosen. Match otulił się szczelniej burką, która i tak była przemoknięta do cna.

Miał przez cały czas dziwne wrażenie, że wszystko, co robi, jest bez sensu.

W Nottingham nie czekało na niego nic z tego, czego się spodziewał. Poczuł się jak rycerz, który przygotowuje się do śmiertelnego pojedynku z potężniejszym, osławionym przeciwnikiem, zbiera wszystkie siły, na wszelki wypadek żegna się z bliskimi. Przez całą noc nie może zasnąć, analizuje wszelkie ewentualności i możliwe podstępny. Nieskończoną ilość razy sprawdza rynsztunek, ostrzy broń. I rankiem, kiedy już wyjdzie na udeptaną ziemię, dowiaduje się, że nie ma przeciwnika. Owszem, pewnie będzie musiał walczyć, ale jeszcze nie wiadomo, kiedy. Ani z kim.

Przestały napływać niepokojące wieści. Z rzadka tylko powtarzano, że w puszczy coś się szykuje, że ktoś znów chce wzniecić rebelię. Odkąd Match przybył do miasta, były to tylko pogłoski, powtarzane przy kubkach piwa, opowiadane przez baby na targu. Nie było jednak żadnych oznak, które by to potwierdzały. Nikt nie bronił dostępu do leśnych wiosek. Daniny spływały z nich opieszale, lecz to normalne, dziwić by się należało, gdyby było inaczej. Nikt nie zabił żadnego z poborców, nie pobił

nawet. Ba, nie zelżył grubym słowem. Match w końcu przestał się tym interesować. Odkąd pamiętał, zawsze opowiadano, że w puszczy coś się dzieje. Czasami nie bez podstaw, ale tylko czasami.

Ten spokój był dla niego jeszcze cięższy do zniesienia niż napięcie miesięcy poprzedzających przybycie do miasta. W dodatku został sam. Bez jedyne go człowieka, któremu po raz pierwszy od lat spróbował zaufać.

Jason nie pojawiał się na zamku, Match widywał go najczęściej w karczmach i na targu. Zwykle z daleka. Jason nie przejawiał chęci do spotkań, nawet do rozmowy. Match nie dziwił się. Przypuszczał, że wreszcie Jason znalazł to, do czego przez cały czas tęsknił – swoje dawne życie. Miesiące spędzone razem były tylko krótkim epizodem. Obiektywnie patrząc, niezbyt zresztą miłym.

Match to rozumiał. Nie dziwił się. Ale sam stwierdzał ze zdziwieniem, że to boli.

\*\*\*

Dawno nie miał równie dobrej passy. Takiej, która trwałaby tak długo.

Jason zgarnął monety ze stołu, starając się nie śmiać z miny splukanego do cna przyjezdnego kupca. A było to śmieszne. Kupiec nie przejawiał złości czy rozpacz. Na twarzy miał wyraz zaskoczenia i kompletnej niewiary w to, co się stało. Jeszcze do niego całkiem nie dotarło. Demonstrował ów osobliwy wyraz twarzy, zwany w kręgach, w których obracał się Jason, kocią mordą.

Jason zdusił w sobie głos sumienia, który powtarzał mu natrętnie, że pozbawił właśnie kupca całego zarobku, zabrał mu wszystko, co uzyskał ze sprzedaży towarów, gromadzonych nie wiadomo jak długo. By stłumić skrupuły, Jason pocieszył się, że kupiec odbije to sobie następnym razem. Przecież został mu wóz i konie, będzie miał środek transportu na następny targ.

Jason pilnował, by nie ogrywać ludzi do końca. Choćby nawet chcieli, jak ten nieszczęśnik. Nie warto dla pary nędznych koni i rozpadającego

się wozu ryzykować, że spotka się z desperacją, która mogła przejawiać się rozmaicie.

Wstał od stołu, udając, że nie słyszy płaczących błagań o ten jeszcze jeden rzut. Rzut, który odwróci zły los, przełamie passę.

Nottingham było dużym miastem i posiadało znakomicie prosperujący targ, gdzie nie brakowało wielu przyjezdnych, którzy nie grali z Jasonem.

Od dawna nie miał tak dobrych zarobków. Co prawda nigdy nie pozostawał tak długo w tej samej miejscowości, to było zbyt groźne. A teraz już miesiąc... Aż dziw, że nie poznali się na nim. Mało tego, nie zdarzały się nawet sytuacje potencjalnie niebezpieczne. Początkowo sądził, że zawdzięcza to szczęściu. Później jednak musiał zweryfikować swe poglądy.

Pierwsza niemiła sytuacja zdarzyła się, gdy przed ostatnim rzutem kośćmi przeciwnik poważnie zapewnił, iż lepiej byłoby, gdyby on ten rzut wygrał, bo to przeciwne naturze, aby jeden człowiek miał szczęście, a drugi go nie miał. Jason początkowo zachnął się tylko. Ten człowiek nie przegrał wcale dużo, a sądząc po dostatnim odzieniu, nawet większa przegrana nie stanowiłaby dla niego uszczerbku. Widząc jednak zaciętą twarz przeciwnika, stwierdził, że chodzi o zasadę.

Nie zamierzał rezygnować przez zwykłą przekorę. Tamten nie wyglądał na groźnego: mały, niepozorny, w średnim wieku. Szacowny miejscowy mieszczanin. Jednak gdy Jason wyciągał rękę, by zgarnąć miedziaki ze stołu, zobaczył, jak się pomylił. Chuderławy człowiek przewrócił ławę, na której siedział, i ruszył prosto na niego, bełkocząc coś o oszustach i wydrwigroszach.

Jason nie widział innego wyjścia, jak przyjąć pozycję i odeprzeć atak. Zwykle czynił to niechętnie, nie mając innego wyjścia, ale teraz nie czuł wielkiego zagrożenia. Ufał, że sobie sam poradzi. Poza tym zezłościł się. Poderwał się z ławy i zacisnął pięści, oczekując przeciwnika. Miał trochę czasu, gdyż chuderławy człowieczek gramolił się na niego poprzez szeroki stół.

Jednak Jason nie doczekał się walki. Dwóch stojących obok i spokojnie przyglądających się dotąd ludzi nagle skoczyło sobie do oczu. Wyglądali na czeladników murarskich, sądząc po poplamionych wapnem

ubraniach. Jeden popchnął drugiego prosto na blat. Ten, wymachując nieporadnie wielkimi jak bochny pięściami, przypadkiem trafił chuderlawego napastnika prosto w ciemię. Rozległ się głuchy trzask i człowieczek spadł bezwładnie pod stół. Czeladnicy wykrzyknęli jeszcze parę przekleństw, po czym podali sobie ręce i zgodnie ruszyli napić się piwa.

Jason odetchnął z ulgą. Zawsze lepiej, gdy nie dochodzi do konfrontacji, nawet wtedy, gdy siły są tak nierówne. Pomyślał, że jednak ma szczęście.

Za drugim razem było gorzej. Źle oszacował przeciwnika. Przecenił jego zasoby. Gdy ograł go do końca, nobliwy kupiec sięgnął po sztylet, krzycząc, że teraz to już wszystko jedno. Nie ma już nic, i jedyne, co chce jeszcze w życiu zrobić, to zabić sukinsyna, który do tego doprowadził. Był pijany, ale nie aż tak, by nie móc zrealizować swego postanowienia.

Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Nie mógł się cofnąć, krąg przyglądających się grze napierał na plecy. Próby perswazji jeszcze pogorszyły sytuację. Jason uniósł obie ręce. Wiedział wprawdzie, że się obroni, ale mógł to zrobić tylko w jeden sposób, co oznaczało kłopoty. Jason przypomniał sobie o rajcach miejskich. I o pręgierzu.

Zanim jednak doprowadzony do szaleństwa pechowy gracz zdążył rzucić się do przodu, unieruchomiły go silne ramiona. Człowiek, na którego Jason nie zwrócił prawie uwagi, ogromny drab w sfatygowanym odzieniu, chwycił desperata w potężny uścisk. Bełkotał coś o nieoczekiwanym spotkaniu, dawno niewidzianym przyjacielu, jedną ręką poklepując trzymanego w żelaznym uścisku po plecach. Jeszcze niedawno wyglądał na kompletnie pijanego, zainteresowanego jedynie swym dzbanem taniego wina. Teraz Jason złowił uważny błysk oczu. Zobaczył, że tamten unieruchomił jak w kleszczach trzymającą sztylet dłoń.

Ich oczy spotkały się. Jason zastosował się do niemego rozkazu. Wcisnął się w tłum za sobą.

Tym razem nie można było mówić o szczęściu. Jason zastanawiał się tylko, czy dyskretna opieka, jaką nad nim roztaczano, uchroni go przed kontaktem z rajcami miejskimi i ich surowymi sądami. Nie korciło go jednak, żeby sprawdzać.

No, dosyć na dzisiaj, pomyślał. Jeszcze może trochę wina... Podczas gry często maczał usta w kubku, udając, że pije. Potrafił dyskretnie wylewać trunek pod stół, tak aby nikt nie spostrzegł, że udaje. Dziś już nie zamierzał grać. Chciał się napić jedynie dla przyjemności.

Nigdy nie sądził, że nadmiar pieniędzy może przyczynić troski. Teraz zrozumiał. Nie miał zaufania do lichwiarzy w Nottingham, mieście, którego nie znał. Coraz częściej zastanawiał się, co począć z pęczniejącymi skórzanymi woreczkami. Przechowywanie ich w zajmowanej izbie było proszeniem się o nieszczęście. Trzeba trochę przystopować, nakazał sobie. Na czorta ci, Jason, tyle pieniędzy... Niedługo będziesz mógł kupić to całe pieprzone miasto.

– Panie... – Natarczywy głos wyrwał go z zamyślenia. – Może zagramy, panie?

Jason pokręcił głową. Na dziś wystarczy. Zprzyzwyczajenia jednak otaksował rozmówcę. W ogóle nie ma o czym mówić, pomyślał, na pierwszy rzut oka nie śmierdzi groszem. Spadaj, człowieku.

Wyjaśnił jednak uprzejmie:

– Nie dzisiaj, na dziś mam dosyć. Może jutro – rzucił nieobowiązująco. Mężczyzna nie rezygnował.

– Szkoda – powiedział. – Jutro ruszam do Lincoln, samotrzeć. Ze szwagrem i Roxanną...

Popatrzył wyczekująco. Jason drgnął.

– W Lincoln... – zaczął powoli. – W Lincoln najlepsze obwarzanki są na Placu Targowym...

– ...Roxanna lubi je tylko jesienią – dokończył mężczyzna. Jaka Roxanna, do cholery, pomyślał po raz któryś Jason. W życiu nie znałem żadnej Roxanny.

– Dobrze, zagrajmy – zgodził się ze znużeniem. – Ale nie tu, w tym hałasie. Chodźmy do alkierza.

Jak zwykle, kilka pensów rzuconych karczmarzowi pozwoliło skorzystać z alkierza. Trzeba było tylko poczekać, aż pomocnicy karczmarza zrobią miejsce, bezceremonialnie wywlekając pijanych już gości.

– Może byśmy tak zaczęli – mruknął mężczyzna, gdy zniknął już

pachołek, który przyniósł dzban wina. Rzucił kości na stół.

– A po co? – spytał Jason niechętnie.

– Dla zachowania pozorów – zganił go nieznajomy, wyciągając miedziaki z mieszka.

Jason pokiwał głową. Trudno, jak trzeba, to trzeba.

– Co nowego? – Mężczyzna przeszedł od razu do rzeczy. Grzechotał trzymanymi w dłoni kośćmi. Jason zmrużył oczy.

– Można to określić jednym słowem. – Popatrzył na toczące się kości. Gdy znieruchomiały, sięgnął po nie.

– Jakim? – padło szybkie pytanie.

– Gównno.

Człowiek skrzywił się. Jason potrząsnął kośćmi, rzucił. Przegrał. Patrzył, jak rozmówca zgarnia monety na swoją stronę stołu.

– A konkretniej?

– Konkretniej, to też gównno, tylko większe. – Jason skrzywił się. – Inaczej mówiąc, nic nowego.

– Niedobrze. – Nieznajomy przesunął na środek kupkę monet. Sporo, zauważył Jason. Ciekawe, czy gra za swoje, czy dostał na wydatki.

Znów grzechot kości w dłoni. Jason spostrzegł charakterystyczny ruch nadgarstka. On wie, co robi, pomyślał. To zawodowiec.

Jason odbył już kilka takich spotkań. Ale nigdy nie rozmawiał dwa razy z tym samym człowiekiem. Zastanawiał się, jak wielu takich niepozornych, niczym się niewyróżniających ludzi szeryf ma na swoje usługi. Rozmawiał już z kupcem, mieszczaninem, rzemieślnikiem. Kiedyś kwestię o Lincoln wygłosił zapijaczony, zgodnie z profesjonalnym obyczajem, borowy z fioletowym nochalem. Jason pojmował już, dlaczego straż była tak nieliczna, nieproporcjonalnie nieliczna jak na tak duże miasto. Ciekawe, czy ci ludzie potrafią robić coś innego, nie tylko zdobywać informacje. Potrafią, odpowiedział sam sobie. Niedawno przecież widział. A ten umie grać. I zapewne oszukiwać.

Kości znów potoczyły się po stole. Kolejny rzut. Jason znów przegrał.

– Nic nowego w sprawie człowieka w kapturze?

Nigdy nie wymieniali imion. Zawsze jakieś określenia, nigdy wprost.



Jason pokręcił głową.

– Nic ponadto, co wiedzieliśmy już przedtem – odparł. – Zbiera ludzi. Pozostaje nieuchwytny. Jest wcieleniem Robina, albo nim samym.

– Ciszej – syknął nieznajomy. Jason uznał to za przesadę. W takim hałasie na pewno nikt nie mógł usłyszeć. Bywalcy karczmy właśnie ryczeli zgodnym, aczkolwiek niezbyt zestrojonym chórem znaną piosenkę o królownie, grajku i niemiłosiernym królu, zwolenniku radykalnych rozwiązań.

– Dobrze – zgodził się Jason dla świętego spokoju. – Otóż człowiek w kapturze robi to, co robił już od dawna. W każdym razie wieści na to wskazują. I wiesz co? Na mój gust robi to albo nieudolnie, albo bez przekonania. Bo jak na razie gównem z tego wychodzi. Poza plotkami... Może po prostu jest leniwy. A może...

– A może na coś czeka? – spytał cicho nieznajomy. – O tym nie pomyślałeś?

– Pomyślałem – odparł Jason nieco głośniejszym głosem. Piosenka doszła do zwrotki opisującej wspólną rozpacz królowny i grajka. Pijani biesiadnicy śpiewali z uczuciem, jakby to im przydarzył się taki niemiły i, co tu dużo mówić, nieodwracalny wypadek. – Pomyślałem – powtórzył, gdy śpiew nagle się urwał. Nie było już o czym śpiewać. – Ale nie bardzo sobie mogę wyobrazić, na co.

Nieznajomy pokręcił głową, zgarniając kolejną wygraną. Dość tego, powiedział sobie Jason, muszę się skupić.

– Pomyśl – usłyszał. – Może ma wsparcie? Może nie chce popełnić błędu, rozpoczynając nie w pełni przygotowany?

– A niby skąd mamy się tego dowiedzieć? – Jason niecierpliwym gestem sięgnął do sakiewki. – Z puszczy nie dociera wiele informacji. Te, które docierają, są mało wiarygodne. Przesadzone. Gdyby je brać poważnie i bez zastrzeżeń, to on urasta...

– Właśnie. Urasta. I problem w tym, żeby za bardzo nie urósł... – Skinął głową w zadumie. Szybkim gestem wyrzucił kości. Spojrzał na nie i uśmiechnął się. – A skąd masz się dowiedzieć, to już twoje zmartwienie. Fakt, niewiele wiemy. Właśnie to jest niepokojące. – Po raz ostatni zgarnął pieniądze ze stołu. Jason ze zdziwieniem spostrzegł, że znowu przegrał.

– To beznadziejne – rzekł zniechęcony. – Rozwieszam uszy na prawo i lewo, gadam z każdym, kto przejawia na to ochotę. I nic. Nic nowego.

– Jest jedna rzecz – zagał nieznajomy. – Ktoś zaczyna się tobą interesować. Powinienem cię przestrzec.

– A to nowina – rozzłościł się Jason. – Niech to szlag, spodziewałem się tego. Już dawno powinienem dać sobie spokój, zmienić otoczenie. Przecież to było tylko kwestią czasu, aż ktoś się mną zainteresuje. Mówiłem, nie można ciągle grać w jednym miejscu. Ale do was to nie dociera. A teraz wreszcie ktoś rozwali mi łeb, albo, co gorsza, zajmie się mną rada miejska. Dobra, powiedz szeryfowi, że na razie muszę przestać, nie uśmiecha mi się pręgierz.

– Jest inaczej, niż myślisz. – Nieznajomy uśmiechnął się. – Owszem, rajcy się tobą interesowali, już parę razy na ciebie doniesiono. Ale ktoś powiedział szacownym mieszczanom, że mają się od ciebie odczepić i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, a donosiciele zniechęcać, na wszelkie możliwe sposoby. Nie martw się, oni nie wiedzą, o co chodzi. Myślą, że jesteś jednym z...

Jason nie słuchał dalej. Na co mi przyszło, pomyślał. Przerwał niecierpliwym gestem.

– Dobrze już, dobrze... Ale jeżeli nie oni, to kto?

– Sprytne pytanie. – Nieznajomy utkwił w Jasonie uważne spojrzenie. – Kto? Nie wiemy. Ale rozpytywano się o ciebie, choćby u karczmarza.

Karczmarz też? No pewnie, musi być bardzo przydatny dla szeryfa.

– Rozpytywano bardzo dyskretnie – ciągnął niepozorny człowiek. – Nie tylko rozpytywano. Nieraz ktoś chodził za tobą.

– Myślałem, że to od was – skrzywił się Jason. Parę razy to zauważył. Wyczuwał zawsze.

– Od nas też – padła sucha odpowiedź. – Stąd wiemy. Musisz uważać. Ale to dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Bo jest jakiś punkt zaczepienia. Coś się dzieje...

A ja tymczasem dostanę w łeb albo nożem w zaułku, pomyślał Jason niechętnie.

– Dlaczego więc nie złapiecie po prostu tego, który za mną chodzi? Nie wpytacie? Czyżby kat miał akurat wolne?

Niepozorny człowiek skrzywił się.

– Tak się nie robi. Widzisz, kiedy oni nie wiedzą, że my wiemy...

Jason nie był przekonany. Widać nie sprawiał wrażenia zadowolonego, bo nieznajomy urwał.

– No dobrze – podjął po chwili. – Powinieneś w zasadzie wiedzieć. Otóż próbowaliśmy. Nie udało się.

– Dlaczego? – spytał krótko Jason.

– Ci dwaj, którzy mieli go zwinąć, przysięgają, że nagle zniknął. Kłamią. Widziano ich, jak podeszli do niego i rozmawiali, czemu zaprzeczają. To proste, zostali przekupieni. Albo zastraszeni, bo...

Nie musiał kończyć. Jason domyślił się. Gdyby byli przekupieni, to przy odpowiedniej perswazji przyznaliby się do tego. Nie miał wątpliwości, że taką perswazję zastosowano. Przekupstwo więc odpadało, ale wiedział, że jest też inna możliwość.

– Jeszcze jedno – powiedział mężczyzna. – Nie mówiłeś nic o wilkołaku.

Jason roześmiał się niewesoło.

– Przecież to bzdura – odparł niechętnie. – Zgoda, od tygodnia ludzie gadają, że ponoć spustoszył jakąś wioskę. Podobno żywa dusza nie uszła. Wielki na półtora chłopca i zarośnięty, że aż strach. Nie masz co robić, musisz interesować się czymś takim? Pewnie znów nie ma w tym ani słowa prawdy, znowu wilki zagryzły owieczkę i z tego cała afera.

– Tym razem nie – odparł mężczyzna. – Tylko dla twojej wiadomości. To była prawda. Nie powtarzaj tego, po co wzbudzać niepokój. Sprawa i tak załatwiona.

– Co ty gadasz? – Jason wybałuszył oczy. Nie wierzył w wilkołaki. Owszem, widział już dziwne rzeczy. Choćby gryfa. Ale wilkołak?

– Żołnierze go ustrzelili. Nic osobliwego, to się zdarza. Ludzie czasem zamieniają się w wilki, zawsze tak było. Ty zdaje się jesteś z miasta? Gdybyś pomieszkał na wsi, tak jak ja kiedyś, blisko tej przeklętej puszczy, przestałbyś się dziwić. Za to w czasie pełni niechętnie byś się włóczył po lesie. – Opróżnił do końca swój kubek.

– W życiu nie widziałem... – zaczął Jason zdetonowany. Zastanawiał się, czy rzeczywiście ludzie zawsze przemieniali się w wilki. Czy raczej wilkołaki pojawiały się skądinąd.

– Nie masz czego żałować – oświadczył mężczyzna z przekonaniem. – Nic specjalnego. Nawet mało podobny do wilka, wilcze ma tylko obyczaje. Wygląda, jak... nie przymierzając ten dobry człowiek. – Pokazał na zalanego w trupa jegomościa, który drzemał pod stołem, najwyraźniej porzucony przez towarzyszy w alkierzu. Istotnie, jegomość zarośnięty był po same oczy, posiadał też wyjątkowo krzywy i okazały zgryz. W lesie można by się pomylić, pomyślał Jason, przyglądając się nieszkodliwemu, pijanemu w sztok człowiekowi. Gdyby tak jeszcze zdjął to odzienie... Jason wiedział, że wilkołaki zwykle nie noszą odzienia. Nawet zarzyganego.

Zaufany szeryfa wstał.

– To tyle – powiedział na odchodnym. – Więcej nic nie mam. Skontaktujemy się z tobą.

Zawsze tak mówią, pomyślał Jason. Mógłby chociaż zapłacić za wino. Nigdy nie płacą.

Poniewczasie pożałował, że nie powiedział wszystkiego. Nie powiedział najważniejszego.

Jason wiedział, że ktoś się nim interesuje. Teraz już go nie śledzono, nikt za nim nie chodził. Ktoś dowiedział się, kim jest i jakie posiada zdolności. Spostrzegł to w czasie gry, gdy maksymalnie skupiony korzystał ze swego daru. Tego skromniejszego, pozwalającego wygrać.

Wzdrygnął się, przypomniawszy sobie to paskudne uczucie, jakby ktoś oślizgłymi, zimnymi paluchami grzebał mu pod czaszką. Jakby wciskał mu się do głowy, usiłując patrzeć jego oczyma. Zorientował się, że spotkał kogoś takiego, jak on sam.

Za pierwszym razem mimowolnie stawił opór. Później zrozumiał, że to był błąd. Stawiając opór, pokazał, kim jest. Co potrafi.

Gra się zaczęła. Gdzieś niedaleko krążył przeciwnik, ten, na którego czekali. Ktoś, kto stał po drugiej stronie. Po stronie kogo? Lub czego?

Pożałował po raz kolejny, że został sam. Musiał być sam. Istniała niewielka szansa, iż to, że przybył do miasta wraz z Matchem, zostanie

uznane za przypadek. Bardzo niewielka szansa.

\*\*\*

Zostałeś sam, pomyślał Match. Trudno, zawsze byłeś. Nie masz przyjaciół. Nie możesz mieć.

I nigdy nie miałeś.

Deszcz ustawał. Jadący za Matchem żołnierze przestali kulić się w kulbakach. Klęli zapewne bezsensowne rozkazy, nakazujące patrolowanie obrzeży puszczy. Klęli ze szczerego serca szeryfa, który wydawał rozkazy, zmuszające do błakania się po lesie w taki deszcz. Klęli co sprytniejszych kamratów, którym udało się wykręcić lżejszą służbą.

Nie klęli Matcha. On zawsze był z nimi. Mókł tak samo.

Match kląby także, gdyby nie wiedział, że alternatywą była beczynność, która coraz bardziej doskwierała i wobec której nawet najbardziej niedorzeczna służba nabierała sensu.

Tak jak dzisiaj. Jechali sprawdzić, co dzieje się w dawno opuszczonej wiosce. Ponoć biwakowali w niej jacyś ludzie. Match dałby sobie głowę uciąć, że to nieprawda. Wioska, a raczej jej ruiny, nie miała żadnego znaczenia. Nie było tam nawet studni, którą zniszczono podczas poprzedniej wojny. Prowadził ją jeszcze Match, przed laty. Zostały jedynie zarośnięte przez lata, popróchniałe zręby chat.

Już niedaleko. Niedługo będzie można się rozejrzeć, stwierdzić, że nic się nie wydarzyło i wracać. Tylko po co? Match wstrząsnął się. Do czego?

W dalekiej, mglistej perspektywie drogi zobaczył niewyraźną postać. Brutalnie ściągnął wodze. Poznał, kto czeka na niego w to deszczowe, choć ciepłe jesienne popołudnie. A raczej wiedział, zanim mógł rozpoznać odległą sylwetkę.

Za sobą usłyszał parskanie koni. Oddział zatrzymywał się, zbrojni dobywali broni. Łucznicy zdejmowali osłony z cięciw, odrzucali płaszcze zakrywające kołczany. Gdy ktoś zagradzał drogę w puszczy Sherwood, nie wróżyło to niczego dobrego. Jeszcze było daleko – nie rozpoznali stojącego nieruchomo na środku traktu jeźdźca.

Nie wiedzieli, że to tylko samotna kobieta.

Match wiedział. Gestem nakazał, by zbrojni zostali na miejscu. Sam wolno ruszył naprzeciw. Wolno, bardzo wolno. Wiedział już, że będzie to spotkanie, na które tak długo czekał. Że dziś się dowie. Po raz pierwszy od lat spojrzył jej w twarz. Jeżeli się odważy.

Od dawna wiedział, że Marion żyje gdzieś niedaleko. Ale nie miał odwagi sprawdzić, gdzie. Nie było po co. Nie było jak.

Los nie oszczędził się z nią dobrze. Przypuszczał, że lepiej niż z nim, ale trudno było porównywać jego sytuację do położenia szlachcianki, która stała się trędowata. Odwrócili się od niej wszyscy, których kiedyś znała i kochała. Była otoczona pogardą, a co jeszcze gorsze, niezdrową ciekawością. Zbójcka kochanka. Kobieta ścigana przez prawo, która w jakiś sposób uniknęła swego losu – więzienia, tortur, a w najlepszym wypadku szubienicy. Bo w gorszym... To, że stanęła kiedyś po stronie banitów, było niczym w porównaniu z oskarżeniami o jeszcze cięższe przestępstwa. Przecież zadawała się też z druidami, odprawiającymi swe przeciwne Bogu i naturze plugawe obrzędy. Przebywała wśród nich przez lata całe. Po co? To oczywiste. Była ich narzędziem, potrzebnym do niepojętych i paskudnych czynów. Każdy wie, że kobieta, ulubienica szatana, najlepiej się do tego nadaje. Do zaspokajania jego zwierzęcych chuci także...

Tu szubienica nie wystarczała. Tylko ogień, poprzedzony szczerym wyznaniem wszystkich win, mógł oczyścić zbląkaną duszę z grzechu.

Ale ku rozczarowaniu wszystkich stos ominął wiedźmę. Nie zmuszono jej do wyznania, ile razy i w jakich pozycjach spółkowała z diabłem, ile dusz niewinnych za jego poduszczeniem zgubiła. Nakazano puścić ją wolno. I zabroniono czynić jakiegokolwiek wstręty.

Lud był rozczarowany i zawiedziony. Nic przecież nie może się równać porywającemu spektaklowi, gdy stos trzaska wesoło, a płomienie poczynają lizać bosc stopy przywiązanej do słupa wiedźmy. Nic nie przebijie uciesznych wrzasków i podrygiwań czarownicy na wolnym ogniu, nawet łamanie kołem czy ćwiartowanie. A jeszcze te zeznania, odczytywane wprzódy przez herolda! To nie to samo, co wyznania zwykłego koniokrada czy zbrojcy. Można się z nich wiele dowiedzieć. Na przykład, kto z sąsiadów, pozornie dobrych chrześcijan, sprzyjał w ukryciu szatanowi. Albo o obyczajach seksualnych czarta. Perwersyjnych wprawdzie i przeciwnych naturze, ale jakże podniecających. W dodatku

wszystko to prawdziwe i wiarygodne, bo przecież wydobyte na torturach.

Szeryf pożałował ludowi widowiska. Nie tylko tego finalnego, publicznego. Nawet nie pozwolił na zwykłe przesłuchanie wiedźmy. Nakazał puścić ją wolno. A lud, jak to lud, nie zwykł kwestionować postanowień władzy. W końcu łamanie kołem pospolitego zbója okazało się także ciekawe.

Ale nikt nie zapomniał. Być może szeryf miał jakieś swoje, nieodgadnione przez prostych ludzi zamysły, lecz wiedźma była wiedźmą, wszyscy o tym dobrze wiedzieli. I na zawsze miała pozostać tą, na której widok ludzie będą spluwać i odwracać twarze, mniej lub bardziej ostentacyjnie czynić gest, chroniący od uroku. I oczekiwać sprawiedliwości Bożej.

Z początku zdarzali się tacy, co chcieli tę nierychliwą sprawiedliwość wspomóc. Ciskali kamienie i gnój. Próbowali podpalić ubogi dworek, pozostały z resztek majątku jej zmarłych dawno rodziców. Bywało, że kobiety zamiast pod nogi pluły w twarz.

Szeryf nie docenił tej gorliwości. Schwytyanych podpalaczy kazał bezlitośnie wychłostać. Więcej nikt nie próbował. Ale nienawiść stała się jeszcze większa. I trwała, przez długie, długie lata. Nawet wtedy, gdy zapomniano o Matchu, Wieprzu z Nottingham.

Nienawiść trwała dziś. Musiała żyć nią otoczona, czując jej stałą obecność. Samotna kobieta w dworku na skraju puszczy.

Stała nieruchomo, czekając, aż podjedzie. Gdy zatrzymał się przed nią, na twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Witaj, Match – powiedziała po prostu.

Nie odpowiedział. Stał tylko i patrzył. Patrzył prosto w twarz, zachowaną przez te wszystkie lata w pamięci. Nie wiedział już, czy przez ten cały czas widział każdego dnia twarz dwudziestoletniej dziewczyny. Czy może tę, na której lata odcisnęły swe ślady. Tę, która widział teraz.

Srebrne nitki w wilgotnych od deszczu i mgły kasztanowatych włosach. Delikatne zmarszczki wokół opuszczonych kącików ust. Rysy wyostrome przez lata cierpienia.

I zielone oczy, w których dostrzegał coś, czego nigdy przedtem nie

widział. Dostrzegął pustkę.

Nie widział w nich nienawiści. Nie widział wyrzutów. Tylko żal.

Bez słowa skinęła ręką. Zawróciła swego konia. Match ruszył za nią. Wiedział, że zbrojni wrócą do zamku, już tak bywało.

Jechali wolno, miękkie, mokre igliwie i liście tłumiły odgłos kopyt. Mgła wisiała dokoła, zamazywała ciemne kształty mijanych drzew i zarośli. Białe kłęby rozstępowały się przed nimi. Zamykała się z tyłu, jakby nie było tej drogi. Jakby nie było na świecie nic innego. Tylko oni.

Match widział smukłą, otuloną burym płaszczem sylwetkę. Widział wilgotne włosy rozsypane na plecach. I nie potrafił myśleć o niczym. Nawet o tym, co powie, gdy już dojadą tam, gdzie zmierzali.

Już wiedział, dokąd jadą. Może rozpoznał drogę, może gdzieś z głębi umysłu napłynęły wspomnienia. Może po prostu zrozumiał.

Grube, powęźlone gałęzie dębu zwieszały się nisko nad polaną. Pamiętał to miejsce ze wspomnień – suchą, chrzęszczącą pod kopytami trawę, dym tłącego się ogniska, które ściele się nisko nad ziemią, snuje i wygina w fantastyczne kształty.

Polana z wielkim rozłożystym dębem była szczególną, niezwykłą. Była jednym z osobliwych miejsc, gdzie przenikają się tajemnicze podziemne szlaki. Tutaj czuło się przepelniającą wszystko pradawną moc, którą można pojąć i czerpać z głębin ziemi. Można się z tą ziemią zespolić, poczuć jedność. To miejsce pozostało takie, jak dawniej, przed wiekami, przed tysiącami lat. Od zawsze.

Wierzchowce puszczone luzem odchodzą dalej. Strzelają w górę iskry, rozjaśnia się płomień podsyconego ogniska. Odblaski światła wydobywają z mroku czarne sylwetki jałowców, otaczających kręgiem polanę jak przysadzista, groźna, leśna straż. Szeleszczą wyschłe, poskręcane liście rozłożystego dębu.

To miejsce może dać siłę, by przezwyciężyć te wszystkie minione lata, i pozwolić wszystko powiedzieć, bo tutaj nie można skłamać. Może podarować jeszcze jedną szansę – bo tu i tak można oddzielić prawdę od fałszu.

Albo może zniszczyć. Zniszczyć do końca. Jeżeli coś jeszcze pozostało do zniszczenia.



Iskry ogniska odbijają się w zielonych oczach. Tu można wszystko powiedzieć. Bez słów.

Zapach włosów. Bury płaszcz opada na suchą, szeleszczącą trawę. Palec delikatnym gestem dotyka warg. Nie trzeba słów. Na słowa przyjdzie jeszcze czas. Teraz jest tylko chwila. Ta chwila.

Twardniejące pod palcami sutki. Szybki, coraz szybszy oddech. I pustka w zielonych oczach. Już bez żalu. Bez smutku. I bez nadziei.

\*\*\*

Wiatr rozmiata szary popiół wygasłego ogniska, rozwiewa snujący się nad nim szary dym. Błyszczą srebrną rosą na szarej, zeschniętej trawie.

Wstaje szary, jesienny świt.

Pod burką, w zgięciu łokcia rozsypały się kasztanowate włosy, przetkane srebrnymi nitkami. Dużo tych nitek, za dużo. Lśnią szarym srebrem w mętym świetle poranka.

Jak zamknąć w słowach dwadzieścia lat?

– Przepraszam, Match – usłyszał. Nie zdziwił się, spodziewał się tych słów. Wiedział, czego dotyczą. – Przepraszam – powtórzyła cicho Marion. – To był błąd...

Chciał zaprzeczyć. Nie mógł, miała przecież rację. To był błąd. Już za późno. Już nie ma przyszłości. Skończyła się wczoraj.

Marion siedziała zgarbiona nad wygasłym ogniskiem. Nadpalonym patykiem rozgarniała popiół. Uniosła głowę.

– Nie mów nic więcej – poprosiła. – Nie mów nic. To niczego nie zmieni, już nie.

Spojrzała mu prosto w twarz.

– Wiesz, cały czas się zastanawiam, dlaczego ja? – odezwała się po chwili. – Dlaczego właśnie ja mam ci to powiedzieć? Dlaczego mnie to nakazano?

W oczach zabłyśły łzy.

– Chyba wiem... – odparła cicho sama sobie. – To pytanie jest złe, nie odpowiedź. Nie dlaczego, ale za co.

Wyciągnął rękę, delikatnie startł z policzka spływającą łzę. Zadrżała i odsunęła się.

– Nie utrudniaj, Match. – W głosie była prośba. Niechętnie, wolno cofnął dłoń. Miała rację. Było wystarczająco trudno.

Znów schyliła głowę. Zaczęła, nie patrząc na niego.

– Stałam się twoim przeznaczeniem, Match. Właśnie ja mam ci przekazać to, co masz zrobić, co musisz zrobić. Przekażę to, choć czuję, jak po trosze umieram. Bo to, co przekażę, to śmierć. Twoja śmierć.

Pokiwał spokojnie głową. Nie bał się śmierci. Gorsze było to, co działo się teraz.

– Wiesz, kto mnie przysyła i dlaczego musiałam przyjąć tę misję. Oboje wiemy. Masz stanąć do walki, Match. Stanąć do walki z kimś, kogo tu sam sprowadziłeś. Kto przyszedł twoim śladem i jest taki, jak ty. Kto jest... – urwała. Pochylenymi plecami wstrząsnął dreszcz.

– Gorszy ode mnie? – spytał Match. Znał odpowiedź.

– Tak, gorszy. Sprawniejszy. Bardziej bezwzględny. A najważniejszą różnicą jest to, że on wie. Celowo robi to, co ty uczyniłeś nieświadomie. Chce panować, Match. I sprzymierzy się z każdym. Nawet z tamtej strony.

– Ten, który mieni się Robin Hoodem – wolno, w zamyśleniu dopowiedział Match. – Który idzie moim śladem, wykonuje to, co ja kiedyś.

– Musisz go zabić. Musisz... spróbować, chociaż to nie będzie uczciwa walka. On nie jest sam. Nawet jeśli go zwyciężysz, nie ujdiesz żywy. Ale to nie jest ważne. Tak mi powiedziano. Ważne jest, by zginął.

– Tak, to nie jest ważne.

Podrzuciła głowę, usłyszawszy to. Spojrzała prosto w twarz.

– Masz rację – powiedziała twardo. – Musisz zapłacić. Oboje musimy.

Tak, muszę zapłacić, pomyślał Match. Choćby dlatego, że jeśli on pozostanie przy życiu, znów zacznie się wszystko od początku. Musi więc zginąć. Nawet gdyby był tylko zwyczajnym człowiekiem, to, co robi, pociągnie za sobą w konsekwencji zniszczenie i cierpienie.

Ale on nie jest zwyczajny. Nie wiadomo, czy jest tylko człowiekiem. Mój nieznany brat, przepłynęła przez umysł Matcha ironiczna myśl.

Młodszy i zdolniejszy.

Nie ma na co czekać. Nie trzeba przedłużać.

– Wybacz mi, Marion. – Słowa zabrzmiały głucho. – Wybacz mi wszystko.

Chwyciła jego rękę, przywarła całym ciałem.

– Zostań – szepnęła.

Z trudem wyswobodził się. Jakby coś w niej się załamało, opadła na rozłożoną na trawie burkę. To nie w porządku, kołatała się uparta myśl. Nie odchodzi się tak, nie tak.

– Muszę – powiedział. Jakkolwiek banalnie i nieszczerze by to zabrzmiało.

– Zostań. – Szept był cichy, prawie niesłyszalny. Ale było w nim wszystko. Przebaczenie i nadzieja. Żal i zwątpienie. I lęk.

Cokolwiek powiem, będzie źle, pomyślał tępo Match. Lecz nie gorzej niż dotąd.

– Marion... – zaczął. – Ten świat...

Podniosła głowę i po raz ostatni spojrzała mu prosto w oczy. Spoza pustki wyzierała złość.

– Niech wszyscy diabli wezmą ten świat – powiedziała powoli.

\*\*\*

– Kiedy? – spytał Jason tylko. Match przetarł twarz zmęczonym gestem.

– Nie wiem – odrzekł. – Niedługo. Myślę, że niedługo.

Odnalazł Jasona zaraz po powrocie z lasu. Dochodziło południe, lecz ten spał jeszcze nakryty z głową skórami w swojej małej izdebce na poddaszu zajazdu. Obudził się z paskudnym uczuciem, że jest za wcześnie. A zwłaszcza za wcześnie na złe wiadomości.

Z trudem hamując ziewanie, wysłuchał tego, co Match miał do powiedzenia. Nie przerywał, tylko czasami marszczył brwi z zastanowieniem. Match nie zwracał na to uwagi.

– Dowiem się kiedy, nie obawiaj się – dodał Match po chwili. Zupełnie niepotrzebnie. Jason otrząsnął się już ze snu, przyjrzał mu się uważnie. Jest wytrącony z równowagi, zorientował się. Jeszcze go takim nie widziałem. Czyżby dlatego, że nie tego się spodziewał?

– Nie wiem, Match – powiedział cicho. – Jeżeli oczekujesz rady, to wybacz...

– Nie oczekuję – zaprzeczył Match. – Widzisz, ja jedynie przyszedłem powiedzieć... No, żebyś wiedział, jak się to ma skończyć. Jeżeli cię to jeszcze obchodzi.

Jason nie zaprotestował. Wiedział, że Match ma za złe, że unikał go ostatnimi czasy. Mógł się tylko domyślać, jakie znaczenie miały dla Matcha rozmowy, podczas których po raz pierwszy w życiu ktoś go wysłuchał. Nie zaprotestował, gdyż poznał już Matcha na tyle, by wiedzieć, jak zareaguje. Po prostu zamknął się w sobie. Nie uwierzy.

Match zawsze, gdy do wyboru było kilka możliwości, wybierał tę najgorszą. Cóż, może to nie jest głupie podejście do świata, pomyślał Jason. W ten sposób mógł być mile rozczarowany.

– Posłuchaj, ja i tak będę wiedział do końca... – zaczął wreszcie Jason.

– Nawet o tym nie myśl – przerwał Match ostro.

Jason zamilkł.

– O czym? – spytał niewinnie po chwili.

Match zacisnął pięści.

– To tylko moja sprawa – odparł szybko, poirytowany. – Nic ci do tego, nie wyobrażaj sobie. – Potrząsnął gniewnie głową.

– Czego mam sobie nie wyobrażać? – naciskał dalej Jason. No, dalej, wyrzuć to z siebie, pomyślał, widząc twarz, pobladłą ze złości i chyba z bezradności. Match najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. Jason nie zamierzał mu ułatwiać. Cisza przedłużała się.

– Jason, to tylko moja sprawa. – Match mówił z trudem. – Nic ci do tego, to cię nie dotyczy. Kim ty, do cholery, jesteś? Kim jesteś dla mnie? Jesteś...

– Dokończ. – Jason zacisnął szczęki, widząc jak Match odwraca głowę.

– Dobrze – usłyszał. – Dokończę. Spotkaliśmy się przypadkiem.

Owszem, pomogłeś mi zrozumieć niektóre sprawy. Wysłuchałeś mnie. Ale rozum, teraz nie możesz pomóc. Nie nadajesz się do tego. Jesteś tylko...

– Zwykłym człowiekiem? – spytał Jason. – W przeciwieństwie do ciebie? Nie, Match, już nie jestem. Nie jestem, odkąd cię spotkałem.

Match nie odpowiedział.

– Milczysz? Dobrze, to ja ci powiem. Mówisz, spotkaliśmy się przypadkiem. A gdzie twoja niewzruszona wiara w przeznaczenie? Nie nadaję się? Może. A ty się nadajesz? Do tego nikt się nie nadaje, nawet ty. Myślisz, że to tylko ciekawość, tak, nie zaprzeczaj. Nie kręć tym głupim łbem, do cholery! Owszem, ciekawość też jest. Ale jest jeszcze, kurwa, coś innego. Jest lojalność. Są zobowiązania wobec kogoś, kto uratował mi życie. Bo inaczej zamarzyłbym wtedy, w tym lesie. Już niewiele brakowało. Tylko tyle ci powiem... Mógłbym więcej, ale nie zrozumiesz. Nie, ty nie chcesz zrozumieć, bo w pewne rzeczy z zasady nie wierzysz. Bo tak jest ci łatwiej! Wygodniej! Bo wtedy możesz wszystko zwalić na innych, na cały świat! Ty nie masz przyjaciół, Match! Bo sam tak, kurwa, wybrałeś!

Jason przerwał swój monolog, przechodzący pod koniec w krzyk. Splunął na podłogę z nieheblowanych desek. Biorąc pod uwagę wieloletnie złoży brudu, nagromadzone na niej, niewiele to zaszkodziło.

Ani spojrzął na Matcha.

– Tak – powiedział cicho. – Może się nie nadaję, Match. Mam jednak zamiar być przy tym do końca. Dobrze, to zarozumiałość, ale może na coś się przydam. I co mi zrobisz? Nie pozwolisz? Musiałbyś mnie zabić. Spróbujesz? Ja nie opuszczam przyjaciół, Match, choćby nawet nie rozumieli, co to słowo znaczy. Choćby nawet... A, szkoda jęzor strzępić!

W pancerzu, jakim Match okrywał się przez wiele lat, pojawiła się pierwsza szczelina.

– Jason... – zaczął. Głos odmówił mu posłuszeństwa. Jason spojrzął na niego.

– Wybacz – usłyszał po chwili. – To nie tak... To, kurwa, nie tak. Nie wiem... Nie potrafię, sam wiesz... Chodzi tylko o to, że to nie ma sensu. Możesz zginąć, zupełnie niepotrzebnie.

– Tym będę się martwić później, kiedy przyjdzie na to czas – uciął Jason sucho. – Match, to jest także moja sprawa, nie ucieknę od niej. Wiem to, odkąd się spotkaliśmy, od samego początku.

Spoważniał jeszcze bardziej.

– Źle myślałeś, Match. Nie znalazłem sobie wygodnej przystani. Próbowałem się czegoś dowiedzieć, nie tylko zresztą ja. Cóż, niewiele z tego wyszło. Ale trafiłem na coś interesującego.

W oczach Matcha pojawiły się iskierki zaciekawienia. Jason odetchnął z ulgą. Z Matchem nękanym wątpliwościami i wyrzutami sumienia rozmowa była trudna. Zazwyczaj jednostronna.

Jason rozsiadł się wygodniej. Opowiedział o swych spostrzeżeniach.

– Tak, wiem, to niewiele – zakończył Jason. – Ale mam wrażenie – potarł z namysłem czoło – że jestem już blisko. A co ważniejsze, mam też wrażenie, że moja osoba stała się istotna.

Match z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Może nie tyle osoba, ile moje zdolności – wyjaśnił Jason. – Ktoś się tym interesuje. Ciekawe, kto?

– Nie chcę cię zniechęcać, ale nie wydaje mi się. – Match był sceptyczny. – Przecież już wiadomo, o co naprawdę chodzi. Nie wiadomo jedynie, kiedy...

– I dobrze! – wpadł mu w słowo Jason. – Zawsze przyda się trochę czasu. Może jeszcze czegoś się dowiem.

Match bez słowa zaczął zbierać się do wyjścia. I jak zawsze bez pożegnania.

– Match, jeszcze jedno... – odezwał się cicho.

Match odwrócił się od wyjścia. Spojrzał pytająco.

– To spotkanie... To nie był błąd, Match. Naprawdę nie był.

Jason oczekiwał wybuchu złości, może niechętnego burknięcia. Był przygotowany. Ale musiał to powiedzieć.

Zaskoczony zobaczył, że Match uśmiecha się.

– Podglądałeś, draniu – stwierdził tylko. Nie było w tym gniewu. Ani wyrzutów.

\*\*\*

Jechali, milcząc, przez cichy, oszroniony przez pierwsze mrozy las. Match prowadził, poważny i skupiony, pogodzony ze sobą i swoim przeznaczeniem.

Jason wciąż miał wątpliwości. Brakowało mu czegoś do pełnego zrozumienia, jakiegoś drobnego fragmentu, tak drobnego, że jego nieobecność była nad wyraz denerwująca. I budziła niepokój.

Jason był niespokojny. Obawiał się, że już nie starczy czasu. Czasu, aby do końca zrozumieć. Bo na to, by zapobiec, było już za późno.

Basile, który uparł się im towarzyszyć, nie myślał o niczym szczególnym. Nie bał się. Gdyby się nad tym zastanowił, podziękowałby błogosławionej nieświadomości, ale namysł nie leżał w jego naturze.

Był po prostu lojalny. Jak zawsze.

Nikt nie spodziewał się zasadzki.

Nie była to wprawdzie zasadzka we właściwym tego słowa znaczeniu. Po prostu czekano na nich, nie starając się nawet ukryć.

Gdy wyjechali z za zakrętu, w mroku wysokich świerków dostrzegli pieszych, stojących nonszalancko na środku leśnego traktu.

Match zwolnił, bardziej zaskoczony niż zaniepokojony. Pięciu chyba, tylko pięciu. Nie zastanawiał się, kim są owi ludzie. Jeśli chcą zagradać, tym gorzej dla nich. Nic go nie zatrzyma. Już nie teraz.

Podjechali bliżej. Jakaś część umysłu Matcha chłodno rejestrowała szczegóły. Najpierw te najbardziej istotne.

Dwóch miało napięte kusze. Wodzili nimi po nadjeżdżających, wyraźnie zdenerwowani, że jest ich aż trzech, a tylko dwa bełty do wystrzelenia. Trzej pozostali mieli miecze. Nie dobyli ich jeszcze, ale trzymali dłonie podejrzenie blisko rękojeści.

Ubrani w pstrokatą mieszankę chłopskiego odzienia i zdobycznego żołnierskiego ekwipunku, strojem przypominali tych, którzy kiedyś, w odległych czasach prowadzili wraz z Matchem walkę w tym samym lesie. Ten, który stanął nieco z przodu i wyglądał na przywódcę, miał na głowie futrzaną czapę. Match przyjrzał się uważniej. Nie było to wilcze futro, jak początkowo sądził. Prędeż skóra z poczciwego, wiejskiego kundla.

Pozostali kryli twarze w cieniu opuszczonych na oczy kapturów.

Match szarpnął pas, biegnący ukosem przez pierś. Kazał sobie wreszcie zrobić pochwę do noszenia miecza na plecach. Co prawda dziwnie na niego spoglądano, ale nie przejmował się. Tak było dużo poręczniej. Gdy pociągnął pas, rękojeść miecza wysunęła się z nad ramienia. Był gotów. Zatrzymali się przed pierwszym z zagradzających drogę ludzi.

– Spierdalać. – Match nie bawił się w dyplomację. Nawet nie uniósł dłoni do rękojeści. Jednak coś w jego wyglądzie kazało mężczyźnie, który już sięgał ręką do uzdy, cofnąć się o krok.

Mężczyzna opanował się szybko. Był zawodowcem, twardym i bezwzględny zawodowcem, ocenił Match. Uczynił szybki gest i dwaj pozostali ze zgrzytem dobyli żelaza z pochew. Kuszniczy z tyłu podrzucili kusze. Mierzyli.

Match zobaczył, że obaj mierzyli w Jasona, który przezornie trzymał się nieco z tyłu. Match zmarszczył nieznacznie brwi. To było zastanawiające.

– Mówiłem, spierdalać po dobroci – powtórzył zimno, nie podnosząc głosu. – Bo jak nie...

– To co? – spytał przywódca, głosem nieoczekiwanie skrzekliwym. – Nie przejeździecie. Tu, w tym lesie, my decydujemy, kto może przejechać...

Match uśmiechnął się zimno. Kusze uniosły się jeszcze wyżej.

– Z koni – rozkazał krótko właściciel skrzekliwego głosu i czapy z psiego futra.

Match odwrócił się, napotkał wzrok Jasona. Nieznacznie skinął głową. Zeskoczył z konia.

Wiedział, że w tej sytuacji walka piesza będzie łatwiejsza. Wierzchowiec mógł się spłoszyć, ponieść. A nie będzie wiele czasu, oni mają przewagę. Cholera, żeby tylko Basile nic nie kombinował, zaniepokoił się Match.

Basile nic nie kombinował. Z twarzą bez wyrazu zeskoczył z konia, lecz nie puścił go swobodnie. Stojąc obok, wciąż trzymał wodze, drugą ręką poklepywał go po szyi, niby to uspokajając spłoszone zwierzę. Poklepywał jednak bardzo blisko rękojeści ciężkiego, dwuręcznego



miecza, bardzo lekko, jak wiedział Match, przytroczonego do siodła i dającego się wyciągnąć jednym zdecydowanym ruchem.

Basile odniósł wiele korzyści ze służby w straży szeryfa. Jedną z nich było to, że w końcu dał się namówić do rezygnacji z używania zabytkowej maczugi. Wzdragał się na początku, mówił, że nie ma zdolności do miecza. Wulf, dowódca straży, przekonał go w bardzo prosty sposób. Powiedział, że nie ma na świecie takiego idioty, którego nie nauczyłyby obracać żelazem. Że do tego nie potrzeba rozumu. A jak Basile nie chce, to niech spieprza, skąd przyszedł.

Basile chciał. I rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania, nie tylko jego. Teraz używał ciężkiego, dwuręcznego miecza, który nie każdy mógł unieść jedną ręką. A Basile nawet potrafił nim fechtować. Naturalnie, jedną ręką.

Przywódca zagradzających drogę nieznanym ludzi odprężył się nieco.

– Tak lepiej – zarechotał zgrzytliwie. – Bo widzicie, to od nas zależy, kto pojedzie dalej. Wychodzi nam, że tylko ty, panie...

– A to dlaczego? – spytał sucho Match.

– Bo tak nam roz... – wyrwał się jeden ze stojących obok, ten z obnażonym mieczem.

– Bo tak nam się podoba – wpadł mu pospiesznie w słowo skrzekliwy. Zgromił wzrokiem towarzysza, który cofnął się o krok.

– Zdziwisz się, przyjacielu – rozpoczął Match tonem przyjaznej konwersacji. – Ale nam się nie podoba.

– A, co gadać po próżnicy – zniecierpliwiał się człowiek w futrzanej czapie. – Powiedziałem, możesz jechać dalej. Ale oni tu zostaną, albo wrócą, jeśli wola.

Przecież o to mi chodziło, przemknęło Matchowi przez głowę. Chciałem jechać sam. Coś tu nie pasuje. Kim są ci ludzie? I co będzie, jeśli ruszę dalej?

Nie miał wątpliwości. Dostrzegł nieszczerzy błysk w oczach człowieka, wtedy, gdy powiedział, że będą mogli wrócić.

Musimy przejść, zdecydował. Może się uda. Ci trzej to nie problem, gorzej z tymi, którzy celują w Jasona. Trzeba zagadać, wyprowadzić ich z

równowagi. Może wycelują w kogoś innego, może chybią.

– Hej, ludzie, dogadajmy się. – Match aż drgnął, słysząc spokojne słowa Jasona. Jason był blady, lecz dłonie, które unosił w górę w bezradnym pozornie geście, nie drżały. Match sprężył się.

– Co wam zależy?... – Głos Jasona zadrgał lekko. Match nie był pewien, czy tylko udaje.

Obie kusze celowały w Jasona. Co ty robisz, chciał krzyknąć Match, widząc, jak ręce Jasona splatają się na karku. Czas stanął, chwile rozciągały się w nieskończoność.

Nie zdążę, coś krzyknęło rozpaczliwie w umyśle Matcha, nie zdążę. Dlaczego nie poczekał?

Jason nie mógł czekać. Jason wiedział. Dostrzegł nieznaczny gest człowieka w futrzanej czapie, gdy ten wskazywał go kusznikom. Zrozumiał, co oznaczają wycelowane w niego groty. Zrozumiał, że to on ma tu zostać na zawsze, że właśnie o niego chodzi.

W mgnieniu oka Jason wreszcie zrozumiał wszystko. Zobaczył cały obraz. Prawdziwy obraz.

Match chwycił rękojeść, syknął dobywany z pochwy miecz. Basile z całej siły szarpnął pochwę, pękły rzemienie troczące broń do siodła, a koń aż się zatoczył.

Match spostrzegł kątem oka, jak Jason wyrzuca rękę przed siebie. Złowił błysk lecącego ostrza.

Wypad do przodu, sztych wbija się w gardło mężczyzny w czapce z psiej skóry. Niepotrzebnie. Mężczyzna wypręża się, pada do tyłu. Spomiędzy oczu sterczy wbite prawie do połowy ostrze.

Dopiero teraz szczękają cięciwy kusz. Bełt ze stukotem wbija się w pobliski pień. Drugi...

Wyszarpywane ostrze zgrzyta o kręgi szyjne. Za późno, cholera, za późno, obaj zdążyli nacisnąć spusty. Człowiek z przerażeniem w oczach unosi kuszę. Broń jest zbyt ciężka, nie udaje mu się osłonić twarzy. Człowiek przewraca się, zabity dwa razy. Ostrzem, które rozplatało gardło, i mieczem, który znosi całą górę czaszki wraz z włosami i kapturem.

Drugi kusznik już pada. Match, nie poświęcając mu więcej uwagi,

odwraca się w pędzie. Zostało jeszcze dwóch.

Krótki, ostrzegawczy okrzyk. Match przypada do ziemi, nad głową wyje powietrze rozcinane ciężką, szeroką klingą. Podwójny, wilgotny trzask, jakby topór wcinał się w mokre drzewo. Fontanna ciepłej krwi bryzga na twarz. Po zmarzniętej, ubitej ziemi traktu toczą się dwie głowy. Ścięte jednym cięciem.

Niepotrzebnie. Jedna z głów wiruje po ziemi, zatrzymuje się tuż przed twarzą Matcha, w skroni tkwi wbite głęboko ostrze.

W drugiej, leżącej opodal ostrze tkwi w środku czoła.

Czas znów przyspieszył. Już można usłyszeć normalne bicie własnego serca, rozciągnięte przedtem w głuche, przeciągłe tony. Można wstać, obetrzeć krew z twarzy.

Basile czekał sprężony czujnie, wodząc na wszystkie strony ostrzem swego miecza. Match rozejrzał się. Jason...

Jason opadł na kolana, jakby zabrakło mu sił. Ramiona zwiślały bezwładnie.

Match podskoczył do niego.

– Znów mi się udało... – Jason mówił cicho, z trudem. Uśmiechnął się.  
– Znów pięć trafień.

Z rozciągniętych w uśmiechu warg pociekła strużka krwi. Match popatrzył w dół. Zobaczył sterczące pod dziwnym kątem drzewce bełtu. Jason poszedł za jego wzrokiem.

– Ale nie do końca – stwierdził. Podniósł głowę, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Zwiotczał w uścisku Matcha.

\*\*\*

– Basile, trzymaj go! – Match mówił niewyraźnie, przez zęby. Objął dłońią drzewce bełtu tuż pod lotkami. Upewniał się, że chwyt jest mocny, że nie ześlizgnie się ręka mokra od krwi.

– Teraz mocno, zanim się ocknie.

Zebrał się w sobie, by wydobyć bełt jednym ruchem. W ostatniej chwili Jason otworzył oczy. Było już za późno, by wstrzymać rękę. Match

szarpnął z całej siły. Jason rzucił się konwulsyjnie, po chwili znieruchomiał. Z rany silniej popłynęła krew.

– Prędko, Basile! – Match cisnął wyciągnięty pocisk na trawę. Basile otworzył zaciśnięte powieki. Podał zaimprovizowane bandażę.

Gdy Match skończył opatrywać ranę, ostrożnie ułożył Jasona na rozłożonej na ziemi derce.

– Basile, rozpalaj ogień – rozkazał. – Trzeba go ciepło okryć.

Olbrzym rzucił się, nie czekając na nic.

Niedobrze, pomyślał Match. Wysoko, żołądek, albo nawet wątroba. Dużo krwi, krwotok wewnętrzny. Małe szanse.

Podniósł leżący na ziemi bełt. Przyjrzał mu się.

– Kurwa.

Bełt trafił na twardą przeszkodę, prawdopodobnie kłamrę u pasa, i dlatego nie przeszedł czysto na wylot, jak można się było spodziewać przy trafieniu z tej odległości. Wbił się pod kątem, powodując znacznie większe spustoszenie. Ale to nie wszystko. Źle wykuty grot popękał, rozszczepił się na stalowe igły. Brakowało znacznej części.

Match zacisnął pięść, drzewce pocisku pękło z trzaskiem. Szanse Jasona, które oceniał przed chwilą jako niewielkie, teraz wydawały się zerowe.

Wrócił Basile, wlokąc wielki pień. Match usłyszał odgłos krzesania ognia.

To na nic, przyjacielu, pomyślał. To już na nic.

Błysnął pierwszy, nieśmiały płomyczek. Basile dmuchał w kupkę chrustu. Match położył mu rękę na ramieniu.

– Zostaniesz z nim – powiedział.

– Jak to, zostanę? – zawołał Basile. – Jemu trzeba pomóc, trzeba go do miasta.

Match pokręcił głową.

– Nie możemy go ruszyć. Umrze od tego. Zostaniesz z nim, może...

Chciał powiedzieć, że może się polepszy. Nie potrafił. Widział wbite w siebie oczy chłopaka. Pełne rozpacz i prośby.

– Musimy coś zrobić. Pomóc mu...

– Nie możemy, Basile. – Match opuścił wzrok. – Nie możemy. Nikt na tym świecie nie może mu pomóc. Tylko on sam.

Basile spoglądał, jakby nic nie rozumiał. Jakby do niego nie docierało. Może zresztą i nie docierało. Chwycił Matcha za ramiona. Mocno. Potrząsnął nim.

– Zrób coś, zrób coś! – wykrzyknął. – Tylko ty możesz... Ja... Ja nie potrafię... Nie potrafię...

Match z trudem wyswobodził się z uchwytu.

– Zostań z nim – powiedział cicho. – Ja muszę ruszać... Pewnie nie wrócę.

– Musisz ruszać. – Basile już nie prosił. W głosie pojawiła się złość i nienawiść. – Musisz ruszać, a on tu ma umrzeć.

Match pokiwał głową. Nie chciało mu się już oszukiwać chłopaka. Nic mu się nie chciało. Nawet wyjaśniać, na przykład, kim stał się dla niego Jason. To już nie miało znaczenia.

– Muszę ruszać... – mruknął sam do siebie.

– Match. – Głos był cichy, podobny raczej do jęku.

Obaj z Basile'em przypadli do leżącej postaci. Jason się ocknął. Match był pewien, że wszystko słyszał. Nie mylił się.

– Match, posłuchaj – wyszeptał Jason. Wypreżył się z wysiłkiem, po brodzie znów pociekła strużka krwi.

– Jason, nie mów nic, nie możesz teraz mówić. – Match wypowiadał słowa głośno, z przesadnym ożywieniem. – Odpoczniesz, to wszystko powiesz. Kiedy będziesz silniejszy.

Wargi drgnęły, rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie pierdol, Match – szepnął Jason. Zakrztusił się, na chwilę przymknął oczy.

Z gardła Basile'a wydobył się krótki szloch.

Jednak jeszcze nie teraz. Powieki znów rozchyliły się.

– Nie będzie żadnego później – powiedział Jason, trochę wyraźniej. – Musisz posłuchać... teraz...

– Jason, nie możesz... – Match przygryzł wargę. Poczł ciepły strumyk krwi spływający z ust. – To cię, kurwa, zabije... – dokończył bezradnie.

– Ja już nie żyję. – Zabrzmiało to okrutnie spokojnie i pogodnie.

Jason z całych sił zmagął się ze słabością. Z odrętwieniem i ciemnością, która czała się na obrzeżach pola widzenia. Z wysiłkiem poruszył wargami, lecz nie mógł wydobyć głosu. Twarz Matcha oddalała się, stawała się coraz mniejsza, otoczona zewsząd mrokiem. Zebrał wszystkie siły.

– Słu... chaj... Mozaika... Ostatni kamyk... Obraz...

Nie mógł już mówić. Mógł tylko patrzeć, wpijąc się gasnącym wzrokiem w oczy pochylonego nad nim Matcha.

Zakrwawione wargi były nieruchome. Ale Match słuchał. I słyszał. Coś stało się z jego umysłem, pozwoliło mu wysłuchać, co przyjaciel chciał mu przekazać, i zobaczyć to, co i on widział. Wszystko.

Pozwoliło mu zrozumieć.

Powoli opadły powieki. Ciało Jasona zwiotczało, głowa opadła na bok. Tylko nierówny oddech świadczył o tym, że to wciąż nie koniec. Jeszcze nie teraz.

Match wstał powoli. Twarz miał zmienioną. Zmartwiałą.

– Zostań tu, Basile – powiedział. Nie czekając na odpowiedź, ruszył do swego konia.

Basile nawet nie podniósł głowy. Siedział zgarbiony, obejmując dłońmi kolana.

– Jeszcze tu wrócę – usłyszał.

\*\*\*

Człowiek w jasnym płaszczu z kapturem powstał na jego widok. Wszedł na środek traktu i stał nieporuszony, oczekując, aż Match zbliży się do niego. Nie odezwał się ani słowem, nie podniósł ręki na powitanie. Stał i czekał.

Match nie przyspieszył, nie popędził konia. Jechał, wpatrując się w cień pod kapturem. Widział tylko cień. Nic nie mówiąc, przełożył nogę

przez kulbakę, zeskoczył na gościniec. Stał naprzeciw mężczyzny.

Ten w końcu skinął głową, ręką wskazał na porośniętą suchą trawą skraj drogi. Match wypuścił z dłoni wodze. Wiedział, że koń nie odejdzie. Nie oglądając się, ruszył w kierunku zwalonej kłody, siadł bez zaproszenia. Druid stanął przed nim, spoglądając z góry.

Teraz Match mógł już dostrzec skrywaną w cieniu twarz. Jasnobłękitne oczy, patrzące z uwagą i skupieniem. Długie, płowe włosy, przetykane siwizną. Znał tę twarz od dwudziestu lat.

Nic się nie zmienił, jakby czas nie miał do niego dostępu. Ciekawe, czy ze mną też tak będzie, pomyślał Match. Jeśli przeżyję.

– Wyszedłeś na spotkanie przeznaczenia, Match – usłyszał wreszcie. – Spodziewałem się tego.

– A miałem jakieś inne wyjście? – spytał z ironią, krzywo się uśmiechając.

Druid, nawet jeśli się zdziwił, nie okazał żadnej reakcji.

– Nie miałeś – odpowiedział, krótko i zdecydowanie. – O tym rozstrzygnęło samo przeznaczenie. Nie możesz mu się opierać.

– Dobrze więc – odparł Match. – Wyszedłem mu naprzeciw, jak sam powiedziałaś. Zrobię to, czego ode mnie oczekujesz, to jest, przepraszam, co jest mi przeznaczone.

Druid drgnął, słysząc ton jego głosu. Nie spodziewał się ironii.

– Match, jesteś tylko narzędziem – odparł zimno. – Narzędziem, które musi wykonać zadanie, jedynie po to zostało stworzone. Jeśli zaś narzędzie zniszczy się przy tym, to potem zastąpimy je innym. Do następnych zadań. Dobrze o tym wiesz.

Match milczał długo. W końcu wstał, stanął twarzą w twarz.

– Powiedziałem już, wykonam swoje zadanie, czymkolwiek miałyby się to skończyć. Ale wcześniej odpowiedz mi na pytanie, tylko jedno, obiecuję...

Mężczyzna poważnie skinął głową.

– To ci się od nas należy – powiedział.

– Nie, to nie tak. – Match uśmiechnął się smutno. – Nie od was, tylko od ciebie. I nie należy, ja tylko proszę.

Uśmiech zniknął, Match był znów poważny.

– Powiedz tylko, dlaczego. Dlaczego tak.

Druid spochmurniał. Nie spodziewał się takiego pytania.

– Dlaczego w ten sposób? Po co tyle krzywdy, tyle krwi, tyle śmierci? Powiedz, jeżeli potrafisz! Jeżeli chcesz!

– Bo nie można było inaczej – usłyszał twardą odpowiedź. – Bo nie musiałeś wszystkiego wiedzieć. Bo w końcu sam powinieneś zdecydować, zapłacić za to wszystko, właśnie ty, a nie nikt inny! Ty musisz zamknąć ten krąg, nikt inny tego za ciebie nie zrobi!

Już krzyczał. Nie mówił spokojnie, cichym, równym głosem, jak zwykle. Odrzucił na plecy kaptur, wbił wyprostowany palec w pierś Matcha.

– Chcesz prawdy, proszę bardzo. – Utkwił w nim wściekłe spojrzenie. – Dobrze, powiem ci tę prawdę, którą tak chcesz usłyszeć, chociaż sam znakomicie ją znasz. Jesteś czymś, czego nie powinno być. Co nie mogło się zdarzyć. Jesteś...

– Potworem? – spytał spokojnie Match.

Druid urwał w pół słowa. Ręka wparta w pierś Match opadła bezwładnie. Opuścił wzrok.

– Powiedz wreszcie, jestem potworem, czymś przeciwnym naturze? – Match uparcie nie dawał spokoju. – Czymś, czego brzydzą się sami twórcy? Choćby ty?

– Skoro chcesz. – Druid umykał spojrzeniem. – Skoro chcesz się koniecznie tak określać.

Spojrzał mu w końcu prosto w twarz.

– Skoro tak chcesz, to jesteś... Ale nie mów, że brzydzimy się tobą. Nie, my tylko staramy się zrozumieć, co się stało. Jak się stało. Nie oceniamy, mimo całego zła, jakiego byłeś przyczyną. I jeszcze jedno. To nie my cię stworzyliśmy, Match, przynajmniej nie do końca. Sam wybrałeś swą drogę, sam się ukształtowałeś, my tylko zaczęliśmy.

Tak, tylko zaczęliście, pomyślał Match gorzko. A potem z ukrycia pociągał za sznurki, żeby przypadkiem nie zboczył za bardzo z tej drogi, którą dla mnie wybrałeś. Tak, sam wybrałem drogę, w tych granicach, jakie mi zakreśliłeś. Bardzo ograniczony to był wybór.



– Nie pomyślałeś o tym, że mogłeś inaczej? – spytał cicho. – Po prostu powiedzieć, wtedy, kiedy jeszcze był czas?

Nie oczekiwał odpowiedzi. W każdym razie nie takiej, mimo wszystko.

– Tobie? – Druid skrzywił się szyderczo. – A kim ty byłeś? Kim jesteś? Zgoda, popełniliśmy kiedyś błąd. Trzeba było lepiej cię pilnować, rokowałaś wielkie nadzieje. Zaniebaliśmy to. Ale tylko tyle. Niech ci się nie wydaje, że twoje pochodzenie stawia cię na równi z nami. Nie jesteś jednym z nas, nigdy nie byłeś. Nie zdążyłeś się stać. Ale nie jesteś też człowiekiem. Nigdy nie znałeś prawdziwego człowieczeństwa, czymkolwiek by ono było. To, co się z tobą stało w młodości, nie pozwoliło na to. Było nieodwracalne. W nieodwracalny i wyjątkowo paskudny sposób spaczyło twój charakter, twój umysł. Nawet twoje ciało. Jesteś obcy, obcy wszystkim. Nie należysz do nikogo, Match, jesteś...

– ...nikim?

– Tak, jesteś nikim, dziwacznym tworem, który wyrwał się spod kontroli. Który powinien zostać unicestwiony, gdy tylko okazało się, kim, czym naprawdę jest.

Match miał już dosyć. Ta rozmowa do niczego nie prowadziła, była zbędna.

– Dobrze – przerwał. – Kończmy, to nie ma sensu.

Druid zamilkł. Po chwili powiedział:

– Rzeczywiście. Oszczędź sobie tych niewczesnych żalów, na nic się nie zdadzą, jak wiesz.

Nic już więcej nie mówiąc, Match ruszył po swego wierzchowca.

– Zaczekaj – usłyszał za sobą.

– Po co? – spytał chłodno, nie zatrzymując się. – Przecież wszystko już postanowione. A pytania nie zdadzą się na nic.

– Zawsze byłeś w gorącej wodzie kąpany – powiedział z ironią druid, siadając na zwalonym pniu. – Od razu ruszać, niech się dzieje co chce... Stąd twoje problemy.

Match zaklął pod nosem, ale zawrócił. Usiadł obok.

– Chcesz mi jeszcze raz przypomnieć o powinnościach? – spytał

sarkastycznie. – I przeznaczeniu?

Druid siedział nieporuszony. Nie spojrzął na Matcha, nie odwrócił nawet głowy.

– Nie drwij z przeznaczenia, Match – odparł wreszcie. – Nie drwij z niego, ani nie próbuj się przeciwstawiać. Bo zakpi z ciebie okrutnie, albo cię zniszczy. – Wciąż siedział, nie patrząc na rozmówcę, mówiąc jakby do siebie. Jakby nagle przestało mu zależeć, czy Match w ogóle słucha wypowiedzianych cicho słów. – Wiem, sądzisz, że już zniszczyło. Że nie pozostawiło ci żadnego wyjścia, innego niż ta ostatnia, jak sądzisz, walka. Bo wiesz, że nie wyjdiesz z niej z życiem, nawet jeśli spełnisz to, czego od ciebie oczekujemy. Mylisz się.

Druid przerwał na chwilę.

– Mylisz się, Match – podjął, nadal cicho, bez nacisku. – Przeznaczenie zakpiło sobie z ciebie, z twojej gotowości do poświęcenia. Z twojej ofiary, którą tak ostentacyjnie składasz z samego siebie, myśląc, że właśnie przez to stajesz się lepszy. Nie, Match, nawet tego nie będziesz miał.

Nie doczekał się żadnej reakcji, mimo iż się spodziewał. Match siedział bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń tęym wzrokiem.

– Widzisz, mimo że jesteś tylko narzędziem, nie ma sensu niszczyć narzędzia bez potrzeby. Nawet tak niebezpiecznego jak ty. Zawsze przecież jeszcze może się kiedyś przydać. – Roześmiał się szyderczo.

Tak naprawdę nigdy nie lubił siedzącego obok człowieka, jak z wyższością nazywał go w myślach, by pokryć lęk, jaki w nim budził, on i jego możliwości. Niepojęte i przeciwne naturze.

Match był przecież jego dziełem. Wprawdzie nie do końca zdołał go ukształtować tak, jak zamierzał, ale w końcu okazało się, że będzie przydatny, choć bardzo odległy od ideału. Będzie narzędziem, topornym i trudnym w użyciu, ale mimo wszystko w końcu spełni swą funkcję. Nawet nieświadomie. Cóż, w końcu lepiej dla niego.

Dużo trudu to kosztowało, dużo zachodu. Wiele delikatnych zabiegów i ciosów, które trzeba było zadać na odlew, gdy zawodziły subtelniejsze sposoby. Nieraz obawiał się, że z tego nic nie będzie, że trzeba zapłacić za zaniedbania, znów czekać długo, bardzo długo. I następnym razem bardziej się pilnować.

Jednak w końcu powiodło się. Narzędzie zmierzało prosto do wytyczonego celu.

– Nie będzie zapłaty, Match. Nie będzie zadośćuczynienia. Nie pogodzisz się ze sobą, jeszcze nie teraz. Nie umrzesz dziś z radością. Bo dla nas jest to niepotrzebne.

Urwał, sięgnął do sakwy, wyjął z niej bełt. Na pierwszy rzut oka zwyczajny, krótki bełt do kuszy. Zważył go w otwartej dłoni.

– To twoje ułaskawienie, Match – powiedział z drwiącym uśmiechem. – Co, nie cieszysz się? Nie pociąga cię perspektywa odjechania z powrotem, cało, zamiast tego, że rozsiekają cię tam na strzepy?

Podał mu bełt. Match wziął go bez słowa, zacisnął palce. Druid podjął, już bez drwiny:

– Przeznaczenie dokona się bez uczciwej walki na śmierć i życie. Niepotrzebne mu twoje poświęcenie. A twoje uczucia, twoja potrzeba ekspiacji? Nie jest warta nawet splunięcia, Match. Nikogo to nie obchodzi. Prócz ciebie, ale ty się akurat niezbyt liczysz. A twoje uczucia wcale.

Match wstał.

– Co zatem? – spytał spokojnie.

Druid wskazał pasmo lasu, zamykające ciemną linią przestrzeń pól. Rzeczywiście, nie było już daleko.

– Pojedziesz aż do rozstajów. Tam zatrzymasz się i wystrzelisz ten bełt, który ode mnie dostałeś. Wtedy będziesz mógł wracać. Dokona się to, po co tu przyjechałeś.

– W co mam wystrzelić? – spytał chłodno Match. Nie dziwił się niczemu.

Druid wskazał na wiszące nad ścianą lasu blade, zimowe słońce.

– Choćby w słońce – odparł krótko. Match tylko kiwnął głową, podszedł do konia. Wyciągnął bez słowa rękę po wodze, trzymane wciąż przez druida. Ten zdziwił się:

– Co, o nic nie spytasz? Nie masz żadnych wątpliwości? Chociażby po co to wszystko.

– Nie – uciał sucho Match. – Nie mam żadnych pytań. Ani żadnych wątpliwości. Ty decydujesz, jak zawsze.

Druid wzruszył ramionami, podał wodze.

– Ten bełt ma więcej niż duszę. – Widząc, że Match zamierza wsiadać, mówił coraz szybciej i głośniejszym głosem: – On ma, można tak powiedzieć, inteligencję...

Match dosiadł konia, stuknął piętami po bokach. Ruszył, nie oglądając się. Gonił go coraz donośniejszy głos:

– Na rozstajach wystrzel go prosto w słońce. Prosto w słońce, pamiętaj. Nie musisz nic więcej robić. Wystrzel i zapomnij!

Match wciąż ścisnął w prawej dłoni bełt. Wydawał się ciepły i jakby wibrował lekko, a może było to tylko złudzenie. Wystrzel i zapomnij, powtórzył w myśli słowa druida. Wygodna zasada.

– Wystrzel i zapomnij – dosłyszał jeszcze za sobą. – Pamiętaj, on też ma swoje imię. Zowie się Ogień Piekieł.

\*\*\*

Na porośniętej suchą trawą rozległej polanie stała konno grupa ludzi. Wciąż czekali, w milczeniu, nie rozmawiając ze sobą.

Mężczyzna na czele grupy odrzucił kaptur na plecy. Spod kółek misiurki wymykały się szarpane zimnym wiatrem jasne kosmyki włosów. Zaczynał się niecierpliwić. Zastanawiał się, czy dojdzie do spotkania.

Człowiek, którego oczekiwał, miał odjechać z tej polany jako sprzymierzeniec lub nie odjechać wcale. Mężczyzna obejrzał się. Z zadowoleniem spostrzegł, że zgodnie z rozkazem pierwsi ze stojącej za nim grupy trzymali napięte kusze. Na wszelki wypadek.

Spotkanie było ważne, od dawna go oczekiwał. Potrzebował uwiarygodnienia, kogoś, kto wspierając go, jednocześnie będzie symbolem kontynuacji walki, toczonych od lat, a rozpoczętej przez Robina w Kapturze. Teraz on ją poprowadzi aż do zwycięstwa. Zmierzy się z tymi, którzy wyzuli go z dziedzictwa, przez których on, szlachcic, rycerski syn stał się przywódcą banitów. Tylko w ten sposób mógł dochodzić swych praw.

To, co im się nie udało, mnie musi się udać, pomyślał. A on... może mi

w tym pomóc, przynajmniej powinien pomóc, w końcu sam poświęcił tej samej sprawie wiele ze swego życia. Przegrał, lecz dzięki temu ja mogę uniknąć powtórzenia błędów. Winien jest wdzięczność, że ktoś podjął jego dzieło.

Jeżeli zaś nie będzie chciał... Trudno. W tym lesie nie ma miejsca na dwóch takich jak my. Jest miejsce tylko dla mnie. To za mną pójdą chłopci z puszczańskich wiosek, do mnie dołączą wszyscy skrzywdzeni, wszyscy poszukiwacze przygód. Wyjdziemy kiedyś z tego lasu, staniemy przed bramami waszych zamków i dworów. Obudziwszy się pewnego dnia, zobaczycie, że ten, którego pozbawiliście dziedzictwa, którego, jak wam się wydawało, zniszczyliście ostatecznie, przyszedł do waszych bram. By zanieść wam ogień i miecz. Odebrać wszystko należne. A nawet więcej.

\*\*\*

Match zatrzymał się na rozstajach. Zeskoczył z siodła, bez pośpiechu odtoczył kuszę i napiął, używając dźwigni. Ciężka zaskrzypiała, z metalicznym szczękiem zaskoczyła zapadka.

Położył bełt w rowku łoża kuszy. Uniósł broń, przycisnął policzek do drewnianego łoża, celując w niskie słońce. Zmrużył oczy, patrząc prosto w świetlisty dysk. Delikatnie położył palce na dźwigni spustu, nacisnął powoli, łagodnie.

"Wystrzel i zapomnij..."

\*\*\*

Mężczyzna na polanie znów odwrócił się, zniecierpliwiony. Stłoczeni w grupkę konni zaczęli poruszać się niespokojnie, słyszał wymieniane półgłosem uwagi. Długo już tu czekali. Za długo.

Kątem oka dostrzegł postać, siedzącą bez ruchu na skraju polany, z dala od innych. Druid, pomyślał z niejasnym niepokojem. Pojawił się jakby znikąd, kiedy tylko przestali docierać do wiosek wysłannicy z miast, poborcy, zbrojni. Dawne kultury znów odżywały.

Mężczyźni było to jak najbardziej na rękę. Chłopci potrzebowali

tradycji, która przeciwstawiała ich panującym. Stare obrzędy i wierzenia integrowały ich, stawali się łatwiejsi do poprowadzenia. Tak, dobrze się stało.

Jednak teraz poczuł niepokój. Odwrócił z niechęcią wzrok, znów spojrzął na przeciwległy skraj polany. Stamtąd przybędzie, o ile w ogóle przybędzie...

Druid zdawał się drzemać. Tylko z bliska można było dostrzec skryte w cieniu kaptura bystre spojrzenie.

Splecione dłonie wspierał na krótkiej jałowcowej lasce.

Już niedługo. Druid nie poruszył się, jednak oczy błędziły po bladym, zimowym niebie.

Teraz!

Gwałtownym ruchem zdjął dłonie z głowicy laski, chwycił ją oburącz w połowie długości. Uniósł w górę.

Głowicę laski zwieńczał ogromny, rubinowy, szlifowany kryształ. Promienie bladego słońca błysnęły wielokrotnymi odbiciami w fasetach klejnotu. Druid zacisnął mocniej dłonie.

Z kryształu wystrzeliła cienka jak włos nitka światła. Na czole mężczyzny, tuż pod brzegiem misiurki, wykwitła szkarłatna plamka.

\*\*\*

Bełt osiągnął najwyższy punkt swego lotu. Zawisł jakby na chwilę w powietrzu, przechylił się i pomknął w dół, nabierając szybkości. Wirował powoli wokół własnej osi, mierząc prosto w widoczną gdzieś w dole, maleńką, jaskrawą, szkarłatną plamkę.

Szybko, coraz szybciej... Ostry, przeciągły świst rozcinanego grotem powietrza.

Powiew wiatru wytrącił pocisk z toru lotu. Brzechwy drgnęły ledwo dostrzegalnie, skorygowały odchylenie. Znów prosto do celu, prosto na maleńką plamkę...

\*\*\*

Mężczyzna wstrząsnął się. Zimno, pomyślał, to przez ten lodowaty wiatr...

Nie słyszał świstu pocisku. Nie słyszał cichego szumu brzechw. Nie słyszał do końca.

Na mgnienie oka przed uderzeniem, wiedziony przeczuciem uniósł głowę.

Za późno.

**- VI -**

*Yes I know the secret  
That's within your mind  
You think all the people  
Who worship you are blind  
You're just like Big Brother  
Giving us your trust  
And when you have played enough  
You'll just cast our souls  
Into the dust  
Into the dust  
You thought that it would be easy  
from the very start  
Now I've found you out  
I don't think you're so smart  
I only have one more question  
Before my time is through  
Please I beg you tell me  
In the name of hell  
Who are you?  
Who are you?*

Black Sabbath, *Who Are You*

Obaj słyszeli, jak nadchodzi. Nie było w tym nic dziwnego. Ci dwaj ludzie, siedzący na suchym wrzosowisku, w kręgu wielkich głązów,



słyszeli zazwyczaj więcej od innych. Wiedzieli też. Dlatego nie podnieśli twarzy, skrytych w cieniu kapturów.

Wiedzieli, kto zbliża się do kamiennego kręgu, i to, że on również wiedział, gdzie ich znaleźć. On już należał do nich. Ale oni nie należeli do niego.

Oto rezultat wielu wieków. Może tysiącleci. To, na co czekali, dokona się już wkrótce. Pojawił się wreszcie ostatni element.

Wieki starań i wysiłków, sukcesów i porażek, lata błędów i cierpień – to wszystko już minęło. Właśnie dziś. Powinni czuć radość. Euforię. Ale nie czuli.

Druid, trzymający na kolanach jałowcową laskę, z głowicą okrytą skórzonym pokrowcem, uniósł głowę. Utkwił wzrok w nieruchomej postaci i drgnął, spostrzegłszy zimny uśmiech. Nie tego się spodziewał.

– Oto jestem – usłyszał. – Zadany cios i czyn spełniony.

Nie czekając na przyzwolenie, Match usiadł naprzeciw. Pochwę z mieczem położył w poprzek kolan.

– Powiecie mi, jak zginął? I po co?

Drugi z druidów gwałtownie odrzucił kaptur z głowy. Utkwił w Matchu spojrzenie swych wyblakłych oczu. Stary znajomy, pomyślał Match.

– Nie pozwalaj sobie za wiele – syknął druid. W głosie była złość. Ale gdzieś głęboko pod nią Match usłyszał nutki niepokoju. Nie zareagował. – Nie poznasz przeznaczenia. – Nie ty. Ty możesz się najwyżej cieszyć, że uniknąłeś swojego. Na razie. Pozwoliliśmy ci go uniknąć.

– Wdzięcznym niewymownie – parsknął kpiąco Match. Nadspodziewanie łatwo wytrzymał spojrzenie bladych oczu. Już nie mieli nad nim władzy. – Ale ja przestałem wierzyć w przeznaczenie. Nie ma przeznaczenia.

– Zamilknij – rzucił ten z jałowcową laską. – Nie tobie mówić o takich rzeczach. Nie tobie je rozważać... Nie jesteś...

– Kim? – wpadł mu w słowo Match. – Nie jestem tobą? Nie jestem taki jak ty? Nie mylisz się. Jestem czymś więcej. Ja już wiem.

– Co wiesz? – Pytanie padło szybko, zbyt szybko. Odpowiedź również.

– Wszystko.

Nie byli zwykłymi ludźmi. Nie musieli spoglądać na siebie, by podjąć jednomyślną decyzję. Nie było żadnego ostrzeżenia.

Miecz wysunął się lekko z pochwy. Błysnął cał jasnej stali.

– Nawet nie próbuj – ostrzegł Match, widząc wzniesioną w skomplikowanym geście rękę. – Wiesz, że nie zdążysz. Wiesz, kim, a raczej czym jestem. Wiesz, bo sam mnie stworzyłeś.

Ręka opadła. Druid wpił wyblakłe oczy w twarz Matcha.

– Nie wysilaj się. – Match schował miecz. – To też na mnie nie działa. Powinieneś wiedzieć. Zresztą, jak chcesz, to spróbuj.

Nic się nie stało. Druid opuścił wzrok. Zapadła cisza.

– Czego chcesz? – spytał po dłuższej chwili ten drugi, bardziej widać pragmatyczny. – Zemsty? Nic ci ona nie da, już wszystko się stało. Nie wróci to, czego pragnąłeś. Nie możemy ci tego oddać. Nikt nie może.

– Co, musisz pytać? – zakpił Match. – Ty też nie wierzysz w przeznaczenie? Nie wierzysz, że już zostało to ustalone i zapisane? Nie wierzysz. I masz rację.

Rozsiadł się wygodniej. Nie spuszczał oka z rozmówców. Byli niebezpieczni, zwłaszcza przyparci do muru. Jak szczury, zagonione do kąta.

– Porozmawiamy – zaczął Match. – O przeznaczeniu, które nie istnieje. Bo masz rację, rzeczywiście go nie ma. To tylko łatwe wytłumaczenie, straszak na maluczkich. Na mnie też, do czasu. Jest tylko przypadek, ciąg wydarzeń, z których każde może pociągnąć za sobą inne. Każde z nich może zmienić przyszłość. Przypadkowo. Nikt nie może poznać przyszłości, bo jest ich nieskończenie wiele i z każdą chwilą staje się więcej. Można wyłapać poszczególne obrazy, zdarzenia. Ale tylko prawdopodobne. Nie nieuchronne. Bo przyszłość jest chaosem, niepoddającym się poznaniu, nieprzewidywalnym. Każdy nasz czyn wpływa na przyszłość. Tylko nie wiadomo jak.

Match uśmiechnął się ponuro.

– Może więc posłuchasz z kolei nas. – Jego stary znajomy o wyblakłych oczach nie dawał po sobie poznać zdenerwowania. – Wiesz sporo, ale wyciągasz całkiem fałszywe wnioski. Zgoda, my też

popęłniamy błędy. Nie zamierzam się tego wypierać. Ale ty powinieneś zrozumieć, cel jest wielki.

– Zaczynasz traktować mnie jak równego sobie? – Match zmrużył oczy. – Nie wyszło inaczej, to w ten sposób?

– Skoro tak twierdzisz. – Druid się skrzywił. – Nieważne, co myślisz. Jak poznasz prawdę, zrozumiesz, że nie można było inaczej. Trzeba było ponieść koszty. Owszem, wiesz już, że jesteś jednym z nas, jesteś nam równy.

– Zapomnij o tym – uciał Match. – Mylisz się. Nie jesteśmy równi. Jestem czymś więcej.

– Nie rozumiesz mnie! Nie przeczę, posiadasz pewne zdolności nas przewyższające. Ale nie wiesz wszystkiego, nie znasz prawdy, nie znasz celu. Nie znasz...

– Motywów? Mylisz się, znam je doskonale. Są stare jak świat i mało oryginalne. Wam chodzi o władzę, bo ją tracicie.

Słowa zawisły między nimi. Bo była to prawda. Był to właściwy cel.

– Wasz świat się kończy – ciągnął Match. – Nie ma tu dla was miejsca. Coraz mniej ludzi was słucha, coraz mniej wierzy w waszych bogów. Wy sami w nich nie wierzycie, już od dawna. Przegrywacie z nową wiarą, z nową cywilizacją, która tu nastaje.

– To, co przychodzi, jest złe! – Współtowarzysz znanego Matchowi druida nerwowo szarpał rzemyk pokrowca, okrywającego głowicę wskaźnika celów. – To zniszczy świat, prędzej czy później! Ich wiara jest zła i fałszywa! Oni wierzą tylko w siebie, ich bóg jest taki sam jak oni!

– Cóż... – Match w zamyśleniu pokiwał głową. – Nie twierdzę, że ten świat zmierza w dobrym kierunku. Nie moje to zmartwienie. Może sami go zniszczą i skończą tak, jak wy – bez władzy, niepotrzebni. Ale jedno jest pewne. Na razie to dla was nie ma na tym świecie miejsca. Wasz świat się kończy.

– Wciąż mówisz "wy" – zauważył stary znajomy Matcha. – A przecież ty też do tego świata nie pasujesz. Ten świat cię nie przyjmie, odrzuci cię, nawet zniszczy. Dlaczego więc nie chcesz się opowiedzieć po właściwej ze stron? Teraz, kiedy, jak mówisz, wiesz i rozumiesz wszystko?

– Dlaczego? – W głosie Matcha była tylko gorycz. – Ty pytasz,

dlaczego?

Druid nie odpowiedział. Nie można było znaleźć właściwej odpowiedzi. Nawet on, z całym swoim cynizmem i wyrachowaniem nie potrafił.

Zdawał sobie sprawę, że Match nie mógł stać się jednym z nich. Pomiedzy nimi stanęło czterdzieści lat kłamstw, manipulacje i zdrada.

– Nie pytasz, dlaczego – stwierdził Match bez zdziwienia. – Wiesz to dobrze.

Druid spróbował jeszcze raz.

– Match, każde słowo, które ci kiedykolwiek powiedziałem, było prawdą. Nie mogłem mówić wszystkiego. To był nieszczęśliwy splot okoliczności, nie wszystko potoczyło się tak, jak planowano. Jak sam planowałem... Match, to ja mogłem być...

Match wstał powoli. Dłoń wciąż trzymała rękojeść.

– Zamknij się... – syknął z tłumioną pasją. – Zamknij się, albo zaraz twoje przeznaczenie dobiegnie kresu. Prawda! Ty mówisz o prawdzie! Tak, wszystko było prawdą! Najszczęśliwą prawdą! Tylko nie całą... Tak, wiem, mogłeś być moim ojcem. Byłeś jednym z najlepszych, mogłeś zamknąć dobór prowadzony od pokoleń. Ale był lepszy od ciebie. Ten, którego potem zabiłeś. – Oparł się o wielki głaz. – Teraz się zamknij, i nie przerywaj – wycedził. – Mruknij tylko pod nosem, albo spróbuj zaprzeczyć, a utnę ci łeb. Wiesz, że stać mnie na to. Teraz ja ci powiem, co jest prawdą. Tą pozostałą.

Miecz nie wysunął się z pochwy nawet na cal, ale dłoń trzymająca pewnie obciążoną jaszczurem rękojeść miała wystarczającą wymowę.

– Czterdzieści lat temu dobiegał szczytu wielki plan. Plan ostateczny, mający otworzyć nowe horyzonty. Był ostatnią szansą. Pewna kobieta miała urodzić dziecko zdolne rozerwać okowy tego świata, w którym zostali zamknięci. To dziecko było rezultatem wieloletniego doboru. Miało być kimś szczególnym. Wiadomo było, kto zostanie jego matką. Potrzebny był jeszcze ojciec, ktoś o wyjątkowych, wymaganych cechach. Było ich dwóch. Drugi okazał się lepszy, minimalnie, ale lepszy.

Odrzucony nigdy się z tym nie pogodził. Oto umknęła mu szansa na ukształtowanie dziecka tak, jak by sam chciał, szansa na

zagwarantowanie sobie przewagi w tym nowym świecie. Bo dziecko miało być tylko narzędziem, miało otworzyć ten nowy świat, ale rządzić nim miał kto inny.

Postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce. Ojciec chłopaka musiał zginąć. Druid wiedział, że w przypadku jego śmierci on stanie się oczywistym następcą, tylko on jeden był przygotowany. Lecz wynajęci mordercy popełnili błąd. Ojciec wprawdzie zginął, jak było to zaplanowane, ale dziecko zniknęło.

To była klęska. Chłopaka nikt nie mógł zastąpić. Realizowany przez stulecia plan załamał się. Druid miał jednak chwilę gorzkiej satysfakcji. Jeżeli nie on będzie rządził nowym światem, to nikt inny.

Lecz los okazał się nieprzewidywalny. Dziecko odnalazło się, ale już nie było podatne na indoktrynację. Dzieckiem był przywódca rebelii.

Nie można było nim sterować wprost, więc otoczono go siecią intryg, tak by siedł tam, gdzie trzeba, nie wiedząc o tym. To wymagało czasu, ale druid nie obawiał się. Miał czas.

Tymczasem los znów z niego zakpił. Match odkrył bramę, lecz zbyt wcześnie przez nią przeszedł. Tak, to też było kłamstwo. – Match popatrzył na druida. – W twoim stylu, blisko prawdy, ale jednak kłamstwo. Nie otworzyłem bramy, ja tylko przez nią przeszedłem, tak jak wielu z was do tej pory. Jednak mam nad wami jedną przewagę. Mogę przejść, kiedy chcę. I dokąd chcę. Mogę wrócić tam, gdzie już byłem. To właśnie jest umiejętność, której wam wszystkim brakuje. Bo tylko ja mogę znaleźć świat, o który chodzi.

Druidzi nie zaprzeczali. Może bali się spełnienia groźby, a może nie było sensu.

– Popraw mnie, jeśli się pomylę – powiedział Match. – Na tym świecie żyły kiedyś inne rasy, posiadające moc. Porozumiewały się bez słów, korzystały z mocy, a nie z narzędzi. Ale one nie odeszły. Wytępiłicie prawie wszystkie. Zostały tylko niedobitki, do dziś kryjące się w lasach i uroczyskach.

– Poprawka – wtrącił zimno druid. – Wytępiłiliśmy ich wszyscy. My, ludzie. Ten świat był dla nas za mały.

– Zgoda. – Match się skrzywił. – Wszyscy mamy w tym swój udział. My, którzy wykorzystaliśmy swe mizerne w porównaniu z nimi

zdolności, i reszta, która uciekała się do kłamstwa i podstępu, pojęć obcych tym innym rasom. Zostały więc tylko niedobitki, które potrafiły jeszcze układać kamienie w kręgi w pewnych szczególnych miejscach, posiadających niecodzienną moc. Moc przenoszenia do innych światów. Tak, są inne światy. Może szczęśliwsze od tego. Inne miejsca, inne czasy, do których można dotrzeć przez bramy. Światy, w których zostali tylko oni, puste i gotowe na przyjęcie tych, którzy je zaludnią. Nie ma tylko światów, w których oni i ludzie żyją zgodnie i w pokoju. Bo to jest niemożliwe. Powiedz mi, do którego ze światów chcecie odejść? Do pustego, by w trudzie i znoju zaczynać od początku? Czy raczej do takiego, gdzie można przyjść na gotowe? Zająć miasta i zamki, czy też co tam oni do tej pory zbudowali? Nie odpowiadasz? Nie fatyguj się, znam cię. Znam też odpowiedź.

– Znasz. Bo nie może być inna. To nam się to należy, nam, ludziom. Tak jak tutaj. Bo to my jesteśmy do tego przeznaczeni.

– Co ja słyszę? – zdziwił się obłudnie Match. – Coś mi to przypomina... "Czyńcie sobie ziemię poddaną, albowiem to człowiek jest panem stworzenia". Czy nie tak mówią ci, których tak nienawidzisz i przed którymi chcesz uciec? Czym ty się różnisz od nich? Czy tylko tym, że oni wygrywają, a ty przegrywasz?

– Niczym. – Odpowiedź padła szczerą i beznamiętną. – Tak, masz rację. Jest świat, który powinien być nasz. Świat, który przepaja pierwotną moc, taką, jak kiedyś i tu istniała. Chcemy go zająć. Tam będziemy czymś więcej niż tutaj, będziemy mieli większe możliwości. A cena, o której myślisz, choć wprost o niej nie wspomniałeś? Ta cena jest do zapłacenia. My jesteśmy stworzeni do walki, oni nie. I to oni przegrają, zajmiemy ich zamki i pałace, ich ziemie i góry.

– Tylko jest jeden problem. – Match roześmiał się. – Sami tego nie zrobicie, potrzebny jestem jeszcze ja. Tak, wiecie, że ten świat istnieje, ale nie możecie do niego trafić, nie możecie otworzyć drogi. Do tego jestem potrzebny. I nie tylko ja.

Druid uniósł brwi.

– Tak, nie dziw się, że wiem. Powinienem dawno się domyślić. Przecież nie pójdziecie podbijać świata we dwóch, czy ilu was tam jeszcze zostało. Nawet oni, łagodni i naiwni, nieznający prawdziwej ludzkiej natury poradziłiby sobie z wami. Ty miałeś bardziej ambitne

plany. Potrafiłeś obrócić niepowodzenie w sukces. Wtedy, kiedy mnie odnalazłeś i zorientowałeś się, że jestem waszym zagubionym skarbem, nie powiedziałaś mi prawdy. Chciałeś zdobyć coraz większy wpływ. Byłem podwójnie cenny, prócz swych możliwości miałem ludzi, których mogłem pociągnąć za sobą. Trudno o lepszy korpus ekspedycyjny niż ta gromada zabijaków i morderców, którym przewodziłem. Miałeś sprytny plan, za sprytny. Znów przeszkodził ci przypadek. Wyrwałem się spod kontroli. Sam odkryłem coś, co miało dla mnie być tajemnicą, aż do czasu, kiedy łaskawie uchyliłbyś jej rąbka. Przestraszyłeś się, że mogę coś zrobić, nie czekając na światłe kierownictwo. Przesadziłeś, nic bym nie zrobił. Przerastało mnie to, za mało wiedziałem. Ale ty doszedłeś do wniosku, że jestem zbyt niezależny, nieobliczalny. Dlatego trzeba mnie złamać, pozbawić woli i wzbudzić poczucie winy. Wymyśliłeś więc umowę z szeryfem, żeby mnie przechować na lepsze czasy. Oplotłeś nas obu, mnie i mojego mimowolnego nadzorcę, misterną siecią kłamstw. Nie oburzaj się tak, były nie tylko półprawdy, były kłamstwa.

Match przerwał na chwilę. Tak, było wiele kłamstw, które zaważyły na jego życiu i życiu wielu innych, nieświadomych gry, w której stali się uczestnikami.

– Wymienię kilka. Żebyś sobie nie myślał. – Match zastanawiał się chwilę. – Po pierwsze, ja nie byłem odpowiedzialny za to, co wyłaziło czasami z bramy, za te wszystkie potwory i okropności. To ty wmówiłeś mnie i innym, że jestem temu winien. Tymczasem bramę uaktywniły wasze uprzednie próby, żałosne i kończące się niezliczonymi niepowodzeniami. Ale tym kłamstwem upiekłeś dwie pieczenie. Uzasadniłeś szeryfowi potrzebę zachowania mnie przy życiu, że niby tylko ja mogę się przeciwstawić, stanąć naprzeciw temu, co sam wyzwoliłem, i miałeś w garści mnie. Bo ja czułem się odpowiedzialny. Wiedziłeś, że będziesz mnie miał na każde zawołanie...

– Tylko tyle? – przerwał druid. – Owszem, zgadza się. Ale co z tego?

– Jeszcze próbujesz. – Match uśmiechnął się. – Jeszcze nie zrezygnowałeś. Jeszcze myślisz, że skoro się nie da inaczej, to się dogadamy. Że mnie przekonasz. Ale było więcej kłamstw. Żeby daleko nie szukać, ten nieszczęsny człowiek, którego tak niedawno zabiłem. Nie zaprzeczaj, ja zabiłem, ja nacisnąłem spust. Nieważne, czy broń była na tyle inteligentna, żeby sama wyszukać sobie cel. On nie był taki, jak w

plotkach, które rozsiewaliście. To był zwykły, naiwny figurant, który robił dokładnie to, co mu kazałeś. Chociaż wydawało mu się zupełnie co innego. On miał tylko jedno zadanie: zebrać kolejną armię, którą chciałeś wykorzystać do podboju twego wymarzonego świata. Ja miałem go zabić w imię wymyślonych przez ciebie wyższych racji, aby chronić świat przed zagładą. Potem wszystko miało pójść łatwo. Byłeś pewien, że już dojrzałem, by zatańczyć tak, jak mi zagrasz. Ale jednego nie przewidziałeś.

Dostrzegł szybkie spojrzenie, jakie druidzi wymienili między sobą. Byli zbyt wytrąceni z równowagi, by porozumieć się inaczej. W bardziej dyskretny sposób. Pokiwał głową.

– Tak, wiecie, co spowodowało waszą klęskę. Jeden człowiek, którego nie wzięliście pod uwagę. Kazaliście go zabić, ale za późno. Cóż, niewiedza, brak przewidywania i zarozumiałość. Jesteście tak dumni z waszych żalosnych zdolności, że nie mieści wam się w głowach, że ktoś może was przewyższać i widzieć rzeczy, których wy się tylko domyślacie.

Match stłumił śmiech, od którego aż się zatrzęsł.

– Pomyślcie tylko! Całe wieki poszukiwań, ryzykownych prób i niepowodzeń. Niezliczone mrowie tych, którzy zaryzykowali, i nie powiodło im się. Tajemne eliksiry, mające wzmacniać uzdolnienie. Tak, wzmacniały, ale często były zabójcze. Lata transu i tajemnych ćwiczeń. A okazało się, że można mieć tylko śladowe uzdolnienia, a potem dostać w łeb, i wszystko staje się proste. Tak, jak w przypadku Jasona. On widział więcej od was, więcej rozumiał, a wy go zlekceważyliście. Powiem wprost, nie dostrzeegliście na czas.

Match znów roześmiał się głucho.

– Pomyślcie tylko, gdybyście wiedzieli, że to takie proste! Od świtu do nocy walilibyście łbami o kamienie, a nuż się uda! Jednego całego muru nie znalazłoby się w całej okolicy.

Spoważniał. Druidów i tak to nie śmieszyło.

– Postanowiliście go usunąć, zanim zrozumie do końca. Udało się, ale za późno. Zbyt partacko. Nie dopilnowaliście swych morderców, zdradzili się, o co im chodzi, kto jest ważny. W ostatniej chwili Jason zrozumiał do końca. I zdążył...

Zapadło milczenie. Match nie sądził, by było jeszcze coś do dodania.



Pomylił się. Oczekiwał zaprzeczeń.

– Wszystko się zgadza – druid odezwał się bez zmieszania. – Masz rację, straszne z nas skurwysyny. I partacze, jak byłeś łaskaw wypomnieć. Ale powiem to, co przemilczałeś. Wzięliśmy pod uwagę tego, jak mu tam, Jasona. Dlatego nie pozwoliliśmy, byś stanął do walki z tym człowiekiem, naszą, jak mówisz, marionetką... Obawialiśmy się, że już może wiesz za dużo i przyjdzie ci do głowy jakieś głupstwo, że zechcesz przegrać. Na to zaś nie można było pozwolić. Bo czy nam się to podoba, czy nie, nie ma cię kim zastąpić. A szkoda. Masz rację, chcemy się dogadać. I sądzę, że się dogadamy. Nie musisz nas kochać, Match, ale nie masz wyjścia. Nie masz dokąd pójść, możesz tylko z nami...

Match zachnął się. Druid uniósł dłoń niecierpliwym gestem.

– Nie przerywaj. Ja nie przerywałem, więc teraz ty posłuchaj. Chcesz zemsty? Co ona ci da? Zmieni to, co było? Nie, Match, ty jesteś realistą. I sam wiesz, że nie masz wyjścia. Więc otwórz bramę. Otwórz, a nie pożałujesz...

Match przeciągnął się. Kamień ziębił mu plecy, zeszywniał cały. Odsunął się od zimnej, gładkiej powierzchni wrośniętego we wrzosowisko głazu.

– Nie rób ze mnie durnia – powiedział oschle.

– O co ci chodzi? – Druid poderwał się. – Mówię szczerze. Obiecuję. Nie oszukam cię, nie mogę już, teraz, kiedy wiesz... Kiedy stałeś się naprawdę jednym z nas.

– Nie rób ze mnie idioty – powtórzył Match. – Te kamienie są mizerną imitacją. To jedynie głazy. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Tu nie ma przejścia. To tylko jedna z waszych nieudolnych prób, kiedy jeszcze myśleliście, że właśnie kamienie są ważne. Zapewniam cię, że nie są. Co, chciałeś mnie wypróbować bez ryzyka? Znów nie wyszło?

– Dobrze. – Druid zgrzytnął zębami. – Wiesz i to, w porządku. Jak mam ci udowodnić, że jestem szczerzy? Opowiedzieć ci jeszcze coś paskudnego, o czym nie wiesz? Zgoda. Pamiętasz Copperfielda, tego niby magika i jego pomarańczowe świństwo? Jak myślisz, skąd je dostał? Tak, to ja mu dałem. Nawet musiałem zrobić osobiście, sam przepis nie wystarczył, magik był do tego za głupi. Zresztą i tak nie zdobyłby składników. Jak myślisz, skąd się wzięły? Tak, Match, nie wszystko jest

kłamstwem. Stamtąd też ktoś może przyjść, ktoś taki jak ty. Nieraz przychodził. A ten smok, który mało cię nie zabił? Wiesz, jak trudno było go sprowadzić? Tak, Match, my też coś potrafimy. Możemy przejść przez bramę przy użyciu naszych żalonych eliksirów, zmieniających świadomość. Czasem uda się coś stamtąd sprowadzić, zwabić, jak jest przydatne. Owszem, nie potrafimy znaleźć tego świata, na którym nam zależy, ani trafić dwa razy w to samo miejsce. Tylko ty potrafisz. No co, chcesz dalszych rewelacji? Czy może uwierzyłeś w moją szczerłość? W to, że traktuję cię teraz poważnie? Jak...

– Jak partnera? – Match skrzywił się. – Dziękuję, nie skorzystam. Jakoś wam nie wierzę.

– Więc co? Zemścisz się? Zabijesz nas?

Match podszedł bliżej. Druid nie cofnął się, nie opuścił wzroku.

– Nie, nie zabiję cię – wycedził Match. – Wiesz dlaczego? Tylko po to, by ci udowodnić, że nie ma przeznaczenia, że wszystko było kłamstwem, w które sam zacząłeś wierzyć. Że to, co można zobaczyć, co wydaje się przyszłością, niekoniecznie musi się zdarzyć, bo zależy też od czegoś, o istnieniu czego chyba zapomniałeś. Od wolnej woli.

Niespiesznym ruchem obnażył miecz. Stał tak, z opuszczonym do ziemi ostrzem. Zimny wiatr rozwiewał mu włosy.

– Kiedyś, na początku Jason miał wizję. Widział mnie stojącego tutaj, z mieczem ociekającym krwią. Tak, jak mogłoby być już za chwilę. – Zaśmiał się zgrzytliwie, wsunął miecz do pochwy. – Ale nie będzie – powiedział. – Nie ma przeznaczenia... – Odwrócił się. Druid chwycił go za ramię.

– Musisz otworzyć bramę – krzyknął. – Musisz! Nie możesz odejść. Jeśli odejdiesz, będziesz nikim!

– Nikim? – spytał Match. – A kim byłem dotąd? A kim wy będziecie?

Wyszarpnął ramię z uścisku. Ruszył przed siebie.

– Ten świat nie jest twój – ścigał go zły głos, w którym pobrzmiwały nuty desperacji. – Będiesz sam, długo, bardzo długo. Pamiętaj, że jesteś jednym z nas. Pamiętaj, ile czasu przed tobą. Ten świat cię nie chce, odrzuci cię, tak jak już cię odrzucił. Bądź rozsądny, wybierz swoją przyszłość. Nie masz wyboru, Match, sam zrozumiesz, że nie masz

wyboru.

Szedł powoli, nie odwracając się. Wciąż słyszał za sobą wyrzucane z pasją słowa.

– Wrócisz do nas, sam zobaczysz. Musisz wrócić i zrobić to, do czego zostałeś stworzony.

Zatrzymał się. Odwrócił. Druid stał w rozwianym białym płaszczu. W jego oczach Match po raz pierwszy zobaczył błaganie.

– Przyjdiesz do nas... – powtórzył druid. Głos mu się załamał. – Bo co będziesz robił?

Match popatrzył prosto w wyblakłe oczy, już nie butne i bezwzględne.

– Powiem ci, jak najuprzejmiej potrafię. – Uśmiechnął się, widząc na twarzy druida przypływ nadziei i desperackie oczekiwanie, że coś się zdarzy. – Nie twój zasrany interes.

## - VII -

*...Mglista i potworna czeluść pochłoneła krwawego Wieprza, a ślad po nim nie pozostał. Jeno krzyk cichnący usłyszano. I słuszna to była kara za wszystkie jego zbrodnie i nieprawości, za zdradę i tchórzostwo. W bajce bowiem cnota nagradzana jest, a zło czeka zguba. Kto by nieopatrznie do Przekłętej Kotliny zaszedł, usłyszeć może, osobliwie nocą, jęki i szlochania, tak straszliwe, że pomieszać zmysły niezwyczajnym mogą. To dusza potępiona krwawego Wieprza lamentuje, na błąkanie się wieczne w mrocznym kręgu skazana, zmiłowania daremnie wypatrując...*

*...Pojął tedy dzielny Match swą Marion wyśnioną za żonę. I było to nagrodą słodką za wszystkie lata męki i poniewierki, co je musiał znosić. Żyją teraz w swym domu na drugim krańcu tęczy, ciesząc się sobą i przyjaciółmi, wprzód spotkanymi na swej drodze. A spokój, jakiego wreszcie dostąpili, jest ich nagrodą. Bo zasłużyli sobie nań...*

*Legenda o Matchu, wodzu banitów z puszczy Sherwood [Dwie, równie często opowiadane wersje zakończenia]*

Człowiek siedzący przy wygasłym ognisku podniósł ociężale głowę na odgłos kopyt. Spojrzał na nadjeżdżającego. Zaraz jednak znów ją opuścił, przygarbionymi plecami coś wstrząsnęło. Jakby szloch.

Match zeskoczył z konia, rzucił wodze, nie troszcząc się dalej o zwierzę. Nie pytał, nie potrafił zapytać. Patrzył tylko.

Basile wyprostował się.

– Jeszcze nie – powiedział cicho. – Ale lada chwila.

Match podbiegł do leżącej na posłaniu z mchu, przykrytej derkami i płaszczem postaci. Ostrożnie uchylił okrycie, spojrzął w twarz Jasona.

Niedobrze. Do wewnętrznego krwotoku, który już sam w sobie wystarczał, by doprowadzić do śmierci, dołączyła gorączka. Na rozpalonej twarzy wyraźnie odcinały się sine cienie pod zamkniętymi oczyma. To już niedługo. Już całkiem niedługo.

Match znów przykrył nieprzytomnego. Wstał, podszedł do Basile'a.

– Odzyskał przytomność? – spytał.

Olbrzym nie odpowiedział. Siedział skulony, objawszy rękoma kolana. Wyglądał tak żałośnie, nawet wydawał się mniejszy.

– Odpowiadaj! – Szarpnął go za ramię. Basile niechętnie uniósł głowę. Match dostrzegł łzy spływające po policzkach. Odeszła cała złość. Pozostały gorycz i zwątpienie.

– Tak, na chwilę. – Chłopak przełykał łzy. – Tylko na chwilę. Chciał pić.

– Mam nadzieję, że mu nie dałeś! – Match nie potrafił nad sobą zapanować. Szarpnął Basile'a za ramię, mocno, jego głowa zakolebała się jak u szmacianej lalki.

– Nie dałem. Tak jak kazałeś. Może jestem głupi, ale kazałeś. To posłuchałem. I teraz... – Basile urwał. Match patrzył pytająco. – Teraz żałuję! – wypalił Basile. – On tak prosił! Mówił, że gorączka go spala. – Głos mu się załamał. Znów usiadł, ukrył twarz w wielkich łapskach. – Tak prosił... – powtórzył niewyraźnie.

– Mówiłem, że dla rannego w brzuch to śmierć! – Match znów nie zapanował nad emocjami, rozdarł się na cały głos. – Mówiłem ci!

Basile wstał. Stanął przed Matchem, górując nad nim wzrostem. Popatrzył z góry. Na brudnej twarzy łzy wyżłobiły jasne smugi.

– I co z tego? – powiedział z goryczą. – Co z tego, że mówiłeś? Co z tego, że jesteś taki mądry, na wszystko znasz odpowiedź?

Match poczuł, jak ogarnia go ostateczne zwątpienie. Rzeczywiście, co z tego?

– I tak wiesz, że dla niego nie ma ratunku! Że nic, ani nikt na tym świecie go nie uratuje! Sam tak powiedziałeś!

Match poczuł gdzieś głęboko lodowate ukłucie.

Nic nie uratuje. Nikt nie uratuje. Nic ani nikt na tym świecie.

Nie ma na świecie siły, która mogłaby go uratować. Nie ma na tym świecie siły. Na tym świecie.

Zacisnął pięści.

Ale jest inny świat. Niedaleko stąd, na wyciągnięcie ręki. Inny świat, przepełniony mocą, magią i wiedzą. Trzeba więc spróbować. Szansa jest niewielka, bardzo niewielka, ale zawsze jest. Trzeba tylko się odważyć, spróbować... Trzeba przejść przez to jeszcze raz. Dla niego...

– Basile!

Cisza. Opuszczone gestem bezradności ramiona.

– Basile!

Wreszcie jakaś reakcja. Chłopak odwrócił się, spojrzął spode łba.

– Odczep się! – powiedział cicho i z rozpaczą. – Odczep się, gównie obchodzisz mnie ty i twoje rozkazy.

Końmi nie dojedziemy, nie da się, myślał gorączkowo Match. To niedaleko, ale trzeba się przedzierać przez wykroty i wiatrołomy. Trzeba go zanieść...

– Basile! – W głosie zabrzmiał rozkaz. Basile odruchowo wyprostował się. – Dasz radę go nieść?

– Dam – odpowiedział machinalnie Basile. Twarz ożywiła się. – Do miasta? Ale przecież mówiłeś, że to nic nie da... – Chłopak urwał na chwilę. – Może lepiej, by spokojnie...

– Umarł? – przerwał Match ze złością. – Nie, nie lepiej. Nie idziemy do miasta.

Basile rozjaśnił się. Match pozazdrościł mu. On mi ufa, pomyślał z pewnym zdziwieniem. Wierzy, że coś poradzę. A ja... Ja nie wiem. I boję się.

\*\*\*

Krąg zdawał się drzemać pod całunem gęstej, zimnej mgły zalegającej nad ziemią cienką warstwą. Głazy, zapadnięte głęboko w mech, niektóre ledwie widoczne, inne wydźwignięte na powierzchnię siłą niezliczonych zimowych mrozów i wiosennych roztopów, lśniły wilgocią. Jak zawsze.

Ktoś, kto zabłąkałby się w ten zakątek puszczy, mógłby nawet nie spostrzec kręgu i nie uświadomić sobie, w jak niezwykle miejsce trafił. Młode drzewka rozpychały się w szczelinach gładów, gęste krzaki poszycia leśnego i grube wiekowe drzewa przesłaniały formę, w jaką ułożone były kamienie. Nie dało się ogarnąć wzrokiem kręgu, można było dostrzec tylko kilka najbliższych kamieni. Trzeba było wiedzieć. Krąg tu jest. Krąg czeka.

Nad olbrzymim gładem, wyznaczającym centrum migotliwie drgało powietrze, załamując promienie światła, które sączyło się przez szczeliny w warstwie mgły.

Krąg drzemał od lat pod całunem gęstej, zimnej mgły. I czekał. Czekał od lat. Tylko gładzi zapadały się coraz bardziej, kryjąc z wolna pod dywanem mchu.

\*\*\*

Stanęli na szczycie wydmy. Basile dyszał ciężko, składając ostrożnie bezwładne ciało na miękkim mchu.

Przed nimi, u stóp wydmy, rozciągała się kotlina tak rozległa, że ledwie widział przeciwległe zbocza. Była regularnego kształtu, prawie idealnie okrągła.

Zalegała ją gęsta mgła, z której wystawały jedynie ostre czubki świerków, sprawiające wrażenie niezwykle ciemnych na tle szarego tumanu.

Z kotliny ziało chłodem. Obcością.

Tak jak wtedy. Jak przed laty. Znów mgła wirowała wolno, znów nad kotliną wisały ciężkie, szare chmury, kłębiące się jak mgła poniżej.

Match przetaił spocone od ciężkiego, pospiesznego marszu czoło. Spostrzegł krew na dłoni. To od tego przedzierania się przez zarośla, pomyślał.

Popatrzył w dół, gdzie tuż pod stopami zalegał ciężki, prawie dotykalny opar. To na nic, powiedziało zaczajone gdzieś w głębi umysłu zwątpienie. Nie uda się. I tak będzie za późno. Pewnie już jest. On przecież umiera. Może już umarł. Match nie miał odwagi odwrócić się, by

sprawdzić.

Z tyłu dobiegł jęk. Jakby w odpowiedzi na zwątpienie. Jason jeszcze nie umarł, a póki życia, póty nadziei.

Mgła wirowała coraz szybciej. Czas nadchodził. Trzeba zdecydować, kiedy jeszcze można. To jedyna szansa, choćby nie wiadomo jak nikła.

Match odwrócił się gwałtownie. Przykucnął nad Jasonem, dotknął delikatnie rozpalonego czoła, starł krople potu. Jason był nieprzytomny. I dobrze, pomyślał Match, nie poczuje, jak będę niósł go na dół, tam, w tej mgle. Nie będzie łatwo, jest ciężki i bezwładny.

Nie poczuje bólu. Nie poczuje niczego. Nie dotknie go straszliwa moc bramy, nie wypali mu umysłu.

Match wyprostował się, spojrzął na Basile'a. Olbrzym stał z opuszczonymi bezradnie rękoma. W oczach dostrzec można było napięcie. Czekał na decyzję.

– Dam ci trochę czasu – rzucił Match bez żadnych wstępów. – Pobiegniesz przed siebie, jak tylko możesz najszybciej. Nie będziesz zwlekał, nie będziesz się oglądał. Im dalej zdołasz odbiec, tym lepiej dla ciebie.

Basile nie poruszył się. Nie takiej decyzji oczekiwał.

– Ruszaj, do nagłej!... – Match podniósł głos aż do krzyku. – Nie dam ci wiele czasu, nie mogę! Nawet nie wiem, czy zdążysz!

Przeczący ruch głowy.

– Nie rozumiesz, ty młocie? Ruszaj, nic tu po tobie! Ruszaj, bo...

Bo co, przemknęło Matchowi przez głowę. Straci rozum? Żeby stracić, trzeba go mieć. On, kurwa, nic nie rozumie. Nie jest świadomy, w jakiej znalazł się sytuacji. Kurwa, nie ma czasu, żeby tłumaczyć...

Matcha ogarnęło zwątpienie i rozpacz. On nie zrozumie. We łbie mu się pomiesza i zginie marnie. Trzeba wybierać: Jason albo ten debil. Kurwa, znów trzeba wybierać.

– Też idę. – Basile był poważny, jak nigdy dotąd. – Ktoś musi go zanieść. Wypada, że ja.

– Zrozum, zmysły ci się pomieszają – spróbował jeszcze Match. Wiedział, że to się na nic nie zda.



– Nie pomieszają – zapewnił Basile. Schylił się nad Jasonem.

Match chwycił go za ramię.

– Zaczekaj...

– Już powiedziałem. – Olbrzym nie podniósł się z klęczek. Nie odwrócił głowy. – Już powiedziałem – powtórzył ze stanowczością, jakiej Match nigdy u niego nie słyszał, a nawet by się nie spodziewał. – Nie powstrzymasz mnie. Musiałbyś mnie zabić. A nie o to ci chyba chodzi?

Match opuścił ręce. Tak, nie o to chodzi.

– Basile... – zaczął, czując, jak coś dławi go w gardle.

Olbrzym, starannie podtrzymując głowę Jasona, dźwignął się z klęczek. Spojrzał pytająco.

– Nic, nic. – Match nie zdobył się na więcej. – Ruszajmy już.

Podszedł bliżej. Spojrzał w twarz nieprzytomnego przyjaciela. To jedyna szansa, naprawdę jedyna. Nie wiedział sam, kogo chce w ten sposób przekonać. Chyba jednak siebie. Co będzie tam, po drugiej stronie? Czy w ogóle będzie jakakolwiek druga strona?

Powieki rannego drgnęły. Match spostrzegł wpatrzony w siebie, błyszczące od gorączki oczy. Wargi poruszyły się. Match delikatnie pogładził pokryty szorstką szczeciną zarostu policzek.

– Nic nie mów – szepnął. – Śpij.

W oczach Jasona była prośba. Nie, nie prośba, te oczy coś nakazywały, czegoś żądały. Jason próbował unieść rękę. Nie zdołał. Wargi znów zadrgały. Match nachylił się.

– Wróć... – usłyszał cichy szept. – Wróć po nią...

Gałki oczne zadrgały, błysnęły białka. Powieki znów opadły. Match przypadł do Jasona. Po długiej jak wieki chwili poczuł na policzku słaby oddech.

"Wróć po nią". Nie wiadomo, czy w ogóle przeżyjemy. Nie wiadomo, dokąd trafimy. Nie wiadomo, czy będzie można wrócić. A jeśli nawet, mętnie pomyślał Match, czy będę miał odwagę wrócić? Czy mam po co wracać?

– Wrócę, Jason – wyszeptał. – Wrócę na pewno.

Wyprostował się ze ściągniętą twarzą. Napotkał spojrzenie Basile'a.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Ruszamy – powiedział Match. Nic więcej.

Basile skinął głową.

Match zrobił pierwszy krok na stoku wydmy. Drugi. Pod stopami osypywał się piasek. Za sobą słyszał sapanie Basile'a.

On nie ma wątpliwości, pomyślał. Nie zadaje sobie pytań, co będzie tam, za tą mgłą. W ogóle nie zadaje pytań. Nie obawia się, że utraci rozum. Zresztą, jaki tam u niego rozum...

Krztusząc się szarpiącym wnętrzości śmiechem, Match zrobił następny krok. Okryła go mgła, tak gęsta, że aż dotykalna. Poczuł na twarzy drobne, lodowato zimne kropelki.

